

Wszystko  
dla pań

OLIVIA  
GOLDSMITH



MELODE ŻONY



# Goldsmith Olivia

## Młode żony

*W pierwszą rocznicę ślubu młoda prawniczka odkrywa, że jej mąż ma romans. Jej dwie serdeczne przyjaciółki również przekonują się, że przez lata były oszukiwane przez ukochanych mężczyzn. Zdradzone i oszukane kobiety obmyślają wspólnie niezwykłą metodę zemsty na niewiernych małżonkach...*

## Rozdział 1

Kamberleigh Wakefield zjawiła się w klubie przed czasem, po części dlatego, że była osobą obsesyjnie punktualną - studia prawnicze nauczyły ją, że warto - ale i dlatego, że chciała nacieszyć się kilkoma minutami samotności. Usiadła więc, krzyżując nogi w kostkach i spoglądała przez okno na zatokę. Nigdy nie sądziła, że jej domem stanie się Marblehead w stanie Massachusetts, ale było tu pięknie. Jeszcze teraz, w pełni jesieni, żaglówki przecinały wody portu, kutry rybackie wpływały do doków, a w miarę jak zachód słońca stawał się zmierzchem, w oddali zapalały się światła domów.

Reid wybrał tę restaurację, jak on sam doskonałą w każdym calu. Obrusy jaśniały bielą, szkło i srebra połyskiwały dyskretnie. Wykrochmalone serwetki, zwinięte w niezwykle przemyślny sposób, przypominały marynarskie czapki, które robili z bratem z gazet, tyle że były o wiele zgrabniejsze.

Kam, pół krwi Kubanka, pół krwi Żydówka z Nowego Jorku, nigdy nie była tak schludna, tak doprasowana jak te serwetki. Jej krótkie włosy, farbowane na blond, nie tworzyły fryzury, po prostu rosły. W jej ubraniu, zawsze leciutko wymiętym, brakowało z reguły takiego czy innego guzika. Widocznie na tym polegał jej urok, skoro Reid się z nią ożenił.

Rozejrzała się po sali jadalnej. Wiedziała, że po klubowej kuchni nie należy się wiele spodziewać; po naprawdę dobre jedzonko jeździło się do delikatesów w Brooklynie, ale chleb będzie smaczny, a porcje mięsa takie jak trzeba. Reszta będzie zjadliwa, jak powiedziałyby matka, martini wytrawne, obsługa nienaganna. Za chwilę Reid Wakefield III, jej mąż od roku, zasiądzie naprzeciwko niej, a pomarańczowe już teraz światło i zielonkawa zatoka będą stanowiły doskonałe tło dla jego błękitnych oczu i złotawych włosów.

Podszedł kelner i zapytał obojętnie, czego się napije. Nie chciała zaczynać bez Reida, powiedziała więc, że zaczeka, jeżeli można.

- Mój mąż będzie tu za chwilę  
- dodała, spoglądając na zegarek. Reid spóźnił się już dwadzieścia minut, rzecz zupełnie normalna. Był notorycznie spóźniony, tak pochłonięty tym, co robił w danej chwili, że zapominał

o tym, co powinien zrobić w następnej. Koniec końców wszyscy wybacжали mu spóźnienia, ponieważ miał tyle uroku i chłopięcego zapału.

Kam wyjęła puderniczkę i dokonała skrupulatnych oględzin twarzy. A była to ładna twarz - okrągła, o okrągłych oczach, krągłym nosku i wydatnych ustach. Okay, bądźmy szczerzy - o wielkich ustach. W tej chwili aż się prosiły o odrobinę szminki. Swoją drogą, dlaczego zeszła z warg, a nie z zębów?

i powinna poprawić włosy, chociaż wiedziała, że nie należy czesać się przy stole. Wzruszyła ramionami.

Jej włosy robiły, co chciały i nie było na to rady. Za to Reid wyglądał nienagannie, nawet w basenie czy na korcie tenisowym.

Kam westchnęła, chociaż wcale nie czuła się nieszczęśliwa. Jest jaka jest. Reid wybrał ją, a nie jedną z tych naturalnych, anemicznych blondynek z wyższych sfer. Żadna z tych wytwornych młodych kobiet o imionach takich, jak Elizabeth, Emily czy Sloane nie nosiła absurdalnego nazwiska Kam-berleigh Ayssa Rosen Lopez, żadna nie przyciągnęła uwagi księcia z bajki, mimo eleganckich strojów i misternych fryzur. Kam szczyciła się swoim pochodzeniem. Rodzina ojca wyemigrowała na Kubę z Niemiec - stąd niebieskie oczy! - i uciekła do Stanów tuż przed objęciem władzy przez Castro. Żydowska rodzina matki przybyła do Ameryki z Rosji. W porównaniu z rodziną Wakefieldów byli świeżutką imigracją.

Wakefieldowie nie przyплыnęli wprawdzie na „Mayflower”, ale wkrótce po nim. Matka Reida była córą rewolucji amerykańskiej. Kam uważała, że nie ma się czym chlubić - ukradli przecież ziemię rodowitym Amerykanom. Ale ukradli ją jako pierwsi i nadal posiadali jej mnóstwo w samym Marble-head i okolicach.

Kam wyjęła z torebki paczuszkę opakowaną w ozdobny papier - prezent dla męża. Była rocznica ich ślubu i Kam dobrze się nabiedziła, zanim znalazła idealny prezent - pierwsze wydanie biografii Clarence'a Darrowa z dedykacją od autora. Reid - świeżo upieczony prawnik pracujący dla Andovera Putmana, jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych kancelarii prawniczych w Bostonie - uwielbiał Darrowa. Kam poklepała paczuszkę i uśmiechnęła się radośnie. Reid będzie zachwycony. Wiedziała oczywiście, że i ona otrzyma dzisiaj prezent, ale nie liczyła na zbyt wiele. Prezenty i romantyczność nie były domeną mężczyzn. Zwłaszcza mężczyzn z rodowymi pieniędzmi. Na ich pierwsze wspólne święta Bożego Narodzenia Reid kupił jej rękawice narciarskie (choć nie jeździła na nartach!). Kiedy zaproponowała, że wyrwą się na weekend we dwoje, chciał jechać do Springfield, zwiedzić galerię sław koszykówki. W prezencie urodzinowym zaś ofiarował jej młynek do kawy.

Potrząsnęła głową wspomnienie swoich łez, widocznego zmieszania i bólu Reida. „Ale przecież lubisz świeżo zmieloną kawę!” zawołał i był wstrząśnięty, kiedy w odpowiedzi cisnęła w niego młynkiem. Strasznie się wtedy pokłócili. Później zadzwoniła do matki, która powiedziała: „Młynek do kawy? Brauna? Kochanie, Reid jest reformowalny. Twój ojciec dał mi deskę do prasowania”.

Kam nie wytknęła matce, że rozwiodła się ze swoim mężem Estevanem, i że ona, Kam, nie chce, by to samo przytrafiło się jej z Reidem.

- I co zrobiłaś, kiedy dostałaś tę deskę? - wyszlochała.

- Wepchnęłam mu ją do gardła - przyznała matka. Kam musiała się rozeźmiać. -

Posłuchaj! - powiedziała Natalie Rosen-Lopez tonem pocieszenia. - Mieszane małżeństwa nie są trwałe.

- Mówisz mi to teraz, kiedy wyszłam za protestanta?! - zawołała Kam.

- Nie miałam na myśli różnicy wiary - parsknęła matka. - Chodziło mi o różnicę płci. Kobiety i mężczyźni. Mars i Wenus. Nie pochodzimy z różnych planet - pochodzimy z różnych układów słonecznych.

Kamberleigh potrząsnęła głową na to wspomnienie. Jak mawiał ojciec, matka jest jedyna w swoim rodzaju.

- O co chodzi? - zapytał Reid. - Takie potrząsanie główką jest tu surowo zabronione. To bardzo elitarny klub.

Kam spojrzała na swojego wysokiego, złotego chłopca, narciarza wodnego, alpinistę, absolwenta Princeton. Mogłaby przysiąc, że promienieje w odbłasku zachodzącego słońca. Reid, który zajął już miejsce naprzeciwko niej, teraz wstał, obszedł stolik i pocałował żonę. Był to długi, namiętny pocałunek. Publiczna demonstracja uczucia! Nie do wiary! Ogłaszał wszem i wobec swoją miłość do żony, w dodatku w klubie, gdzie uzewnętrznianie emocji należało do największych uchybień towarzyskich. Ostatnio był taki kochany! Zaczerwieniła się, rozchylając przyzwalająco usta. Reid zbijał ją z nóg. Co z tego, że dawał w prezencie młynki do kawy! Usiadł naprzeciwko niej, równie nienaganny jak w chwili, gdy wszedł na salę. Kelner już czekał.

- Czego się napijesz, Kammie? - zapytał Reid. Po chwili wahania zdjął jej torebkę z krzesła i zajął miejsce obok żony. - Chcę być bliżej swojej dziewczynki - wyszeptał i pod osłoną obrusa położył dłoń na wewnętrznej stronie jej uda. „Szczęście, że byłam wczoraj na siłowni”, pomyślała. Reid zacisnął dłoń na jej udzie i krew uderzyła Kam do twarzy. Ogarnęła ją fala tęsknoty, tak silna, że musiała odwrócić wzrok w stronę okna.

- Chcę ciebie - wyszeptał Reid.

Nie przestając gładzić jej uda, zwrócił się do cierpliwie czekającego kelnera i złożył zamówienie. Kam czerwieńiała coraz bardziej, podczas gdy kelner kiwnął głową i odszedł, by obsłużyć dziedzica rodu Wakefieldów. Kam zwracała się do kelnerów przeproszającym tonem, Reid kazał im czekać, mimo to obsługiwali go lepiej.

- A to co? - Reid nakrył ręką paczuszkę spoczywającą przy trzecim nakryciu. - Dla kogo to może być? - Dźwięk tego głosu, namiętny, a zarazem chłopięcy, sprawił, że poczuła mrowienie na karku.

- Och, to nic takiego - powiedziała niewinnie. - Może prezent rocznicowy, jeżeli ktoś tu obchodzi rocznicę.

- Tak się składa, że ja i moja żona. Czy to dla niej? A może dla mnie? - Nie sięgnął jednak po paczkę, lecz, ku zachwytowi Kam, z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl pękate puzderko. - Czy to wygląda na sprzęt gospodarstwa domowego? - zapytał.

Serce Kamberleigh zabiło żywiej. Nigdy nie otrzymała od niego biżuterii, jeżeli nie liczyć pierścionka zaręczynowego i obrączki. Z udanym spokojem sięgnęła po puzderko. Było z granatowej skórki, a na wieczku wykaligrafowano złotymi literami nazwę firmy: „Shreve, Crump and Lowe”. Nic wielkiego, po prostu najlepszy sklep jubilerski w Bostonie! I najdroższy, a Reid nie należał do osób, które wydają więcej, mogąc wydać mniej. Może matka miała rację. Reid jest reformowalny. Kam patrzyła na zachwycające puzderko i siłą nakazywała sobie spokój. Najprawdopodobniej kryło tylko srebrny łańcuszek, napastrzek albo coś w tym rodzaju. - Zwierzę, roślina czy minerał? - zapytała, żeby zyskać na czasie.

- No cóż, ja jestem zwierzę, ty jesteś roślinką, a prezent pochodzi niewątpliwie ze świata minerałów.

Ze świata minerałów! Podobnie jak kamienie szlachetne? Bliska omdlenia uchyliła wieczko i z jedwabnego wnętrza błysnął ku niej mały, piękny szafir w wianuszkach pereł.

- Pierścionek! O, Boże! Jest piękny! O, Boże! - powtórzyła.

- Zabawne - stwierdził Reid sucho. - Zauważyłem, że tylko seks i biżuteria zwracają twoje myśli ku Bogu. To specyfika religii żydowskiej czy katolickiej? - Zaśmiał się, ściskając ponownie jej udo. Kam obiecała sobie solennie, że zaraz po pracy pobiegnie na siłownię. Dla niego zachowa udę szczupłą i gładką, choćby miała poświęcić na to resztę życia. Nie należało zapominać, że ojciec zaczął zdradzać żonę, kiedy Natalie zrobiła się trochę, a właściwie mocno... pulchna. Od jutra przechodzi na dietę owocową. Będzie wypijała cztery półlitrowe butelki wody Evian, choćby miała pęknąć.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła - odezwał się Reid. Jeszcze coś?! Nie wystarczy mu, że się głodzi i opija wodą jak bąk?! Że jest gotowa przestać oddychać, gdyby o to poprosił?

- Wszystko, z wyjątkiem nierządu i operacji plastycznej nosa - zastrzegła.

Roześmiał się. Śmiał się chętnie i często, i był to jeden z powodów, dla których go pokochała. Potem jego twarz przybrała wyraz chłopięcej powagi.

- Odnówmy naszą przysięgę - zaproponował, biorąc ją za rękę. - Chcę ożenić się z tobą po raz drugi.

Kam zarumieniła się ze wzruszenia. Ostatnio Reid był niezwykle romantyczny - kwiaty, drobne prezenty - ale to...! To było takie miłe! Nie wiedziała, czy się roześmiać, czy rozplakać. Ostatecznie uznała, że lepiej się roześmiać, w końcu śmiech był tradycją rodzinną Rosen-Lopezów, zwłaszcza krewnych ze strony matki. „Zawsze lepiej się śmiać niż płakać”, radziła matka w sytuacjach kryzysowych. „Nie trzeba potem od nowa malować oczu”.

Kam nakryła dłonią długie, piękne palce Reida.

- Och, kochanie! To wspaniały pomysł. Uroczy pomysł, ale... - urwała. Wpatrywał się w jej twarz, bacznie i błagalnie, jak mały piesek. Nie chciała zrobić mu przykrości. - Pobraliśmy się zaledwie przed rokiem, kochanie - powiedziała ostrożnie. - To byłoby niestosowne. Jeżeli chcesz odnowić naszą przysięgę prywatnie, jestem gotowa w każdej chwili...

- Nie! - przerwał jej Reid. - Chcę zrobić to oficjalnie. W obecności świadków. Ludzi, z którymi, pracuję. Twojej i mojej rodziny. Chcę powtórzyć ceremonię ślubu.

- Druga ceremonia? - Kam uściśnęła delikatnie dłoń męża. - Jeszcze się nie otrząsnęłam po pierwszej! Rok zajęło mi napisanie listów do twoich krewnych z podziękowaniem za te wszystkie bryły sera. Zresztą, takich rzeczy się po prostu nie robi.

Zwykle to jego krewni wysuwali argument przyzwoitości, kładli nacisk na to, co wypada. Omal nie pomdleli na wiadomość, że ślub Wakefielda odbędzie się w obecności rabina i upadłego (czytaj: żonatego) księdza katolickiego.

- To nie wypada. Nie przed upływem dziesięciu, dwudziestu lat...

- Dlaczego? Kocham cię bardziej niż wtedy, gdy się pobieraliśmy - zaprotestował Reid. - Chcę, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

Kam poczuła wzbierające łzy. Rozplacze się; co tam tusz! -1 ja kocham cię bardziej - przyznała. - Tylko że ludzie mogą pomyśleć, że... No wiesz, że jesteśmy pazerni. Że liczymy na nowe prezenty.

- Kammie, zrobisz to dla mnie? - Na twarzy Reida malowało się błaganie. - Masz takie piękne oczy, takie szafirowe. - Zniżył głos do szeptu. - Chcę cię teraz. Chcę ucałować twoje powieki.

Nie mogła mu się oprzeć. Otwierała już usta, żeby wyrazić zgodę, kiedy Reid podjął temat.

- Wiesz, że moi rodzice byli przeciwni temu małżeństwu. Tobie nie spodobali się moi znajomi. Oni również za tobą nie przepadali. Ludzie mówili, że będziesz od nas odstawała. Hej, nawet ja miałem pewne wątpliwości.

Kam skinęła głową, nie przestając się uśmiechać. On mówi o wątpliwościach! Tak naprawdę do końca wątpiła w Reida. Jego lęk przed stałym związkiem, płytkość charakteru nasuwały obawy, że Reid umknie sprzed ołtarza. Do tego jawna niechęć rodziny! Aż do ostatniej chwili oczekiwała, że się rozmyśli.

- Nie był to łatwy rok - ciągnął Reid. - Przyznaję, że potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby się dotrzeć. A potem, pięć miesięcy temu, nawiązałem romans. Myślałem, że między tobą a mną już nie... Krótko mówiąc, obawiałem się, że moi rodzice mieli rację.

- Co...? - wykrztusiła Kamberleigh. - Kto...?

- Starsza kobieta. Z pracy. Nic dla mnie nie znaczyła. Romans... Sam nie wiem. Kiedy już minęło pożądanie, zrozumiałem, jak bardzo kocham ciebie. Że wolę ciebie nad wszystkie kobiety świata. Popełniłem błąd, ale wyciągnąłem wnioski. Chcę, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Chcę, żeby...

Kamberleigh już go nie słyszała. Widziała ruch warg, ale nie słyszała głosu. Pal sześć głuchotę, Kam bała się, że padnie trupem przy restauracyjnym stoliku.

Uratowała ją duma. Serce waliło jej tak mocno, że Reid musiał słyszeć dudnienie. Siedziała, sparaliżowana szokiem i patrzyła na poruszające się wargi męża. Usta, które dopiero co całowała. Usta, które kłamały jej, które całowały inną...

- Muszę iść do toalety - powiedziała Kam, wstając gwałtownie i niemal wybiegła z sali.



## **Rozdział 2**

Vivian zapakowała dzieci do łóżek, a potem wzięła Pookiego na spacer. Frank uważał, że to niewychowawcze, ale wolała wyprowadzić psa niż prosić o to Jenę. Zresztą, odrobina świeżego powietrza jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Idąc pośród wirujących liści patrzyła w gwiazdy. Było chłodno i Viv zdjęła z włosów apaszkę, która je podtrzymywała. Kaskada rudych loków opadła na ramiona, osłaniając jej nagą szyję. Pogoda nie zachęcała do wieczornych spacerów, ale Vivian niechętnie z nich rezygnowała. Były to jedyne chwile w ciągu dnia, kiedy mogła być sama - jeżeli nie liczyć Pookiego za towarzysza. Pociągnął za smycz i Vivian pomaszerowała ulicą pozbawioną chodnika. Wychowała się pod Fayetteville, w stanie Arkansas, gdzie chodniki nie istniały, ponieważ miasto nie mogło sobie na nie pozwolić. Teraz ona i jej mąż dopłacają, żeby mieszkać w dzielnicy, gdzie ich nie ma. Dziwne!

Pookie przystanął przy bramie Joyce'ow. Och, nie! Wystarczyło, że podniósł nogę w pobliżu ich posiadłości, a wpadali w bojowy szal. Vivian próbowała dyskretnie odciągnąć psa w przeciwnym kierunku. Ale okna Joyce'ow były ciemne. Może wybrali się w podróż. Od czasu, gdy pan Joyce przeszedł na emeryturę, stale gdzieś jeździli. Byli sympatyczni, ale nie grzeszyli nadmiarem serdeczności. Nie to, co sąsiedzi na Południu.

Mimo to kochała ich, kochała całą ulicę i każdy dom z osobna. Wybrali z Frankiem to miejsce na swój dom, tutaj przywieźli ze szpitala swoje dzieci. Tutaj Frank nauczył Jenę jeździć na rowerku, a Frankie junior przymarzył językiem do latarni ulicznej, której podstawę obwąchiwał teraz Pookie. Ulicę zamieszkiwali przyjaciele. No, jeśli nie przyjaciele, to w każdym razie dobrzy znajomi. Była domem rodziny Russo, miejscem, gdzie ich dzieci, psy i koty biegały, bawiły się i staczały potyczki.

Vivian nie wiedziała co to dom rodzinny. Wychowała się w dwunastu różnych miastach, wraz z rodzicami i dwoma braćmi przeprowadzała się z jednej marnej dzielnicy do drugiej. Matka pracowała jako kelnerka. Wracała wieczorem z pojemnikami jedzenia na wynos i sześciopakami piwa. Ojciec nieustannie realizował taki czy inny genialny plan wzbogacenia się, polegający na sprzedaży lub kupnie samochodów i ich części. Każde kolejne podwórko zaśmiewały przerdzewiałe gaźniki, chłodnice i tłumiki. Bracia uczestniczyli w niewydarzonych interesach ojca aż do tragicznej śmierci Bobby'ego i zniknięcia Joe, który uciekł prawdopodobnie do marynarki handlowej, chociaż tego nikt nie wiedział na pewno. Vivian dobrnęła z trudem do matury, spakowała walizkę i wyruszyła na północ. W Nowym Jorku nauczyła się mówić jak Janeska, katalogować i kopiować dokumenty, a także nawiązywać znajomości w barach. Wynajęła do spółki z koleżanką tanie mieszkanie w Bronksie. Potem poznała Franka.

Gdyby miała przeżyć życie od początku, jeszcze raz przebrnąć przez trudne, smutne dzieciństwo i młodość, zrobiłaby to dokładnie w taki sam sposób,

o ile miałyby pewność, że zwinie wraz z Frankiem Russo, dwojgiem dzieci i psem do tego czystutkiego podmiejskiego portu, gdzie nie istniała przestępczość, plugastwo i bieda. Była za to zdrowa żywność na stole i czysta pościel na łóżku, a ubrania leżały w schludnych stosikach na półkach garderoby. Podwórko pełne było kwiatów, a w garażu stały dwa ładne auta, które się nigdy nie psuły. Spacerując z psem, Vivian czuła wdzięczność do losu, że nic nie zagraża jej małżeństwu i przyjaźni. Wiedziała, że zaledwie pięć domów dalej Jada boryka się z kryzysem małżeńskim. Jej bezrobotny mąż zbijał baki, podczas gdy ona urabiała sobie ręce w banku. Vivian uważała, że ma szczęście. Była całkowicie zadowolona ze swego życia, tak ustabilizowanego w czasach braku stabilizacji. Dwóch rzeczy była pewna: że jej przyjaźń z Jadą przetrwa każdą burzę i że jej własne małżeństwo stoi na pewnym gruncie.

Od czterech lat codziennie rano obie panie przemierzały dzielnicę, maszerując krętymi uliczkami pozbawionymi chodników, trasą zwaną przez miejscowych okręgiem. Był to rytuał ich poranka, czterdzieści minut szybkiego spaceru, choćby się waliło i paliło. Vivian wierzyła, że taka forma rozpoczęcia dnia (i tracenia zbędnych kilogramów) odpowiada również Jadzie. Poświęcały tę godzinę tylko sobie, czerpiąc siły na nadchodzący dzień.

Rozmawiały o dzieciach, o banku, o szkole. Kiedy umarła matka Viv, rozmawiały o jej matce. A także o przepisach kulinarnych. O ciuchach. O wszystkich babskich sprawach. Od czasu, gdy wyłonił się problem Clintona, rozmawiały o mężu Jady. Vivian nie miała przyjaciółki od czasów przedszkola. Była zbyt biedna, zbyt wsiowa, by kolegować się z dziewczętami z Fayetteville. A po wyjściu za mąż była tak zajęta Frankiem i dziećmi, że straciła kontakt z paczką z Bronksu.

Przyspieszyła, kierując się w stronę domu Jacksonów. Dobrze jej się układało z Jada, chociaż nie we wszystkim się zgadzały. Niby nic poważnego, drobnostki, które pojawiały się nagle, stwarzając barierę z pozoru nie do przebycia. Vivian irytowało, że Jada jednocześnie oskarżała i usprawiedliwiała męża; to było takie dziwaczne. No i te potrawy, które Jada podawała na stół - bezwartościowy, typowo amerykański chłam. Vivian dbała, by zdrowo żywić rodzinę. Jadały co innego, oglądały różne programy w telewizji, różnie reagowały na te same filmy i książki. Viv nie rozumiała, jak można mieszkać w niewykończonym, nieumeblowanym domu. Jada szydziła z jej manii sprzątania i czasem nazywała przyjaciółkę Kopciuchem, ponieważ zapracowywała się dla swojej rodziny.

Vivian spojrzała na dom Jacksonów, ale dostrzegła tylko sylwetkę Clintona, krzątającego się po kuchni. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się rześkim powietrzem i zawróciła w stronę własnego domu. Stała na skraju trawnika, spoglądając z dumą na białe mury. Mogła śmiało powiedzieć, że utrzymuje swój dom, swoje ciało, swoje dzieci, swoje życie w nienagannym stanie. Spojrzała na Pookiego, który węszył pośród zeschniętych liści. Pies był rasowym cocker-spanielem, w przeciwieństwie do mieszańców z czasów dzieciństwa, które ginęły masowo pod kołami samochodów. Vivian kąpała Pookiego dwa razy w tygodniu.

- W porządku, Pookie? - zapytała. Pies podniósł i przekrzywił jedwabisty łeb.

- Wracamy - powiedziała i pies skręcił w stronę oświetlonych drzwi frontowych.

Jenna właśnie skończyła się kąpać i Vivian poszła posprzątać po niej łazienkę.

- Hej! A to co? - zawołała na widok pełnej wanny.

- Daj spokój, mamó! - powiedziała Jenna. - Nie utopię się. Jest za zimno, żeby moczyć się w kałuży.

- Znasz zasadę. Nie wolno nopuszczać wody powyżej taśmy. - Wskazała czerwony pasek, który nakleiła wewnątrz wanny wraz z przeciwpoślizgowymi wkładkami na dnie. Utrudniały czyszczenie, ale zapobiegały wypadkom.

- Maaamo! - Jenna rozciągnęła sylabę, jakby chciała odśpiewać arię.

- Większość wypadków zdarza się w domu - zacytowała swoje ulubione powiedzonko Vivian. Zaprowadziła jedenastoletnią córkę do jej sypialni, pokoju, za który Vivian dałaby się zabić, będąc w wieku Jenny.

- Masz dziesięć minut na telewizję, o ile nie będzie to MTV.

- A nie mogę powiedzieć tatusiowi dobranoc? - nadała się Jenna.

- Nie, rybko. Tatuś pracuje - powiedziała Vivian i ujrzała, jak różowa twarzyczka Jenny chmurzy się rozczarowaniem. Doskonale rozumiała uczucia córki. Wszystkie kobiety Russo - Jenna, Vivian i Camille - uwielbiały swojego Franka.

- Jutro jest piątek - przypomniała córce. - Tatuś zabiera nas na kolację. A potem jest już weekend. - Frank nigdy nie pracował w weekendy. Był naprawdę czułym, uważnym ojcem i dzieci go uwielbiały.

- Tatuś ostatnio bardzo ciężko pracuje. Co powiesz na to, żebyśmy jutro upiekły dla niego ciasto?

- Dobrze! - W jednej chwili Jenna zmieniła się z nadęsanej nastolatki w zachwycone dziecko. - Będę mogła sama posypać je cukrem pudrem? I wylizać miskę?

Vivian wiedziała, że obietnica łakoci potrafi w jednej chwili zmienić nastawienie do życia, ale musiała postępować według ustalonych reguł.

- Będziesz mogła obsypać je pudrem, ale miską musisz podzielić się z Frankiem - powiedziała również po raz setny. Spojrzała na zegarek. - Zostało ci pięć minut. Potem gaszę światło.

Jenna uśmiechnęła się, wśliznęła pod kołdrę i westchnęła z rozkoszą. Vivian wiedziała, że za trzy minuty córka będzie już spała. Zanotowała w pamięci, żeby wrócić do niej po sprzątnięciu łazienki i wyłączyć telewizor.

Wytarła podłogę, podniosła i rozwiesiła trzy mokre ręczniki (dwoje dzieci, trzy ręczniki?) Wyczyściła wannę i spryskała lustro specjalnym płynem. Frankie pamiętał, żeby wrzucić ubranie do kosza na brudy (bardzo dobrze!), ale wraz z odzieżą wrzucił jeden ze swoich kapci (źle! Rano wybuchłoby z tego powodu zamieszanie). Vivian wypucowała łazienkę, po czym zajrzała do Frankiego, który już zdążył zrzucić z siebie kołdrę. Ustawiła kapcie przy łóżku, nakryła syna i ucałowała wysokie czoło - tak podobne do czoła jego ojca. Potem wyłączyła telewizor w pokoju Jenny. Dziewczynka wymamrotała coś na znak protestu, ale pragnienie snu było silniejsze. Trzymała w objęciach Pinkie'ego, pluszowego królika z czasów wczesnego dzieciństwa, co było nieodłączną częścią rytuału zasypiania. Po chwili odwróciła się twarzą do ściany.

W sypialni Vivian wyjęła z szuflady swoją najlepszą jedwabną koszulę nocną, a z toaletki flakonik perfum „Joy”. Poszła do łazienki, którą dzieliła z Frankiem. Rozkręciła krany nad wanną i powiesiła połyskliwą koszulę na drzwiach kabiny prysznicowej, żeby fałdy się rozprostowały. Potem spojrzała w lustro.

Była wysoka; twierdziła, że ma metr osiemdziesiąt, chociaż w rzeczywistości mierzyła sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Była wzrostu Franka, ale on lubił wysokie kobiety, nawet bardzo wysokie, więc tylko podczas treningów z Jadą nie nosiła obcasów. Wysoki wzrost jej służył - przydawał atrakcyjności. Musiała przyznać, że jest przystojna. Pod tym względem miała dużo szczęścia - w spadku po irlandzkich przodkach otrzymała długi nos i stanowczy zarys szczęki, uniknąwszy wąskich warg. Jeżeli chodzi o ścisłość, były tak pełne, że w szkole koleżanki przezywały ją Rybimi Ustami albo Pstrągiem. Za to chłopców przyciągały jak magnes.

Potrząsnęła głową i jej rude włosy zaśniły. Mogła mieć zastrzeżenia tylko do skóry twarzy, tak delikatnej, że sprawiała wrażenie niemal przejrzystej i bardzo podatnej na zmarszczki. Wklepywała więc kremy i rozmaite mazi-dła, wiedziała jednak, że za dziesięć lat jej twarz pokryje się drobnymi zmarszczkami. Co tam! Na razie wyglądała świetnie. Patrząc w lustro, widziała siebie sprzed dziesięciu lat, zmiany były niedostrzegalne. Może włosy trochę zmatowiały i trzeba było sztucznie dodawać im blasku, ale o tym wiedziała tylko ona. Okay, przybyło jej w talii, ale nie więcej niż trzy, cztery centymetry. Jej złoto-brązowe oczy przesuwają się po postaci w lustrze. Piersi - cóż, powiększyły się po dwóch ciążach, ale to akurat było zmianą na plus (poza wszystkim, zmniejszyła optycznie obwód talii). Ściągnęła sweter i dokonała oględzin całości. Nieźle. Za godzinę Frank będzie w domu. Uśmiechnęła się na tę myśl i uniosła ramiona, by upiąć włosy. Ale tylko na czas kąpieli. Frank lubił, gdy nosiła je rozpuszczone, a ona dbała, by Frank dostawał, czego pragnął. O ile pragnął jej.

### **Rozdział 3**

Pięć miesięcy. Nie wiem. Aha, aha... Sam mi powiedział. Kamberleigh płakała w budce telefonicznej w holu Klubu Jachtowego Marblehead, mocząc słuchawkę łzami i śliną. Jakiś mężczyzna wychodzący z łazienki rzucił jej spojrzenie, po czym odwrócił wzrok, jak od ofiary wypadku. Bo to była katastrofa, a ona czuła się jak rozbitek. Popatrzyła na puzderko od Shreve'a, które nadal ścisnęła w dłoni. Wątpiła, czy kiedykolwiek uda się jej rozprostować palce.

- Powiedział ci? Ten parszywy sukinyński drań powiedział ci, że spał z inną kobietą? W dodatku w rocznicę ślubu?

Kam nie mogła wydobyć głosu. Skinęła głową, zapominając, że ojciec nie może jej widzieć, oddalony o czterysta mil, w okręgu Westchester. Ale usłyszał jej szloch.

- Brutal! Gdzie teraz jesteś? - rzucił ostro.

- W budce telefonicznej. W klubie.

Tym razem przez westybul przeszła kobieta, zerknęła na Kam, a potem zatrzymała się, utkwivszy w niej karcący wzrok. Mówił: „Tutaj nie należy się tak zachowywać”. Była w wieku matki Reida. Prawdopodobnie знаła jego rodziców. Pieprzyć ją! Kamberleigh otarła dłonią najpierw oczy, potem nos. Kobieta potrząsnęła głową z niesmakiem. Kam popatrzyła na swoje ręce. Przedstawiały żalostny widok, umazane tuszem do rzęs i smarkami, ale można było nimi jeszcze wiele zdziałać. Pokazała babsztylowi uniesiony środkowy palec.

- Kammie, dziecko, nie mówiłem ci, że nie należy ufać mężczyźnie, który ma za nazwiskiem rzymską numerację? - zapytał ojciec. Boże! Czyba nie palnie jej mówki wychowawczej? Kam próbowała dodzwonić się najpierw do matki, potem do najlepszej przyjaciółki Lisy, ale w obu przypadkach włączały się tylko automatyczne sekretarki.

- Tatusiu, proszę! Nie pouczaj mnie. Nie ty. - Wierzchem dłoni otarła oczy. - Nie mogę w to uwierzyć. Chcę go zabić. Co mam zrobić?

- W porządku, malutka. W porządku - powiedział ojciec, celowo używając tonu, któremu ufała, któremu była zawsze posłuszna. Był to głos, który uspokajał ludzi będących w stanie paniki. Ten sam głos, który powiedział, żeby się nie martwiła, że zda egzaminy i który obiecał, że załatwi jej przyjęcie do szkoły prawniczej. Jej tatuś, mimo wszystkich swych wad, naprawdę ją kochał.

- Posłuchaj mnie. Powiem ci, co zrobisz. Odwieszysz słuchawkę, wyjdiesz z tego burdelu i złapiesz taksówkę. Ostatni samolot Deltę do Nowego Jorku odlatuje z Logan za czterdzieści pięć minut. Zdasz bez problemu. Będę czekał na ciebie na lotnisku. Nie wyślę kierowcy. Przyjadę sam.

- Nie wiem, czy zdążę na samolot. Kiedy powiem Reidowi...

- Nic pojebańcowi nie musisz mówić! Nie waż się wracać do stolika!

- Mam po prostu... odejść? Ale... Nie mam nawet przy sobie torebki. - Czowała się naga, bezbronna. Ale myśl, że miałyby przejść przez salę, spojrzeć na Reida... W takim odejściu bez słowa była... godność. - Nie mam pieniędzy, prawa jazdy... - zapłakała.

- Bilet będzie na ciebie czekał na stanowisku Deltę - powiedział ojciec. - Poproszą o podanie nazwiska panińskiego matki i numeru ubezpieczenia społecznego.

Pamiętasz go?

- Ale prawo jazdy... Ja... Ja nic nie mam. - Nie było to zgodne z prawdą. Nadal ścisłała w dłoni puzderko od Shreve'a.

- Powiem im, że Tia Maria umiera, więc jesteś w rozpacz. Tia Maria? Jej zwariowana kubańska praciotka, która mieszkała w Miami i i bez końca odmawiała różańce?

- Ale Tia Maria umarła... - Kam urwała. - A, rozumiem. - Znowu zaczęła płakać. - Dziękuję, tatusiu. Boże, tak mi wstyd!

- Wstyd ci? Czego, na miłość boską? - warknął ojciec.

- Że byłam taka cholernie głupia - powiedziała Kam. - Ty mu nigdy nie ufałeś.

- Co prawda, to prawda - przyznał. - Nie myśl o tym teraz. Po prostu odejdz od popaprańca. Niech tam siedzi i zastanawia się, czy nie utopiłaś się w sedesie. - Estevan Lopez czekał, żeby się roześmiała, ale w słuchawce panowała cisza. Kamberleigh nie była w żartobliwym nastroju.

- W porządku - powiedział ojciec. - Obiecujesz, że się rozłączysz i pójdziesz prosto do drzwi tego gównianego przybytku?

- Tak - powiedziała Kam. Odwiesiła słuchawkę i odwróciła się plecami do telefonu. Wzięła głęboki oddech i obciągnęła mankiety sukienki, jakby ten gest mógł przywrócić jej energię. Powinna pójść do toalety, doprowadzić się do porządku, ale prawdę mówiąc było jej wszystko jedno, jak wygląda. Idąc w stronę drzwi, miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, że wiedzą, co się stało. Nie mogła uwierzyć, że opuszcza męża, że nigdy go już nie zobaczy. Nie była to prawda. Mignął jej jeszcze, kiedy mijala drzwi sali restauracyjnej. Siedział rozparty swobodnie na krześle, spoglądając na wodę. Nic nie mogło wytrącić go z równowagi.

W przypiływie gniewu pchnęła klubowe drzwi. Chłodne morskie powietrze uderzyło ją w twarz. Podeszła do pierwszego auta w rzędzie taksówek, czekających na klubowych bywalców, którzy nie będą w stanie wrócić samodzielnie do domu.

- Lotnisko Logan. Terminal Delt - powiedziała i ponownie wybuchnęła płaczem. Dopiero kiedy utknęli w nieuniknionym korku w tunelu Callahan uświadomiła sobie, że nie ma czym zapłacić za kurs i że może nie zdążyć na samolot.

- Bardzo mi się spieszy - ponagliła kierowcę, który zerkał na nią ciekawie we wsteczne lusterko.

- Mówiła pani Delta czy USAair? - zapytał z obcym akcentem. Irlandczyk. Prosto ze statku. Jeździ na taksówce, jak niegdyś jej ojciec, z tym że ojciec zrobił interes na wynajmie limuzyn, wzbogacił się i ożenił z miłą, żydowską dziewczyną. O Kubańczykach mówiono, że są Żydami Karaibów i była w tym stwierdzeniu domieszka zazdrości. Irlandczycy mieli mniej szczęścia.

- Delta - powtórzyła, po czym opowiedziała mu o „cioci Marii”. To tłumaczyło jej stan. Zastanawiała się, co zrobi ten mężczyzna, kiedy powie mu, że nie ma czym zapłacić. Wezwie policję?

Wtedy będzie musiała zadzwonić do ojca. Pomyślała o Estevanie, czekającym na nią u kresu podróży. Była mu wdzięczna za pomoc, ale jednocześnie nie mogła pozbyć się myśli, że uczynił jej matce to samo, co Reid uczynił jej. Różnica polegała na tym, że zrobił to po dwudziestu pięciu latach



małżeństwa i przyznał się do zdrady dopiero, gdy Natalie przyłapała go na gorącym uczynku. Nadal twierdził, że taka drobnostka nie powinna rozbić jego małżeństwa.

- O, przepraszam. Ominąłem zjazd. Muszę zawrócić - powiedział kierowca.

Wspaniale! Teraz spóźni się na samolot i będzie musiała spać na lotnisku. Spać!

Myśl o śnie wydawała się absurdalna. Nie była nawet pewna, jak długo jeszcze zdoła oddychać. Miała wrażenie, że w jej piersi tkwią okruchy szkła czy może metalu. Przy każdym głębszym oddechu, przy każdym szlochu okruchy wbijały się w ciało. Jak to się mogło stać? Przecież była taka ostrożna!

Przez wszystkie lata college'u i szkoły prawniczej unikała poważnych związków z mężczyznami. Posłuchała rady matki, wyciągnęła wnioski z małżeńskich doświadczeń - bez wyjątku złych - przyjaciółek pani Lopez. Jak ognia unikała alkoholików, typów neurotycznych i wrogów małżeństwa. Wybrała mężczyznę, który uganiał się za nią, nie tego, za którym uganiała się sama. Pochodził z rodziny, w której nie tolerowano rozwagi. Ojciec, chłodny i beznamiętny, nie sprawiał wrażenia kobieciarza. Bała się, że Reid się z nią nie ożeni, ponieważ jej rodzina stoi niżej w hierarchii społecznej, nie przyszło jej nawet do głowy, że zdradzi ją w pierwszym roku małżeństwa. Jak to się mogło stać?

Taksówka zajeżdżała przed terminal Deltę. Kam spojrzała na swoje dłonie. W jednej tkwił zmięty plik kartek wyrwanych z książki telefonicznej, zwilgotniały od łez; w drugiej puzderko z szafirowym pierścieniem.

Kierowca zahamował przed wejściem. Potem, z galanterią niespotykaną wśród taksówkarzy Północnego Wybrzeża, wysiadł i otworzył drzwi dla pasażerki.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedział. - Bardzo kochałem swoją ciotkę Mary, niech spoczywa w pokoju. - Popatrzył na nią i Kam zdała sobie sprawę, że włosy ma niemiłosiernie potargane, twarz spuchniętą i umazaną tuszem do rzęs. - To będzie czterdzieści jeden dolarów - dodał, niemal z ociąganiem.

Kamberleigh wzruszyła ramionami. W gruncie rzeczy nie miała wyboru. Otworzyła puzderko z napisem „Shreve, Crump and Lowe” i wyjęła pierścionek.

- Proszę! - powiedziała, wręczając go taksówkarzowi. - Zapomniałam torebki. Ale może pan wziąć pierścionek. Jest wart dużo pieniędzy. Wiem, że ciotka Maria by sobie tego życzyła - dodała uspokajająco, widząc konsternację kierowcy.

Ściskając puste pudełko, weszła do budynku pod elektronicznym okiem kamery i skierowała się do stanowiska Deltę, pozostawiając za sobą zrujnowane życie.

## Rozdział 4

Jada zerknęła nerwowo na zegarek. Tarcza ginęła w mroku, sprawdziła więc godzinę na desce rozdzielczej. Cholera! Wpół do siódmej. Dzieciaki zjadły już pewnie obiad i - miejmy nadzieję! - zasiadły do odrabiania lekcji. Kątem oka dostrzegła, że kończy się paliwo. Pięknie! Nie dość, że była spóźniona, straci jeszcze kilka minut na zatankowanie. Dlaczego Clinton, który korzystał wczoraj z samochodu, był bezrobotny i wolny jak ptak, nie pofatygował się na stację? Wezbrała w niej złość. Wiedziała dlaczego. Jej wygoda była teraz najmniejszą troską Clintona.

Zajechała na stację Shella z pełną obsługą, wyłączyła silnik i czekała, aż zostanie obsłużona w pełni, czy choćby częściowo. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że jej czas jest cenniejszy niż pieniądze, ale jaki sens płacić więcej za obsługę, na którą trzeba czekać? Nacisnęła klakson i ze szklanego pawilonu wyszedł niespiesznie starszy mężczyzna.

- Do pełna! - Żeby przyspieszyć sprawę wręczyła mu od razu kartę Shella, po czym podciągnęła szybę, odcinając się od październikowego chłodu. Karta wymknęła się z palców starowiny i potoczyła po poplamionym olejem makadamie. Jada westchnęła i przekręciła gałkę ogrzewania, chociaż przy wyłączonym silniku nie na wiele się to zdało.

Wstrząsnęła się zimna, zerkając z niechęcią we wsteczne lusterko. W mroku jej białka lśniły, usta były spierzchnięte i popękane, a pod oczami ukazały się już liszajowate placki suchej skóry, zapowiedź nadchodzącej zimy. Jada westchnęła. Nadal była uderzająco piękną trzydziestolatką, ale spojrzawszy ponownie w lusterko, nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, jak długo jej uroda przetrwa w takim klimacie.

Dziadek podniósł kartę i zaczął powolutku odkręcać wlew baku. Po chwili zaniechał tej czynności, pochylił się, żeby obejrzeć korek. Jezu Chryste! Kiedy człowiek się spieszy, wszystko sprzysięga się przeciwko niemu.

Otworzyła drzwi, wysiadła i przeszła na tył wozu. Jednym ruchem odkręciła korek wlewu, wyjęła dyszę z rąk starego człowieka i wsunęła w otwór baku.

Nie był jej wdzięczny za pomoc. Dopłacała trzy centy do galona za obsługę i musiała robić wszystko sama. Historia jej życia. Była na granicy łez.

Czasem wątpiła w swoje szczęście. Teraz, drżąc w podmuchach lodowatego wiatru, zastanawiała się, czy Bóg naprawdę kocha człowieka, czy też stworzył małżeństwo tylko po to, by sprawdzić, do jakiego stopnia ludzie mogą się nawzajem zirytować. Jeżeli jej teoria była prawdziwa, musieli z Clintonem przejść wszelkie oczekiwania Najwyższego. Prawie ze sobą nie rozmawiali, a teraz uświadomiła sobie z bólem, że oznacza to poprawę ich

stosunków. Rzecz prosta, dzisiaj będą musieli rozmawiać, omówić pewne kwestie, które wyniknęły ostatnio.

Stary człowiek wrócił z kartą. Drząc opuściła szybę, żeby wziąć tackę z rachunkiem. Wyrwała mu ją niemal z ubrudzonej smarem ręki, nabazgrała swoje nazwisko - Jada R. Jackson - i oddała ostentacyjnym ruchem.

Ale zamiast usunąć się z drogi, mężczyzna pochylił się ku oknu.

- Ładny samochód - powiedział tonem pogawędki. Nie zamierzała z nim rozmawiać! Litości, było prawie za piętnaście siódma! Ale mężczyzna nie ustępował.

- Ładny samochód i ładna kobietka - ciągnął. Chciała powiedzieć „dziękuję” i podciągnąć szybę, kiedy usłyszała w jego głosie zniechęconą, niemal zapomnianą nutę: - Cholerna szkoda, że czekoladka.

Błyskawicznie zaciągnęła szybę, odgradzając się od mężczyzny. Mogła przewidzieć, wiedziała, jakie słowo padnie zaraz z jego ust, poprzedzone splunięciem na boczne drzwi auta.

Stary pryk! Jada wyprysnęła ze stacji na Post Road, nie patrząc nawet na lewy pas. Zajechała drogę cysternie i umknęła, ścigana ogłuszającym wyciem klaksonu. Łzy gniewu napłynęły jej do oczu i o mały włos przegapiłaby swój zjazd w Weston.

Jadąc tą ciemną i stosunkowo spokojną ulicą, starała się odzyskać spokój. Trzeba przyznać, że incydent z obrzydliwym staruchem na stacji był po części jej winą.

Wiedziała przecież, że nieustanna czujność, uprzejmość oraz wysokie podatki od nieruchomości są ceną, jaką płacą za przywilej mieszkania w okręgu Westchester.

Czarnym żyło się teraz na białych przedmieściach dużo łatwiej niż kiedyś, ale nadal nie było to życie usłane różami. Zwłaszcza przy tak okrojonych dochodach.

Właściwie z trudem wiązali koniec z końcem. Zapewnili dzieciom życie z amerykańskiego marzenia, ale kosztowało ich to więcej, niż się spodziewała.

Nieustannie borykali się z trudnościami finansowymi. Zostali odcięci od swojego kościoła w Yonkers. W sąsiedztwie nie było czarnych rodzin, w szkole murzyńskie dzieci należały do rzadkości. Przyjaciele Shavonny byli biali wszyscy bez wyjątku, a Kevon nie rozstawał się z Frankiem Russo. Nawet ona zaprzyjaźniła się z sąsiadką Vivian i chociaż kochała Viv, czasem czuła się samotna. Najbardziej wyalienowany był jednak Clinton.

Jada zaczynała się już zastanawiać, czy cena, jaką płacą za przywilej mieszkania w białym Westchester, nie jest za wysoka. Kiedy Clinton zaczynał jako stolarz w Yonkers mieszkali w dwupokojowym mieszkanku. Potem dostał pracę, która wszystko zmieniła. Bogaty dyrektor w Armonk zauważył Clintona podczas realizacji projektu w White Plains i powierzył mu przebudowę trzystanowiskowego garażu w pawilon gościnny. Przy tej pracy Clinton posiadał wszystkie tajniki zawodu przedsiębiorcy budowlanego. Nie zarobił ani grosza, ale użył tego zlecenia jako odskoczni do następnych. Boom

budowlany w połączeniu z syndromem winy białego liberała wobec Murzyna zapewniały pracę Clintonowi przynajmniej tak często, jak wchodziły mu w paradę. Niestety, miał bzika na punkcie sprzętu. Całe zyski wpakował w koparkę, ładowarkę jednonaczyniową i buldożer. Zamówił T-shirty z nadrukiem „Firma budowlana Jacksona - buduje, czasu nie marnuje”. Już dawno nie budował, marnował za to czas, drzemiąc jak dzień długi na kanapie.

Z początku wszystko, czego się tknął, przynosiło pieniądze. Oboje byli przekonani, że ciężką pracą dorobią się majątku. Teraz Jada potrząsnęła głową w ciemności. Clinton się zmienił, zrobił się zarozumiały, żeby nie powiedzieć arogancki. Uważał się za lepszego od innych czarnych mężczyzn w ich kościele. „To najemni - mawiał. - Ja jestem pracodawcą”. Nie posunął się do tego, by zostać republikaninem, ale kupił zestaw do gry w golfa. A ona ślepo w niego wierzyła.

Zabawne, kiedy widziała Clintona na budowie, kierującego ludźmi, miękły jej kolana. Wydawał się taki silny, władczy i kompetentny.

Ślepa wiara, nic innego! Nie wiedzieli, że płyną na fali chwilowej prosperity. Kiedy fala opadła i źródło dochodu wyschło, firmę Clintona zmiotło z powierzchni ziemi, podobnie jak firmy i posady wielu białych przedsiębiorców. Nie był w stanie spłacać rat za sprzęt, wypłacać pensji pracownikom i musiał zwolnić ludzi. Jeszcze przez cztery lata starał się utrzymać w branży, robiąc kosztorysy domów, które nigdy nie wyszły z fundamentów i plany modernizacji, które nigdy nie zostały przeprowadzone.

W końcu wyczerpała się jego duma, jej wiara i wspólne pieniądze, a spłata hipoteki pozostała. Jada błagała Clintona, by poszukał zajęcia, a kiedy jej prośby nie odniosły skutku, przyjęła pierwszą posadę, jaka się nadarzyła. Była to praca kasjerki z najniższym uposażeniem, a i tak musiała się uciec do pomocy przyjaciółki Vivian, żeby ją zdobyć. W Westchester pełno było żon próbujących dorobić do pensji mężów. Jej wynagrodzenie starczało za ledwie na jedzenie, ale przynajmniej przestali płacić kartą kredytową w sklepie spożywczym.

Jednak Clinton nie był zadowolony. Przeciwnie, fakt, że ona pracuje, jeszcze pogłębił jego depresję. Objął się po domu, spał, jadł i narzekał. Powiedział, że nie lubi, kiedy Jada jest poza domem, że praca jest niskopłatna, poniżej jej kwalifikacji i przynosi jej ujmę. Przyznała mu rację, ale zdawała sobie sprawę, że są praktycznie bez wyjścia.

Clinton nie potrafił się z tym pogodzić. Żył we własnym świecie, zgorzkniały i obrażony, czekając „na zmianę klimatu”. Przytył co najmniej dwadzieścia kilogramów, krzyczał na dzieci i obwinał ją o wszystkie swoje niepowodzenia.

W domu życie stało się niemożliwe, za to w banku szło jej jak po maśle. Praca była ucieczką. W porównaniu z wyzwaniem życia domowego to, czego

żądano od niej w banku, wydało się Jadzie śmiesznie proste. Ku własnemu zdumieniu niemal natychmiast awansowała na głównego kasjera - teraz miała pod sobą trzy czarne kobiety i jedną białą! Nigdy nie komenderowała ludźmi, jeżeli nie liczyć własnych dzieci, ale okazało się, że ma zdolności organizacyjne. Zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy otrzymała awans na doradcę kredytowego, a następnie na szefa całego oddziału pożyczek. Pan Feeney lubił ją, dobrze im się razem pracowało i Jada pełniła funkcję zastępcy kierownika oddziału aż do odejścia szefa na emeryturę. Kiedy otrzymała jego stanowisko, nie dziwiła się już niczemu, z wyjątkiem własnej niechęci, by zakomunikować dobrą nowinę Clintonowi. Teraz była kierownikiem oddziału i miała pod sobą dwa tuziny pracowników, między innymi Vivian. Na szczęście nie odbiło się to na ich przyjaźni. Zresztą Vivian nie zamieniłaby się z Jada. Nie chciała pracować dłużej niż do trzeciej, Jada nie miała wyboru. Bank płacił jej połowę pensji pana Feeneya, ale domagał się takich samych rezultatów. Dwa miesiące temu zarząd przysłał doradców do spraw zarządzania, którzy mieli opracować sposoby „redukcji zatrudnienia przez usprawnienie organizacji pracy”. Oznaczało to, że szukają pretekstu, by zwolnić jeszcze kilka osób, chociaż oddział Jady miał większe obroty niż jakikolwiek inny oddział.

Rzecz prosta, wywołało to ogólne poruszenie. Wszyscy, może z wyjątkiem Vivian, polegali na comiesięcznym dopływie gotówki. Jadę zdumiewała czasem niekompetencja mężczyzn. Głosili zasadę, że odpowiednio zmotywowany „personel” (nigdy ludzie) pracuje lepiej, lecz robili wszystko, by podkopać jego morale. Koniec końców obyło się bez zwolnień i oddział otrzymał to, co w telewizji nazywają zielonym światłem, ale Jada została z grupą przestraszonych, zniechęconych ludzi. Żeby temu jakoś zaradzić, wprowadziła cotygodniowe zebrania, na których pracownicy zgłaszali propozycje racjonalizacji metod pracy. Problem polegał na tym, że tych sposobów było naprawdę niewiele, a zebranie traktowano jako okazję do wykazania się. Mężczyźni przedstawiali stare pomysły jako własne, kobiety zaś nie spoczęły, póki nie zagadały każdej najdrobniejszej sprawy na śmierć.

Dzisiejsze spotkanie również było głupią stratą czasu. Swoją drogą ciekawe, że jeden człowiek potrafi podjąć decyzję w dziesięć minut, grupa dziesięciu osób zaś debatuje dwie godziny i nie dochodzi do żadnych wniosków.

Jada westchnęła, skręcając na podjazd domu. W ostatniej chwili dostrzegła rower Kevona leżący tuż przy drzwiach garażu. Przyhamowała ostro. Niech to wszyscy diabli! Wypadła z wozu, chwyciła rower i oparła go o ścianę garażu, otworzyła drzwi (dlaczego Clinton nie naprawił automatu? Z tego faceta nie było żadnego pożytku!) wstawiła najpierw rower, potem volvo i ruszyła przez trawnik w stronę drzwi frontowych. Wtem, znikąd pojawił się wielki samochód i Jada zatrzymała się, by popatrzeć. Była to limuzyna,

nieczęsty widok w tych stronach. Przejechała zbyt blisko. W świetle latarni mignęła śmiertelnie blada, udręczona twarz kobiety. Skąd ja to znam, pomyślała Jada. Sama była tak zmęczona, że z trudem weszła na stopnie werandy i otworzyła drzwi. Clinton leżał na kanapie w dużym pokoju. Rzucił jej spojrzenie mówiące: cały dom na mojej głowie. Tak naprawdę, raz włożył wilgotny ręcznik do kosza na brudy. Teraz rozmawiał przez telefon, podczas gdy Shavonna jadła herbatniki i gapiła się w telewizor. I jedno, i drugie wolno jej było robić dopiero po odrobieniu lekcji i przeczytaniu rozdziału książki. Kevona, co Jada uświadomiła sobie ze zgrozą, w ogóle nie było w domu. Najmłodsze dziecko chyba spało, o ile i jego Clinton nie zostawił na podjeździe.

- Gdzie jest twój brat? - zapytała Shavonnę.

- Nie wiem - mruknęła córka, nie odrywając oczu od ekranu. - Kiedy będzie obiad?

- Jeszcze nie jedliście?! - Jada rzuciła mordercze spojrzenie Clintonowi, po czym poszła do kuchni. Z lodówki wyjęła mleko, z szafki pudełko makaronu z serem Krafta, ostatnią puszkę tuńczyka i postanowiła dodać resztkę zielonej fasolki (ta resztką stanowiła cały talerz - po co w ogóle gotuje warzywa?) z poprzedniego dnia. W dwadzieścia minut stół był nakryty, telewizor wyłączony, Shavonna umyta, Kevon odwołany od Frankiego, a każdy miał przed sobą talerz z jedzeniem. Chaos został opanowany i nawet Clinton przejawiał pewną wdzięczność. Będzie musiała z nim porozmawiać. Od miesiąca nowy kryzys wisiał nad jej głową, postara się rozwiązać go dzisiaj, stawić czoło Clintonowi. To ona była jego ofiarą. Wiedziała, że mimo wyczerpania będzie teraz musiała zapakować Shavonnę i Kevona do łóżek, wykapać i nakarmić najmłodsze dziecko, i jakby tego było mało - doprowadzić do konfrontacji z mężem, domagając się decyzji, której on nie chciał podjąć, a ona nie chciała usłyszeć.

Zgarnęła niedojedzone resztki do plastikowego pojemnika. Dwukrotnie gotowane strąki fasoli leżały przed nią sflaczałe i pozbawione koloru.

Nie wiedzieć czemu, ten widok napełnił ją niewymownym smutkiem.

## **Rozdział 5**

Kiedy o jedenastej wieczorem Frank Russo wszedł do sypialni, Vivian leżała na łóżku w jedwabnej koszuli nocnej i czytała. Włosy miała rozpuszczone, jędrne piersi wychylały się z koronek dekolту. Podniosła oczy znad książki, żeby napotkać wzrok męża. Spoglądał na nią, siląc się na obojętność. Vivian uśmiechnęła się pod nosem. Czekala.

Wiedziała, że zapach jej perfum, po które sięgała przy wyjątkowych okazjach, a które on dawał jej w prezencie w każde święta Bożego Narodzenia, wkrótce zrobi swoje. Nie odezwała się, zerknęła tylko na jego spodnie, nieco poniżej sprzączki paska. Nie po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że wytresowała męża jak psa Pawłowa. Ciekawe, czy zapach jej perfum będzie wywoływał u Franka erekcję za każdym razem, gdy ona zechce ich użyć? Usiadł przy niej na łóżku, rejestrując szczegóły jej stroju.

- Co zaplanowałaś na wieczór? - zapytał niskim, zmysłowym tonem. - Malowanie garażu?

Vivian otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale szybko je zamknęła. Nie roześmieje się. Potrząsnęła wolno głową, pozwalając, by włosy rozsypały się na nagich ramionach. Spuściła wzrok na książkę.

- Och, nie - odparła, przeciągając sylaby. - Ale wymieniłam olej w leksusie.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział i niedbałym gestem rozpiął pasek. - Może przy okazji podregulowałabyś silnik mojej furgonetki.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na śmiech. Odłożyła książkę. Ujęła dłoń Franka i przyłożyła ją do swoich szerokich, miękkich ust, polizała wnętrze dłoni. Frank nie był w stanie dłużej udawać. Zdarł z siebie koszulę, podkoszulek, ściągnął dżinsy razem ze slipami. Przez cały czas Vivian trzymała przy ustach jego rękę, obiecując mu oczami wszystkie rozkosze świata, ale kiedy już znalazł się w łóżku, naciągnął na siebie kołdrę i odwrócił się do żony plecami.

- Boże, jestem skonany - powiedział.

- Frank! - krzyknęła Vivian. Wtedy już musiał się roześmiać. Odwrócił się ku niej z otwartymi ramionami.

Mimo tylu lat spędzonych razem, miłość z Frankiem była nadal wspaniałym przeżyciem.

Może dlatego, zastanawiała się Viv, że znamy się tak dobrze, a jednak potrafimy się zaskoczyć.

Uprawiali każdy rodzaj miłości, od bardzo łagodnej i czulej po ostry, niemal akrobatyczny seks. Od drobnych, subtelnych gestów, właściwych słów, właściwego tonu głosu, po coś nieokiełznanego, co przypominało zbliżenie z nieznanym. Bezcenna była świadomość, że seks z Frankiem jest zawsze bezpieczny.

Pewnego wieczora przyniósł do domu zawinięte w ozdobny papier pudełko. Nie pozwolił jej zajrzeć do środka, dopóki dzieci nie poszły spać. „Później”, powiedział ze znaczącym uśmiechem, unosząc ciemne brwi. Bała się, że będzie to jakaś zabawka z sex shopu lub kasetka porno, ale w pudełku znajdowała się niebieska sukienka. Popatrzyła na Franka pytająco.

- Teraz ty daj mi krawat - zarządził.

- Dlaczego?

- Będziemy się bawić w Owalny Gabinet - powiedział. - Ja jestem panem prezydentem, ty Moniką.

Śmiała się i śmiała, dopóki nie przekonał jej, żeby została jego stażystką. Dzisiaj jednak nie chciał odgrywać żadnych scenek. Był zwyczajnym, czułym Frankiem. Położył się na niej, wsparty na łokciach, by nie przygniatać jej swoim ciężarem. Unieruchomił dłonie Vivian nad jej głową, w ten sposób, by ich ręce spoczywały w jej włosach.

- Czy ty w ogóle wiesz, jaka jesteś piękna? - zapytał szeptem. Potrząsnęła głową na tyle, na ile pozwalały jej przygwożdżone włosy.

- Powiedz mi.

- Pod warunkiem, że będę wtedy w tobie.

- Ciężki warunek - powiedziała, poruszając lekko biodrami. Nadal przytrzymał dłonie żony, ale już tylko jedną ręką. Drugą podciągnął wolniutko jej koszulę, tak aby materiał popieścił uda. Była już wilgotna, kiedy w nią wszedł.

- Jesteś jak jedwab - szepnął. - Wszędzie. Wszędzie - powtórzył. - Czasem patrzę na ciebie i nie mogę wyjść z podziwu. Jesteś taka piękna. Masz taką delikatną skórę. - Był w niej, ale poruszył biodrami tylko raz, żeby wiedziała, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna jej. Zajrzał jej w oczy.

- Czy to ci wystarczy? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Chcesz jeszcze? Chcesz więcej? Przytaknęła.

- Mały wyuzdaniec z ciebie.

Nie odrywała oczu od jego twarzy.

- Twoje usta - powiedział. - Mężczyzna oddałby życie, żeby ich dotknąć, choćby opuszkami palców.

Vivian zadrżała lekko.

- Chcesz ich dotknąć? - zapytała szeptem.

- Wnętrzem dłoni. - Na moment nakrył ręką jej wargi. - Językiem - dodał i odnalazł koniuszkiem języka kącik jej ust. - Zębami. - Delikatnie zacisnął zęby na jej dolnej wardze. Znał granicę między najwyższą rozkoszą a najmniejszym bólem i doskonale potrafił ją ocenić.

- Masz takie piękne usta - powiedział niemal z jękiem - ale masz coś jeszcze piękniejszego. Nieporównywalnie piękniejszego. - Oswobodził jej ręce, żeby mogła go objąć.

Później, kiedy Vivian leżała w ciemności, w zmiętej koszuli nocnej, wy-kochana i zaspokojona, mogła przez parę chwil przed zaśnięciem rozkoszować się swoim szczęściem. Położyła dłoń na szerokich, ciemnych plecach Franka. Nie był potężnym mężczyzną, ale miał zgrabne, prężne ciało. Spał



już, wyczerpany, ale nie czuła się samotna. Ich związek był trwały, te tysiące razy, kiedy brał ją w posiadanie, te tysiące razy, kiedy mu się oddawała, procentowały nawet wtedy, kiedy nie łączyli się w akcie miłosnym. Leżąc koło śpiącego męża, nie czuła się samotna.

Myślała o tym, że poświęcił się całkowicie jej i dzieciom. Zbudował dla nich ten dom, własnymi rękoma, oddając mu wszystkie swoje siły i umiejętności. Karmił ich i ubierał. Nauczył syna grać w piłkę, córkę tańczyć. Sprawił, że czuli się kochani, bezpieczni.

Ależ mi się w życiu poszczęściło, pomyślała Vivian, zanim pogrążyła się we śnie. W nocy spadł śnieg. Wyjrzawszy przez okno, miała ochotę wrócić na swoje wygrzane miejsce u boku Franka, ale wiedziała, że Jada, jak pocisk o naprowadzaniu cieplnym, odnalazłaby ją nawet w łóżku.

Założyła dodatkowy sweter, związała splątane włosy w koński ogon i zamiast adidasów wciągnęła ciepłe buty. Po kilku minutach była już na dole. Przy drzwiach frontowych czekał Pookie, spoglądając na nią niemal równie błagalnie jak wczoraj Frank.

- No dobrze - powiedziała, chociaż wiedziała, że Pookie opóźni tempo ich marszu. Jadzie się to nie spodoba. Vivian kochała Jade, ale z początku czuła się dziwnie w roli przyjaciółki czarnej kobiety. W sąsiedztwie nie było czarnych. I chociaż Vivian szczyciła się swoim brakiem uprzedzeń rasowych, rodzice Franka... Mówiąc ogólnie, mieli specyficzne określenia na Afroamerykanów, chociaż nie używali ich w obecności Vivian i dzieci.

Przypięła smycz do obroży Pookiego i szybko wyszła. Z doświadczenia wiedziała, że jeżeli nie opuści domu do piątej czterdzieści, nie zrobi tego w ogóle.

Śnieg poskrzypywał pod podeszwami butów i ten dźwięk drażnił jej nerwy.

Właściwie nie było zimno, ale w powietrzu dawało się wyczuć zapowiedź mrozu.

Chociaż urodziła się na Południu, lubiła mroźne powietrze Północnego Wschodu.

Pachniało świeżością, a świat pokryty białym puchem wydawał się taki czysty.

Niemal z żalem zburzyła tę idealną powierzchnię odciskami swoich butów i śladami łap Pookiego. Przez białą powłokę tak miękką i sypką jak cukier puder przebiegały czarne, połyskliwe połączenia asfaltu. Nie było na niej śladu innych stóp i to również stanowiło o uroku poranka.

Vivian podniosła wzrok i ujrzała Jade wychodzącą z domu. Nawet z takiej odległości posępny nastrój przyjaciółki rzucał się w oczy. Jada nienawidziła zimy. Cóż, Vivian była gotowa jej współczuć i wysłuchać relacji z małżeńskich problemów Jacksonów.

Jada głębiej naciągnęła kaptur na oczy. Nie była stworzona do życia w takim klimacie, chociaż mieszkała na Północnym Wschodzie od urodzenia. Kiedy odwiedzała rodziców na Barbados, jej skóra stawała się gładka i jędrna, włosy zwijały się w pierścienie, odzyskiwały sprężystość i połysk. Babcia Clintona twierdziła, że Jada ma „dobre włosy”, co oznaczało, że nie są skręcone w baranka i nie trzeba trwałej ondulacji, żeby je rozprostować. Czyli, mówiąc prościej, że przypominają bardziej włosy białych ludzi niż murzyńskie skręty. Jadę oburzało podobne rozumowanie i była wściekła na siebie, kiedy odkryła, że cieszy się, iż Shavonna odziedziczyła jej włosy. Było mniej ważne, czy odziedziczy je również Kevon, a kiedy się okazało, że jego ściśle loki tak bardzo przypominają włosy Clintona, Jada potrafiła to zaakceptować. Uznała, że czyni to z niej rasistkę i seksistkę za jednym zamachem. Postanowiła, że pozwoli Stwórcy martwić się o włosy Sherrilee.

Jada odęła usta w kształcie serca i sięgnęła po ochronną szminkę. Na Karaibach jej pełne wargi nigdy nie pierzchły i nie pękały. Z kieszeni panterki wyjęła tubkę wazeliny i przed naciągnięciem rękawiczek nasmarowała nią twarz i dłonie. Tylko w ten sposób mogła zapobiec łuszczeniu się skóry. Świeciła się teraz jak latarnia, ale było jej to obojętne. Nie zobaczy jej nikt z wyjątkiem Vivian, Pookiego i paru pomyleńców, którzy uprawiali jogging w szortach, nie bacząc na to, że rujną sobie zdrowie. Czowała się wyczerpana i z pewnością było to po niej widać. Zerknęła na nadchodzącą Vivian, świeżą i rozpromienioną. Jej długi, idealnie prosty nos był tylko trochę zaczerwieniony, poza tym wyglądała wspaniale. Już za to kobieta mogła ją zniechęcić. „Jak to dobrze, że jestem chrześcijanką” pomyślała Jada i z czułością pociągnęła za czerwony koński ogon. Przeczytała gdzieś, że przedstawiciele rasy kaukaskiej mają takie długie nosy, ponieważ przy oddychaniu muszą ocieplać chłodne powietrze Północy. Może dlatego Vivian tak dobrze znosiła zimę, znienawidzoną przez Jadę - różnica tkwiła w nosach.

Jada lubiła trenować z Viv między innymi dlatego, że przyjaciółka miała nogi jeszcze dłuższe niż ona. Dotrzymywały sobie wzajemnie kroku. Natomiast spowolniał je pies, a Jada nienawidziła stać nieruchomo na chłodzie. Wyglądało jednak na to, że Vivian potrzebuje kundla niemal tak bardzo, jak Jada potrzebuje płynnego ruchu.

- Każ psu się ruszyć, albo go uduszę i zrobię z niego mufkę - zagroziła. Chociaż były z Vivian tak blisko, czasem czuła, że dzieli je przepaść nie do przebycia. Może była to kwestia koloru skóry, a może szczęśliwego małżeństwa Vivian. Jada wiedziała, jak bardzo Vivian kocha Franka, i wierzyła, że Frank odwzajemnia miłość żony. Co ważniejsze - kochał swoje dzieci i co tydzień przynosił do domu pieniądze. Tak więc Jada trzymała język za zębami i miała nadzieję, że Viv i Frank Russo będą jedyną parą w Westchester, której uda się przetrwać szczęśliwie kolejnych dziesięć lat. Jada kochała Vivian i życzyła jej szczęścia. Co by się stało z ich przyjaźnią, gdyby obie

pomstowały na mężczyzn? Potrzebowała Viv jako partnerki do porannego treningu. Spójrzmy prawdzie w oczy, czarna kobieta spacerująca bladym świtem po białej dzielnicy prosiła się o kłopoty.

- Chodź, Pookie, kochanie! - zawołała Viv.

Jadę zdumiewał stosunek białych ludzi do zwierząt domowych. Traktowali psy jak dzieci i na odwrót, a postępowanie Vivian było tego najlepszym przykładem.

Pozwalała swoim dzieciom na wszystko - nie sprzątały po sobie, bywało, że zapominały powiedzieć „proszę” i „dziękuję”. Były jeszcze inne sprawy, które irytowały Jadę. Na przykład swoboda, z jaką Viv gospodarzyła u niej w domu.

Jadzie nie przyszłoby nawet do głowy wyjąć bez pytania filiżankę z kredensu Vivian, czy otworzyć lodówkę, natomiast Vivian robiła to u Jacksonów bez śladu skrępowania. Jada nigdy nie wytknęła tego Vivian, uznawszy, że w porównaniu z korzyściami, jakie płyną z tej przyjaźni, dzielące ich różnice są nieistotne. Teraz jednak spiorunowała niezdyscyplinowanego psa wzrokiem, po czym spojrzała na Viv.

- Masz - powiedziała, podając jej szminkę. - Założę się, że jesteś jedyną białą dziewczyną o ustach szerszych od moich. Na pewno nie jesteśmy spokrewnione? Nie chciałabym zabić psa własnej kuzynki.

Vivian roześmiała się, przyjęła błyszczyk i zawołała na psa. Pookie przestał węszyć i przebiegł kilka kroków. Jada narzuciła ostre tempo.

- Między nami mówiąc, ten błyszczyk nie przetrwa zimy - powiedziała Vivian, oddając pomadkę przyjaciółce.

- Cholera, nie przetrwa tego ranka, jeżeli będziesz się tak pacykowała. Przez chwilę maszerowały w milczeniu.

- Uważasz, że tyję? - zapytała Viv, jak co rano.

- Aha. A ja bieleję - odburknęła Jada. Viv zachichotała. Potem przybrała poważny wyraz twarzy i Jada zrozumiała, że zbliża się moment, który bardzo pragnęła odwlec.

Latarnia nad ich głową zamigotała i zgasła.

- Więc jak sprawy stoją? - zapytała Viv.

- Nie wiem. Nie mieliśmy czasu porozmawiać.

Jakając się z gniewu, powiedziała przyjaciółce, co zastała poprzedniego dnia po powrocie do domu.

- Musisz postawić sprawę na ostrzu noża - powiedziała Vivian. - Musisz... - Ugryzła się w język. Czasem Jada miała wrażenie, że przyjaciółka boi się udzielać rad.

- Nie zniosę tego dłużej. Będę musiała go zabić, chociaż jest ojcem moich dzieci.

- Czy to stanowiło kiedyś przeszkodę? - zapytała Viv i Jada roześmiała się mimo woli. Vivian była dobrą przyjaciółką, dobrą żoną i matką, ale Jadę czasem drażniło jej współczucie. - On cię doprowadzi do obłądzenia, Jado. Gdyby Frank...

Jada nie odezwała się, ponieważ kochała Viv - swoją najlepszą przyjaciółkę, chociaż ta przyjaciółka pochodziła z Południa, miała białą skórę, głupiego psa i czasem była tępa jak stołowe nogi.

Pamiętała moment, gdy uzmysłowiła sobie, że nie ma już czarnych przyjaciół. Było to dziwne uczucie. Nie mogła zadawać się z afroamerykańskimi kasjerkami w banku, a nie pasowała do miejscowych wyższych sfer, ludzi z dobrych prawniczo-lekarskich rodzin, którzy ukończyli wyższe uczelnie. Nie jakieś tam college'e, lecz prawdziwe wyższe uczelnie z internatem. Nie pasowała również do krewnych Clintona, którzy mówili „jezdem” i uważali, że najlepszą karierą dla kobiety jest wyjście za mąż za urzędnika pocztowego.

Z czasem zaprzyjaźniła się z Vivian. Miały ze sobą wiele wspólnego, nawet jeżeli Viv uważała Franka za chodzący ideał i przymykała oczy na fakt, że jego interesy nie mogą być zupełnie czyste. Zawierał kontrakty na skalę okręgu, o wartości milionów dolarów. Firma Franka Russo kwitła mimo kryzysu gospodarczego, który porządnie dał się we znaki małym przedsiębiorstwom. Musiał być powiązany... Jada nie chciała o tym myśleć. Nie jej sprawa. Ale kilka lat temu, kiedy Frank zaproponował Clintonowi współpracę, Jada uznała, że odmawiając, Clinton raz w życiu podjął właściwą decyzję. Nie zazdrościła Russom pieniędzy, ale nie mogła nie zauważyć, że mają ich trochę za dużo. Widocznie Vivian wolała tego nie dostrzegać. Jacksonowie odkupili od Russo volvo combi, którym jeździła przedtem Vivian. Nie było jej już potrzebne, ponieważ co półtora roku wymieniała wóz na nowy model. Od czasu gdy Jada odkupiła od niej combi, Vivian obskoczyła trzy luksusowe samochody. I powiedziała Jadzie, że Frank za każdy z nich zapłacił gotówką. Jada musiała przyznać, że Frank Russo jest porządnym człowiekiem - jak na mężczyznę - a co najważniejsze ubóstwiał Viv. Pod pewnymi jednak względami był gorszy nawet od Clintona. Całkowicie podporządkował sobie żonę. Jada wątpiła, czy Frank wie, gdzie w domu znajduje się zmywarka do naczyń czy pralka. Albo piecyk gazowy. Gdyby Vivian pozostawiła go samego z dziećmi na dwa dni, a Frank nie mógłby wezwać na pomoc matki, Russowie pomarliby z głodu przed pełną lodówką. Frank, który zarabiał worki pieniędzy, nie potrafił wsunąć plastra sera między dwa kawałki chleba, wstawić prania czy zasłać łóżka. Ale Vivian nigdy się nie skarżyła.

„Hej, dość porównań, koniec z krytykanctwem. Masz za co być wdzięczna”, skarciła się Jada.

Za codzienny trening, za przyjaźń, dom w bezpiecznej, pięknej dzielnicy. Życie miało swoje dobre strony. Odmówiła cichą modlitwę, dziękując za mocne nogi i zdrowe płuca, za przyjaźń i własny dom. Rozejrzała się wokół. Śnieg połyskiwał na gałęziach bezlistnych drzew. Było pięknie.

- Spójrz - powiedziała, wskazując jeden z domów. - Dobudowują oranżerię.

Śledziły każdy projekt budowlany w okolicy, wyrażając swoją aprobatą lub nie pozostawiając na nim suchej nitki. Vivian spojrzała na okaleczoną ścianę ceglanego domu w stylu kolonialnym.

- Cudowny pomysł! Wygląda na to, że będzie to prawdziwy ogród zimowy.

Zastanawiam się, czy Frank nie mógłby zbudować mi czegoś podobnego?

„Najpierw powinien zbudować budę dla psa”, pomyślała Jada, potknąwszy się o Pookiego. Pies szarpnął smycz i Vivian pośliznęła się na oblodzonej jezdni.

Odwróciwszy z irytacją wzrok Jada ujrzała dziwny widok - w oknie domu mignęła twarz. Była to twarz tak blada, że gra światła uczyniła ją niemal przezroczystą. Oczy pozostały ocienione, jakby przynależały do mrocznego wnętrza domu. Coś w tej twarzy wydało się Jadzie znajome... a może był to fragment snu? Z trudem otrząsnęła się z przykrego wrażenia.

- Mogłabym przysiąc, że widziałam ducha - zwróciła się do Vivian. - Chyba że jest tam uwięziona kobieta o wyglądzie zjawy. Kto mieszka teraz u Tudorów?

- Jakiś nowy facet. Widziałś go. W średnim wieku. Mieszka sam. Jest Portorykańczykiem czy kimś takim. Lopez. Ma...

- To ten od limuzyn?

- Ma firmę wynajmu limuzyn. I bardzo niewielką hipotekę.

Jada stwierdziła w duchu, że pracując w dziale kredytów wie się więcej niż zwykli śmiertelnicy.

- Chyba nie jest żonaty - ciągnęła Vivian.

- A więc ma bardzo nieszczęśliwą narzeczoną.

- Może to zaaranżowane małżeństwo - snuła przypuszczenia Vivian. - No wiesz, piszesz do Rosji i zamawiasz młodą żonę.

- Chyba niewolnicę - mruknęła Jada. Przez chwilę maszerowały w milczeniu.

- Więc co zamierzasz zrobić w sprawie Clintona? Zmusisz go, żeby się zdeklarował?

- Clinton? Zdeklarował? Te dwa słowa nie idą w parze. Praktycznie się wykluczają.

- Nie rozumiem, dlaczego on tak się zachowuje - powiedziała Vivian. - Jesteś ideałem żony.

Jada pomyślała, że czasem Vivian nie pojmuje najprostszych spraw. Może była to wina jej południowego dziedzictwa kulturowego?

- O to właśnie idzie, Vivian. Jestem doskonała i dlatego na mój widok robi mu się mdło. Jestem dwa razy silniejsza od niego. Wie o tym i nienawidzi tej świadomości.

- Nie! Jada! Nie mów tak. Przechodzisz trudny, naprawdę trudny okres, to prawda, ale Clinton cię podziwia, nie nienawidzi!

- Nie powiedziałam, że nienawidzi mnie. Powiedziałam, że nienawidzi mojej siły - Jada westchnęła. - Osiągnął sukces dziesięć lat temu, kiedy to

było łatwe, nie potrafi powtórzyć tego wyczynu teraz, kiedy czasy są ciężkie. Ja potrafię. Cholera, ja muszę! Ma mi to za złe.

Dotarły do bramy i zanim zawróciły, Viv klepnęła boczny słupek. Inaczej nie miałyby poczucia, że naprawdę przebyły tę czterdziestopięciominutową gehennę. Jada popatrzyła na długie nogi przyjaciółki, na jej piękne włosy związane w gruby koński ogon. Przywodziła na myśl młodą, rasową klacz - nic tylko nogi, oczy i ogon. Tymczasem Pookie obwąchiwał zachłannie słup, jakby nigdy przedtem tu nie był.

- Myślałam, że oni chcą, żebyśmy były doskonałe - powiedziała Vivian, kiedy ruszyły w drogę powrotną. - Frank zauważa, kiedy przytyję kilogram albo nie ogolę nóg. To znaczy, kocha mnie tak czy inaczej, ale...

- Tu nie chodzi o to, czy masz ogolone nogi. Ani nawet o to, że twoje są dziesięć centymetrów dłuższe od moich.

- Jada, to okropne! Ciężko pracuję nad wyglądem. I nie chodzi mi tylko o seks. Wiem, że to niemożliwe, ale próbuję osiągnąć doskonałość dla Franka.

- Oni nie chcą żebyśmy były doskonałe - rzuciła Jada. - Chcą żebyśmy były od nich uzależnione. Byle nie za bardzo. Wtedy czują się zagrożeni i chcą żebyśmy się nimi opiekowały. Byle nie za bardzo. Wtedy czują się kontrolowani.

I chcą żebyśmy były seksowne, o ile nie oznacza to, że chcemy się kochać zbyt często. Wtedy jesteśmy zbyt wymagające, a oni czują się impotentami.

Vivian westchnęła ciężko.

- Musisz z nim porozmawiać. Zrób to zaraz. Takich rzeczy lepiej nie odkładać.

Jada musiała przyznać, że jest w odpowiednim nastroju. Czowała przypływ adrenaliny.

- Masz rację. Zastąp mnie w banku. Mogę się trochę spóźnić. Zaserwuję Clintonowi coś ekstra do jajecznicy.

- Tylko nie okazuj zgorzknienia. Postaraj się, mimo wszystko.

- Na to już za późno - powiedziała Jada.

## **Rozdział 6**

Kam obudziła się jak zwykle za piętnaście szósta i jej wzrok padł na ścianę z przydymionego szkła, naprzeciwko skórzanej kanapy, na której spała. Zamknęła oczy. Była tak przygnębiona, że nie miała siły wstać, a dzień się nawet nie zaczął. Nie otwierając oczu, przekręciła się z boku na plecy. Uzna to za poranną gimnastykę. Niemrawo naciągnęła na głowę zielony afgański pled. Ćwiczenie dodatkowe. Może teraz dzień sobie pójdzie i zostawi ją w spokoju.

Nie wiedziała nawet, jaki to dzień tygodnia; rocznica ślubu była we wtorek, mieli więc piątek albo sobotę. A może niedzielę. Jeżeli jest niedziela, matka wróci do domu z jakiegoś seminarium. Kam obozowała w domu ojca, a dom Estevana Lopeza został urządzonej w stylu podmiejskiego splinu wieku średniego. Niestety, Kam nie miała wyboru. Matka przeprowadziła się niedawno do nowego apartamentu i Kam nie znała nawet jej adresu. Nie mogła więc wystawić się na kojący wpływ otoczenia matki. Tkwiła u ojca, starając się jak najrzadziej otwierać oczy, i czekała na powrót Natalie Rosen, pocie-szycielki i mentorki, żeby swoje cierpienie zrzucić na jej barki i wylać przed nią swoje żale.

„I co mi z tego przyjdzie?“, błysnęła jej w głowie przerażająca myśl. Zesztywniała. Nie była dzieckiem, które zrobiło sobie kuku. Jak właściwie matka miała jej pomóc? Pozwoli się jej wyplakać w swoich ramionach i tyle. Aż do tej chwili Kam wydawało się, że matka wszystko naprawi. Nie tylko pocieszy ją i okaże współczucie, ale zwyczajnie powie Kam, jak wy dostać się matni, w którą się wplątała. Więcej, sprawi, że matnia zniknie. Zniknie rocznicowe obwieszczenie o zdradzie. Matka powie: „Jasne, tatuś też to zrobił. Musisz po prostu...“.

Nie było żadnego „po prostu“. Tkwiąc na ojcowskiej kanapie (w staniku i majtkach, których nie zmieniała od dwóch, a może trzech dni), zabiedzona i ospała po trzech dniach leżenia, Kam uzmysłowiła sobie, że jedyna rzecz, jakiej pragnie, to być znów z Reidem. Pragnęła znaleźć się z powrotem w jasnej, czystej sypialni, którą razem urządzili. Chciała czuć wokół siebie jego muskularne ramię. Chciała otworzyć oczy i ujrzeć, jak światło poranka, złagodzone przez tiulowe firanki, pada na drewnianą podłogę sypialni. Tęsknota za domem i wszystkim, co porzuciła, była tak silna, że Kam otworzyła oczy i jęknęła. Z dawnego życia pozostało jej tylko puste puzderko od Shre-ve'a, Crumpa i Lowe'a. Leżało przy łóżku. Namacała je i przytuliła do piersi. Pod głową, zamiast białych poduszek miała guzłowatą skórzaną pułę, zamiast świetlika nad łóżkiem - obrzydliwe gipsowe ozdobniki. Do tego ten wstrętny stary afgan, zamiast puszystej kołdry. Kam usiadła, chora i osłabiona. Kto właściwie urządzał dom ojca? Ten żyrandol musiał wisieć przedtem w podrzędnej włoskiej knajpie.

Ruch za oknem przykuł jej uwagę. Dopiero szarzało, ale dwie kobiety maszerowały raźnie, opatulone w swetry i szaliki. Kam widywała je co rano. Dzisiaj jedna z nich odwróciła się od swojej towarzyszki, pokazując na dom Lopeza i Kam stwierdziła ze zdumieniem, że to Murzynka. No, takiego widoku nie uświadczysz w Marblehead. Dwie kobiety minęły już dom i znalazły się na zakręcie uliczki. Kiedy zniknęły jej z oczu, Kam poczuła ból nagłej utraty. Rozpaczliwie zapragnęła zadzwonić do swojej przyjaciółki Lisy.

Dzwoniła do niej wiele razy w ciągu ostatnich dni. Rozmawiały po kilka godzin. Ze strachem myślała, co będzie, gdy ojciec otrzyma rachunek.

Brakowało jej komórki, która została w torebce, wraz z portfelem i dokumentami. Może Lisie uda się ją odzyskać.

Pracowały razem w Needham. Kiedy się poznały, Kam nie była nią zachwycona; zraziła ją idealna uroda blondynki i harwardzkie wykształcenie. Ale życzliwa Lisa szybko przełamała pierwsze lody. Zaprzyjaźniły się i Kam wspierała Lisę duchowo po wszystkich katastrofalnych randkach, do których przyjaciółka miała wyjątkowy talent. Teraz Lisa starała się zrewanżować, namawiając Kam, żeby nie dzwoniła do Reida, i w ogóle zapomniała o jego istnieniu. Kam załatwiła sobie urlop zdrowotny, a Lisa obiecała zastąpić ją w najważniejszych sprawach. Była dobrą przyjaciółką. Kiedy Kam spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest dopiero dwie po szóstej zlitowała się i postanowiła poczekać z telefonem przynajmniej godzinę.

Przez długą chwilę rozważała, czy się wykąpać. Jeszcze dzień, dwa i zmieni się w rastafariankę. No i bardzo dobrze! Boże, dopiero co utraciła męża, utraciła fryzjera! Kto zrobi jej pasemka, tak jak Todd? Była zbyt zmęczona, by wstać, zbyt słaba, by moczenie się w wannie mogło jej wyjść na dobre. Z drugiej strony, myśl, by umrzeć w kąpieli nie była niemiła. Gdyby tylko nie trzeba się było topić. To musi boleć jak cholera. Kam nie lubiła, gdy woda dostawała się jej do nosa. Żałowała, że ojciec nie ma tabletek nasennych - w dużej ilości i dobrym gatunku, tych zabójczych. Jedyną przydatną rzeczą jaką znalazła w apteczce Estevana, była na wpół opróżniona buteleczka neospazminy.

„Hej, myśl pozytywnie!”, powiedziała sobie Kam. Butelka była w połowie pełna, przynajmniej do chwili, gdy dostała ją w ręce.

Kamberleigh wychyliła się z łóżka, żeby podnieść z podłogi dresowe spodnie ojca. Wsunęła stopy w nogawki i siedziała przez chwilę otepiała, wpatrując się w swoje uda, uda, które Reid głaskał zaledwie dwa, no, może trzy dni temu. Gorąca łza, potem druga, wymknęła się spod jej powieki i spłynęła wzdłuż nosa. Kam nienawidziła Reida. Nienawidziła go za to, że dotykał jej ud tą samą ręką, którą pieścił inną kobietę. Ciekawe kogo? Co on powiedział? Starsza kobieta? Ktoś z pracy. Może Jan Mullins, jedyna kobieta-partner w firmie Andover Putnam? Nie! Miała pięćdziesiąt dwa lata i skórę jak pomarańcza. Jedna z tych bezbarwnych praktykantek? Nie do pomyślenia. Może sekretarka? Kogo on dotykał, kogo całował?! Powiedział, że kochał tę kobietę?

Gniew dodał jej sił. Stała i podniosła z podłogi bluzę Rangersów. Jej ojciec, w przeciwieństwie do większości Kubańczyków, nie interesował się baseballlem, za to uwielbiał hokej. Kiedy była mała, często zabierał ją na mecze. Bluza mogła być pozostałością po jednej z tych wypraw.

Ruszyła chwiejnie w stronę łazienki. Idąc przez salon, zastanawiała się, w jakim nastroju musiał być ojciec, gdy urządzał ten dom. Fotele były obite niebieskim aksamitem, skórzana, modernistyczna kanapa przywodziła na myśl



surrealistyczne pasmo górskie. Kam zadrżała na myśl, że na niej siedziała, dotykała jej nagą skórą.

Po rozwodzie z drugą żoną - małżeństwo to trwało krócej niż cykl owulacyjny - ojciec porzucił miejski tryb życia i przeprowadził się na przedmieście. Chodził na randki z miejscowymi kobietami, ale skarżył się, że go nudzą. Więc pracował po piętnaście godzin na dobę i oglądał sport w telewizji. To musi być piątek, ustaliła w końcu Kam. Gdyby była sobota, ojciec siedziałby na tej szykownej kanapie. Co za życie!

Z lękiem uświadomiła sobie, że to życie może stać się również jej udziałem.

Spędziła tu zaledwie kilka dni, a już czuła podmiejski splin wieku średniego. I to nie tylko z winy potwornego wystroju wnętrza. Ciekawe, dlaczego mężczyźni po rozwodzie urządzają szmarne domy, a kobiety zaniedbują garderobę? Zupełnie jakby wraz z małżeństwem tracili dobry smak. Ile czasu upłynie, zanim zacnie się ubierać w wypchane spodnie z gumką w talii i skóropodobny żakiet, wkomponowując się idealnie w ten pokój. Jej życie się skończyło.

Zadrżała, chociaż bluza była ciepła. Tak, jej życie się skończyło. Była w nim faza dzieciństwa, lata szkoły średniej i college'u, potem studia i krótkie małżeństwo, a teraz rozpocznie się etap panny Haversham z Westchester, etap, który potrwa - jeżeli okaże się równie tęgiego zdrowia jak Tia Maria - najmarniej pięćdziesiąt lat.

Spojrzała na bluzę Rangersów, zastanawiając się, czy przetrwa równie długo.

„Ciuch mniej dekoracyjny niż suknia ślubna, za to bardziej praktyczny”, pomyślała. Brakuje tylko różańca.

Wróciła na kanapę i zasnęła. Obudziła się w samą porę, by obejrzeć końcówkę programu „Today” i zasnęła ponownie. Kiedy znowu otworzyła oczy, dochodziła jedenasta. Kam odczuwała dziwaczną potrzebę kontrolowania czasu. Nie zamierzała nigdzie iść, nie zamierzała w ogóle nic robić, chciała jednak wiedzieć, która jest godzina. Przeraziła ją świadomość, że od chwili, gdy się po raz pierwszy obudziła, upłynęło pięć godzin. Podskoczyła na dźwięk telefonu. Powinna odebrać? Mógł dzwonić ojciec, który sprawdzał co jakiś czas, czy córka jeszcze żyje.

Podniosła słuchawkę i ku swej niebotycznej uldze usłyszała głos Lisy.

- I jak tam, jesteś mocno zrypana?

Spośród jej znajomych tylko Lisa używała tego słowa. Trzeba się było urodzić w Back Bay w Bostonie, żeby człowiekowi uszło to na sucho.

- Ujmę to w ten sposób - powiedziała Kam. - Gdybym była teraz w pierwszej klasie, pani Rickman postawiłaby mi pałę za stosunek do przedmiotu. Naprawdę cierpię. Tęsknię za Reidem. - Powiem ci, jaki powinien być twój stosunek do przedmiotu - odparła Lisa. - Powinnaś być wściekła, obrażona i nieubłagana. Postępowanie Reida świadczy o tym, że cię nie kocha. Prawdopodobnie nigdy cię nie kochał. Chciał tylko odegrać się na swojej rodzinie. Taka mała forma buntu - niestosowne małżeństwo. Powinnaś o tym pamiętać i żyć dalej.

- Wiem, wiem - zgodziła się z nią Kam. - Jestem idiotką. Oczywiście, że o tym wiem, ale mam takie dziwne uczucie... Chcą tylko raz usłyszeć jego głos, spytać, czy naprawdę to zrobił.

- Zrobił to! - oznajmiła kategorycznie Lisa. - Zrobił coś niesłychanego i powiadomił cię o tym w niedopuszczalny sposób.

Kam zamierzała przyznać jej rację, kiedy odezwał się dzwonek.

- Liso, ktoś dzwoni do drzwi. Muszę kończyć.

Kogo diabli niosą? W Westchester nie składano sobie niezapowiedzianych wizyt w środku tygodnia, w dodatku przed południem. Świadkowie Jehowy?

Sprzedawczynie kosmetyków Avon? Ktokolwiek to był, Kam postanowiła nie otwierać, dopóki nie obejrzy sobie gościa przez okno w holu. Na podjeździe stał samochód dostawczy z kwaciarni. Dopadła drzwi, otworzyła je na oścież, chwyciła dwa tuziny białych róż i wyszarpnęła z celofanu wizytówkę, a wszystko to w trzydzieści sekund.

Kartka była od Reida! Oczywiście nie napisał jej własną ręką, ale podyktował słowa. „Kocham cię. Nie karz mnie za to, że powiedziałem prawdę. Wybacz mi. Reid". Róże pachniały słabo, lecz słodko. Jeden odruch wspaniałomyślności z jej strony i uwolni siebie i Reida od tego cierpienia. Naciśnięciem jednego klawisza wymazała ze swej pamięci wszystkie rozmowy, jakie odbyła z ojcem i Lisą.

Tak! Wybacz Reidowi. To co zrobił, było haniebne, niewybaczalne, ale ona mu wybaczy. Okaze się wyższa nad ludzką słabość. Reid otrzymał wystarczającą naukę. Kam spojrzy na ten incydent, na to potworne zdarzenie, jak na ostatni flirt. Wydawało się jej wprawdzie, że większość flirtów zdarza się przed ślubem, ale Reid zawsze był trochę opóźniony emocjonalnie. Nie można go obarczać całą winą. Przy takich rodzicach! Obieca, że nigdy więcej tego nie robi, obsypie janowymi puzderkami od Shreve'a, Crumpa i Lowe'a i wróci do wielkiego białego łóżka. Nie mogła opanować dreszczu. No, może nie wróci tam od razu. Może jednak upłynie trochę czasu, zanim rany się zablżnią.

Nagle ujrzała Reida, samotnego, nieszczęśliwego, jak leży skulony na ich wielkim, białym łóżku. Zżerają go wyrzuty sumienia, jest w rozpacz. Szukał jej bez wytchnienia, przerażony, skruszony. Wiedziała, że bez niej jest zgubiony.

Potrzebował jej energii, jej siły i ciepła. Tuląc kartkę do bluzy Rangersów, Kam podbiegła do telefonu i wystukała numer mieszkania w Marblehead. Usłyszała pierwszy sygnał i oczami duszy ujrzała wygięcie pięknych pleców Reida, który sięga do telefonu. Doskonale wyobrażała sobie tę chwilę w odległym o czterysta mil Marblehead. Widziała jego ramię na tle białych prześcieradeł. Był tam, zbyt chory, zbyt zdruzgotany, by pójść do pracy. Leżał tak, pogrążony w morzu bólu, żalu i poczucia winy. Cierpiał bardziej od niej. Ponieważ kochał ją. Mimo chłodu rodziców, ich dezaprobaty, mimo własnych ułomności, kochał ją. Mówiła jej to kartka wyjęta z kwiatów i własna intuicja.

Telefon odebrano po drugim sygnale i Kam uśmiechnęła się, czekając z drżeniem chwili, gdy usłyszy jego głos, tak głęboki i czysty jak morze przy brzegach Marblehead.

- Halo! - odezwał się wysoki, zadyszany damski głos. Kam omal nie wypuściła słuchawki z ręki.

- Halo! - odezwał się głos ponownie, bardziej nagłaco. Kam rzuciła słuchawkę, jakby to była jadowita żmija.

- O, mój Boże - powiedziała na głos. - O mój Boże! W głowie czuła zamęt. Zadzwoiła do swojego domu. Kto odebrał? Nie miała siostr, nie miał ich również Reid. Głos nie należał do jego matki. Co jest grane?! Kam popatrzyła na telefon. Źle wykreśliła numer, albo, co gorsze, Reid zdążył go zmienić. Ich stary numer należał teraz do kogoś innego. Kamberleigh chwyciła słuchawkę i wystukała cyferki jeszcze raz, bardzo uważnie. Może przedtem zapomniała o kodzie kierunkowym? Zapomniała o kodzie i telefon odebrał ktoś w Westchester. Uzyskała połączenie i czekała, wstrzymując oddech. Znow wyobraziła sobie Reida, ale teraz ten obraz był jakby nieco zamglony. Jak poprzednio odebrano po drugim sygnale i ten sam głos zapytał sopranem:

- Słucham?

Kam siedziała oniemiała. Wiedziała, że uzyskała właściwe połączenie, a więc Reid zmienił numer. Czy to możliwe, w tak krótkim czasie? Będzie musiała sprawdzić. Nadal nie mogła dobrać głosu. To pewnie sprzątaczką. Tak, z pewnością sprzątaczką. Albo inkasentką. Ktoś z dostawców. To możliwe, powiedziała sobie. Spojrzała na karteczkę z kwaciarni, którą nadal przytulała do piersi.

- Halo? - tchnął sopran. - Halo? Reid, czy to ty? Kam odłożyła słuchawkę.

- Obawiam się, że tak - powiedziała Jada i zamknęła drzwi kuchenne w chwili, gdy dzieci wsiadły do szkolnego autobusu. Podeszła do piecyka i zaczęła czyścić płytę, ale nadal widziała jego twarz w lustrze z nierdzewnej stali.

- Obawiam się, że tak - powtórzyła, choć nie odczuwała najmniejszego lęku. Gniew wyparł wszystkie inne uczucia. Tym razem Clinton posunął się za daleko.

## **Rozdział 7**

Jada od lat podejrzewała, że Clinton ją zdradza. Starła się o tym nie myśleć, ale ta świadomość narzucała się sama. Bogata, znudzona kobieta w Armonk, która zainstalowała sobie basen za dwieście tysięcy dolarów, dzwoniła trochę za często. Podobnie czarna żona producenta płytowego, ta, która chciała śpiewać. Jada udawała, że one nie istnieją. Flirty Clintona wydawały się niegroźne, nie odbijały się na jej małżeństwie. Mąż ją kochał, przynosił do domu pieniądze, bawił się z dziećmi. Wiedziała, że w tym fachu zdarzają się klienci odrobinę zbyt przyjacielscy i jeżeli Clinton nawiązywał z nimi zbyt intymne stosunki, przymykała na to oczy. Koniec końców, był przecież mężczyzną. W dodatku przystojnym i pełnym wigoru. Kiedy taki mężczyzna otrzymywał to, co nazywała w duchu CNT - cipką na talerzu - trudno mu było nie skorzystać. Zwłaszcza w Pound Ridge.

Jada westchnęła. Jakie to dawne czasy! Jej małżeństwo było wtedy szczęśliwe, dzieci małe, a ona poświęcała rodzinie cały swój czas. Teraz jej życie składało się z pracy zawodowej i sprzątania. Gotowanie, pranie i sprzątanie, gotowanie, pranie... O ile mogła stwierdzić, na życie Clintona składało się leżenie na kanapie i oglądanie telewizji. Poza tym sypiał z nową przyjaciółką, a w wolnych chwilach pilnował, żeby dzieci nie puściły domu z dymem. Jada nie narzekała - pracowała dla swojej rodziny i będzie pracowała tak długo, jak to się okaże konieczne. Wiedziała, że gdyby Clinton zdobył się na najmniejszy wysiłek, obojgu żyłoby się o wiele łatwiej. Łatwiej i sensowniej. Wiedziała również, że w głębi duszy Clinton pragnie, by jego egzystencja miała sens. Ryzykował jednak utratę wszystkiego, pobłażając swojemu lenistwu, traktując żonę jak pomoc domową i romansując z jakąś kobietą w Pound Ridge.

- Nie jesteśmy w Pound Ridge - powiedziała głośno i pomaszzerowała do jadalni ze ścierką i tacą.

- Co powiedziałaś? - Poszedł za nią.

Jada zaczęła składać na tacy puste kubki, miseczki z resztkami płatków, zmięte papierowe serwetki. Szklanki po soku podzwaniały cicho w jej drżących dłoniach. „Muszę się opanować”, pomyślała. Myślała na głos, cecha rodzinna. Jej matka robiła to także, kiedy była zdenerwowana.

- Powiedziałam, że musimy porozmawiać.

- Nie idziesz do pracy? - zapytał nerwowo.

- Nie. Dlaczego? Spodziewasz się kogoś? Pozwól, że uprzątnę dom na przyjęcie twojego gościa. - Wytarła blat stołu. Po tylu latach współżycia z tym człowiekiem nadal zdumiewało ją, że Clinton potrafi patrzeć, jak ona sprząta i nie ruszy palcem, by jej pomóc. Zresztą, mniejsza o to. Nie będzie małostkowa, chodzi o ważniejsze sprawy. Dawno temu obiecali sobie z Clintonem, że jeżeli urodzą im się dzieci - a porodziły się - będą miały ojca w przeciwieństwie do dwóch ostatnich pokoleń Jacksonów. Tylko to się liczyło. Aż do tej chwili, niezależnie od przelotnych flirtów, które trafiały mu się z racji

pracy, Jada nie wątpiła, że Clinton, jak większość mężczyzn, ulega swoim naturalnym skłonnościom. Ale wszystko ma swoje granice.

Nawet teraz, kiedy stał beczynnym, podczas gdy ona zdejmowała podstawki ze stołu i ścierała blat, starała się powstrzymać od osądów moralnych. Ludzie ulegali swoim charakterom. Jada musiała przyznać, że również w charakterze Shavonny leży „brać”. Kevon, przynajmniej na razie, bardziej przypominał matkę. Jego naturalną preferencją było obdarowywać.

Kiedy poznała Clintona, lubiła dawać. Czuli się przez to ważna i potrzebna. Clinton jej potrzebował, a ona była mu za to wdzięczna. Strzygła mu włosy, kupowała ubrania, gotowała obiady. Do zupełnego szczęścia wystarczyła jej pochwała Clintona: „Nikt tak nie piecze kukurydzianego chleba jak Jada”. Zakasywała rękawy i brała się za pieczenie dziesięciu bochenków.

Ale od czasu, gdy firma zaczęła podupadać, Clinton się zmienił, zupełnie jakby staczał się razem z nią. Najpierw przestał przynosić do domu pieniądze, potem przestał szukać pracy, przestał trenować małą ligę, przestał naprawiać domowe usterki. Przestał nawet wynosić śmieci, co w przekonaniu Jady było podstawowym obowiązkiem żonatego mężczyzny. Jej rodzice nie kryli rozczarowania, kiedy Jada wyszła za Afroamerykanina. Choć urodziła się w Nowym Jorku, jej rodzice byli wyspiarzami i nadal uważali Barbados za swoją ojczyznę.

- Amerykanie! Wielkie nic dobrego. Brak im polotu - mawiał ojciec.

- Nie mają zasad - ostrzegła matka.

Jada uznała, że rodzice są staroświeccy i pod pewnymi względami uprzedzeni, bardziej w stosunku do czarnych niż białych. Przynajmniej na początku, przede wszystkim zaś byli uprzedzeni do innych wyspiarzy: pogardzali Jamajczykami, współzawodniczyli z Antiguańczykami i nie ufali Francuzom. Czarni Amerykanie byli w ich mniemaniu najniższą kategorią ludzi. Wtedy pokpiwała z ich poglądów, ale teraz przychodziło jej czasem do głowy, że rodzice mieli trochę racji, przynajmniej w odniesieniu do Clintona. Żywiła nadzieję, że jej życie małżeńskie się unormuje i nie będzie im musiała o tym powiedzieć. Daleka była od tworzenia uogólnień i mierzenia wszystkich Amerykanów jedną miarką, ale nie było wątpliwości, że trafił się jej osobnik nieodpowiedzialny i leniwy.

Być może istniało kiedyś coś w rodzaju równowagi między nią a Clintonem, w czasach gdy ona dawała, a on zarabiał i kochał się z nią ale nie pozostało po tym śladu. Od pięciu lat nie zarobił ani centa, nie kochali się od prawie trzech (jeżeli nie liczyć wieczoru sylwestrowego, kiedy wypili więcej, niż powinni i kiedy przypadkowo poczęli Sherrilee). Nie kochali się od tak dawna, że przerwa we współżyciu musiała zakłócić jej cykl. W każdym razie zaszła w ciążę i nie potrafiła jej usunąć. Została sownie wynagrodzona: Sherrilee była uroczym bobasem i choć Jadzie niełatwo było pracować w ciąży, a teraz zostawiać małą i biec do banku, nie żałowała swojej decyzji. Myślała, że dziecko

zbliży ich do siebie i z początku wszystko na to wskazywało. Clinton był zachwycony, pełen dobrej woli. Jednak nie trwało to długo.

- Jada, proszę, jeszcze trochę cierpliwości. Potrzebuję cię - powiedział.

- Potrzebujesz mnie? - Przez ostatnie lata dała mu z siebie tyle, że jej zasoby były na wyczerpaniu. Dzieci nauczyły ją, że dawanie, całkowicie naturalne w przypadku dziewięciolatka, staje się czymś anormalnym, gdy domaga się go zdrowy, trzydziestoczteroletni facet. Zresztą, naturalne czy anormalne, miała tego dość.

- Tak. Potrzebujesz mnie. Ale kochasz inną. - Nie mogła uwierzyć, że opowiedział jej o swojej ostatniej miłostce. Nie chciała nic wiedzieć, ale on się uparł. - Idź do niej. - Odwróciła się do męża plecami.

W drodze do łazienki wetknęła głowę do pokoju Shavonny w poszukiwaniu brudnej bielizny. Zebrała całe naręczę i ruszyła dalej, a Clinton podreptał za nią. Tonia Green, z którą się spotykał, twierdziła, że kocha dzieci, chociaż dwoje własnych oddała na wychowanie matce.

„Ciekawe, co ona robi przez cały boży dzień?“, zaciekawiła się Jada. Nie pracowała. Cieszyła się reputacją bardzo pobożnej i nauczyła w szkółce niedzielnej. Może chodziła na zebrania kościelne? Przesiadwała w barach, rozglądając się za życiowym partnerem? Jada parsknęła pogardliwie. Najdziwniejsze było to, że myśl o zbliżeniu fizycznym między Tonia Green a Clintonem nie wywoływała u niej żadnych emocji. Było jej po prostu wszystko jedno. Dziesięć lat temu rozchorowałyby się z zazdrości, uważając, że kochanie się z Clintonem jest zasadniczym elementem jej życia. Teraz nawet za tym nie tęskniła. Już to, że sypiali w jednym łóżku, uważała za katorgę. Seks byłby... Cóż, gniew, rozczarowanie i zmęczenie skutecznie uleczyły jej pożądanie.

Clinton jej nie kochał. Potrzebował jej, owszem, chciał, żeby ona go kochała. Czasem jeszcze jej pragnął, chciał ich dzieci, dobrze się nim opiekował. Ale ona nie miała już ochoty zaspokajać żadnych jego potrzeb. Chciała, żeby dla odmiany ktoś zadbał o nią. Straciła szacunek do Clintona i jeżeli miałyby być szczerą, czuła się trochę odpowiedzialna za jego romans z Tonia.

Zaskoczyło ją tylko to, że Clinton uznał za stosowne powiedzieć jej o swoich amorach. Przedtem się nie fatygował. Ku swojemu zdumieniu odczuła ulgę. „Jeden obowiązek mniej. Niech Tonia wysłuchuje jego gwałtownych o kolejnym genialnym interesie, który przyniesie mu majątek“, pomyślała. Jada uświadomiła sobie, że od lat nie słucha męża, nie jest już w stanie go słuchać po tym, jak tuzin planów, które ulepszała i za których powodzenie się modliła, obróciły się wniwecz. Jednak mężczyźni musieli do kogoś mówić. Niech więc Clinton mówi do Toni.

Ona skupi wszystkie siły, całą energię, by stworzyć stabilną rodzinę. Chciała mieszkać w tym domu, który Clinton wybudował, lecz którego nie wykończył, chciała, by dzieci radziły sobie dobrze w białej społeczności i bardzo dobrze

w szkole. Chciała, by Shavonna zajęła pierwsze miejsce w dzielnicowych zawodach w jeździe figurowej na łyżwach i poszła na studniówkę. Chciała, żeby Kevon poprawił oceny z matematyki i zdobył stypendium do naprawdę dobrego college'u. Chciała, by jej dzieci miały ojca, jak to sobie obiecali z Clintonem przed ich narodzinami. Był potrzebny w domu. Doglądał małej, gdy ona szła do pracy. Obiecał, że pomoże jej w wychowaniu dzieci. Nie myślała już o ratowaniu swojego małżeństwa, bo i po co? Jednak musieli odbyć Rozmowę. Szkoda tylko, że jest taka zmęczona. Zawsze jest zmęczona. Jada dotarła do drzwi ich sypialni. Clinton był tuż za nią.

- Muszę szykować się do pracy - powiedziała.

- Myślałem, że będziemy rozmawiać.

Oczywiście miał rację, tyle że gdzieś między myciem piecyka, sprzątaniem jadalni, sortowaniem rzeczy do prania i tysiącem innych spraw, które miała na głowie, straciła resztę energii.

- Faktycznie powinniśmy - przyznała.

- Wezmę się w garść - powiedział Clinton. - Obiecuję. Uporządkuję swoje życie.

Doprowadzał ją do szału.

- Już to kiedyś słyszałam - zauważyła bez śladu ironii. Odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz, i stwierdziła, że nadal ma ochotę go spoliczko-wać. - Czy zdajesz sobie sprawę, że wypowiedziałeś dokładnie te same słowa, dokładnie w tym miejscu, dokładnie tym samym tonem, miesiąc temu?

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Clinton. Facet był nieprzemakalny.

- Pozwól, że odświeżę twoją pamięć. - Odruchowo zaczęła ścielić łóżko. Nie cierpiała kłaść się do barłogu. Zdumiewało ją, że Clinton nie potrafi nawet rozprostować kołdry, kiedy w końcu wstanie z łóżka, kilka godzin po niej. -

Opowiedziałeś mi wtedy o Toni. - Starła się mówić spokojnie. - Ciekawe od kiedy zamiast budweisera żłopiesz serum prawdy? - Zbyt późno przypomniała sobie, że sarkazm jest złą bronią. Jednak Clinton nie zareagował.

- Clintonie, jeżeli mam być szczerą, nie obchodzi mnie, co robisz ze swoim futem. Ale obchodzi mnie, co się stanie z tą rodziną. Nie pozwolę ci jej zniszczyć. Haruję dla niej w pocie czoła, wypruwam sobie żyły. Poświęciłam swoje życie osobiste, wszystkie zainteresowania. Wstaję bladym świtem, żeby moje dzieci znalazły na stole śniadanie, kiedy się obudzą. Nie lubię mojej pracy. Nigdy nie chciałam robić kariery zawodowej. Nigdy nie chciałam osiągnąć sukcesu, być kierownikiem. Zrobiłam to tylko z konieczności..

- W porządku, wystarczy! - przerwał jej Clinton. - Nie próbuj poniżać mnie bardziej niż zwykle. - Spuścił wzrok. - Bardzo się staram.

Przez chwilę miała ochotę grzmotnąć go w głowę. Czy naprawdę uważał, że ona mówi to wszystko, żeby go poniżyć? W jego mniemaniu świat

zaczynał się i kończył na Clintonie. Bardzo się stara? Nie ścieli nawet własnego łóżka!

- Zamknij się, Clinton! Takie banialuki opowiadaj Toni. Możesz się do niej wyprowadzić i zostawić mnie z dziećmi, albo możesz z nią zerwać i spróbować ratować rodzinę. Musisz się na coś zdecydować.

Jada przypomniawszy sobie przysłowie, które często cytowała matka: „Napój, który dostajesz, choć o niego nie prosisz, jest jak mleko. Ten sam napój, o który poprosisz, jest jak woda. Ale napój, o który musisz błagać, jest jak krew”. Jada musiała prosić i prosić Clintona o najmniejszą drobnostkę, zazwyczaj bezskutecznie. Nadal nie miała podłogi w kuchni, a dom wymagał tysiąca drobnych prac wykończeniowych. Jada wiedziała, że jej sąsiadka i najlepsza przyjaciółka Vivian nie musi prosić o nic. Frank poił ją mlekiem, zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że odczuwa pragnienie. Jada starała się walczyć z zazdrością, ale czasem przerastało to jej siły.

- Jado, wiem, że cię zraniłem. Wiem, że się boisz. - Clinton położył się na łóżku, naciągając na siebie kołdrę, jakby chciał się przed nią osłonić. Ogarnął ją gniew. To ona potrzebowała ochrony, on stanowił dla niej zagrożenie.

- Posłuchaj, nie zraniłeś mnie dlatego, że wzięłaś sobie kochankę. Ra-nisz mnie, ponieważ nie chcesz pracować dla tej rodziny.

Clinton uniósł głowę i zaczął coś mówić, ale powstrzymała go gestem.

- I bałam się, że nie potrafię zapracować na nasze utrzymanie. Ale już się nie boję, Clintonie, a od ciebie chcę tylko jednego i mówię ci to jasno i wyraźnie - musisz załatwić swoje sprawy, dokonać wyboru.

Zaczęła zdejmować z siebie roboczy strój, kiedy nagle uświadomiła sobie, że nie chce stanąć przed nim naga. Nadal był przystojnym mężczyzną, o płaskiej, szerokiej klatce piersiowej i płaskim, umięśnionym brzuchu, podczas gdy ona miała rozstępy i zmarszczki. Nie chciała, by widział ją bez ubrania.

- To ty złamałeś zasady. - Otworzyła drzwi szafy i rozebrała się pod ich osłoną.

- Jado, nie rozumiesz. Mój związek z Tonią jest nie tylko cielesny. Łączy nas więź duchowa.

Jada wytknęła głowę zza skrzydła szafy i wytrzeszczyła oczy na męża. Litości!

Trudno jej było uwierzyć, że człowiek może opowiadać takie bzdury. Słodki Jezu, ty stworzyłeś tego mężczyznę! Teraz go oświeć!

- Potrafię ci wybaczyć - powiedziała. - Mogę z tobą żyć. Mogę się starać utrzymać tę rodzinę w kupie, mogę dla niej pracować. Ale pod warunkiem, że nie będziesz mi opowiadał o duchowych zaletach tej kobiety. Wszystko ma swoje granice, Clintonie. Ani słowa o tej kobiecie. Nie obrażaj mnie porównaniami.

- Nie porównuję was - zaczął Clinton swoją wersję przeprosin. - Rodzina jest dla mnie wszystkim - dodał szybko. - Wiesz o tym. Ostatnio nie układa się nam najlepiej, ale miewaliśmy już kryzysy. - Przeciągnął palcami po



włosach, potem splótł dłonie na karku, jakby bolała go szyja. - Znowu może być dobrze - powiedział. - Wiem o tym. Mam taką nadzieję. Z niej czerpią siły, by przetrwać ten trudny okres. Ale przy Toni... przy Toni czują, że robią coś dla siebie. Nie dla dzieci, nie dla rodziny, nie dla spłaty hipoteki. Tylko i wyłącznie dla siebie. Mnie się też coś należy. - Potrząsnął głową. - To mnie unieszczęśliwia.

Unieszczęśliwia ciebie. I Tonią, to dobra kobieta. To ją...

- Nie obchodzi mnie, co ona czuje! W ten sposób na pewno do mnie nie trafisz! - Jada przykleknęła na łóżku i jednym ruchem zerwała kołdrę.

- Czarnemu nie jest łatwo w świecie białych - powiedział Clinton.

- Oszczędź sobie! - burknęła Jada. - Czarnej też nie jest łatwo i zaczynam podejrzewać, że i białej nielekkko. Nikomu nie jest łatwo. Taki świat. Dlatego istnieją kościoły.

- Jada, modliłem się, naprawdę. Modliliśmy się razem z Tonią. Jada wzniosła oczy do nieba.

- Próbuję ci tylko wytłumaczyć, jak ciężko...

- Przestań wyjaśniać i zacznij podejmować decyzje - powiedziała. - Spójrz na to od dobrej strony, Clintonie. Masz wybór: rodzina czy kochanka. Nie każdy otrzymuje taką szansę od losu. Ale ostrzegam cię: nie możesz mieć jednego i drugiego. Jeżeli nie podejmiesz decyzji sam, zrobię to za ciebie i tym razem pójdę na całość. W przyszłym tygodniu spakuję twoje rzeczy i wyniosę je do garażu, powiem dzieciom i wielebnemu Grantowi. Skontaktuję się z prawnikiem. - Odwróciła się do niego plecami i gniewnym ruchem narzuciła na siebie żakiet.

Ale dzieci! Jej rodzina. Jada wiedziała, że przez ostatnie lata stała się twarda, nie chciała tego i nie mogła temu zaradzić. Pragnęła już tylko ocalić dzieci, dać Shavonnie, Kevonowi i Sherrilee dobry start w życiu. Znalazła dość sił, by jeszcze raz odwołać się do sumienia męża.

- Tylko pomyśl! Twój ojciec cię zostawił. Jego ojciec zostawił jego. Tobie też wolno porzucić własne dzieci. Ale nie to im obiecaliśmy. To twoje dzieci. Myślę, że chcesz dla nich jak najlepiej. Wiem, że ja tego chcę, ale zrobię, co postanowisz. Nie zgodzę się jedynie na to, byś miał rodzinę i kochankę, i żebyśmy wszyscy spotykali się w kościele. I nie zniosę, żebyś mówił o niej w moim domu, w moim łóżku.

- To jest również mój dom - zaprotestował Clinton. - Na litość boską, kobieto, to ja zrobiłem to łóżko!

- Więc zabierz je ze sobą do Toni! I nie wymieniaj imienia Pana nadaremnie.

Powtarzam: możesz mieszkać tu ze mną dziećmi, jeżeli chcesz spróbować ocalić rodzinę. Albo możesz się przeprowadzić do Toni. Ona też ma dzieci, prawda?

Dwoje? Troje? Czworo? Z iloma mężczyznami? Możesz mieć dzieci swoje albo cudze. Nie możesz mieć wszystkiego.

- Nie chcę wszystkiego - wyszlochał Clinton. - Ja nie wiem, czego chcę. „A mnie to guzik obchodzi”, pomyślała Jada.

- Masz tydzień, żeby się tego dowiedzieć - powiedziała. -1 jeszcze jedno... Od dziś sam płacisz za benzynę. Trzasnęła drzwiami i poszła do pracy.

## Rozdział 8

Vivian przyklękła na podłodze, żeby podnieść kolejną figurkę disnejowskiego wojownika i fiszbiny gorsetu wcisnęły się w jej ciało, niemal pozbawiając tchu.

„Masz za swoje, pomyślała, skoro sprzątasz ubrana jak Spice Girl”.

Trudno było pogodzić namiętność do mężczyzny z pasją czystości. Oczywiście, mogłaby zostawić figurkę na podłodze, udawać, że jej tam nie ma, ale było to ponad jej siły. Czasem ubierała się dla Franka jak luksusowa call-girl, ale nie mogła się oszukiwać; pod czarnym koronkowym gorsetem biło serce schludnej pani domu. Może powinna postarać się o strój francuskiej pokojówki. Uśmiechnęła się na tę myśl i podniosła czerwoną plastikową figurkę. Frankie miał ich tyle, że nie potrafiła już nazwać ich po imieniu, straciła rozeznanie pośród mnogości postaci. Dlatego że był chłopcem, czy dlatego, że był drugim dzieckiem? W czasach Jenny, Viv bez problemu odróżniała Małą Syrenkę od Belle, ale teraz continuum

Herkules/Aladdin/Moses przerastało jej zdolność pojmwania. Westchnęła, myśląc ze skruchą, że Frankie powinien pozostać na etapie króla Lwa. Mógł liczyć na więcej zabawek i mniej uwagi ze strony rodziców niż Jenna.

Pod kanapą spostrzegła z pół tuzina klocków lego. Jak to dobrze, że dziś nie odkurzała. I tak wciągnęła już więcej mikroelementów, niż przewidywał program elektroluksu. Pookie żuł swoją plastikową kość i warknął ostrzegawczo, kiedy wyciągnęła rękę. Pokręciła głową z przyganą, odrzucając na plecy długie, rude włosy, rozpuszczone z myślą o Franku. Zgarnęła wszystkie klocki w lewą rękę, ponieważ w prawej miała już plastikową figurkę - Dżafara, zdaje się po czym wstała z kolan jednym płynnym ruchem. „Nieźle, jak na trzydziestolatkę”, pomyślała.

Ponad oparciem kanapy widziała ciemne włosy Franka i czubek głowy Jenny.

Prawym ramieniem córka przytulała do siebie Pinkie'ego. Frankie leżał już pewnie, z głową na kolanach ojca, ukołyszany do snu odgłosami gry komputerowej. Vivian uśmiechnęła się na ten widok. Spędzili miły wieczór, wierni piątkowemu rytuałowi. Zjedli z Frankiem spaghetti, podczas gdy dzieci spałaszowały ulubione hamburgery. Po kolacji Frank grał z synem w strzałki, przetrwał dzielnie projekcję filmu wideo „Superszczury”, po którym nastąpił maraton gier Nintendo. Jenna pozwoliła bratu bawić się z ojcem, podczas gdy

ona pomagała sprzątać po kolacji. W nagrodę otrzymała ojca wyłącznie dla siebie na tę ostatnią godzinę, kiedy Vivian patrolowała teren. Nagrodą Vivian będzie czas spędzony z Frankiem w łóżku. Uśmiech, który błąkał się po jej ustach, stał się wyraźniejszy.

Podeszła do Franka i bardzo delikatnie dotknęła jego ramienia. Wiedziała z doświadczenia, że jeżeli zrobi to zbyt gwałtownie, Frank drgnie nerwowo. Teraz przechylił głowę do tyłu, zaglądając Vivian w twarz. Dzieci sennie poruszyły, panował zupełny bezruch, tylko figurka Zeldy podskakiwała na ekranie komputera. Dzieci spały, a Frank sam grał w tę idiotyczną grę!

- Czas spać - powiedziała gardłowym szeptem i ujrzała na twarzy Franka uśmiech będący odbiciem jej własnego. - Zanieś Frankiego. Ja zaprowadzę Jenne.

Frank skinął głową, wyciągnął rękę i wyjął z jej dłoni klocki lego.

- To prezent dla mnie? - zapytał cicho.

- Klocki, głuptasie.

- Rozumiem, że prezent dasz mi później, na górze? - Uniósł pytająco brwi. Vivian potrząsnęła głową i dotknęła ramienia Jenny.

- Chodź, maleńka - powiedziała i Jenna pozwoliła się zaprowadzić na schody.

- Bonzo maszeruje do łóżka - dodał Frank, biorąc na ręce uspiętego syna.

- Tylko ostrożnie. Większość wypadków zdarza się w domu. Na górze Vivian ubrała Frankiego w piżamę, podczas gdy wólpriyotomna Jenna walczyła z koszulą nocną. Vivian zlitowała się nad swoją pierworodną i tym razem darowała jej wieczorne mycie. Nic się nie stanie, jeżeli raz pójdzie do łóżka brudna. Wiedziała, jaka zmęczona jest Jenna. Sama leciała z nóg.

Kiedy weszła do sypialni, Frank leżał już po kołdrę. Jak zwykle nie zdjął nawet narzuty z łóżka, więc zrobiła to za niego. Był dobrym człowiekiem, dobrym ojcem i wspaniałym mężem. Byłby ideałem, gdyby zdejmował narzutę przed położeniem się do łóżka. Cóż, nikt nie jest doskonały.

- Chodź tu, moja piękna - powiedział Frank, przewyciężając senność. Vivian usiadła na brzegu łóżka, zdjęła buty, zsunęła spódnice, zostawiając majteczki i gorset. Chciała, żeby Frank zobaczył, jak ładnie w nim wygląda. Frank ujął w palce jedno rude pasemko jej włosów i łagodnie przyciągnął.

- Hej, Ruda! Ile za całą noc?

- Bardzo dużo - powiedziała, zanim ją pocałował.

- Nie będą to wyrzucone pieniądze. - Sięgnął do jej piersi ujętych w okowy fiszbinów. - Zdejmij to - poprosił i Viv spełniła jego prośbę w piętnaście sekund. -

Tak jest o wiele lepiej - wymruczał, otaczając ją ramieniem i przyciągając do siebie.

- Czy to nie jest lepsze od Nintendo?

- No, nie tak podniecające, ale... Uderzyła go lekko w plecy.

- Okay, okay, lepsze! - przyznał i pocałował ją w kark. Usłyszała jego westchnienie, które zlało się z jej własnym. Piątki były cudowne, ale bardzo długie i wyczerpujące. Była szczęśliwa i zmęczona.

- Kochanie, wiesz, że cię pragnę, ale... - powiedział Frank.

Vivian pocałowała go w szorstki, nieogolony policzek. Może później, w środku nocy, obudzi się w jego mocnych, spragnionych ramionach. Zamknąwszy oczy, rozkoszowała się przez chwilę taką możliwością.

Ale to nie Frank obudził Vivian. Obudziło ją głucho dudnienie, tupot wielu nóg na schodach. Gdzieś z dołu dobiegało wściekłe ujadanie zwykle cichego Pookiego. Usiadłszy gwałtownie na łóżku, zobaczyła dziwne, czerwone światło omiatające ściany. „Mój Boże, dom się pali!”, pomyślała.

- Frank! - krzyknęła, ale on już nie spał. Drzwi się otworzyły i niemal w tej samej chwili otoczył ich kordon mężczyzn. Niektórzy byli w mundurach, inni po cywilnemu, ale wszyscy trzymali broń gotową do strzału.

- Policja!

- Nie ruszać się! Ręce za głowy! - Rozkazy padały jeden po drugim, ostre jak ciosy. Vivian odwróciła się do Franka, kiedy okrzyk „Nie ruszać się” osadził ją na miejscu. Mignęło jej w głowie, że to może być sen, straszny sen. Ktoś zatrzasnął na jej przegubach kajdanki. Chłód metalu był zbyt realny, by mogła dalej się łudzić, ten koszmar działał się naprawdę. Pookie czekał teraz tuż obok, w pokoju, potem jego jazgot urwał się nagle, w pół tonu. Co oni mu zrobili?

- Frank! - zawołała.

- Wara od niej! - wrzasnął Frank, szarpiąc się z dwoma mężczyznami. - Łapy precz od mojej żony!

Koc się zsunął i Vivian, sparaliżowana strachem, poczuła chłód powietrza na nagich piersiach. Została obnażona przed tuzinem mężczyzn.

- To musi być pomyłka. Pomyliliście domy! - krzyknęła. - Nazywamy się Russo!

- A to, kurwa, traf! - powiedział jeden z mężczyzn.

- Mamusiu! - Vivian usłyszała płacz Frankiego dobiegający z holu i usiadła, nie zważając na to, że jest półnaga. - Mamusiu? - rozległ się nabrzmiały przerażeniem krzyk.

- Synku, wszystko w porządku! - zawołała. - Zostawcie moje dzieci! - wrzasnęła dziko. - To jakaś pomyłka! Zostawcie dzieci!

- Powiedz jej, Russo, czy to pomyłka - odezwał się jeden z policjantów przytrzymujący jej męża. Frank zalewał go potokiem wyzwisk. Nigdy dotąd nie słyszała, by się tak wyrażał.

- Nie tykać jej, skurwiele! - wrzeszczał. - Zostawcie moje dzieci, pierdolone dupki! Policjanci wyciągnęli Vivian z łóżka i ujęli pod ramiona. Miała nadzieję, że włosy zakrywają ją przynajmniej do pasa. Musiała dostać się do dzieci. W tej chwili tylko to było ważne.

Kiedy Frank zamachnął się na policjanta, po raz drugi nazywając go sukinsynem, mężczyzna wymierzył mu cios kolaniem w krocze. Frank wydał ostry skowyt, zupełnie jak Pookie, i zwinął się na łóżku.

- Mamusiu! Mamusiu! - Do świdrującego głosu Frankiego dołączyły się nawoływania jego siostry i dźwięk tłuczonego szkła. Viv zaczęła się trząść. Pookie wyminął ją i wybiegł z pokoju, być może na ratunek dzieciom.

- Na litość boską weźcie psa na smycz i dajcie tej kobiecie się ubrać - powiedział mężczyzna, który wszedł do sypialni. Okrył ją kocem.

- Pieprzyć dziwkę - zaklął ktoś. Frank poderwał się na nogi i rzucił na trzech policjantów.

- Frank! - krzyknęła Vivian, kiedy mężczyźni zaczęli ciągnąć ją w stronę drzwi.

- Zabierzcie ją stąd - rozkazał mężczyzna, który dał jej koc. - Wezwijcie McCourt. Niech przez cały czas ma przy sobie policjantkę.

- McCourt zabiera dzieciaki.

Byli już w korytarzu. Viv słyszała, jak Frank krzyczy.

- Dokąd *zabieracie moje dzieci?! - dopytywała się gorączkowo. Zatrzymajcie się, proszę! Gdzie są moje dzieci?*

Nie zwracali na nią uwagi, zupełnie jakby jej głos do nich nie docierał.

- Sprowadźcie McCourt, do cholery! - wrzasnął mężczyzna w cywilu. - Powinny tu być dwie policjantki. I co tu robią stanowi? Sprawa nam podlega.

- Wszyscy się tu pchają. Nawet ci z okręgu.

- Frankie? Jenna? Gdzie jesteście?

Ktoś chwycił Vivian brutalnie za ramię i pociągnął w głąb korytarza. Nie! Nigdzie nie pójdzie! Gdzie są jej dzieci? Co się dzieje? Usłyszała kolejny ryk Franka.

Próbując przytrzymać koc na piersiach, uczepliła się barierki przy drzwiach pokoju Frankiego i spojrzała do środka. Policjant zrzucił na podłogę plastikowe figurki i klocki lego, otwierał szuflady, drugi ściągał materac z łóżka. Policjantka prowadziła opierającego się Frankiego w stronę drzwi.

- Mamusiu! - krzyknął. Twarz miał umazaną łzami, z nosa mu ciekło. - Ten brzydki pan wypuścił Pookiego.

- Ruszaj dalej! - rozkazał policjant za plecami Vivian i próbował oderwać jej rękę od poręczy. - McCourt, zostań z nią. Johnson zabierze dzieci.

- Nie! - krzyknęła Vivian. Pochyliła się w stronę syna. - Ja zajmę się dziećmi - wychrypiła.

- To niemożliwe - odezwał się głos gdzieś z tyłu i ktoś szarpnął ją za ramię, odrywając od poręczy. Upadła na kolana i dom wypełniło zawrozczenie Frankiego.

- Frankie, wszystko w porządku - powiedziała Vivian.  
- Johnson! - zawołała policjantka w dół schodów. Odgłos tłuczonego szkła zagłuszył odpowiedź. - Johnson! - krzyknęła ponownie McCourt. Ktoś wypchnął z pokoju rozespaną Jenę.

- Mają Pinkie'ego - oznajmiła.

Vivian zatarasowała przejście i za nią zgromadził się mały tłumek. Nie mogła trzymać koca, ukrywać kajdanków i jednocześnie pochwycić dzieci. Nie wiedziała, co robić. Nie wiedziała, co się dzieje. Całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć łkaniem głośniejszym niż Frankie.

- Mają Pinkie'ego - krzyknęła Jenna i Vivian odwróciła głowę w stronę otwartych drzwi pokoju córki. Policjant rozerwał króliczka i gmerał w jego pluszowym wnętrzu. - Nie, nie! - zawołała Jenna piskliwym głosem i rzuciła się na ratunek.

- Wstawaj! - rozkazał głos za plecami Vivian i poczuła, jak ktoś podnosi ją za włosy. Na piętro wbiegła policjantka, ujęła Jenę za ramię i skierowała w stronę schodów.

- Idziemy - powiedziała. Spojrzała na Frankiego szarpiącego się w ramionach McCourt. - Jego też wezmę. - Rzuciła Vivian spojrzenie pełne współczucia i troski. Był to pierwszy ludzki odruch, z jakim Vivian spotkała się tej koszmarnej nocy.

- Wszystko w porządku - powiedziała, chociaż nie była pewna, czy Frankie ją słyszy. - Wszystko będzie dobrze - powiedziała do Jenny. - Chodźmy na dół.

Ale nie było dobrze. Ani na górze, ani na dole. Salon Russo w kilka sekund zmienił się z pokoju rodzinnego w obraz zniszczenia i chaosu. Policjanci kończyli demolowanie wnętrza; zrzucali książki z półek, rozpruwali poduszki kanapy, zrywali wykładzinę podłogową. Zniszczenie było tak całkowite, że Vivian nie mogła opanować okrzyku.

Ktoś podał jej płaszcz, rozpiął kajdanki, żeby mogła go założyć i skuł jej przeguby, gdy się ubrała.

- Frank! - zawołała. - Frank!

Jej waza z laki leżała w skorupach, kwiaty od Franka wały się na podłodze.

- Uważajcie na dzieci! - krzyknęła. - Są bosy.

- Niech ktoś przyniesie im buty!

- Pookie! Pookie, do nogi! - wołał Frankie.

- Frank! Frank!

Zakrwawiona twarz Franka mignęła jej w przelocie, kiedy schodził w asyście policjantów.

- Vivian, nie bój się, wszystko będzie dobrze! - zawołał, zanim wypchnięto go za drzwi.

- Johnson, zabierz dzieci do samochodu - warknął mężczyzna, który podał Vivian koc. - Niech ktoś przyniesie im ciepłe ubrania. Zabieramy je do policyjnej izby dziecka.

Oczy Vivian zognomniały.

-Nie! Proszę! Błagam! Nie wiem, o co tu chodzi, ale proszę, czy mogę zostawić dzieci u sąsiadki?

- Przykro mi, to niemożliwe. - Mężczyzna odwrócił się plecami. - Przynieście jej ubranie i przeprowadźcie do mojego samochodu. Trzymać jąz dala od Russo.

- O co tu chodzi?! - krzyknęła, kiedy wyprowadzano dzieci z domu. -To niezgodne z prawem. O co chodzi?! - Przypomniała jej się kwestia z jakiegoś filmu. - Domagam się moich praw!

- Boże! Ma pani prawo do milczenia. Ma pani prawo do... - recytował ktoś znużonym głosem.

Przypominało to kiepski film policyjny. Miała wrażenie, że jest w kinie albo ogląda wiadomości telewizyjne. To się nie mogło dziać naprawdę. Ale odczytano jej prawa, zmuszono do włożenia butów i wyprowadzono z domu w chłodną noc. Dzieci już odjechały, było za to mnóstwo innych ludzi, sąsiedzi stali kołem, nie spuszczając z niej wzroku. Jej sąsiedzi! Joyce'owie. McCarthy'owie. Nieznajomi. Co się tu dzieje? Błysnęły flesze. Kto, do cholery, robi zdjęcia? Spojrzała w stronę garażu i ujrzała meble ogrodowe rozwleczone po trawniku. Na podjeździe tłoczyły się samochody, pełno było mężczyzn w czarnych strojach i hełmofonach. Wokół domu stało sześć wozów policyjnych z włączonymi kogutami. Niemal we wszystkich domach wzdłuż ulicy płonęły światła, gromadziło się coraz więcej gapiów. Wydawało się jej, że dostrzega w tłumie twarz Jady. Vivian podniosła dłoń do czoła, osłaniając oczy przed światłem, ale zanim zdołała zawołać, ktoś położył rękę na jej głowie i wepchnął do samochodu policyjnego.

## **Rozdział 9**

Jada siedziała przy swoim biurku, za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Zazwyczaj zostawiała je otwarte, żeby mieć oko na pracowników, ale nie był to zwykły dzień, a i jej stan ducha odbiegał od normy.

Zeszłej nocy, a właściwie o drugiej trzydzieści rano, wstała z łóżka i podeszła do okna, żeby ujrzeć, jak życie przyjaciółki obraca się w gruzy. Wozy policyjne, złowieszcze szare furgonetki, błyskające światła, mnóstwo broni. Brutalnie wyrwała Clintona ze snu i narzuciwszy płaszcz, wybiegła z domu. Dotarła do posiadłości Russo w samą porę, by zobaczyć, jak umundurowana policjantka wywleka dzieci z domu. Jada zawołała do nich i Jenna podniosła głowę, ale zapłakany Frankie niewiele już chyba widział.

Kiedy samochód z dziećmi odjechał, Jada rozejrzała się. Na twarzach sąsiadów malowały się rozmaite uczucia, nie dostrzegła jedynie litości i współczucia. Zebrali się mieszkańcy nie tylko tej ulicy, ale dwóch sąsiednich. Taki duch jedności, a kiedy trzeba było omówić sprawy osiedlowe, nie stawiali się nawet za specjalnym zaproszeniem!

Ale co się właściwie stało? Jada podchwyciła kilka paskudnych uwag, potem kilka jeszcze bardziej nieprzyjemnych plotek.

- Pornografia dziecięca - powiedział pan Shriber, a jego żona, sympatyczna, pulchna kobieta, którą Jada nawet lubiła, pokiwała głową jak osoba dobrze poinformowana.

- Zawsze plątało się tam mnóstwo dzieci.

- To dlatego, że ich dzieci są lubiane - warknęła Jada. - I ponieważ Vivian pozwala całemu sąsiedztwu bawić się na swoim basenie.

Shriberowie mieli obsesję na punkcie swojego nienagannego trawnika i klombów.

W ich ogródku nikt się nie bawił. Napisali kiedyś skargę na listonosza, który zagapił się i zszedł z chodnika na trawę.

- Lepiej uważajcie, żeby nie pozwali was do sądu za oszczerstwo - cisnęła w twarz sąsiadce. Przebiła się przez tłumek, próbując zasięgnąć języka. Nie rozumiała, dlaczego martwi ją brak ambulansu. Potem w głowie błysnęła jej myśl, że przecież lepiej zobaczyć karetkę pogotowia niż samochód z kostnicy. Przez kilka minut stała bezradnie pośród innych gapiów. Kiedy w końcu zapakowano Vivian do policyjnego samochodu, zapytała czarnego policjanta, jedyne, jakiego znalazła pośród kilkudziesięciu białych, o co tu, u licha, chodzi.

- Handel narkotykami - odparł. - Na dużą skalę. Będziemy mieli z tego kilka nowych radiowozów.

Jadzie opadła szczeka.

Nadal nie mogła dojść do siebie, chociaż minęło już kilka godzin. Siedziała za biurkiem, patrząc niewidzącym wzrokiem na jakieś sprawozdanie, do którego należało wprowadzić poprawki. Nie rozumiała ani słowa z tego, co czyta. Handel narkotykami. Na dużą skalę. Na jej bezpiecznej ulicy, w domu przyjaciół. Ani przez chwilę nie wierzyła w winę Vivian, wstrząsnął nią sam fakt, że to się mogło stać, że życie bogatych, białych ludzi - a także ich meble - zostały zniszczone, wystawione na widok publiczny. Rano, kiedy mijała dom Vivian, okręcony żółtą taśmą policyjną, niby scenę zbrodni, zobaczyła dwa krzesła z jadalni, wybebeszone i podarte. Stały pośród wirujących liści na podjeździe. Poniewierały się tam również inne sprzęty domowe, rozdarte poduszki, podnózek Franka, lampa wypełniona muszelkami, ukochana lampa Vivian, którą Jada uważała zawsze za trochę kiczowatą. Na widok tych rzeczy, rozrzuconych jak śmieci na wysypisku, ogarnęło ją poczucie nieuchronności śmierci, jakby zamiast mebli ujrzała tam martwe ciała. Jada wiedziała, jak często Vivian polerowała te krzesła, razem kupowały



materiał obiciowy w kolorze kości słoniowej. Jego strzępy powiewały teraz na wietrze.

Jada wsparła łokcie na stole, głowę ukryła w dłoniach i odpoczywała przez chwilę z przymkniętymi oczami.

Kiedy w nocy wróciła do domu, Clinton stał we frontowych drzwiach z dzieckiem na ręku. Nie spytał o nic. Od razu ją potępił.

- Nie powinnaś tam chodzić - powiedział, kiedy weszła na werandę.

- A niby dlaczego? - zapytała, myśląc, że podejrzewają o zwykłą ciekawość, która pchnęła sąsiadów przed dom Vivian. - Chciałam zobaczyć, czy mogę w czymś pomóc. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Nie powinnaś się tam pokazywać, żeby nie powiązali nas ze sprawą. - Weszła do środka i Clinton zamknął za nią drzwi. - Frank Russo zawsze robił na lewo. Jak inaczej zdobywałby takie kontrakty?

Od lat Clinton był nastawiony wrogo do Franka. Jada nie wiedziała, czy to dlatego, że zazdrości Frankowi powodzenia, czy naprawdę Frank prowadził szemrane interesy.

- Tu nie chodzi o cholerne kontrakty - rzuciła zła jak osa. - Chodzi o narkotyki.

- Ten skurwysyn robił w narkotykach? - wybuchnął Clinton. - Nie do wiary!

Dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Clinton odruchowo oddał je matce.

- Mówiłem ci, żebyś się z nimi nie zadawała. Gliny opadną nas jak szarańcza.

Możemy się ich spodziewać lada chwila. Narkotyki i czarnuchy, naturalne powiązanie. Jezu! Jak on miał czelność! Ten śliski kutas naraził naszą rodzinę!

- Bez porównania mniej niż własną - powiedziała Jada chłodno i zaczęła wchodzić na schody, uspokajając dziecko, nie wiedząc, w czym ona sama mogłaby znaleźć ukojenie. - Gdyby Frank był czarny, uznałbyś, że został wrobiony - rzuciła ze szczytu schodów. - Nie wiemy, jak wygląda prawda.

Vivian nie przyszła do pracy, a Jada nie wspomniała nikomu o wydarzeniach ostatniej nocy. Obdzwoiła kilkanaście posterunków policji i sądów. Dwukrotnie sprawdziła nagranie na automatycznej sekretarce, licząc na to, że Vivian się odezwie. Nie było żadnych wiadomości. Kiedy Anna, jej sekretarka, zapukała cichutko do drzwi, Jada uniosła szybko głowę i ujęła długopis.

-Tak?

Anna weszła, z oczami tak wybałuszonymi, że zdawały się ją poprzedzać.

W ręku trzymała gazetę, ale nie był to „New York Times” ani „Wall Street Journal”, które Jada przeglądała co rano, lecz powiatowy szmatławiec.

- Spójrz! - powiedziała Anna, rozkładając gazetę na nienagannie czystym blacie biurka szefowej. Chcąc nie chcąc, Jada spojrzała na zdjęcia z miejsca przestępstwa. Dom Vivian, zbliżenie zakrwawionej, pobitej twarzy Franka i -

dobry Boże! - zdjęcie samej Vivian w niebieskim zimowym palcie, w kajdankach. Jada podniosła dłoń do ust. „Narkotykowy baron aresztowany” -głosił nagłówek. Nie wierzyła własnym oczom.

- Ale numer, no nie? - powiedziała Anna. Coś w jej głosie nasunęło Jadzie podejrzenie, że Anna czerpie z sensacji niezdrową przyjemność.

Jada chwyciła gazetę i zmięła ją w kulkę.

- To niesłychane! Ten nagłówek! Dlaczego od razu nie napiszą „winny”? Ten człowiek został oskarżony, nie skazany - upomniała Annę. - Prasa posunęła się za daleko. - Popatrzyła surowo na sekretarkę i wrzuciła gazetę do kosza na śmieci. - Spodziewam się, że kiedy Vivian wróci do pracy, będziecie pamiętali, że o nic nie została oskarżona. I w ogóle nie rozumiem, dlaczego czytasz tego szmatławca. Nie masz nic do roboty?

Po wyjściu Anny, Jada obeszła piętro, zamieniła kilka słów z kasjerkami, przywitała ważnego klienta, starając się zachowywać możliwie naturalnie. Potem wróciła do gabinetu i wyciągnęła z kosza gazetę. Rozprostowawszy płachtę, przebiegła wzrokiem treść artykułu. Autor pozwalał sobie na rozmaite insynuacje, nie mógł jednak ukryć faktu, że rewizja nie przyniosła rezultatów, dzięki ci Panie, a policja potraktowała niezwykle brutalnie Franka i jego dom. Jada wiedziała, że od czasu wprowadzenia aktu RICO, policja chętnie przeprowadza rewizje w pogoni za zyskiem. Wiedziała również, że sukces rodzi zazdrość, a Frank, pyszny i pewny siebie, musiał mieć wrogów. Odezwał się intercom.

- Vivian na linii - poinformowała Anna bez tchu, jakby Al Capone zmartwychwstał i obdzwaniał bankowców.

- Słyszałaś? - zapytała Vivian bez wstępów.

Jada zastanawiała się, czy Anna odłożyła słuchawkę.

- Kochanie, wszyscy słyszeli. Gdzie jesteś?

- W domu - wykrztusiła z trudem Vivian, po czym wydała dziwny, zduszony dźwięk, który bardzo zaniepokoił Jadę. Miała nadzieję, że Anna tego nie słyszy. Ujęła aparat i odeszła z nim tak daleko, jak na to pozwalała długość sznura. Potem postawiła go na podłodze i trzymając słuchawkę, dosię-gnęła drzwi. Przy biurku Anny zebrał się mały żeński tłumek, wszystkie panie wpatrywały się w drzwi Jady, ale żadna nie trzymała przy uchu słuchawki.

- O, Boże, Jado, to jest straszne. Ten dom jest... Muszę kończyć. Jadę po dzieci. Spędziły noc w policyjnej izbie dziecka. Wyobrażasz sobie? -mówiła przez łyży i Jada z trudem ją rozumiała. Vivian napomknęła coś jeszcze o Franku, o sporządzeniu listy, o lustrze. - Uspokój się - powiedziała Jada. - Wszystko to nieważne, te rozbite, zniszczone rzeczy. Liczą się dzieci, a im nic się nie stało. Dzisiaj przenocujesz u mnie, a jutro razem posprzątam.

Biedna dziewczyna. Jada widziała ją w wyobraźni, jak klęczy pośród pobojuwiska, niby prawdziwy Kopciuszek. Dzisiaj nie miała jednak ochoty na żarty.

Vivian wydała jeszcze jeden straszny szloch i z powodu niezrozumiałych słów Jada wyłowiła imię Franka.

- Jest w domu? - nieśmiało zapytała. Nie chciała być natrętna. W swoim życiu widziała dość ludzi dotkniętych nieszczęściem, by zdawać sobie sprawę, jak niechętnie uczestniczą wtedy w teleturnieju „dwadzieścia pytań”. - Jest z tobą?

- Nie - wychlipiała Vivian. - Nie pozwolili mi z nim porozmawiać, ale przyszedł adwokat i powiedział, że jutro go wypuszczą - Jado! - wyszeptała Vivian. - To koszmar. Frank nic nie zrobił. Jakim prawem policja tak nas potraktowała? - Głos ją zawiódł, a Jada poczuła łzy w oczach.

- Vivian! Vivian? Wypłacz się, a potem umyj twarz, uczesz się i weź w garść, dla dobra Jenny i Frankiego. Chcesz, żebym z tobą pojechała? Wiem, jak wygląda izba dziecka.

- Dam sobie radę - wyszeptała Vivian. - Dam radę - powtórzyła, jakby chciała się o tym upewnić.

- Posłuchaj - powiedziała Jada. - Wyjdę z pracy wcześniej, podjadę po pizzę i urządzimy sobie wyżerkę u mnie w domu. Możecie przespać się u nas.

- Przespać się? Och, Jada, nigdy już nie będę mogła spać. Nigdy!

- Może to i dobrze. Sen to taka strata czasu. A ty masz mnóstwo sprzątanina. Dobrze się czujesz?

- Wziąwszy pod uwagę okoliczności. Jada?

-Tak.

- Dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę.

- Mam nadzieję, że wręcz przeciwnie. Mam nadzieję, że zapomnisz o tym, jak tylko wszystko wróci do normy. Istnieją ważniejsze sprawy, na przykład czy dzieci lubią pizzę z kielbasą, bo zapomniałam?

## **Rozdział 10**

Musisz coś robić, Kam - powiedział Estevan, jej ojciec, stojąc w drzwiach gabinetu.

- Niezdrowo tak leżeć i leżeć. Już ci to chyba zaszkodziło. Nic cienie interesuje.

Nawet nie wstałaś wczoraj w nocy, kiedy policja robiła nalot.

- Jaki nalot? - zapytała tępo.

- Nie słyszałaś syren policyjnych, całego rwetesu? Kam tylko potrząsnęła głową.

- Ale taśmę policyjną widziałaś? Przewrócili melinę do góry nogami. Kam

ponownie potrząsnęła głową. Nie wiedziała, o czym ojciec mówi

i nic ją to nie obchodziło.

- Kam, mieliśmy tu pod bokiem skład narkotyków, nie dalej niż dziesięć domów od nas. - Spojrzał na córkę z niedowierzaniem. - Kiedy po raz ostatni wyszłaś z domu?  
- Wyjdę później - powiedziała wymijająco. Nie wychodziła od tygodnia. Tkwiła nadal na kanapie, w bluzie Rangersów.

- Cudownie! Umówiłaś się z kimś? - Podeszedł i usiadł na oparciu kanapy.

- Tak, z matką - powiedziała Kam posepnie. Wolała, żeby ojciec nie podchodził zbyt blisko. Nie kąpała się, nie myła zębów i nie opuściła domu od przyjazdu i nawet ona musiała przyznać, że robi się dziwna.

- O, więc wróciła? - zapytał Estevan. Kam zauważyła, że ojciec sili się na niedbały ton, skrywając prawdziwe zainteresowanie. O ile się orientowała, rodzice nie rozmawiali ze sobą. Estevan przestał istnieć dla matki, wykreśliła go po prostu z listy poruszanych przez siebie tematów. Mimo to Estevan zawsze wiedział, gdzie w danym momencie znajduje się Natalie.

- Nie zaangażuj się tylko w pracę dla tych ofiar bożych! - powiedział. - Nie po to opłacałem twoje studia, żebyś pomagała bandzie nieudaczników.

- Nie opłacałeś moich studiów - przypomniała mu Kam. Ojciec miał dziwny stosunek do pieniędzy. Najpierw był biedny, potem bardzo bogaty, ale niezmiennie irytowało go, że Natalie i Kam mogą się doskonale obejść bez jego pieniędzy. Mimo kilku niewydarzonych inwestycji, nadal był dobrze sytuowany.

- Proszę, Kam! Przyjmą cię z pocałowaniem ręki do każdej firmy na Park Avenue. Mógłbym ci pomóc.

- Już mi pomogłeś - powiedziała Kam. - Byłeś wspaniały. - Pocałowała go w policzek.

Estevan przerzucił ciężar ciała na jeden pośladek, sięgając do tylnej kieszeni spodni po portfel. Wyciągnął plik banknotów i podał je córce.

- Posłuchaj, jesteś piękną dziewczyną. Wybierz się do miasta. Idź do fryzjera, zrób sobie manikiur.

Kam usiadła, pocałowała ojca i pozwoliła, by wcisnął jej w rękę pieniądze. Nie potrzebowała ich, ale wiedziała, że w ten sposób stara się jej okazać czułość.

- Zaraz mi powiesz, żebym kupiła sobie kapelusz.

- Chcesz kupić kapelusz? - zapytał Estevan, otwierając ponownie portfel. - Kupię ci tyle kapeluszy, ile zechcesz.

Kam nie mogła się nawet uśmiechnąć.

- Nie, tatusiu. Kapelusz w tym przypadku jest tylko symbolem. Mężczyźni kiedyś uważali, że kiedy kobieta jest nieszczęśliwa wystarczy kupić jej kapelusz, żeby poczuła się lepiej.

- Kiedy to było?

- W latach pięćdziesiątych, zdaje się.

- To nieprawda. Nigdy nie powiedziałem twojej matce, żeby kupiła sobie kapelusz.

- A więc musiała to robić na własną rękę. - Kam opadła z powrotem na oparcie, przywykła już do ciepłej, choć nieprzyjemnie kleistej skóry, która na nią czekała. „Prawdopodobnie już tylko na dotyk takiej skóry mogę liczyć”, pomyślała posepnie i zapatrzyła się w absurdalne szlaczki na suficie. Matka wracała dzisiaj do domu, co oznaczało, że Kam weźmie prysznic. Ponieważ nie ma żadnych ubrań, a woli raczej umrzeć niż założyć idiotyczną kieckę, w której była w klubie, nie zaszkodzi, jeżeli po drodze wstąpi do domu towarowego „Cross Country”, kupi dzinsy i kilka koszul. Już sama myśl o tym wyczerpała ją do cna. Wysilek, jaki ją czekał: przyjęcie pozycji pionowej, dojście do samochodu, dojechanie do Poughkeepsie, zaparkowanie i znalezienie mieszkania matki był przerażający. Kam czuła, jakby życie wyssało z niej całą energię. Ale musiała jechać, matka była jej ostatnią nadzieją. Albo Natalie Rosen powie jej, co ma zrobić, albo Kam będzie zgubiona.

Lisa, jedyna bliska przyjaciółka, radziła Kam, żeby nie wracała, nie myślała o Reidzie, nie zapomniła ani na chwilę, jak niewybaczalną zdradę popełnił. Rada była dobra i Kam ogarniał wstyd na myśl, jak często wypłakiwała się Lisie w słuchawkę.

Przy ojcu nie mogła płakać, żeby nie doprowadzić go do rozpacz. Był przecież Kubańczykiem; jedno z dwojga - rozpląkałby się razem z nią albo pojechał zabić Reida. Kam spojrzała na Estevana. Przysiadł na drugim końcu kanapy, ruchem głowy nakazawszy córce, żeby cofnęła nogi. Zwinęła się w kłębek, dotykając głupiej kanapy plecami w nowym, niewygrzanym miejscu. Kam zadrżała. Tak, do tego będzie się musiała przyzwyczaić, do dotyku sztucznej skóry. Spędzi życie, kuląc się przed chłodem, wiecznie złąkniona odrobiny ciepła.

Spojrzała na kwiaty, które przysłał jej mąż, skurwiel. Nie włożyła ich do wazonu i zaczynały więdnąć, płatki pobrązowały na brzeżkach. Bukiet był metaforą jej życia - ona również zwiędnie na długo przed czasem z powodu rażącego braku troski. Kiedy ojciec położył dłoń na jej łokciu, odwróciła wzrok od umierających kwiatów. „Zrobił to samo mojej matce”, pomyślała, kiedy zaczął mówić.

- Kam, posłuchaj mnie: nie możesz tak leżeć. Reid jest skończonym draniem. Zawsze nim był. Przebolejesz to. Postąpił podle, ale fakt, że ci o tym powiedział, jest niewybaczalny. Powinnaś...

- Co przez to rozumiesz? - zapytała choć znała przecież podwójną moralność ojca. Cecha latynoska. - To znaczy, że wszystko byłoby w porządku, gdyby pieprzył tamtą kobietę, nie mówiąc mi o tym? - Przyciągnęła kolana do piersi i potrząsnęła głową. - Dzięki Bogu, był dość głupi, żeby mi powiedzieć. A może nie mógł znieść poczucia winy? Inaczej nadal żyłabym w kłamstwie.

W tym momencie Kam nienawidziła swojego ojca i wszystkich mężczyzn.

Egoistyczne, tępe, niewrażliwe dranie. A Reid najgorszy ze wszystkich. Przez

te pięć? siedem? dni Kam odgrywała w pamięci sceny z ich narzeczeństwa, ślubu, małżeństwa. Ten tydzień, kiedy wybrali się do Vail i ani razu nie wyszli na stok? Kłótnia w bostońskim supermarkecie o majonez. Sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy po raz pierwszy założyła niebieską sukienkę. Przeszłość. Bezwartościowe, głupie wspomnienia głupiej dziewczyny.

Ale jakaś część jej umysłu odmawiała przyjęcia zdrady do wiadomości faktu. Gdyby Reid umarł, znalazłaby pociechę w świadomości, że na równi z nią pragnął zachować ich szczęście. Myśl, że teraz Reid jest szczęśliwy z kimś innym, że przeżywała ich szczęście samotnie, podczas gdy on czekał po prostu, żeby spotkać się z Sopranką była nie do zniesienia. Jej głupota, zaślepienie, jej rażące pomyłki w ocenie jego charakteru - wszystko było nie do zniesienia. Kam wiedziała, że wiele, może nawet większość, kobiet musi pójść na kompromis, skorygować swoje wyobrażenia o małżeństwie już po jego zawarciu, ale ona musiałaby się chyba wyrzec wszystkich swoich zasad.

Ojciec pogłaskał ją po stopie i gorące łzy napłynęły Kam do oczu. Nie mogła znieść niczyjego dotyku. Pragnęła stracić rękę ojca, a potem zwinąć się w kłębek, pełna gniewu, wstydu i rozżalenia, ale uśmiechnęła się tylko na znak, że rozumie jego intencje. Ojciec chciał ją pocieszyć. Kochał ją. Ale patrząc na niego, nie mogła odegnąć myśli, że on również zdradził kobietę - jej własną matkę. No, przynajmniej nie trzymał się jej spódnicy. Znudziła mu się, więc ją zostawił dla innej. Był jej ojcem, ale był też mężczyzną. Kam cofnęła stopę.

Pomóc mogła jej tylko matka. Nagle Kam zapragnęła znaleźć się jak najdalej od Estevana, być przy Natalie, przyjąc z rąk matki lekarstwo na zbolełą duszę.

Obrzydzenie do ojca dało jej siły, by podnieść się z kanapy.

- Idę do mamy - powiedziała.

- Kam, koniec z brakiem higieny osobistej i uzalaniem się nad sobą - powiedziała Natalie Rosen, pochylając się nad stołem. Pogłaskała córkę po głowie, ale szybko cofnęła rękę. - Rany! - Wytarła dłoń serwetką. - Przydałoby mi się trochę tego, co masz na głowie do skrzyni korbowej. - Wyjęła z torebki błyszczący do warg i podała Kam, która przez ostatni tydzień gryzła nerwowo dolną wargę. Matka patrzyła, jak nakłada szminkę, potem westchnęła ciężko.

- W głębi duszy wiedziałas przecież, że Reid to prawdziwy drań. Może jesteś wstrząśnięta, ale nie powiesz mi, że zaskoczona.

Matka i córka siedziały przy malutkim stoliku w aneksie jadalnym studia, które odnajmowała Natalie. Nie sprawiało wrażenia domu, przypominało raczej wielki magazyn, pełen kartonów, książek i stosów papieru. Krzesła stały jedne na drugich, rulon dywanu wspierał się o ścianę, nigdzie nie było widać obrazów, fotografii ani plakatów. Kam przypomniała sobie przytulny

dom, jaki Natalie stworzyła dla swojej rodziny. Obecne mieszkanie matki budziło w niej lęk i odrazę. Czyżby matka się w końcu poddała? Czyżby potrafiła stworzyć dom tylko dla innych, nie dla samej siebie? Studio nie było sympatycznym miejscem, z pewnością nie było przytulnym kącikiem, który dałby schronienie jej, Kam.

- Powinnaś popracować w ośrodku - powiedziała Natalie. - Powinnaś zobaczyć, jak cierpią nasze siostry. Byłam teraz w Indiach, i coś ci powiem, kiedy mężczyzna znudzi się tam kobietą, teściowa oblewa ją naftą i podpala. Mają na to specjalną nazwę. Wypadki przy gotowaniu.

Kam wzruszyła ramionami.

- Cudownie! Więc powinnam być wdzięczna, że Reid nie zrobił ze mnie żywej pochodni?

Natalie wstała, sprzątnęła ze stołu nietkniętą sałatkę z kiełków i nasion słonecznika i podeszła do zlewu.

- Podać ci coś innego? - zapytała. - Mam sardynki, niestety, zabrakło krakersów. Kam zaprzeczyła ruchem głowy. Od wielu dni nie jadła nic konkretnego, ale nie zamierzała jeść sardynek. Zalała ją fala współczucia do samej siebie. Matka nie pamiętała nawet, że ona nie cierpi sardynek, nie cierpi ich od wczesnego dzieciństwa. Rodzice stanowili taką dziwną parę: matka była niespokojnym duchem, a ojciec domatorem. Przez dwadzieścia lat walczyli o to, kto się będzie kim opiekował, zapominając, że opieki wymaga przede wszystkim ona, ich córka. Miała cztery, może pięć lat, kiedy zgubiła się w zoo. Szukając matki, zabłąkała się do parku i zrozumiała, że nie trafi sama do domu. Postanowiła, że usiądzie na kamieniu i poczeka aż dorośnie, ponieważ jako dziecko nie potrafi odnaleźć drogi do domu. Nie płakała, kiedy matka ją znalazła. Uznała, że ma bardzo, ale to bardzo dużo szczęścia.

Teraz szczęście się od niej odwróciło. Nawet gdyby przesiedziała na tamtym kamieniu wszystkie te lata i powstała z niego jako dorosła kobieta, i tak nie potrafiłaby stworzyć domu. Przypomniała sobie, ile miłości i uwagi włożyła w urządzenie mieszkania w Marblehead. Wybieranie zasłon do salonu, zakup kanapy, ustawianie w kredensie porcelany, którą dostali w prezencie ślubnym; wszystko to było ekscytujące i bardzo męczące. Nie zdobyłaby się po raz drugi na taki wysiłek. Rozejrzała się po studio. A więc na to została skazana? Pokój w hangarze, pełen nierozpakowanych pudeł? Jej matka prowadziła kiedyś dom, w którym jadło się gorące, pożywne kolacje i spało w wykrochmalonej pościeli. Co się stało? Matka przeżywała załamanie nerwowe? Sprawiała pogodny wrazenie, choć teraz była zmartwiona i zaniepokojona o córkę. Czy tak żyły wszystkie samotne kobiety? A może jej matka cierpiała bardziej, niż to chciała okazać? Rozejście się z Laurą musiało ją sporo kosztować.

Cokolwiek przeżywała Natalie, dla Kam stało się jasne, że nie ma tu czego szukać. To mieszkanie nie było domem, było równie nieprzyjazne jej, jak matce. Równie dobrze mogła pójść do parku poszukać sobie kamienia.

Wraz z tą świadomością zważyło się na nią całe nieszczęście. Zaczęła płakać, a potem zawodzić. Jej ramiona podrygiwały spazmatycznie, a dźwięki, jakie wydawała były niemal... niemal obsceniczne.

Natalie przytuliła ją do siebie.

- Och, moja maleńka, moja kochana! - powiedziała i pogłaskała z miłością thuste włosy Kam. - Moja mała dziewczynka. Tak bardzo go kochałaś? Tak bardzo kochałaś tego durnia? Rozpaczaj, jak długo będziesz chciała. Ale myślę, że nie zaszkodziłoby, gdybyś poszła do fryzjera. Zdecydowanie powinnaś rozjaśnić włosy.

- Mamo, moich problemów nie rozwiążą pasemka!

- Nie, ale dobre i to na początek. - Natalie wzięła głęboki oddech. - Tak naprawdę nigdy nie lubiłaś tej pracy w Needham. Przyjęłaś ją, żeby być blisko Reida.

Kam wzruszyła ramionami. W tej chwili nie pamiętała już, dlaczego przyjęła posadę w Needham, wiedziała tylko, że trafiła się jej jak ślepej kurze ziarnko. Uzyskanie miesięcznego urlopu też nie było łatwe. Kam nie zamierzała rzucać pracy. Spuściła głowę, wiedząc, co się szykuje. -

- Dlaczego nie rzucisz w cholerę testamentów bogaczy i ich funduszy powierniczych? - zapytała matka. - Dlaczego nie przyłączysz się do nas?

Kam oderwała wzrok od blatu stołu i spojrzała na matkę. Kancelaria Natalie świadczyła usługi prawne zdesperowanym, żalonym kobietom w tak beznadziejnej sytuacji finansowej, że nie stać ich było na opłacenie adwokata.

- Nie mogę tam pracować - powiedziała Kam, bardziej przerażona własną snobistyczną pogardą niż propozycją pracy w poradni. Ośrodek zajmował się wszystkim, od rozwodów począwszy, na problemach imigracyjnych i molestowaniu seksualnym kończąc. Kam nie była gotowa na to, by poświęcić się udzielaniu pomocy zdesperowanym. Sama była zdesperowana i sama potrzebowała pomocy. - Nie jestem zarejestrowana w tutejszej izbie adwokackiej.

- Co nie znaczy, że jesteś ubezwłasnowolniona. Mogę cię zaprzysiąc do czasu, gdy uzyskasz pozwolenie na pracę - powiedziała Natalie, stawiając na stole butelkę burgunda. Rozlała alkohol do szklanek z obrazkami dinozaurów. - Posłuchaj, co ci powiem. Po co wracać na miejsce zbrodni? Po co wracać do egoistycznego istnienia, myśleć tylko o własnych przyjemnościach, o własnym bólu? Wierz mi, jedno jest gorsze od drugiego. Przyłącz się do nas. Zarejestrujesz się raz dwa i dostaniesz sto kobiet z takimi problemami, że przygoda z Reidem wyda ci się przyjemną rozrywką. Czy wspominałam ci o osiemdziesięciodwuletniej kobiecie wyrzuconej z...



- Mamo, nie obchodzi mnie jej nieszczęście - przerwała Kam i łyknęła ze szklanki. - Mam własne. - Nie tego się spodziewała po matce. Chciała, żeby Natalie naprawiła jej stare życie, zamiast ofiarowywać nowe... nudne, straszne nowe życie z domem jak garaż i pracą gorszą niż w przytułku dla ubogich.

- Myślisz, że nie rozumiem? - Natalie uniosła brwi. - Oczywiście, że rozumiem. Możesz myśleć tylko o nim. Wyobrazasz sobie, że to się nie stało, wynajdujesz usprawiedliwienia, a jeśli ich nie ma, obarczasz winą siebie, żeby móc jemu wybaczyć. Mówisz sobie, że to się już więcej nie powtórzy. Tak, tak, wiem co myślisz. Ale są to tylko rozpaczliwe wysiłki szczura w labiryncie, szukającego tego guziczka, który należy nacisnąć, żeby na końcu eksperymentu otrzymać zwykłą dawkę kokainy. Myślisz wyłącznie o swoim byłym mężu, ponieważ masz nadzieję, że otrzymasz jakimś cudem swoją dawkę uczucia. Dawkę seksu.

Kam odwróciła głowę. Być może matka miała rację, ale cudza racja nie była jej w tej chwili potrzebna. Natalie pochyliła się nad stołem, chcąc być bliżej córki, ale Kam trzymała twarz odwróconą. Głos Natalie złagodniał.

- Wydaje ci się, że bez niego nie potrafisz żyć, że znalazłaś się w pułapce. Chcę ci tylko powiedzieć, że „zakochanie się” jest tylko formą uzależnienia. Pomaga zachować złudzenia. Odseparowuje cię od rzeczywistego życia, od prawdziwej miłości, którą możesz czuć do przyjaciela, do psa, nawet do mężczyzny. To uzależnienie sprawia, że czcisz księcia Reida, fałszywego bożka, którego ustawiłaś w swojej świątyni. Byłaś z nim tylko rok, Kam. Jesteś młoda, masz dopiero dwadzieścia osiem lat. Znajdziesz mężczyznę, jeżeli będziesz chciała. Dobrego człowieka, na którym można polegać. Faceta, który w niczym nie będzie przypominał Brada Pitta.

Kam wstała i sięgnęła po torebkę. Czuła się bardziej przygnębiona, ale mniej rozhisteryzowana niż w chwili, gdy tu przysła.

- Wyglądasz jak zbity pies - powiedziała Natalie, głaszcząc ramię córki. Przytuliła ją i Kam, zbyt słaba, by odwzajemnić uścisk, miała wrażenie, że topnieje w ramionach matki. Tego właśnie pragnęła: stopić się, przestać istnieć, zatracić na zawsze.

- Chcesz zostać na noc? - zapytała Natalie. - Mam łóżko rozkładane, którego używamy, gdy w ośrodku jest przepełnienie.

Kam z trudem powstrzymała drżenie. Myśl, że mogłaby spać na łożu boleści w tym hangarze sprawiła, że ojcowska kanapa i gipsowe potworki wydały się niemal upragnione.

- Nie - powiedziała. - Nic mi nie jest.

- Aha - przytaknęła matka. - Tobie nic nie jest, a ja jestem smukła. Kam wysiliła się na uśmiech, potem założyła płaszcz i wyszła.

## Rozdział 11

Vivian zadzwoniła z wiadomością, że jedzie po Franka. Czy Jada mogłaby odebrać jej dzieci z pizzerii na Post Road i odwieźć do domu?

Jada skręciła na podjazd, wysiadła i otworzyła tylne drzwi dla Jenny. Jenna wysiadła wolno, z wysiłkiem, jakby ostatnie dwadzieścia cztery godziny zmieniły ją z dwunastolatki w starą kobietę. Ale przynajmniej się ruszała; Frankie sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Szok pozbawił go wszelkich reakcji. Kiedy Jada wyniosła go z samochodu, zdumiał ją ciężar chłopca. Nie mógł ważyć więcej niż dwadzieścia pięć kilogramów, ale w stanie bezwładu był równie ciężki jak worki cementu, które Clinton z taką łatwością zarzucał sobie kiedyś na plecy. Jada przytuliła chłopca, wolną rękę kładąc na ramieniu Jenny.

Kiedy Clinton podniósł wzrok znad gazety, Jada zrozumiała, że szykują się olbrzymie kłopoty. Postanowiła za wszelką cenę udawać, że jest to dzień jak co dzień. A skoro normalnie ignorowała Clintona, nie należało teraz tego zmieniać.

- Kevon! Shavonna! Spójrzcie kto przyszedł - zawołała.

Ostatnio Shavonna nie przepadała za Jenną - na przemian kłóciły się i godziły - za to Kevon uwielbiał Frankiego. Wbiegł teraz do kuchni i stanął jak wryty na widok przyjaciela, którego Jada postawiła na podłodze. Przez chwilę chłopcy stali naprzeciwko siebie, potem Kevon przeniósł wzrok z nieruchomej postaci Frankiego na twarz matki.

- Co mu się stało? - zapytał głośnym szeptem, jakby już wiedział, że Frankie mu nie odpowie.

Jada czuła dezaprobatę Clintona przez całą szerokość pokoju. Był takim hipokrytą! Jego kolesie z pracy nieraz pakowali się w kłopoty i lądowali w areszcie za takie czy inne przewinienie. Zdarzało się, że sprowadzał kumpli do domu, dopóki stanowczo się temu nie sprzeciwiała.

- Źle spał - powiedziała. - Pamiętasz, jak źle spałeś u Billa? Kevon skinął głową.

- Frankie'emu spało się jeszcze gorzej. Ale teraz już wszystko dobrze. Jest z nami. - Przytuliła mocniej chłopca. Słowa skierowane do synka były w rzeczywistości przeznaczone dla Frankiego. Kevon, niech mu Bóg wynagrodzi, wyciągnął rękę do przyjaciela, który stał tak, jak go postawiła.

- Chodź, Frankie - powiedział. - My nienawidzimy Billy'ego. Kevon najwyraźniej zrozumiał, że Frankie spędził noc u jego małego

wroga. Jada nie zamierzała wyprowadzać go z będu, ponieważ Frankie pozwolił się wyprowadzić z pokoju. Odwróciła się teraz do Jenny, która żuła kosmyk swoich włosów.

- Kiedy wróci moja mama? - zapytała.

- Poszła na kolację z twoim tatą. Miał ochotę na pizzę. My też zaraz zjemy. - Jeszcze raz zawołała córkę, trochę głośniej. Shavonna weszła, niosąc dziecko.

- O, cześć! - powitała koleżankę zdawkowym tonem. - Nie mogę się teraz z tobą bawić. Opiekuję się siostrą.

- Jenna ci pomoże - powiedziała Jada pogodnie. Miała ochotę udusić córkę, a przecież Jenna nie była jeszcze nastolatką. - Jeżeli dobrze się spisiecie, zapłacę i jednej, i drugiej. - Czuła na sobie wzrok Clintona, jakby to było coś namacalnego. - Tylko nie chodźcie na górę - zarządziła. - Bawcie się z nią w dużym pokoju.

Jenna poszła, ociągając się za Shavonną Jada pospieszyła za nimi, czujna jak kwoka. „Bądź dla niej miła, Shavonno”, prosiła córkę w myślach. Tb nie jest pora na fochy. Sherrilee obśliniła ramię Shavonny.

- Blee! - powiedziała Jenna. Przejęła od matki gen czystości.

- To jeszcze nic - zapewniła ją Shavonna. - Szkoda, że nie widziałas, jak się potrafi usmarkać.

Jada odetchnęła z ulgą i pozostawiła dziewczynki same, uznawszy, że obrazowy opis funkcji fizjologicznych na pewno je zbliży. Zamknęła drzwi do salonu, potem do kuchni, starannie omijając wzrokiem Clintona. Jenna podziękowała za pizzę, więc Jada wyjęła dwie paczki mrożonych frytek, nasmarowała olejem roślinnym blaszkę do pieczenia ciasteczek, wysypała na nią frytki i wsunęła do piekarnika. Nalała do garnka wody, żeby podgrzać parówki z indyka. Rozejrzała się za jakąś zieleciną, którą mogłaby podać do hot dogów. W lodówce znajdował się jedynie stary jogurt truskawkowy. Przez ostatnie dwa tygodnie ona nie miała czasu, a Clinton ambicji, żeby posprzątać w lodówce. Co robić, powiedziała sobie, da im zieloną galaretkę i będzie udawała, że jest to pełnowartościowy posiłek.

Dziewczynkom należała się solidniejsza kolacja, jej zresztą też, ale sytuacja była kryzysowa.

Kryzys był zresztą poważniejszy, niż jej się wydawało. Clinton wstał z krzesła, na którym dotąd siedział, rozwalony, i podszedł do żony, ale nie po to, żeby pomóc jej w przygotowaniu kolacji. Zaniknął za Jada drzwi lodówki i oparł się o nie ramieniem.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał.

- Robię kolację, którą powinieneś zrobić ty? - zagadnęła. Facet był skończonym, niereformowalnym dupkiem.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Co te dzieciaki tu robią? Przymrużyła oczy.

- Te dzieciaki? - zapytała. - Masz na myśli Frankiego i Jennę? Te dzieciaki są tu zawsze wtedy, gdy naszych nie ma u nich.

- Już nie.

- Clintonie, nie zaczynaj ze mną. - Nie miała do niego cierpliwości. Nie dzisiaj. Nie teraz. Nie będzie jej pouczał ktoś, kto spędza dnie w łóżku innej kobiety, a wieczorami ignoruje własne dzieci.

- Nie powinny tu przychodzić - powiedział.

- Nie powinny? Dlaczego?

- Ponieważ nie chcę, by miały zły wpływ na moje dzieci.

- O, dzisiaj to są twoje dzieci? - Rzuciła mu złe spojrzenie. - Od kiedy? Bo nie były wczoraj, kiedy Shavonna musiała napisać recenzję książki, ani przedwczoraj, kiedy Kevon miał rozstrój żołądka. Uważasz, że Jenna stanowi zagrożenie dla Shavonny, która ją jawnie terroryzuje? Twoim zdaniem, Frankie byłby w stanie wpłynąć teraz na kogokolwiek? - Zaczęła nakrywać do stołu.

- Skończyłaś? - zapytał. - Pominęłaś sedno sprawy. Po pierwsze: to są dzieci handlarza narkotykami. Po drugie: jeżeli sądzisz, że policja nie obserwuje ich teraz, nie śledzi każdego ich kroku...

- Policja śledzi każdy krok Frankiego? No, to proste. Nawet ty dałbyś radę. Frankie ma paraliż.

- Daruj sobie ironię. Mówię ci, żeby one tu nie przychodziły. Do szczęścia brakuje mi tego, żeby gliny powiązały mnie z narkotykowym baronem.

- Narkotykowym baronem? Niech cię licho, Clinton! Wiem, że nie lubisz Franka i wiem, że mu zazdrościsz, ale on może być niewinny. Gdy zwiną któregoś z twoich szemranych kumpli, krzyczysz, że padł ofiarą policyjnego spisku, że go wrobiono. Clintonie, nie znaleźli ani uncji narkotyków u naszych sąsiadów. Nie sądzę, żeby Frank miał do czynienia z narkotykami. Łapówki, lewe kontrakty - tak, ale nie narkotyki. - Podeszła bliżej, ale nie tak blisko, by mógł jej dotknąć. Bezwiednie podniosła głos, a nie chciała, żeby dzieci ją słyszały, nie chciała nawet, by słyszał ją Clinton. Zastanawiała się, czy nie ryzykuje małżeństwem, rodziną w imię przyjaźni z białą kobietą, która najprawdopodobniej nie odpłaciłaby tym samym.

- Znasz Vivian. Znasz te dzieci. Wiesz, jak bardzo Frank je kocha, więc daj sobie spokój. Okaż trochę współczucia. Chciałbyś sprowadzić swoje dzieci do domu zdewastowanego przez umundurowanych wandalów? Vivian sprząta tam teraz, dam dzieciom kolację i pójdę jej pomóc.

- Mowy nie ma! - powiedział Clinton. Obszedł stół i chwycił ją mocno za rękę. Uwolniła się szarpnięciem, wyciągnęła przed siebie ramię, jakby chciała utrzymać go na bezpieczną odległość.

- Nie zamierzam dalej z tobą tym rozmawiać. Nie słyszałeś nigdy o tym, że człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy? Niby jesteś chrześcijaninem, ale chodzisz do kościoła tylko po to, żeby spotkać się z kochanką.

- Daj spokój, Jada! Frank Russo to jeden z tych białych...

- Kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy! Nie wiem, co Frank Russo zrobił, a czego nie zrobił. Wiem tylko, że nie sypia z kim popadnie, nie rozbija rodziny. Wiem, że nie wykorzystuje swojego kościoła jako domu schadzek. Miałaś mnóstwo czasu, by podjąć decyzję. Zmęczyło mnie czekanie. Czekałam i miałam nadzieję, że się na coś zdecydujesz. Nie zrobiłaś tego, więc muszę cię wyręczyć. Jeżeli jeszcze raz pójdziesz do Toni, możesz nie wracać. Mówię serio. Przebrałaś miarę.

- Nie groź mi! Nie odbierzesz mi dzieci. Sherrilee nawet nie chciałaś. Jada poderwała głowę, jakby ją uderzył.

- Nie radzę ci o tym ze mną rozmawiać. Niczego cię nie pozbawiam, niczego ci nie odbieram. To ty zrezygnowałaś z nas.

Clinton podszedł do niej bardzo blisko i jego zwaliste ciało, gniew bijący z twarzy sprawiły, że ogarnął ją lęk. Nie cofnęła się jednak.

- Nie waż się tam chodzić - powtórzył Clinton.

- Nie waż się mi rozkazywać. Zamiast się mądrzyć mógłbyś zrobić dzieciom kolację, wziąć się za coś pożytecznego. - Pochyliła się ku niemu, żeby pokazać, że się nie boi. - Słucham Boga i własnego sumienia, dopiero potem ciebie. Vivian jest moją przyjaciółką. Zrobiłaby to samo dla mnie. - Jada odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z kuchni w zbawczą chłodną ciemność.

## **Rozdział 12**

Po raz pierwszy od dwóch tygodni Kam miała na sobie własne ubranie; jeden z tych granatowych, poliestrowych garniturków, jakie nosiły kobiety w jej starej firmie. Z tą różnicą, że ten ciuch był naprawdę tani i na domiar złego o dwa numery większy, niż nosiła zazwyczaj. Wczoraj zmusiła się, żeby wstać, wyjść z domu i powlec się do sklepu odzieżowego „Przebój albo pudło”. Teraz, siedząc za kierownicą dodge'a popatrzyła po sobie z odrazą. Z pewnością nie można było nazwać garsonki przebojem, a więc musiało to być pudło. Ona sama była wielkim życiowym pudłem. Niezameżnym starym pudłem.

Garsonka była jej potrzebna, ponieważ wybierała się dzisiaj z wizytą do kobiecego ośrodka doradztwa prawnego. Jej matka twierdziła stanowczo, że powinna go odwiedzić, dla własnego dobra. Kam nie miała na to ochoty, ale nie miała ochoty w ogóle na nic. Męczyło ją nawet leżenie na plecach i gapienie się w sufit. Przez ostatnie cztery, pięć dni nie znalazła nic interesującego w telewizji, nawet na A & E. W domu nie było już nic do jedzenia, jeżeli nie liczyć niskokalorycznych herbatników w tekturowym pudełku.

Z dwojga złego Kam wolałaby już zjeść to pudełko. Nadal była okropnie nieszczęśliwa, ale musiała przyznać, że jest również znudzona.

- Musisz coś zrobić - nalegała matka. - Przyjedź do ośrodka.

Kam wyraziła zgodę, ale teraz, wciśnięta w rozmiar ósmy (dwa tygodnie temu wchodziła swobodnie w szóstkę), jadąc cudzym samochodem przez nieznaną dzielnicę marzyła tylko o powrocie na czarną kanapę.

Zatrzymała się przy biurowcu na Post Road, w którym mieścił się kobiecy ośrodek doradztwa prawnego. Już sam parking sprawiał przygnębiające wrażenie, różnił się zasadniczo od bostońskiego, gdzie samochód nie będący lek-susem lub volvo musiał być jaguarem lub mercedesem. Tutejsze samochody wyglądały jak przeniesione z innego obszaru kulturowego. Kam wysiadła z dod-ge'a i ruszyła w stronę biurowca, mijając stare chowoletty, przedpotopowe buicki i sfatygowane fordyski escorty. W holu nie znalazła wywieszki, zapytała więc o biura prawnicze, potem wdrapała się na drugie piętro, ignorując windę. Niech tam! Potraktuje to jako pierwszy trening w nowym życiu. Stała na podeście, zasapana. Ona, która wytrzymywała czterdzieści pięć minut na bieżni! Nic dziwnego, skoro spędziła dwa tygodnie w pozycji horyzontalnej.

Teraz pozostawało jej tylko stawić czoło Natalie. Po rozwodzie matka stała się nagle bardzo aktywna. Kam uznała to za dobry znak. Natalie poszła do szkoły prawniczej i od chwili uzyskania dyplomu reprezentowała wyłącznie kobiety będące w prawdziwej potrzebie.

Kam weszła do poradni dziwnie onieśmielona. Czarna recepcjonistka podniosła głowę znad papierów, ale zanim zdążyła się odezwać, zza jej pleców wyłoniła się Laura Hampton.

- Witaj, Kam! - powitała z uśmiechem córkę przyjaciółki. - Miło, że wpadłaś. Laura obeszła biurko recepcjonistki i pocałowała Kam w policzek. Kam lubiła Laurę, kobietę, która przeprowadziła rozwód matki, a potem... no cóż, zawładnęła niepodzielnie Natalie. Panie mieszkały razem prawie pięć lat, ale rozstały się w zeszłoroczne święta. Kam nigdy nie spytała dlaczego. Teraz Laura ujęła jej dłonie i zatrzymała w swoich.

- Twoja matka powiedziała mi o Reidzie. Tak mi przykro.

Kam skinęła głową, po czym rozejrzała się po poczekalni. Na przeciwległych końcach sfatygowanej kanapy siedziały dwie kobiety w średnim wieku, trzecia, boleśnie wychudzona Hinduska, zajęła krzesło po drugiej stronie pokoju, czujna i rozdygotana. Kam opuściła resztkę odwagi. Było dokładnie tak, jak sobie wyobraziła, może gorzej. Trzy kobiety wydawały się pogrążone we własnym nieszczęściu i Kam uznała, że nie musi wypowiadać się z własnego. Skinęła więc tylko głową i Laura zrozumiała.

- Gdzie jest matka? - zapytała Kam, czując narastającą panikę.

- Musiała stawić się w sądzie, ale niedługo wróci. Myślę, że za godziną tu będzie.

Kam próbowała się uśmiechnąć, ale skończyło się na kolejnym skinieniu głową. Powiesiła płaszcz w szatni i pospieszyła za Laurą krótkim korytarzem do pokoiku z jednym oknem, usytuowanym niemal pod sufitem. Pokój zastawiony był metalowymi szafkami katalogowymi, stało tam również odrapane biurko i dwa krzesła. Każdy skrawek powierzchni zawałały stosy papierów i teczek.

- Pracuje tu zwykle Karen Levin-Thomas - powiedziała Laura - ale teraz jest w szpitalu i wyjdzie dopiero za parę miesięcy. Usiądź, proszę.

Boże, nie! Ściany w kolorze wątrobianym, ubodzy klienci, duszna atmosfera nieszczęścia. Był to prawniczy odpowiednik szpitalnego oddziału intensywnej terapii. Kam pomyślała o swoim słonecznym gabinecie w Needham, o kwiatkach na parapecie, smugach popołudniowego słońca wpadających przez drogie żaluzje. Zatęskniła za nim rozpaczliwie: porządek, cisza, bezosobowe problemy, bufor z pieniędzy i jej elegancka przyjaciółka Lisa. Laura wydawała się nie zauważać nastroju Kam, przeprosiła ją na chwilę i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Kam była bliska załamania. Boże, co się stało z jej życiem? Popatrzyła po sobie. Spódnica miała już zagnioty, pasek się zrolował. Kam straciła męża, dom, jasne pasemka, pracę, rozmiar odzieży i swoją garderobę, wszystko za jednym zamachem. Nic dziwnego, że przechodzi załamanie. Co ona tu właściwie robi? Gorzej już nie może być.

- Przejrzyj to sobie, czekając na matkę - zasugerowała Laura przed wyjściem, miła i chłodna, zupełnie nieświadoma rozpaczy Kam.

Kam otarła oczy wierzchem dłoni. Po raz pierwszy od tygodnia nie płakała nad sobą, płakała nad innymi ludźmi, nad czymś nieokreślonym. Może nad światem złudzeń, który nagle utraciła. Miała wrażenie, że siedzi w tym zagraconym pokoju od kilku dni, siedzi w nim już tak długo, że zdążyła doświadczyć cudzego bólu. Przeglądała jedną teczkę po drugiej. Zawartość akt była straszna. Opisywały przypadki rozmaitych zrad dokonywanych najczęściej na kobietach, kobietach bitych, maltretowanych i wykorzystywanych przez mężów i szefów. Na wiele pytań Kam nadal nie potrafiła odpowiedzieć, zrozumiała natomiast, dlaczego się tu znalazła. Zaszokowały ją oczywiste błędy systemu prawnego, w wyniku których klientki przechodziły przez piekło, nie dość, że skrzywdzone przez ludzi, to jeszcze dyskryminowane przez wymiar sprawiedliwości. Lista krzywd ciągnęła się w nieskończoność.

Kobiety zgłaszające się do ośrodka rozpaczliwie potrzebowały pomocy i Kam uzmysłowiła sobie, że ona może im tej pomocy udzielić. Długo odsuwała od siebie tę prawdę; na studiach i po dyplomie, kiedy szukała pracy, i kiedy zaręczyła się z Reidem, i kiedy zatrudniła się w firmie reprezentującej ludzi bogatych. Zawsze wiedziała o posępnym zadaniu, jakiego podjęła

się matka, ale nie chciała mieć do czynienia z taką niesprawiedliwością, z cierpieniem. Chciała wieść swoje doskonałe, egoistyczne życie, jeżeli to możliwe - u boku Reida.

Więc dlaczego teraz, kiedy nie ma już Needham ani Reida, nadal nie chce słyszeć o pracy w ośrodku pomocy prawnej? Odczuwała niesprawiedliwość, odczuwała głęboko krzywdę innych ludzi. Choć było to trudne, Kam przeprowadziła analizę swoich uczuć. Zrozumiała, że oprócz litości doznaje nieprzyjemnego, mdlącego uczucia, którego podłożem mógł być strach. Te ponure akta, smutne istnienia ludzkie zamknięte w szare tekturowe okładki, zbyt żywo przypominały jej własne życie. I ona mogła skończyć samotnie, niekochana, jak te kobiety z teczek. Ogarnęła ją fala mdłości.

Od wielu, wielu dni walczyła z pragnieniem, by zadzwonić jeszcze raz do Reida. Wymyśliła sto powodów, dlaczego Sopranka odebrała telefon. Reid zatrudnił pokojówkę, przeprowadził się do rodziców i zlecił sąsiadce pieczę nad kwiatkami. Mógł również odnaleźć siostrę zagubioną przed trzydziestu laty, mógł przyjąć eunucha na współlokatora. Im bardziej te powody były absurdalne, tym bardziej pragnęła w nie uwierzyć. Odmówiła jednak przyjęcia dwóch następnych przesyłek od Reida - kolejnego bukietu i czegoś z księgarni, oparła się również chęci wykręcenia jego numeru telefonu.

Ale teraz, otoczona nieszczęściem innych ludzi, które mogło stać się jej własnym, Kam sięgnęła po słuchawkę. Wykręciła numer do biura męża. Słuchając sygnału po drugiej stronie linii, wiedziała, że powinna przerwać połączenie. Powinna zadzwonić do Lisy i potraktować rozmowę z nią jak środek przeczyszczający. Ale lęk przed samotnością był tak silny, że nie panowała nad sobą.

- Andover Putnam - oznajmiła recepcjonistka.

- Z Reidem Wakefieldem, proszę. - Sam dźwięk jego nazwiska sprawił, że dreszcz przeleciał jej po plecach.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do zagraconego pokoiku weszła matka. Kam przerwała połączenie, zawstydzona, jakby zamiast nieszkodliwej słuchawki telefonicznej trzymała w ręku wibrator. Krew napłynęła jej do twarzy.

- Dobrze się bawisz? - zapytała Natalie.

- Bawię się? Jestem tak wstrząśnięta, że ledwo widzę na oczy - przyznała Kam. Nie musiała wspominać o wszystkich powodach swojego wzruszenia. Odetchnęła głęboko i spojrzała na teczki.

- Ta sprawa Carolyn Stoyers o opiekę nad dziećmi! Albo to, co urząd imigracyjny zrobił tej Wietnamce...

- To jeszcze nic - powiedziała Natalie i rzuciła na biurko nową teczkę. - Przyjrzyj się temu. Chcesz wiedzieć, co to niesprawiedliwość, zobacz, co próbowali zrobić JoAnn Bloom. Szkoda, że Karen zachorowała. Ale jest twarda, wróci, jak tylko przejdzie chemioterapię.



Chemioterapię! Tylko tego brakowało do uzupełnienia scenerii. Nie widząc innego wyjścia, Kam usiadła za biurkiem ofiary raka i wzięła do ręki teczkę.

- A tymczasem? - Spojrzała w nieprzeniknioną twarz matki i uśmiechnęła się.

Wiedziała, że Natalie zarzuca przynętę i ma nadzieję, że córka połknie haczyk. Kam bała się, że faktycznie może to zrobić. Dlatego tak długo unikała podobnej sytuacji.

- Ładne biuro, prawda? - Natalie rozejrzała się po pokoiku.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Że poświęcisz kilka godzin swojego czasu, żeby nam pomóc.

- Kilka godzin? Trzeba życia, żeby to załatwić.

- Och, dużo, dużo więcej - powiedziała Natalie. - Ale mogłabyś wziąć parę spraw. Choćby po to, by zapłacić czymś czas, zanim znowu staniesz na nogi.

Kam знаła swoją matkę, rozumiała, że ulega manipulacji, ale mimo to skinęła głową. Nie utknie tu przecież na wieki. Nie może wrócić do Ne-edham, więc zakotwiczy się tutaj, póki nie znajdzie czegoś lepszego.

- Ale tylko chwilowo - powiedziała. - Później poszukam sobie innego zajęcia.

### **Rozdział 13**

Vivian klęczała na dywanie, zbierając odłamki szkła. Przestała płakać już dawno temu - po tym, jak zrezygnowała z poszukiwań Pookiego w ciemności i zaczęła sprzątać pokoje dzieci. Zapłaciła sześć worków. Podarte poduszki, zniszczone zabawki, zgniecione plakaty i inne elementy materialnego świata dzieci powędrowały do śmieci. Frank pomógł jej złożyć piętrowe łóżko syna, ale dokuczało mu złamane żebro i musiał się położyć. Uznali zgodnie, że im później dzieci zobaczą pokiereszowanego ojca, tym lepiej. Twarz Franka przeraziła nawet Vivian. Obłożyła ją lodem, ale było już za późno, by ta kuracja odniosła efekt. Trzeba się pogodzić z faktem, że przez następny tydzień Frank będzie straszył ludzi swoim wyglądem.

Klęcząc na dywanie, przypomniała sobie żart Jady. Faktycznie przypominała teraz Kopciuszka, z tą różnicą, że nie oczekiwała wizyty dobrej wróżki. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie przed dwudziestoma czterema godzinami dom był w idealnym stanie, a ona zamiast szkła zbierała z podłogi nieszkodliwe klocki. Łzy popłynęły na nowo, a ona nie mogła ich otrzeć, z dłońmi pełnymi szklanymi odłamkami. Zresztą po co? Zaraz napłyną nowe.

Czuła się jak ofiara karambolu. Ile racji było w tym, co powiedziała wczoraj. Większość wypadków zdarza się w domu.

Z posterunku policji Frank zadzwonił do swojego adwokata, który wyciągnął z aresztu ją i dzieci, a wkrótce potem również Franka. Rick Bruzeman okazał się niskim, bardzo dobrze ubranym mężczyzną, specjalistą swojej dziedzinie. Był niesłychanie skuteczny, chociaż daleki od okazania współczucia. Vivian chciała mu powiedzieć, jak brutalnie poczynali sobie z nimi policja, chciała mu powiedzieć, że są niewinni, że muszą napisać w prasie o tej bezprawnej inwazji na jej dom.

- Napiszą, o to może być pani spokojna - zapewnił ją adwokat.

Nie był zainteresowany tym, co chciała mu powiedzieć. Może słyszał podobne zapewnienia wiele razy przedtem, od ludzi, którzy wcale nie byli niewinni. Jego starania przyniosły natychmiastowy efekt - wydostał dzieci z izby dziecka i załatwił obniżenie kaucji za zwolnienie Franka - ale jego chłodny profesjonalizm sprawił, że Vivian poczuła się jak przestępca.

Stała na środku pokoju, z okruchami szkła w dłoniach, ze łzami na policzkach i patrzyła na swój dom. To było niesłychane, nie do wiary. Czy szukając tego, co rzekomo było tu ukryte, policja musiała niszczyć, rozrywać i rozbijać? Idąc przez pokój do kubła na śmieci, który ustawiła na środku, zauważyła coś dziwnego na dywanie. Pochyliła się, zdumiona. Najpierw myślała, że to ziemia z doniczek, ale była to kawa. Kawa! Ktoś otworzył, na oko sądząc - dwie lub trzy zalakowane puszki zmielonej kawy i nie tylko przesiał zawartość, ale rozsypał na dywanie. Rozdeptana kawa tworzyła wzgórki i doliny. Vivian pomyślała z posępnym humorem, że Frankie uznałyby je za idealny teren do potyczek disnejowskich bojowników - tworzyły bardzo realistyczne pole bitwy.

Wstała, wrzuciła okruchy szkła do kubła i rozejrzała się bezradnie. Obrazy i fotografie pozrywano ze ścian, roztrzaskano drewniane ramki. Z wielkiego lustra koło kredensu pozostały okruchy. Zawartość szuflad i szafek leżała rozwleczona po podłodze, razem z wnętrzościami wyściełanych mebli i poduszek. Puste powłoczki przypominały zużyte prezerwatywy.

Idąc po szczotkę, pomyślała, że jest w tym obrazie coś niemal brutalnie seksualnego. Czuła się tak, jakby została napadnięta albo zgwałcona. Starła się doprowadzić dom do porządku, ale nie mogła ukryć zniszczeń.

Przeszła przez jadalnię do holu. Powinna wyjść po krzesła, które stały na podjeździe, niby pijani krewni obwieszczający światu o rodzinnej tragedii. Powinna wyruszyć znowu na poszukiwanie Pookiego, ale wszystko to przerastało jej siły. Czuła na sobie wzrok sąsiadów za każdym razem, gdy wychodziła za próg. Zresztą, miała dość roboty w domu, miała jej tyle, że nie wiedziała od czego zacząć. Ale zamiast sięgnąć po nowe opakowanie toreb na śmieci, zawróciła i wspięła się na schody. Minęła ogołoczone pokoje dzieci i weszła do sypialni.

Frank, posiniaczony, z podbitym okiem, drzemał na łóżku. Wiedziała, że powinna dać mu odpocząć, ale nie mogła dłużej znieść samotności. Uchylił powieki, kiedy wyciągnęła się obok. Na widok jego ciemnych, zbolących oczu znowu zaczęła płakać.

- Frank, to jest takie straszne. Oni nas zniszczyli.

- Nieprawda! - Otoczył ją ramieniem. Cierpiał przy każdym poruszeniu, ale ona potrzebowała dotyku jego rąk. Łkała cicho przytulona do jego boku.

- Vivian, kochanie, zaatakowali nas, ale nie zniszczyli - powiedział głębokim, gardłowym głosem. - Nie wiem kto i dlaczego ściągnął nam policję na głowę, ale się dowiem, kochanie. Przysięgam, że to załatwię. Mamy najlepszego adwokata. Przeszukali dom i nic nie znaleźli. Nic! - Przytakiwała, z głową na jego piersi. - Dzięki Bogu, nic nam nie podrzucili.

Vivian zadrżała na tę myśl.

- Zaskarżymy miasto, zaskarżymy okręg, stan, jeżeli będzie trzeba. Zrób listę zniszczeń. Zapłacą! - Popatrzył na nią. - Tobie nic nie zrobili, prawda? Nie tknęli cię... - Nie, nie!

- Zapłacą. I nie tylko oni, Vivian, przysięgam ci.

- Ale dlaczego, Frank?

- Nie wiem, maleńka. Ale się dowiem. Bruzeman ma powiązania. Jest drogi, ale wart każdego centa.

Vivian nie zdradziła się ze swoimi uprzedzeniami wobec Bruzemana. Znowu pokiwała głową.

- Może to przez ten kontrakt na centrum handlowe? - zastanawiał się Frank. - Nie wiem. Ale nie zniszczyli nas. Nie tknęli cię, prawda? Nikt na posterunku cię nie dotknął?

- Nie, ale spójrz, co z nami zrobili. Z dziećmi. One... Ramię Franka stężało.

- Pieprzyć skorumpowanych drani!

- Zniszczyli wszystkie meble. Moje krzesła. Sofę. Idywan. I... Pookie zniknął. Nie przychodzi na wołanie. A sąsiedzi...

- Wróci, nie martw się. A jutro pójdziesz i kupisz sobie nowe meble - powiedział Frank. - Słyszysz? Kupisz sobie wszystko, co zechcesz, wszystko, co mogą dostarczyć od ręki. Meble nie stanowią rodziny, Vivian. Tylko zrób tę listę. Spisz, co zniszczyli, każdy przedmiot. Zwrócą nam wszystko co do centa. Trzymamy się razem i nic nam nie mogą zrobić. - Nakrył delikatnie dłonią jej policzek. Pomyślała, że włosy ma w strasznym stanie. Nie umyła ich dzisiaj. - Wiesz, że nie handlowałbym narkotykami. Wiesz o tym, prawda?

Popatrzyła na jego posiniaczoną twarz i kiwnęła głową.

- Trzymamy się razem i nikt nam nie może nic zrobić - powtórzył Frank. Pochylił się, żeby ją pocałować. Potem przyłożył głowę do ramienia żony, wtulając twarz w jej włosy, jakby ich rudawy poblask mógł go ogrzać.

Vivian leżała, czerpiąc siłę z bliskości jego ciała, dopóki oddech Franka się nie wyrównał. Wtedy wstała, pokrzepiona na duchu, i wróciła na dół, żeby dalej walczyć ze zniszczeniem.

- Święci pańscy! - zawołała Jada. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, ale spojrzawszy na Vivian, uznała, że lepiej potraktować sprawę lekko. - Znowu przemeblowujesz dom? No, jedno jest pewne, Martha Stewart tu nie mieszka. Nie sądziłam, że policja może zrobić coś takiego z domem białego. Jezu, dopomóż nam! Vivian, która taszczyła kolejny worek śmieci, wzruszyła ramionami.

- Jeżeli Jezus chce nam pomóc, niech podeśle więcej worków na śmieci - powiedziała.

Jada pokręciła z niesmakiem głową i odstawiła krzesło, które przyniosła z podjazdu.

- Pójdę po następne - powiedziała.

- Widziałas może Pookiego? - zapytała Vivian bez wielkiej nadziei.

- Uciekł? Widziałam, jak biegł wczoraj ulicą. - Jada dotknęła ramienia Vivian. - Tak mi przykro! Dzieci muszą być... - Potrząsnęła głową. - Rany, to wygląda jak miejsce katastrofy kolejowej.

- Zawsze powtarzam, że... - Vivian próbowała zażartować, ale wzruszenie ścisnęło jej gardło. Przyjaciółka odważyła się przejść pod tą straszną żółtą taśmą, którą policja opasała jej dom. Vivian nie miała wyższego wykształcenia, ale nie była głupia. Wiedziała, że z każdego domu na cichej, pozornie wyludnionej ulicy, śledzącyjeś oczy. Każdą zmianę, inwestycję, każde wydarzenie w tej dzielnicy oceniano podług tego, jaki będzie miała wpływ na wartość nieruchomości. Czy odrestaurowanie starego parku podniesie cenę metra kwadratowego ziemi? Czy wzrost podatku od nauczania obniży wartość domu?

„Ciekawe jak wpłynie na nią obecność w sąsiedztwie handlarza narkotykami”, zastanowiła się. Prawdopodobnie zdoła ją tak, jak zdołowała niejaką Vivian Russo. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedyś odważy się stanąć w ogródku, pomachać panu Shriberowi, kiedy rankiem mijał truchcikiem jej dom, pozdrowić przejeżdżających sąsiadów. A jeżeli chodzi o Jadę... Że też kobieta, która musiała nieustannie walczyć o akceptację w tej dzielnicy, odważyła się zignorować czujne, choć niewidoczne oczy, przekroczyć zakazaną linię! Vivian szloch utkwiał w gardle. Nie chciała pokazać po sobie, jak jąto obeszło, jak fatalnie się czuje. Nie musiała jednak nic mówić; w rozszerzonych łękami oczach Jady malowało się zrozumienie.

- Przykro mi, że cię w to wciągają... - zaczęła Viv. - Masz własne problemy.

- Faktycznie, nie narzekam na brak kłopotów - przyznała Jada, zbierając śmieci.

Viv poczuła się winna. Nawet nie zapytała, jak układają się małżeńskie sprawy przyjaciółki.

- Rozmawiałaś z Clintonem?

- Postawiłam mu ultimatum; albo zdecyduje się do końca tygodnia, albo idę do adwokata.

- Och, Jado! Nie mogę w to uwierzyć? Jak on mógł? Chyba zwariował?

- Nie wiem, czy Clinton, ale ta Tonią z pewnością. Wydaje się jej, że Clinton to nie lada zdobycz. Ciekawe, czy ma zamiar go utrzymywać? Doprawdy nie wiem z czego. Wariatka z Martyniki, której wydaje się, że jest cesarzową Józefiną. - Jada otworzyła ostatni worek i zaczęła wrzucać do niego szczątki ramek.

- Chcesz powiedzieć, że to ta kobieta, którą poznałam na zebraniu kościelnym? - zapytała Vivian z niedowierzaniem. - Ta w kapeluszu, z włosami zrobionymi na rudo? Nie!

- Tak, tak! - prychnęła Jada, nie przerywając sprzątanania. - Wierz mi, nie jestem zazdrosna. Nie chcę z nim sypiać. Ale jest moim mężem. Jestem gotowa mu wybaczyć, jeżeli z nią zerwie, chociaż nie mogę się nadziwić, że ma taki zły gust. Wydawałoby się, że piętnaście lat pożycia powinno go w jakiś sposób udoskonalić. Pokazałam mu, jak się ma czesać, jak ubierać, co jeść i co pić. Teraz okazuje się, że to wszystko poszło na marne.

- Jak ci się wydały dzieci? - zapytała Vivian, wracając myślami do własnych problemów.

- Są wstrząśnięte i nie można się im dziwić. To nie była rewizja, to była wendeta - powiedziała Jada, rozglądając się po pokoju.

- Trzeba było widzieć ten pokój, zanim wyniosłam pierwszy tuzin worków.

- Oni chyba bardzo chcieli coś znaleźć - stwierdziła Jada. -1 mówisz, że wyszli z niczym? Rany, gdyby tak rozbebeszyli mój dom, znaleźliby maryhę z lat sześćdziesiątych. - Potrząsnęła głową, zagryzając usta. - Nie wiedziałam, że policja może tak potraktować białych.

Vivian wzruszyła ramionami.

- Frank uważa, że ktoś chce mu się dobrać do skóry. -1 udało mu się, sądząc ze zdjęcia.

- Z jakiego zdjęcia? Jada uniosła obie dłonie.

- Lepiej nie pytaj. - Podeszła do Vivian i ujęła ją za ramiona. - Wiem, że rzadko chodzisz do kościoła, ale to jest odpowiednia chwila, by poszukać wsparcia u Najwyższego. Musisz być gotowa na wszystko, ponieważ będzie gorzej, zanim zrobi się trochę lepiej.

- Poszukam wsparcia u Franka - powiedziała Vivian. - A gorzej już być nie może - dodała, spoglądając na ogołocony pokój.

- Obyś miała rację. Ale ludzie potrafią być bardzo, bardzo okrutni, a wymiar sprawiedliwości bardziej bezduszny niż policja. Wierz mi, w White Plains

widziałam mnóstwo ludzi, którym przytrafiło się to samo, co wam. Niewinnych ludzi. I paru winnych, którzy nie zasługiwali na to, by ich mieszać z błotem. - Pogłaskała Vivian po ramieniu. - No, dość tych czarnych przepowiedni. Wysprzątajmy dom, zanim przyjdą dzieci. Vivian popatrzyła uważnie na przyjaciółkę.

- Jak uważasz, powinnam zatrzymać je jutro w domu? - zapytała. - Dać im czas, żeby się trochę otrząsnęły?

Jada przypomniała sobie Annę i jej niezdrową ciekawość, nawet radość z kłopotów Vivian.

- Skoro i tak muszą stawić czoło sytuacji, lepiej niech to zrobią od razu.

## **Rozdział 14**

Jada wróciła do domu o trzeciej nad ranem, skrajnie wyczerpana. Zapełniły z Vivian dwadzieścia worków na śmieci, odkurzyły cały parter, ustawiły w szafkach kuchennych ocalałe naczynia, głównie garnki i patelnie, wyrzuciły potłuczoną porcelanę, zamiotły i zmyły podłogę. Dom nie był w idealnym stanie, ale przestał budzić grozę.

Jada zdjęła buty i ustawiła je na macie przy drzwiach. Clinton nigdy nie wykończył sieni. Deski podłogowe leżały na stosie w miejscu, gdzie powinna stać szafka na buty. Jada była zbyt zmęczona, by to ją mogło zirytować, zdjęła płaszcz i przerzuciła go przez oparcie krzesła w kuchni. Zwykle karciała za to dzieci i Clintona, ale teraz zobojętniała na wszystko. Chciała tylko znaleźć się w łóżku i o wszystkim zapomnieć. Sprzątanie zdemolowanego domu sąsiadów wyczerpało ją fizycznie i emocjonalnie. A także napęliło lękiem. Aż do wczoraj była przekonana, że chociaż jej się nie poszczęściło, życie większości ludzi, choćby Vivian Russo, osadzone jest na trwałych podstawach. Ha! Wiedziała, że wszystko spoczywa w ręku Boga, ale przeraził ją widok zdewastowanego domu Vivian, pobitego Franka i dzieci sparaliżowanych strachem. Pomyślała o Annie i innych dziewczętach w banku. Dwie wychowywały samotnie dzieci i tak jak ona żyły od wypłaty do wypłaty. Rozejrzała się po niewykończonej sieni i kuchni. Kiedyś była dumna z Clintona. Postrzegała go jako budowniczego, mężczyznę, który potrafi podjąć działanie i doprowadzić je do końca. Teraz nie budował, lecz niszczył. Niszczył jej rodzinę. Cóż, musi być wdzięczna za to, co ma. Odmówiła krótką modlitwę dziękczynną. Mogło być o wiele gorzej.

Stąpając na palcach, podeszła do drzwi sypialni najmłodszej córeczki. Był to jedyny całkowicie wykończony pokój. Clinton pomalował ściany i zbudował stolik do przewijania, razem z komodą na rzeczy. Jada pchnęła drzwi

i wsunęła głową do środka. Sherrilee nie było w łóżeczku. Czyżby Clinton pozwolił małej spać z Jenną i Shavonną? Przeszła szybko do pokoju starszej córki. Jenna leżała skulona na rozkładanym tapczanie. Nie było jednak na nim ani Shavonny, ani Sherrilee.

Jada zmarszczyła brwi. Dziwne, pomyślała. Może wpakowały się obie do łóżka taty, chociaż Shavonna od dawna tego nie robiła. Chyba że pokłóciła się z Jenną i chciała od niej uciec. Nie starając się już o zachowanie ciszy, Jada poszła dalej korytarzem, powtarzając sobie, że wszystko jest w porządku, że problemy przyjaciółki wytrąciły ją z równowagi i stąd te nieuzasadnione obawy.

Dotarła do małżeńskiej sypialni i pchnęła drzwi. Wszystko w porządku, w porządku, powtarzała te słowa jak litanią. Ale w pokoju nie było dzieci ani Clintona. Na środku niepościelonego łóżka leżała kartka papieru. Jada pochwyciła ją łapczywie.

*Jado,*

*Podjąłem decyzję. Zostawiam Cię i zabieram dzieci. Twoja praca, Twoje poglądy i niepożądane znajomości utwierdziły mnie w przekonaniu, że jesteś nie tylko złą żoną, ale i złą matką. Mój адвокат, George Creskin, wkrótce się z Tobą skontaktuje. Dzieci powiedziały mi, że nie chcą przebywać z dziećmi handlarzy narkotykami.*

*Clinton*

Jada przebiegła wzrokiem treść, raz, drugi, trzeci. Przecież Clinton nie wyrażał się w ten sposób! To nie był jego styl. Postradał zmysły? Serce waliło jej w piersiach, jakby chciało je rozerwać. Pobiegła do pokoju Kevona, pchnęła drzwi, ale tylko Frankie spał na dolnej pryczy piętrowego łóżka. Odwróciła się i podbiegła do szaty ściennej, gdzie trzymała walizki i plecaki. Wszystkie zniknęły. Jak oszalała ćma rzuciła się do pokoju Shavonny i rozwarła drzwi szafy. Ujrzała puste wieszaki. W komodzie brakowało bielizny, skarpet i bawełnianych koszulek. Nie było ubrań, nie było jej dzieci.

Nieprzytomna ze strachu pobiegła do swojej sypialni. Zniknęły buty Clintona, jego dwa garnitury i skórzana kurtka. Zwariował! Zabrał jej dzieci. Myślał, że ona puści mu to płazem? Myślał, że po to urabiała sobie ręce po łokcie, żeby on mógł zabrać jej rodzinę i wymaszerować z domu? I co on z nimi zrobi, z jej dziećmi, teraz, kiedy już je ma? Nie potrafił się nimi opiekować nawet tutaj, na miejscu. Clinton nie miał dokąd pójść. Z czego zapłaci za hotel, za opiekunkę do dzieci? Nie miał pracy, pieniędzy, znikąd pomocy. Nie był w dobrych stosunkach z matką.

Zerwała się, żeby gdzieś biec, kiedy uzmysłowiła sobie całą grozę sytuacji. Stała u szczytu schodów jak porażona. Ogarnął ją taki strach, że

zabrakło jej tchu i musiała usiąść, zjedną nogą podwiniętą pod siebie, drugą zwisającą ze stopni jak długi, gładki ogon zbitego psa. Do kogo powinna zadzwonić? Co powinna zrobić? Podniosła dłoń do ust, żeby powstrzymać krzyk. W domu spały dzieci.

Nie mogła zadzwonić na policję - to chyba nie była sprawa policji? Nie mogła zadzwonić do adwokata, nie tylko dlatego, że był środek nocy, ale zwyczajnie dlatego, że żadnego nie znała. Rodzice mieszkali na Barbados, żadne z nich nie było już w kwiecie wieku. Nie mogła uraczyć ich taką wiadomością.

Prawą ręką uchwyciła się poręczy schodowi zamarła w tej pozycji. Clinton nie mógł jej tego zrobić! Przecież nie mógł tak bardzo jej nienawidzić. A dzieci? Czy odeszły dobrowolnie? Okłamał je, zmusił, żeby z nim poszły? Jada potrząsnęła głową, jakby chciała odegnąć rzeczywistość.

Jej małżeństwo się rozpadło. Przynajmniej to nie ulegało wątpliwości. Rodzina się rozpadła, ale Jada wiedziała, że odnajdzie swojej dzieci, zabierze je do domu i ocali. Temu domowi i tym dzieciom poświęciła życie, i nikt jej tego nie odbierze, dopóki będzie mogła choć palcem ruszyć.

Ale teraz, w ciemności, na szczycie schodów, Jada opuściła głowę na kolana i cicho zapłakała.

## **Rozdział 15**

Pojadę z tobą jeżeli chcesz - powiedział Estevan w drodze na lotnisko. - Ale uważam, że w ogóle nie powinnaś jechać. Na pewno nie sama. Z przyjemnością będę ci towarzyszył.

- Muszę jechać sama, tato. - Kam poklepała ojca po ramieniu. - Chcę to załatwić raz dwa, bez zbędnego zamieszania. Zabiorę swoje rzeczy i wracam. Reid może zatrzymać sprzęt stereo i meble. Ale muszę usunąć stamtąd ubrania, zdjęcia...

- On tam będzie? - ryknął Estevan. - Ten sukin...

- Nawet nie wie, że przyjeżdżam - uspokoiła go Kam. - Nie jadę, żeby się z nim zobaczyć. Nie martw się. Skończyłam z nim. Chcę tylko odzyskać swoje rzeczy. - Wymownym gestem uniosła klapy taniego żakietu.

- Okay. Umówiłaś się z tymi facetami z firmy przewozowej?

- Tak. - Kam zabrała torebkę i apaszkę. - Mają kartony i furgonetkę. Kursują między Bostonem i Nowym Jorkiem, i dostarczą rzeczy w przyszłym tygodniu.

Estevan skinął głową i przechylił się nieporadnie, żeby ją uściskać.

- No dobrze, dziecko. Na pewno nie podstawisz ci limuzyny? Nie potrzeba ci gotówki? - zawołał, kiedy wysiadała już z samochodu.



Kam skinęła głową. Nie poprosiłaby o pieniądze i przyjmowała je niechętnie, ale była splukana. Estevan wręczył jej kilka studolarówek i kartę kredytową na jej nazwisko.

- Na wszelki wypadek - powiedział. Kam łzy napłynęły do oczu. Nachyliła się, żeby zajrzeć do wozu.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma sprawy. I wrócisz dzisiaj?

- Na pewno. Może umówię się z Lisą na drinka, ale wtedy zadzwonię. Przyjechała na lotnisko dość wcześnie, by zdobyć miejsce przy oknie.

W dni powszednie południowy samolot nie był przepelniony. Kiedy stewardesa zamknęła właz, fotel obok Kam był nadal pusty. Usiadła wygodnie, założywszy nogę na nogę. Właściwie nie była pewna, dlaczego przeprowadza tę na wpół tajną ekspedycję. Nie powiadomiła o swoim przyjeździe Lisy ani Reida. Nie zamierzała tknąć jego rzeczy, odrąę budziło w niej nawet to, co było ich wspólną własnością, ale chciała usunąć z tamtego domu wszelki ślad po sobie. Chciała uświadomić Reidowi, że odeszła.

Zawsze wierzyła, że przestrzeń przejmuje cechy osoby, czy ludzi, którzy ją zamieszkują, nawet wbrew ich woli. Nowy dom ojca wydawał się tak opuszczony, tak zapomniany jak on sam. Był to dom człowieka, który utracił rodzinę. Mieszkanie matki było jeszcze gorsze. Ale Kam pamiętała dom, w którym mieszkali w czasach, gdy jeszcze stanowili rodzinę, dom przepelniony ciepłem. Zużyte garnki w kuchni, meble zarzucone poduszkami, rodzinne zdjęcia, pamiątki, rysunki dzieci. Takie przytulne miejsce. Chciała dać je Reidowi, zaczęła je tworzyć, a teraz już nigdy tego nie zrobi. Zrozumiała, że zadanie, jakiego się podjęła, będzie trudniejsze, niż się wydawało. Im więcej o tym, myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że potrzebna jej pomoc Lisy. Kam ujęła słuchawkę telefonu wmontowanego w oparcie fotela, wsunęła kartę kredytową i wystukała numer do przyjaciółki. Miała nadzieję, że Lisa jest w biurze, ale dodzwoniła się tylko do poczty głosowej. Cholera! Cóż, zostawi wiadomość, licząc na to, że Lisa nie spędza dnia w sądzie. Poczta głosowa miała tę przewagę nad sekretarką, że nie plotkowała. Bóg jeden wie, jakie poruszenie wywołało wśród sekretarek zniknięcie Kam z firmy. Pożerały Reida wzrokiem, kiedy przychodził po nią do biura, strach pomyśleć, co by się działo, gdyby wiedziały, że go opuściła. Wiadomość, jaką zostawiła w poczcie głosowej była dosyć enigmatyczna. - Lisa, nie wiem, kiedy dostaniesz tę wiadomość, ale chcę cię o coś prosić. Zadzwonię za godzinę.

Odwiesiła słuchawkę, wcisnęła guzik kończący rozmowę i zaczęła się zastanawiać, czy Lisa rozpozna jej głos. Nie podała swojego imienia. Wsunęła telefon do futerału i wsparta o ścianę samolotu spoglądała przez okno na chmury.

Nagle opuściła ją energia. Chyba przeliczyła się z siłami. Wrócić tam, zobaczyć ich dom, mieszkanie, łóżko. Cóż, ma do pomocy dwóch krzepkich

Irlandczyków, zabierze swoje rzeczy i zniknie. No i pozostawała nadzieja, że pojawi się Lisa - podpora duchowa. Przemknęło jej przez myśl, że jedno, ostatnie spotkanie z Reidem mogłoby podziałać na nią oczyszczająco, jak środek na wymioty. Z pewnością poczułaby się lepiej, gdyby mogła mu powiedzieć, jaką krzywdę jej wyrządził. Zrzuciłaby część ciężaru z serca, pozbyła się tego dręczącego uczucia niedowierzania. Myśl o spotkaniu z Reidem dodała jej jakiejś nerwowej energii. Wyciągnęła ponownie telefon, drżącymi palcami wyłuskała kartę, wystukała numer. Wolą nie myśleć, co będzie, gdy ojciec otrzyma wykaz rozmów. Uzyskała połączenie. W słuchawce odezwał się głos sekretarki Reida, starszej pani o imieniu Shirley. Shirley poprosiła o podanie nazwiska i Kam po raz pierwszy zwróciła uwagę na jej głos, wysoki, bardzo młodzieńczy. Przez chwilę zastanawiała się, czy Shirley może być Sopranką. Ale знаła sekretarkę osobiście. Była naprawdę stara.

- Dzwoni żona - odparła chłodno.

- O! - Shirley nie zdołała ukryć zdziwienia, ale powstrzymała się od komentarzy. Kam usłyszała ciche kliknięcie, a po kilku sekundach głos Reida.

- Kam? Czy to naprawdę ty?

-Tak.

- Boże! Kam! Myślałem, że już nigdy się nie odezwiesz. Myślałem, że... Skąd dzwonisz?

- Z samolotu - powiedziała Kam i, dziwna rzecz, dodało jej to pewności siebie. Zabrzmiało tak światowo, dzwoniła do niego z samolotu, tylko tutaj mogła znaleźć wolną chwilę. Pożałowała, że nie leci do Rio albo do jakiegoś innego, równie egzotycznego miejsca.

- Kam, dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś - urwał i Kam usłyszała, jak przetyka ślinę.

- Wiem, że zrobiłem coś niewybaczalnego...

„I nadal to robisz”, dodała Kam w myślach i natychmiast przyszła refleksja. Czy to możliwe, że źle go osądziła? Może rzeczywiście jego zdrada była kwestią przeszłości?

„Weź się w garść, dziewczyno!”, skarciła się ostro. Jakie to ma znaczenie?

Rozejrzała się, chcąc sprawdzić, czy nikt jej nie słyszy. To było szaleństwo odbywać tę rozmowę w publicznym miejscu.

- Postąpiłeś haniebnie - powiedziała. - Nikt mnie już tak nie zrani, choćbym żyła sto lat. Nie miałeś prawa, moralnego prawa, nadużyć w ten sposób mojego zaufania.

- Kam! - Nikt na świecie nie potrafił tak operować głosem. Brzmiało w nim pożądanie, tęsknota i skrucha. Reid był jedynym mężczyzną który sprawiał, że czuła się piękna i kochana. Myśl, że już nigdy nie zazna tego uczucia była nie do zniesienia. Przymknęła oczy z bólu.

- Kam, posłuchaj! Posłuchaj mnie, proszę, bo to może być najważniejsza rozmowa w naszym życiu. Wiem, jak głupio postąpiłem, mówiąc ci o tym!

Teraz to rozumiem. Ale Kam, Kam... Zrobiłem to, żebyśmy mogli zacząć od początku, z czystą kartą. Powiedziałem prawdę, żeby już wszystko między nami było dobrze, do końca życia. Przysięgam, Kam.

Gorąca łza wymknęła się spod jej zamkniętych powiek.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał.

-Tak.

- Dzięki Bogu! Posłuchaj! Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Przysięgam, że to się już nigdy nie powtórzy. Daję ci słowo honoru. Nie karz mnie za to, że powiedziałem prawdę.

Teraz powinna spytać go o Soprankę. Powinna mu nawymyślać i odwiesić słuchawkę. Powinna...

- Kam, wróć do domu, proszę.

- Samolot ląduje. Muszę się rozłączyć.

- Ląduje gdzie? - Usłyszała desperację w jego głosie. Zraniła go odchodząc bez słowa, nie odzywając się tak długo i była z tego zadowolona. -Gdzie jesteś?

- Będę w Bostonie. Ale tylko parę godzin. Wstąpię do domu po swoje rzeczy.

- W Bostonie! Kam, ja...

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu - powiedziała z godnością, po czym odwiesiła słuchawkę.

W taksówce, w drodze do Marblehead, zajęła się twarzą. W zasadzie nie miała jej nic do zarzucenia. Dwutygodniowy sen podział jak najlepszy kosmetyk, a podniecenie dodało jej rumieńców. Wyjęła ciemną szminkę, ale po chwili namysłu zdecydowała się na jaśniejszy odcień.

Gorzej przedstawiała się sprawa włosów. Powinna odwiedzić „Shear Madness” przed wyjazdem z Nowego Jorku, teraz musiała radzić sobie własnym przemysłem. „Dla kogo ja to robię?”, zdumiała się, tapirując włosy, ale nie pragnęła poznać odpowiedzi. Wyprowadza się. Bezapelacyjnie. Jeszcze nie zdecydowała, czy porozmawia z mężem, jeżeli się pojawi. Jeśli zaś się nie pojawi... Wyprostowała się, rozzłoszczoną na siedzeniu brudnej, sfatygowanej taksówki.

Z lotniska zadzwoniła do firmy przewozowej, upewniła się, że Irlandczycy już jadą. Pozostawiła drugą wiadomość na poczcie głosowej Lisy, chociaż nie była już taka pewna, czy chce się spotkać z przyjaciółką.

Ścisnęła klucz, mały, ciepły kształt, wtulony w zagłębienie dłoni. Klucz do ich mieszkania, do ich przyszłości? Wyrzwała przez okno na posepny listopadowy krajobraz. Co ona wyprawia?

Reid utożsamiał blask słońca, beztroskę, życie, w którym nie istnieje klęska. Jego rodzina, chroniona przez kokon pieniędzy i znajomości, żyła we

własnym świecie, grała w tenisa, odprawiała urodziny, wesela, a nawet pogrzeby, emanując poczuciem spokoju, porządku i pewności siebie. Kiedyś Kam myślała, że to życie stanie się jej udziałem. Myślała, że będzie przeciwieństwem kobiet, które przychodziły do ośrodka jej matki. Nie chciała dołączyć do ich szeregów, nie chciała dzielić ich wiedzy o tym, że na ludzką egzystencję składa się w dużej mierze cierpienie i niesprawiedliwość.

Wiedziała, co powinna zrobić, nie wiedziała natomiast, na co może liczyć. Czy istniała szansa, najmniejsza szansa, że Reid potrafi naprawić wyrządzone zło? Wiedziała, że może żyć bez niego, obolała, a zarazem pusta w środku. Czy istnieje jakiś sposób, by mogła żyć z nim?

Odegnęła od siebie te myśli. Przyjechała do Bostonu, żeby zabrać swoje rzeczy. Jeżeli Reid się pojawi...

- Jedną chwileczkę - powiedziała Kam, mocując się z zamkiem. - Zdaje się, że przekreśliłam w złą stronę.

Klucz ślizgał się w jej spotniałych palcach. Odwróciła głowę w stronę Seana i Thomasa, dwóch przystojnych młodych imigrantów, którzy pomagali jej w przeprowadzce.

- Pomóc? - zapytał Sean z uroczym irlandzkim akcentem. Przekreśliła klucz jeszcze raz, bez powodzenia. Przemknęło jej przez myśl, że Reid zmienił zaniki. Chyba wspomniałby o tym, rozmawiając z nią przez telefon? Spróbowała jeszcze raz.

Serce waliło jej w piersi. Była prawnikiem, wiedziała, że nie robi nic złego. Aż do wszczęcia postępowania rozwodowego, mieszkanie i wszystko, co się w nim znajdowało, było wspólną własnością. Wiedziała o tym, a mimo to jej dłonie potniały z nerwów, a żołądek ścisnął się boleśnie. Fala mdłości podeszła do gardła. Próbowała oddychać głęboko i równomiernie, ale mdłości nie ustąpiły.

Bała się, że Irlandczycy nabiorą podejrzeń, wezmą ją za złodziejkę. Umrze, jeżeli ją tu zostawią. Zwymiotuje na wycieraczkę i położy się obok, niby stara pijaczka.

Dlaczego te drzwi nie chcą się otworzyć? Prawda! Są lekko wypaczone i należy je docisnąć, przekreślając jednocześnie klucz w zamku. Jak mogła o tym zapomnieć?!

- Proszę - powiedziała, kiedy w końcu drzwi ustąpiły. Miała nadzieję, że jej twarz nie odzwierciedla uczuć.

Weszła do własnego salonu jak do obcego pokoju, podświadomie oczekując niespodzianek, ale nic się nie zmieniło. Ujrzała sztruksową sofę, którą kupili w „Portery Barn”, długi stół pod oknem, który zamówiła z katalogu „Crate & Barrel”. Zostawi wszystkie meble, chociaż w części za nie zapłaciła. „Nie myśl o Reidzie”, powiedziała sobie. Interesowały ją tylko rzeczy dsobiste.

- Potrzebne nam będą kartony na książki - powiedziała, podchodząc do regału. - Wszystkie z tej półki i z tamtej. Potem przejrzę resztę. I gdybym mogła poprosić kogoś z was do garderoby.

Sean skinął głową i rzucił spojrzenie Thomasowi. Czy już zrozumieli, o jaką operację tu chodzi? Jak często uczestniczyli w tego typu scenach? Kam przeszła do sypialni.

Zaskoczył ją widok nieposłanego łóżka. Oczywiście, przecież to ona je słała, przekonana, że Reid kocha porządek. Teraz w sypialni panował rozgardiasz. Ubrania leżały na podłodze pośród gazet i czasopism. Coś w wyglądzie pokoju Niemile ją uderzyło, ale nie potrafiła określić źródła niepokoju. Przez chwilę miała wrażenie, że porusza się pod wodą powietrze stężało i kępuje jej ręce, przygniata pierś. Powróciły mdłości. Ten pokój, w którym była taka szczęśliwa, wydał się jej straszny, wywołał głęboki żal. Oboje byli w nim szczęśliwi. I tyle szczęścia zostało zmarnowane.

Kam przeprowadziła szybką inwentaryzację: stąd weźmie tylko kilka rzeczy. Zbierała je, niby artykuły spożywcze z półek supermarketu. Perfumy, dwa kamienne żółwiki, które Reid kupił jej w Meksyku, wazonik z pąkami róż. Ściągnęła z łóżka - starając się nie dotknąć pościeli - poduszkę, którą miała od szkolnych czasów, tę wyhaftowaną w różę. Poprosiła Seana, by podał jej karton. Przeszła do łazienki, wrzuciła do pudła dezodorant, kosmetyczkę, suszarkę do włosów, szczotki, jakieś drobiazgi. Nie były jej potrzebne, ale nie zamierzała zostawiać swoich tamponów i żelu do włosów Soprance ani żadnej innej dziewczynie, którą Reid tu jeszcze sprowadzi. Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć w lustro. Na tle zaróżowionej z emocji twarzy jej oczy wydawały się bardziej zielone niż niebieskie. Tusz do rzęs rozmazał się pod okiem, usunęła czarną smugę poślinionym palcem, przejechała grzebieniem przez włosy. Potem pomyślała, że skoro już się uczesała, warto również umalować usta. Popatrzyła na siebie w lustrze.

- Masz nadzieję, że on przyjdzie - powiedziała i postać w lustrze pokiwała twierdząco głową. - Jesteś beznadziejna - stwierdziła w chwili, gdy Sean wszedł z kartonem.

- Słucham? - zapytał, obrzucając ją spojrzeniem pełnym podziwu. Widać wyglądała lepiej, niż jej się wydawało.

- Potrzebny mi będzie karton na ubrania - powiedziała, otwierając szafę. Zaczęła wrzucać do pudła sukienki, garsonki i żakiety, starając się upychać je jak najściślej. Po chwili zorientowała się jednak, że ma więcej rzeczy, niż przypuszczała. Niebieską jedwabną sukienkę zauważyła tylko dlatego, że odcinała się od tła beżów i brązów, które zwykle nosiła. Wyjęła sukienkę i trzymała ją z daleka od siebie, ze stosem fatalaszków przerzuconym przez drugie ramię. Okręciła kieckę na wieszaku i upuściła wszystko inne.

- Pomogę pani - powiedział Sean, przekonany, że zrobiła to przez przypadek.

Kam wymamrotała jakieś podziękowanie. Wróciła do łazienki, ciągle z niebieską sukienką w rękę, zamknęła drzwi na zasuwkę i powiesiła kieckę na haczyku przy wannie. Nie odrywając wzroku od niebieskiego jedwabiu, usiadła na klapie sedesu. Sukienka nie należała do niej. Nie należała również do Reida, nawet jeżeli był transwestytą. Zmieściłaby mu się akurat na jedno ramię. Kam gapiła się na nią jak zaczarowana. Jest to zapewne własność Sopranki. Czyżby Reid już z nią zamieszkał? Po miesiącu separacji z żoną?

Zostawiła sukienkę wiszącą przy wannie i wróciła do sypialni. W szafie znalazła obcy zakiet, kilka par cudzych dżinsów, dwie bluzki - białą i niebieską - i szarą garsonkę. Niżej stały w schludnym rzędzie buty - dwie pary czółenek, adidas i pantofle na wysokich obcasach. Kam przysiadła na piętach. Rozmiar siedem i pół. Ujęła jedno z czarnych czółenek i pogłaskała zamsz. Przez chwilę bała się, że serce jej pęknie. Miała wrażenie, że coś rozdziera ją na pół.

- Wyniosę już ten karton - powiedział Sean, dźwignąwszy załadowane pudło. - Przynieść nowy?

Kam popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, po czym skinęła głową.

- Tak sobie myślałem... może wypiłaby pani ze mną piwo, zanim zaczniemy ładować - zapytał Sean. - Chyba że z reguły nie pije pani z pracownikami.

Kam uśmiechnęła się. Sean był zabawny, taki typowo irlandzki. Była mu wdzięczna za komplement, ale nie miała teraz głowy do flirtów.

- Jestem mężatką.

Sean uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Kiedy wyszedł, podniosła się z podłogi, nadal z czółenką w rękę i usiadła na małym krześle, które przywiozła tu ze starego mieszkania. Uczepiła się go obiema rękami, jakby się bała, że ktoś spróbuje ją zepchnąć. Czarny pantofel leżał na jej kolanach jak martwe zwierzątko. Zabierze również to krzesło, zdecydowała. Zabierze krzesło i wynosi się stąd.

Nie wiedziała, kim naprawdę jest Reid. Mogła zrozumieć, że ją zdradził, pożałował tego, co zrobił i chciał ją odzyskać. Pierścionek był darem szczerego serca. Czy to możliwe, żeby jednego dnia zapewniał ją swojej miłości, chciał odnowić przysięgę małżeńską, a następnego zamieszkał z inną kobietą? Czy on ją kiedykolwiek kochał? Czy jakkolwiek mężczyzna kocha kobietę? Czy stanowiła tylko własność Reida Wakefielda, jak jego kije golfowe, rakiety tenisowe i wojskowe kurtki? Świadomość, że sama do niego zadzwoniła, nappełniła ją grozą. Ale sobie narobiła wstydu! Nie sądziła, że jest aż tak słaba. Poczzerwieniła aż po białka oczu. On tu może przyjść. Była to teraz ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła. Musi stąd jak najszybciej zniknąć. Wstała.

- Biorę to krzesło - zawołała do Seana, kiedy do sypialni wszedł Reid.

.. Dzięki Bogu, jesteś w  
– Nie jestem w domu. Za  
jest wysoki, piękny. Zbyt szeroki  
żarówca, gdyby nie swoisty, w  
chy wydawały się lekkie. Kam  
ściskał jej żołądek. Pomyślała,  
Reid postąpił ku niej jeden krok  
– Proszę, Kam! Powiedz mi, że zos  
– Prędzej skonać! – Wskazała szafę. –  
śmy obie mogły dzielić z tobą łazienkę? Po  
kobieta, z którą sypiasz od roku, czy ktoś zupełnie nowy?

Własny głos – rozjątrzony, zboleły – napęlił ją odrazą. Nie była prawdziwym Wakefieldem, który cierpiałby w milczeniu i z godnością. Do diabła z Wakefieldami! Reid zrobił drugi krok w jej stronę, a ona cofnęła się, potrącając krzesło. W tym momencie do pokoju zajrzał Sean.

– Skończyliśmy z książkami – powiedział. – Co dalej?  
– Stolik do kawy i dwie niebieskie lampy – powiedziała, nie odrywając oczu od twarzy męża. Sean przeniósł wzrok z kobiety na mężczyznę i wyniósł się bez słowa.

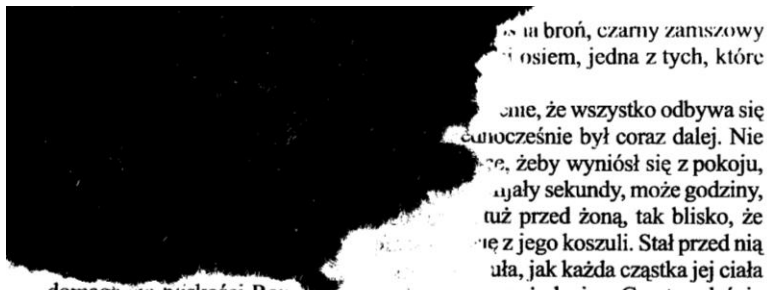
– Kam, proszę! Nie zwracaj na to uwagi. Wiem, że postąpiłem źle, głupio. Ale byłem bez ciebie taki samotny. – Reid przysiadł na brzegu łóżka.

Kam uzmysłowiła sobie, że w Reidzie pociągają ją cechy dziecka. Może gdyby nie był jednocześnie taki przystojny, nie wydawałby się taki bezbrony. Ale widok seksownego, przystojnego, potężnego faceta przyznającego się do swoich słabości, do swoich lęków, wzbudzał w niej instynkt macierzyński. Tak jak dzieckiem, Reidem rządziły emocje. Może dlatego czuła się przy nim silna, niemal niezłomna. A może słabość, którą przed nią odkrywał, dawała złudne poczucie, że tylko jej udało się przebić powłokę jego doskonałości.

– Nie wiesz, jak to jest. Właśnie wtedy, gdy zrozumiałem, jaki jestem powierzchowny, podły, kiedy zrozumiałem, że liczy się dla mnie tylko twoja miłość, ty mnie opuściłaś. – Ukrył twarz w dłoniach. – Nie mogę się skupić. Nie mogę jeść. Co wieczór wypijam pół butelki whisky. Czuję się jak ostatni nędznik. To znaczy, wiem, że jestem nędznikiem... – Popatrzył na nią przez wilgotne rzęsy. – Ty byłaś moim jedynym dobrem. I mi je zabrałaś.

Tak, jego naiwność była bardzo pociągająca. Zastanawiała się, czy i jej słabość mogłaby wydać się komuś pociągająca, ale uznała, że to wątpliwe. Reid prawdopodobnie rzeczywiście myślał to, co mówił. Był tak nieskomplikowany, że budził współczucie.

– Poproś swoją dziewczynę, żeby się do ciebie wprowadziła – powiedziała Kam i cisnęła w niego czarnym czółenkiem. Zdążył się osłonić i pantofel odbił się od jego rąk. Oto cały Reid – nigdy nie da sobie wyrządzić



...a broń, czarny zamszowy  
...osiem, jedna z tych, które

...nie, że wszystko odbywa się  
...nocześnie był coraz dalej. Nie  
...żeby wyniósł się z pokoju,  
...wały sekundy, może godziny,  
...tuż przed żoną, tak blisko, że  
...te z jego koszuli. Stał przed nią  
...ła, jak każda cząstka jej ciała  
...pożądanie. „Czy to właśnie  
...o jej przez myśl.

domaga się bliskości Reid.

nazywają zwierzęcym magięty.

– Kocham cię, Kam – przer...

czysz, nigdy tego nie pożałujesz.

Kam oparła głowę na jego pierś... mniósł wolno ramiona i bardzo  
ostrożnie, jakby trzymał coś nieskon... jego, przytulił ją do siebie.

– Oddałam pierścionek – powiedzia...

– Kupię ci nowy.

– Powiedziałam rodzicom, co zrobisz.

– A więc nauczę się żyć z tym wstydem. – Poglądził ją po głowie, łagodnie, czule. Kam zadrżała. Wszystko jest w porządku, wszystko jest... Przesłała myślęć, pławiąc się w uczuciu ulgi. Odrzuciła wszystkie wątpliwości, cały gniew.

Jak dobrze było skryć się w jego ramionach! Miała ochotę otrzeć się policzkami o jego pierś, jak kot, który zaznacza swoje terytorium.

Sopranka nic dla niego nie znaczyła. Może wszystko to da się zapomnieć, wyrzucić z życia. Może było to tylko potknięcie, nauka, która nie pójdzie w las. Na razie nie mogła, nie chciała o tym myśleć.

Z salonu dobiegł hałas, coś grzmotnęło o podłogę, mężczyzna krzyknął, odpowiedział mu kobiecy głos. Kam zamarła. To nie może być! A jednak. Ten głos!

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Lisa. Kam odsunęła się od męża, jak przyłapaną na gorącym uczynku.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytała Lisa z wściekłością, przenosząc wzrok z Kam na Reida.

Kam płonęła ze wstydu. Zmarnowała przecież mnóstwo czasu Lisy przekonując ją, jak bardzo nienawidzi tego mężczyzny. Popatrzyła na przyjaciółkę, która po tak długim niewidzeniu sprawiała wrażenie wyższej, smuklejszej i bardziej blond niż kiedykolwiek.

– Odebrałaś moją wiadomość – zaczęła.

Skąd... – odezwała się jednocześnie Reid.

Co ty tu robisz? – zwróciła się Lisa do Reida.



- Mieszkam tutaj!
  - Lisa, wszystko w porządku - powiedziała Kam. - Zamierzamy się pogodzić.
  - Doprawdy! - Lisa nadal patrzyła na Reida. - Powinno się was zamknąć w zakładzie dla nieuleczalnych frajerów.
  - O czym ty mówisz? - zapytała Kam.
  - Och, zamknij się - krzyknęła Lisa. - Mdli mnie od twojego biadolenia. - Znowu utkwiała wzrok w Reidzie. - Myślisz, że mnie to nie rani?
- Dopiero teraz Kam zrozumiała sytuację. Od razu uzyskała pełny obraz. Popatrzyła na Reida, który odwrócił wzrok, potem na Lisę, która odpowiedziała zuchwałym spojrzeniem. Niebieska sukienka, buty, rada, by nie wracała do Bostonu. Rozmiar czwarty. Sopran. Dlaczego, rozmawiając godzinami z Lisą nie rozpoznała głosu Sopranki? Kam z ubolewaniem pokręciła głową nad własną głupotą, wyminęła Lisę i wyszła z pokoju.
- To już wszystko - zawołała do Seana i Thomasa. - Zabieramy się stąd.

## **Rozdział 16**

Mimo wyczerpania Vivian nie mogła spać, drzemała tylko budząc się co chwila, zlane zimnym potem. Nie chcąc przeszkadzać Frankowi, wstała ciuchutko i poszła do kuchni z zamiarem uporządkowania szarki na czasopisma, pocztę i szkolne zawiadomienia Frankiego. Wpadła jej w oko jaskrawozielona kartka z informacją o kiermaszu ciast, który miał się odbyć następnego dnia w przerwie na lunch i postanowiła, że coś upiecze. Robienie ciasteczek o trzeciej trzydziści nad ranem nie było może typową czynnością gospodarską, ale musiała czymś zapełnić czas. Odmierzając składniki - mąkę, cukier, orzechy i osiem jajek - musiała przyznać, że pieczenie ciasta działa kojąco na nerwy. Kiedy kuchnię wypełnił zapach czekolady, poczuła wdzięczność za tę prostą, optymistyczną pracę.

Teraz stała w drzwiach szkoły podstawowej imienia Eleonor S. Windham, w jednej ręce ściskając dłoń Frankiego, w drugiej duże pudełko domowych piegusków z czekoladą. Jenna pobięła przodem. Była już w wieku, kiedy sam fakt przebywania z matką przynosi ujmę, a odwiezienie do szkoły jest zwyczajną hańbą.

Vivian starała się otrząsnąć z grozy aresztowania i ułatwić to dzieciom, ale nie wiedziała nawet, czy dobrze robi, zawożąc córkę do szkoły. Ona i Frank stanowili część problemu Jenny, nie powinna więc oczekiwać, że staną się częścią rozwiązania. W normalnych warunkach uważałyby, że dzieci powinny

bronić się same. Ale sytuacja nie była normalna. Nie mogła pozwolić, by dokuczano córce tylko dlatego, że jej rodzice mają kłopoty prawne.

Wiedziała z doświadczenia, jak okrutne potrafią być dzieci. Matka przyszła kiedyś po nią do szkoły pijana i Vivian, przerażona jej widokiem, marzyła tylko

o tym, by rozwiać się w powietrzu. Dokuczano jej potem tygodniami, a ona ignorowała zaczepki, udając, że nie słyszy kąśliwych uwag. Ale Vivian nie chciała żeby jej córka była choć w połowie tak twarda, jak ona. Dziecku nie wychodziło to na dobre. Teraz patrząc, jak Jenna daje nura w tłum uczniów, Vivian poluzowała uścisk palców na rączce Frankiego. Nie powinien wiedzieć, jak przerażoną jak samotna jest jego matka. Skóra cierpła jej na samą myśl o spotkaniu z panią

Spencer, a zwłaszcza z jej wścibską złośliwą sekretarką.

Nalot policji był strasznym przeżyciem, ale Vivian nie wiedziała najgorszego - że jej prywatna tragedia została opisana na pierwszych stronach gazet. Przez dwa dni uciekała przed rzeczywistością ludząc się, że upokorzenie rodziny Russo pozostało jej prywatną sprawą, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku nocnego nalotu z udziałem dwudziestu radiowozów. Nie wiedziała - dopóki nie uświadomił jej tego Rick Bruzeman - że cały Westchester rozczytuje się o tym przy śniadaniu.

- Te artykuły w prasie na pewno nam nie pomogą - rzucił adwokat, rozmawiając z nią przez telefon. Myślał, że żartuje, kiedy zapytała, o jakie artykuły chodzi.

Pojechała do niego do biura przejrzeć prasę i była tak wstrząśnięta, że nawet się nie rozpląkała. Dotarła do domu, nie uroniwszy łzy, po czym zamknęła się na dwie godziny w łazience. Nastawiła budzik na drugą trzydzieści, żeby zdążyć obłożyć twarz lodem i dojść do siebie przed powrotem dzieci ze szkoły.

Wróciły w strasznym stanie. Jenna płakała, ponieważ w autobusie dwie starsze koleżanki ściągnęły z niej plecak i udawały, że przeprowadzają rewizję. Jenna zamknęła się w swoim pokoju. Oniemiały Frankie wręczył matce kartkę od nauczycielki, która donosiła, że zmoczył spodnie w klasie, a do jej obowiązków nie należy po nim sprzątać. Wymierzyła mu stosowną karę.

Vivian zdjęła z Frankiego przesiąknięte moczem spodnie, wykąpała go i posadziła przed telewizorem. Poszła pocieszyć Jenę, a kiedy wrócił Frank, oddała córkę w jego ręce. Życie stało się koszmarem. Nie pozostawało im nic innego, jak stawić mu czoło.

W drzwiach szkoły Vivian wzięła Frankiego na ręce. Był taki drobny, lekki. Idąc szkolnym korytarzem, otoczona gwarem, myślała o tym, że w życiu pragnęła tylko kochać swojego męża i dzieci. Los wypaczył jej pragnienie, zmienił je w źródło bólu.

Tego ranka perspektywa rozmowy z dyrektorką napawała ją takim samym strachem, jak w czasach, gdy była uczennicą. Ale nie mogła pozwolić, by krzywdzono jej dzieci. Nie oczekiwała, że szkoła rozwiąże ich problemy, ale nie powinna ich pogłębiać.

Skinieniem głowy przywitała kilku nauczycieli i podeszła wprost do biurka Hillary Gross, sekretarki.

- Chciałabym rozmawiać z panią Spencer - oznajmiła i głos jej nie zadrżał. - Mogę to tutaj zostawić na czas, gdy będę w gabinecie? - zapytała, stawiając na blacie ciężkie pudło.

- Co to jest? - zapytała Hillary Gross podejrzliwie.

Odpowiedź: „ciasteczka z heroiną" sama cisnęła się na usta, ale Vivian nie uległa pokusie.

- Ciasteczka na kiermasz - powiedziała głosem profesjonalnej mamy. Uśmiechnęła się do Frankiego i nie czekając na zaproszenie ruszyła ku drzwiom dyrektorskiego gabinetu. Wykorzystała to, że ktoś właśnie wychodził i znalazła się od razu w środku, z Frankiem w ramionach. Jednym ruchem zamknęła za sobą drzwi, odcinając się od ciekawskich, wrogich spojrzeń.

Pani Spencer siedziała za biurkiem, tyłem do okna. Należała do starych biurokratek, które Vivian знаła jeszcze ze swoich szkolnych czasów. Z pewnością nie można jej było podejrzewać o postępowe poglądy czy szerokie horyzonty myślowe. Miała siwe włosy zniszczone trwałą ondulacją, usta umalowane szminką w kolorze burgunda, tylko trochę ciemniejszą niż starcze plamy wokół jej oczu, nosa i ust. Vivian uśmiechnęła się przyjaźnie i usiadła naprzeciwko pani Spencer, nadal z Frankiem na ręku.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć - powiedziała pogodnym, miękkim głosem. - Za dziesięć minut muszę być na kiermaszu, nie mam więc wiele czasu, a wiem, że i pani jest bardzo zajęta.

Pani Spencer skinęła głową. Nie interesowały jej plotki i nie szukała kłopotów.

- Zna pani Frankiego, prawda? - zapytała Vivian.

- Tak, oczywiście - zapewniła pani Spencer, ale Vivian miała wątpliwości, czy tak jest rzeczywiście. Kobieta należała do typu gabinetowiczów, opuszczających biura tak rzadko, jak to możliwe.

- Poproszę Frankiego, żeby chwilę poczekał na zewnątrz - powiedziała Vivian, nadal bardzo uprzejmie. Odwróciła się do synka.

- Przyniosłam ci książeczkę. To potrwa tylko chwilkę - obiecała. Wstała, wyprowadziła Frankiego do poczekalni, dała mu nie tylko książeczkę, ale również pudełko soku i małą paczkę rodzynek. Frankie siedział z opuszczoną głową, wpatrzony w swoje stopy. Vivian serce się krajało, kiedy patrzyła na jego zgnębioną postać, ale zostawiła synka samego i wróciła do gabinetu pani Spencer, ponownie zamykając drzwi.

- Z pewnością wie pani o tym - zaczęła zupełnie innym tonem - że moja rodzina padła ofiarą fałszywego oskarżenia. Powinna pani również wiedzieć, że choć sprawa otarła się o policję, mój mąż nie został postawiony w stan oskarżenia i prawdopodobnie nigdy nie zostanie. Zamierzamy wytoczyć miastu

proces o bezpodstawne aresztowanie. - Vivian zaczęła grzebać w torebce, udając, że szuka obraźliwego liściku od przedszkolanki Frankiego, który spoczywał, złożony pieczołowicie, w bocznej przegródce.

Pani Spencer pochyliła się nad biurkiem, jakby chciała jej pomóc.

- Słyszałam o aresztowaniu i...

- Jak już mówiłam, nie wysunięto żadnych zarzutów - przerwała jej Vivian. - Mój mąż i ja zostaliśmy zatrzymani na parę godzin i zwolnieni. Jest jasne, że padliśmy ofiarą oszczerczej kampanii. Niezależnie o tego, czy mi pani wierzy czy nie, dzieci są niewinne, zgodzi się pani ze mną?

- Cóż, w takich przypadkach dzieci są narażone na...

- W moim domu moje dzieci nie były narażone na nic z wyjątkiem miłości, szacunku i przyzwoitego traktowania. - Vivian wyjęła liścik i rzuciła go na biurko dyrektorki. - To natomiast uważam za objaw braku miłości, szacunku i przyzwoitości. Pani Spencer wzięła kartkę i przebiegła wzrokiem treść.

- Nie wiedziałam - powiedziała. - Zajmę się tym.

- Nie, ja się tym zajmę! Musimy sobie coś wyjaśnić. Panna Murchison z pewnością zdawała sobie sprawę, że mój syn miał ostatnio ciężkie przejście. Jako przedszkolanka powinna również wiedzieć, że dzieci są okrutne. Frankie'emu taki wypadek przytrafił się w szkole po raz pierwszy. - Vivian podniosła głos, ręce zaczęły jej drżeć. - Jakim prawem kazała mu siedzieć przez cały ranek w mokrych spodniach, w kącie?! W obecności innych dzieci. Jak śmiała go upokorzyć, zdradzić go w tak haniebnym sposobie?

- Wie pani przecież, że dzieci w wieku przedszkolnym powinny umieć korzystać z toalety. Ale nie sądzę, żeby panna...

- Wiem z całą pewnością, że podobne wypadki zdarzyły się innym dzieciom i potraktowano je w zupełnie inny sposób, starając się zatuszować sprawę. Dlaczego panna Murchison tym razem postąpiła inaczej? Dlaczego ukarała mojego syna? - Nie czekając na odpowiedź, Vivian wstała. - Lepiej, żeby to się już nie powtórzyło, pani Spencer. Lepiej, żeby mój synek spotkał się dzisiaj z wyjątkową serdecznością swojej wychowawczynie, bo inaczej ta szkoła zostanie zasądzona o takie odszkodowanie za szkody moralne, że trzeba będzie pensji wszystkich dyrektorek w okręgu, żeby w ogóle zacząć je spłacać. - Vivian odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

- Zaprowadzę teraz Frankiego do panny Murchison, a potem idę na kiermasz ciast. Liczę, że porozmawia pani z tą kobietą i upewni się, że mój synek będzie siedział obok swojej wychowawczynie podczas czytania bajek. Bardzo przyda mu się teraz odrobina ciepła. W poczekalni zgarnęła Frankiego, pudło ciastek, skinęła głową Hillary Gross i całemu audytorium, które zdążyło już zebrać się wokół biurka sekretarki. Głowę trzymała wysoko, a każdy ruch jej wyprostowanego, smukłego ciała wyrażał jej stanowisko w tej sprawie. Odwróciła się i wymaszerowała z pokoju nauczycielskiego.

Zaprowadziła Frankiego do przedszkola, odbyła cichą, choć burzliwą rozmowę, z panną Murchison i skierowała się do kafeterii, gdzie dwie mamy nakrywały już stoły serwetami i rozstawiały słodkości.

Vivian niełatwo było wejść do wielkiej, gwarnej sali. Bardzo brakowało jej Franka. Brakowało jej siły męża, chociaż w pewnych sytuacjach stanowiła okropny problem. Frank rozniósłby gabinet pani Spencer. Zrobiłby wielką awanturę i tylko pogorszył sprawę. Nawrzeszczałby na Hillary Gross i wszystkich obecnych, urządzając darmowe przedstawienie. To dlatego Vivian wolała załatwiać pewne sprawy sama. Może nie wychodziło jej to najlepiej, ale na dłuższą metę przynosiło więcej plusów niż minusów. Teraz jednak zatęskniła rozpaczliwie za mężem.

„Idź stanowczym krokiem, trzymaj głowę wysoko”, nakazała sobie. Jedną z mam, starsza pani o farbowanych czarnych włosach, odwijając z folii biszkopt, podczas gdy ruda kobieta, którą Vivian spotkała na zebraniu rodzicielskim, Minna czy Mona, odliczała bilon z pudełka na pieniądze. Rudzielce zwykle trzymają rękawiczkami. Bardzo dobrze! Vivian postawiła ciężkie pudło przed Moną (Minną?) i uśmiechnęła się pogodnie.

- Cześć! - powiedziała, wyciągając rękę. - Poznałyśmy się już kiedyś. Jestem Vivian Russo.

Minna (Mona?) skinęła głową, uciekając wzrokiem w stronę zamkniętych okien kafeterii. Nie podała Vivian ręki i nie przedstawiła się. Vivian wiedziała, że powinna okazać chłód i zachować godne milczenie, ale coś pchało ją naprzód.

- Przyniosłam pieguski z czekoladą - oznajmiła radośnie. - Specjalność pani Russo. - Zwróciła się do drugiej kobiety, która obserwowała ją w milczeniu. - Wiem, że sporo pań przynosi pieguski - ciągnęła Vivian. - Ale moje są wyjątkowe. Zawsze dobrze się sprzedają. - Cisza zaczęła dawać się jej we znaki. Spojrzała w dół, na blat stołu. Okruszki. Zgarnęła je odruchowo na mały stosik. Jeden przyłgnął do plastikowego blatu, więc zdrapała go paznokciem. - Upiekłam cztery blachy - ciągnęła, przerażona własną determinacją. - Czterdzieści osiem sztuk. I sama zmieliłam orzeszki. Te kupione w sklepie nigdy nie są świeże.

Cisza. Żadnego odzewu. Jakby jej w ogóle nie słyszały. Te dwie ludzkie istoty patrzyły na nią jak na przybysza z obcej planety, wydającego niezrozumiałe dźwięki.

Vivian nie miała czasu na zastanowienie. Stała przed nimi i musiała nawiązać kontakt. Zgarnęła okruszki na dłoń i nie wiedziała, co dalej z nimi zrobić. Nie mogła upuścić ich na podłogę, wsunęła je więc do kieszeni. Idiotyczne.

- Wiecie panie, jedna z najśmieszniejszych rzeczy, jakie mi się przytrafiły, miała miejsce właśnie na szkolnym kiermaszu ciast. Moja córka zaczęła właśnie drugą klasę... Och, nie pamiętam na co wtedy zbierali pieniądze,

chyba na laptopy do pracowni komputerowej. - Umilkła na chwilę, po czym zaśmiała się krótko. Do dwóch kobiet dołączyła trzecia, z talerzem w ręku. „Zamknij się, Vivian”, doradził wewnętrzny głos, ale nie mogła przestać mówić. Nagle wydało się jej bardzo ważne, by trafić do tych kobiet, przebić się do ich człowieczeństwa. Jeżeli dokona tego teraz, wszystko będzie w porządku, jeżeli się nie uda...

- Ktoś przyniósł wielki transparent i chłopcy zawiesili go nad stołami. Dopiero późnym popołudniem zorientowaliśmy się, że napis głosił: „świeże zakalce”. Nawet moje ciasteczka nie najlepiej się wtedy sprzedawały.

Kobieta postawiła talerz obok pudła z pieguskami. Ściągnęła lekko brwi, lustrując Vivian uważnym spojrzeniem.

- Wydaje mi się pani znajoma - zauważyła. - Skąd ja panią znam?

- Z gazet - powiedziała ruda cholera, zanim Vivian zdążyła otworzyć usta. I liczyć tu na solidarność rudzielców!

Vivian odwróciła się na pięcie i odeszła.

W drodze do wyjścia zajrzała jeszcze do sali przedszkolaków i zobaczyła synka siedzącego u boku panny Murchison. Wolnym krokiem, żeby nie wyglądało to na ucieczkę, skierowała się do samochodu. Nie było zimno, a jednak czuła się przemarznięta do szpiku kości. Wsiadła do wozu, wsunęła do odtwarzacza kasetę Céline Dion i włączyła silnik. Wolno wyjechała z parkingu. Jedną rękę trzymała na kierownicy, drugą przyłożyła do serca. Zamiast płakać, poklepała się po piersi.

- To było trudne - powiedziała na głos. - Bardzo trudne, ale dobrze się spisałaś. Naprawdę dobrze.

- Och, Frank, to było straszne! - powiedziała Vivian do swojego męża. Trzymał ją przytuloną ciasno do piersi, w bezpiecznej, ciepłej przystani ich kuchni. - Straszne! Nie dziwię się, że dzieci są tak wytracone z równowagi. Jestem dorosła, a czuję... Co właściwie czuła? Gniew, rozżalenie, wściekłość. A nawet wstyd, choć przyznawała się do tego niechętnie.

Frank puścił żonę i odszedł od stołu, odsuwając z łoskotem krzesło.

- Pójdę tam - powiedział. - Porozmawiam z tymi babami.

Tylko tego brakowało! Widziała już nagłówki w prasie: „Narkotykowy baron nokautuje dyrektorkę szkoły i dwie matki na kiermaszu ciast”. Chwyciła go za rękę i przyciągnęła z powrotem do stołu. Dlaczego nie zachowała kilku piegusków dla rodziny? Była kompletną idiotką. Tak się starała przypodobać tym ludziom, że oddała szkole całe cztery tuziny. Gdyby miała teraz kilka ciastek, postawiłaby je przed Frankiem razem ze szklanką mleka i rozładowała jego wściekłość, a przynajmniej odwróciła uwagę. Czasami silny, dobry Frank bywał zbyt bezpośredni. Pewnych spraw nie dawało się załatwić

krzykiem, waleniem prawdy prosto w oczy. Zauważyła tłustą plamę na uchwycie lodówki. A wydawało się jej, że wysprzątała po nocnym pieczeniu. Wzięła gąbkę i podeszła do lodówki.

- Co ty robisz, Viv?

Zatrzymała się, ale plama kłuła ją w oczy. Musiała ją zetrzeć. Przejechała szybko gąbką po uchwycie i popatrzyła na męża. -Nic.

Ostatnie dwa dni Frank spędził przy telefonie, wrzeszcząc na swoich rozmówców-prawników. Vivian chciała mu powiedzieć, że gdyby mniej krzyczał, a więcej słuchał, efekt tych rozmów okazałby się z pewnością lepszy, ale Frank był taki prostolinijny. Już teraz zakrętasy i wyboje prawa doprowadzały go do pasji, co będzie, jeżeli sprawa się przeciągnie? Dreszcz przeleciał jej po plecach. Frank na szczęście przestał się miotać po kuchni i ujął ją za rękę, sadzając obok siebie przy stole.

Zawsze mówiła mu wszystko, choć może nie zawsze należało. Był taki opiekuńczy, chciał interweniować, bronić jej i dzieci. Rano, przed wyjściem do pracy wyjaśniła mu, że krzykiem niczego nie zdołała, nie wymusi na nauczycielach i dzieciach, by lepiej traktowały jego córkę i syna. Przyznał żonie rację. Teraz zacisnął mocniej palce na jej przegubie, a ona przytuliła jego rękę do twarzy.

- Vivian, nie mogę uwierzyć, że naraziłem cię na takie cierpienia - powiedział. - Po prostu nie mogę uwierzyć.

- To nie twoja wina. - Nigdy właściwie nie zastanowiła się nad przyczyną ich kłopotów. Miała do czynienia wyłącznie ze skutkami katastrofy, teraz jednak zapragnęła ujrzeć pełny obraz.

- Frank, o co tu chodzi?

- To bardzo skomplikowane, nie zrozumiałabyś.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Frank sam nie bardzo wie, co się dzieje.

- Spróbuję. To dotyczy w takim samym stopniu mnie, co ciebie.

- Szukają kozła ofiarnego. Ja w każdym razie nim nie zostanę. Prokurator ma jakiegoś tajnego informatora, ale gdyby dysponowali dowodami, już wysunęliby oskarżenie.

- Więc nie zostaniesz oskarżony?

- Nie ma mnie o co oskarżyć. -I nie będzie procesu?

- Oczywiście, że nie. To przejściowe kłopoty. Tylko zachowaj tę listę, Viv.

Zachowaj listę.

-Mam ją.

- Posłuchaj, kiedy to się skończy, kiedy otrzymam oficjalne przeprosiny, wszyscy ci ludzie będą całować cię w stopy. Osobiście tego dopilnuję - powiedział, patrząc na nią płomiennymi wzrokiem. Kochała jego głębokie, brązowe oczy. Dla nich go poślubiła.

- Gołe czy w butach? - zapytała. Musi być dzielna dla niego, musi pomóc mu przetrwać.

- W butach. Nie chcę, żeby czerpali z tego przyjemność. Tylko mnie wolno całować twoją nagą stopę. - Przesunął dłonią po jej palcach, potem przytulił je do swojego policzka i ucałował każdy z osobna. - Byłaś bardzo dzielna, Viv. Nie jesteś już tą małą dziewczynką, z którą się ożeniłem.

Vivian nie rozumiała, dlaczego spadło na nich takie nieszczęście. To było niesprawiedliwe, przerażające, okropne. Być może w zakamarku jej umysłu powstało pytanie, czy istnieje jakaś minimalna szansa, że Frank może być -niewinny, wiedziała, że nie jest winny - ale... zamieszany lub... świadomy czegoś. Był to zaledwie cień wątpliwości, ale teraz spoglądając w oczy męża, wstydziła się, że kiedykolwiek je miała.

Vivian trzymała się przez resztę przedpołudnia. Wychodząc do pracy, Frank zapytał, czy dobrze się czuje, a ona odparła, niemal zgodnie z prawdą, że tak, czuje się świetnie. Zaczęła się krzątać po domu, sprząając i odkładając rzeczy na miejsce. Uspokajało ją sporządzanie listy zniszczonych przedmiotów. Połamane meble i potłuczone przedmioty można było naprawić lub zastąpić nowymi. Czy to samo da się zrobić z jej życiem? Postanowiła, że następnego dnia pójdzie do pracy i spróbuje unormować swoje sprawy. Kiedy o trzeciej piętnaście do kuchni weszła Jenna, Vivian odwróciła się ku niej z uśmiechem i ujrzała pustą otępiałą twarz córki.

- Co się stało? - podbiegła do Jenny. - Co to jest? - Wskazała paczkę, którą Jenna trzymała w obu rękach. Instynktownie wiedziała, co znajduje się w środku.

- Pieguski - odparła Jenna beznamiętnym tonem. - Ta pani kazała ci powiedzieć, że nikt ich nie chciał.

## **Rozdział 17**

Jada wysiadła z samochodu i weszła do budki telefonicznej, kilkanaście kroków od miejsca, gdzie zaparkowała. Zadzwoiła do biura, upewniła się, że wszystko w porządku, wydała dyspozycje Annie. Potem skorzystała z toalety w drogerii i wypiław kafeterii jeszcze jedną kawę, chociaż kofeina już szumiała jej w głowie. Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale żołądek buntował się na samą myśl o jedzeniu. Odwróciła ze wstrętem wzrok od kanapek i ciastek wyłożonych na brudny kontuar. Wzięła papierowy kubek z kawą i wróciła do samochodu.



Spędziła trzy godziny przed domem pani Jackson, ale nie dostrzegła żadnych oznak życia. Trudno ich było oczekiwać między czwartą a siódmą rano, ale teraz, w ten szary listopadowy poranek mieszkanie na drugim piętrze wydawało się równie opuszczone jak w nocy. W żadnym pokoju nie zapaliło się światło, nie drgnęła zasłona w oknie.

Jednak Clinton musiał dokądś zabrać dzieci. Nie pojechałby z nimi do hotelu, po pierwsze dlatego, że nie było go na to stać, po drugie, nawet Clinton nie naraziłby dzieci na taki wstrząs. Jada miała również nadzieję, że żaden przyzwoity hotel nie przyjmie mężczyzny, który zjawia się w środku nocy z trojgiem przerażonych dzieci.

Zapaliła silnik, żeby nagrzać samochód. Dzięki Bogu, volvo zostało wyprodukowane z myślą o rynkach skandynawskich. Drżała na całym ciele, z zimna, gniewu i strachu.

Przypomniała sobie historie o obłąkanych ojczymach, którzy podpalali swoje dzieci, zabijali je strzałem w głowę albo... Wtulając się w fotel, powiedziała sobie stanowczo, że przecież Clinton nie jest obłąkany. Jest zły, mściwy, zdezorientowany, ale nie obłąkany. Musi skupić myśli, trzymać się rzeczywistości. Chociaż jej stosunki z teściową nigdy nie układały się najlepiej, a przez ostatni rok prawie ze sobą nie rozmawiały, Jada postanowiła schować dumę do kieszeni. Dochodziła dziewiąta, a na górze nadal panował kompletny bezruch. Niezależnie od tego, jak dziwne wyda się to pani Jackson, Jada musi zapytać teściową, czy wie coś o losie jej dzieci. Jada miała nadzieję, że tak. Miała nadzieję, że kiedy otworzą się drzwi mieszkania na drugim piętrze, ujrzy Kevona zwiniętego na jednej kanapie, Sherrilee na drugiej. Wtedy wejdzie się do środka, zgarnie dzieci i nikt, absolutnie nikt jej nie powstrzyma.

Jada pociągnęła łyk kawy, odstawiła kubek, zgasiła silnik, wyjęła kluczyki ze stacyjki, wysiadła z wozu, zamknęła drzwi i przeszła na drugą stronę ulicy. Każda z tych czynności wymagała od niej nadludzkiej siły, ale wchodząc po drewnianych, rozklekotanych schodach była gotowa do walki, gotowa na wszystko, nawet na to, że użyje przemocy fizycznej. Clinton nigdy nie podniósł na nią ręki, ale jeżeli spróbuje, jeżeli będzie chciał przeszkodzić jej w zabraniu dzieci, rzuci się na niego z paznokciami. Wszystkie te drobne czynności - telefon do Anny, kupno kawy, uruchomienie silnika wyczerpały Jadę do cna, natomiast myśl o fizycznej rozprawie z Clintonem dodała jej siły.

Stała przed drzwiami teściowej i nie dając sobie czasu na zastanowienie, walnęła w nie pięścią. Policzyła do pięciu, po czym załomotała ponownie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zajrzała przez szybki do środka. Kuchnia była ciemna, opustoszała. Jada nacisnęła klamkę, napierając jednocześnie na drzwi. Bez rezultatu.

Nie popełniła dotąd żadnego wykroczenia. W dzieciństwie nie podkradała cukierów ze sklepu, nigdy nie otrzymała mandatu za przekroczenie prędkości.

Jednak do tego mieszkania musiała wejść. Może Clinton ukrył w nim dzieci. Nie była urodzonym włamywaczem, ale niewiele myśląc zdjęła pantofel i obcasem wybiła szybę. Wsunęła rękę w otwór, odciągnęła zasuwkę i otworzyła drzwi. W środku nie było nikogo. Powietrze stało w miejscu, stęchłe i ciężkie. Dla pewności obeszła pokoje, zabałaganione jak zawsze. Wiadomo po kim Clinton odziedziczył niechęć do porządku. Jada pokiwała głową nad workiem z brudną bielizną i częściami garderoby zalegającymi krzesła.

Kierowała się z powrotem do drzwi, kiedy przyszło jej na myśl, że mogłaby skorzystać z telefonu. Przy aparacie odkryła kawałek pudełka po płatkach kukurydzianych z wypisanymi numerami telefonu. Jeden z nich rozpoznała natychmiast; figurował aż zbyt często na jej rachunkach telefonicznych.

Numer Toni Green. Clinton nie mógł przecież zabrać dzieci do domu tej dziwki. Po chwili namysłu uznała jednak, że choć jest to niewiarygodne, jednak możliwe. Kto wie, czy wspólnie nie zaplanowali całej akcji. Tonią była przecież taką dobrą chrześcijanką. Zapewne spróbuje rozgrzeszyć się z cudzołóstwa, opiekując się dziećmi kochanka.

- Nie było ich tam - powiedziała Jada i Vivian poklepała ją pocieszająco po kolanie.

- Myślę, że wyjechali gdzieś, wszyscy razem. Spędziłam większą część nocy przed tym domem, na darmo.

- Ja przez pół nocy piekłam ciasteczka po to, by jakiś babsztyl mógł obrazić moją córkę. Nie jest dobrze. - Vivian wstała, żeby przynieść dzbanek z kawą. Nalała do kubków, chociaż Jada wiedziała, że jeżeli wypije jeszcze jedną filiżankę, trzeba ją będzie odwieźć na reanimację.

- Gdzie oni mogą być? - zastanawiała się Vivian. - Och, Jado, myślałam, że to mnie spotkało nieszczęście. Do rozpacz doprowadza mnie myśl, że Po-okie błąka się gdzieś, a ja nie mogę go znaleźć. Co bym czuła, gdyby przytrafiło się to dzieciom? To musi być koszmar. Jak film grozy. Jak do tego doszło?

- Może to wina Elm Street? No wiesz, ulica przeklęta i tak dalej. - Jada siliła się na żartobliwy ton.

- Może - przyznała Vivian. - Ale Lucy Perkins mieszka na Maple Drive, a jej dziecko ma białaczkę. To o wiele gorsze.

Jada skinęła głową, po czym pomodliła się w duchu za dziecko Perkin-sów, wdzięczna, że jej dzieci są zdrowe. Nie poczuła się przez to lepiej. W tej chwili pragnęła tylko, niech jej Bóg przebaczy, żeby białaczką miał Clinton. Chciała odzyskać swoje dzieci.

- Wiem, że nie powinnam ci teraz zawracać głowy - powiedziała do Vivian - ale naprawdę nie miałam dokąd pójść. Przepraszam.

- Daj spokój? Musisz wziąć adwokata i to zaraz. Dobrze się składa, bo akurat jednego znam i jeżeli on nie będzie wiedział, co zrobić, poleci nam

kogoś, kto wie. Umyj twarz, a ja zadzwonię do niego, uprzedzę, że będziemy za piętnaście minut. Facet jest najbardziej ośliżłym padalcem, jakiego w życiu widziałas, ale ma powiązania z każdym, kto się liczy w tym okręgu. Będzie ci potrzebny dobry prawnik, Jado. Rick Bruzeman nie jest dobrym człowiekiem, ale Frank twierdzi, że jest dobrym adwokatem.

- Dobrze - zgodziła się Jada, siląc się na spokój. - Pojedziemy do tego adwokata, a potem odwiedzę wielebnego.

- Okay, ale adwokata najpierw.

Piętnaście minut później siedziały już w samochodzie, co było ogromnym osiągnięciem, zważywszy, ile czasu potrzebowała zwykle Vivian, żeby wyjść z domu. Wzięły samochód Vivian; Jada miała dość volvo na jakiś czas. W drodze do biura adwokata Vivian nakreśliła przyjaciółce sylwetkę Bruze-mana. Jej oczy biegały nieustannie na boki, szukając Pookiego.

Recepcjonistka trzymała je w poczekalni prawie dwadzieścia pięć minut. Jada wzięła do ręki „Fortune”, czasopismo w rodzaju tych, jakie widuje się w bielusieńkich poczekalniach prawniczych, i kartkowała je niemal bezwiednie.

Wpadł jej w oko artykuł o braciach Moyerach, którzy odziedziczyli taki majątek, że nie mogli się doliczyć, ile miliardów przypada na każdego z nich. Jada pokazała artykuł Vivian.

- Myślisz, że Charles Henderson Moyer pożyczyci mi kilka dolców na rozwód?

- Wątpię - powiedziała Vivian. - Jeżeli posiada jakąś maksymę życiową, brzmi ona „nie dawać”. Dzięki niej stał się bogaty.

Jada pokiwała smętnie głową, zbyt zmęczona, zboląta i przerażona, by mówić. Na stoliku leżały inne czasopisma, ale nie miała ochoty ich przeglądać. Nie spała całą noc, a jednak nie była zmęczona. Rozpierało ją pragnienie działania. Chciała zadzwonić ponownie do banku, ale zjawiła się sekretarka Bruzemana i poprowadziła je do gabinetu szefa.

- Vivian, jak miło cię widzieć! - powitał je Rick Bruzeman. Jada pochwyciła błysk zdumienia w jego oczach, kiedy stwierdził, że towarzyszka pani Russo jest czarna. Był drobnym mężczyzną, opalonym na odcień złotego brązu, jaki można uzyskać jedynie w tropikach, na przykład w takim ośrodku na Barbados, za murem którego stał domek jej rodziców. Szpakowate włosy Bruzemana były już mocno przerzedzone, a na czubku głowy utworzyła się łysinka. Udało mu się uściskać Vivian w taki sposób, żeby okazać jej chłód, po czym poprosił, by usiadły na sofie. Przycupnęły obok siebie, trzymając się ukradkiem za ręce. Bruzeman zapytał, czy napiją się kawy i obie odmówiły. - Chciałabym już zacząć - powiedziała Jada.

Vivian zaczęła opowiadać żalną historię Jady. Wprowadziła Bruzemana ogólnie w sprawę i niemal od razu przeszła do tego wieczora, kiedy sprzątały z Jadą dom po rewizji. Clinton Jackson wykorzystał ten moment, żeby opuścić żonę i na dodatek porwać dzieci.

- Jedną chwileczką - przerwał jej Bruzeman. - To nie jest porwanie. On jest ojcem dzieci, niemniej sprawa jest poważna.

Jada miała na końcu języka, że wie to bez konsultacji z adwokatem.

- Sprawa jest poważna, choć dość typowa - ciągnął Bruzeman. - Zazwyczaj to matka odchodzi z dziećmi. Musimy natychmiast wystąpić o opiekę tymczasową. To oznacza, że muszę jechać do sądu jeszcze dzisiaj i złożyć pozew. Musimy być agresywni i działać szybko. Sugeruję również, żeby wystąpiła pani o pendente lite. - Urwał, czekając aż któraś z nich zapyta, co to właściwie jest. Zapytały obie jednocześnie.

- Pendente lite jest to prośba o przyznanie natychmiastowych alimentów na rzecz dzieci do czasu procesu. Jeżeli się pospieszymy, zdobędziemy przewagę zaraz na starcie. Pendente lite będzie obowiązywało do czasu, gdy kwestie opieki i alimentów zostaną rozpatrzone na oficjalnym posiedzeniu sądu okręgowego. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - To może trwać całe miesiące. A pani mąż będzie musiał łożyć na utrzymanie dzieci.

- On nie ma pieniędzy - powiedziała Jada.

- Będzie je musiał zdobyć. Bo jeżeli nie będzie płacił, pójdzie do więzienia za nieprzestrzeganie postanowień sądu. Oczywiście, sąd może obniżyć wysokość alimentów, ale dopóki to się nie stanie, mąż płaci albo ogląda świat przez kratki. - Sięgnął po notatnik i złote pióro. - Trójka dzieci?

Jada skinęła głową w milczeniu. Miałyby ochotę zakatować Clintona ale pomysł, by wsadzić ojca jej dzieci do więzienia nie wydał się jej dobry. Jeżeli już miałyby pójść siedzieć to za porwanie, nie za nieprzestrzeganie postanowień sądu, ale widocznie system rządził się własnymi prawami. Bruzeman zadał jej mnóstwo pytań o jej pracę, dochody, dom, firmę Clintona, zadłużenie. Odpowiadała najlepiej jak potrafiła, choć najchętniej wygoniłaby go z biura do tego sądu.

- Hmm - powiedział w końcu Bruzeman. - Myślę, że mam pełny obraz. Pani jest żywicielką rodziny. To mógłby być problem, gdybym nie wiedział, jak to wykorzystać na pani korzyść. - Ale jak znaleźć Clintona? - zapytała. Była zdania, że można spokojnie pominąć kwestie ubezpieczenia Clintona i jego przyszłej emerytury i zająć się odszukaniem dzieci. - Jak go znaleźć i wręczyć te papiery?

- Och, zajmą się tym zawodowcy. Urzędnicy sądowi. Nie przedstawia to zwykle problemu. - Ona chce odzyskać dzieci - powiedziała Vivian. - Chce je mieć z powrotem najszybciej jak to możliwe.

- To jest najszybszy sposób - odparł Bruzeman. - Dziękuję, że przyprowadziłaś do mnie panią Jackson. Myślę, że mamy z nią do omówienia pewne sprawy w cztery oczy. Mogłabyś...? - Poklepał ją po ramieniu w ten dziwny, lepki sposób i zapytał: Jak tam Frank? Trochę się uspokoił?

- Nie uspokoi się, dopóki nie zaskarzy tych policyjnych szczerów - Vivian wstała. - Jado, poczekam na ciebie w holu.

Bruzeman otoczył ją ramieniem i odprowadził do drzwi. Przez chwilę Jada była sama. Próbowwała zmówić modlitwę dziękczynną: ten człowiek znał się na swojej robocie. Nie lubiła go, ale była to najmniej ważna kwestia. Potrafiła docenić, że przyjął ją, chociaż nie była umówiona. I nawet nie wspomniał o honorarium. Bruzeman wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usiadł naprzeciwko Jady, która odniosła wrażenie, że jego zachowanie uległo zmianie. Wydawał się bardziej odprężony, jak ludzie, którzy schodzili ze sceny po przedstawieniu w dzielnicowym teatrze. Nadal mieli na sobie kostiumy, ale byli już bardziej sobą niż postaciami, w które się wcielili.

- Czarny nie dostanie opieki nad dziećmi, chyba że matka ćpa albo się łajdaczy - powiedział Bruzeman.

Jada zamruwała powiekami. Czy adwokat zadał jej pytanie, czy próbował ją obrazić?

- Pracuję w County Wide Bank - powiedziała. - Wyłącznie dla pieniędzy. Jestem kierownikiem oddziału. Jest to prostytutka, ale zalegalizowana.

- Co prowadzi nas do pieniędzy! - ciągnął Bruzeman, spoglądając na nią wzrokiem bez wyrazu. - Rozwód jest kosztowną sprawą. A teraz czeka nas prawna przepychanka. Będę musiał prosić o dziesięć tysięcy dolarów zaliczki. Na początek. Obawiam się, że koszty będą duże, chyba że uda się nam szybko opanować sytuację. Nigdy nie słyszałem o adwokacie pani męża i nie spodziewam się trudności z jego strony, ale nie mogę ruszyć sprawy, nie uzyskawszy zaliczki.

Jada miała na koncie niecałe siedemset dolarów i nieopłacone rachunki. Sięgnęła po torebkę, wydobyla książeczkę czekową i wypisała czek na dziesięć tysięcy dolarów. Ręka jej nawet nie drgnęła. Zostawiła czek na stoliku i wstała.

- Niech się pan bierze do roboty! - Odwróciła się i wyszła.

## **Rozdział 18**

Idziemy trenować - oznajmiła Jada, stając w kuchennych drzwiach domu Vivian. Vivian zawahała się.

- Dzisiaj nie mogę. Ja... - Miała dziwną niechęć do wychodzenia z domu. -

Naprawdę powinnam zrobić coś z tą szafą w przedpokoju. I pranie...

- Sprzątała do trzeciej w nocy, a tyle jeszcze pozostało do zrobienia. Tylko porządkowanie, zaprowadzanie ładu w zdezorganizowanym wszechświecie mogło przynieść jej pociechę.

Jada patrzyła na nią oczami okrągłymi ze zdumienia.

- Czyś ty kompletnie zgłupiała, Kopciuchu? - Zerwała z wieszaka narciarską kurtkę i zaczęła naciągać rękaw na bezwładne ramię Vivian. - Masz całe popołudnie, żeby zrobić pranie. I cały wieczór. Chyba że startujesz w konkursie Miss Ameryki. Poza tym trzeba poszukać Pookiego.

Vivian uśmiechnęła się i założyła kurtkę dobrowolnie, chociaż nadal niepokoiła ją myśl o brudnych ręcznikach w szafie. Zabierze się za nie zaraz po śniadaniu.

Wyszły na dwór i dopiero na ulicy, pod krytycznym spojrzeniem przyjaciółki, Viv uświadomiła sobie, że od dwóch dni nie myła włosów, ubrana zaś jest w sweter Franka, starą koszulę Jenny i jej brudne tenisówki.

- Wypracowujesz sobie nowy styl? - zapytała Jada. - À la chłopczyca? Pasuje do ciebie jak pięść do nosa!

Viv zatrzymała się i popatrzyła po sobie.

- No, dobra, nie wygląda to najlepiej. Co powiedział Bruzeman? - zapytała, kiedy szły w dół podjazdu. Wsunęła ręce do kieszeni. Cholera! Znowu zapomniała rękawiczek.

Jada nie odpowiedziała na pytanie i przez chwilę Vivian myślała, że przyjaciółka nie usłyszała. Rzuciwszy na nią okiem, stwierdziła, że Jada zagryza i tak popękaną wargę.

- Aż tak źle? - zapytała Vivian.

- Gorzej niż źle. Może załatwić natychmiastowe prawo widzenia z dziećmi, ale nie może przywrócić prawa opieki. W ciągu ostatnich dwudziestu godzin nie znalazł czasu, by odpowiedzieć na moje telefony. Czekanie na wiadomość doprowadza mnie do szału.

- Frank jest w podobnym stanie. Bez przerwy dzwoni do Bruzemana. Tylko ja trzymam go jeszcze przy zdrowych zmysłach. Wczoraj wieczorem chciał uderzyć Frankiego, tylko dlatego, że dzieciak rozlał mleko na stół w jadalni.

- Mężczyźni są słabi - powiedziała Jada.

- Więc zobaczysz się z dziećmi? - Vivian zatrzymała się, by zajrzeć na podwórko pobliskiego domu. Coś zaszeleściło w krzakach, ale nie był to Pookie. Vivian poszła dalej, wodząc wzrokiem po trawnikach i podjazdach.

- Tak - powiedziała Jada. - Ale do czasu procesu nie mogę ich zabrać do siebie.

- A kiedy odbędzie się proces? Bruzeman powinien załatwić szybki termin rozprawy. Przy jego kontaktach to nie przedstawia żadnego problemu. Słuchaj, możemy stanąć na chwilę, żeby sprawdzić zarośla? Pookie przybiegał tu często, żeby gonić wiewiórki.

- Vivian, jest listopad. Nie ma wiewiórek.

Vivian rzuciła jej spojrzenie i Jada uniosła dłonie do twarzy, jakby chciała osłonić się przed promieniem lasera. -Idź, szukaj!

Vivian przykucnęła, nawołując psa. Po kilku minutach dała spokój i ruszyły w dół zbocza.

Vivian zadyszała się, próbując dotrzymać kroku przyjaciółce. Jak dobrze, że znowu trenują. Szaleństwem było zostawać w domu. Poprzedniej nocy obudziła się z roztrzępotanym sercem, nie mogąc złapać tchu.

- Jada, miałaś kiedyś uczucie, że nie możesz oddychać?

- Mam teraz - odparła, kiedy rozpoczęły najdłuższe podejście na trasie marszu.

- Kiedy leżysz, albo śpisz.

Jada odwróciła głowę i popatrzyła przeciągle na Vivian.

- Jak przy ataku hysterii albo astmy? Albo przy kłopotach z sercem? Vivian spuściła wzrok z nagłym zażenowaniem.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale wczoraj obudziłam się... No, nie tylko wczoraj, ostatnio budzę się i nie mogę oddychać. Więc siadam, ale nadal nie mogę złapać tchu. Nie chcę niepokoić Franka, ale nie pomaga mi ani chodzenie po domu, ani gorąca kąpiel. Ostatnie trzy noce sprzątałam. To jedyna rzecz, jaka odrywa mnie od kłopotów.

- O, Panie, nic dziwnego, że tak marnie wyglądasz.

- Dzięki! - Vivian zaśmiała się krótko.

- Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? Myślałam, że opracowujesz swój nowy image, chcesz wyglądać jak narkomanka w ostatnim stadium uzależnienia albo coś w tym rodzaju - zażartowała Jada. - Ty wyglądasz jak mysz przywleczona przez kota, a ja się tak czuję. Dopóki nie zobaczę dzieci... - urwała. Vivian pomyślała, że w gruncie rzeczy Jada jest skryta, nawet wobec najbliższej przyjaciółki.

- Wkrótce je zobaczysz. Bruzeman wszystko załatwi. Ktoś tak odrażający nie mógłby być tak rozchwytywany, gdyby nie był dobry. Wiesz co, chyba pójdę do doktora Browna. Powiem mu o tych kłopotach z oddychaniem.

- Da ci tabletki nasenne, valium albo inne świństwo. - Jada wzruszyła ramionami. - Doraźnie tylko to ci może pomóc.

- Wcale nie jestem tego pewna. - Mijały właśnie jej ulubiony dom. - Wiesz przecież, co było z moimi rodzicami. Nie chcę pić ani brać leków, żeby się nie uzależnić.

- Daj spokój! Lekarze są po to, by pomagać, nie szkodzić ludziom. Nie możesz sobie pozwolić na załamanie nerwowe.

- Wiem - powiedziała Vivian. Pomyślała o Franku, o jego dziwnym zachowaniu, o tym, jaki się ostatnio zrobił wybuchowy i nieobliczalny. Zdawała sobie sprawę, że żyje w ciągłym stresie, ale ona również żyła w stresie, a nie wyładowywała się na dzieciach i na mężu, przynajmniej na razie.

- Zdaję się, że Frankowi też przydałoby się coś na uspokojenie - zwierzyła się Jadzie. - Zrobił się bardzo drażliwy. Ale on nie chce o tym słyszeć.

- Mężczyźni nie potrafią się o siebie zatroszczyć.

- To niesprawiedliwe - powiedziała Vivian. - To wszystko jest okropnie niesprawiedliwe. - Dyszała po ostrym podejściu, jej oddech wydobywał się z ust pod postacią białego obłoczka.

- Mnie to mówisz! - odparła Jada i obiecała sobie, że spróbuje nie płakać. -Oczekują, że my zajmiemy się wszystkim. Muszę wychowywać dzieci. Muszę zajmować się domem. Muszę się bardzo starać, żeby mnie nie wyrzucili z pracy. I okazuje się, że to jeszcze nie dość. Muszę również opiekować się moim mężem i ładnie dla niego wyglądać. Bo jeśli nie zadbam o swój wygląd, stracę męża, zostanę sama i będę musiała troszczyć się o siebie i resztę rodziny. Co i tak robiłam przez ostatnie dziesięć lat. - Jada ściągnęła groźnie brwi. - On nigdy nie zatroszczył się o mnie. Nie chciał nawet wiedzieć, co czuję. Dziećmi też się nie bardzo interesował. Nie wiem, dokąd je zabrał, ale wiem, że godzina humorów Jenny i godzina marudzenia małej wystarczy, żeby oddał je do adopcji. - Zagryzła wargę i Vivian zapragnęła wziąć ją za rękę. - Clinton zrobił to tylko po to, by mnie przestraszyć, ukarać. Nie chce ponosić odpowiedzialności za dzieci, boi się odpowiedzialności jak ognia. Nie chciał słyszeć o kłopotach Kevona w szkole, nie chciał nawet słyszeć o zepsutych drzwiach do garażu.

- Wiem - powiedziała Vivian ze współczuciem. - Wiem.

- Pewnie, że wiesz. Każda kobieta w Ameryce to wie. Ale nie to jest najgorsze. Zapytaj Pierwszą Damę. Najgorsze jest to, że po jakimś czasie świetnie radzimy sobie same. Musimy się tego nauczyć. Tylko w ten sposób możemy przetrwać, my i nasze dzieci. A gdy się już tego nauczymy, zarzucają nam, że jesteśmy twarde, niekobiece. Że straciłyśmy wrażliwość. Że nie jesteśmy już tymi małymi dziewczynkami, które poślubili. - Dokładnie to powiedział mi wczoraj Frank - wydyszała Vivian. - Ale użył tych słów w pozytywnym sensie.

- Doprawdy? - Głos Jady ociekał sarkazmem. - To dopiero początek, skarbie. Jeżeli przeżyjesz ten kataklizm, zadbasz o siebie, Shavonne i Fran-kiego, powie ci, że podkopujesz jego męskość. - Jada jeszcze zwiększyła tempo, choć obie ledwo żyły.

- Najpierw obiecują, że się nami zaopiekują, potem sami potrzebują opieki, a potem zmuszają nas, żebyśmy zaopiekowały się dziećmi. A na koniec robią nam z tego zarzut. - O, mój Boże! - zawołała Vivian. - To brzmi jak Cztery Szlachetne Prawdy Buddy. Jada, dotarłaś do sedna!

Jada pokiwała głową.

- Do diabła z Buddą. Jestem chrześcijanką. Ale są to z pewnością Cztery Prawdy Domowe.

- Powinnaś założyć poradnię dla kobiet albo napisać książkę „Jak przetrwać w małżeństwie. Cztery prawdy o życiu”.

- Viv, jesteś trochę zapóźniona. Wszystkie mężatki w tym kraju doskonale je znają. Znają je tak dobrze, że chce im się od nich rzygać. - Jada zacisnęła dłonie i przyspieszyła kroku.



- Poczekaj! - poprosiła Vivian. Rozglądając się za Pookiem, straciła kilka sekund i została dobre dwadzieścia kroków w tyle. Przyłożyła rękę do boku.

- Dostałam kolki - zawołała.

- Przyzwyczajaj się - odkrzyknęła Jada. - Pocierpisz jeszcze, zanim to się skończy. - Nagle Jada zatrzymała się, niemal u szczytu wzniesienia. Vivian, wiedząc, jak bardzo przyjaciółka nie lubi przerw w marszu, wykorzystwała okazję, by się z nią zrównać.

- Dzięki, że poczekałaś - wydyszała.

- Nie czekam na ciebie. Myślę. Vivian, po cholere my to robimy?

- Co robimy? Dbamy o swoje rodziny?

- Nie. Mówię o tych cholernych marszach. W zimnie. W ciemności. Robimy to, żeby wyglądać na dwadzieścia pięć lat, chociaż mamy trzydzieści pięć. Zastanów się! Nie dorastam ci pod tym względem do pięt, a i tak poświęcam ćwierć życia, żeby utrzymać figurę, jaką miałam w szkole średniej. To absurd! - Jada odwróciła się tyłem do dotychczasowego kierunku marszu. Po raz pierwszy odkąd podjęły treningi, Jada zamierzała zrezygnować. - Tymczasem mój mąż ukraść mi dzieci i leży teraz pewnie w ciepłym łóżku z kobietą która ma biodra jak szafa. Koniec z tym! Nie będę wstawiała o świcie, wychodziła na mróz i biegała po wzgórzach Westchester ze strachu, że zrobi mi się cellulitis. Mam co innego do roboty. - Ruszyła z powrotem, jeżeli to możliwe jeszcze szybciej. Vivian musiała biec, żeby za nią nadążyć. Przeniknął ją chłód; bała się.

- Jada posłuchaj ! Wiem, jak się czujesz... Przynajmniej wydaje mi się, że wiem. Clinton wyrządził ci straszną krzywdę. Ale nie robimy tego tylko dla mężczyzn. Przynajmniej ja! - Chwyciła przyjaciółkę za rękę. - Robię to, ponieważ chcę być z tobą przez tę godzinę. Ponieważ chcę z tobą rozmawiać. Jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką Jado. I jesteś dla mnie taka dobra. Te spacery to jedyny moment w ciągu całego dnia, kiedy jestem... -Vivian szukała właściwego słowa. - Kiedy jestem sobą. Mogę być szczerą i nie czuć się przy tym jak niespełna rozumu.

- Jesteś niespełna rozumu, jeżeli uważasz, że spędzanie czasu ze mną dobrze ci robi.

- Jada uściśnęła przyjaciółkę i ten drobny akt życzliwości nappełnił Vivian niewspółmierną wdzięcznością

- Masz rację, Viv. Pewnie dlatego zmusiłam cię dzisiaj do wyjścia z domu. Obydwe potrzebujemy tych spacerów.

Doszły do końca Laurel Street, do miejsca, gdzie zwykle zawracały. Jada spojrzała na Vivian.

- No, dalej! Klepnij słupek. Wiem, że tego chcesz.

- Do diabła ze słupkiem! Klepałam go na szczęście, ale nic szczęśliwego z tego nie wynikło. Nie wiecie się nam ostatnio, ani mnie, ani tobie. - Potem, wzruszywszy ramionami, klepnęła słupek.

- Zapomnij o pechu, myśl o Bogu - powiedziała Jada z szerokim uśmiechem. - Bóg ześle cud.

Vivian odwróciła się, by spojrzeć w kierunku, który wskazywała Jada. Przy garażu stał Pookie sprawiający takie wrażenie, jakby towarzyszył im po prostu w porannym spacerze. Vivian uklękła i klasnęła w dłonie. Pies podbiegł i Vivian przytuliła twarz do jego miękkiego łba.

- Znalazłyśmy go! Czy to on znalazł nas? To cud!

- Nie - odparła Jada. - Wiedziałam, że go znajdziemy. Cudem jest to, że się z tego cieszę. Rozpieszczony kundel. Dzieciom będzie łatwiej, prawda? - Vivian kiwnęła głową, tuląc psa. - Spróbujmy spojrzeć na to od dobrej strony.

Vivian przyznała przyjaciółce rację. Przez całą drogę powrotną Jada mówiła na przemian o tym, jak bardzo chce zobaczyć dzieci i jak bardzo pragnie zamordować Clintona. Vivian przytakiwała każdemu słowu.

## **Rozdział 19**

Po powrocie z Marblehead Kam nie mogła zebrać myśli. Cieszyła się, że ojciec wyjechał - nie potrafiłaby wytłumaczyć się z kolejnego aktu głupoty. Marzyła tylko o tym, by spać. Kiedy się budziła, rano lub w nocy, na kanapie ojca, ogarniał ją taki gniew, wstyd, upokorzenie, że starała się wrócić jak najprędzej do stanu nieświadomości. Kiedyś nie mogła uwierzyć, że Reid-łajza dopuścił się zdrady, lecz o wiele trudniej było pogodzić się z myślą że dopuścił się tej zdrady z jej przyjaciółką Lisą. Musiała istnieć jakaś nazwa dla takiej tępej, ufnej, nieuleczalnej idiotki, jaką się okazała Kam Wakefield. Jej imię powinno stać się synonimem kobiety tak nieuleczalnie głupiej, że własnymi rękoma zrujnowała sobie życie. Więc ta Kam-idiotka przyjechała do domu z lotniska i spała przez dwie doby. Zapewne budziła się od czasu do czasu, żeby coś wypić, albo iść do toalety, ale tego nie pamiętała. Pamiętała tylko swoje sny, niespokojne, przerażające majaki. Budziła się z lękiem, ale ponieważ rzeczywistość była gorsza od koszmarów, natychmiast zamykała oczy, żeby wrócić do stanu niebytu.

W poniedziałek zadzwoniła matka, grożąc, że przyjdzie do domu Este-vana, zwlecze ją z łóżka i zaciągnie do ośrodka. Kam ubrała się z trudem i dotarła do biura, o wiele bardziej przypominając zdesperowaną klientkę, która potrzebuje pomocy, niż prawnika, który ma jej udzielić. Współpracownicy matki byli dla niej bardzo mili: Michael Rice obrzucił ją współczującym spojrzeniem i poklepał po ręce. Bill-praktykant zabrał ją na lunch i opowiedział o wszystkich mężczyznach, którzy złamali mu serce, a Susan-recepcjonistka

przyniosła całe pudełko nadziewanych czekoladek. „I nie musisz nikogo częstować”, powiedziała.

Ludzka dobroć pomogła jej odzyskać rozsądek. Kam podjęła decyzję: nie może spędzić reszty życia na kanapie ojca, nawet jeżeli faktycznie tylko na to ma ochotę. Zamiast zdychać, powinna przynajmniej spróbować pomóc innym kobietom. Matka miała rację, mówiąc, że warto temu poświęcić życie. Weźmie pracę w ośrodku i postara się wykonywać ją jak najlepiej. Będzie ulepszała życie innych, pogodziwszy się z faktem, że zmarnowała własne. A jeżeli nie będą mieli dla niej etatu po powrocie Karen Levin-Thomas, znajdzie sobie zajęcie w Legal Aide albo Legal Defense Fund i będzie robiła to, co powinna robić od dawna.

Patrzyła na sterty teczek na biurku, a słowa tańczyły jej przed oczami. Tyle bólu, zdrady, rozczarowań. Wiedziała, że nie jest jedyną Kam na świecie, jedyną głupią, ufną kobietą, która zrujnowała sobie życie, wybierając złego partnera, ale fakt, że jest ich tak wiele, działał deprymująco.

Kam pracowała do późna, próbując się skoncentrować. Nie przychodziło jej to łatwo, ale alternatywą był powrót do pustego domu ojca, rozbebeszonego łóżka i pustej przyszłości.

Przeglądała jedną sprawę po drugiej, robiąc notatki, zapisując terminy rozpraw w wielkim kalendarzu. Studia prawnicze nauczyły ją przynajmniej jednego, jak pracować w niesprzyjających warunkach, po prostu dlatego, że się musi.

Nie zrobiła przerwy na kolację. O siódmej otworzyła bombonierkę i wykończyła ją w półtorej godziny. I wtedy coś się z nią stało. Trudno powiedzieć, czy był to rezultat chwilowego przejaśnienia umysłu, czy cukrowego haju, w każdym razie zbudził się w niej gniew.

To nie była wina pani Huang, że mąż podsunął jej do podpisu fałszywie przetłumaczone dokumenty, przez co naraził żonę na kłopoty z urzędem podatkowym i biurem imigracji. Terry Saunders nie ponosiła winy za to, że jej mąż wybrał z banku wszystkie pieniądze i zdeponował je za granicą, gdzie zamieszkał z opiekunką ich dzieci. I Kam zrozumiała, że lepiej być ufną idiotką niż J'inem Huangiem czy Henry Saundersem, oszustem i zdrajcą. Lepiej być Kam Lopez niż Reidem Wakefieldem czy Lisa Randall. Po raz pierwszy od dnia rocznicy ślubu opuściło ją poczucie wstydu. Rozprostowała plecy, jakby zdjęto jej z barków jakiś upokarzający, wstydlivy ciężar.

„Na litość boską, pomyślała, czego ja się mam wstydzić? Czego mają się wstydzić te kobiety? Nikogo nie zdradziły, nie zrobiły nic złego. Ich głównym grzechem był nadmiar ufności”.

Kam zacisnęła dłonie. Gniew, jak krew, przepłynął przez jej ciało. Miała ochotę krzyczeć, wyjść na ulicę, biec Post Road i wrzeszczeć.

Przypomniała sobie film, w którym Peter Finch otwiera na oścież okno i woła: „Jestem wściekły jak cholera, mam tego dość!”. Problem kobiet, które

przychodziły do ośrodka polegał na tym, że nie było w nich gniewu. Tylko strach lub poczucie winy, najczęściej zaś jedno i drugie.

Pociechę stanowiła myśl, że ona potrafi odczuwać gniew za innych. Mogła nim obdzielić wszystkie klientki Kobiecego Ośrodka Doradztwa Prawnego.

Po ataku wściekłości przyszło olśnienie. Zrozumiała, że coś tu jest mocno nie w porządku: bogate czy biedne, młode, w średnim wieku czy stare, kobiety z reguły przegrywały w prawnym pojedynku z mężczyzną. Prawa, stworzone po to, by je chronić, zapewnić równouprawnienie, obracały się przeciwko nim. Kam otrząsnęła się po zdradzie męża, ale była młoda, silna, wykształcona i czekała jajeszce niejedna szansa. Nie można było tego powiedzieć o wszystkich klientkach ośrodka. A nawet Kam zdawała sobie sprawę, że została ograbiona, bezpowrotnie utraciła coś bardzo dla niej istotnego. Nigdy już nikomu tak nie zaufa. Nawet jeżeli pokocha mężczyznę i zdecyduje się za niego wyjść, nie będzie mogła zapomnieć o Reidzie, jej pierwsze małżeństwo skala każdy związek z mężczyzną. Nigdy nie zapomni nauki, jakiej udzielił jej Reid Wakefield. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to wykorzystać ten gniew na załatwienie spraw z kilku brązowych teczek.

Tymczasowa praca w ośrodku nie była jakimś tam zastępstwem. Była jej misją.

Weźmie te sprawy i wygra je. Wiedziała, że jest dobra, a co ważniejsze, że potrafi ciężko pracować. Gdyby miała wolną rękę, może zdecydowałaby się na inny model życia, ale los dokonał wyboru za nią. Mogła pędzić wygodną egzystencję w pięknym domu w Marblehead, pracować w szacownej prywatnej firmie prawniczej. Jej uroczy, przystojny, popularny małżonek zdradzałby ją dyskretnie, a ona patrzyłaby na to przez palce. Odrzuciła to rozwiązanie i klamka zapadła. Być może nie polubi tej pracy, ale przynajmniej dokona czegoś istotnego.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła następna klientka, przygarbiona, z opuszczoną głową, przywykła do tego, że nią pomiatają, imigrantka nie znająca swoich praw, uległa wobec każdego męskiego autorytetu.

Biedna pani Huang.

Kam żegnała się z panią Huang na korytarzu, poklepując klientkę po ramieniu i próbując dodać jej otuchy, kiedy z głębi korytarza wyłoniła się Natalie. Pani Huang odeszła i Kam czekała na matkę w otwartych drzwiach gabinetu.

- Umówiłaś się już na lunch? - zapytała Natalie. Kam uniosła brwi.

- Cóż, mam randkę z Bradem Pittem, ale słyszę, że mnie zdradza z Sopranką, więc mogę go splawić.

Natalie aż sapnęła z zadowolenia.

- Kotku, nie chciałam ci mówić, ale to nie była tylko Sopranka. W sprawę zamieszany był cały chór dziewczęcy.
- Dlaczego nie jestem zaskoczona? - Kam wzruszyła ramionami. Włożyły płaszcze.
- Może przyczeszesz włosy? - zasugerowała Natalie. - Weźmiemy oba wozy. Nie wiem, czy nie zostanę w mieście.
- Bierzemy samochody? - zdziwiła się Kam. - Żeby pojechać do delikatesów? Nie zamierzałam nawet brać torebki. Ty stawiasz, prawda?
- Niezupełnie - odparła Natalie. - Weź torebkę i kluczyki.

Kam skinęła głową, chociaż nie miała ochoty na nic poza niewielką kanapką. Żeby w pełni zadowolić matkę umalowała usta, przyczesła włosy i musnęła rzęsy tuszem. Nadal wyglądała jak mysz przeżuta przez kota, ale widać było przynajmniej, że się stara.

Dopiero na parkingu zorientowała się, że nie idą do kawiarni „Blue Bird”.

- Nie idziemy do „Blue”? - zapytała.

- Elegancja-szmaczka. To nie dla nas. Pojedziesz za mną.

I Kam próbowała, chociaż Natalie była najgorszym kierowcą z jakim Kam miała kiedykolwiek do czynienia - a mieszkała w stanie Massachusetts. Nie znając dzielnicy, jechała za matką jak po sznurku, podczas gdy Natalie łamała kolejne przepisy drogowe, ze szczególnym upodobaniem przejeżdżając przez linie ciągłe i skręcając w lewo bez włączenia kierunkowskazu. Kam zaczęła się zastanawiać, czy nie należy sobie życzyć, żeby matkę zatrzymał patrol. Potem wróciła myślą do spotkania z panią Huang. Los tej kobiety leżał w jej rękach i Kam była przekonana, że może ją uratować. Wczoraj głowiła się nad tym do późnego wieczora.

Ból dopadł ją dopiero koło jedenastej, kiedy już się wykapała i narzuciła piżamę pożyczoną od ojca. Leżąc samotnie w łóżku, po dniu wypełnionym cudzymi problemami, myślała o Reidzie i Lisie. Wyobrażenia były tak wyraźne, silne, że niemal towarzyszył im zapach.

Reid pięknie pachniał, ale nie był to zapach mydła czy płynu po goleniu. Kojarzył się z oceanem. Kiedy zwijała się w kłębek u jego boku, a on otaczał ją ramieniem, czuła woń morza i wiatru. Przypomniła sobie teraz, że Lisa używa jakiś lekkich, klasycznych perfum, stanowiących doskonałe uzupełnienie zapachu Reida. Ona sama od lat używała „Giorgio”. Nie były to perfumy stworzone z myślą o Marblehead.

„Może, pomyślała Kam, powinniśmy się dobierać w pary na podstawie woni”.

Czytała gdzieś, że ludzie podświadomie ulegają zapachom. Wydawało się jej, że wybrała Reida przez wzgląd na jego urodę, poczucie humoru, inteligencję, dobre geny, długie nogi i seksowne dłonie, a kto wie, czy sprawa nie sprowadzała się do zapachu jego pachy. Teoria jednak nie sprawdziła się w praktyce. Bo skoro Reid wybrał Kam dla jej zapachu, dlaczego wymienił ją na zapach Lisy?

- Jesteś szalona - powiedziała na głos, w mrok salonu. Ludzie to nie psy. Postanowiła, że jeżeli jeszcze raz pomyśli o Reidzie, zaaplikuje sobie dziesięć karnych pompek. Nie zadzwoni do niego, nie napisze i nie zobaczy się z nim. Nie mogła bez drżenia myśleć o ostatnim spotkaniu.

Matka włączyła lewy kierunkowskaz, ale nie wykonała sygnalizowanego manewru. Kam pokręciła głową. Tak źle mógł prowadzić tylko ktoś, kto spędził większość życia w Nowym Jorku, nie posiadając samochodu. Przestała się uśmiechać na myśl, że sama nie przynależy do żadnego miejsca na ziemi, nie ma nawet gdzie mieszkać. Powinna załatwić sobie jakieś lokum. To, co zarabiała w klinice wystarczało na pokrycie kosztów lunchów i benzyny. Nie wiedziała, czy zaczynając więcej płacić, a jeżeli tak, to kiedy, nie wiedziała, gdzie zamieszka, jeżeli wyprowadzi się od ojca. Przerażała ją myśl o własnym mieszkaniu. Nieźle się bawiła, wybierając pościel, odkurzacz i ekspres do kawy dla Reida, ale robić to tylko dla siebie? Wydawało się to kosztowne, trudne i być może bezcelowe. Z drugiej strony, równie bezcelowe było urządzenie domu dla własnego męża i przyjaciółki. Czy wobec tego powinna postarać się o własny kąt? Westchnęła. Miała zbyt wiele spraw do przemyślenia. Jechały teraz przez dzielnicę willową, pełną azalii, wawrzynów i niecierpków. Ta część Westchester była malownicza i bardzo droga. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić siebie w tej scenerii. Nie widziała się również w White Plains ani w żadnym innym miejscu w Westchester. Z własnej chęci mogła mieszkać tylko w Nowym Jorku, a na to nie było jej stać. Unikała ukochanego miasta wiedząc, jak trudno tam o dobrą posadę. Konkurencja była ogromna.

A teraz matka wrobiła ją w działalność społeczną, kazała grać o wiele wyższą stawkę. Tu już nie chodziło o testamenty i nieruchomości, którymi Kam zajmowała się w Needham. Praca w ośrodku dawała praktycznie niczym nie ograniczoną swobodę. Poradnia miała tylu klientów, że nie starczało czasu na nadzorowanie młodych prawników. Trudno się było nawet zorientować, kto komu podlega; wszyscy zachowywali się równie przyjacielsko. W poprzedniej firmie obowiązywała ścisła hierarchia i wiktoriańskie zasady wychowywania młodzieży - młodzi prawnicy nie odzywali się nie pytani.

Kam zaczęła się już zastanawiać, dokąd właściwie zabiera ją matka, kiedy po lewej stronie ukazała się restauracja w pięknym ogrodzie. Był to stary dom przerobiony na pensjonat. Kam zjechała za matką na parking.

- Z kim się tutaj umówiłaś? - zapytała. - Chodzi chyba o coś więcej niż zwykły lunch.

- Zobaczysz - powiedziała Natalie ze śmiechem. - Będzie zabawnie.

JoAnn Metzger wyglądała rewelacyjnie. Była teraz znaną pisarką, ale Kam pamiętała ją sprzed lat, kiedy JoAnn pracowała w biurze swojego męża.

- Jak się miewasz? - powitała Kam. - Co za miła niespodzianka. JoAnn nie mogła być na ślubie Kam, ponieważ przebywała w tym czasie w Japonii, ale przysłała najpiękniejszy prezent, jaki Kam otrzymała w dniu ślubu - zabytkowe kimono, ozdobione artystycznym haftem i opakowane tak, by można je powiesić na ścianie. Kam zabrała je z mieszkania w Marblehead i wraz z innymi rzeczami oddała na przechowanie. Myśl o kimonie, o całym tym pięknie uwięzionym w skrzyni w jakiejś hali magazynowej napełniła Kam smutkiem. Może faktycznie powinna zdecydować się na własne mieszkanie.

- Miewam się znakomicie - odparła na pytanie JoAnn i jej matka roześmiała się w głos.

- Tak, u niej wszystko wspaniale. - Natalie nachyliła się ku JoAnn, jednocześnie biorąc córkę za rękę. Usiadły i Natalie opowiedziała JoAnn historię Kam. Po raz pierwszy zamiast bólu, Kam odczuła gniew i pomyślała, że jest to albo objaw zdrowienia, albo początek całkowitego załamania nerwowego.

JoAnn sięgnęła przez stół i ujęła drugą rękę Kam.

- Nie wyobrażasz sobie jak mi przykro.

Siedziały, trzymając się za ręce, jakby zamierzały odprawić seans spirytystyczny. Podszedł kelner i zamówiły trzy sałatki Cobba.

- Ale sos oddzielnie, proszę - zarządziła Natalie i Kam musiała się uśmiechnąć.

Wiedziała, że matka zje nie tylko własną porcję, ale wykończy również to, co zostawi szczuplutka JoAnn. Kiedy na stole zjawiły się drinki, przestały rozmawiać o Kam i Reidzie, i Natalie zaczęła mówić o klinice. Kam wiedziała, że JoAnna jest w zarządzie, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że matka już zdążyła ją powiadomić o działalności córki w ośrodku. - Rzecz w tym, że jesteśmy zawaleni robotą, płacimy nieobecnej Karen, ale musimy zatrudnić jeszcze jednego prawnika. Proponuję Kam. Uważasz, że to nepotyzm? - Oczywiście - powiedziała JoAnn. - Sama załatwiłam synowi pracę w wydawnictwie. - JoAnn popatrzyła uważnie na Kam. - Pytanie, czy dasz radę. Nie pod względem merytorycznym. Wierzę, że jesteś dobrym prawnikiem. Ale czy jesteś gotowa emocjonalnie? Kiedy Aaron ode mnie odszedł, byłam...

- Zwróciła się do Natalie. - Jak byś określiła mój stan?

- Skołowana. Wydawało się jej, że kiedyś znowu będą razem. Podobno Alaska i Syberia też się kiedyś zejdą.

- Czekasz na jego telefon? - zwróciła się JoAnn do Kam. - Myślisz o nim przez cały czas? Chcesz do niego wrócić?

- Mowy nie ma! - zawołała Kam.

- Jestem z niej dumna. Pojechała tam, zabrała swoje rzeczy i wróciła tego samego dnia.

Kam zaczerpnęła powietrza. Nie powiedziała nikomu o Lisie. I nadal nie miała ochoty o niej mówić, ale patrząc na te dwie starsze kobiety, pomyślała, że jest im winna szczerość.

- Dowiedziałam się, z kim sypiał. Z moją najlepszą przyjaciółką z pracy. Jo Ann zamknęła oczy. Natalie odwróciła się do córki.

- Boże! Ta mała kurewka! Pamiętaj Kam, że to ona wyszła na idiotkę, nie ty. JoAnn otworzyła oczy.

- Wiem, że ta świadomość niewiele ci pomoże, ale mogło być gorzej. Mógł sypiać z twoim seksuologiem.

Kam zaśmiała się z ustami pełnym sałatki. Wyznanie prawdy przyniosło jej ulgę, ulgą były również naturalne, zdrowe reakcje kobiet.

- To się nie zdarza w prawdziwym życiu.

- Oj, zdarza się, zdarza. - Ruchem głowy Natalie wskazała JoAnn. - Płaciła babie dwieście dolarów za godzinę, żeby rozmawiać o swoim pożyciu z mężem, podczas gdy pani doktor się z nim pieprzyła.

- To prawda? - zapytała Kam.

- Niezupełnie - zaproponowała JoAnn. - Po pierwsze płaciłam sto siedemdziesiąt pięć za godzinę, nie dwieście, i kiedy ich przyłapałam, dopiero przystępowali do pieprzenia. - JoAnn wzruszyła ramionami. - Wtedy okropnie mnie to obeszło. Teraz... Już nie uznaję siebie za ofiarę. Życie toczy się dalej. Zadra pozostaje, ale można z nią żyć. - Uśmiechnęła się uroczo. - Jestem teraz byłą żoną-rekonwalescentką.

W milczeniu kończyły lunch. Potem Natalie zaczęła mówić o budżecie kliniki.

- Zastanawiam się, czy nie zwrócić się do Adrianny - mówiła Natalie, kiedy Kam otrząsnęła się z zamyślenia i zaczęła znów uczestniczyć w rozmowie. Wiedziała, że mowa o Adriannie Lender, sławnej aktorce i producentce.

- Czy to ona finansuje klinikę?

- Kochana, klinika to ona.

- Ile pieniędzy wam potrzeba? - zapytała JoAnn. - Podpisałam właśnie umowę na nową książkę...

Kam uznała, że to najlepszy moment, by przeprosić i wyjść. Miała po temu dwa powody: po pierwsze, nie chciała uczestniczyć w rozmowie na temat swojej finansowej przyszłości, po drugie, zrobiło się jej niedobrze. Oskarżała matkę o łakomstwo, a może to ona zjadła za dużo sosu?

Kiedy opuściła salę i znalazła się w małym korytarzyku prowadzącym do damskiej toalety, w jej ruchach pojawił się element pośpiechu. Wpadła do ubikacji, pchnęła drzwi do kabiny i zwymiotowała. Wymiotowała jeszcze długo po tym, jak opróżniła żołądek. Oparła się o ściankę, z czołem zroszonym zimnym potem. Wyznanie, jakie uczyniła matce i JoAnn musiało ją kosztować więcej, niż przypuszczała. Odwróciła oczy od sedesu i spuściła wodę. Spuściła z wodą sałatkę Cobba, a także Lisę i Reida, i sprawiło jej to przyjemność.

Nie ma jak porządne rzyganko na dobry początek dnia.



## Rozdział 20

Vivian wciągnęła przez głowę różowy sweter i wcisnęła się w szarą flanelową spódnicę. Właściwie nie musiała się wciskać, przeżycia ostatniego tygodnia sprawiły, że straciła na wadze. Nie dość, że nie mogła jeść, to spalały ją nerwy. Spódnica była luźna w talii. Vivian popatrzyła w lustro.

Jej ciało, zawsze wysmukłe, wydawało się teraz jeszcze bardziej strzeliste, jakby wydłużone. Ucieszyłaby się z utraty kilku kilogramów, gdyby nie odbiło się to negatywnie na jej twarzy. Składała się z kości, zapadniętych płaszczyzn i wystającego nosa. Wyglądało to tak, jakby jej czaszka się skurczyła, natomiast skóry pozostało tyle samo. Włosy, niemal czerwone na tle twarzy, pozbawiły ją wszelkiego kolorytu. Vivian zawsze miała jasną cerę, ale teraz patrząc na swoje odbicie w lustrze, pomyślała, że trzeba będzie dużej ilości pudru, zanim będzie się mogła pokazać ludziom. Rozmawiała z Jada i obie uznały, że czas wrócić do pracy. - Jeżeli będziesz siedziała przez cały dzień w domu i tresowała Pookiego, wylądujesz w stanowym wariatkowie - ostrzegła Jada. Vivian wiedziała, że przyjaciółka ma na myśli również siebie.

Tak więc poprzedniego wieczora zawiadomiła Franka, że wraca do pracy. Jak zwykle powiedział, że to nie jest konieczne, ale Vivian brakowało już codziennej rutyny, kontaktu z ludźmi. Chciała być poza tym domem, który został zbrukany w sposób, którego nie mogła usunąć ajaxem czy panem properem. W banku miała kilku dobrych znajomych, miała zajęcie, które odrywało myśli od kłopotów. Co więcej, udowodnienie niewinności w Ameryce było sprawą kosztowną, tak kosztowną, że jej pensja mogła się naprawdę przydać, chociaż o tym nie wspomniała mężowi. Zamartwiał się i nie chciał rozmawiać o swoich troskach, a ona nie chciała mu o nich przypominać.

- Nie oskarżyli mnie. Nic na mnie nie mają- powtarzał, ale wiedziała, że naradza się godzinami z Bruzemanem. Czy mógł sobie pozwolić na to, by zaniedbywać firmę, jednocześnie zwiększając wydatki? Czy mogli sobie pozwolić na remont domu, uzupełnienie mebli i opłacanie najdroższego adwokata?

Szła do pokoju córki po gorące lokówki, które Jenna pożyczyła przed tygodniem i co typowe - nie oddała, kiedy z dołu dobiegł hałas. Vivian zatrzymała się, zamieniona w słuch. Skrobanie w drzwi. Czy to pies? Zbiegła na dół, po dwa stopnie naraz.

- Pookie! Pookie!

Kochane psisko! Ile dobrego sprawił jego powrót. Frankie znów przesypiał spokojnie całą noc.

Pies skrobał w drzwi, sygnalizując, że ktoś za nimi stoi. Policjant, włamywacz? Vivian otworzyła je na ościerni, przygotowana na wszystko, ale na

progu leżała tylko miejscowa gazeta, z której prenumeraty zrezygnowała. Vivian nie miała nawet dość energii, by się po nią schylić. Zamknęła po prostu drzwi i podrapała Pookiego za uchem. - Dobry pies - powiedziała.

Znalazła lokówki, poszła do łazienki i otworzyła małą szalkę, w której znajdowało się blisko dwadzieścia słoiczków, tubek, pudełek i pędzelków. Wstrząsnęła mocno buteleczką z fluidem. Patrząc na bladą twarz, cienie pod oczami i bezbarwne wargi, Vivian pokiwała z niesmakiem głową. Potem zabrała się do pracy. Nakręcając włosy na wałki i nakładając puder, przypomniała sobie piosenkę, która zaczynała się od słów: „Na niebie szarym dziś jutro znów zaświeci słońce...”. Nie pamiętała reszty słów, ale zmusiła się, by nucić melodią. Nie chciała użalać się nad sobą.

Czuła się paskudnie, ale musiała pamiętać, że Jada była w dużo gorszej sytuacji. Od wyjazdu Clintona nie otrzymała od niego wiadomości, jeżeli nie liczyć jednego zdania nagranych na automatyczną sekretarkę. „Dzieci są ze mną zdrowe”. Jada zmusiła Vivian, żeby przyszła do niej do domu, wysłuchała informacji przekazanej chłodnym, bezosobowym głosem.

Tak, Jada była w dużo gorszej sytuacji. Ona, Vivian, przeżyła piekło. Jej dom został zdemolowany, dzieci śmiertelnie wystraszone, mąż pobity. Za każdym razem, gdy wychodzili z domu, spotykało ich jakieś upokorzenie. Ale nadal miała przy sobie dzieci i męża. Jej rodzina pozostała nietknięta. Nie wyobrażała sobie, co może czuć Jada, samotna, oderwana od wszystkiego, co kochała. Vivian łzy napłynęły do oczu i musiała przerwać malowanie rzęs. Zresztą i tak czas było kończyć. Dochodziła ósma.

Krytycznym okiem oceniła swoje dzieło. Jej skóra miała teraz odcień kości słoniowej, a blad różowy puder harmonizował z różowymi wargami. Na powiekach było dokładnie tyle kosmetyku, ile być powinno, a sińce pod oczami zniknęły. Zabawne, kobieta powinna mieć cienie na powiekach, ale w żadnym razie pod oczami.

Musiała przyznać, że wygląda świetnie. W gruncie rzeczy lepiej niż zwykle. Była gotowa.

Pozostało tylko zebrać odwagę i zrobić odpowiednie wejście w banku. Opuszczając łazienkę, śpiewała o szarym niebie, na którym wkrótce pojawi się błękit.

Po namyśle postanowiły, że Vivian przyjdzie do banku trochę później niż zazwyczaj. Jada nie mogła sobie pozwolić na kolejny dzień nieobecności w pracy, zbliżał się termin uregulowania rachunku od adwokata. I choć wolałyby pojechać jednym wozem, Jada uznała, że nie jest to najlepszy pomysł. Vivian zrobiło się przykro, pomyślała, że Jada nie chce pokazywać się z nią publicznie. Potem przyszła refleksja. Nigdy nie przyjeżdżały do pracy razem. Dlaczego miałyby to zmieniać?

O dziewiątej Vivian zaparkowała na bankowym parkingu, wzięła głęboki oddech i wysiadła. Czekał ją normalny dzień pracy, bez wlotów i upadków ostatniego tygodnia.

„Bądź odważna i miła, powiedziała sobie. Nic złego nie zrobiłaś”.

Podeszła do drzwi dla pracowników i zadzwoniła. Otworzył Bobby, ochroniarz.

- Cześć - powiedział zdawkowo i Vivian się uśmiechnęła. Może nie będzie tak źle?

- Dzień dobry.

W szatni odwiesiła płaszcz, odłożyła rękawiczki i kapelusz na półkę, i skierowała się prosto do automatu z kawą, jak zrobiłaby to każdego innego dnia. Wzruszył ją widok własnego kubka stojącego na zwykłym miejscu. Nalała kawy i podeszła do swojego biurka, ale stawiając kubek na blacie uświadomiła sobie, że nie jest to jej miejsce pracy. Zniknęły gdzieś zdjęcia Franka, dzieci, Pookiego, doniczka z kaktusikiem, który dostała na Dzień Matki. Poczula nieprzyjemny skurcz żołądka i rozejrzała się lękliwie, nieśmiało. Czy był to okrutny żart, czy wszyscy obserwowali teraz jej reakcję? Kilku kolegów obsługiwało klientów, Ben i Anna rozmawiali przez telefon, reszta zdawała się unikać jej spojrzenia. Usiadła, niepewna co robić. Ręce jej drżały, odstawiła więc kubek, żeby nie rozlać kawy. Anna odwiesiła słuchawkę i podeszła wprost do niej.

- Cześć, Vivian - powiedziała dość opryskliwie. - Kiedy cię nie było, konsultanci poprzestawiali biurka. Twoje jest tam, we wnęce. - Wskazała miejsce, gdzie załamanie ściany tworzyło coś w rodzaju alkowy, tuż przy drzwiach na zaplecze. Niektórzy chwalili sobie tę kanciapę, twierdząc, że daje większą prywatność niż biurka na sali ogólnej.

- Przecież to jest miejsce Betsy ! - zaprotestowała Vivian. Betsy obsługiwała skrytki bankowe i z alkowy miała łatwy dostęp na zaplecze.

Anna tylko wzruszyła ramionami.

- Będzie obsługiwała je od frontu. Dzięki temu klienci nie będą wytrącać nas z rytmu pracy ciągłymi pytaniami o Betsy - wyrecytowała. - Chodzi o efektywność. Powiedziawszy, co miała do powiedzenia, Anna zrobiła w tył zwrot i od-maszerowała.

Vivian, czerwona pod warstwą pudru, podniosła się wolno i przeszła na swoje nowe stanowisko. Wsunęła się między biurko a ścianę i opadła na krzesło. Siedząc w alkowie, plecami niemal dotykając ściany, zastawiona biurkiem, odnosiła wrażenie, że znajduje się w szafie. Przypomniały się jej siostry zakonne uczące ją w szkole podstawowej. Nosiły barbety, które spełniały rolę zaślepek, podobnie jak ściany alkowy. Vivian nie widziała wchodzących klientów, nie widziała również dwóch pierwszych rzędów biurek na sali. W zasadzie jej pole widzenia ograniczało się do biurka Anny i oszklonego

gabinetu Jady. Była sama, odizolowana i niemal niewidoczna dla innych. Wątpiła czy to przypadek. Schyliła głowę i udawała, że przegląda wnioski o kredyty, chociaż tak naprawdę próbowała przypomnieć sobie słowa piosenki, którą nuciła, wychodząc z domu.

Pracowała cały ranek, nadrabiając zaległości, obdzwanając klientów, którzy niedbale wypełnili formularze. Miała kilka zatwierdzonych kredytów, ale odkładała je na czas lunchu, kiedy szanse zastania kogoś w domu były większe. Myślała z przyjemnością o przekazaniu komuś dobrej wiadomości.

Była jedenasta trzydzieści i nikt - z wyjątkiem dwóch klientów - się do niej nie odezwał, a ona była zbyt zalekniona, by podejść do biurka Bena, czy zagadnąć którąś z kasjerek. A jeśli potraktują ją tak, jak potraktowały ją kobiety na kiermaszu ciast? Tego by nie zniosła.

Nabrała już niemal pewności, że została wraz z biurkiem usunięta z oczu „przyzwoitych ludzi”. Wydawało się jej, że Jada nie pozwoliłaby konsultantom ani pracownikom banku na takie przemeblowanie, ale pewności nie miała. Jada była przecież nie tylko jej przyjaciółką lecz przede wszystkim pracującą matką która musi zarabiać na swoje dzieci. To było dla niej najważniejsze na świecie.

Teraz, kiedy stanęła przed groźbą utraty posady, Vivian zrozumiała, ile dla niej znaczy praca w banku. Lubiła pomagać ludziom. Lubiła ukazywać im nowe drogi wyjścia z finansowego impasu, objaśniać jak wypełnić formularz, lubiła poczucie, że zrobiła coś pożytecznego. Praca zapewniała jej kontakt z ludźmi, możliwość porozmawiania z dorosłymi, nawet jeżeli te rozmowy dotyczyły ostatniego epizodu „Żaru młodości” czy nowej kafejki, którą otwarto w sąsiedztwie. Kiedy Frank opowiadał jej wieczorem o swoim dniu w pracy, mogła odwzajemnić się tym samym. I choć praca w banku miała swoje przykre chwile, kiedy trzeba było odmówić pożyczki ludziom, którzy jej naprawdę potrzebowali, Vivian czerpała z niej mnóstwo przyjemności.

Ale nie teraz. Fakt, że posadzono ją we wnęce wielkości szafy, z dala od wszystkich, że współpracownicy zbywają ją wzruszeniem ramion, ostatecznie ją pognębił.

Przypomniała sobie, ile razy zamykała Pookiego za karę w klatce do przewożenia psów. Biedny Pookie. Łzy napłynęły jej do oczu. Pomyślała, że może to tylko zbieg okoliczności, może jest przewrażliwiona. Może gdyby uczyniła pierwszy krok, wszystko wróciłoby do normy, uznałaby usytuowanie biurka za korzystne.

Zadzwonił telefon i Vivian podniosła słuchawkę.

- Vivian? To ja, Jada.

- Cześć! Trzymasz się?

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam do ciebie rano, ale musiałam stawić czoło panu Marcusowi, a potem miałam godzinne zebranie w sprawie

procesowania danych i przysięgam, nie zrozumiałam ani słowa z tego, co zostało powiedziane.

- Niedobrze - powiedziała Vivian. Co za ulga! Jada nie zamierzała jej izolować. - Mam do ciebie przyjść? Może wybierzemy się na lunch?

- Nie najlepszy pomysł. Posłuchaj, naciskają na mnie. Marcus ma zastrzeżenia, rozumiesz... Ktoś mu powiedział, że nie powinien cię dłużej zatrudniać. Jakoś sobie poradziłam, ale będzie chyba lepiej jeżeli...

- Rozumiem - powiedziała Vivian przez ściśnięte gardło.

- Potrzebna mi twoja pomoc.

- Jasne - zadeklarowała się Vivian. - O co chodzi?

- Otwórz dolną szufladę po prawej stronie biurka - powiedziała Jada.

- Czy to prezent? - zapytała Vivian. - Dla mnie? - Wolno wysunęła szufladę.

- Jeżeli już, to dla mnie - głos Jady załamał się nagle. - Bardzo go potrzebuję.

Vivian wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, co trzyma w ręku. Była to prośba o udzielenie pożyczki, podpisana przez Jadę. Niezabezpieczona pożyczka na dziesięć tysięcy dolarów. Rany!

- Mam to - powiedziała. - Co dalej?

- Vivian, nie wiem, co robić. Już dałam Rickowi Bruzemanowi czek na dziesięć tysięcy tytułem zaliczki.

- Dziesięć tysięcy? - wyszeptała Vivian. - Zażądał aż tyle?

- Na początek - przyznała Jada. - Ale obiecał, że będzie agresywny i zwróci mi dzieci.

- To okup! Nie wyobrażałam sobie... - Ciekawe, ile Bruzeman zażądał od Franka. Musi to być bez porównania większa suma.

- Jak zamierzasz go spłacić? - zapytała Vivian.

- Odpowiedź leży przed tobą.

Vivian podniosła wzrok znad kartki papieru na przeszkloną ścianę gabinetu Jady.

Jada stała, jedną ręką trzymając słuchawkę, drugą masując sobie kark. Kiedy zobaczyła, że Vivian na nią patrzy, potrząsnęła głową i odwróciła się tyłem.

- Nie patrz w tę stronę! - niemal krzyknęła. Milczały przez chwilę, która wydała się obu bardzo, bardzo długa.

- Posłuchaj, Vivian, to nie jest żaden przewal. Nie proszę cię o nic, czego nie powinnaś zrobić. Myślę, że jestem w stanie zagwarantować spłatę długu. Na razie nie mogę zastawić domu, bo do tego potrzebowałabym podpisu Clintona, ale po rozwodzie będę miała wolną rękę. Chcę, żebyś załatwiła tę pożyczkę jak każdą inną, tyle że o wiele szybciej. Jeżeli jutro nie będę miała na koncie gotówki, pan Bruzeman mocno się zirytuje. Okay?

- Okay. Słuchaj, zupełnie z innej beczki... możesz mi powiedzieć, dlaczego zostałam upchnięta w ten kąt?

- Polecenie odgórne - powiedziała Jada. - Donieśli Marcusowi. Osobiście uważam, że jak sprawa trochę przycichnie, nikt ci nie będzie robił wstrętów. Oczywiście, zawsze się znajdzie jakiś duppek. W tej chwili dupkami są wszyscy moi pracownicy. Patrzą na morze dupków.

- Paskudny widok.

- No, nie wiem. Mogliby pokazywać twarze.

Vivian musiała się roześmiać i ten śmiech sprawił jej ulgę. Jada jest jej przyjaciółką i razem jakoś to przetrwają.

Przez całe popołudnie wypełniała formularze, żeby uzyskać zatwierdzenie pożyczki dla Jady. Zadzwoiła do kogo trzeba i uzyskała ustną zgodę na wszystkich kolejnych szczeblach. Największym oszustwem, jakie popełniła, było opatrzenie podania wsteczną datą, żeby wyglądało na to, że Jada odczekała swoją kolejkę. Dzwoniła do ludzi i mówiła: „Nie uwierzysz, jak sfuszerowałam. Spóźniłam się o tydzień z załatwieniem pożyczki własnej szefowej”. Ludzie byli zdumiewająco pomocni, kiedy mówiła, że stawką jest jej posada.

Największy problem, przynajmniej zdaniem Vivian, polegał na tym, że choć Jada mogła spłacić dług (nie bez poważnych trudności), nie mogła sobie pozwolić na tak drogiego adwokata, a w perspektywie czekał jajeszcznie kosztowny rozwód. Co robi, gdy Bruzeman zażąda następnych dziesięciu tysięcy? A Bruzeman można było posądzić o wszystko, tylko nie o cierpliwość. Vivian wątpiła, czy zechce poczekać na swoje honorarium.

Ale czy Jada miała inne wyjście? Wziąć gorszego prawnika za niższą stawkę?

Zwrócić się do programu pomocy prawnej? Vivian tylko potrząsnęła głową.

Spojrzała na swój zegarek - z alkowy nie widziała zegara ściennego - i stwierdziła, że jest punkt trzecia. Wstała, żeby rozprostować nogi i przynieść sobie kolejny kubek kawy, kiedy przy drzwiach wejściowych powstało zamieszanie.

Westchnęła, nie patrząc nawet w tamtym kierunku. Niemal codziennie na minutę przed zamknięciem zjawiał się jakiś waźniak, któremu wydawało się, że musi dokonać wpłaty lub wypłaty. I przez cały dzień ochroniarze zarabiający sześć dolarów za godzinę czekali na ten moment, kiedy będą mogli powiedzieć nadzianemu waźniakowi, że mu się nie poszczęściło. Vivian rzuciła spojrzenie w stronę holu. Strażnik pchał drzwi, próbując je zamknąć, podczas gdy mężczyzna w garniturze napierał na nie z zewnątrz, wsunawszy w szparę stopę w brązowym bucie. Vivian nie znała strażnika: nie należał do stałych pracowników, ale radził sobie znakomicie. Kasjerki nie zwracały na tę scenę żadnej uwagi, reszta pracowników również zajmowała się własnymi sprawami.

Strażnik napierał na drzwi całym ciężarem ciała, a stopa klienta tkwiła nadal w szparze. Coś musiało pęknąć: szkło albo kość.

- Przestań! - zawołała Vivian do strażnika. - Złamiesz mu nogą i bank będzie musiał płacić odszkodowanie.

Strażnik odwrócił się, zmniejszając nacisk i to wystarczyło, by klient wśliznął się do środka. Mężczyzna przyskoczył do Vivian. Uśmiechnęła się, oczekując podziękowań, ale on zapytał tylko, gdzie znajdzie kierownika.

„Boże!, pomyślała. Wpuściłam go, uratowałam mu nogę przed zmiżdżeniem, a on nas i tak pozwie”.

- Może nie trzeba wzywać kierownika - powiedziała ugodowo. - Może ja będę mogła panu pomóc?

- Nazywa się pani Jada Jackson? -Nie.

- Więc nie z panią chcę rozmawiać - powiedział mężczyzna i skierował się w stronę biur na tyłach sali. Vivian wzruszyła ramionami, ale nie traciła z oczu nieznanego, który rozmawiał teraz z Anną. Nalewając kawy, zobaczyła, że Anna wciska przycisk intercomu. Tymczasem mężczyzna wyminął jej biurko, otworzył drzwi gabinetu i wszedł niezapowiedziany. Ze swojego miejsca Vivian zobaczyła, jak Jada odwraca się, zdumiona, a Anna podrywa się z krzesła.

Vivian odstawiła kubek i ruszyła szybkim krokiem w stronę biur. Dotarła do drzwi gabinetu w chwili, gdy mężczyzna spytał, czy rozmawia z panią Jada Jackson.

Vivian chciała zawołać: Nie, pani Jackson nie ma! ale zdążyła tylko otworzyć usta. Urzędnik sądowy - ponieważ był to urzędnik sądowy, czego powinna się domyślić wcześniej - sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął dużą kopertę.

- To dla pani. - Odwrócił się i pokuśtykał w stronę wyjścia. Widocznie w starciu ze strażnikiem doznał jednak obrażeń. Vivian nie zajmowała się nim dłużej, odwróciła się do Jady, która otworzyła kopertę i wpatrywała się w jej zawartość.

- O mój Boże, Boże! - powiedziała z jękiem i opadła na fotel. - Przyznali mu tymczasową opiekę nad dziećmi. - Popatrzyła na Vivian. - Clinton dostał tymczasową opiekę i ustalił termin rozprawy wstępnej.

- Przecież nie byłeś nawet w sądzie! Jada nadal przeglądała papiery.

- Ale on był. Clinton, ekspert w dziedzinie odkładania na później, już był w sądzie. Spodziewa się, że będę łożyła na dzieci.

- To śmieszne - powiedziała Vivian. - Absurdalne. Sąd nie może przyznać mu alimentów.

Jada podniosła wzrok.

- Obawiam się, że może. My mieliśmy zamiar zrobić to pierwsi. A przynajmniej mnie się wydawało, że Bruzeman to zrobi.

- Wiesz, co Frank mi powiedział? - zapytała Vivian. - Że urząd pocztowy musiał wycofać ostatnią serię znaczków.

- Dlaczego?
- Ponieważ widniały na nich podobizny prawników i ludzie nie wiedzieli, na którą stronę spłuć. Czy Bruzeman zrealizował czek? Lepiej go zlikwiduj.
- Lepiej poszukam sobie nowego prawnika - powiedziała Jada. - Nie rozumiem tego
- dodała, zupełnie oszołomiona. - Muszę płacić Clintonowi za to, że zabrał mi dzieci? - Potrząsnęła głową, jakby chciała się ocknąć ze snu.
- To śmieszne - powtórzyła Vivian. - Idiotyczne. Dzieci nie dadzą sobie rady bez ciebie, Clinton nie zwraca na nie żadnej uwagi. Chyba nie musisz mu płacić tych alimentów?
- Nie muszę płacić alimentów - powiedziała Jada bezbarwnym, nieobecnym głosem.
- Mogę nie płacić i pójść do więzienia.

## **Rozdział 21**

Jada siedziała na miejscu dla pasażera, patrząc przed siebie nie-widzącym wzrokiem. Jej dłonie złożone na kolanach drżały. Jada wiedziała, że to drżenie bierze się z nieznośnej mieszanki strachu i wściekłości, ale to nie pomogło jej opanować dreszczy. Przed pół godziną w biurze, chciała podpisać memorandum, które położyła przed nią Anna. To wtedy dostała tej trzęsączki. Odwróciła się tyłem do sekretarki, ale z trudem utrzymała pióro i podpis, który złożyła, był nieczytelny. Ręce drżały, a reszta ciała zmieniła się w kamień, tak zimny i ciężki, że dziwiła się, że resory samochodu nie jęczą pod jej ciężarem. Teraz siedziała nieruchomo, podczas gdy Vivian próbowała odwrócić jej myśli od nieszczęścia.

ponieważ mają lepsze podejście - mówiła. - Oczywiście, dobrze mieć to, co najlepsze, ale miałaś Bruzemana i Clinton pobił cię w przedbiegach. W każdym razie, ci ludzie specjalizują się w problemach kobiet. Przynajmniej mają słowo „kobiety” w nazwie. Ciekawe, czy prawnikami też są kobiety.

Vivian paplała wiedząc, że po odebraniu dokumentów sądowych Jada wpadła w stan odrętwienia. Vivian zabrała ją do pokoiku, gdzie stała kopiarka, zamknęła drzwi, co było wbrew przepisom, i wywiesiła tabliczkę „nieczynne”. Potem wykonała parę telefonów w imieniu szefowej. Teraz jechały autostradą stanową do jakiegoś ośrodka pomocy prawnej czy czegoś w tym rodzaju.

- Będą na pewno wiedzieli co robić, bo robili to już sto tysięcy razy. Powiedzą ci, do jakiego adwokata się zwrócić, zamiast kutasa Bruzemana.



No i nie będziesz musiała płacić horendalnych zaliczek. - Vivian umilkła i zerknęła na Jade. - Chcesz, żebym przestała mówić? Tak bardzo chcę ci pomóc, a nie wiem jak.

Jada potrząsnęła głową, niezdolna wydobyć głosu. Nie mogła uwierzyć, że Clinton posunął się tak daleko. Latami nie robił nic, a teraz stać go było na porwanie, najęcie adwokata-gnidy i wypowiedzenie wojny. Zaplanował i przeprowadził zemstę sprawnie i niesłychanie skutecznie. Jadzie wydawało się, że zna mężczyznę, za którego wyszła za męża. Do czego jeszcze był zdolny?

Vivian świergotała dalej, rzucając jakieś pocieszające maksymy, okropnie wkurzające.

- Najciemniej jest zawsze przed świtem - mówiła właśnie.

- Chyba że o świcie przechodzi tornado - odparła Jada.

- Daj spokój! Gorzej już być nie może, będzie lepiej. Po każdej burzy nastaje pogoda. - Vivian patrzyła na szosę w takim skupieniu, jakby autostrada miała lada chwila zapaść się pod ziemię. Mimo to, co parę minut odrywała wzrok od podstępnej międzystanowej i starała się podtrzymać Jade na duchu.

- Trzymaj się, tylko się trzymaj!

Jada próbowała ze wszystkich sił. Co chwila podnosiła papiery do oczu. Treść przyprawiała o mdłości, ale coś ją zmuszało do czytania. Gra toczyła się o życie. Fragmenty tekstu skakały jej przed oczami: „jako główny żywiciel”, „nieosiągalna dla dzieci w ciągu dnia i wielu wieczorów”, „pochłonięta pracą”, „ambicja, która kazała jej zaniedbać obowiązki rodzinne”. Litera się rozmazywały.

Miała wrażenie, że zamiast zmiętych białych kartek trzyma na kolanach białe tarantule. Z każdego zagięcia wyłaniała się nowa pajęczka noga, nowe żądło. Jada chciała strącić robactwo z kolan, rozgnieść kłamliwe, szkalujące ją kartki na podłodze samochodu Vivian, ale wiedziała, że nawet jeżeli je unicestwi, wkrótce napłyną nowe. Jęknęła cicho.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Vivian kojącym głosem. Takim tonem zwracała się do Jenny, a nawet Frankiego, ale tu nie chodziło o przedszkolną tragedię. - Nie rozumiesz, co tu jest napisane? - zapytała Jada ostrzej, niż zamierzała, z trudem tłumiąc gniew. - Nie będzie dobrze. On oskarża mnie o to, że jestem złą matką, że przedłożyłam pracę nad własne dzieci. Że byłam żywicielem rodziny, ponieważ chciałam zrobić karierę. A teraz mam go dalej utrzymywać, chociaż się wyprowadził.

- To śmieszne! Jada, jesteś wspianiałą matką. Poświęciłaś się dla dzieci. Wszyscy to wiedzą. To musi być jakaś sądowa pomyłka. Oni się potrafią strasznie pomylić, spójrz tylko na mnie i Franka. Ale z czasem wszystko się wyjaśni. Oni ci pomogą, ci ludzie w ośrodku.

Jada tylko potrząsnęła głową i zapatrzyła się w gęstniejącą ciemność. Cieszyła się, że nie musi wracać do Ricka Bruzema, ale jaki poziom usług

mógł ofiarować taki ośrodek doradztwa prawnego? Kiedy dzieci chorowały, zabierała je do prywatnego lekarza, a teraz miała powierzyć najważniejszą sprawę życia jakiejś społecznej instytucji?

Właściwie, co taka Vivian wie? Biała dziewczyna, która oddała się pod opiekę męża. Nie miała pojęcia o prawdziwym życiu. Czy jakakolwiek biała kobieta wiedziała coś o dyskryminacji, z jaką Jada spotykała się na każdym niemal kroku, o lęku odziedziczonym po rodzicach-imigrantach, o nieufności względem prawników, władzy i sądów. W przeciwieństwie do Vivian, Jada wiedziała, jak łatwo zniszczyć życie niewinnego człowieka, wiedziała jak łatwo przyjdzie sądowi uznać Jadę Jackson za złą niekompetentną matkę. Czy taka Vivian miała jakieś rozeznanie? To przecież ona narabiła Bruzema i Jada czyniła ją w pewnym stopniu odpowiedzialną za to, co się stało, bardzo niesprawiedliwie, trzeba przyznać. Było oczywiste, że Clinton - po raz pierwszy w życiu - przewyższył ją inteligencją i kogo by nie zatrudniła, nadal stała na przegranej pozycji. Zerknęła na Vivian. Ta biała kobieta próbowała jej pomóc, ale czasem Jadę nachodziła myśl, że dzieli je przepaść nie do przebycia.

Jakby czytając w jej myślach, Vivian dotknęła lekko kolana przyjaciółki.

- Zaufaj im - poprosiła. Wjechała na parking. - Słyszałam od Ruth Adams, że wyciągnęli jej siostrę z poważnych kłopotów. - Vivian zatrzymała samochód i Jada zapragnęła złożyć głowę na desce rozdzielczej i zapłakać. Zmusiła się jednak, by unieść zwój białych tarantul za jeden róg.

- Już kiedyś zauważyłam tę kancelarię - mówiła Vivian, prowadząc przyjaciółkę w stronę budynku. - Zanim jeszcze Ruth mi o niej wspomniała. Wpadła mi w oko jakiś tydzień temu. - Otworzyła drzwi i Jada weszła za nią do holu. - Podoba mi się pomysł ośrodka prawnego dla kobiet. - Vivian zapytała recepcjonistkę, gdzie mieści się biuro kancelarii i po pokonaniu dwóch kondygnacji schodów znalazły się na miejscu.

Jada usiadła w poczekalni obok drobniutkiej Azjatki w chińskim mundurku, która pocierała ręką wierzch drugiej dłoni, łuszczącej się już od nieustannego tarcia.

Natomiast sąsiadką Vivian okazała się starsza kobieta z podbitym okiem.

„Świetnie, pomyślała Jada. Jestem w gronie maltretowanych żon i osób obsesyjno-maniakalnych. Boże, wybac mi, pozwól mi współczuć tym kobietom. Pewnie zasługuję na to, by siedzieć wśród nich”.

Choć tak bardzo się starała ocalić rodzinę, uratować małżeństwo, poniosła całkowitą klęskę. Podjęła złą decyzję i teraz przedstawiała równie żaloszny widok jak te nieszczęsne, przerażone kobiety. „Kieruję się fałszywą dumą”, wyznała przed Bogiem. „Ja, praktykująca chrześcijanka!”

Siedziała, załamana, na swoim krześle, pozostawiwszy Vivian załatwienie formalności. Dwukrotnie Vivian była wzywana do recepcji i dopiero gdy ich sąsiadki zniknęły za drzwiami pokojów, wywołano nazwisko Jady.

Vivian dotknęła jej ramienia i przez chwilę Jada miała ochotę poprosić przyjaciółkę, by poczekała na nią w korytarzu. Nie chciała, żeby ktoś widział, jak zmienia się w rozhisteryzowaną, szlochającą kupkę nieszczęścia, ale jednocześnie potrzebowała Vivian, potrzebowała kogoś, kto zaświadczy za nią przed adwokatem, kogoś, kto ochroni ją przed protekcyjnymi spojrzzeniami, których nie szczędził jej Rick Bruzeman.

Zacisnęła czarne palce na białym przegubie Vivian i łagodnie pociągnęła przyjaciółkę za sobą. O nic nie prosiła, uniosła tylko pytająco brwi. Vivian uśmiechnęła się i sprawiała wrażenie zadowolonej.

Recepcjonistka otworzyła przed nimi jakieś drzwi i znalazły się w malutkim biurze zagraconym do granic możliwości. Pośród stosów papieru stały dwa krzesła, za małym, zarzuconym teczkami biurkiem siedziała młoda kobieta, młodsza od Jady i Vivian.

Kobieta wstała. Miała jasne włosy, małe jasne oczy o długich rzęsach i szerokie usta pomalowane na dziwny łososiowy kolor.

- Cześć, jestem Kam Lopez - powiedziała, wyciągając rękę do Jady. Ale ją nie stać było teraz na kurtuazyjne gesty. Włożyła po prostu białą tarantulę w otwartą dłoń tej drobnej dziewczyny, potem osunęła się na krzesło, bezwładna jak worek trocin.

Vivian rozpoczęła przemowę. Mówiła jednym tchem, niemal bez znaków przestankowych, jak dziecko, które chce przekazać wszystko naraz.

- To jest straszna niesprawiedliwość. Przez ostatnie pięć lat moja przyjaciółka robiła wszystko, by uratować swoją rodzinę przed rozpadem, a teraz jej mąż, który nie zarobił centa przez ten cały czas, ma romans, znika z dziećmi, żąda alimentów i występuje o opiekę nad dziećmi. On nie może tego zrobić, prawda?

Kam Lopez przeglądała trujące papiery.

- Już to zrobił - powiedziała. - Zrobił więcej. Przyznano mu tymczasową opiekę. Przedstawia panią ponadto jako nieodpowiedzialną matkę, podkreślając własny stabilizujący wpływ na rodzinę. - Prawniczka podniosła wzrok. - Czy to prawda? Łzy gniewu napłynęły Jadzie do oczu. Zanim zdołała wykrztusić odpowiedź, odezwała się Vivian.

- Proszę posłuchać! Moja przyjaciółka wzięła posadę kasjerki w banku, pracowała za grosze, żeby mieć na chleb dla rodziny. Całymi miesiącami jedli makaron. W ciągu pięciu lat dochrapała się stanowiska kierownika oddziału. Nikt jej w tym nie pomógł. Nikt nie chciał dać jej tej posady. Była po prostu za dobra, by to zignorować. Harowała jak wół, ale co wieczór była w domu. Mogę na to przysiąc. Rozmrażała kurczaka, gotowała ryż i pilnowała, żeby dzieci jadły brokoły, coś czego mnie nie udało się osiągnąć. A w niedzielę prowadziła je do kościoła. Jada popatrzyła na przyjaciółkę z wdzięcznością. Ktoś się za nią ujął.

- Tymczasem jej mąż obibok siedział na kanapie z założonymi rękoma, chyba że akurat obmacywał kochankę. Potem zabrał dzieciaki i zniknął. Nie widziała ich od tamtego czasu. Mnie by to zabiło. Ona jest silniejsza, więc tylko odchodzi od zmysłów. Jak pani by to zniosła?

- Nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

Nuta prawdziwego współczucia, jaka zabrzmiała w jej głosie, sprawiła, że Jada się załamała. Zaczepnęła głęboko powietrza, wypuściła je z głębokim szlochem, który wstrząsnął całą jej istotą. Rzadko płakała i nie miała wprawy. Podniosła ręce do twarzy, żeby ukryć swój gniew, przerażenie i swój wstyd. Kam wyciągnęła ku niej dłoń, ale nie poklepała jej po ramieniu, lecz chwyciła mocno za przegub. Miała zaskakujące silne, twarde dłonie.

- Posłuchaj - powiedziała. - Ty nie zrobiłaś nic złego. To on postąpił podle, a potem znalazł sprytnego, pozbawionego skrupułów adwokata. Tego się już nie da zmienić. Nie mogę uratować twojego małżeństwa, ale mogę pomóc ci odzyskać dzieci i przeprowadzić rozwód.

Jada spojrzała przez palce, potem otarła oczy kłykciami, gestem, który żywo przypominał Kevona.

- Ale nie mogę zobaczyć dzieci? - zapytała. - Na razie muszę je oddać? - Wskazała papiery. - I te pieniądze. Prawie cała moja pensja. On będzie żył z przyjaciółką, nic nie robiąc, a ja mam pracować, żeby utrzymać rodzinę, którą mi zabrał.

Kam Lopez jeszcze mocniej zacisnęła palce na jej przegubie i Jada miała wrażenie, że ta dłoń wciąga ją powrotem do świata, w którym żyła dawniej.

- On stawia fałszywe oskarżenia. Jest to bardzo nieprzyjemne, ale w sumie niegroźne i dość typowe. Możemy posłużyć się tą samą bronią. Problem w tym, że uzyskał przewagę na starcie. Wyprzedza nas o krok. Oczywiście, oznacza to, że łatwiej będzie go trafić w czułe miejsce. Zanim jednak przystąpimy do prawdziwej walki, uzyskam dla pani prawo odwiedzin. Może już na jutro. Mamy dobre układy w sądzie rodzinnym. Porozmawiam z sędzią i odbędę konferencję z adwokatem pani męża. - Chciałabym, żeby to Frank odbył konferencję z Clintonem. Za pomocą pięści - powiedziała Vivian. - Nie chce mi się w głowie pomieścić, że...

Kam potrzęsnęła zdecydowanie głową i jej jasne krótkie włosy zatańczyły wokół twarzy.

- Nie, nie, nie! Musimy działać efektywnie. I zgodnie z prawem. Będzie to wymagało trochę wysiłku, to wszystko. Wystąpimy o przyznanie opieki, złożymy oświadczenie, że podjęła pani pracę zmuszona przez okoliczności, a do tego dołączymy opinię z miejsca zatrudnienia. Przedstawimy świadków, którzy potwierdzą pani kompetencje jako matki, zaangażowanie w obowiązki rodzinne. Zdobędziemy orzeczenie psychologa dziecięcego, będziemy musiały również znaleźć kogoś, kto opowie o stosunkach pani męża z ... -Kam zerknęła w papiery - Tonia Green.

Kam popatrzyła na swoją klientkę i Jada musiała *przyznać*, że jej ufa, chociaż nie miała jeszcze po temu prawdziwych podstaw; słowa na ogół nic nie kosztują.

- Będziemy się posuwać krok po kroczku, aż zbierzemy pełny materiał dowodowy.

Nie możemy przegrać tej sprawy - powiedziała Kam spokojnie. - Jeszcze dzisiaj wystąpię o prawo odwiedzin. Obiecuję, że odzyska pani swoje dzieci.

- A więc weźmie pani tę sprawę? Wszystkim się pani zajmie? - Jadę zdumiał własny, proszący głos.

- Ośrodek ma obowiązek przedstawić każdą sprawę radzie i stosować się do jej decyzji, ale uważam, że w tak drastycznym przypadku rada wypowie się przychylnie.

Vivian kopnęła Jadę pod stołem. Jada popatrzyła na przyjaciółkę, która wyszeptała bezgłośnie coś, czego Jada nie zrozumiała. Vivian kopnęła ją mocniej, a kiedy przyjaciółka nadal patrzyła na nią z pytaniem w oczach, podniosła głos do szeptu.

- Honorarium? Ile to będzie kosztowało?

- Prawda! Ile to będzie kosztowało? - zapytała Jada, pamiętna zaliczki wypłaconej Bruzemanowi. - Wiem, że to jest ośrodek, ale przecież nie robicie tego za darmo?

- Klient pokrywa koszty operacyjne, plus opłaty sądowe. Mamy jednak specjalny fundusz i w przypadkach wyjątkowych... - Kam próbowała się uśmiechnąć. - W tej chwili ma pani i tak dość kłopotów. Będziemy panią reprezentować niezależnie od tego, ile będzie pani nam mogła zapłacić. Ośrodek jest dotowany. Dlatego w ogóle może funkcjonować. Tak więc sprawę finansów uznajemy za zamkniętą. A teraz, czy napiją się panie kawy? - Kam podniosła się zza biurka.

- Dziękuję - powiedziała Jada. - Dziękuję, dziękuję!

Stojąc, Kam wydawała się jeszcze młodsza, Jada oceniła ją najwyżej na trzydzieści lat, ale nie zastanawiała się już, czy osoba tak młoda może być dobrym prawnikiem i czy sędzia będzie chciał jej wysłuchać. Kam Lopez miała w sobie pokłady energii i współczucia. Jada poczuła wdzięczność dla Vivian, że ją tu przyprowadziła i wstyd za swoje wcześniejsze rozważania na temat „białych dziewcząt”.

- Chodźcie, mamy świeże pączki. Najlepiej opracowuje mi się strategię bojową przy ciastkach. Nie istnieje sytuacja tak beznadziejna, żeby węglowodany nie mogły jej poprawić.

Jada zobaczyła uśmiech na twarzy Vivian. Ale w drzwiach Kam się zatrzymała.

- A teraz zupełnie poważnie, pani Jackson. Zobaczy pani dzieci w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Jada opuszczała zagracony pokój z lżejszym sercem, zdobywszy się na coś w rodzaju uśmiechu.

## Rozdział 22

Kam uznała, że czas postarać się o własne cztery kąty. Po lunchu z JoAnn Metzger nabrała przekonania, że będzie mogła wynająć mieszkanie ze skromnej pensji, którą jej przyobiecano. Pozostawało pytanie, gdzie powinna zamieszkać i jak to przeprowadzić.

W zasadzie nigdy nie mieszkała sama. W czasach college'u i studiów dzieliła mieszkania ze współlokatorkami. Po dyplomie przytuliła się kątem u przyjaciółki, a po kilku miesiącach zamieszkała z Reidem. Wiedziała jednak, że nie powinna dłużej biwakować w salonie ojca, a u matki nie było dla niej miejsca. Nie miała pojęcia, jak przystąpić do szukania lokum, na ile ją stać i gdzie chce zamieszkać. Wiedziała tylko, że nie chce współlokatorki i że doskwiera jej brak własnych rzeczy. Płaciła słono, z ojcowego portfela zresztą, za przechowywanie kartonów w magazynie, i był już najwyższy czas unormować sobie życie.

Poruszyła temat z Billem-stażystą.

- A gdzie chcesz mieszkać? Bo wiesz, istnieje d-u -ż-a różnica między White Plains a Scarsdale.

Opowiedział jej o mieszkaniu, które wynajmuje do spółki z przyjacielem i podał nazwisko agenta nieruchomości.

- Rzadki cwaniak, ale wie co, gdzie i jak.

Podpowiedział jej również, w jakiej gazecie najlepiej szukać ofert i tego dnia, w przerwie na lunch, usiadła przy barze w kafeterii, rozłożywszy gazetę na dziale ogłoszeń.

„Słoneczne”, wpadło jej w oko pierwsze ogłoszenie. „Przytulna kawalerka, opłaty wliczone w czynsz, wspaniały widok. Okazja: tysiąc dwieście dolarów”. Kam otworzyła szeroko oczy. Tysiąc dwieście dolarów miesięcznie za kawalerkę?

Czytała dalej. „Przytulne studio na parterze. Ciche, z oknami na małe patio. Sześćset dolarów”. Właśnie zakreślała ogłoszenie, kiedy tuż za nią odezwał się znajomy głos.

- Zapomnij o tym.

Kam odwróciła się i ujrzała Michaela Rice'a, prawnika z ośrodka.

- Szukasz mieszkania?

Kam skinęła głową, niepewna, czy jest mu wdzięczna za zainteresowanie.

- Cena za pierwsze jest wyśrubowana, a to drugie okaże się czarną dziurą Kalkuty. - Wskazał na wolny stółek i uniósł pytająco brwi.

Kam wykonała zapraszający gest. Michael usiadł, pochylając się nad gazetą.

- Właśnie skończyłem to, co ty zaczynasz i znam język ogłoszeń. - Spojrzał na drugie zakreślone przez nią ogłoszenie. - Pozwól, że przetłumaczę.

Przytulny - znaczy o wiele, wiele za mały. Ciche na parterze - bardzo, bardzo ciemne. Czasami mieszkania na parterze wcale nie są ciemne, ale tylko wtedy, gdy napisano: „z oknami na południe”, albo „zalane słońcem”. Zresztą przy tak niskim czynszu dzielnica z pewnością ci się nie spodoba. Kam uśmiechnęła się trochę rozbawiona, trochę zirytowana.

- A co powiesz na to? - pokazała mu ogłoszenie. „Piękny widok z czwartego piętra. Słoneczne, pogodne. Duży aneks jadalny z możliwością zmiany na drugą sypialnię. Pralnia, sala gimnastyczna”.

Michael pokręcił głową.

- Wieżowiec. W pobliżu torów, bo tam się głównie stawia. Na dodatek nie podali ceny, a to oznacza, że lokal jest bardzo drogi.

- Czy zanim zostałeś prawnikiem, pracowałeś w dziale ogłoszeń?

- Może w którymś z poprzednich wcieleń. „Apartament z widokiem na rzekę, rzut kamieniem od Nilu. Okazja: piramidy nie będą stały wiecznie!”

Kam się roześmiała.

- To bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało - powiedziała.

- Fakt, czytanie ogłoszeń może nieźle zamącić człowiekowi w głowie. Kiedy już zaczniesz oglądać te mieszkania, zdobędziesz większe rozeznanie. Będziesz mogła z miejsca powiedzieć, które się kompletnie nie nadaje, bo jest zbyt obskurne albo za drogie. I kiedy już stwierdzisz, że w tym mieście nie ma dla ciebie żadnego mieszkania, pojawi się agent, który cię wysłucha i... sprawi cud.

- W twoich ustach to się wydaje proste - Kam złożyła gazetę.

- Bo jest proste. Życie jest proste. - Wstał, żeby odebrać w okienku potrawę na wynos. - Mam sprawę na tapecie - powiedział. - Inaczej bym się do ciebie przyłączył. Może chciałabyś zadzwonić do agenta, przez którego znalazłem mieszkanie? Stara gawędziara, ale zna się na rzeczy. Ester Anderson. Figuruje w spisie. Zadzwonź do niej. - Pomachał jej na pożegnanie.

Ku swojemu zdumieniu Kam odczuła rozczarowanie. „Hej, on jest żonaty”, skarciła się. No to co? Chodziło tylko o lunch. Przy barze. Tak, tak, to samo mówiła pewnie Lisa. Kam zabierała się za swój gulasz, kiedy zrobiło się jej niedobrze. Tak niedobrze, że kiedy już znalazła się w toalecie, zwymiotowała do umywalki, ponieważ nie zdążyła dobiec do sedesu.

Tak więc Kam rozpoczęła nowe życie: po pracy, późnym popołudniem spotykała się z agentami nieruchomości i objeżdżała okolice, oglądając mieszkania. Postanowiła, że nie pozwoli, by to zajęcie ją przygnębiło, potraktuje je raczej jak rozrywkę. Rzecz przypominała imprezę teatralną - obsadę stanowił agent, a czasem jego zastępca, sceną było mieszkanie lub domek. Czasem aktorzy byli trochę bezbarwni, trochę nudni, ale zdarzały się indywidualności w typie pani Louise D'Orío, która uważała, że kapelusz jest dobry na

każdą okazję. Pani D'Orio - „przyjaciele mówią mi Lou-Lou” - obchodziła lokal, komentując wszystko, od stolarki okiennej po papier na dnie szuflad. Objaśniała również, jak należy umeblować mieszkanie, gdzie przybić haczyki na kubki i w które gniazdko najlepiej wetknąć wtyczkę ekspresu do kawy.

Rada Michaela okazała się dobra. Ester Anderson była jedyna w swoim rodzaju. Kam wiedziała, że jest chorobliwie gadatliwa i wycygałaby garnek od pokrywki, ale była z gruntu uczciwa.

- Możesz znaleźć coś lepszego, skarbie - mówiła. Albo: „To nie jest mieszkanie dla ciebie. Panu Rice'owi też by nie opowiadało”. Albo: „To by się nadało, gdyby przewidziano więcej szaf. Człowiekowi potrzebna jest prawdziwa szafa, a nie te komódki. Mówię ci, kochana, one nie zdadzą egzaminu”.

To właśnie w mieszkaniu bez szaf Kam zrobiło się słabo, potem przyszły mdłości. Co się z nią dzieje? Wyglądało na to, że kłopoty emocjonalne rzuciły się jej na żołądek. Wybąkała jakieś przeprosiny i pobiegła do łazienki, a odgłosy wymiotów wypełniły całe mieszkanie. Spuściła wodę w sedesie kilka razy, wypłukała usta nad umywalką i otarła je rękawem, ponieważ w nie-zagospodarowanej łazience nie było nawet papieru toaletowego. Próbowwała znaleźć przyczynę swoich dolegliwości. W gruncie rzeczy poszukiwanie mieszkania przebiegało ulgowo; ojciec nie chciał, żeby się wyprowadziła a matka stawała na głowie, żeby jej pomóc. Mimo to czuła się samotna i przerażona. Spojrzała w lustro na swoją wymizerowaną twarz. Tak bardzo boi się zamieszkać sama, że myśl o tym wywołuje wymioty? Potrząsnęła głową i drugim rękawem otarła wilgotną smugę na policzku. Może powinna pójść do lekarza.

Kiedy dołączyła do pani Anderson, agentka dokonywała oględzin szafek kuchennych.

- Nie można tu trzymać wina - powiedziała. - Za blisko kuchenki. Po miesiącu z wina zrobiłby się ocet. - Odwróciła się do Kam. - Zjadłeś coś nieświeżego, kochanie?

- Nie wiem. - Kam wzruszyła ramionami.

- To może być na tle nerwowym. - Pani Anderson położyła dłoń na ramieniu Kam. - Nie jest to w każdym razie niedyspozycja poranna. Jest już dobrze po dwunastej. W samochodzie znowu poczuła się źle, ale nie na tyle, by zwymiotować. Tym razem mdłości wywołała myśl, że może być w ciąży. Próbowwała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni kochali się z Reidem. Była to tortura, ale ustaliła, że w noc przed rocznicą ślubu. Jadąc przez ciemne ulice, obliczała na palcach, kiedy miała okres. Przyjechała do ojca w jednej sukni, nie miała ze sobą nawet szczoteczki do zębów, nie mówiąc o tamponach. A skoro nie



przywiozła ich ze sobą i nie kupiła na miejscu, oznaczało to, że nie miała okresu od...

Trzeba oczywiście wziąć pod uwagę, że żyje w stresie i ostatnio przeszła załamanie nerwowe. To mogło opóźnić miesiączkę. Jednocześnie pomyślała, że powinna zatrzymać się przy najbliższej drogerii i kupić domowy test ciążowy. Jechała jednak dalej.

Co robi, jeżeli jest w ciąży z Reidem?

## Rozdział 23

Vivian podwiozła Jadę na parking przed bankiem i w drodze do domu zrobiła szybkie zakupy - chude mleko, psie ciasteczka dla Pookiego, trochę warzyw i główka sałaty, Frank jadał tylko świeżą. Zatrzymała się przy piramidzie jabłek i wybrała jedno z samego szczytu. Wiedziała że są woskowane i niechętnie je kupowała, ale Jenna przepadała za jabłkami. Zamierzała właśnie włożyć owoc do koszyka, kiedy zauważyła że miąższ tego doskonałego, nieskazitelnego z pozoru jabłka ugina się pod palcami jak kapelusz grzyba. Odłożyła owoc ze wstrętem. Ostatnio nie miała czasu nic upiec ani nawet zająć do cukierni, chwyciła więc pudełko markizów. Dzieci je uwielbiały.

W drodze do domu jechała odrobinę za szybko, co było o tyle usprawiedliwione, że pozwoliło jej dotrzeć do domu na chwilę przed przyjazdem szkolnego autobusu. Zdążyła tylko wyjąć zakupy i wysypać markizy na ulubiony talerz Frankiego - ten z królikiem Baksem. Pookie odtańczył swój zwykły taniec powitalny, merdając nie tylko ogonem, ale całym zadem. I nagle Vivian ogarnęła taka radość na widok dzieci, że miała ochotę pójść w ślady psa. Uściskała Jennę trochę mocniej, niż zamierzała.

- Mamooo! - zawołała Jenna swoim nowym tonem zirytowanej nastolatki. Wyrwała się matce, ale bez gniewu. - Dostałam czwórkę z klasówki z ortografii - dodała na znak, że nie żywi urazy.

Vivian powściągnęła automatyczne pytanie „A dlaczego nie piątkę”, które z pewnością zadałaby jej matka i uśmiechnęła się do córki.

- Wspaniale! - powiedziała, jednocześnie pomagając Frankie'emu precyzyjnie przycisnąć głowę przez otwór golfu. - Wiem, jak ciężko na to pracowałaś. Tatuś będzie bardzo dumy.

- Gdybym nie napisała „sąsiad” przez „t”, miałabym piątkę. Nie uważasz, że powinno się pisać „sąsiat”? - zapytała Jenna z rozgorączkaniem.

- Pisałoby się, gdyby istniała sprawiedliwość na świecie, ale ponieważ nie istnieje, pisze się „sąsiad”. A jak tobie poszło w szkole, skarbie? - zwróciła się do Frankiego.

- Kanapki były w porządku. - Frankie wzruszył ramionami, podszedł wprost do kuchennego stołu i wdrapał się na krzesło. Był to najlepszy dowód, że życie wraca do normy.

- Markizy! Super! To jest mój dobry dzień - powiedział, sięgając po ciasteczko. Vivian poczuła taką wdzięczność do losu, że prawne kłopoty Franka na chwilę straciły znaczenie. Miała swoje dzieci, miała swoje małżeństwo, a problemy, z którymi się borykali, kiedyś przecież miną. Pomyślała o Jadzie, siedzącej samotnie w kuchni, ale szybko odsunęła od siebie ten obraz. Pomyśli o tym później, później do niej zadzwoni, może poprosi, żeby wpadła na kolację.

- Mogę dostać soku zamiast mleka? - zapytała Jenna, zajmując swoje miejsce przy stole.

- Sok dostaniesz, gdy odrobisz lekcje. Teraz potrzebne ci jest wapno. - Nalała dzieciom po szklance mleka. Potem, po raz pierwszy od tygodnia pomyślawszy o sobie, wyjęła fiolkę witamin i zaczęła łykać drażetki popijając chudym mlekiem.

- Wiesz, co się dzisiaj stało? - zapytała Jenna dramatycznym tonem i Vivian niemal zakrztusiła się mlekiem. Czyżby kolejne prześladowanie? W szkole, w autobusie? Ostatnio sprawy przybrały lepszy obrót. Dzięki Bogu, ludzie szybko zapominają. Gazety donosiły o nowych skandalach, a przeciw Frankowi nie wysunięto żadnych konkretnych zarzutów. Jednak niuanse prawne, choć tak istotne, nie chroniły jej dzieci przed okrucieństwem rówieśników.

- Co? - zapytała. - Boże, co tym razem?

- Pani Blackwell zadała z matmy tyle, że mam zawalony cały weekend. I to czym - zadaniami z tekstem! - Jenna podniosła wzrok na matkę. - Czy ty też nienawidzisz zadań tekstowych?

- Z całego serca - powiedziała z większym niż zwykle entuzjazmem. - Ale twój tata jest w nich naprawdę dobry.

Jenna skinęła głową i jak zwykle rozdzieliła połówki markizy, żeby wylizać kremowy środek. Vivian rzuciła Pookiemu suchy kawałek, którego Jenna nie zjadła, co natychmiast wykorzystał Frankie, ściągając z talerza więcej ciasteczek, niż wynosił przedobiedni przydział.

- Mogę iść pobawić się z Kevonem? - zapytał.

Vivian zaprzeczyła ruchem głowy. Nie chciała wyjaśniać inî teraz przyczyn zniknięcia Kevona. Znowu pomyślała o osamotnionej Jadzie.

- Dzisiaj nie - powiedziała synowi. - Ale możesz włączyć kasetę wideo, a potem pograć z tatusiem. Wrócił wcześniej.

Przynajmniej takie odniosła wrażenie. Furgonetka stała na podjeździe. „Właściwie gdzie jest Frank?” zastanowiła się. Zwykle nie sposób było przebywać z nim pod jednym dachem, nie wiedząc, co robi. Puszczął muzykę, przybijał coś lub przywiercał, oglądał mecz na cały regulator albo krzyczał w słuchawkę telefonu.

- Jenna, nie baw się ciastkami, tylko jedz - zwróciła się do córki. - Wracam za pięć minut i chcę cię zobaczyć przy stole z książką do matematyki. - Potem ujęła Frankiego za rękę i zaprowadziła do pokoju rodzinnego. Dostarczono już nową kanapę ze sklepu Macy'ego, dwie stojące lampy i lustro, i pokój znów sprawiał przytulne wrażenie. Zanotowała w pamięci, żeby wstąpić jutro do „Pier” i kupić kilka poduszek w jasnych kolorach. Niebieskie albo żółte, zdecydowała. Dzieci lubiły się na nich wylegiwać, a stare zostały zniszczone. Miała nadzieję, że wkrótce otrzymają odszkodowanie za wszystkie straty, także moralne.

- Usiądziesz jako pierwszy na tej pięknej nowej kanapie - zachęciła Frankiego. - Możesz obejrzeć jeden film przed obiadem.

Usadziła synka przed ekranem i wyruszyła na poszukiwanie Franka. Pookie podreptał za nią.

Męża nie było w warsztacie, który zbudował sobie na tyłach garażu, wydawało się jej, że nie ma go również w gabinecie, ponieważ pokój był cichy i ciemny. Miała już odejść, zamykając drzwi, kiedy dobiegł ją szelest. Odwróciła się zaskoczona.

Gabinet był jedynym pokojem, którego nie zdążyli doprowadzić do porządku; Frank poustawiał tylko meble, usunął szkło i papiery.

Pookie pobiegł w najciemniejszy kąt, merdając ogonem. Teraz, w świetle padającym z holu, Vivian zobaczyła, że pies wita się z Frankiem, który siedzi przy swoim biurku, siedzi zupełnie nieruchomo na wysłużonym fotelu biurowym - jedynym meblu, któremu najazd policji nie mógł już zaszkodzić. Przewędrował z nimi całą drogę od kawalerskiego pokoju Franka przez pierwsze mieszkanie, wynajmowany segment, aż tutaj - do ich własnego domu.

Patrząc na męża, który siedział w ciemności, głaskając machinalnie Pookiego, Vivian doznała tępego bólu, jak przy uderzeniu w żołądek. Frank był dotąd taki silny. Czyżby się w końcu załamał? Nie odwrócił się ku żonie, chociaż nie mógł nie dostrzec jej sylwetki w oświetlonym prostokącie drzwi. Kiedy wzrok Vivian przyzwyczyił się do ciemności, stwierdziła, że mąż ma otwarte oczy.

- Frank? - zapytała szeptem, bojąc się przerwać ciszę. Zdawał się trwać w letargu. - Frank?

Bardzo wolno obrócił się ku niej. Ale jego oczy nie podążyły za nim. Przez jedną szalone chwilę myślała o portrecie Jezusa, który wisiał w bawialni matki, w każdym kolejnym domu. Jego oczy śledziły każde poruszenie Vivian, sprawdzając - jak twierdziła matka - czy dziewczynka odkurza także pod sofą i za książkami. Teraz działo się coś odwrótnego. Ciało Franka i jego twarz obróciły się ku niej, ale oczy pozostały utkwione w przestrzeń za oknem.

Vivian stała sparaliżowana lękiem. Bała się pozostać z nim w ciemności, bała się również zapalić światło, wydobyć z mroku to, czego jeszcze nie

widziała. Wyczuwała cierpienie męża nawet przez szerokość pokoju, równie rzeczywiste i namacalne jak kanapa, na której przed chwilą posadziła synka.

- Co ci jest, Frank? - zmusiła się do mówienia. - Dobrze się czujesz? Pomyślała o dzieciach cieszących się na wieczór z tatą. W tej chwili Frank nie wyglądał na kogoś, kto poddałby takiemu wyzwaniu. Pocieszy go, jeżeli będzie umiała, zastąpi go przy dzieciach, mimo wyczerpania, jakie odczuwa po wizycie w ośrodku dla kobiet.

Ale co go wprawilo w stan takiego odrętwienia? Kłopoty pieniężne? Utrata klienta? A może dowiedział się, że Bruzemanowi nie uda się uzyskać rekompensaty od policji. Utracił kontrakt na zadaszenie tej wielkiej szkoły na północy, czy w końcu dopadł go stres związany z przeżyciami ostatnich tygodni? Cokolwiek było przyczyną stanu męża, postara się go pocieszyć. Zmusiła się, by wejść do pokoju i położyć rękę na ramieniu Franka.

- Co się stało, Frank? - zapytała łagodnie.

- Wysuną oskarżenie - powiedział Frank cichym, drętym głosem. Przez chwilę nie rozumiała, co on przez to rozumie.

- Oskarżyli policję?

- Oskarżyli mnie! - powiedział z naciskiem, jakby zwracał się do idiotki. - Oskarżyli mnie, Vivian.

Nie zdołała się opanować, postąpiła krok do tyłu, potem drugi, aż trafiła plecami na regał.

- Ale za co? Jak mogli to zrobić? To znaczy... - umilkła. Czowała zamęt w głowie.

- Nie wiem. Odbyło się coś w rodzaju tajnego posiedzenia sądu. Uwierz lub nie, takie coś jest legalne. Bruzeman twierdzi, że policja musiała prowadzić dochodzenie od miesiący. Prokurator przekonał sędziego, że dysponuje wystarczającymi dowodami oraz że istnieje konieczność zachowania tajności.

-1 nikt o tym nie wiedział? Bruzeman o tym nie wiedział? Twój przyjaciele? Nikt?

- Może i wiedzieli, ale nikt nie raczył mnie poinformować - przyznał Frank, głosem ochryplym z gniewu. - To w podziękę za te wszystkie obiady, dotacje na kampanie wyborcze! Bruzeman... - Frank umilkł, starając się opanować i przesunął dłonią po włosach. - Muszę mu ufać. Jest najlepszy w Westchester. Dopóki mogę mu płacić, jest godny zaufania. Ale ja... - Tym razem Vivian usłyszała nutę paniki w jego głosie. Ogarnął ją strach.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała.

- Nic. To nic nie znaczy.

- Frank, nie traktuj mnie jak idiotkę. Nie mów, że to nic nie znaczy. Oskarżenie musi coś znaczyć. - Wargi jej drżały. - Nie jestem dzieckiem, Frank. Nie staraj się mnie chronić. Nie traktuj mnie w ten sposób. Próbowalesz opłacić kogoś, żeby zatuszował sprawę? Próbowalesz się dowiedzieć, co przeciw tobie mają?

- Próbowałem jednego i drugiego.

- Co się stało? Przecież mówiłeś, że nic nie... Powiedziałeś mi, że nie wysuną oskarżenia. Wysunęli. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje?

Zapadło milczenie. Vivian czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach, szumi w uszach.

- Oskarżenie zostanie wysunięte już wkrótce, może nawet w poniedziałek - odezwał się w końcu Frank. - Zostanę oskarżony o kierowanie organizacją rozprowadzającą kokainę i amfetaminę.

Vivian wciągnęła powietrze otwartymi ustami, tak głośno, że Frank usłyszał i odwrócił wzrok.

- Bruzeman dowiedział się dopiero teraz, za późno, by temu zapobiec. - Spojrzał znowu na żonę. - Jestem niewinny, Vivian.

- Ale... - Lepiej było nic nie mówić, ale nie mogła się przemóc. - Ale Frank, obiecałeś, że to nie będzie miało dalszego ciągu. To pomyłka, prawda?

- Oczywiście, że to pomyłka. Uważasz, że gdybym był narkotykowym baronem, odmrażałbym sobie tyłek na dachach? - Wyciągnął ręce, ukazując wnętrza dłoni. -

Czy miałbym popękane, krwawiące, zrogowaciałe łapy, gdybym sprzedawał narkotyki zamiast kłaść gont? - Opuścił ramiona i odwrócił się. - Nie mogę uwierzyć, że o to spytałaś - powiedział niemal z jękiem. - Przeczesał dom, ale czy coś znaleźli? Jeżdżę nowym mercedesem czy ośmioletnią furgonetką? Mamy milion dolarów na koncie? Nie mogę uwierzyć, że o to zapytałaś - powtórzył cicho.

Łzy wezbrały w jej oczach. To musiała być jakaś pomyłka, to była pomyłka, a jednak groziła im zagłada. Dlaczego spośród wszystkich ludzi na świecie spotyka to właśnie ich?

- Jak to się mogło stać? - zapytała. - Co to za tajna rozprawa? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Jak.. ,

„Jak mogłeś odezwać się do mnie takim tonem?!“ chciała zawołać, ale wiedziała, że Frank nie był wtedy sobą, a ona... Kim była ona? W tym momencie była człowiekiem bardzo chorym na żołądek. Witaminy z mlekiem podeszły jej do gardła.

Po chwili wiedziała już, że nie zdoła opanować mdłości. Wybiegła z pokoju na mały korytarz, a stamtąd do warsztatu Franka, gdzie zwymiotowała na betonową podłogę, raz, drugi, trzymając długie włosy z dala od twarzy. Poczowała rękę Franka na plecach. Wyprostowała się powoli, otarła jedną ręką usta, drugą załzawione oczy. Miała nadzieję, że dzieci nie słyszały. Odwróciła się twarzą do męża.

- Mój Boże, Frank, co my zrobimy? - Zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi młodziej, bardziej dziecinnie niż głos Jenny.

Położył dłonie na jej ramionach. Tym razem popatrzył jej w twarz, oczami pełnymi bólu i żalu.

- Jestem niewinny, Vivian. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową, oddychając spazmatycznie.

- Będziemy walczyć - powiedział. - Będziemy się trzymać razem, będziemy próbowali chronić dzieci. Oskarżenie nie jest równoznaczne ze skazaniem. Nie wiem, dlaczego chcą mnie w to zrobić. Ale przysięgam, że im się nie uda! Otoczył ją ramionami i Vivian odwróciła twarz, żeby nie czuł jej kwaśnego oddechu.

- Ile to będzie kosztowało? - wyszeptała. Przypomniała sobie dziesięć tysięcy dolarów, których Bruzeman zażądał od Jady. Ile Frank już zapłacił temu oślizłemu...

- Ile nas to będzie kosztowało?

- Tym się nie martw. Ja się tym zajmę. Ty myśl tylko o dzieciach. - Odsunął żonę na tyle, by zajrzeć jej w twarz. - Ty myśl tylko o Frankiem, Jennie i o mnie. Możesz to dla mnie zrobić?

Vivian przytaknęła mchem głowy, chociaż nie była wcale pewna, czy powinna przystać na taki układ. Frank chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do piersi.

- Przetrzymamy to - powiedział. - Obiecuję. Będę cię chronił. - Głos mu się załamał i to wzruszyło Vivian bardziej niż słowa. - Tylko bądź ze mną. Błagam cię, bądź ze mną.

Vivian otoczyła go ramionami, kładąc mu podbródek na ramieniu. Stali przytuleni, a kwaśny odór powoli wypełniał pokój.

## **Rozdział 24**

Jada siedziała zanurzona po szyję w pianie, pozwalając, by gorąca woda ciurkała wolniutko do wanny. Zazwyczaj poprzestawała na szybkim prysznicu, ale teraz wanna wydała się jej jedynym bezpiecznym miejscem w pustym domu. Tylko w tym ceramicznym zakamarku łazienki mogła znaleźć ukojenie, dopiero tutaj dłonie przestawały jej drżeć, chociaż myśli nadal wirowały w głowie.

Musiała przyznać, że zachowuje się dziwacznie - tego dnia kąpała się już cztery albo i pięć razy. Cóż, kiedy ciągnęło ją do tej wanny. Siedziała w gorącej wodzie, otoczona kłębamii pary, dopóki nie wyganiał jej stamtąd strach. Wtedy wycierała się, ubierała i szła do jakiejś domowej pracy, po to tylko, by ją rzucić w połowie, włączyć telewizor, a po godzinie wrócić do łazienki i rozkręcić krany nad wanną.

Na szczęście, nie brała kąpieli, kiedy zadzwoniła matka - rutynowy, cotygodniowy telefon przedwieczorny. Słyszając ciepły głos w słuchawce, Jada doznała ulgi, chociaż rodzice nie mogli jej pomóc, nie powiedziała im nawet o swoich kłopotach. Kiedy mama poprosiła do telefonu dzieci, Jada odparła,

że są u sąsiadów. Nie lubiła kłamać, ale wiedziała, że w tym przypadku jest to usprawiedliwione. O jedno nie musiała się martwić, że matka zechce rozmawiać z Clintonem. Z upływem lat nie zmieniła opinii o zięciu.

Jada kochała matkę i nie chciała jej martwić. Nie chciała również przyznać jej racji. Odwieszając słuchawkę, poczuła żal, że nie potrafi się zdobyć na szczerość.

Przecież mama chciała dla niej jak najlepiej.

„Jestem zbyt dumna, zbyt uparta, żeby zwierzyć się własnym rodzicom”, pomyślała z żalem.

Obiecała sobie, że opowie im o wszystkim, jak tylko odzyska dzieci, kiedy już będzie mogła sprostać sytuacji. Z radością wymieni zamki, pozbędzie się Clintona na zawsze, przygotowuje się duchowo do roli samotnej matki. I mama jej nie potępi. Nikt z wyspiarzy i nikt z członków ich kościoła nie aprobował rozwodu, ale Jada wiedziała, że nie usłyszy od matki sakramentalnego: „A nie mówiłam?!” Chociaż była wdzięczna za kontakt z kimś życzliwym, telefon rodziców sprawił jej tego wieczora więcej bólu niż radości. Ulgę znalazła w wannie. Była przecież spod znaku Wodnika, woda stanowiła jej żywioł. Uniosła lekko kolana, opierając się plecami o tył wanny. Odślonięte kolana wyglądały jak dwie ciemne wysepki pośród wzburzonego morza. Przypomniały jej Karaiby, gdzie z akwamarynowego morza wylania się ciemny, skalisty Nevis. Zapragnęła znaleźć swój dom, z rodzicami. W domu, w którym nigdy nie mieszkała na stałe, w którym bywała rzadkim gościem. Tam była mama, tam jej dzieci byłyby bezpieczne.

Ostatnia noc należała do najdłuższych w jej życiu. Jada chodziła od pokoju do pokoju, zapalając i gasząc światła. Przeraziły ją puste pokoje dzieci, kuchnia wydawała się opuszczona, jadalnia i pokój dzienny zbyt rozległe, by przebywać w nich samotnie. Najgorsza była jednak sypialnia. Nie mogła wejść do łóżka, które dzieliła z Clintonem. Położyła się na kanapie i przedrzemiała do piątej. Ranek ciągnął się w nieskończoność. „W południe zobaczę dzieci”, powtarzała sobie co chwila. Ta kobieta z ośrodka prawniczego dotarła jakimś sposobem do sędziego sądu rodzinnego i uzyskała dla niej prawo odwiedzin. Jada wstrzymała wypłatę dla Bruze-mana - oślizłego padalca, zwróciła pożyczkę i zamknęła rozdział prywatnych adwokatów. Wyglądało na to, że darmowi są równie skuteczni. Uszczęśliwiła ją wiadomość od Kam, że może zobaczyć Shavonne, Kevona i Sherrilee - dwie godziny dzisiaj i dwie w niedzielę. Kam Lopez załatwiła to błyskiem i chociaż Jadzie nie spodobały się ograniczenia czasowe - te dwie godziny stanowiły dodatkową obrazę - ulga, że zobaczy dzieci przeważała wszystko inne.

Leżąc w gorącej wodzie uświadomiła sobie, że nie wyplakała swojego bólu. Nie była płaczką. Ale teraz przyszło jej do głowy, że nieustanna potrzeba napełniania wody do wanny może być uzewnętrznioną formą płaczu. Od wczoraj nie uroniła jednej łzy i nie spała - wyjąwszy drzemkę na kanapie. Jedynym dźwiękiem przez te wszystkie godziny było ciurkanie wody.

No i telefony: jeden od prawnika i dwa sprawdzające od Vivian. Przyjaciółka zadzwoniła, żeby zaprosić ją na kolację, a potem, już po jedenastej, żeby zapytać, jak się czuje. Przez telefon Vivian sprawiała wrażenie bardziej zgnębionej od Jady, ale była typem w ogóle bardziej uczuciowym. zaproponowała nawet, że zostanie z Jada na noc.

- Żeby cisza ci nie doskwierała. Znasz mnie, muszę mówić. - Próbowwała zażartować. Ale chociaż Jada była jej szczerze wdzięczna za zaproszenie, nie życzyła sobie towarzystwa. Musiała przebrnąć przez to sama. Nabrać wprawy, skoro samotność miała być odtąd stałym elementem jej przyszłości.

Zerknęła na zegarek zwinięty na obramowaniu wanny i stwierdziła, że najwyższy czas się ubrać. Podniosła się z drzeniem i owinęła ręcznikiem, jeszcze wilgotnym po ostatniej kąpieli. Poszła do sypialni, omijając wzrokiem łóżko i otworzyła szafę. Co należy włożyć, idąc w odwiedziny do własnych legalnie uprowadzonych dzieci? Ściągnęła z wieszaka spodnie w kolorze khaki i zielony sweter. Strój nie wymagał wysiłku z jej strony, a sprawiał wrażenie, że dba o swój wygląd. Upinała włosy, kiedy zadzwonił telefon, po raz pierwszy tego ranka. Rzuciła się w stronę aparatu, ogarnięta przerażeniem: Clinton odmówił wydania dzieci; dzwoni adwokat z wiadomością, że sędzia zmienił zdanie; któreś z dzieci zachorowało i jest w szpitalu. Ręce znów zaczęły jej drżeć, ale udało się jej podnieść słuchawkę i przycisnąć do ucha. - Słucham? — powiedziała chrapliwie. Uświadomiła sobie, że odezwała się po raz pierwszy od wielu godzin.

- Jada? - zapytała Vivian. - Jesteś chora?

- Tylko duchowo.

- Chcesz, żebym cię tam zawiozła?

- Nie. Trafię do teściowej. Ale jeżeli chcesz, możesz pojechać za mną i powstrzymać mnie przed zastrzeleniem Clintona i jego matki.

- Masz broń? - zapytała Vivian.

Mimo cierpienia, Jada odczuła wdzięczność dla Vivian, czasem tak naiwnej, ale niezmiennie dobrej. Pomyślała o babsztylach, które odesłały ciasteczka Vivian i postanowiła, że jeżeli wpadnie w szal zabijania, wykończy je w następnej kolejności po Clintonie.

- Nie, nie mam broni. Czy widziałaś kiedyś kierowniczkę podmiejskiego oddziału banku noszącą rewolwer w torebce?

Żart nie został doceniony, ale Jada wiedziała, że Vivian przejmuje się tym wszystkim niemal na równi z nią.

- Skoro już zaczęłam zadawać pytania, nie wiesz przypadkiem, co mam powiedzieć dzieciom? I co mam z nimi robić? Nie mam nawet dość czasu, by je przywieźć do domu. Droga do Yonkers i z powrotem zajęłaby mi akurat dwie godziny.

- Jada, powiedz im po prostu, że jej kochasz. Że to się wkrótce skończy. To samo powiedziałam swoim dzieciom.



Jada przytaknęła w milczeniu.

- Nie zaszkodzi wypytać, co robią. Czy zapisał je do nowej szkoły? Kto gotuje? No wiesz.

- Wiem.

- Zapakowałaś jakieś drobiazgi? - pytała dalej Vivian. - Ulubione koszulki, kaptcie? Jada odchrząknęła i powiedziała, że zapakowała.

- Ale nie chcę wywozić stąd zbyt wielu rzeczy - przyznała. - To sprawia, że miejsce, gdzie teraz mieszkają, staje się coraz bardziej ich domem.

- Och, Jado! To miejsce musi im się wydawać bardzo puste bez ciebie. A twój dom... Cholera! Musisz być przerażona.

- Nawet sobie nie zdajesz sprawy. Przecież ja mogę utracić...

- Och, wiem, Jado, wiem!

- Boże, już prawie dwunasta! Muszę lecieć.

Jada odwiesiła słuchawkę, założyła adidas i sprawdziła, czy ma w torebce kluczyki do wozu, chusteczki, szminkę, drobne na parking, pieniądze na lunch, rękawiczki. Dźwignęła torbę z rzeczami dzieci. Potem, uzbrojona we wszystko z wyjątkiem rewolweru, poszła do garażu i wsiadła do samochodu.

Clinton kazał jej czekać prawie dwadzieścia minut, zanim wyprowadził dzieci z domu matki. Jada nie ruszyła się z za kierownicy, może bała się, że jeżeli stanie twarzą w twarz z mężem, nienawiść pchnie ją do rękoczynów. Przechyliła się tylko przez siedzenie pasażera, otworzyła drzwi z przodu i odblokowała zamek z tyłu, żeby mógł posadzić Sherrilee w foteliku. Shavonna usadowiła się na przednim siedzeniu, a Kevon precyzyjnie przesuwał się do tyłu.

- Spóźniłeś się - oznajmiła Clintonowi. - Nie spodziewaj się ich przed czwartą dwadzieścia.

Kątem oka ujrzała matkę Clintona schodzącą z rozklekotanych schodów. Clinton się nie odezwał. Zajrzała mu w oczy, szukając oznak wstydu, może poczucia winy. Ale twarz Clintona była nieprzenikniona jak brązowa papierowa torba. Posadził Sherrilee w foteliku i zatrzasnął drzwi.

Shavonna przechyliła się, zarzucając matce ramiona na szyję. Shavonna, która jak ognia unikała publicznych demonstracji uczuć! Jada położyła dłoń na jej głowie i pocałowała córkę mocno w policzek.

- No, dzieki! Stawiam wam lunch - zawołała.

- Dwie godziny i mają być z powrotem - odezwał się Clinton, spoglądając demonstracyjnie na zegarek.

W odpowiedzi docisnęła z całej siły pedał gazu, pozostawiając za sobą mężczyznę, który zniszczył jej życie.

- Chcę udki kurczaka! Chcę udki kurczaka! Chcę udki kurczaka! - wyśpiewywał Kevon.

Jada znalazła wolne miejsce na parkingu przed McDonald'sem.

- Ale czy z sosem? Ale czy z sosem? Ale czy z sosem? - odśpiewała. Uznała, że najlepiej wstrzelić się w nastrój dzieci. Poddać się fali.

Kevon uśmiechnął się, zachwycony.

- Nie, nie chcę, nie, nie chcę, nie, nie chcę!

- Nie będę jadła tego chłamu - oznajmiła Shavonna.

- Ależ będziesz - powiedziała Jada. Była zdumiona słownictwem córki. Wpływ Toni?

- Ha! Zjesz chłam, zjesz chłam - wyskandował Kevon.

- Jesteś półgłówkiem z mózdzkiem pierwotniaka. -A ty... A ty jesteś papla.

Mamusi, ona jest papla.

- Dupek żołądny!

- No, dość tego! Uspokójcie się - powiedziała Jada, zaszokowana zjadli-wością ich tonu.

- Mamo, dostanę sos miodowy? Zjem wtedy kurczaka od Kevona.

- To są moje udki! - wrzasnął Kevon.

- Udka, głupolu! - poprawiła go siostra. - Udka!

- Właśnie, że nie, właśnie, że nie! I jest mój, mammo, prawda, że jest mój? Jada, która próbowała posadzić Sherrilee na dzieciennym foteliku McDo-lands'a, zapewniła syna, że dostanie kurczaka w całości. Biedny Kevon: jego siostra wiedziała więcej, poprawiała go i co gorsze, zwykle miała rację. Czy w ten właśnie sposób rodzi się pogarda mężczyzn wobec mądrych, silnych kobiet? Ale nie wszyscy mężczyźni mają siostry o sześć lat starsze. Clinton nie miał.

- Usiądź, kochanie - nakazała synowi i Kevon wdrapał się na żółte plastikowe krzeselko obok niej. - Ja siedzę obok mamusi - oznajmiła Shavonna, podnosząc głos. Choć przepychanki słowne stawały się irytujące, Jada była im wdzięczna za ten drobny dowód uczucia. - Możecie oboje usiąść obok mnie - powiedziała, zanim wybuchła nowa wojna. - Ale wtedy Sherrilee będzie musiała usiąść naprzeciwko mnie i wszyscy będziemy musieli jej pomagać.

- Och, ona niczego nie je, tylko zrzuca na podłogę - powiedział Kevon.

- Ona nic nie je i zrzuca na podłogę - poprawiła go Jada stanowczo. Od kiedy to Kevon popełnia błędy gramatyczne? Kilka dni w Yonkers wystarczyło, by zniweczyć lata nauki? Jeżeli jej dzieci zaczną mówić slangiem, będzie musiała zabić Clintona i jego matkę.

- Shavonno, popilnuj dziecka, a ja pójdę po nasze zestawy.

- Okay - powiedziała usatysfakcjonowana Shavonna.

- Kevon, ty uważaj na nasze torby. - Zerknęła w stronę kolejki, po czym wyciągnęła z torby książeczki do kolorowania i pudełko kredek, uznawszy,

że lepiej dać dzieciom jakieś zajęcie. - Tutaj jest konkurs, ten, kto pokoloruje najładniej swój rysunek, otrzyma nagrodę. Idę po lunch i zaraz wracam.

-Pocałowała Kevona w głowę i chciała odejść.

- Mnie też pocałuj - zażądała Sałwonna i Jada musiała się uśmiechnąć. Spełniła prośbę córki, zauważywszy przy tym, że jej włosy brzydko pachną. Ciekawe, kiedy myła je po raz ostatni? Sherrilee była jeszcze rozespana po drzemce w samochodzie, ale Jada ucałowała również swoją najmłodszą pociechę. I jej włoski pachniały... no, może nie brzydko, ale nieświeżo. Clinton nie potrafił nawet utrzymać dzieci w czystości. Jada ustawiła się w kolejce do kasy. Pocałunki i walka o miejsce przy stoliku były czymś niezwykłym, świadczyły o tym, że dzieci są wytracone z równowagi, dezorientowane. Zwykle unikały czułości.

Podniosła wzrok na tablicę z menu i westchnęła. Niechętnie karmiła dzieci hamburgerami, ale chciała sprawić im przyjemność. Poza tym, sprawiały wrażenie wygłodniałych.

Restauracja nie była zatłoczona, jednak Jada doszła do wniosku, że źle zaplanowała spotkanie z dziećmi. Co prawda, nie miała większego wyboru. Było zbyt zimno, by pójść do parku, zabrała je więc do centrum handlowego, gdzie wybudowano już miasteczko Świętego Mikołaja. Dzieci dobrze się bawiły, ale ona marzyła tylko o tym, by wturlała się z nimi pod kołdrę, poczytać im książeczkę, albo usiąść przed telewizorem, trzymając je mocno w ramionach. Miała jednak tylko dwie godziny i musiała się zadowolić pobytem w domu towarowym i McDonaWsie. W takich publicznych miejscach! Jeszcze nie znalazła okazji, żeby z nimi porozmawiać; nie wiedziała nawet od czego zacząć. I nadal nie wiedziała, jak wytłumaczyć, że już nie mieszkają w domu.

- Słucham! - burknęła starsza kobieta za ladą. Jada złożyła zamówienie, nie siląc się na uprzejmy ton. Dla siebie wzięła tylko kawę: nie mogła jeść. Od dwóch dni nie miała nic w ustach. Nic dziwnego, że czuje się skrajnie wyczerpana.

- To wszystko? - zapytała niechętnie kobieta w firmowym mundurku. Jada odwróciła się, sprawdzając, co robią dzieci. Sherrilee rozbudziła się na dobre i darła na strzępki książeczkę, jeden kawałek zdążyła już wsadzić do buzi. Kevon stał na krześle, triumfalnie machając kartką podczas gdy Shavonna nadal pieczołowicie kolorowała swój obrazek. Jada obserwowała dzieci, czekając na zrealizowanie zamówienia. Potem przyniosła swoim pociechom torbę pełną tłuszczów, skrobi i cukru.

- No dobrze - powiedziała zbierając resztki energii i siląc się na pogodny ton. - Zobaczmy, co my tu mamy. Pamiętajcie, że najlepsza praca otrzymuje nagrodę.

- Moja, moja! - zwołał Kevon. - Spójrz! - Pokolorował Wielkiego Ptaka i większość kartki na turkusowo.

- Wspaniale - powiedziała, stawiając torbę z hamburgerami na stole. -A teraz uprzątnijmy kredki i książeczki. Zabierajcie się za jedzenie. - Pokroiła hamburgera dla Sherrilee, podczas gdy pozostałe dzieci rozchwyciły pudełka i torebki. Jadły, na szczęście, w milczeniu, i Jada, zbyt chora, by na to patrzeć, sączyła kawę i zerkała na zegarek. Zostało tylko dwadzieścia minut. Nie mogła uwierzyć, że spotkanie z dziećmi nie sprawia jej przyjemności. Odczuła ulgę, kiedy wróciły do kolorowanek.

- To głupie - odezwała się Shavonna. - Wielki Ptak powinien być żółty. - Choć skończyła niedawno dwanaście lat, nadal skrycie lubiła kolorować obrazki. Robiła to starannie, nie wyjeżdżając poza linię.

- To nie jest Wielki Ptak - zaprotestował Kevon. - To ciocia Tonia. Ciocia Tonia? Ciocia?! Na to musiała jakoś zareagować. Przez chwilę obawiała się, że straci panowanie nad sobą, wyrwie kartkę z książeczki do kolorowania i zacznie wrzeszczeć tak głośno, jak tylko zdoła. Zacisnęła dłonie na kolanach, potem kiedy przestały drżeć, wyłożyła na talerz Sherrilee kolejne trzy frytki i dopiero wtedy zwróciła się do Kevona.

- Nie macie żadnej cioci Toni, kochanie - powiedziała spokojnie i uznała, że jej głos brzmi prawie normalnie.

- To nasza opiekunka - oznajmił Kevon, nie przerywając kolorowania. -Tatuś tak powiedział.

- Nie jestem dzieckiem - wtrąciła Shavonna. - Nie potrzebna mi niańka. Zdobyłam nagrodę, mamusiu? - Shavonna popatrzyła na matkę, której wydawało się, że dostrzega błysk bólu, a może zwątpienia w oczach córki.

- Pani Green - dodała Shavonna. - Pani Green. Tak do niej mówię. Znasz ją z kościoła. Żeby ostatecznie przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, Shavon-na spojrzała z pogardą na kolorowanek brata.

- To jest Wielki Ptak prawda, mamó? Zresztą pani Green jest w innym kolorze. Jest bardzo, bardzo ciemnobrązowa.

- Miała taką sukienkę - powiedział Kevon. -I dała mi dwa matchboksy. Chcecie zobaczyć? - Zanurzył rączkę w kieszeni spodni. Sherrilee wybrała ten właśnie moment, by się zakrztusić i Jada w jednej chwili znalazła się przy niej. Uniosła ramionka małej, która odkaszlnęła mocno, uwolniła jedną rączkę z uścisku matki i natychmiast sięgnęła po frytkę. Jada pochylała się, wdychając lekko kwaśny zapach unoszący się z włosów córeczki, po czym ucałowała czubek jej głowy. Wróciła wolno na swoje miejsce.

- Kto zajmuje się Sherrilee? - zapytała mimochodem. Wiedziała, że nie powinna wypytywać dzieci, ale była na granicy rozpacz.

- Ciocia Wielki Ptak - powiedział Kevon i roześmiał się, spoglądając na nią łobuzersko.

- Brak mi moich rzeczy - powiedziała Shavonna. - Mojego niebieskiego swetra i kapci z kotkami. Chciałabym już wrócić do domu.

- Tak, chodźmy do domu - zgodził się Kevon. Sherrilee, skończywszy lunch, wyciągnęła rączki do matki. Okrążywszy ponownie stół, Jada wyjęła małą z fotelika i posadziła sobie na kolanach. Kevon, czując się zaniedbany, podniósł się z krzesła i otarł policzkiem o jej ramię.

- Przywiozłam wam parę rzeczy - powiedziała. Otworzyła torbę i wyjęła kaptcie Shavonny. Jej córka spojrzała na kaptcie i na jej czole, między brwiami ukazała się zmarszczka w kształcie litery „v”.

- Nie są mi potrzebne teraz - powiedziała. - Mogę poczekać, aż będziemy w domu. Wtedy je założę.

- Jestem zmęczony. Możemy już iść do domu? Będę mógł pobawić się z Frankiem? Dopiero teraz Jada zorientowała się, że dzieci nie mają pojęcia o sytuacji. Nie wiedzą że Clinton ponownie je zawiódł. Myślały, że wsiądą teraz do volvo i wrócą na Elm Street. Zrzucano jej na barki kolejny obowiązek, najbardziej bolesny ze wszystkich. Co ona im teraz powie? Że ich ojciec jest egoistą, który nie troszczy się o dobro własnych dzieci? Że stały się monetą przetargową?

Jada popatrzyła na trzy ubrudzone keczupem twarzyczki swoich pięknych dzieci. Położyła dłoń na okrągłej główce Kevona.

- Posłuchajcie, kochani. Tatuś chce, żebyście pobyli trochę z nim. Na razie zamieszkacie u babci.

- Ja nie chcę - powiedział Kevon.

- Nie, mam, nie podoba mi się u babci - dodała Shavonna. - Dlaczego musimy ją teraz odwiedzać?

Clinton niczego im nie wyjaśnił. Jada sięgnęła przez stół i zacisnęła palce na przegubie starszej córki.

- Tatuś i ja nie mieszkamy teraz razem. On chce, żebyście przez jakiś czas zostali u babci.

- Ale ja nie chcę - powiedziała Shavonna, a Kevin zwiesił głowę i zaczął płakać. Shavonna wyrwała rękę z uścisku Jady.

- Nie chcę! Nie podoba mi się tam. Wracajmy do domu.

Krzyczała niemal i ludzie odwracali głowy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ale Jada nie obchodzili obcy ludzie, w tej chwili obchodziły ją tylko własne dzieci. Jak ma im to wyjaśnić? Czy sześciolatek i dwunastolatka mogą zrozumieć, co to jest prawo odwiedzin i nieprzestrzeganie postanowień sądu? Miała tylko dziewiętnaście minut, by im to wyjaśnić.

- Chodźmy do samochodu - powiedziała. - Porozmawiamy w drodze.

- Chcę do domu! - zawył Kevon. Jada wzięła go na jedną rękę, drugą tuląc Sherrilee.

- Shavonna, weź torby i chodźmy. - Ruszyła w stronę wyjścia, mając nadzieję, że córka pójdzie za nią.

## Rozdział 25

Od czasu gdy Kam wprowadziła się „tymczasowo” do biura Karen Levis-Thomas akta zrobiły się, o ile to możliwe, jeszcze grubsze i jeszcze bardziej zagmatwane. Kam uznała, że to naturalne, skoro sama staje się coraz grubsza i coraz bardziej zdezorientowana. Choć było to irytujące, musiała przyznać, że matka miała rację - gniew działał na pracę jak wysokooktanowe paliwo. Nachodziły ją jeszcze niekiedy ataki przemożnego żalu nad sobą, ale otrząsnęła się z letargu. Teraz przez większą część dnia była tak nabuzowana, że wieczorem nie potrafiła się odprężyć.

Zespół był wspaniały i Kam polubiła żarty, przekomarzenia i atmosferę koleżeństwa panującą w ośrodku. Pracujące tam kobiety mogły służyć za wzór prawniczego oddania, a dwaj mężczyźni starali się z powodzeniem dorównać koleżankom. Bill-stażysta potrafił żartem lub nadziewaną czekoladką przepchnąć cię przez ciężkie popołudnie, a Michael Rice, żonaty prawnik w średnim wieku, naprawdę sympatyczny gość, był chodzącą prawniczą mądrością, jak przystało na absolwenta Yale, uznała Kam.

Okazało się również, że praca z matką sprawia jej przyjemność. Wprawdzie nie widywała jej często, Natalie pracowała na kilku etatach jednocześnie, ale zawsze znalazła czas, by zajrzeć do córki, czy choćby zadzwonić i Kam przynosiło to pociechę.

Byli zavaleni robotą. Większość spraw wpływających do ośrodka wywoływała przygnębienie lub gniew, najczęściej zaś jedno i drugie. Kam była z tego nawet zadowolona. Praca odrywała jej myśli od własnego żalosego życia i pozwalała się skoncentrować na ludziach - na kobietach - które miały o wiele większe problemy. Kam wiedziała, że traktuje pracę jako ucieczkę od bólu, ale uznała, że im dalej, tym lepiej.

Teraz przyjęła sprawę Jackson kontra Jackson. Z jakiegoś powodu poruszyła ją bardziej niż inne, chociaż był to zwykły, paskudny przypadek sprawy rozwodowej połączonej z walką o prawo do opieki, coś, czego w Needham nie tknęłaby końcem kija, uznawszy, że babranie się w rodzinnych brudach jest poniżej jej godności. Teraz chciała wygrać tę sprawę, może dlatego, że polubiła panią Jackson już w chwili, gdy klientka weszła do gabinetu, a może czuła odrobinę zazdrości o przyjaźń z blondynką, która ją przyprowadziła.

O swojej „przyjaźni” z Lisą nie myślała, nie mogła sobie na to pozwolić. Należało przede wszystkim postawić pytanie, czy ta przyjaźń istniała kiedykolwiek, czy Lisa wykorzystywała ją jako środek do zdobycia Reida. Nie, Kam nie mogła myśleć o byłej przyjaciółce. Gdyby zaczęła się zastanawiać, ile z tego, co jej powiedziała o miłości do Reida, zostało przekazane dalej, umarłaby

z upokorzenia. Tylko przekonanie, że Reid prędzej czy później porzuci również Lisę, przynosiło jej ulgę.

Pospiesznie zwróciła myśli do sprawy Jackson kontra Jackson. Linia postępowania George'a Creskina nappełniła ją przerażeniem. Kiedy przedstawiła sprawę na cotygodniowym zebraniu, Michael i Natalie unieśli znacząco brwi. Bill zachował kamienny wyraz twarzy, który mówił więcej niż słowa. Najwyraźniej Creskin był im znany i to z nie najlepszej strony.

- Jak nazwałabyś George'a Creskina przejechanego przez osiemnasto-kołową ciężarówkę na 1-95? - zapytał Bill i Kam wzruszyła ramionami.

- Dobrym początkiem - odpowiedzieli chórem pozostali.

- Najniższy gatunek gnidy - powiedział. - Szczęściara z ciebie, Kam. Czy to samo można powiedzieć o Jadzie Jackson? Biedna kobieta zjawi się tu za niecałe pół godziny i Kam będzie musiała przedstawić jej swoją strategię. Clinton Jackson wystąpił o tymczasową opiekę nad dziećmi i tymczasowe alimenty, a także o przejęcie domu i obarczenie żony wszystkimi kosztami sądowymi. Było to tak jawne, bezpardonowe wypowiedzenie wojny, że Natalie poczuła się w obowiązku ostrzec córkę.

- Uważaj, Kam. Zazwyczaj tylko kobiety stawiają tak bezwzględne żądania, i to tylko wtedy, gdy wydano zakaz zbliżania się.

- Mężom?

- Tak. Kiedy mąż bije żonę lub dzieci, sąd wydaje zakaz zbliżania się. Tutaj tego nie ma?

- Daj spokój, mamó! Ta kobieta nie bije swoich dzieci. I nie byłaby w stanie pobić męża.

- Nie, ale on może twierdzić coś wręcz przeciwnego. - Natalie przejrzała pobieżnie dokumenty sprawy. - Ten facet chce dostać dom, dzieci i alimenty. Chce również, żeby to ona opłaciła koszty sądowe. Czy Jada Jackson jest bogata?

- Nie, jest kierownikiem oddziału banku. Gość nigdzie nie pracuje, od lat żyją z tego, co ona zarobi. Klasyczny przypadek: facet jest żywicielem rodziny, traci dochody, co zmusza żonę, żeby szukała pracy poza domem.

Natalie westchnęła.

- Okay, tylko uprzedź ją, jak trudno będzie wyplątać się z tej matni. Sąd rodzinny z pewnością przydzieli pracownika społecznego. - Natalie pokiwała głową. - Biedna kobieta. Facet będzie chciał przepuścić ją przez wyżymaczkę. Zabierz ją na lunch, Kam. Bill da ci pieniądze. Upłynie dużo czasu, zanim panią Jackson znowu spotka coś miłego.

- Widziałam dzieci. Dziękuję. Bardzo dziękuję. - Jada Jackson usiadła po drugiej stronie biureczka, kolanami niemal dotykając kolan Kam.

- To zwykły tryb postępowania. Wystąpiłam o widzenie i znalazłam sędziego, który zgodził się popracować w piątkowy wieczór.

- Czy nie można przedłużyć tych odwiedzin? Dwie godziny! To śmieszne. Dzieci chcą wrócić do domu. Mieszkanie babki nie jest dla nich odpowiednim miejscem. - Jada Jackson umknęła wzrokiem w stronę okna, zastawionego do połowy stosami akt. Potem zmusiła się, żeby spojrzeć Kam w oczy.

- Wydaje mi się, że on zabiera dzieci do tej kobiety. Albo ona przychodzi do teściowej. Nie ma pieniędzy na opiekunkę z prawdziwego zdarzenia, a ktoś przecież musi zajmować się Sherrilee przez cały dzień. Nie powinno się na to pozwalać. Nie mogę uwierzyć, że oddał moje dziecko swojej... swojej kochance. - Pochyliła głowę, próbując się opanować, potem popatrzyła znowu na Kam. - Kiedy mogę odzyskać dzieci?

- Pani Jackson, to nie jest takie proste - zaczęła Kam. - Pani mąż wraz z powództwem złożył kilka wniosków. Widziała pani te dokumenty? Jada skinęła głową.

- Nie rozumiem ich, dlatego tutaj jestem. Wiem tylko, że można je wrzucić do śmieci. Nie mam nic przeciwko rozwodowi. Chcę rozwodu. Zdradził mnie, prawdopodobnie nie po raz pierwszy. Pracuję, spłacam hipotekę i zajmuję się dziećmi. Chcę je odzyskać i chcę się rozwieść. Nie ma problemu.

- Jest, i to bardzo poważny - powiedziała Kam. - On wystąpił o tymczasową opiekę...

- Żeby mnie ukarać - przerwała jej Jada Jackson. - Nie interesował się dziećmi nawet wtedy, gdy byliśmy razem. To z jego strony czyste okrucieństwo. Ale ja znam Clintona. Dobrowolnie nie przyjmie na siebie żadnej odpowiedzialności.

Kam uniosła kartkę, którą miała przed sobą.

- Nieodpowiedzialny mężczyzna. Prawdziwa rzadkość! Jada uśmiechnęła się blado.

- Tak. Jestem pewna, że nieczęsto spotyka się pani z takim zjawiskiem w swojej praktyce.

Kam z ciężkim sercem przystąpiła do wyjaśnień prawniczego żargonu, który zapełniał leżące przed nią kartki.

- Posłuchaj, Jado.. .Mogę tak do ciebie mówić? Jada skinęła głową.

- Jado, sprawa wygląda następująco. Twój mąż wystąpił o tymczasową opiekę nad dziećmi, ale będzie chciał otrzymać stałą. Będzie również chciał, żebyś płaciła mu alimenty i łożyła na utrzymanie dzieci.

- Wiem. Chce mnie przyprzeć do muru. Wyjaśnimy to na rozprawie. Sędzia z pewnością zrozumie, jakie to niesprawiedliwe. Utrzymywałam dzieci i męża, żeby uratować rodzinę. Nikt się chyba nie spodziewa, że będę to robiła dalej, teraz, kiedy mnie opuścił!

- Sędzia może być innego zdania - powiedziała Kam bardzo łagodnie.

- Istnieje ustalony precedens. Ty jesteś żywicielką rodziny, on prowadzi dom.



- Prowadzi dom? Więcej czasu zajmowało mi sprzątanie po nim niż po dzieciach! Nie pomagał im w lekcjach. Nie dbał o to, co oglądają w telewizji. Nie sprzątał, nie gotował, nie...

Kam sporządziła kilka notatek, ale potem przerwała litanie Jady.

- Ja ci wierzę. Ale sąd będzie widział kobietę, która wychodzi z domu za piętnaście szósta...Tak napisano w pozwie. Czy to prawda?

- Tak. Chodziłam na trening z moją przyjaciółką. Wracalam, szykowałam dzieciom śniadanie i odprowadzałam je na szkolny autobus.

- Nic dziwnego, że w pozwie nie ma o tym ani słowa. Napisano za to, że twoja praca do późnych godzin popołudniowych pozbawiła dzieci matczynej opieki, że urządzałaś w domu nieustanne awantury, że narażałaś rodzinę na kontakty z elementem przestępczym...

- Co? O mój Boże, Vivian!

Kam patrzyła, jak jej klientkę opuszczają siły. Czowała się strasznie, jakby to ona atakowała tę kobietę. Pochyliła się nad biurkiem.

- Posłuchaj! To przecież nieprawda. Tylko on tak twierdzi. Będziemy musieli wykazać, że kłamie. Będziemy walczyć i wygramy.

Twarz Jady przybrała nieprzyjemny odcień zszarzałego brązu.

- A możesz wygrać? - zapytała.

- Będiesz musiała mi pomóc. Ja ze swej strony zrobię wszystko, żeby zapewnić nam zwycięstwo. Mamy po swojej stronie ludzi, którzy zaświadczą o twoim charakterze, powołamy na świadka pastora, wyciągniemy na światło dzienne zdrady Clintona, przedstawimy historię zatrudnienia. Na nieszczęście mamy przeciwko sobie tę adwokacką gnidę. George Creskin da nam nieźle popalić.

- Ile to będzie kosztowało? - zapytała Jada. - I tak byliśmy już... To znaczy, utrzymanie domu i trójki dzieci pochłania wszystko, co zarabiam.

Kam zaczerpnęła głęboko powietrza, zastanawiając się, nie po raz pierwszy zresztą, co ją skłoniło do przyjęcia tej pracy.

- Przedstawiłam twoją sprawę radzie. Będziemy cię reprezentować za minimalne honorarium. Obawiam się jednak, że George Creskin nie zgodzi się na taki układ.

- Adwokat Clintona? Co on ma z tym wspólnego?

- No cóż... Pan Jackson wystąpił o przerwienie kosztów sądowych na ciebie.

- Tak, widziałam. To coś bardzo paskudnego?

Kam powstrzymała uśmiech. To nie było śmieszne, to było tragiczne.

- Twój mąż chce, żebyś opłacała jego adwokata, ponieważ to ty jesteś zatrudniona. Jada wstała i uderzyła otwartymi dłońmi w blat biuro.

- To nie może być zgodne z prawem!

- Niestety, jest.

- A więc muszę płacić rachunki za jego adwokata?

- Nie, jeszcze nie. On tylko o to wystąpił. Musimy odmówić, tak jak odmawiamy płacenia alimentów i łożenia na dzieci.

Jada miotła się po zagraconym pokoiku.

- Bóg wystawia mnie na próbę, zrobił to samo Hiobowi. Kam wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie rozumiałam tej przypowieści - przyznała. - Wydawało mi się raczej, że Bóg pozwolił torturować Hioba dla zabawy.

- Nie wiem, czy Bóg robił to dla zabawy, wiem, że robi to Clinton. Żałuj, że nie widziałaś moich dzieci w niedzielę. Kevon miał skarpetki nie do pary. Sherrilee była bez czapki, moja najstarsza nie odrobiła lekcji i spędziła trzy dni przed telewizorem. Torturując mnie, torturuje również dzieci. Jak można go powstrzymać? Co mogę zrobić?

- Jeszcze jedno muszę ci powiedzieć, zanim przedstawię moją strategię. Clinton wystąpił o przejęcie domu.

- Chce go mieć dla siebie, co?

- Chce, żebyś opuściła dom, żeby on mógł wprowadzić się tam z dziećmi. Zapewnić im ciągłość zamieszkania.

- Dzieciom i komu jeszcze? Matce, która żyje jak prosiak i pierze pościel raz do roku, na Boże Narodzenie? A może kochance, która spała już z połową mężczyzn w naszej kongregacji? Nie wpuszczaj jej do swojego domu. Prędkiej go podpalę!

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu, zanim zacniemy cokolwiek palić - powiedziała Kam. - Na początek będziesz musiała zgromadzić wiele informacji, wypełnić setki formularzy. Chcę, żebyś przedstawiła mi wykaz swoich dochodów i płatności, wszelkie splaty dotyczące domu i innych nieruchomości. Wniesiemy pozew i przygotowujemy skargę. Musimy się również przygotować na rozmowę z pracownikiem społecznym. Czeka nas mnóstwo pracy i musimy działać prędko. Tak dla twojego dobra, jak dla dobra twoich dzieci.

Jada wyłamywała sobie palce, splatała i rozplatała dłonie.

- Coś ci powiem, Kam. On nie jest złym człowiekiem. Może oddać mu dom? Pewnie o to mu chodzi. On go zbudował. Wprawdzie go nie wykończył, ale może wykończy go dla tej Toni. Niech mi odda dzieci, a ja oddam mu dom. Taki układ mi odpowiada.

Kam spuściła oczy na plik dokumentów.

- Nie sądzę, żeby George Creskin się na to zgodził, nawet gdyby twój mąż chciał pójść na ugodę. Creskin przyjął bardzo agresywną strategię. Znany jest z tego, że nabija rachunki, a potem przejmuje domy tytułem należności. Ale posłuchaj, będziemy walczyć i zwyciężymy. Musisz jednak wiedzieć, że zanim to się stanie, czekają nas ciężkie chwile. Znajdziesz na to siły?

- Kochana, znajdę tyle sił, ile będzie trzeba.

- Znakomicie! A teraz, zapraszam cię na lunch. Jada nie kryła zdziwienia.
- Nie przypuszczałam, że cią na to stać.
- Nie stać mnie, ale ośrodek ma fundusz reprezentacyjny. - Kam podniosła się zza biurka.
- Czy moja przyjaciółka Vivian może pójść z nami? - zapytała Jada. -Czeka w samochodzie. Podtrzymuje mnie na duchu od początku tej całej historii.
- Oczywiście. O ile nie będzie ci przeszkadzało, że rozmawiamy przy niej o sprawie. Jada parsknęła śmiechem.
- Nic innego nie robimy jak dzień długi.
- Pójdę do łazienki umyć ręce - powiedziała Kam. - Spotkamy się w recepcji. W toalecie Kam przeprowadziła piąty test ciąży. Wypróbowała dwie różne firmy i choć wszystkie testy wykazały to samo, Kam nadal miała nadzieję, że zaszła pomyłka. Owinęła próbkę w papierowy ręcznik i upchnęła razem z firmowym opakowaniem na dno kosza na śmieci. Potem umyła starannie ręce, odsuwając od siebie wszystkie myśli, i poszła na spotkanie z Jadą Jackson. W drodze do samochodu Jada napomknęła o kłopotach Vivian.
- Ona nie jest skłonna do osądzania ludzi, wierz mi. Cały jej świat legł w gruzach. Kam pomyślała, że gdzieś wysoko, ponad stratosfera musi istnieć świat cierpienia, z którego ból spływa na ziemię, prawdopodobnie przez dziurę ozonową. Kłopoty spadały z jasnego nieba jak ptasie gówno. Kiedy dotarły do samochodu, Jada musiała zastukać parę razy w szybę, żeby wyrwać swoją rudą długonogą przyjaciółkę z zamyślenia. Vivian popatrzyła na nie nieprzytomnym wzrokiem, otworzyła drzwi i wysiadła, nadal ściskając w rękę moką chusteczkę.
- Kam zaprosiła nas na lunch - powiedziała Jada tak radosnym głosem, jakiego Kam jeszcze u niej nie słyszała. - Zobaczymy, czy potrafię przełknąć coś poza kofeiną. Vivian wzruszyła ramionami, ale Jada ujęła ją pod ramię i ruszyły przez parking w stronę „Blue Bird”.
- Nie jadłam nic solidnego od czasu, gdy Clinton zabrał mi dzieci - wyznała Jada.
- Przydałaby mi się taka dieta. Kupiłam tę garsonkę o dwa numery większą niż zwykle, a teraz nie mogę dopiąć spódnicy - zażartowała Kam. - Wiedziała oczywiście, dlaczego zanika jej talia, ale wołała udawać, że tyje z obżarstwa.

Zerknęła przelotnie w twarz Vivian Russo. Było oczywiste, że przyjaciółka Jady nie stosuje strusiej polityki i niczego przed sobą nie udaje. W jej oczach malowało się morze strachu i bólu. W jakie kłopoty wpakowała się ta kobieta?

W restauracji dostały stolik w rogu sali. Kam miała tylko trzydzieści dolarów z funduszu i dziewięć własnych, ale uznała, że powinno starczyć, jeżeli poskromi własny apetyt. Te dwie dziewczyny z pewnością nie zamówią homarów, a jeżeli zanadto się rozpędzą, da im do zrozumienia, że w „Blue Bird” podejrzana jest nawet sałatka z tuńczyka. Jada i Vivian siedziały naprzeciwko niej. Kiedy Jada odwróciła głowę, by zapytać przyjaciółkę, co zamawia, Kam zrozumiała w końcu, dlaczego te kobiety wydają się jej znajome.

- Trenujecie razem! - wykrzyknęła. - Codziennie rano mijacie mój dom.

- A który to? - zapytała Jada.

- Właściwie nie jest mój. Mój tata mieszka na rogu Oak.

- A! - Jada odwróciła się ku Vivian, która przecierała serwetką szklankę do wody. - To ta kochanka. - A kiedy Vivian nie zareagowała, mówiła dalej do Kam: - Wiemy, że mieszka tam samotny starszy pan, więc kiedy zobaczyłam cię w oknie, uznałyśmy, że jesteś jego młodą konkubina.

- Jestem jego niemłodą córką. Młodą konkubinę już miał, zaraz po mojej matce. - Kam otworzyła kartę. Popatrzyła na wybór dań i poczuła, że mogłaby zjeść je wszystkie: faszerowanego pstrąga, sałatkę z kapusty, pieczone ziemniaki, a na koniec domowy kotlet schabowy z cebulką i ziemniaczkami. Musi się ograniczyć albo za miesiąc będzie wyglądała jak baryłka.

Jada odłożyła kartę, jakby pod ciężarem tekturki opadła jej ręka.

- Tak, trenujemy razem od czterech lat, prawda Vivian?

Vivian skinęła głową, odstawiła szklankę i zabrała się za czyszczenie sztućców.

- To dlatego Clinton oskarża mnie, że jestem złą matką. Vivian zamarła z uniesionym widelcem.

- Co powiedziałaś? - zapytała.

- Kam wyjaśniła mi właśnie, że Clinton chce, żebym mu oddała dzieci, dom, wypłacała alimenty i łożyła na utrzymanie dzieci. Mam również zapłacić za adwokata, który mu to załatwi. Ponieważ jestem nieodpowiedzialną matką, popełniałam wszystkie te szalone, nierozważne czyny, takie jak: praca w banku i poranne ćwiczenia gimnastyczne. No, poza tym, orgie, rolkowanie, fryzowanie i niekończące się szampańskie przyjęcia.

- Co to jest rolkowanie? - zainteresowała się Kam. - Bo jeżeli przytyję jeszcze kilogram chyba się nadam.

Jada wzruszyła pięknymi ramionami.

- Nie mam bladego pojęcia - powiedziała - ale to brzmi tak dekadenccko, nie uważasz? Świetnie pasuje do mojego dekadencckiego stylu życia. No wiesz,

my, nieodpowiedzialne matki używamy ile się da - jeździmy dziesięcioletnimi samochodami, nosimy na przemian trzy garsonki, decydujemy, który rachunek w tym miesiącu nie zostanie zapłacony, a odkurzając mieszkanie słuchamy Jamesa Browna. Być może przyjdzie mi za to słono zapłacić, ale nie żałuję ani minuty. Podeszła kelnerka i Jada zamówiła herbatę i zupę. Kiedy Vivian poprosiła o wodę mineralną, Kam mogła już spokojnie zażądać schabowego ze wszystkimi dodatkami. Po odejściu kelnerki Kam postanowiła rozweselić swoich gości.

- Wiecie, dlaczego psy są lepsze od mężczyzn? Obie kobiety podniosły wzrok.

- Ponieważ czują się winne, kiedy nabroją. Nawet Viv się roześmiała.

- A ja myślałam, że to dlatego, że psy nie przyprowadzają obcych suk do domu i nie śpią z nimi w twoim łóżku - powiedziała Jada.

- I nie występują o opiekę nad dziećmi. Ani o alimenty - dorzuciła Vivian.

- I nie trafiają do aresztu - powiedziała Jada.

- Rany! Dobre w tym jesteście - stwierdziła Kam. - W biurze cały czas się w to bawimy. Jak dotąd moim faworytem jest: „Psy są lepsze od mężczyzn, bo nie psioczą na wideo, które przyniosłaś z wypożyczalni”.

- Psy nie czują się zagrożone, kiedy zarabiasz więcej od nich - powiedziała Jada z goryczą. - Nie próbują zrujnować ci życia.

Vivian zniżyła głos.

- Jado, to jest straszne. On nie może być takim skurwielem. Nie może ci tego zrobić. Kam ujrzała, jak oczy Vivian napełniają się łzami. Jada poklepała przyjaciółkę po ręce.

- Wierz mi, Viv, zrobił.

Kam popatrzyła na te dwie kobiety tak dzielnie wspierające się wzajemnie w nieszczęściu i pozazdrościła im przyjaźni. Myśl o Lisie nasuwała się sama. Cóż za porównanie! Dlaczego nie potrafiła znaleźć sobie przyjaciółki godnej zaufania, takiej jak Jada Jackson? Widocznie to pragnienie odbiło się na jej twarzy, bo Jada przyjrzała się jej uważnie.

- Miałabyś ochotę potrenować z nami? - zapytała. - Dobrze robi na figurę i rozjaśnia w głowie. - Jada zwróciła się do Vivian. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Vivian wzruszyła ramionami. Trudno to było uznać za oficjalne zaproszenie, ale nie był to również sprzeciw.

- Z przyjemnością - powiedziała Kam. - Byłoby wspaniale.

- Nie licz na żadne wspaniałości - ostrzegła Jada. - Rozmawiamy o mężczyznach, psach i sposobach przetrwania.

Kam zaczęła się śmiać.

- Dziewczęta, w tych dziedzinach jestem ekspertem.

## Rozdział 26

Podczas porannego treningu Vivian wysłuchiwała relacji ze spotkania z dziećmi.

- Co im w końcu powiedziałaś? - zapytała, poruszona do głębi.

- Że wyjeżdżam służbowo. Że tatuś myślał, że dobrze się będą bawili u babci.

- Kupiły to?

- Żartujesz? Kevon się rozplakał. Powiedział, że nienawidzi „cioci” Toni. Cioci!

Dasz wiarę? Jeżeli ona jest ciocią to ja jestem przyrodnią siostrą księżniczki Di! -

Jada zamilkła na chwilę. - Shavonna tylko na mnie popatrzyła...

- Jada umilkła na dobre, ale Vivian wiedziała, co znaczy takie spojrzenie zdradzonej niewinności. Widziała je już kiedyś na twarzy Jenny.

- Powinnaś zwalić winę na Clintona - powiedziała Vivian.

- Nie teraz. Zrobię to po rozprawie. Wyjaśnię im wszystko, jak już będą w domu.

Nie powiem im tylko o jego zdradach. To nie ich sprawa. Kiedy odwoziłam je do teściowej, starałam się tylko nie załamać i nie zacząć szlochać jak Sherrilee - przyznała.

Ale mimo całego współczucia Jady - a może właśnie z powodu tego współczucia - Vivian nie mogła zacząć rozmowy o własnych problemach. Nie powodował ją strach, lecz dziwne, chłodne uczucie, jakby w jej umyśle zatrzasnęły się metalowe drzwi, odgradzające ją nawet od najbliższych. Dopóki dobijała się do nich prasa, telewizja, prawnicy i sądy, Vivian udawała, że nikogo za nimi nie ma. Poświęciła więc całą uwagę przyjaciółce.

- Wymyśliłam jeszcze jeden powód, dlaczego psy są lepsze od mężczyzn

- powiedziała.

- Ponieważ nie mogą krytykować twoich przyjaciół?

- Dobrze! Ale ja uważam, że psy są lepsze od mężczyzn, ponieważ nie obchodzi ich czy masz ogolone nogi.

- A ja myślę, że psy są lepsze, ponieważ kiedy dostają ataku na umysł można je uspić

- powiedziała Jada. Nie zabrzmiało to jak żart.

- Okropne - powiedziała Vivian. - Idziesz dzisiaj do pracy?

- Tylko do tego się nadaję - odparła Jada z goryczą. - Jestem wyrobnicą. Muszę pracować, żeby zachować zdrowe zmysły i płacić rachunki.

Przez chwilę Vivian zastanawiała się, czy nie jest to kamyczek do jej ogródka. Jada była przecież przekonana, że Russowie nie mają kłopotów

finansowych. Ale nie wyprowadziła przyjaciółki z błędu. Jeżeli miała jakąś wadę, była nią duma. Nie zamierzała mówić o ich prawdziwej sytuacji nikomu, nawet Jadzie, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Czuła się przez to jeszcze bardziej daleka przyjaciółce, czuła się sama we wszechświecie.

- Słuchaj, muszę iść rano na spotkanie z adwokatem Franka. Usprawiedliwisz mnie?  
- Jasne. Jesteś na bieżąco? - zapytała. - Bo Marcus mnie nęka. Nie podoba mu się, co piszą w gazetach. Ale panuję nad sytuacją.

- Jestem na bieżąco. Twoja pożyczka została zatwierdzona. Przełałam pieniądze na konto.

- Teraz już ich nie potrzebuję. Dzięki, że to dla mnie zrobiłaś. Nie było to zgodne z...

- Z polityką banku? Pieprzyć politykę banku.

- Nie mogę sobie darować...

- Wstrzymałaś wypłatę tego czeku? Bo Bruzeman nie sprawia wrażenia faceta, który zwraca pieniądze.

- Wstrzymałam. Mam nadzieję, że nie pozwie mnie za to do sądu. Więc z niczym nie zalegasz?

- Może dzwonić tylko jeden klient, ale do tego czasu będę już z powrotem.

- Świetnie - powiedziała Jada. Od dobrej chwili stały przed jej domem i Jada przytupywała dla rozgrzewki. - Jeżeli zjawi się klient, przekażę go Annie.

Oczywiście - dodała z pośępnym uśmiechem - doniesie o tym Marcusowi, żeby cię wygryźć. Prędzej uschnę, niż na to pozwolę.

Rozstały się bez pożegnania, żeby stawić czoło okropieństwu dnia. Vivian wyprawiła dzieci do szkoły, wyprowadziła Pookiego na krótki spacer, nakarmiła go, zaniósła kawę Frankowi. W milczeniu szykowali się na spotkanie z Rickiem Bruzemanem. Zeszli do kuchni, gdzie Vivian zabrała się za czyszczenie blatu, ostrożnie, żeby nie powalać sobie mankietów, podczas gdy Frank dopijał kawę przy barku. Jego kubek pozostawił ciemny krążek na idealnie czystej powierzchni i Vivian z trudem opanowała pragnienie, by go natychmiast zetrzeć. Usiadła naprzeciwko męża.

- Frank, czegoś nie rozumiem - zaczęła. - Jeżeli ktoś cię o coś oskarża, przez zazdrość albo chęć zemsty...

Frank patrzył uporczywie w swój kubek.

- Mogę zrozumieć, że policja przeszukała nasz dom, ale nie rozumiem, jak mogli postawić cię w stan oskarżenia. Skoro rewizja niczego nie wykazała...

- Nie wykazała, ponieważ nie mogła niczego wykazać! - Poczul się urażony, a jego ton sugerował, że jest głupia.

- Wiem, Frank. Ale nie rozumiem - powiedziała jeszcze pokorniej. - Może jestem głupia, ale nie rozumiem, jak można postawić człowieka w stan oskarżenia na podstawie gołosłownych pomówień.

- Ja też nie rozumiem - odparł Frank z goryczą. - Chcą po prostu dopaść faceta, który nosi nazwisko Russo.

Vivian nie mogła tego dłużej znieść. Wyciągnęła rękę, uniosła kubek Franka i starła krawężek po kawie, który mąż rozmazywał palcem w esy-flore-sy. Wstała, wypłukała gąbkę i dwukrotnie umyła ręce. Drgnęła, kiedy Frank stanął za nią.

- Nie wątpisz we mnie, prawda, Viv?

Potrząsnęła głową. Nie wątpiła w swojego męża, ale wątpiła w Bruze-mana, prokuratora, sąd oraz w to, że zdołają wyjść z tego z życiem.

- Już czas - powiedziała.

Wzięli dwa wozy, ponieważ Vivian prosto od Bruzema jechała do banku. W leksusie pozwoliła, by metalowe drzwi odgrodziły ją od rzeczywistości.

Potrzebowała ciszy, pustki. Nie włączyła nawet radia. Przez krótką szaloną chwilę pragnęła ominąć zjazd prowadzący do biura Bruzema. Pragnęła jechać tygodniami autostradą, nie myśląc o niczym, uczepiona kierownicy. Z westchnieniem wrzuciła kierunkowskaz.

Bruzeman kazał im czekać, jak wtedy, gdy przyprowadziła Jadę. Czekanie nigdy nie było mocną stroną Franka, spacerował teraz po poczekalni, a jego wściekłość rosła z każdą minutą.

- Najpierw drań mówi mi, że pozwiemy gliny i powiat, i zarobimy kupę szmalu.

Potem powiadamia mnie radośnie o cholernym oskarżeniu. A teraz każe mi czekać? Zainkasował tyle forsy i każe nam czekać?! Za kogo on się, kurwa, uważa?

Vivian patrzyła, jak Frank stopniowo doprowadza się do pasji. Wiedziała, że złość pozwala mu przetrwać, tak jak jej pomagały przetrwać metalowe drzwi.

- Minęło dopiero piętnaście minut - powiedziała.

- Wiesz, ile facet bierze za godzinę? Te piętnaście minut jest warte sto dwadzieścia dolców. Najdroższe czekanie świata.

Kiedy zaczął krzyczeć, że na pewno za to nie zapłaci, pojawiła się sekretarka. Frank wszedł do gabinetu Bruzema, jakby go sam zbudował. Usiadł na wielkim skórzanym fotelu, naprzeciwko biurka, pozostawiając Vivian miejsce na kanapce. Uchwyciła się oparcia, jakby była to ostatnia łódź ratunkowa „Titanica”. Bała się, że za chwilę zanikną się nad nią fale.

- Frank, wiadomości nie są dobre, ale... - zaczął Bruzeman.

- Jak to, kurwa, możliwe, żeby zwołano tajne posiedzenie sądu? - przerwał mu Frank w pół słowa. - Dlaczego nic o tym nie wiedziałeś? Dlaczego nic nie zrobiłeś? - niemal krzyczał.

Bruzeman uniósł brwi.

- A co niby miałem zrobić? Frank, uprzedziłem cię, że mogą mieć informatora. Inaczej nie uzyskaliby nakazu rewizji.

- Ale niczego nie znaleźli. To znaczy... - Frank uspokoił się trochę. W Vivian narastało przerażenie.



- Nie aresztowaliby ciebie i twojej żony, gdyby informator, czy też współpracujący z nimi świadek, nie dostarczył im wystarczających dowodów. Mówiłem ci o tym, kiedy załatwiłem kaucję.

Mówił? Vivian zastanawiała się, czy rzeczywiście. Nie wspomniał jej o tym ani Bruzeman, ani Frank.

- Powiedziałeś mi też, że załatwimy to w tydzień, a koszty zamkną się w granicach dwudziestu pięciu tysięcy - powiedział Frank.

- Świadek? - Odezwała się po raz pierwszy Vivian. Dotąd siedziała ze spuszczoną głową, ale teraz popatrzyła na Bruzemana. - Świadek czego?

- Oskarżenia - powiedział Bruzeman, jakby była niedorozwiniętym dzieckiem, po czym zwrócił się znów do Franka.

- Ale czego on był świadkiem? - Vivian nie dawała za wygraną.

Oczami wyobraźni ujrzała jak sąsiad albo właściciel konkurencyjnej firmy wykonuje anonimowy telefon, wysyła list. Bez trudu wyobraziła sobie również, jak jeden ze stolarzy, których Frank zwalniał masowo za brak kompetencji, składa donos na byłego pracodawcę do urzędu podatkowego. Trzykrotnie byli sprawdzani i wyszli z lustracji czyści jak łąza. Vivian wiedziała jednak, że oskarżenie zwolnionego pracownika nie wystarczy, by postawić człowieka przed sądem.

- Kim jest ten świadek?

- Akt oskarżenia jest tajny - odpowiedział Bruzeman.

- Co to znaczy? - zapytała.

Bruzeman uniósł brwi. Nie spojrzał nawet na nią, zwracając się ponownie do Franka.

- Frank, mamy mnóstwo spraw do omówienia. Nie sędzę, żeby to była pora na naukę prawa. Otrzymałem informację, że w południe wiadomość zostanie podana do publicznej wiadomości...

- W południe? - przerwał mu Frank, spoglądając na zegarek. - Zostało zaledwie dwie godziny.

- Otóż to! - adwokat zwrócił się w końcu do Vivian. - Ty nie jesteś zagrożona - powiedział, jakby był to jedyny powód jej pytań. - Wygląda na to, że informator wycofał wszystkie zarzuty wobec ciebie. Sprawa więc ciebie nie dotyczy. -

Uśmiechnął się. - To oznacza, że będziesz mogła zeznawać na rzecz Franka.

Przygotujemy cię. Na razie chciałbym omówić z Frankiem strategię wobec prasy. - Vivian zrozumiała, że została delikatnie wyproszona za drzwi. Arogancja Bruzemana przechodziła wszelkie wyobrażenia. Żał jej było żony tego człowieka, jeżeli ją w ogóle miał. Jezu, współczuła nawet jego psu.

- Twoje zadanie jest proste - ciągnął Bruzeman. - Nie udzielaj żadnych wywiadów. Wolno ci powiedzieć tylko tyle, że twój mąż jest niewinny, że ty i dzieci stoicie za nim murem, ponieważ jest dobrym ojcem, dobrym mężem i niewinnym człowiekiem.

Wstał i podał jej kartkę maszynopisu z treścią oświadczenia. Popatrzyła na Franka. Jego twarz była tak blada, że niemal biała. Pytania cisnęły się Vivian na usta, ale odruchowo podniosła się z miejsca.

- Chcesz, żebym wyszła, Frank? - zapytała. Frank skinął głową i nie ruszył się z fotela. Vivian puściła swoją łódź ratunkową i wyszła prosto w otchłań.

W drodze do pracy myślała o dzieciach. Jeżeli znowu rozpęta się piekło, jeżeli znowu trafią na pierwsze strony brukowców, będzie musiała pomyśleć o zmianie szkoły. Ale dokąd wysłać dzieci? W okolicy były tylko prywatne instytucje. Zresztą, czy zmiana środowiska w czymkolwiek zmieni sytuację? Jenna zostanie wystawiona na próbę nie tylko jako dziewczynka, której ojciec oczekuje na proces, lecz również jako nowa uczennica. Jenna lubiła swoją obecną szkołę i koleżanki, przynajmniej na tyle, na ile może lubić szkołę dwunastolatka.

Nie, takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Poza tym, przeprowadzili się do tej dzielnicy właśnie przez wzgląd na dobre szkoły publiczne. Pomijając fakt, że w tej chwili nie stać ich na takie wydatki.

Vivian zmieniła pas, przygotowując się do skrętu w prawo. Zastanawiała się, czy dzieci bardzo by ucierpiały, gdyby pozostawiła je tam, gdzie są. Jeżeli proces zostanie nagłośniony tak, jak przewidywał Bruzeman, dzieciom nie będzie łatwo. Może... Myśl zaświtała jej w głowie, ale odsunęła ją od siebie. Jednak wracała uporczywie. Szkoła z internatem. Dobra szkoła z internatem mogłaby być najlepszym rozwiązaniem dla Jenny. Znalazłaby się poza zasięgiem miejscowej prasy, nie licząc innych korzyści - lepszy program sportowy, wyższy poziom nauczania, co z kolei zapewniało przyjęcie do lepszego college'u. Oczywiście miało to swoje ujemne strony: serce pękało jej na myśl o przedwczesnym rozbiciu rodziny, ale najważniejsze w tej chwili było dobro Jenny. Pozostawał Frankie, ale z nim nie mogła się jeszcze rozstać. Trudno.

Omam nie przejechała zjazdu na bankowy parking. W części dla pracowników nie było wolnego miejsca. Zaczęło padać, a ona musiała zostawić wóz w najdalszym kącie i przejść przez cały plac. Kiedy dotarła do drzwi, włosy miała mokre, a za kołnierz spływała jej woda.

Na szczęście nie musiała się z nikim witać, przy takim nawale interesantów nikt nie zwracał na nią uwagi. Przeszła przez hol i dała nura do pokoju dla pracowników. Odwiesiła mokry płaszcz, nalala sobie kawy i próbowała zrobić coś z wilgotną masą włosów. Sprawa była beznadziejna i Vivian po prostu machnęła ręką.

Nikt i nic nie jest doskonałe. Musi pogodzić się z faktem, że przez jakiś czas jej życie nie będzie idealne, nie będzie nawet znośne. Na pociechę łyknęła kawy.

Dalszy ciąg dnia mógł się okazać równie trudny, jak jego początek.

Była jedenasta czterdzieści pięć, kiedy Vivian wsunęła się za biurko w swojej alkowie. Wbrew obawom Jady, nic nie wskazywało na to, że jej

nieobecność została dostrzeżona. Postanowiła, że nadrobi ewentualne zaległości w przerwie na lunch. Zdążyła przejrzeć jeden wniosek kredytowy, kiedy przed jej biurkiem stanął mężczyzna z rudą brodą ubrany w prochowiec.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Chciałbym ubiegać się o kredyt.

- Trafił pan pod właściwy adres - odparła.

- Tak? Próbowałem wcześniej, ale pani nie było.

- Wypełnił pan formularz? - zapytała. Klient potrząsnął głową.

- Czy to ma być kredyt budowlany, czy konsumpcyjny?

- Właściwie nie wiem. - Mężczyzna usiadł naprzeciwko niej. - Może zechciałyby mi pani wyjaśnić, na czym polega różnica? - Uśmiechnął się przyjaźnie. Niemal zbyt przyjaźnie. Czyżby próbował ją poderwać? Mało prawdopodobne; wyglądała jak strach na wróble.

Wysiliła się na uśmiech. Zadzwoił telefon i Vivian podniosła słuchawkę z przepaszającym wyrazem twarzy. Usłyszała głos Jady, tak odległy, jakby dochodził z zaświatów, a nie z oszklonego gabinetu po drugiej stronie sali.

- Vivian, to jest znowu w gazetach - powiedziała bez wstępów. Vivian poczuła, jak cała krew splywa jej do nóg. Zamarzyła o tabletkach, które przepisał jej lekarz, ale nie mogła łykać leków uspokajających, mając klienta po drugiej stronie biurka. - Postawili Franka w stan oskarżenia, wiedziałas o tym? A strażnik poinformował mnie właśnie, że przed bankiem stoi wóz telewizji.

- Tutaj?

- Przed głównym wejściem. Może ich być więcej.

- Żartujesz! - wykrztusiła Vivian, coraz bardziej świadoma uporczywego wzroku klienta.

- Możemy nie wpuścić ich do środka - ciągnęła Jada - ale opadną cię, jak tylko wyjdiesz na zewnątrz. Zaparkowałaś od tyłu?

- Nie było miejsca. - Klient wsparł się łokciami o blat biurka, starając się odczytać dokument, który miała przed sobą. Odwróciła kartkę, zapisaną stroną do dołu.

- Możemy zamienić się samochodami - zaproponowała Jada.

- To znaczy, że mam wyjść zaraz? - Vivian pobiegła wzrokiem ku oszklonemu gabinetowi. Jada wzruszyła ramionami.

- Lepiej wcześniej niż później - powiedziała. - Może uda ci się dotrzeć do domu przed nimi.

- Pewnie już tam są. - Vivian walczyła o spokój. - Kiedyś będę musiała stawić im czoło.

- Do jutra mogą znaleźć kogoś, kto ma większe kłopoty. Nową ofiarę.

- Poradzę sobie - zapewniła Vivian przyjaciółkę, mocno na wyrost. W tym momencie ujrzała szerokie bary i łysą czaszkę pana Marcusa w tłumie klientów. - Marcus jest tutaj.

- Cholera! A więc widział reporterów. Nie jest dobrze - powiedziała Jada i rozłączyła się.

Vivian trzymała słuchawkę przy uchu jeszcze przez kilkanaście sekund, próbując się opanować. Potem powiedziała „do widzenia” i zwróciła się z uśmiechem do rudowłosego klienta. Bazgrał coś na formularzu, który mu podsunęła, ale miała wrażenie, że słucha uważnie jej rozmowy z Jadą. Najwidoczniej dostawała manii prześladowczej.

- Przepraszam - powiedziała. - Co mogę dla pana zrobić?

- Nazywam się Howard Mindel. Vivian Russo, prawda?

Ponieważ na biurku stała plakietka identyfikacyjna, nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by odgadnąć, jak brzmi nazwisko urzędniczki. Skinęła z uśmiechem głową.

- O jaki kredyt panu chodzi? - zapytała, chociaż jej myśli koncentrowały się wyłącznie na oddychaniu - nabrać powietrza, wypuścić powietrze.

- Długo tu pani pracuje? - zapytał Mindel. Uśmiech Vivian stał się wymuszony. Jedno z dwojga albo próbował nawiązać pogawędkę, albo kwestionował jej kompetencje. Tego tylko brakowało, żeby złożył na nią skargę Marcusowi!

- Przepraszam za ten telefon - powiedziała. - Pracuję od trzech lat.

- Podoba się tu pani? - zapytał pan Mindel. Vivian przymrużyła oczy. Było coś nienaturalnego w tym facecie, chociaż nie wyglądał na niezrównoważonego psychicznie. I nie próbował jej podrywać.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytała. Pochylił się, kładąc niemal na biurku.

- Daj mi prawo wyłączności, Vivian. Oni nie pozostawiają cię suchej nitki. Jeżeli udzielimy ci wywiadu, umieścimy go na drugiej, trzeciej stronie. Jeżeli to będzie ekskluzyw, przedstawię cię w niezłym świetle.

Trochę trwało, zanim zrozumiała, co jest grane. Pan Mindel był po prostu strażą przednią dziennikarzy, którzy przybyli, by ukrzyżować ją i jej rodzinę. W następnej chwili zrozumiała również, że zastawiając krzesłem wyjście z alkowy uwięził ją za biurkiem.

- Pan jest reporterem? - zapytała zduszonym głosem. Czuli się tak, jakby uszło z niej całe powietrze. - Jestem Howard Mindel - powtórzył z naciskiem. Spodziewał się chyba, że to wszystko wyjaśni. Być może widziała to nazwisko w prasie, w tej chwili nie mogła sobie skojarzyć. Wstała i przepchnęła się obok niego tak gwałtownie, że musiał chwycić krawędź biurka, żeby nie wywinąć kozła razem z krzesłem. Vivian ruszyła w stronę pokoju pracowników.

Ale kiedy mijala biurko Anny, drzwi gabinetu Jady otworzyły się i wyjrzała zza nich łysa czaszka pana Marcusa.

- Pani Russo? Możemy prosić na chwilę?

Ponad ramieniem Marcusa Vivian ujrzała zmienioną twarz Jady. Weszła do gabinetu, starając się nabrać w płuca tyle powietrza, żeby nie zemdleć.

- Usiądź, proszę - Jada wskazała jej krzesło.
- Czy to konieczne? - zapytał Marcus.
- Tak! - powiedziała Jada ostro. - Czy wychodząc, mógłby pan zamknąć za sobą drzwi?

Mimo fatalnego samopoczucia Vivian miała ochotę się roześmiać na myśl o zaskoczeniu Marcusa. Nie miała jednak wątpliwości, że Jada stoczyła przed chwilą małą bitwę. Była szara na twarzy. Viv usłyszała, jak drzwi się zamykają i nabrała drugi haust powietrza.

- Posłuchaj - zaczęła Jada. - On chce cię zwolnić, ale wykazałam, że nie ma podstaw. Jeżeli zrobisz aferę, zagroziś mu procesem, powiem mu, że nie ma szans.

Była naprawdę dobrą przyjaciółką. Vivian dopiero teraz zrozumiała, ile dla niej znaczy praca w banku.

- Dajmy sobie z tym spokój, Jado. Wiem, że to nie ty podjęłaś tę decyzję. Składam rezygnację.

- Viv, to nie jest konieczne...

- Tak będzie lepiej i dla ciebie, i dla mnie - powiedziała Viv. - Mamy dosyć kłopotów i bez użerania się z szefostwem. Poza tym, potrzebujesz tej pracy. Nie możesz narażać się Marcusowi.

- Wymazuję go gumką myszką.

- To przy okazji wymaż i mnie.

## **Rozdział 27**

Mijając dom Vivian, Jada przyłapała się na tym, że odwraca wzrok. Niech jej Bóg wybaczy. Nie była w stanie zapobiec zwolnieniu Vivian - Marcus i rada nadzorcza postawili sprawę na ostrzu noża - i z ulgą przyjęła jej rezygnację. Walczyłaby do ostatka, gdyby Vivian tego zażądała, ale cieszyła się, że los jej tego oszczędził. Była to ironia losu, że musiała zwolnić z pracy kogoś, kto załatwił jej posadę.

„I żaden dobry uczynek nie ujdzie ci bezkarnie”, zacytowała. Vivian była zbyt mądra, żeby obwiniać przyjaciółkę za to, co się stało, ale Jada nie zdziwiłaby się, gdyby przyjaciółka nie chciała jej więcej widzieć na oczy. Wiedziała, że jeżeli coś przyczyni się do zakończenia ich przyjaźni, będzie to jej własne poczucie winy.

Matka często mawiała: „Weź szczyptę poczucia winy, dodaj uncję zaniedbania i masz najlepszy przepis na klęskę”. Jada nie będzie odwracała wzroku od domu Vivian. Telefonowała do niej dwa razy dziennie i skrupulatnie pilnowała porannych treningów mimo skrępowania, jakie obie odczuwały.

Rzecz jasna, wiedziała, co piszą w gazetach, oglądała zdjęcie Franka w wiadomościach telewizyjnych. Nie stanąjeszcze przed sądem, a już uznano go za winnego. Jada pamiętała historię strażnika, który znalazł bombę w miasteczku olimpijskim w Atlancie. Oskarżenie policji zrujnowało mu życie, chociaż okazało się bezpodstawne. Jeżeli Jada mogła za coś ręczyć, to właśnie za niewinność Vivian. Co do Franka, nie miała pewności, ale jeżeli Russo popełnił coś złego, Vivian nie brała w tym udziału. Nie powinna rezygnować z pracy w banku. Zrobiła to, żeby oszczędzić przyjaciółce kłopotów. Jada była jej za to wdzięczna, ale nadal uważała, że bank nie miał prawa zwolnić Vivian tylko dlatego, że jej mąż został postawiony przed sądem.

Skręciła na podjazd i stwierdziła z irytacją, że stoi na nim obcy samochód. Cholera! Oznaczało to, że pracownik społeczny wyznaczony przez sąd już przyjechał. Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze czwartej, nie spóźniła się ani minuty, ale wszystko w postawie kobiety za kierownicą świadczyło o urażonej godności. Jada nie miała nawet czasu, by przygładzić włosy czy pociągnąć usta szminką. Wyszła na spotkanie, żywiąc szczerą nadzieję, że nie będzie miała do czynienia z bigotką. Musiała się pochylić, żeby zajrzeć do samochodu. Murzynka o bardzo jasnym odcieniu skóry, z włosami ściągniętymi w schludny kok, popatrzyła na nią lustrującym wzrokiem.

Jada uznała, że będzie lepiej, jeżeli się nie uśmiechnie. Kam Lopez przywiązywała dużą wagę do wyniku tego spotkania, ale Jada czuła, że przymila-nie się tylko pogorszy sprawę. Żadna z nich nie poruszyła się. W końcu Jada uniosła pytająco brwi i kobieta wysiadła wolno z wozu. Była niska i krępa. Podniosła wzrok na Jadę i wyciągnęła do niej rękę. - Moje nazwisko Elroy - oznajmiła. Z miejsca stało się jasne, że pochodzi z wyspy, ale z której? - Wydział opieki społecznej - dodała. - Mam przyjemność z Jadą Jackson?

Jada skinęła głową. Akcent nieznanym nie pozostawiał wątpliwości; pochodziła z Jamajki. Wypiarze byli dziwnymi ludźmi. Można by pomyśleć, że wspólnota pochodzenia ich do siebie zbliży, ale Jada wiedziała od rodziców i przyjaciół, że Antiguańczycy odnoszą się z wyższością do mieszkańców Martyniki, którzy traktują pogardliwie wszystkich nie będących Francuzami, Bajanie nie lubią mieszkańców Aruby i Antigui, a wszyscy nie lubią Jamajczyków, chociaż nie tak bardzo jak Haitańczyków. Jada uznała, że lepiej nie poruszać w ogóle sprawy pochodzenia.

- Jest chłodno - powiedziała. - Może wejdziemy do domu?

- Musi mnie pani wpuścić niezależnie od pogody - odparła pani Elroy. - Jestem tu z urzędu i mam dokonać oględzin domu.

„Jakbym mogła o tym zapomnieć”, pomyślała Jada z goryczą. Wiedziała już mniej więcej, z kim ma do czynienia. Będzie musiała to znieść, chociaż sama myśl o tej wizycie budziła jej wstręt.

- Wejdźmy od kuchni - powiedziała, siląc się na pogodny ton. - Zrobię kawy lub herbaty.

- Nie piję na służbie - oznajmiła pani Elroy, jakby była policjantką, a Jada zaproponowała podwójną whisky. W kuchni Jada zdjęła płaszcz i wyciągnęła rękę po okrycie pani Elroy, ale kobieta potrząsnęła odmownie głową. Nie odłożyła również torebki ani aktówki.

- Zaczniemy od oględzin domu. Potem przeprowadzę wywiad.

Jada odpowiedziała skinieniem głowy. Przez pół nocy sprzątała, odkurzała i układała w szafkach, ale już teraz wiedziała, że jako pani domu nie zyska uznania wizytatorki.

Pani Elroy obeszła dom, robiąc notatki. Jadę kusilo, żeby zerknąć jej przez ramię, ale uznała, że lepiej w ogóle nie próbować. Miała wielką ochotę powiedzieć tej kobiecie, dlaczego w kuchni leży podłoga z dykty, okna w holu są zabite deskami, a glazura, zamiast na ścianach spoczywa w stosach w kącie łazienki.

Widzi pani, jaki z niego nierób? chciała powiedzieć. Widzi pani, że nie pomalował półek na książki ani pokojów dzieciennych? Ale trzymała język za zębami. Pani Elroy zadała jej tylko kilka pytań o dom i pokoje dzieci, potem zaprowadziła Jadę z powrotem na parter, jakby to ona była tu gospodarzem, a Jada gościem. Jada zaczerpnęła głęboko powietrza, policzyła do dziesięciu i przeprosiwszy panią Elroy łyknęła jedną z pomarańczowych piguleczek, które dała jej Vivian. „Wytrzymasz!”, powiedziała sobie, po czym poprosiła panią Elroy, żeby usiadła w salonie. Omal nie ponowiła propozycji napicia się kawy, ale powstrzymała się w porę. Pani Elroy jednak nie zamierzała siadać w pokoju rodzinnym. Potrząsnęła tylko głową i zajęła miejsce u szczytu stołu w jadalni.

- Usiądziemy tutaj - oznajmiła, po raz kolejny dając Jadzie do zrozumienia, kto tu jest i pozostanie szefem. Jada zajęła krzesło obok niej. Ręce znów zaczęły jej drżeć, przysunęła się więc jak najbliżej stołu i spróbowała się uśmiechnąć do gościa. Pani Elroy jednak nawet nie podniosła wzroku, zajęta sortowaniem papierów. Wydobyła w końcu jakiś formularz i rozłożyła go na blacie.

- Mam tu kilka podstawowych pytań, na które musi pani odpowiedzieć - poinstruowała, jakby Jada nie znała celu jej wizyty. Musiała być kiedyś nauczycielką w klasach pierwszych lub dozorczynią w Domu Cierpienia. Madame Elroy, Królowa Dyscypliny.

- Potem przejdziemy do pytań bardziej szczegółowych, odnoszących się zarówno do obecnej sytuacji dzieci, jak i pani kompetencji jako matki.

Kompetencji? Jada pomodliła się w duchu o siłę i cierpliwość. Milczące podporządkowanie się było najlepszą polityką wobec osoby tego pokroju.

Wprawdzie uległość nie była mocną stroną Jady, ale zamierzała się bardzo postarać.

Sprawnie wypełniły pierwszą część formularza - nazwiska, daty urodzin, szkoły i oceny dzieci, wykształcenie Jady, miejsce pracy, dochody. Pani Elroy uniosła brwi, kiedy Jada podała jej wysokość rocznych zarobków i zamiast dumy ze swoich osiągnięć, Jada odczuła wstyd. Zdawała sobie sprawę, że dochody pani Elroy muszą być znacznie mniejsze. Czy bardzo ją to wkurzyło?

- W jakim wieku były dzieci, kiedy rozpoczęła pani karierę? Jada podała wiek dzieci.

- Sherrilee nie było jeszcze na świecie - dodała.

- Ile godzin poświęcała pani na pracę zawodową, podczas gdy dwoje starszych dzieci przebywało w szkole lub w domu?

Jadzie nie podobała się forma pytania.

- Pani Elroy, ja musiałam iść do pracy. I nie była to kariera, lecz posada z minimalnym uposażeniem. Nie chciałam robić kariery, ale mój mąż nie zarabiał ani centa. Byliśmy w długach. Wyczerpaliśmy MasterCard w sklepie spożywczym. Bałam się, że stracimy dom. Nie poszłam do pracy dla przyjemności. Musiałam zacząć zarabiać.

Pani Elroy nie sporządziła żadnej notatki.

- I musiała pani awansować z kasjerki na kierownika oddziału? - zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. - Byłabym wdzięczna, gdyby odpowiadała pani po prostu na pytania.

Jada miała ochotę grzotnąć wizytatorkę w ucho. Była przekonana, że gdyby to zrobiła, przestałyby się jej trząść ręce. Ale nie mogła sobie pozwolić na wyładowanie emocjonalne, walczyła o dzieci.

- W kasie pracowałam tylko do trzeciej - powiedziała. - Potem trochę dłużej, ale Clinton był zawsze w domu... - urwała, nie chcąc stworzyć wrażenia, że Clinton był opiekunem dzieci. - Wprawdzie niewiele się nimi zajmował, ale przynajmniej były pod dozorem. Przyjęłam posadę kierownika, ponieważ potrzebowaliśmy pieniędzy. Nasze zeznanie podatkowe z pewnością to potwierdzi.

- Więc kiedy otrzymała pani następny awans? - zapytała kobieta. W uszach Jady zabrzmiało to jak: „kiedy otrzymała pani następny wyrok?”

Spokojnie odpowiedziała na pytania dotyczące pracy, chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Kiedy skończyła, pani Elroy dokonała podsumowania.

- A więc w przeciągu ostatnich dwóch lat, mimo ciąży i narodzin trzeciego dziecka, pracowała pani od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu godzin tygodniowo.

Tak, to zabrzmiało jak wyrok.

- Poza tym gotowałam, robiłam zakupy i sprzątałam - uzupełniła Jada. - To ja pilnowałam, by dzieci odrabiały lekcje i nie spędzały dnia przed telewizorem. Ja chodziłam na wywiadówki i zebrania rodziców.



Pani Elroy nie zanotowała ani słowa.

- I zdecydowała się pani na trzecie dziecko, chociaż nie była go pani w stanie sama doglądać.

Jada wciągnęła ze świstem powietrze. Czy naprawdę musiała wyjaśnić obcej, niesympatycznej kobiecie, że nie współżyła z mężem od lat, aż do tamtej sylwestrowej nocy? Że była pijana, że rozpaczła dowiedziawszy się o ciąży. Że w tajemnicy przed Clintonem umówiła się na zabieg i nie poszła? Nigdy nie żałowała swojej decyzji, nawet gdy padała ze zmęczenia po nie przespanych nocach.

Sherrilee była dobrym, kochającym maleństwem. Była jej pociechą, jej nagrodą. Co Clinton naopowiadał tej kobiecie? Jada, która tak rzadko płakała, poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Kocham moje dziecko. Kocham wszystkie moje dzieci. I jeżeli rozmawiała pani z nimi, wie pani, że i one mnie kochają. Jestem dobrą matką. One mnie potrzebują.

- Rozmawiałam z nimi, pani Jackson, jak również z ich opiekunką. Znam swoje obowiązki. Rozmawiałam również z pani mężem i teściową. Wiem, że pani dzieci mieszkają w trójkę w jednym pokoju, podczas gdy pani zajmuje siedem.

- Ale ja chcę, żeby tu mieszkały!

- Ale nie chce im pani oddać domu.

- Co? Dlaczego nie miałyby mieszkać tu ze mną?

- Czy to prawda, że utrzymuje pani przyjacielskie kontakty z rodziną handlarza narkotykami? Że pozwalała pani dzieciom chodzić tam z wizytą?

- Nie, to nieprawda. Dzieci mojej najlepszej przyjaciółki są prawie w tym samym wieku, co moje. Od lat się przyjaźnią. Ostatnio jej mąż został oskarżony, nie skazany podkreślam, lecz oskarżony o handel narkotykami. Dzieci nie widywały go od tamtego czasu, zresztą wierzę w jego niewinność.

- A pani nie bierze narkotyków?

- Co? Oczywiście, że nie!

- Więc nie miałyby pani nic przeciwko badaniu moczu? - ciągnęła pani Elroy.

- Nie... To znaczy tak. - Była zbyt zaszokowana pytaniem, by odpowiedzieć zrozumiale. - A więc o to chodzi? Co Clinton pani naopowiadał? Że jestem narkomanką?

- To ja zadaję pytania, pani Jackson. Odda pani mocz do badania, czy nie?

- Oddam.

Pani Elroy zajrzała w swoje notatki i skinęła głową.

- Od jak dawna jest pani pod opieką psychiatryczną?

- Pod opieką psychiatryczną? - powtórzyła bezmyślnie Jada. - Nigdy nie byłam u psychiatry.

- Nigdy nie zasięgała pani porady psychiatrycznej?

Jada siedziała osłupiała. Clinton nie mógł twierdzić, że jest nieźrównoważona psychicznie. To było takie okrutne. I sprytne.

- Kiedyś poszłam do psychologa w poradni małżeńskiej. Wiele lat temu. Chciałam, żeby Clinton poszedł ze mną, ale odmówił. - Nie chciała, by jej głos brzmiał zaczepnie, jakby została przyłapana na kłamstwie. - Poszłam tam dwa, trzy razy, a potem zrezygnowałam, kiedy stało się jasne, że Clinton nie chce uczestniczyć w tych sesjach.

Pani Elroy uniosła krzaczaste brwi i sporządziła notatkę. Zapytała o nazwisko psychologa i adres poradni.

- Nie pamiętam. To było wiele lat temu.

- Więc odmawia pani podania nazwiska psychologa.

- Nie pamiętam - powtórzyła Jada ze znużeniem. - Mogę poszukać.

- Bardzo proszę - powiedziała pani Elroy. Z płóciennej torby wydobyla mały pojemnik w fabrycznym opakowaniu i spokojnie wręczyła Jadzie.

- Proszę napisać z boku swoje nazwisko. Podpisać, wypełnić pojemnik i zwrócić mi go w opakowaniu.

- Teraz? - Jada nie posiadała się ze zdumienia.

- Nie ma co zwlekać - powiedziała pani Elroy, wstając. Jada wzięła niechętnie torebkę i wstała również, kierując się w stronę drzwi.

- Dokąd pani idzie? - zapytała ostro wizytatorka.

- Do łazienki.

- Z której toalety zamierza pani skorzystać?

- Chyba z tej przy kuchni - odparła zaskoczona Jada.

- Muszę zabezpieczyć kurek - powiedziała pani Elroy, wyjmując nożyczki i taśmę klejącą. Idąc przez kuchnię Jada sięgnęła po ręcznik papierowy, ale powstrzymał ją ostry głos pani Elroy. - Proszę teraz niczego nie dotykać!

Wizytatorka weszła pierwsza do toalety, sprawdziła pomieszczenie, zajrzała do szafki na lekarstwa, następnie zakleiła kurek i sprawdziła sedes.

- Może pani spuścić wodę dopiero po tym, jak odda mi pani próbkę. Proszę niczego nie dotykać, dopóki nie zakręci pani butelki i nie zamknie torebki.

Jada spojrzała kobiecie prosto w twarz.

- Dlaczego nie zostanie pani ze mną? - zapytała z goryczą.

- To nie będzie konieczne.

Dopiero zamknąwszy drzwi łazienki Jada przypomniała sobie o xana-ksie, który łyknęła przed pół godziną.

„Mój Boże, pomyślała, czy test to wykaże? A jeżeli wykaże, to jako co?" Nie wiedziała właściwie co łyka i nie miała na to recepty. Wyobraziła sobie, jak wyjaśnia pani Elroy, albo jakiemuś sędziemu, że dostała tabletki od przyjaciółki, tej właśnie której mąż został oskarżony o handel narkotykami. Zestaw testu zadzwonił cichutko w jej drżących dłoniach.

- Jestem tuż za drzwiami - dobiegł głos pani Elroy.

Tego było Jadzie za wiele. Otworzyła drzwi i wręczyła wizytatorce zamkniętą torebkę.

- Nie mogę - powiedziała. - Jestem za bardzo zdenerwowana.

- Poczekam. - Pani Elroy uśmiechnęła się po raz pierwszy od chwili przybycia.

- Nie poczeka pani. Nasze spotkanie dobiegło końca.

- Chyba zawałam sprawę - powiedziała Jada do Kam Lopez. Rzuciła się do telefonu w chwili, gdy potwór opuścił jej dom.

- Na pewno nie było tak źle - zapewniła ją adwokat. - To naturalne, że czułaś się skrepowana. Jado, jesteś dobrą mamą i potrafimy to udowodnić.

- On jej powiedział, że Tonią Green jest opiekunką do dzieci. A ona mu uwierzyła. Wyobrażasz sobie?

- Nie byłby pierwszym mężczyzną który sypia z opiekunką do dzieci. Opiekunki, najlepsze przyjaciółki, siostry. Proszę, nie denerwuj się tak. Zgromadzimy odpowiedni materiał dowodowy.

- Ale tam był test na obecność narkotyków - powiedziała Jada i znów opanowały ją dreszcze. Dłonie drżały tak, że uderzyła się słuchawką w zęby.

- Jaki test? - zapytała adwokat lekko podniesionym głosem.

Jada powiedziała, co się wydarzyło i po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- Zawałam sprawę, prawda?

- Jeżeli ktoś tu zawinił, to ja - powiedziała Kam. - Posłuchaj, zadzwonię dzisiaj wieczorem do kilku osób i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. Może spotkamy się jutro rano, zanim pójdziesz do pracy?

- Przed pójściem do pracy trenuję. Może dołączysz do nas?

- Dobrze - powiedziała Kam Lopez po krótkim namyśle. - O której mam tam być? Jęknęła usłyszawszy, że o szóstej.

- Boże, będę wykończona!

- Ty będziesz wykończona? - zapytała Jada. - Ja byłam w pracy, potem miałam rozmowę ze specjalistką od wykrywania niekompetentnych matek, a teraz muszę przybrać szczęśliwy wyraz twarzy i jechać na spotkanie z dziećmi. - Jada westchnęła ciężko. - Chcę się z nimi zobaczyć, pragnę tego bardziej niż czegokolwiek w świecie, ale jestem wykończona. Nie chcę załamać się w ich obecności. I tak się boję, boję się, że... nie poszło mi dobrze.

- Nie martw się, Jado. Dostaniesz z powrotem swoje dzieci, obiecuję.

Tego dnia, podniesiona na duchu modlitwą i szklaneczką rumu z colą Jada sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do rodziców na Barbados. Mieli

domek niedaleko Crain Beach i Jada wyobraziła sobie przedwieczorną ciszę wyspy i tę chwilę, kiedy matka poderwie się na dźwięk telefonu. Odebrali dopiero po czwartym sygnale. Jada postanowiła, że zatai przed nimi najgorszą część prawdy. Gdyby wiedzieli, w jakie kłopoty popadła, spakowaliby walizki i przybyli z odsieczą, a ona nie była na to gotowa. Poza tym, niewiele chyba mogli jej pomóc. Ciężko było przyznać, że matki nie zawiódł instynkt, a wszystkie uprzedzenia ojca znalazły potwierdzenie w rzeczywistości. Nie chciała zdenerwować taty, który miał kłopoty z sercem i wysokie ciśnienie krwi. A przede wszystkim nie chciała się rozpląkać jak skrzywdzone dziecko. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że powietrze pachnie tam pewnie jaśminem, kiedy usłyszała w słuchawce głos matki.

- Halo?

Jada milczała przez chwilę. Potem nabrała głęboko powietrza.

- Mamusiu? Mamusiu, miałaś rację.

## **Rozdział 28**

Kam nie mogła złapać matki, zrozpaczona zadzwoniła do Michaela, specjalisty od prawa rodzinnego. Odebrał po pierwszym sygnale. Kam przeprosiła, że niepokoii go w domu, po czym opowiedziała o przebiegu spotkania Jady Jackson z pracownicą społeczną.

- Czy to typowe postępowanie? - zapytała na koniec.

- Nie. Musiano wysunąć przeciwko Jackson poważne zarzuty. Mąż albo George Creskin ostro sobie poczynają. Patowa sytuacja dla twojej klientki. Jeżeli nie zgodzi się na badanie, stawia się w niekorzystnym świetle, chociaż z prawnego punktu widzenia, nie musi wyrazić zgody. To upokarzające, prawda, ale dlaczego się nie zgodziła?

- Nie wiem - przyznała Kam. - Umówiłam się z nią jutro na szóstą rano, to się dowiem.

- Na szóstą? Rany, naprawdę cię wzięło, co? Mogę udzielić ci pewnej rady?

Kam nie lubiła rad, ale spodobał się jej sposób, w jaki pytał, dając jej możliwość odmowy. Był naprawdę miłym facetem.

- No dobra, wal!

- Ta robota może człowieka zeżreć żywcem - powiedział. - Trzeba się angażować, zachowując jednocześnie dystans. Wiem, że jest w tym pewna sprzeczność, ale nic innego nie działa. - Umilkł ponownie i Kam otworzyła już usta, żeby mu podziękować, kiedy Michael odchrząknął i mówił dalej.

- Ta robota może złamać ci serce, jeżeli zbyt się zaangażujesz. I zniszczyć twoje życie osobiste.

- Och, w takim razie nic mi nie grozi - odparła. - Nie mam ani jednego, ani drugiego. Kiedy rano zadzwonił budzik, Kam była pewna, że nie wstanie. Za oknem była ciemna noc. Zmusiła się jednak, żeby naciągnąć starą bluzę Rangersów, spodnie od dresu i dwie pary skarpet.

Dreptała ulicą w stronę Elm Street, czując się jak dziecko upchnięte w piankowy kombinezon i rozmyślała o rozmowie z Michaeliem. Była pewna, że miał dobre intencje. Jej odpowiedź wypadła trochę cierpko, ale ona rzeczywiście nie miała prywatnego życia, prócz tego sekretnego, wewnątrz ciała. Poza tą jedną wyprawą do Marblehead, kilkoma służbowymi lunchami i kolacjami z matką Kam nie wychodziła z domu. Nawet nie korzystała z telefonu. Utraciwszy męża i najlepszą przyjaciółkę, nie bardzo miała do kogo dzwonić. Jakoś nie ciągnęło ją by opowiadać starym znajomym z college'u czy ze studiów o swojej życiowej kłapie. Zresztą większość z nich była pewnie na bieżąco.

Nie miała bliskiej przyjaciółki, nie miała żadnego hobby, żyła z resztek na koncie, symbolicznej i nadal tymczasowej pensji oraz dorywczej pomocy ojca.

Poprzedniego dnia ugotowała mu obiad, żeby osłodzić wiadomość o wyprowadzce. Jak przewidywała, był wdzięczny za towarzystwo i pieczonego kurczaka, ale nie ucieszyły go plany córki.

- To zupełnie niepotrzebne - powiedział. - Zbędny wydatek.

Kam wiedziała, że nie przyszedł jeszcze do siebie po ciosie, jaki mu zadała, zatrudniając się u matki. Teraz bał się, że jeżeli wypuści córkę z domu, już jej nie zobaczy. Ojciec był dziwnym człowiekiem. Wiedziała że ją kocha ale niewiele mieli ze sobą wspólnego. Dziwne było to, że matka tak długo z nim wytrzymała, a jeszcze dziwniejsze, że to on zerwał małżeństwo, zdradzając Natalie. Nie wyszło mu to na dobre: drugie małżeństwo okazało się katastrofą i teraz został sam. Kam wiedziała, że ojcu będzie brakowało jej obecności, ale za nic się do tego nie przyzna. W jej życiu tak się jakoś układało, że ludzie którzy chcieli z nią być, byli nie tymi, z którymi chciała być ona.

„Jeżeli zacznę o tym myśleć, oszaleję”. Uświadomiła sobie, że drepcze zaśnieżoną ulicą o świcie, ponieważ kusi ją ciepło, jakie wyczuła między Jada Jackson a jej przyjaciółką. Tęskniła za przyjaźnią. Każda myśl o Lisie wywoływała taki gniew i przygnębienie, że zepchnęła wspomnienie na dno świadomości. Ale brakowało jej przyjaźni. Znowu przypomniała sobie ostrzeżenie Michaela Rice'a.

„Jesteś żalosna, powiedziała sobie. Żalosna i zdesperowana. Udajesz, że idziesz tą ulicą, żeby pomóc obcej kobiecie, a tak naprawdę próbujesz rato-

wać się sama". Cóż, wspólne treningi to pewnie nie najlepszy pomysł, ale na ten raz trochę ruchu jej nie zaszkodzi.

Spotkała Jadę i Vivian dwie przecznice od domu. Przywitały się niemal w milczeniu i ruszyły dalej razem.

- Trzeba było poczekać na nas w domu - powiedziała Jada.

- Ja zawsze na nią czekam - dodała Vivian. - Zgarnia mnie po drodze. Możemy wstępować po ciebie, a jeżeli będzie trzeba wyciągnąć cię z łóżka.

Mimo zimna, Kam zalała fala miłego ciepła. Ta drobna uprzejmość wystarczyła, by wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

„Cholera, pomyślała, jesteś rozstrojona jak stare pianino. Lepiej uważaj, bo zaczniesz szczekaniem domagać się pieśczoty. Tylko pamiętaj, żeby nie lizać im rąk przy pożegnaniu”.

Przeszły kilkadziesiąt metrów w milczeniu, po czym Jada narzuciła szybsze tempo. Kam zrozumiała, że czas przystąpić do interesów.

- Opowiedz mi o tej rozmowie z pracownikiem społecznym. Jada z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Powiedziałabym, że baba jest bigotką, gdyby nie fakt, że najwyraźniej nie była uprzedzona do mojego męża.

- Żadna tam bigotka, tylko zwyczajna suka - wtrąciła Vivian.

Kam poprosiła o szczegóły. Weszły na strome wzgórze, zeszyły z niego i kiedy minęły zakręt, ukazało się następne podejście. Kam była bez tchu, żałowała, że nie może notować, ale twardo dotrzymywała kroku swoim towarzyszkom.

- Nie martw się. Spróbuję załatwić kogoś innego - Zrobiła pauzę. - W zasadzie dlaczego nie zgodziłaś się na badanie moczu? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Przyjaciółki wymieniły spojrzenia.

- To moja wina - odezwała się Vivian, po raz pierwszy, jeżeli pominąć uwagę o charakterze pracownicy społecznej. - Ale ja też żyję pod presją.

Przez chwilę wydawało się, że Vivian się załamie, wybuchnie potokiem słów, ale ona oblizła tylko nerwowo wargi i odwróciła głowę.

- Poszłam do lekarza, ponieważ miałam ataki lękowe. Zapisał mi jakiś środek uspokajający. - Tak? - powiedziała Kam, w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Vivian rzuciła Jadzie spojrzenie.

- Ona jest moim adwokatem - Jada wzruszyła ramionami. - Mówię jej wszystko. I już nigdy nie wezmę tych prochów.

Kam zmartwiała. Czyżby Jada miała problem narkotykowy? Jezu! Teraz, kiedy tak zaangażowała się w tę sprawę, dowie się pewnie, że wszystkie oskarżenia Jacksona są prawdziwe.

- Posłuchaj uważnie, to są zwykłe leki psychotropowe - zaprotestowała Viv. - Dałam jej kilka swoich, bo dostawała już rozstroju nerwowego - zwró-

ciła się do Kam. - Ona się bała, że mocz to na pewno wykaże. Nie wiemy nawet, co w nich jest.

- A co to właściwie jest? Ekstaza? - zapytała Kam.

- Xanax - odparła Vivian bez śladu uśmiechu.

- Więc w czym problem? - zapytała Kam z ulgą. - Jado, przecież to jasne, że po takich przejściach potrzebujesz leków uspokajających. Fakt, powinnaś mieć na nie receptę. - Kam zwróciła się do Vivian. - Mogę dostać parę? - zażartowała.

Vivian uśmiechnęła się blado.

- Czuję się okropnie winna. Myślałam, że wszystko zepsułam. Więc uważasz, że nic strasznego się nie stało?

- Połowa kobiet w Ameryce ma recepty na xanax albo valium - powiedziała Kam wymijająco. - A druga połowa pożyczka od przyjaciółek. - Przystanęła, próbując grać na zwłokę, wlać w Jadę odrobinę otuchy. - Spróbuję załatwić zmianę pracownika społecznego. Nie wymaże to zeznań pierwszego, ale będzie stanowiło przeciwwagę. Zresztą może nie było tak źle, jak ci się wydaje.

Jada uśmiechnęła się po raz pierwszy tego ranka.

- Naprawdę możesz załatwić mi innego pracownika społecznego?

- W każdym razie mogę porozmawiać z panią Potwór, dowiedzieć się, co zamierza zeznać w sądzie.

- To bardzo dobrze - powiedziała Jada. - Przykro mi tylko, że taka młoda kobieta jak ty musi się babrać w takich brudach. Powinnaś cieszyć się życiem, patrzeć z optymizmem w przyszłość.

Kam tylko się roześmiała.

- Tak, tak, opowiem wam, jak miło upływa mi życie. Naprawdę jest się czym cieszyć. Opowiem wam o mojej romantycznej rocznicy ślubu.

Opowiedziała im o Marblehead i Lisie. Opowiedziała o wszystkim, nie wspominając tylko o swojej wielkiej tajemnicy. Pokusa była silna, ale wyznanie nie chciało jej przejść przez usta.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Vivian, kiedy Kam skończyła.

- A ja tak - prychnęła Jada. Nie pozostawiły na Reidzie suchej nitki, a Lisę zmieszały z błotem.

Kam uświadomiła sobie, że w jej samopoczuciu zaszła zasadnicza zmiana. Ulżyło jej. Ten spacer, ruch, towarzystwo kobiet zdziałały cuda. Naprawdę polubiła Jadę. Co do Vivian, nie miała pewności, wydawała się zmienna i trochę nieprzytomną ale była bardzo oddana Jadzie i vice versa. Kam mogła być im tylko wdzięczna za zaproszenie.

Doszły do końca drogi i miały zawrócić, kiedy Jada się zatrzymała.

- Viv, nie klepniesz słupka?

Kam nie rozumiała, o czym mowa. Popatrzyła na Vivian, która stała z opuszczoną głową.

- Vivian, co z tobą?! - zapytała Jada. - Zawsze klepiesz słupek. Wściekasz się z powodu tego, co się stało w banku? Czy chodzi o reporterów? Zależli ci mocno za skórę?

Kam wiedziała, że przed jej oczami rozgrywa się akt dramatu i trzymała język za zębami. Trzy kobiety stały przed bramą, drżąc z zimna. Niebo pojaśniało na wschodzie, ale ulica nadal tonęła w mroku. Kam popatrzyła na twarz Vivian.

- W tej rodzinie nic już nie funkcjonuje jak należy ~ odezwała się Vivian. - Nawet mój pies. Wyje, kiedy zostaje sam w domu i wymiotuje na dywany. Wyjada ze śmietnika u sąsiadów i nie tyka swoich ciasteczek. Życie stało się koszmarem. Nie sądziłam, że będzie aż tak źle. Naprawdę. Wszyscy, których znam, są nieszczęśliwi. Najpierw ty, a teraz Kam...

-1 ty - dodała Jada łagodnie, kładąc rękę na ramieniu przyjaciółki. - To nie twoja wina.

Vivian strąciła rękę przyjaciółki i ruszyła w drogę powrotną. Kam i Jada poszły za nią.

- Owszem, to moja wina - odezwała się Vivian. - A jeżeli byłam głupia? Jeżeli się pomyliłam? - Kam ujrzała łzy w błękitnych oczach. Vivian zniżyła głos niemal do szeptu. - A jeżeli Frank jest winny?

Kam miała już dość informacji, by stworzyć sobie ogólny obraz. Czytała gazety i słyszała komentarze ojca. W jakimś domu na ich ulicy dokonano rewizji, a następnie oskarżono właściciela o handel narkotykami. Przez chwilę rozważała możliwość, że jej klientka jest zamieszana w aferę. Może dlatego nie chciała oddać moczu do badania. Kam przypomniała sobie radę Michaela, ale patrząc na te dwie kobiety wiedziała instynktownie, że są poza podejrzeniami.

Jada podeszła do przyjaciółki, żeby zajrzeć jej w oczy.

- Viv - powiedziała łagodnie. - Istnieje taka możliwość. Masz powód, by w niego wątpić?

- Właściwie nie. Nie wiem. Ale chcę, żebym zeznawała, a ja mam obiekcje. -

Zwiesiła głowę, nie starając się nawet powstrzymać łez. - Po prostu nie chcę. I boję się mu o tym powiedzieć - wyszlochała.

Kam postanowiła zaryzykować i wtrącić swoje trzy grosze.

- Czy wolno mi przypomnieć, że jestem prawnikiem i mogę być użyteczna? Wiem, że ciebie nie reprezentuję, ale znasz treść Czwartej Poprawki?

Było naprawdę zimno i Kam postąpiła kilka kroków w stronę swojego domu. Vivian odruchowo poszła za nią. Kontynuowały marsz, podczas gdy Kam starała się odświeżyć swoje wiadomości z zakresu prawa konstytucyjnego.

- Policja dokonała rewizji u ciebie w domu, tak? Vivian przytaknęła.

- W Czwartej Poprawce jest taka klauzula o zasadności rewizji. W czasach wojny niepodległościowej Brytyjczycy mieli prawo przeszukać każdy



dom, co okropnie wkurzało kolonistów. Więc pisząc Konstytucję zadbali o to, by rewizji nie można było przeprowadzić bez konkretnego powodu, bez istotnych poszlak, że dany przedmiot znajduje się w rzeczonym domu.

- Mój zrewidowali bardzo dokładnie - powiedziała Vivian.

- Zdemolowali go - dodała Jada.

- Rzecz w tym - powiedziała Kam - że nie mogli szukać ot, tak sobie, nie wiadomo czego. Musiała zaistnieć zasadność rewizji.

- To znaczy, jakiś dowód przeciwko Frankowi. Frank to mój mąż. Kam nie powiedziała „tak”, chociaż żeby uzyskać nakaz rewizji policja musiała dysponować silnymi poszlakami.

- Policjanci mogą być nadgorliwi, prokuratorzy mogą być skorumpowani, ale Czwarta Poprawka jest święta. Samuel Adams powiedział: „Tam i wtedy narodziło się dziecię wolności”.

Trzy kobiety przeszły w milczeniu kilka przecznic. Kam zastanawiała się, czy nie powiedziała za dużo. W końcu Jada przerwała ciszę.

- Viv, myślę, że potrzebujesz adwokata. Swojego własnego - powiedziała łagodnie. Vivian spojrzała na przyjaciółkę i Kam ujrzała na jej twarzy udrękę, którą do niedawna widywała, patrząc w lustro.

- Nie rozumiesz? - powiedziała Vivian złym głosem. - Jeżeli nie będę trwała przy Franku, nasze małżeństwo się rozpadnie.

- Jeżeli on jest winny, rozpadnie się tak czy inaczej.

## **Rozdział 29**

Vivian sprzątała. Nie tylko w tej chwili, ale nieustannie. Wiedziała, że nie zachowuje się normalnie, ale jej sytuacja życiowa nie była normalna, a ona radziła sobie najlepiej, jak potrafiła. Sprzątanie było z pewnością lepsze niż upijanie się. Dziś zasała łóżka, zrobiła pranie, zmywanie i odkurzanie, prócz tego wyszorowała ściany w warsztacie Franka, odkurzyła jego narzędzia i zmyła betonową podłogę. W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego zdobyła produkt zupełnie wyjątkowy - wywabiacz tłuszczu, który podziałał tak świetnie na betonową podłogę w warsztacie, że wypróbowała go również na zabrudzonej olejem podłodze garażu. Ułożyła w równiutkie stosy wszystkie stare gazety, zwinęła węże ogrodowe starannie niż chirurg śledzionę, odkurzyła każdą butelkę oleju silnikowego i każdy pojemnik na gwoździe, następnie posegregowała wszystko według rozmiaru, wyrzucając produkty przeterminowane lub nie używane od lat.

Na strychu przejrzała pudła z odzieżą, zdjęciami i zabawkami. Umyła i zapakowała od nowa ozdoby choinkowe, przeprała dziecinne ubranka Jenny i Frankiego, wyprasowała je i zapakowała w kartony. Przygotowała sześć pudeł dla Armii Zbawienia i zawiozła je do składu na parkingu bankowym tak wczesnym rankiem, że nie musiała obawiać się spotkania z kimś znajomym.

Nie tęskniła za bankiem i nie miała ochoty wychodzić z domu. Była zbyt zajęta sprzątaniami. W gruncie rzeczy, nie wychodziła dalej niż do ogródka, o ile nie było to absolutnie konieczne. A jeżeli okoliczności ją do tego zmusiły, zakładała czapkę i okulary słoneczne nawet w najbardziej pochmurny dzień.

Nie pragnęła widywać ludzi i być przez nich widziana. Zrezygnowała nawet z zakupów w miejscowym „Grand Union” i jeździła do obrzydliwego „Price Chopper” w sąsiednim mieście. Kupowała artykuły gorszej jakości, z brudnych półek, ale miała pewność, że nie wpadnie na znajomych, a kasjerki nie podnosiły nawet głowy znad skanerów. Viv sprawiało to ulgę, napawając jednocześnie smutkiem.

Nie miała towarzystwa w ciągu dnia, a wieczorem nie pragnęła widzieć nikogo prócz męża i dzieci. Zresztą nikt nie dzwonił. Nikt nie wpadał w odwiedziny. Nikt z wyjątkiem Jady, oczywiście. Nadal odbywały swoje poranne marsze i Vivian myślała często, że oszalałaby, gdyby ją tego pozbawiono. Dzięki Bogu za Jade, która sama przechodziła przez piekło. „Nieszczęścia się przyciągają”, pomyślała Vivian i wzdrygnęła się na myśl, że ich przyjaźń może się opierać na nieszczęściu. Potem przypomniała sobie, z ulgą i nostalgią, jakie szczęśliwe były latem, zanim życie zmieniło się w koszmar.

Vivian stanęła pośrodku nieskazitelnie czystej kuchni i rozejrzała się czujnie. Wydało się jej, że dostrzega smugę na uchwycie lodówki, ale nie, uchwyt był czysty. Wyjęła z szafki plastikowe wiadro, w którym nosiła swoje podstawowe narzędzia pracy. Dzisiaj wysprząta wszystkie szafy w sypialniach. Nie tylko poukłada rzeczy i buty, ale wyczyści same szafy. Opróżni je, odkurzy półki, zmyje ściany, wypierze wykładzinę podłogową i ułoży wszystko ładnie z powrotem. Sprawdziła zawartość kubelka - dwie czyste gąbki (jedna do czyszczenia, druga do zmywania), płyn do prania dywanów, środek do wywabiania plam, specjalny żel do czyszczenia ścian, gumowe rękawiczki, dwie szczotki, ajax, pan proper, cif. Dodała małą tubkę środka do polerowania mosiężnych gałek. Zwineła włosy w kok, dźwignęła jedną ręką ciężki kubeł, drugą ujęła szczotkę na kij. Odkurzaczy był na piętrze, czuła się więc dobrze uzbrojona.

Pookie poszedł za nią na górę. Znał dobrze swoją panią i wiedział, że kiedy wpada w szal sprzątaniami, lepiej zostawić ją w spokoju. Zwykle znajdował sobie jakiś spokojny kącik w tym samym pokoju, kładł pysk na przednich łapach i śledził ją wzrokiem.

Poszli najpierw do pokoju Frankiego i Pookie wskoczył na łóżko. Vivian pomyślała, że będzie jej potrzebne do wyłożenia rzeczy i sprzętu Frankiego. Pookie pogodzi się z tym, albo zrejteruje pod łóżko. Lubiła czuć przy sobie jego obecność. Oddech psa przerywał ciszę.

Szafa Frankiego zajęła jej trochę ponad godzinę. Zajęcie to, nie zapewniając całkowitego spokoju, stanowiło jednak ucieczkę przed myślami, które nieustannie wirowały jej w głowie. Szorując szafę, ani razu nie pomyślała o Bruzemanie, Franku, Jennie i szkole z internatem, ani o psychologu dziecięcym dla Frankiego. Nie myślała w ogóle o niczym. Po prostu szorowała ściany i półki, dopóki oczy nie zapiekły ją od oparów amoniaku i chloru. Sprzątanie stanowiło jedyną ucieczkę przed własnym umysłem, przed przerażeniem.

Vivian stanęła przed szafą i popatrzyła na nią z uczuciem bardzo zbliżonym do przyjemności. Odetchnęła głęboko, a potem, zauważywszy rdzę na gałkach szafy wyjęła płyn Brasso i zaaplikowała go ostrożnie, żeby ani kropla nie spadła na skrzydło. Żałowała, że nie ma siVivrome, środka, który działał cuda. Niestety, skończył się i żeby go zdobyć musiałaby jechać aż do White Plains. No cóż, musi zadowolić się tym, co ma. Najwyżej wypoleruje gałki po raz drugi. Nie miała nic innego do roboty, jeżeli nie liczyć pozostałych szaf, oczywiście. Wyjęła z kubelka rolkę ręczników papierowych, oderwała jeden i zaczęła polerować gałkę starannie, okrężnymi ruchami.

Nie wiedzieć czemu nasunęło jej to skojarzenia z seksem. Nie kochali się z Frankiem od kilku tygodni. Była to najdłuższa przerwa w ich pożyciu, wyjąwszy okres tuż po urodzeniu Frankiego, kiedy źle się czuła. Nie potrafiła jednak określić, które z nich ma opory i czy niechęć do seksu wynika z wyczerpania, stresu, czy ma jeszcze inne podłoże.

Vivian skończyła polerowanie j ednej kłamki i zabrała się za drugą nadal myśląc o Franku. Sypiali teraz każde na swojej połowie łóżka. Westchnęła głęboko i zapach chemikaliów podrażnił jej gardło. Rozsunęła drzwi na całą szerokość, żeby zapewnić przepływ powietrza. Pomyślała, że należałoby może włączyć wiatraczek, który trzymała w szafie ściennej w korytarzu. Pookie, niemal zagrzebany pod rzeczami Frankiego zerwał się na równe nogi i pobiegł za nią.

- Zostań!

Przyniosła wiatraczek i włączyła go, kierując strumień powietrza na szafę. Nie mogła na razie poukładać rzeczy Frankiego, poczeka z tym, aż wszystko wyschnie. Spojrzała na zegarek - dochodziła jedenasta.

- No dobrze, Pookie, możemy się zabrać za kolejny pokój. Szafa Jenny to była zupełnie inna historia: kryła nieskończoną liczbę sukienek, bluzeczek, żakietów, spódnic, butów, torebek, pasków, wszystko przemieszane w niedopuszczalny sposób. Vivian zaczęła przenosić ubrania z półek na łóżko i Pookie umknął, nie czekając na rozwój wypadków. Vivian

wykorzystała dodatkową powierzchnię, by rozłożyć odzież córki, dzieląc ją na kategorie.

Podobnie jak w pokoju Frankiego Vivian zaczęła od ścian. Jakim cudem mogły się tak zabrudzić? Nie odpuści żadnej plamie ani jednej smudze. Pomyślała o swojej matce, o domach ze swojego dzieciństwa. Matka odpuszczała sobie wszystko, rozwiązując każdy problem za pomocą szklaneczki whisky. Ona, Vivian, nie pozwoli, by to się jej przydarzyło. Niczego sobie nie odpuści. Z nowym wigorem zaatakowała czarną smugę po obcasie.

Szafa Jenny była większa i brudniejsza od szafy Frankiego. Vivian posuwała się wzdłuż wewnętrznej ściany, szorując zawzięcie, aż dotarła do dodatkowej wnęki, która powstała w miejscu, gdzie biegł słup nośny. Pamiętała, jak Frank wrzeszczał na majstra, który chciał ją zamurować, likwidując niszę.

Wcisnęła się we wnękę. Umyje tu ściany, a potem zabierze się za wykładzinę podłogową. Przykucnąwszy, zauważyła, że wykładzina w tym miejscu jest mocno wystrzępiona. Nic nie szkodzi, pójdzie po małe nożyczki i ją przyszyje, ale wpierw sprawdzi, czy dywan mechaci się ze starości, czy niszczą go obcasy butów Jenny.

Skubiąc dywan zauważyła, że odstaje od podłogi. Zdziwiona, szarpnęła mocniej. Stwierdziła z irytacją, że nie są to luźne zahaczenia, lecz pruje się szew. Było to irytujące, ale nie opłacało się chyba wymieniać całego kwadratu w zupełnie niewidocznym kącie szafy. Coraz bardziej zirytowana pociągnęła nitkę mocniej, niż zamierzała i oderwała od podłogi cały kawałek wykładziny.

Wspaniale! Teraz będzie miała na wierzchu kurz i brud, który pozostawili robotnicy przybijający wykładzinę. Ale podłoga pod dywanem nie była zakurzona. I wyglądała inaczej. Parkiet nie układał się w jodełkę jak w reszcie domu, deseczki biegingy jedna za drugą na szerokość kilkudziesięciu centymetrów, tworząc wyraźny prostokąt. W miejscu, gdzie drewno się rozszło, powstała szpara.

Vivian próbowała podważyć jedną z deseczek paznokciem, potem wykorzystała w tym celu płaską rączkę szczotki. Deseczka łatwo odeszła.

Nagle Vivian zrobiło się słabo. Kwadrat wykładziny wymknął się jej z ręki i wpadł do dziury pod podłogę. Krew uderzyła jej do głowy, poczuła najpierw gorąco, potem chłód. Pod podłogę leżały cztery prostokątne paczki opakowane starannie w gazetę, okręcone wstążeczką, jakich używa się w cukierniach. Vivian wyjęła jedną paczuszkę. Pookie, jakby wyczuwając, że dzieje się coś niezwykłego, wszedł do szafy i zaczął obwąchiwać dywan, potem paczkę, którą trzymała w ręku. „Co to może być”, zastanawiała się. Książka? Ostrożnie rozchyliła róg. W środku znajdował się plik studenckich banknotów. Pookie wyciągnął szyję i zaczął je obwąchiwać. Odepchnęła go brutalnie.

- Nie ! - krzyknęła. Pookie czmychnął z szafy, przerażony, ale Vivian, sama zmartwiała, nie była w stanie myśleć o zranionych uczuciach psa. Gapiała się

na paczkę z pieniędzmi, ciężącą jej w dłoni. Zdjąwszy gumowe rękawiczki przesunęła paznokciem w dół pliku. Same studolarówki. Stare studolarówki, nie te nowe brzydactwa. Próbowwała ocenić, ile pieniędzy trzyma w ręku, ale nagle wróciło uczucie słabości, odłożyła paczkę, wstała i dobrnęła z trudem do łóżka. Zepchnęła ubrania Jenny na podłogę i położyła się, przyciągając kolana do piersi. Mdłości ustąpiły wkrótce, wyparte przez strach. Cztery paczki, pięćset, sześćset banknotów w każdej. Przeszło pół miliona dolarów zapakowane w gazetę pod podłogą w pokoju dwunastoletniej córki, pół miliona dolarów przyrzucone starymi tenisówkami i nowymi butami na koturnach. Vivian poczuła się tak zagrożona, że krzyknęła, kiedy Pookie wskoczył na łóżko. Biedny pies zamierzał już dać nura pod łóżko, kiedy Vivian przytuliła go do piersi. Potrzebowała go w tej chwili, potrzebowała jego ciepła bardziej, niż on potrzebował jej pieczyt. Poklepała go po głowie i odruchowo zaczęła drapać za uszami, tak jak lubił. Przez chwilę nie istniało nic poza nią i psem.

Potem ruszył film wideo, sceny z życia z Frankiem przewijały się pod powiekami. Było to wygodne życie, łatwe życie. Nigdy nie myśleli o oszczędzaniu, nie martwili się recesjami, załamaniem gospodarki, kryzysami ostatnich dziesięciu lat. Firma Franka prosperowała. Vivian wydawała, ile chciała a Frank jeszcze jęcząc. Kupował jej biżuterię. Wyjeżdżali na drogie wakacje. Przelewał duże sumy na jej konto, a ona płaciła comiesięczne rachunki, rok po roku. Kiedy zatrudniła się w banku, Frank wykazał łagodną dezaprobatę, przypomniał jej, że nie potrzebują pieniędzy. Wszystkie jej znajome pracowały, ale...

Potem ujrzała sceny z rewizji, ze spotkań z Bruzemanem, obietnice Franka. To pomyłka... Kobieta na kiermaszu ciast. Zwolnienie z pracy, łzy Jenny, mokre łóżko Franka. Sceny rozbłyskały przed jej oczami, coraz szybciej i szybciej. Twarz Franka, jego obietnice, zaprzeczenia, jej ufność, jej wsparcie, jej lojalność. Jej głupota.

- Głupia - powiedziała głosem swojej matki. Pookie drgnął nerwowo. -Głupia - powtórzyła Vivian. „Moja matka miała rację. Jestem głupia. Frank musi mnie uważać za idiotkę”.

„Może jestem głupia, ale nawet ja wiem, skąd pochodzą te pieniądze”.

### **Rozdział 30**

Kam zerwała się z łóżka i pobiegła boso do łazienki. Miała wrażenie, że żyje w stanie obłąkania. Rano chorowała, a przez resztę dnia zapach jedzenia - jabłka leżącego na kuchennym blacie - wywoływał fale silnych mdłości. Zmysł węchu rozwijał się wraz z ciążą i teraz mogła już wyczuć zapach zupy gotowanej w kuchni sąsiadów. Wszystkie

posiłki wydawały odór padliny. Kiedy Bill poczęstował ją połową kanapki z indykiem, musiała się szybko odsunąć, umknąć przed nieszkodliwym plasterkiem białego mięsa tkwiącym między dwoma kawałkami chleba.

Chleb był jedyną rzeczą, którą jadła bez wstrętu. Płuczając usta tego ranka przypomniała sobie biblijny cytat: „nie samym chlebem człowiek żyje”. Nie mogło to dotyczyć ciężarnych kobiet, nawet w czasach biblijnych.

„Kolejna różnica między kobietą a mężczyzną” pomyślała Kam, przetykając maleńkie kęsy chleba. Wiedziała, że reklamy z czasów jej dzieciństwa nie mówiły prawdy - gąbczasty chlebuś nie pomagał rosnać tęgo i zdrowo. Wielka szkoda. Tylko to była w stanie przełknąć. Pomyślała o malutkim ciałku rosnącym w jej wnętrzu. Wiedziała, że powinna pójść do lekarza i inaczej się odżywiać, ale właściwie po co? Nie mogła się zdecydować na utrzymanie ciąży i nie mogła znieść myśli o unicestwieniu tego słabiutkiego życia. Tak bardzo kochała Reida, że myśl o zniszczeniu czegoś, co stworzyli razem wywoływała ostry ból.

Nie miała jednak sił dłużej ukrywać prawdy. Nie zwierzyła się ojcu, a Estevan, zajęty interesami, nie napomknął nawet o jej tuszy. Starła się zresztą widywać go jak najrzadziej. Nadopiekuńcza miłość ojca nie na wiele by się teraz zdała.

Zaproponowałby, że zbije Reida na kwaśne jabłko i zapłaci za zabieg, ale Kam chciała sama podjąć decyzję. Poszła do pracy wcześniej niż zwykle, zostawiwszy kartkę dla ojca. Nie powiedziała mu jeszcze o wynajęciu mieszkania. Wystarczy, że matka ją zadrecza swoimi radami i niepokojem; ojciec byłby nie do wytrzymania. W biurze nalała sobie szklankę gorącej wody - kawa nie wchodziła w rachubę - i usiadła przy biurku. Starła się jak najwięcej pracować, ponieważ praca miała tę zaletę, że wymagała koncentracji. Skupiając się na tym, co robi, Kam nie mogła myśleć o własnych zmartwieniach. Ale w głębi duszy wiedziała, że każda mijająca godzina zbliżają do rozwiązania problemu ciąży, nawet jeżeli ona sama nie podejmie żadnej decyzji.

Codziennie przed zaśnięciem pozwalała sobie na chwilę rozmyślań. Jak to się mogło stać? W mgnieniu oka straciła męża, dom, pracę i najlepszą przyjaciółkę. Była sama, o ile można coś takiego powiedzieć o kobiecie w ciąży.

Myśli urywały się w mroku. Sypiała teraz więcej i głębiej niż kiedykolwiek w życiu. Wyczerpywała ją praca, a dziecko wysysało resztę energii.

Popołudniami była tak zmęczona, że zdarzało się jej zasnąć z głową na biurku.

Budziła się ze sztywnym karkiem, obśliniwszy kolejną teczkę z aktami. Tego ranka wyjęła dokumenty Jady Jackson, obślinione poprzedniego dnia i przejrzała je po raz dziesiąty. George Creskin załatwił niesłychanie szybki termin rozprawy i Kam nie wiedziała, czy zdąży się przygotować. Ciekawe, czy mogłaby uzyskać przełożenie? Musi zapytać Laurę albo Michaela Rice'a. Z jakiegoś powodu - z pewnością nie tylko dlatego, że spędzała poranki z Jadą Jackson - Kam czuła, że ta właśnie sprawa staje się

ośrodkiem jej zainteresowań. Wsunęła zaplamioną teczką pod pachę i poszła skonsultować się z Michaelem. Chociaż sam zapracowany, znajdował czas, by jej pomóc, a ona bardzo potrzebowała pomocy.

Siedział w swojej kanciapie, ciasnej, ale metodycznie zorganizowanej, na drugim końcu korytarza. Kiedy weszła, podniósł wzrok znad papierów, odłożył flamaster i okręcił się z krzesłem, bokiem do biurka.

- Widzę, że się obudziłaś - zauważył i Kam zrobiła skruszoną minę. Michael uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać potok usprawiedliwień z jej strony.

- Wczoraj zjrzałem do pokoju Karen, tfu, do twojego pokoju, ale słodko spałaś. - Uśmiechnął się dobrodusznie, taki typowy tatuś z przedmieścia. - Ostrzegałem cię. Ta praca potrafi wyssać z człowieka siły. Ja wprawdzie nie zasypiam przy biurku, ale znany jestem z tego, że przesiaduję kilka seansów w kinie. - Założył ręce za głowę i przeciągnął się, wyginając plecy. Kam pomyślała, że w tej pozycji, z wypiętym brzuchem wygląda tak, jakby to on spodziewał się dziecka. Odpędziła od siebie tę myśl i usiadła naprzeciwko biurka, na krześle dla klienta.

- Chciałabym, żebyś zerknął na to - powiedziała, podając mu kopię raportu pracownicy społecznej, który otrzymała tego ranka. - Czy mnie się wydaje, czy ten raport jest dość ohydny? Jada będzie zdruzgotana.

- Jada? - zapytał. - Jesteście po imieniu?

Kam wzruszyła tylko ramionami i uniknęła spojrzeniem w bok.

Michael ujął dokument, który przed nim położyła i zaczął czytać. Kam łudziła się, że sprawa nie wygląda beznadziejnie, ale brwi Michaela niemal natychmiast powędrowały w górę, co uznała za zły znak.

- Jezu! - powiedział przejrzawszy tekst. - Trzeba powołać własnego eksperta, żeby podważył to zeznanie.

- Dobrze. Znasz kogoś takiego?

- Doktor Pollasky z Yale. Moja dobra znajoma. Ale... - Wydawał się zmieszany. -

Posłuchaj - powiedział po chwili. - Zanim wpędzimy się w koszty i zatrudnimy biegłego, czy istnieje możliwość, że ta kobieta... - Zajrzał w papiery - ... jest faktycznie niezrównoważona i tak dalej, i tak dalej? Wiem, że jest twoją klientką, ale tu chodzi o dobro dzieci.

- Mogę cię zapewnić, że to stek bzdur.

- No dobrze, ale nie mamy na to świadków. Jej słowo przeciwko jego oskarżeniom. Sędzia bierze zwykle stronę matki, może nie zawsze sprawiedliwie, ale tak to już jest. Tutaj jednak mamy bardzo negatywne zeznanie pracownicy społecznej. A Creskin załatwił sobie szybki termin rozprawy, pod pozorem, że dzieci mieszkają w nieodpowiednich warunkach, pod opieką ojca i niani.

- Niania jest jego kochanką! - powiedziała Kam. - A on opłaca ją pieniędzmi Jady!

Michael westchnął i pokręcił głową.

- Ona zezna, że dzieci nie były dogłądane. To samo powie teściowa. Gdzie są rodzice tej Jady?

- Na Barbados. Nie chciała ich w to angażować. Są starzy, zresztą mieszkają zbyt daleko, żeby powiedzieć coś o codziennym życiu Jacksonów. Co innego Vivian Russo. Choć istnieje pewien problem...

Michael przeglądał w milczeniu akta.

- Ta historia z handlarzem narkotyków z pewnością nam nie pomoże - powiedział w końcu. Ona jest zaprzyjaźniona z Russo? Jezu! Dzieciaki tam chodziły? A potem...

- Nie wyciągaj pochopnych wnioskami. Pani Russo może być naszą następną klientką. Nie wysunięto przeciwko niej żadnych oskarżeń. W tym domu nic się nie odbywało. A mąż dopiero oczekuje na proces, jeszcze nie został skazany. Michael, to jest Ameryka.

- Powiedz to sędziemu. W procesach, którym przewodniczy Sneed, coś, co wygląda jak szczur, śmierdzi jak szczur i smakuje jak szczur, jest szczurem.

Kam wstała.

- Nie mogę pogodzić się z taką niesprawiedliwością - powiedziała. - Ta kobieta zrobiła wszystko, absolutnie wszystko, żeby uratować rodzinę, podczas gdy jej mąż obijał się i bzykał panienki. To niesłychane!

Michael pokiwał przytakująco głową. Zobaczyła, że się uśmiecha i wpadła we wściekłość.

- Śmiejesz się ze mnie? Naprawdę uważasz, że to zabawne? Uważasz, że jestem zabawna? Ponieważ przyszedłam po pomoc do ciebie? Coś ci powiem, wygram tę sprawę z twoją pomocą lub bez niej !

- Uśmiecham się do ciebie, ponieważ cię lubię - powiedział Michael. - Kiedyś byłem takim samym zapaleńcem. Byłem równie namiętny.

Kam oblała się rumieńcem.

- W sensie zawodowym, oczywiście - zapewnił ją Michael. - Ale ty jesteś narwana, jak mówią moje dzieci. A teraz siadaj.

Jej gniew wyparował. Usiadła bez dalszych protestów.

- Posłuchaj, prawo rodzinne nie ma wiele wspólnego ze sprawiedliwością. Czasem nawet ma niewiele wspólnego z prawem. Zamiast sprawiedliwości mamy do czynienia z manipulacją i strategią. George Creskin wygrał pierwsze starcie i ma dobrą strategię. Musimy opracować równie dobrą albo lepszą. Z pewnością nie może opierać się na tym, że przedstawiś sędziemu swoje poglądy na sprawiedliwość, licząc na to, że uzna je za własne. Zgadzasz się ze mną? - zapytał łagodnie. Kam skinęła głową.

- Musimy przedstawić własnych świadków, orzeczenie własnego biegłego. I musimy wykorzystać dzieci.

- Jada nie chce się zgodzić - powiedziała Kam. Michael tylko wzruszył ramionami.



- Zgadzam się, że to nie jest zabawa dla dzieci, ale sąd najprawdopodobniej powoła dwoje starszych i jednego możesz być pewna - George Creskin odpowiednio je do tego przygotowuje.

- One kochają matkę. Chcą wrócić do domu. To właśnie powiedzą.

- Dzieci z oparzeniami po papierosach nadal twierdzą, że kochają matkę, która użyła je w charakterze popielniczki - tłumaczył Michael cierpliwie. - Dzieci kochają swoje matki, przynajmniej do czasu, gdy wdadzą się w to hormony. O ile dobrze rozumiem strategię Creskina, chce odesłać te dzieci z powrotem do domu, wyrzuciwszy wprawdzie stamtąd twoją klientkę.

Kam poczuła nagle, że ta sprawa ją przerasta. Odwróciła się od Michaela i poddała fali zmęczenia. Przez chwilę siedziała ze zwieszoną głową, próbując zebrać siły. Tyle było to zrobienia, do nauczenia się, a tak mało czasu. A ona była tak potwornie zmęczona. Może nie da rady wygrać tej sprawy. Na tę myśl poderwała głowę, przerażona. Michael przyglądał się jej uważnie.

- Posłuchaj - powiedział. - Trzeba uciec się do środków specjalnych. Zatrudnijmy detektywa. Niech pogrzebie w przeszłości tej Toni Green. A co z babcią? Jest czysta? Nikt nigdy nie widział, żeby ten facet palił trawkę? Nikt nigdy nie widział go pijanego? Nigdy nie uderzył żony? Jeżeli chcesz przechytryć George'a, masz jeszcze szansę, ale musisz się nieźle postarać. Czy ta kobieta ma pieniądze?

Kam przewróciła tylko oczami, a Michael zrobił minę: „tak tylko spytałem”.

- Myślę, że powinniśmy przedstawić sprawę radzie, najlepiej jeszcze dzisiaj.

Podzielałam twój punkt widzenia, że jest to swego rodzaju klasyka gatunku. Jeżeli jesteś pewna, że facet robi babkę na szaro, poprę cię i zobaczymy, czy nie uda się nam wyzyskać dofinansowania od Laury.

- Dofinansowanie na co? - zapytała Kam.

- Na biegłych, psychologów dziecięcych i detektywa, który rozejrzy się w sprawach pana Jacksona i spółki.

Michael wstał i przeciągnął się. Wydał się Kam wyższy, może dlatego, że spoglądała na niego z dołu.

- Trzeba spróbować załatwić innego pracownika z opieki i poddać panią Jackson testom na obecność narkotyków. - Położył akta na biurku. - Możesz również uszczęśliwić tym pana Jacksona. Nie od rzeczy byłoby pouczyć panią Jackson, jak ma zeznawać.

- Znalazłbyś czas? - zapytała prosząco. Michael zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Czas! Mam mnóstwo czasu.

- Nie musisz się przeprowadzać - powiedział Estevan po raz czwarty. - Tutaj jest mnóstwo miejsca.

Kam była mile zaskoczona, że ojciec zamiast paść trupem na wiadomość o przeprowadzce, stara się ją tylko zniechęcić do tego projektu. Kam kochała ojca, mimo jego wad, mimo krzywdy, jaką wyrządził matce, ale nie mogła z nim mieszkać. Nie mogła i nie powinna. Nadal traktował ją jak dziecko. Wolała nie myśleć, jak zareaguje na wiadomość, że ona może wkrótce urodzić własne. No i nie byłby sobą, gdyby nie poruszył kwestii pieniędzy.

- Nie stać cię na to. Nie potrzebujesz mieszkania. Jest za drogie. To rozbój na prostej drodze. Mogę znaleźć ci lepsze i tańsze. - Nie potrafił przyznać, że będzie mu brakowało córki, że jest urażony i boi się ją utracić.

- Naprawdę, Kam - powtarzał tylko - tutaj jest mnóstwo miejsca. Kam uśmiechnęła się znad kartonu, który obwiązywała sznurkiem.

- Aż za wiele, tatusiu, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Dlaczego właściwie mieszkasz na przedmieściu? W twoim przypadku to się mija z celem.

- Rozmawiamy o mnie, czy o tobie?

- Jedno nie wyklucza drugiego - powiedziała Kam. Chciała dźwignąć pudło, ale Estevan przytrzymał ją za łokieć.

- Ja to zrobię.

Włosy posiwiały mu mocno, twarz jakby się skurczyła, a skóra nie opinała głowy tak ściśle jak niegdyś. Estevan się starzał, nadal jednak uważał, że nadaje się do noszenia ciężkich pudeł lepiej od swojej dorosłej córki. Uśmiechnęła się do niego, chociaż nie mogła odpędzić myśli, że ojcu pozostał w życiu już tylko smutek. Nie wiodło mu się, odkąd rozwiedli się z matką. Zbił wprawdzie niezły majątek, ale fatalnie się ożenił. Po drugim rozwodzie miał kłopoty z urzędem podatkowym i innymi instytucjami. Życie ściągnęło z niego swój haracz. Wypadł z nowojorskiej sceny wielkich interesów i przyjechał tutaj, żeby lizać rany i ratować to, co zostało z firmy wynajmu limuzyn. Przypominał zwierzątko, które zaszywa się w jamie, żeby świat nie widział jego cierpienia. Kam zastanawiała się często, czy życie przyniosło mu wielkie rozczarowanie, czy bardzo odbiegło od jego wyobrażeń. Teraz, kiedy czuła, że zmierzała w tym samym kierunku, zalała ją fala miłości do ojca.

- Dziękuję, tatusiu - powiedziała. - Dziękuję ci, że kazałeś mi wyjść z tej restauracji. I dziękuję, że pozwoliłeś mi tu zostać. Ale już czas, żebym się pozbierała. Kocham cię i będziemy się stale widywać.

Estevan chwycił pudło.

- Pewnie, że tak! A co myślałaś? - burknął. - Że wyprowadzasz się do Chin? To mieszkanie jest zaledwie kilka mil stąd.

- Wiem. Wpadniesz w przyszłym tygodniu na kolację? Jak tylko rozpakuję talerze.

- Jasne - odparł ojciec zdawkowo, ale jego ton nie zwiódł Kam. „Miłość jest taka krucha, pomyślała. I taka cenna”.

- Na pewno nie chcesz, żebym pojechał z tobą, pomógł ci się rozpakować?

- Nie, mama mi pomoże.

- To dobrze - powiedział zbyt szybko, jakby chciał ukryć rozczarowanie. Kam westchnęła. Sam sobie zgotował ten los, a teraz doskwierało mu własne dzieło. Dokładnie do samo mogła powiedzieć o sobie. Wyszła z pokoju, nie oglądając się. Mieszkanie, które znalazł dla niej agent Michaela mieściło się na parterze segmentu. Było słoneczne, a z dużego pokoju wychodziło się na małe patio. Brak kuchni, która okazała się wnęką w ścianie, rekompensowały dwie dość przestronne sypialnie. Na razie druga sypialnia nie była jej potrzebna, ale kto wie co przyniesie przyszłość. Zamrugła, żeby odegnąć łzy. Omal nie przegapiła skrętu do Larkspur, ale udało się jej zmienić pas, nie zajeżdżając nikomu drogi. Segmenty stały na końcu ładnej willowej uliczki. Zaparkowała tak blisko swojej klatki, jak się dało i ujrzała matkę, Laurę i Billa czekających przed drzwiami.

- Nie spodziewałam się was - powiedziała Kam, całując Natalie.

- A ja nie wiedziałem, że się przeprowadzasz - odparł Bill. Był miłym facetem. Kam lubiła z nim pracować. Kto wie, może się zaprzyjaźnią.

Laura poklepała ją po ramieniu i Kam sięgnęła do kieszeni po swój nowy klucz.

- Pozwólcie, że oprowadzę was po moim pałacu.

Była im wdzięczna, że nie musi samotnie przekraczać progu nowego domu. W ogóle miała sporo powodów do wdzięczności: miała pracę, mieszkanie, potencjalnych przyjaciół. Nie miała za to kłopotów, z jakimi borykała się Jada czy ta biedna Vivian.

- Czasem dobrze jest uprościć sobie życie - powiedziała do Billa, kiedy dreptali po trzech pustych pokojach. Musiała przyznać, że jest to dziwaczne stwierdzenie w ustach przyszłej samotnej matki.

- Przyjechali! - zawołała Natalie. - Nie mogę uwierzyć, że przyjechali punktualnie! Przed domem zatrzymał się wóz meblowy i rozpętało się przeprowadzkowe piekło. Natalie natychmiast objęła dowodzenie, mówiąc córce, w jakiej kolejności ma rozpakowywać pudła i w jakim kierunku powiesić ubraniaw szafie. „JZięki Bogu, pomyślała Kam, że mam tak mało mebli, inaczej by mi je rozstawiła”.

Nie powiedziała matce o swojej ciąży, przewidując jej reakcję. Natalie najpierw by się rozplakała, a potem wzięła sprawy w swoje ręce, mówiąc Kam do jakiego lekarza ma pójść, co jeść i w co się ubierać.

Zamówione przez nią dwa materace dostarczono natychmiast po odjeździe pracowników firmy przeprowadzkowej. Kam, Bill i Laura próbowali rozdzielić sklezione pudła, podczas gdy matka przystąpiła do skręcania chybotliwej ramy łóżka.

- Czy pozwoli pani sobie pomóc? - odezwał się męski głos. Kam wyjrzała zza materaca. Był to Michael Rice, mimo chłodu ubrany tylko w sweter i sztruksowe spodnie.

- Nie pytaj, tylko zabieraj się do roboty - wystękał Bill.

Kam była wzruszona. Michael miał przecież własną rodzinę i weekendowe obowiązki. Przejął ramę od matki i skrzył łóżko, chociaż w opakowaniu brakowało dwóch śrub. Dochodziła czwarta, kiedy skończyli. Mieszkanie wyglądało dziwnie - nie brzydko, tylko dziwnie. Kam miała kilka obrazów, kilka pięknych lamp, ale nie miała krzesel i kanapy. Miała egipskiego hipopotama, lecz nie miała stolika do kawy, na którym można by go ustawić. W zasadzie, nie miała żadnych mebli z wyjątkiem łóżka i biurczka z panińskiego pokoju, które zabrała, przeprowadzając się do Reida.

- Bardzo ładnie - orzekł Bill, dokonawszy oględzin. - Podoba mi się taka prostota. Jakbyś była zbyt uduchowiona, by odczuwać potrzebę posadzenia na czymś czterech liter.

- Bo też nie mam zamiaru ich sadzać. Mam zamiar się położyć. Michael wymknął się pierwszy, zanim zdążyła mu podziękować.

- Co powiecie na obiad? - zwróciła się do pozostałej czwórki Natalie. -Ja stawiam. Bill i Laura odmówili chórem i zaczęli się zbierać do wyjścia. Kam, wdzięczna za pomoc, ucałowała każde w oba policzki.

- Francuskie pocałunki - powiedział Bill i wyszedł ze śmiechem. Laura odwróciła się w drzwiach.

- Kam, chciałam, żebyś wiedziała, że przyznano ci dodatkowe fundusze na sprawę Jady Jackson. Skontakowałam się również z przyjaciółką z centrum dziecięcego w Yale. Obiecała nam pomóc.

- Wspaniale! Dziękuję, Lauro! - powiedziała Kam. Nie umknął jej uwagi ton Laury, który mówił wyraźnie „wykorzystaj szansę”. Właśnie to zamierzała zrobić.

Tymczasem Natalie przyglądała się jej z troską w oczach.

- Na pewno nie chcesz wyskoczyć na miasto? - zapytała.

- Nie - powiedziała Kam. - Naprawdę. Muszę się położyć.

- Pozwól, że przyszykuję ci łóżko, a potem zamówimy coś do jedzenia. Kam wiedziała, że nie pozbędzie się matki, nie wywołując awantury, poszła więc na kompromis.

- Ja zrobię łóżko - zaproponowała. - Czy mogłabyś w tym czasie postarać się o jakąś chińszczyznę?

- Dobrze. Połóż się i odpocznij, a ja wskoczę po drodze do spożywczego. Kupię tylko to, co niezbędne: kawa, sól, herbatniki, mąka, lody...

Kam roześmiała się i uściskała matkę.

- Dzięki.

Poszła prosto do sypialni i kiedy usłyszała trzask frontowych drzwi, rzuciła się na goły materac. Była potwornie zmęczona. Nie wiedziała ile z tego zmęczenia przypisać należy stresom, ciąży, a ile przeprowadzce, ale marzyła tylko o śnie, o stanie nieświadomości. Zamiast snu przyszły łzy.

Płakała, kiedy Jada i Vivian przyszły. Jada trzymała w ręku garnek zakryty folią, Vivian pieguski własnego wypieku. Zapach potrawy z kurczaka i świeżego ciasta wypełnił malutki przedpokój. Kam powitała gości, starając się zignorować narastające mdłości. Jada obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Przyszliśmy nie w porę? - zapytała. - Może wolałabyś zostać sama? W odpowiedzi Kam wybuchnęła płaczem, a następnie zwymiotowała na podłogę.

Teraz siedziały we trzy na nagim materacu. Jada wytarła podłogę w przedpokoju, a Vivian wyczyściła Kam. Kam była wdzięczna tym dwóm kobietom za ich starania, za to, że przyszły i nagle, nie planując tego, niemal wbrew woli, opowiedziała im resztę swojej historii. Przyznała się do głupoty, do choroby, do symptomów, które wskazywały...

Vivian wzięła ją za rękę.

- Och, Kam! Za wiele nieszczęścia naraz. Jesteś w ciąży. Z nim? Z tym bostońskim fiutem?

- Jesteś pewna? - zapytała Jada. Kam skinęła głową.

- I wiecie, co robię? Kupuję testy ciążowe, jeden po drugim. W sumie wykonałam jedenaście, wszystkie z tym samym wynikiem.

- Ja robiłam to samo - przyznała Jada. - Z Sherrilee. Nie chciałam być w ciąży. Pamiętasz, Vivian, z Clintonem nic mnie już praktycznie nie łączyło i ciąża była ostatnią rzeczą...

- Pamiętam, odbywałyśmy wtedy bardzo burzliwe treningi.

Kam podchwyciła porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymieniły przyjaciółki, spojrzenie pełne współczucia i zrozumienia.

- Nie myślałaś o... - Kam zawahała się. - O przerwaniu ciąży?

- Myślałam o tym codziennie. Myślałam również o samobójstwie. Modliłam się nawet o śmierć.

- Tego mi nie powiedziałaś! - odezwała się Vivian.

- Bo takie myśli nawiedzały mnie tylko w nocy, Viv, nie rano. No i musiałam myśleć o dzieciach. - Zamyśliła się, przygryzając dolną wargę. - Teraz nie mam przy sobie żadnego z nich. Bardzo ci współczuję, Kam - powiedziała i Kam rozplakała się na nowo. Vivian pogłaskała ją po rękę.

- Głupio się czuję. Znalazłam sobie porę na rodzenie dzieci.

- Ja zawsze głupio się czuję - pocieszyła ją Vivian, ciężko wzdychając. - No i większość rzeczy dzieje się w najmniej odpowiedniej chwili.

- Może chwila jest odpowiednia z punktu widzenia Boga - powiedziała Jada. - Zresztą On zawsze zostawia nam wybór.

Kam wydmuchała nos, nie spuszczać wzroku z twarzy Jady. Ta kobieta stała przed perspektywą utraty wszystkiego, co kochała, a jednak nadal wierzyła, że dzieje się to z woli Boga.

- Wiecie co? - odezwała się Vivian. - Dajcie mi oblec to łóżko. Masz pościel? Kam skinęła głową.

- To świetnie. Weź prysznic, a kiedy wyjdiesz z łazienki, będzie na ciebie czekało śliczne łóżeczko, co ty na to? - Vivian wstała z materaca i rozejrzała się po pokoju. - Przydałoby się umyć te ściany - powiedziała. - Dobrze by im zrobiło woskowanie. Jada wniosła oczy ku niebu.

- Znowu sterylizujesz świat, Vivian?

- Lubie sprzątać, i co z tego? Złudne poczucie spełnienia jest lepsze niż żadne. Po kąpieli Kam faktycznie poczuła się lepiej, ale ile było w tym zasługi mydła i wody, a ile bliskiej perspektywy położenia się, trudno osądzić. Jada i Vivian skakały wokół niej, jakby była inwalidką.

- Dziękuję, że wpadłyście - powiedziała Kam niemal oficjalnym tonem i wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. - Moja mama przyjdzie tu zaraz z chińskim jedzeniem. Dacie się zaprosić?

Vivian i Jada potrząsnęły zgodnie głowami.

- Jeszcze jej nie powiedziałam. Nie chcę nic mówić, zanim się ostatecznie nie zdecyduje.

Vivian kiwnęła głową ze zrozumieniem, a Jada pogłaskała Kam po rękę.

- Decyzja należy do ciebie - powiedziała. - To sprawa między Bogiem a tobą.

- Pomożemy ci, cokolwiek postanowisz - dodała Vivian i Kam wiedziała, że nie są to słowa rzucone na wiatr.

## **Rozdział 31**

Jenna leżała na łóżku, ramionami zakrywając głowę. Wróciła ze szkoły, wybuchnęła płaczem i bez słowa uciekła do swojego pokoju. Vivian przywołała na pomoc całą siłę woli, żeby odczekać te dziesięć minut, które pozwolą Jennie wypłakać pierwszy żal.

„Chociaż tylko ja mogę ją pocieszyć, pomyślała, jestem przecież również przyczyną jej bólu”. Zapukała do drzwi pokoju Jenny, weszła i usiadła w rogu łóżka. Położyła dłonie na drżących plecach córki i pogładziła je leciutko. Jako dziecko Jenna bardzo lubiła tę pieśczołość. Teraz jednak drgnęła pod dotknięciem ręki matki, jakby to było rozpalone żelazo. Tak więc Vivian mogła tylko siedzieć na brzegu łóżka i patrzeć, jak jej córka cierpi.

Od czasu, gdy spadła na nich wiadomość o procesie, stan dzieci bardzo się pogorszył. W miejscowej gazecie ukazały się zdjęcia całej rodziny,

a w wiadomościach telewizyjnych mówiono o Franku Russo. Jenna wracała do domu rozhisteryzowana lub zacięta w posepnym milczeniu, a Frankie... Vivian westchnęła bezgłośnie. Jej synek był za mały, by zrozumieć, co się wokół niego dzieje. Wiedział tylko, że w przedszkolu nikt nie chce się z nim bawić i nikt nie zaprasza go do siebie do domu. Do tego doszła utrata Kevo-na, który, w jego przekonaniu, wyrzekł się go podobnie jak reszta kolegów. Tylko Pookie mógł go pocieszyć, ale najwyraźniej niedostatecznie. Frankie moczył łóżko i budził się z płaczem, zziębnięty i przejęty wstydem.

Dotąd współczuła biednej Jadzie, która utraciła swoje dzieci, podstawę swojego świata. Ale Jada miała przynajmniej szansę, że życie wróci do normy. Co innego Kam. Straciła mężczyznę, którego kochała, i najlepszą przyjaciółkę, która ją zdradziła. Na domiar złego była w ciąży. Mimo to znajdowała czas i siły, by pomagać innym. Pomogła nawet jej, Vivian. Nie, nie! Nie chciała myśleć o czekającej ją rozmowie z Frankiem.

Musi myśleć pozytywnie. Pójdzie do sądu i zobaczy triumf Jady i Kam. To będzie jej musiało wystarczyć. Przebywanie z dziećmi, patrzeć jak cierpią, było nie do zniesienia. Przebywanie z Frankiem, wiedząc, że jest winny, było nie do zniesienia. Myśl o życiu bez Franka, o samodzielnym życiu, była nie do zniesienia. Jak do tego doszło?

Vivian położyła rękę na stopie Jenny. Jenna cofnęła wprawdzie nogę, ale odwróciła się na plecy i, wsparta na łokciach, popatrzyła na matkę.

- Nie słyszałaś nigdy o dobrach osobistych? - zapytała. Vivian skinęła głową.

- Chciałabym się nacieszyć nimi w tej chwili, OK? - powiedziała Jenna, po czym wybuchnęła płaczem i wyciągnęła ramiona do Vivian. - Przepraszam - wychlipiała.

- Nie chciałam...

-Wiem, kochanie, wiem. - Vivian przesunęła dłonią po długich włosach córki. - Wszystko rozumiem.

Sprzątając po obiedzie myślała o tym, że jej rodzina już się rozpadła, choć mieszkali jeszcze pod jednym dachem. Frank przez cały dzień był poza domem, zadzwonił, żeby uprzedzić, że wróci późno. Dzieci trochę zjadły, niewiele, nikt z nich nie jadł normalnie. Zgarnęła z talerzy do kubła większość makaronu i ledwo napoczęte klopsy. Teraz w domu panowała cisza. Vivian poszła na piętro zajrzeć do Frankiego, który dobrze czuł się jedynie w piżamie, w łóżku, przynajmniej dopóki było suche. Bawił się bojownikami Disneya w grę, której akcja toczyła się głównie pod kołdrą. Spod przykrycia wystawała tylko jego pupa w niebiesko-zielonej piżamie.

- Niedługo gaszę światło - powiedziała Vivian.

Jenna siedziała przed ekranem telewizora, rozgrywając jeden z bardziej krwistych epizodów Mortal Kombat. Działała jak automat, siejąc śmierć

i zniszczenie. Vivian pomyślała, że może nie powinna się martwić, że córka poświęca na to dwie godziny dziennie. Może był to najzdrowszy sposób wyładowania gniewu, choć skąd ona, matka, mogła to wiedzieć? Zaufała mężczyźnie, który zdradził nie tylko ją, ale również swoje dzieci, mężczyźnie, który zaprzedał ich diabłu. Teraz nadszedł czas spłaty. Jenna nie odwróciła nawet głowy.

- Chyba już pora wyprowadzić Pookiego - powiedziała Vivian.

- Sama go wyprowadź - odparła Jenna nieobecny tonem, którego tak często używał teraz Frank. Vivian wiedziała, że powinna skarcić Jennę, ale nie miała na to siły. Odwróciła się i odeszła.

Wstrząsnął nią widok Franka przy kuchennym stole. Siedział nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń i na myśl, że będzie musiała z nim porozmawiać, obleciał ją strach. W świetle górnej lampy, pochylona głowa męża była jedynym ciemnym punktem w białym wnętrzu. Owładnięta manią czystości Vivian uprzątnęła wszystko z parapetów i blatów, i teraz butelka whisky przy zlewie i szklanka stojąca przed Frankiem zdawały się wysyłać sygnały ostrzegawcze. Frank rzadko sięgał po coś mocniejszego niż chianti. Vivian, przez pamięć o matce, nie piła w ogóle. Butelka whisky i kilka schnapsów, które dostali w prezencie gwiazdkowym stały w mało używanej szafce nad lodówką.

Przysunęła sobie krzesło, które przed paroma dniami skrupulatnie wyszorowała.

- Frank? - zaczęła.

- Tak? - zapytał drętym głosem.

- Ja... - Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że znalazła pieniądze. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że już nie wierzy w jego niewinność, że złamał jej serce, zniszczył swoją rodzinę, zniweczył jej zaufanie. Popatrzyła na niego, na swojego pięknego, ciemnego, silnego Franka i zrozumiała, że w rzeczywistości jest słaby. Podjął straszne ryzyko i przegrał.

Podjął ryzyko, nie pytając jej o zdanie. Nie dając jej wyboru, chociaż w grę wchodziło również jej życie. Zdecydował się na coś, na co ona nigdy nie wyraziłaby zgody.

- Zwyciężymy, Vivian - powiedział. Mówił to już przedtem. Nie zawsze mu wierzyła, ale koniec końców dawała się przekonać. Dziś, po raz pierwszy nie była pewna, czy chce mu wierzyć. Dowód jego winy spoczywał teraz pod zapasowym kołem w bagażniku leksusa. Zdawała sobie sprawę, że w domu może być więcej takich paczek, toteż przeszukała go centymetr po centymetrze. Słowa Kam o nakazach rewizji tkwiły jej żywo w pamięci. Frank od początku wiedział, że prokuratura ma dowody przeciwko niemu, wiedział, że naraził swoją rodzinę, że podłożył pod deski podłogi coś równie groźnego jak bomba zegarowa. Ale mimo to, patrząc na niego, nie mogła go oskarżyć. Słowa: „Frank, znalazłam pieniądze, wiem, że jesteś winny, jak mogłeś nam to zrobić?” po prostu nie chciały przejść jej przez usta.



- Spędziłem cały cholerny dzień u Bruzema i nawet go nie widziałem. Jacyś dwaj asystenci kazali mi oglądać pieprzony film wideo o zeznawaniu. A potem zadali mi wszystkie te pytania, które zadali już przedtem i kazali obejrzeć ten sam film jeszcze raz. Twierdzili, że Bruzeman jest w jakimś zakichanym sądzie. Jak znam drania, grał w golfa. Grywaliśmy razem we środy. - Frank wzruszył ramionami. - Chcą, żebyś tam przyszła jutro po południu. - Pociągnął tęgi łyk whisky, przełknął i otrząsnął się ze wstrętem. Frank też nie przepadał za alkoholem.

- Nie będę zeznawać - odezwała się Vivian.

- Co? - Popatrzył na nią, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Nie będę zeznawać. Nie mogę.

- O czym ty, kurwa, mówisz? - zapytał Frank cichym głosem. - Vivian, proszę.

Miałem kurewski dzień. Kurewski tydzień na zakończenie kurewskiego miesiąca.

Nie zaczynaj ze mną. Wiesz, co przeszedłem.

Vivian pomyślała o tym, co sama przeszła, o znerwicowanych dzieciach, o swoich uczuciach, panicznym lęku, o rozpaczach. Ale nie mogła rozmawiać o tym z

Frankiem. I nie mogła zeznawać.

- Nie będę zeznawać, Frank.

Wstał, niemal przewracając krzesło. Vivian schwyciła je w ostatniej chwili. Kątem oka dostrzegła, jak Frank zamierza się na pustą szklankę po whisky. Poszybowała przez kuchnię i wylądowała z hukiem na górnej szafce kuchennej. Szkło rozprysło się, zasypując okruchami blat i płytki terakoty. Vivian krzyknęła cicho, ze zdziwienia i strachu. Frank nie zwrócił uwagi ani na swoje dzieło, ani na przestraszony żony. Stał trzymając się krawędzi stołu i patrzył na Vivian, jakby to ona zrobiła coś szalonego.

- Zgłupiałaś? - zapytał. - Akurat teraz ci odbiło? Czy mam do czynienia wyłącznie z idiotami?

- Nie mogę zeznawać - powtórzyła Vivian. Oczekiwała, że mąż zapyta, dlaczego.

Oczekiwała, że spóbuje się dowiedzieć, czy powoduje ją lęk, czy zdenerwowanie.

Spodziewała się, że będzie ją prosił o zaufanie, że będzie płakał i próbował wziąć ją w ramiona, pieścić kark, głaskać włosy, że będzie błagał, by na niego spojrziała, zapewniła go o swojej miłości. Nie zamierzała mu mówić, że nadal go kocha. I nie była przygotowana na jego reakcję.

- O czym ty mówisz? - zapytał dziwnym,

nieprzyjemnym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszała. - Tylko bez hysterii, proszę. Żadnych nerwów, bólów głowy. Będiesz zeznawała, do cholery!

Pchnął ją, pchnął jątak mocno, że straciła równowagę i runęła z kuchennego stołka.

Róg stołu wyskoczył ku niej, nadziała się na niego policzkiem, ale spadała dalej na spotkanie twardych płytek podłogi, uderzyła w nie ciężko zranionym policzkiem.

Przez chwilę leżała nieruchomo, nic nie czując. Tylko przez moment. Potem zalał ją ból, lęk, wstyd, straszny gniew. Policzek i skroń paliły żywym ogniem, oko pulsowało.

Przez te wszystkie małżeńskie lata Frank dotykał jej tylko z miłością lub pożądaniem. Wiedziała, że jest popędliwy, ale nie sądziła, że mógłby podnieść na nią rękę. Nigdy! A teraz leżała na podłodze, rozmyślając nad swoją pomyłką. Coś połaskotało ją w policzek. Usiadła. Spod zapuchniętej powieki dostrzegła smugi krwi na podłodze. Nie było jej dużo, ale wydała się jej bardzo, bardzo czerwona. Vivian przyłożyła rękę do twarzy i spojrzała na nią ze zdziwieniem. Lepiła się od krwi. Krew była wszędzie, na palcach, nawet za paznokciami.

Frank postąpił krok w jej stronę. Nie wiedziała, czy zamierza ją pchnąć, kopnąć, czy pomóc jej wstać. Ale się nie poruszyła. Mógłby ją zakatować, nie robiło to jej różnicy.

- O mój Boże! Vivian, jesteś ranna. Zraniłaś się o stół - powiedział, jakby jego dłoń, jego ramię i jego mózg nie miały z tym nic wspólnego. Przykucnął przy żonie. - Viv, przykro mi, ale chyba trzeba założyć szwy.

Było mu przykro, że ją pchnął, czy że potrzebuje pomocy lekarskiej? Czuła, jak krew płynie jej po twarzy i spojrzała w dół, na płytki podłogi.

„Ile razy je zmywałam?“, zastanowiła się, jakby w tej chwili to było najistotniejsze. Frank stał przy zlewie. Usłyszała, jak puszcza wodę i po chwili wrócił ze zwitkiem papierowych ręczników. Próbował przyłożyć kompres do twarzy żony, a kiedy się odsunęła, wcisnął jej ręczniki do ręki. Przytknęła zimny kompres do policzka i po chwili odjęła krwawy kłęb. Pozwoliła, by upadł na podłogę. Frank zerknął na ranę, unikając oczu żony.

- Rozcięcie nie jest duże, Viv, ale głębokie. Chodź, musimy pojechać na pogotowie. Podeszedł znowu do zlewu i przyniósł jej kolejny zimny kompres.

- Nigdzie z tobą nie pójdę - powiedziała i odwróciła się do męża plecami. Podniosła się z trudem i wyszła z kuchni, po raz pierwszy w życiu pozostawiając za sobą bałagan.

## **Rozdział 32**

Jadzie wydawało się, że siedzi w gabinecie Kam od wielu dni, choć upłynęło zaledwie parę godzin. Zjawiała się w ośrodku kilka minut po ósmej, a teraz dochodziła dwunasta.

Musiała zwolnić się z pracy i odwołać trening z Vivian. I jedno, i drugie zrobiła niechętnie. Praca i poranna rozmowa z Vivian były jej teraz potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Ku jej zdziwieniu, Vivian wydawała się zadowolona z takiego obrotu sprawy.

-1 tak miałam do ciebie dzwonić - powiedziała. - Naprawdę nie czuję się dzisiaj na siłach.

Zaniepokoiło to Jade, ale miała tyle innych powodów do niepokoju, że sprawą Viv odłożyła na później.

Teraz, siedząc naprzeciwko Kam, uświadomiła sobie, że lekcja składania zeznań bardzo przypomina próbę teatralną. W pewnym sensie była to inscenizacja. Nie chodziło o ukazanie rzeczywistości, lecz ukształtowanie opinii nieznanego sędziego o tejże rzeczywistości.

Przez ostatnie godziny Kam była skoncentrowana wyłącznie na pracy. Jada nie mogła się nadziwić, jak ona to robi, przy takim nawale własnych kłopotów.

„Niewykluczone, że praca pomaga przetrwać trudne chwile, pod warunkiem, że jest to praca, którą się lubi”, pomyślała. Patrząc na Kam, odmówiła krótką modlitwę za obciążoną wspomnieniami samotną kobietę, stojącą przed najtrudniejszą dla kobiety decyzją.

Poświęciły mnóstwo czasu na opracowanie odpowiedzi na dziesiątki pytań. Kam ostrzegła Jade, żeby starała się ograniczyć swoje wypowiedzi do minimum.

- Będę cię chroniła przed dociekliwością Creskina, ale twoje odpowiedzi nie mogą stanowić pożywki do dalszych pytań, których kierunku nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Nie mamy czasu na eksperymentowanie. Próbowałam uzyskać przełożenie terminu, ale ten Creskin to spryciarz. Wymusił rozprawę w trybie nagłym.

Jada podziwiała Kam za jej zaangażowanie, ale sama również spędzała coraz więcej czasu w pracy. Co innego miała do roboty? Pusty, pozbawiony dzieci, dom doprowadzał ją do rozpacz. Nie mogła czytać, nie mogła znieść telewizji pokazującej ulubione programy Kevona i Shavonny. Wszystkie prace, które Clinton zaczął i których nie skończył, kłuły ją w oczy, irytując bardziej niż zwykle.

Była już pora lunchu i recepcjonistka przyniosła torbę z delikatesów. Jada popatrzyła na kanapkę z szynką którą zamówiła, jakby to był twór z innej planety. Nie jadła nic konkretnego od... nie pamiętała od kiedy. Raz na jakiś czas zmuszała się, żeby otworzyć puszkę zupy pomidorowej z ryżem i wypijała ją wprost z opakowania. Odwróciła wzrok od kanapki.

- Muszę zadzwonić do banku - powiedziała.

Jakby nie dość było kłopotów, pan Marcus zaczął kręcić nosem na jej częste nieobecności w pracy. Nie wtajemniczyła go w swoje problemy osobiste.

- Wiesz, co bije wszelkie rekordy absurdu? - Jada popatrzyła na Kam zjadającą kanapki po drugiej stronie biurka.

- Jeżeli mam być szczerą, wszystko wydaje mi się absurdem. Ale proszę bardzo, możesz dodać swój absurd do mojej listy. - Kam uśmiechnęła się, żeby złagodzić ostre słowa.

Miała bardzo ładny uśmiech i Jada pomyślała, że nie tylko współczuje tej dziewczynie, ale naprawdę ją lubi.

- Nie wydaje ci się zabawne, że mój mąż...

- Twój przyszły były mąż - poprawiła odruchowo Kam.

- A więc mój przyszły były mąż próbuje udowodnić, że jestem złą matką, ponieważ za dużo pracuję, podczas gdy mój szef zechce zapewne udowodnić, że jestem złą pracownicą, ponieważ za wiele czasu poświęcam dzieciom.

- Ha, ha, ha! - Kam zaśmiała się sarkastycznie. - To naprawdę udany absurd. Wrzucmy go do wspólnego zbioru. - Gestem wskazała nietkniętą kanapkę. - No, zjadaj ! - powiedziała i nagle zamarła z otwartą buzią. - Jezu, powiedziałam to zupełnie jak moja matka!

- Nie martw się, wszystkich nas to spotyka. Nie jestem głodna. Mogę skorzystać z telefonu?

- Zostawić cię samą?

Jada wskazała na stosy dokumentów i notatek, które stanowiły naoczny dowód ingerencji w jej życie prywatne.

- Chyba żartujesz - powiedziała.

Anna wyrecytowała przez telefon listę osób, które chciały się z nią skontaktować. Większość spraw mogła poczekać do jutra, Jada poprosiła tylko o przefaksowanie jednego dokumentu. Powtórzyła instrukcje dwukrotnie i zamierzała już odłożyć słuchawkę, kiedy Anna powiedziała:

- A, nie wiem, czy to ważne, ale dzwoniła Vivian Russo. Nie przedstawiła się, ale poznałam ją po głosie.

Jada uświadomiła sobie, jak bardzo nie lubi Anny. Najchętniej przeniosłaby ją do innego działu. Podziękowała chłodno, rozłączyła się i nie odkładając słuchawki wystukała domowy numer Vivian.

- Vivian? - zapytała, kiedy w słuchawce rozległ się obcy głos.

- Jado, przepraszam, że zadzwoniłam do banku. Nie chciałam, ale...

- Wiem. - Sytuacja musiała być naprawdę poważna, skoro Vivian zdecydowała się na kontakt z Anną. - Co się stało?

- Kiedy skończysz z Kam?

- Nie wiem. Za godzinę? - Spojrzała pytająco na swojego adwokata. Kam skinęła głową. - A potem jedziesz zobaczyć się z dziećmi?

- Tak, odbieram je ze szkoły. O szóstej muszę je odstawić do Yonkers. O co chodzi, Vivian? Głos Vivian przeszedł w szept.

- Nie chcę mówić o tym przez telefon. Muszę cię prosić o wielką przysługę. Naprawdę wielką przysługę. Zrozumiem, jeżeli odmówisz.

- Dobrze - zgodziła się Jada, starając się mówić naturalnym głosem.

- Nie pogniewam się, jeżeli nie wyrazisz zgody. Zwracam się z tym do ciebie, bo nie mam nikogo innego.

Jada dostała gęsiej skórki. Nie pamiętała Vivian w takim stanie. Było gorzej niż po rewizji.

- Poczekaj chwilę. - Zwróciła się do Kam. - Możemy już skończyć? Kam zadrżała w swoje notatki.

- Daj mi jeszcze pół godziny. - Sięgnęła po nietkniętą kanapkę Jady. - Boże, od tygodni nie czułam głodu, a teraz zjadłabym wołu z kopytami.

- To normalne - powiedziała Jada.

- Macie kryzys?

- Chyba tak. Będę u ciebie za godzinę - powiedziała do słuchawki.

- Nie, nie! - W głosie Vivian zabrzmiało błaganie i paniczny lęk. - Spotkamy się w „7-eleven” na Post Road, przy banku Westchester. Wiesz gdzie.

- Jasne - powiedziała Jada. - Będę tam za czterdzieści pięć minut.

- Dziękuję, Jado. I pamiętaj, możesz odmówić.

- Chcę cię prosić, żebyś założyła skrytkę bankową - powiedziała Vivian.

Jada siedziała za kierownicą swojego volvo, zaparkowanego na parkingu sklepowym obok leksusa Vivian. Starła się nie patrzeć na twarz przyjaciółki.

Pewne granice były nienaruszalne.

- Na własne nazwisko - ciągnęła Vivian. - Zachowałabyś oba klucze i schowała je dobrze, nie w domu i nie w biurze.

Jada nie skomentowała jej wyglądu, nie powiedziała ani słowa o okularach słonecznych i siniaku na policzku. Nie zapytała dlaczego Vivian, zawsze nienagannie ubrana, pięknie uczesana i umalowana, teraz wygląda jak coś, co sztorm wyrzucił na barbadoską plażę. Nie musiała pytać.

W dawnych yonkerskich czasach widywała kobiety pobite przez mężów. Ale Vivian! Vivian, która nie tylko uwielbiała Franka, ale ufała mu bez zastrzeżeń. Była na granicy załamania i Jada wiedziała, że jako dobra przyjaciółka nie powinna jej teraz dotykać, nie powinna jej pocieszać. Vivian starała się ze wszystkich sił zapanować nad sobą a ona chciała jej pomóc.

Zastanawiała się, co Vivian wie, a czego się domyśla. Jada była zbyt dobrze obeznana z metodami policji, by utożsamić rewizję i oskarżenie z winą ale niczego nie należało wykluczać. Jej zdaniem, Frank mógł być absolutnie niewinny, nie zdziwiłaby się jednak, gdyby okazał się człowiekiem mafii. Dla Vivian podobna myśl była czystą herezją, wstrząsnęła fundamentami jej istnienia.

- Muszę cię o coś spytać, Vivian - odezwała się Jada bardzo łagodnie.

- Możesz odmówić - powiedziała Viv szybko. - Zrozumiem. Wiem, że proszę o bardzo wiele. Naprawdę, Jado, zrozumiem.

- Vivian, ja nie odmawiam. Muszę cię po prostu spytać, czy w tej paczce znajdują się narkotyki. Wiesz, że nie próbuję cię obrazić, wiesz, że wierzę ci bez zastrzeżeń. Ale musiałam o to spytać.

Wargi Vivian zadrżały.

- Rozumiem. - Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Jady. - To nie są narkotyki. Ale nie chcę, żeby Frank miał do tego dostęp.

- Dobrze - powiedziała Jada. Wiedziała, że podejmuje ryzyko, ale ufała przyjaciółce.  
- Pójdę do banku Westchester - nawiasem mówiąc, naszego największego rywala - wezmę skrzynkę i przyniosę ją tobie.

Vivian skinęła głową i Jada zauważyła, że obrażenia nie ograniczają się do ranki na policzku, również powieka Vivian była opuchnięta, nabiegła krwią.

- Vivian, nie musisz tam mieszkać - powiedziała cicho, z czułością. - Możesz się przeprowadzić do mnie.

- To był wypadek. To się nie powtórzy.

Jada nie uwierzyła ani w jedno, ani w drugie. Nabrała głęboko powietrza i bardzo powoli je wypuściła. Przez chwilę miała wrażenie, że świat wypełnia tylko nieszczęście, które prędzej czy później pochłonie je obie. „Boże, pomodliła się, daj nam siłę, by przetrwać”.

- Kup sobie większe okulary - poradziła przyjaciółce. - Wrócę za dwadzieścia minut. Dzieci nie chciały rozmawiać o szkole, Toni Green, babci ani w ogóle o niczym, chciały wrócić do domu. Jada, zmęczona po spotkaniu z Kam, zaleźniona tym, co się przydarzyło Vivian, nie była w najlepszej rodzicielskiej formie. Marzyła tylko o tym, by wziąć na ręce Sherrilee, wdychać cudowny, dziecięcy zapach Kevona, uczesać Shavonne. Dotykać ich, kochać. Ale dzieci miały inny plan.

- Mamo, możemy iść do domu? - zapytał Kevon, ledwie wsiadł do samochodu.

Jada umocowała fotelik Sherrilee. To, o co prosił Kevon, było niemożliwe, ale nie chciała zepsuć od razu tych kilku wspólnych godzin.

- Może później - powiedziała wymijająco. - Kto ma ochotę na loda? -zapytała, siadając za kierownicą.

- Chcę jechać do domu - oznajmiła Shavonna. - Nie obchodzą mnie lody.

- Shavonno, zrozum, że ja i twój ojciec... - zaczęła Jada.

- Wiem, wiem. Rozwódcie się, co?

Po raz pierwszy Jada usłyszała, żeby któreś z dzieci użyło słowa „rozwód”.

- Czy tato z wami rozmawiał? - zapytała.

- Babcia - odparła Shavonna i jej twarz skurczyła się boleśnie. Jada nie mogła na to patrzeć. - Ja tylko chcę wrócić do domu.

- Posłuchajcie - zaczęła Jada. - Mamy niewiele czasu przed obiadem, a...

- Zjedzmy dzisiaj obiad w domu - powiedział Kevon. - Chcę zjeść obiad w domu.

- Hej, dzieciaki, poproszę o współpracę! Pojedziemy do domu na trochę, ale obiecałam babci, że zjecie obiad u niej. - Nie powiedziała im, że

musi je tam zostawić, ponieważ sąd nie zezwolił, by zamieszkały z matką że w tej chwili walczy o ich dom. Zastanawiała się, czy postępuje słusznie. Kiedyś była taka pewna siebie, pewna, że racja jest po jej stronie. Dzisiaj, ucząc się z Kam swojej roli, wykonując dziwaczne zlecenie Vivian i jadąc z dziećmi do domu, nie była pewna słuszności żadnego swego kroku.

Było już ciemno, kiedy zajechała przed dom teściowej w Yonkers. Pierwsza rozplakała się Sherrilee, Kevon jej zawtórował.

- Nie chcę tam wracać - powiedziała Shavonna. - Nawet na obiad.

- Teraz to już nie potrwa długo - powiedziała Jada. - Mam adwokata, który wszystko załatwi. Na razie zostanieie u babci, a ja zobaczę się z wami za dwa dni. -

Odwróciła się do Sherrilee. - Cicho, maleńka, bardzo cię proszę nie płacz! - Kiedy znów spojrzała na starszą córkę, przeraziła ją zastygła w gniewie twarz.

- Więc nie wracamy do domu po obiedzie? - zapytała.

Płacz Sherrilee przeszedł w zawodzenie. Jada wyszła z wozu i wyjęła małą z fotelika. Shavonna spotkała ją na chodniku. W tym momencie rozbłysły światła i Jada ujrzała Clintona z kamerą wideo, filmującego tę scenę, jakby to był radosny bożonarodzeniowy poranek. Shavonna nie zwracała uwagi na ojca.

- Skłamałaś - powiedziała. - Nienawidzę cię. - Pobiegnęła w stronę domu i Clintona.

Sherrilee zawyla, sztywniejąc w ramionach Jady. Kevon zakrył dłońmi oczy przed ostrym światłem, a może przed matką. Nie powinna zabierać ich do domu. Tylko pogorszyła sprawę. Popatrzyła na Clintona.

- Wyłącz to! - krzyknęła. Jego matka podbiegła do niej, wyciągając ręce po Sherrilee. Kevon umknął w ciemność, poza pole widzenia Jady, a ona musiała oddać córkę.

Jada chodziła od ściany do ściany, z pustego pokoju rodzinnego, przez niewykończoną jadalnię, do niewykończonej kuchni. Nie mogła usiąść, nie mogła się położyć i nie mogła płakać. Poruszała się więc, niby ludzka wersja zmechanizowanych zabawek Kevona, które zmieniały kierunek uderzywszy w ścianę i poruszały się dalej, dopóki nie natknęły się na kolejną ścianę. Nie mogła znaleźć ukojenia. Ta wizyta zniszczyła jej nadzieję, że w jakiś sposób uda się jej uspokoić dzieci, unormować życie. Miotła się po domu jak ćma, w końcu, zrozpaczona ujęła słuchawkę telefonu i wykręciła numer na Karaibach.

- Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

### Rozdział 33

Kam ubierała się z większą uwagą niż zwykle. Zużyła nawet sporą część pensji na zakup nowej garsonki (na przecenie u „Loehmanna”, z pomocą Natalie). Nie sądziła wprawdzie, by nowa garsonka pomogła jej wygrać sprawę, zwłaszcza garsonka w rozmiarze dwunastym, ale uznała, że nie zaszkodzi, jeżeli nie będzie wyglądem straszyla ludzi.

Nic na to nie mogła poradzić - harowała jak wół i jadła za dwoje. Była zawałona pracą: nie tylko przejęła sprawy Karen Levin-Thomas, ale starała się zdobyć nowych klientów. W ten sposób mogła przedstawić własną listę spraw i ubiegać się o stały etat nawet po powrocie Karen. Dziwne, bo dziwne, ale naprawdę chciała zostać w ośrodku. Praca była jakby wymarzona dla niej. Lubiła i szanowała swoich współpracowników. Podobała się jej różnorodność zajęć i odczuwała głęboko nieszczerście swoich klientów, czego nie mogła powiedzieć, pracując w Needham. Przygotowywała się do sprawy Jackson kontra Jackson, poświęcając jej każdą wolną chwilę, a także chwile wykradane innym klientom. Nie powinna tego robić, ale wiedziała, że sprawa Jady będzie czymś w rodzaju próby ogniowej. Kam Lopez zostanie oceniona przez jej przyzmat. Całe szczęście, że Michael Rice tyle jej pomógł!

Weszła do maleńkiej łazienki i popatrzyła na siebie w lustrze. Nie był to ładny widok. Pod oczami miała ciemne kręgi, skórę upstrzoną plamkami. Przejechała grzebieniem po włosach i postanowiła zaczesać je do tyłu. Nie musiała wyglądać atrakcyjnie, wystarczy, że będzie sprawiała wrażenie uczciwego, kompetentnego prawnika.

Ze zdenerwowania zrobiło się jej niedobrze, twarz przybrała zielonkawy odcień. Chyba jednak powinna się umalować. Tym razem złe samopoczucie nie zostało wywołane ciężką, lecz zwyczajnym strachem. Bała się, że nie ma dosyć doświadczenia, kontaktów, inteligencji, by zrobić to, czego się podjęła: zagwarantować Jadzie własność domu, odzyskać dzieci i odsunąć groźbę alimentów, która wisiała nad głową klientki jak przysłowiowy miecz. Drżącą dłonią próbowała narysować kreski na górnej powiece. Efekt był nie do przyjęcia. Westchnęła, oddarła kawałek papieru toaletowego i starła tusz. Zebrawszy się w sobie, narysowała kreski, które od biedy można było uznać za proste. Nałożyła trochę różu na policzki i jeszcze trochę tuszu na rzęsy. Wyglądała lepiej, choć nadal mizernie. „Hej, to nie konkurs piękności”, powiedziała sobie na pocieszenie. „Twoja klientka jest niewinną ofiarą. Zebrałaś kupę materiału. Wynajęłaś biegłych i detektywów. Otrzymałaś pomoc od Michaela Rice'a. Wygrasz. Musisz wygrać!”.



Spojrzała sobie głęboko w oczy.

- Musisz wygrać! - powiedziała swojemu odbiciu.

Jada zahaczyła rajstopami o krzesło w chwili, gdy brała torebkę i kierowała się do drzwi. Rzuciła torebkę na stół, popędziła na piętro i zaczęła roz-grzebywać szuflady w poszukiwaniu nowej pary, doskonale wiedząc, że jej nie posiada.

- Niech to wszyscy diabli! - Bardzo rzadko przeklinała, a dzisiaj bardziej niż zwykle nie chciała obrazić Pana Boga. Niestety, prześladował ją japech. Miała zapasowe rajstopy w biurze, ale nie mogła po nie jechać, nie mogła również pojawić się w sądzie z oczkiem sunącym po jej nodze z prędkością pociągu ekspresowego.

Problem polegał na tym, że niełatwo było kupić rajstopy w kolorze jej skóry i w jej rozmiarze. Producenci zdawali się nie rozumieć, że kolor „cielisty” nie jest „cielisty” na nogach czarnej kobiety. Do tego dochodził problem długości nogawek. Kiedy zakładała rajstopy w normalnym rozmiarze, krok przypadał jej na wysokości kolan, rozmiar ekstra powodował, że miała więcej fałd wokół kostek niż hinduska panna młoda bransolet. Ojciec zwykł żartować, że ma zbyt długie nogi. Zateęskniła za nim rozpaczliwie. Nie chciała martwić rodziców tą sądową historią, ale teraz wiele by dała, żeby siedzieli obok niej na sali rozpraw. Duma i poczucie niezależności weszły jej w paradę. Wyglądało na to, że ojciec miał rację - co do jej nóg i wielu innych spraw.

Miała poważniejsze zmartwienia niż kwestia koloru i rozmiaru rajstop, ale za wszelką cenę starała się oderwać myśli od tego, co ją czekało. Większą część nocy spędziła na kolanach, na przemian modląc się i czytając Biblię, szukając pociechy w historii Hioba. Dlaczego Bóg poddał takiej próbie właśnie ją? Wierzyła, że dzieci jej potrzebują wierzyła, że Bóg ją kocha i miała nadzieję, że w swym miłosierdziu przywróci jej Kevona, Sherrilee i Shavon-nę, używając Kam Lopez jako swego narzędzia.

Jada wiedziała, że Kam rozumie jej sytuację, identyfikuje się z nią i zrobi wszystko, by jej pomóc. Była dobrym prawnikiem, mądrą, oddaną swojej pracy kobietą.

Problem polegał na tym, że miała zbyt wysokie mniemanie o ludziach i nie mogła uwierzyć, że potrafią być aż tak podli. Powinna zostać Murzynką na kilka tygodni.

To uzupełniłoby jej edukację. Jada doszła do przekonania, że nie ma rzeczy, kłamstwa, podłości, której Clinton by nie popełnił. Miała tylko nadzieję, że Kam też jest w tym dobra.

Wrzuciła szminkę do torebki, po raz ostatni sprawdziła uczesanie i skierowała się w stronę drzwi. Musiała jeszcze podjechać po Vivian. Jakby nie dość było nieszczęść, Vivian nie mogła zeznawać z powodu wypadku - jeżeli faktycznie był to wypadek. Jada martwiłaby się o Vivian znacznie bardziej, gdyby miała wolną głowę, w tej chwili jednak myślała tylko o tym, by przetrwać dzień.

Może w drodze do sądu zajadą na stację benzynową i spróbują kupić jakieś rajstopy. Zatrzymała się w progu i obejrzała. Kuchnia, w przeciwieństwie do reszty domu, była stosunkowo przytulna i Jada zastanawiała się, czy zasiądzie tu dzisiaj z dziećmi przy stole. Obiecała Bogu, że już nigdy nie będzie wyrzekała na podłogę z dykty i niewykończone szafki. A może to Clinton będzie tu siedział, popijając piwo, podczas gdy Tonią będzie czekała na niego w sypialni na górze.

Kiedy Jada zajechała przed jej dom, Vivian nakładała kolejną warstwę pudru na pokiereszowaną twarz. Krytycznym okiem oceniła swoje dzieło. Opuchlizna niemal zesza, a siniak zmienił barwę z purpurowej na żółto-zie-loną. Próbowwała ukryć go pod grubą warstwą podkładu i pudru. Uznała, że wygląda nieźle, o ile można wyglądać nieźle z ciastem naleśnikowym na twarzy. Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, łyknęła xanax i nie bacząc na to, że dzień jest wyjątkowo chmurny, wsunęła na nos okulary. Zamierzała służyć Jadzie jako podpora duchowa, drętwiała jednak na myśl o wejściu na salę rozpraw.

Frank spał. Zdumiała ją, że nie obudził się, kiedy wstawała, przespał cały poranny obrządek wyprawiania dzieci do szkoły. Przyszło jej do głowy, że on nie śpi, tylko leży, kontempluje swój gniew czy może żal. Było jej wszystko jedno. Od czasu wypadku sypiała tylko popołudniami, skulona na brzeżku łóżka, gotowa się poderwać w każdej chwili. Wieczorem oglądała telewizję, dopóki on nie poszedł na górę. Wtedy przysypiała na kanapie, nękana koszmarami.

Matka była jedyną osobą, która ją biła i to tylko po pijanemu. Teoretycznie Vivian wiedziała, że istnieje coś takiego jak zdrada, kłamstwo i przemoc w małżeństwie, ale przecież nie w jej własnym! Wybrała Franka, ponieważ był bezpieczny, opiekuńczy, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Teraz doświadczyła i kłamstwa, i przemocy.

Oczywiście Frank natychmiast ją przeprosił. Płakał, obejmował ją, gładził po włosach. Pozwoliła mu, choć nie chciała, żeby jej dotykał. Potem próbował się z nią kochać i to oburzyło Vivian bardziej niż to, że ją uderzył. Zemdlilo ją na myśl, że mógłby całować jej siniaki, że mógłby w nią wejść, błagając o przebaczenie.

Odepchnęła Franka i tylko popatrzyła na niego spod zapuchniętej powieki.

- Czy już wszystko dobrze? W porządku? - pytał.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - powiedziała lodowatym tonem. - Ale w tej chwili nie chcę o tym rozmawiać.

Od tamtej pory traktowała go z nieprzejednanym chłodem, ale Bogiem a prawdą, nie wiedziała, jak postąpić. Odejść od niego w chwili próby? Rozmawiać? Wysłuchać jego kłamstw? Zagrozić odejściem?

Wolała nie myśleć, co się stanie, kiedy Frank odkryje brak pieniędzy, kiedy zrozumie, że usunęła je ze skrytki i wyniosła z domu. Czy przydarzy się jej kolejny wypadek? Odruchowo podniosła dłoń do policzka.

Przez trzy dni z rzędu odwoływała trening z Jada, po raz pierwszy od lat. Wyjaśniła, że spadła ze stołka podczas kłótni z Frankiem. Jada nic nie powiedziała, co oznaczało, że ma poważne wątpliwości.

Dzieci zauważyły siniak pod okiem matki, chociaż ilość pudru, jaką nałożyła na twarz wystarczyłaby do zamalowania okna. Teraz, po kilku dniach mogła się już pokazać ludziom, Kam uznała jednak, że nie powinna zeznawać przed sądem.

Wyszła przez kuchenne drzwi, nie zostawiwszy Frankowi żadnej wiadomości.

Będzie w domu na długo przed powrotem dzieci ze szkoły. Zamierzała zaprowadzić Jenę do fryzjera. Zamknęła za sobą drzwi domu, gotowa wesprzeć przyjaciółkę, choćby tylko swoją obecnością.

Jada nie miała nawet czasu ochłonać po oświadczeniu wstępnym Kam, kiedy Creskin wezwał ją na podium dla świadków. Wziął ją w krzyżowy ogień pytań, ale trzymała się dzielnie i jej zeznanie wypadło dobrze. Kam musiała odnieść podobne wrażenie, bo kilkakrotnie skinęła głową. Pamiętna wskazówek pani mecenas Jada odpowiadała krótko, ważąc każde słowo. Zeznała, że poszła do pracy, żeby utrzymać rodzinę. Powiedziała, w jakich godzinach pracuje, kładąc silny nacisk na fakt, że rzadko brała nadgodziny i prawie nigdy nie wyjeżdżała służbowo. Creskin pozwolił sobie na sarkazm i rozpoczynał zbyt wiele zdań od „czy to prawda, że”, ale był dobry. Naciskał jęmocno w kwestii narkotyków i zgodnie z zaleceniem Kam Jada dała upust emocjom.

- Jestem praktykującą chrześcijanką - powiedziała z gniewem. - Nie piję alkoholu i nie zażywam narkotyków.

Creskin chciał drażnić temat, ale Kam zgłosiła sprzeciw.

Podczas przesłuchania Kam udało się przemycić kilka informacji dotyczących problemów pożycia z Clintonem, chociaż Creskin zgłaszał sprzeciw przy każdym zdaniu. Jada była szczęśliwa, gdy mogła już zejść z podium i wrócić na miejsce obok Kam. Teraz na świadka powołano jej obmierzłą teściową.

- Jak często była pani zapraszana do domu synowej? - zapytał George Creskin.

- Nieczęsto. Czulałam, że nie jestem tam mile widziana.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - powiedziała Kam, chociaż Jada musiała przyznać, że teściowa mówi prawdę.

- Podtrzymuję - odrzekł sędzia. - Proszę ograniczyć się do faktów, pani Jackson.

Jadą przeraziła wielka brzydka sala z ostrymi jarzeniówkami na suficie. Czuli się w niej jak długa, czarna linia, za wysoka, za chuda, zbyt czarna. Siedziała teraz przy stole z Kam i Michaeliem Rice'em. Jej mąż znajdował się na przeciwległym końcu sali, przy innym stole.

Spodobał się jej sędzia Sneed. Sprawiał wrażenie człowieka, który mocno stąpa po ziemi i nie toleruje żadnych głupstw. Z pewnością dojrzy prawdę w ich historii - kłeskę Clintona, jej nadopiekuńczość. Jej poświęcenie dla rodziny. Teraz patrzył na panią Jackson.

Jada omal nie parsknęła śmiechem na widok teściowej. Baba była wypucowana do czysta i ubrana odpowiednio do swojej roli. Grała staroświecką matronę, filar rodziny: ciemnoniebieska garsonka, bladoniebieska bluzka i kapelusz. Kapelusz z malutką woalką! Przez wszystkie te lata Jada nie widziała jej porządnie uczesanej, co dopiero w kapeluszu! Pani Jackson przywodziła na myśl staroświecką starszą damę, członkinię chóru kościelnego, nie latawicę, którą faktycznie była. Na podium stała kobieta, która dzień w dzień zostawiała synka samego w domu, żeby pójść do baru przy dworcu kolejowym w Yonkers. Clinton sam szykował sobie kolację i kładł się do łóżka, od kiedy skończył siedem lat. I ta egoistyczna, słaba kobieta została zawezwana tu na życzenie Clintona i świadczyła, że ona, Jada, jest złą matką? Jada miała wrażenie, że wszystkie kanony przyzwoitości zostały złamane i nie pozostaje jej nic innego, jak wstać i powiedzieć sędziemu, woźnemu, stenografistce i wszystkim zgromadzonym, z jaką bezczelną maskaradą mają do czynienia. - Co pani widziała, kiedy odwiedzała pani swojego syna i wnuki? - zapytał pan Creskin.

- No więc, Wysoki...

- On jest mecenasem Creskinem - przerwał jej sędzia. - Do mnie proszę się zwracać Wysoki Sądzie.

Pani Jackson popatrzyła na niego przepaszająco.

- Bardzo przepraszam Wysoki Sąd. Ale jestem nienawykła. Moja rodzina nigdy nie miała takich kłopotów. - Odwróciła się do Creskina, skłaniając głowę. Powtórzył pytanie. - Wraciała do domu późno. Mój syn musiał nakarmić i umyć dzieci. Cały dzień się nimi opiekował. Potem ona wracała, zmęczona i zła, wyrzekając na tę bankową posadę. Sztorcowała dzieci, a zdarzało się, że któremuś dała klapsa.

Jada uniosła się z krzesła, kiedy pan Rice położył dłoń na jej ramieniu i wskazał notatnik leżący przed nią na stole. „To kłamstwo!” nabazgrała. „To wszystko są kłamstwa”. Kam przechyliła się ku niej.

- Nie martw się - szepnęła Jadzie do ucha. - Zdyskredytujemy ją jako świadka.

Przylapiemy ją na kłamstwie i podważymy zeznania.

Ta wiadomość pozwoliła jej wysłuchać dalszego ciągu przesłuchania. Pan Creskin zapytał następnie o stan, w jakim znajdowały się dzieci, kiedy Clinton przywiózł je do pani Green.

- Och, to takie smutne - powiedziała pani Jackson.
- Dzieci były smutne, ponieważ zabrano je od matki?
- Chciałam powiedzieć, że były w takim smutnym stanie. Nie myte z tydzień. Miały na sobie brudne ubrania, od dawna nie były kąpane. Była trzecia rano. Clint przywiózł je, bo ona siedziała u tych narkomanów w dole ulicy. - Pani Jackson popatrzyła na Jadę.
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Kam wstała, ale Jada nie mogła dłużej tego słuchać. Pochyliła głowę, żeby stara wiedźma nie widziała jej cierpienia. Nie da jej tej satysfakcji. Kłamstwa. Same kłamstwa.
- Proszę kontynuować - głośno powiedział Creskin, gdy sędzia uchylił sprzeciw.
- Tak, tak. - Pani Jackson przesunęła językiem po ustach, nie wiadomo, ze zdenerwowania czy w oczekiwaniu na dalszą rozkosz. - Ona i ta kobieta - biała, bez obrazy - spotykały się dzień w dzień. No, człowiek by się spodziewał, że moja synowa, kobieta mająca pracę, męża i dzieci, zechce pobyć trochę w domu. Ale gdzie tam! Tej nocy, kiedy mój chłopiec przywiózł dzieciaki, nawet nie wiedziała, że nie ma ich już w domu. Była z przyjaciółką. Grubo po północy. - Łzy wezbrały w oczach pani Jackson, wyjęła z torebki nieskazitelnie czystą chusteczkę. Jada wiedziała, że ta kobieta w życiu nie miała czystej chustki i zastanowiła się przelotnie, kto ją zaopatrzył w te rekwizyty, pan Creskin czy Clinton. Jej teściowa osuszyła starannie oczy. -Moje wnuki były smutne, zmęczone, głodne i brudne. A ona...
- Proszę sprecyzować, kogo ma pani na myśli mówiąc „ona”.
- Jadę Jackson. Nawet nie zadzwoniła, żeby się o nie dowiedzieć. Aż trudno uwierzyć. Mam automatyczną sekretarkę i wszystkie nagrania z tamtej nocy. Nawet nie zadzwoniła.
- „Kłamie”, napisała Jada. „Dzwoniłam dziesięć razy. Nie odbierali telefonu”.
- Nie martw się - szepnęła Kam. - Zneutralizujemy babsko. Mam coś na nią. Kam wstała i obciągnęła żakiet. W swojej praktyce zaledwie kilka razy przesłuchiwała świadka przed sądem i była zdenerwowana, ale ufna we własne siły. Wiedziała, że nie powinna wydać się zbyt agresywna, zbyt okrutna dla tej miłej starszej pani.
- Pani Jackson, wiem, że to dla pani trudne, ale muszę zadać jeszcze kilka pytań - zaczęła.
- Pani Jackson skinęła ostrożnie głową. Kam zadała kilka nieistotnych pytań dotyczących dat i kiwała potwierdzająco głową po każdej odpowiedzi. Potem zapytała:
- Powiedziała pani, że kiedy syn przywiózł dzieci, były w bardzo złym stanie?

- O, tak! - przytaknęła pani Jackson skwapliwie. - Były brudne. A od małej cuchnęło moczem.

- A więc ich ubrania były brudne? Pani Jackson skinęła głową.

- Proszę odpowiedzieć głośno - pouczył ją sędzia Sneed. Kam popatrzyła na niego po raz pierwszy i zaryzykowała leciutki uśmiech. Nie uzyskała nic w zamian. Pan Sneed zerknął na zegarek, po czym przeniósł wzrok na świadka.

- Tak - powiedziała pani Jackson bardzo głośno. - Miały brudne ubrania i płakały.

- Czy nie zeznała pani, że to syn opiekował się dziećmi? Czy mogłabym prosić o odczytanie tego fragmentu zeznań pani Jackson? - zwróciła się Kam do stenografistki. - Mówiła, zdaje się, że spędzał cały dzień, opiekując się dziećmi. Odnalezienie żadanego fragmentu zeznań zajęło stenografistce trochę czasu, ale w końcu odczytała bezbarwnym tonem: „Mój syn musiał nakarmić i umyć dzieci. Cały boży dzień się nimi opiekował”.

- Dziękują - powiedziała Kam, starając się, by w jej głosie nie znać było zadowolenia. To będzie łatwiejsze, niż przypuszczała. - Więc, jeżeli to, co pani powiedziała jest prawdą, żadne z dzieci nie było brudne lub głodne. Chyba że to nie pani syn się nimi opiekował. Więc, jak to było?

Pani Jackson poruszyła się niespokojnie.

- Były brudne. Ich matka...

- Zgodnie z pani zeznaniem, ta sprawa w ogóle nie dotyczy ich matki. Czy to pani syn nie wypełnił swoich obowiązków, czy dzieci były zadbane?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Panna Lopez stara się zdezorientować świadka - zawołał Creskin.

- Podtrzymuję. Ale rozumiem, do czego zmierza panna Lopez. - Sędzia Sneed zwrócił się do Kam. - Proszę inaczej sformułować pytanie.

Pani Jackson wyjęła chusteczkę i otarła nią górną wargę. Dobrze, pomyślała Kam. Wolą, żeby straszą pani zaczęła się pocić niż płakać.

- Jeżeli dzieci były brudne i głodne, dlaczego pani syn ich nie umył i nie nakarmił?

- Powiedziałam prawdę! Były brudne. Ale mój syn był zajęty. Szukał pracy. Tylko tego jednego dnia nie zajął się nimi jak należy.

- Rozumiem - powiedziała Kam. - A od jak dawna Clinton Jackson szuka pracy? - zapytała obojętnym tonem, skrywając radość.

- Och, od bardzo, bardzo dawna.

- Więc od jak dawna jest bez pracy?

Pani Jackson spojrzała na boki, jakby nagle dostrzegła zamykające się ściany pułapki.

- No, brał jakąś robotę od czasu do czasu.

- Więc czasem pracuje i nie może zajmować się dziećmi? - Kam podniosła trochę głos, jakby z powątpiewaniem.

- Może! Cały czas się nimi zajmuje. - Pani Jackson nastroszyła się jak stara indyczka. - Tylko nie ma stałej pracy, od kiedy jego firma upadła.

- A jak dawno temu upadła?

- No, trudno powiedzieć. Może cztery lata temu... a może sześć. Kam wiedziała, że musi posuwać się bardzo ostrożnie, ale uznała, że warto zaryzykować.

- Więc cztery lata czy sześć? To duża różnica.

- Chyba... - Wzrok pani Jackson pobiegł ku George'owi Creskinowi. Musiała odebrać jakiś sygnał, bo zakończyła zdanie stanowczo, z urażoną godnością. - Nie pamiętam dokładnie.

Kam powstrzymała uśmiech. Nadszedł czas, by zrzucić pierwszą bombę.

- Pani Jackson, czy ma pani problem alkoholowy? - Kam pozwoliła sobie na krótkie spojrzenie za siebie, na Creskina, w oczekiwaniu sprzeciwu. Jednak adwokat nie zgłosił zastrzeżeń.

- Nie! Kto to powiedział?! To oszczerstwo - zawołała obrażona pani Jackson.

Sędzia Sneed popatrzył na Creskina.

- Panie Creskin, zezwala pan na tę linię przesłuchania?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Creskin uśmiechał się nieznacznie. - Mój świadek nie ma nic do ukrycia.

Sędzia spojrzął ponownie na zegarek.

- No dobrze, zobaczymy dokąd nas to zaprowadzi - wyraził zgodę Sneed, ale Kam wyczuła jego zniecierpliwienie. Musiała przejść do rzeczy, i to szybko, wykorzystać materiały, za które słono zapłaciła agencji detektywistycznej.

- Pani Jackson, czy była pani kiedyś aresztowana? - Kam rzuciła kolejne spojrzenie Creskinowi, licząc na to, że go zaskoczyła. Uśmiezek zniknął i jego twarz nie wyrażała już nic. Kam pomyślała, że nie chciałyby grać z nim w pokera, po czym uświadomiła sobie, że ta rozgrywka toczy się o większą stawkę. Zwróciła ponownie całą uwagę na panią Jackson, która ocierała teraz chusteczką czoło.

- Zdaje się, że raz - przyznała starsza pani.

- Zdaje się pani? Czyli, że pani nie pamięta?

- Pamiętam, ale nie jestem z tego dumna.

- Czy nie została pani aresztowana za zakłócanie porządku publicznego? Oraz za stawianie oporu funkcjonariuszom?

Bingo pomyślała Kam, rzucając szybki uśmiech Jadzie i Michaelowi.

- Tak - wyszeptała pani Jackson.

- Nie słyszymy świadka! - powiedział sędzia Sneed.

- Tak! - powtórzyła pani Jackson głośniejszym głosem, zwracając się bezpośrednio do Sneeda. - Ale to było dawno temu, Wysoki Sądzie. I zdarzyło się tylko raz.

- Och, chyba więcej niż raz - poprawiła Kam. - Nie otrzymała pani również wezwania na kolegium, i to dwukrotnie, za prowadzenie w stanie nietrzeźwym? Na sali panowała kompletna cisza. Pani Jackson otworzyła i zamknęła torebkę. Trzask zameczka zabrzmiał jak wybuch.

- Tak - przyznała. - Kiedyś piłam. To było bardzo złe, wstydziłam się, ale nie mogłam przestać.

Kam niczego więcej nie było trzeba. Pani Jackson była skończona.

- A więc mogła się pani pomylić, mówiąc...

- Od czterech lat nie tknęłam alkoholu. Bóg mnie ocalił. Wiem, że to było złe, ale od lat nie wypiałam ani kropli, odkąd Bóg pojawił się w moim życiu. Uratował mnie. Nie mogła ucieszyć Kam bardziej. Rzuciła triumfalne spojrzenie Jadzie. Detektyw odwalił kawał dobrej roboty i Kam była przygotowana.

- Wobec tego dlaczego w kwietniu i maju tego roku na spotkaniu Anonimowych Alkoholików przyznała pani w obecności dziesiątków świadków, że znowu pije? Twarz pani Jackson jakby obwisła, zapadła się w sobie. Przez chwilę Kam było jej żal, ale potem odezwał się sędzia.

- Panno Lopez, z tego miejsca sam kierowałem ludzi do rozmaitych anonimowych grup. Czy wie pani, dlaczego nazywają się anonimowe? - Zaakcentował ostatnie słowo. - Ponieważ to, co się dzieje na ich zebraniach nie jest podawane do publicznej wiadomości. Są to informacje zastrzeżone. Programy anonimowych narkomanów i alkoholików czynią ludziom wiele dobrego. Jeżeli zamierzała pani wykorzystać informacje zebrane w AA, grubo się pani przeliczyła. Podważa to nie tylko interesy ludzi, którzy czynią ogromny wysiłek, by wydobyć się z nałogu, lecz godzi w kardynalne zasady funkcjonowania sądu. Nie zezwalam na przesłuchanie prowadzone w tym kierunku. - Spojrzał ponownie na zegarek. - Dziesięć minut przerwy.

- Proszę wstać! - zawołał woźny.

### **Rozdział 34**

Skąd miałam wiedzieć, że ten Sneed nie pozwoli mówić o pijackich wybrykach pani Jackson? Albo że AA są dla niego święci i nietykalni? - zwróciła się do matki.

Popijały kawę w holu budynku sądu rodzinnego. Natalie, Laura i Bill zjawili się na ostatnie - i najgorsze - piętnaście minut przesłuchania. Teraz stali zbici w gromadkę w korytarzu. Kam nie była już pewna ani wygranej w sądzie, ani swojej posady w ośrodku.



- No cóż - powiedziała Natalie kwaśno. - Niektórzy z nas wiedzą, że sam jest AA, od dwudziestu lat, chociaż miał kilka dość głośnych nawrotów. - Natalie westchnęła. - Mogłaś spytać.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - przyznała Kam.

- Michael, ty powinieneś wiedzieć - powiedziała Laura.

- Wiedziałem, że jest anonimowym alkoholikiem, nie wiedziałem tylko, że stosuje taką politykę wobec świadków. W końcu AA to nie stan kapłański. - Potrząsnął głową. - Nie sądzę, żebyśmy mogli teraz zdyskredytować zeznania pani Jackson. Idzie nasza klientka. Okażmy optymizm. Kam, byłaś znakomita.

Na szczęście Jada poszła z Vivian do toalety i nie słyszała tej rozmowy, chociaż Kam podejrzewała, że Jada doskonale zdaje sobie sprawę z potknięcia swojego obrońcy.

Teraz Jada i Vivian dołączyły do ich grupy.

- Ciągle nie mogę dojść do siebie po tym, co usłyszałam - powiedziała Jada. -

Przecież ona kłamała w żywe oczy. Spotkałyśmy Tonie w toalecie, malowała sobie oczy, jakby czekał ją występ w programie Oprah.

Vivian wzięła Jadę za rękę. Kam miała ochotę zrobić to samo, ale ostatecznie poklepała ją tylko po ramieniu.

- Nie martw się - powiedziała. - Twoja teściowa złożyła sprzeczne zeznania. Myślę, że jesteśmy w niezłej sytuacji. Creskin wezwie teraz Tonie. Wykończymy ją w mgnieniu oka.

- Lepiej tam chodźmy - powiedział Michael. - Sędzia Sneed ma bzika na punkcie punktualności. Lepiej go nie drażnić.

- Prawda - powiedziała Laura. - Dał mi kiedyś jedenaście minut na cały krzyżowy ogień. Ale wygrałam. - Popatrzyła na Kam. - Woźny mi powiedział, że Sneed wyjeżdża dzisiaj do swojego letniego domu w Fort Myers. Musisz się sprężyć.

- Co? - zapytała Kam z niedowierzaniem. - On chce to dzisiaj zakończyć? Aleja mam sześcioro świadków! A przede mną jest jeszcze Creskin!

- Toteż mówię: musisz się sprężyć.

- To nie jest proces - przypomniał im Michael. - To tylko rozprawa wstępna. Wyrok nie jest prawomocny.

- Nie, chodzi tylko o orzeczenie tymczasowej opieki i odbycie czyśćca - powiedziała Jada.

Ze swojego miejsca pośrodku sali Vivian przyglądała się Toni Green tak uważnie, jak na to pozwalały przyciemnione szkła okularów. Mizdrzenie się przed lustrem niewiele pomogło kochance Clintona; wyglądała okropnie. Turkusowa, zbyt obcisła suknia wypuklała każdą fałdkę tłuszczu, ciężki makijaż dodawał jej lat. Czy to możliwe, żeby Clinton wolał tę flandrę od

eleganckiej, smukłej Jady? Oczywiście, Tonia Green występowała tutaj w roli opiekunki, nie kochanki. Szkoda tylko, że ubrała się jak latawica. Straszny adwokat - Vivian nie pamiętała jego nazwiska - zadawał jej pytania głównie w odniesieniu do dzieci.

- Co panią najbardziej zaniepokoiło w zachowaniu dzieci, kiedy przejęła pani nad nimi opiekę?

Tonia pochyliła się w stronę sędziego i jej obfite piersi zakołysały się pod tanim materiałem sukni.

- Nie odzywały się słowem przez trzy dni. Opiekuję się dziećmi od dziesięciu lat, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

- Jak pani uważa, dlaczego się nie odzywały?

- Myślę, że się jej bały. Swojej matki. Bały się, że wymierzy im karę. Nie lubiającej.

Vivian zobaczyła, jak Kam się podnosi, zgłaszając sprzeciw, ale nie dosłyszała orzeczenia sędziego. W odpowiedzi na jakieś pytanie adwokata, Tonia powiedziała: - Nigdy nie wspominają matki. Nie tęsknią za nią. A mały Kevon - mój aniołek - już po dwóch dniach wdrapał mi się na kolana i zapytał: Czy będziesz moją mamusią? Vivian zrobiło się mdło. Gdyby któreś z jej dzieci... Ale przecież Kevon tego nie zrobił. Vivian wiedziała, że z całej trójki małych Jacksonów Kevon jest najbardziej przywiązany do matki. Wyobraziła sobie, co musi przeżywać Jada i współczuła jej z całego serca. Marzyła, by wejść na podium i powiedzieć tym ludziom, temu sędziemu, jak bardzo Jada kocha swoje dzieci, jak się o nie troszczyła, dzień i noc, przez ostatnie siedem lat.

Jada przechodziła agonię, ale Vivian czuła, że jakaś część jej obumiera również. „Wolałabym smażyć się na patelni, niż przez to przechodzić”, pomyślała. Bekon może przynajmniej związać się i skwierczeć. Vivian знаła procesy i sale rozpraw tylko z telewizji. Na myśl, że wkrótce znajdzie się tutaj z Frankiem, że będzie stała na podium dla świadków, nękana pytaniami tak długo, dopóki nie zapędzi się w kozi róg i nie przyzna, co znalazła pod podłogą w szafie, zapragnęła wyjść z sali. Została jednak, skupiając myśli na tym, co się przed nią działo. W przerwie zaszyła się z Jada w toalecie i trzymała przyjaciółkę w ramionach, nic nie mówiąc. Mogła być jej znowu potrzebna.

Zdumiewało ją że ludzie nie mówią prawdy. Pani Jackson łągała jak pies, a ta wyfiokowana kłamczucha na podium mówiła, jak bardzo dzieci ją kochają. Vivian zapiekły łyzy. W przerwie Michael powiedział, że to nie jest proces, tylko rozprawa wstępna; jej zdaniem było to ukrzyżowanie. Nawet jeżeli Jada zwycięży - i lepiej żeby tak się stało! - nigdy nie zapomni bólu, jaki jej zadano.

Kam przesłuchiwała Tonia.

- A więc twierdzi pani, że od dawna opiekuje się dziećmi?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Świadek powiedział już, że robi to od ponad dziesięciu lat.

- Zgadza się - przytaknęła kobieta.

Vivian pomyślała, że sędzia chyba nie lubi Kam. Czy to możliwe? Czy to miało znaczenie?

- Ukończyła pani kursy dla opiekunek?

- Sprzeciw Wysoki Sądzie! To nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Próbuję ustalić kwalifikacje i doświadczenie świadka.

- Podtrzymuję!

Vivian pomyślała, że to niedobrze, kiedy sędzia podtrzymuje sprzeciw.

- Prawo stanowe wymaga, żeby opiekunka do dzieci była licencjonowana. Czy ma pani licencję? - zapytała Kam.

- O tak! - Tonia Green uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Mam ją przy sobie. Mam również polisę ubezpieczeniową, na wypadek, gdyby coś się stało dzieciom, niech Bóg broni.

Tonia wyjęła dokumenty z torebki.

- Woźny, proszę mi je podać - zażądał Sneed.

- Wysoki Sądzie, czy mogłaby poprosić o szklanek wody? - odezwała się Tonia.

Sędzia skinął głową i woźny przyniósł wodę. Kam odczekała, aż świadek się napije, po czym kontynuowała przesłuchanie.

- Więc iloma dziećmi opiekowała się pani przez te dziesięć lat?

- Och, wieloma.

- Zechce pani podać nazwiska. Nastąpiła dłuższa pauza.

- Wysoki Sądzie, dostarczymy taką listę później, żeby teraz nie tracić czasu - wtrącił straszny adwokat. Vivian mogła się założyć, że Tonia nigdy przedtem nie miała pod swoją opieką dziecka.

- Dobrze - zgodził się sędzia. - Proszę kontynuować.

Nawet Vivian, ze swojego miejsca w tyle sali, dostrzegła zaskoczenie Kam.

Pozostawało tylko wierzyć, że Kam ma naprawdę dobrego haka na tę Tonie.

- Czy z pani doświadczenia zawodowej opiekunki nie wynika, że dzieci wywiezione z domu w środku nocy, oderwane od matki, mogą być ciche przez parę dni? Czy nie może to być wywołane szokiem lub tęsknotą za domem?

- Och, takie dzieci zawsze płaczą za mamą. Ale nie małe Jacksonów.

- A iloma dziećmi opiekowała się pani w swojej karierze?

Vivian widziała, jak kobieta kręci się niespokojnie na krześle, wachlując twarz złożonym kawałkiem papieru. Na sali nie było gorąco, Vivian siedziała w płaszczu. Dobrze, pomyślała, niech jej będzie gorąco. Pragnęła, by Kam usmażyła wstrętne babsko na różnie.

- Zna pani nazwisko lekarza małych Jacksonów? - pytała dalej Kam. Tonia potrząsnęła głową. - Co by pani zrobiła, gdyby któreś z nich zachorowało?

- Zawiozłabym je do szpitala, albo zadzwoniła pod 999 - powiedziała Tonia bardzo dumna z siebie. Vivian w życiu nie słyszała podobnej bzdury. Matka trójki dzieci kontaktowała się z pediatrą przeciętnie raz w tygodniu. Vivian miała nadzieję, że sędzia o tym wie.

- Jakie są ich ulubione programy telewizyjne?

- Och, cały czas oglądają telewizję - powiedziała Tonia z ulgą.

- Pozwala im pani oglądać telewizję bez przerwy? Uśmiech zniknął z twarzy Toni.

- No, nie. Wcale nie.

- Więc jakie programy pozwala im pani oglądać? Co oglądają najchętniej?

- Nie wiem.

- Pani Green, pobiera pani opłatę za swoje usługi. Mimo to nie zna pani nazwiska lekarza dzieci, ich ulubionych programów telewizyjnych. Właściwie, do czego prowadzą się pani usługi? - Kam nie dała świadkowi czasu na odpowiedź. - Czy to prawda, że piątego i ósmego listopada Clinton Jackson wyszedł od pani o trzeciej nad ranem?

- Nie pamiętam.

- To było zaledwie przed dwoma tygodniami, a pani nie pamięta? Nie pamięta pani również nazwisk swoich podopiecznych. Ma pani spore luki w pamięci.

Babsztyl pokręcił się na krześle, popił jeszcze trochę wody, po czym pochylił się lekko nad barierką.

- Już sobie przypomniałam. Pan Jackson przyszedł porozmawiać o dzieciach. Raz, dlatego że Kevon budził się z płaczem, a za drugim razem przyniósł książkę, która potrzebna była do szkoły.

- Przyszedł o dziewiętnastej trzydzieści i pozostał do trzeciej w nocy? -zapytała Kam. - Zanim pani odpowie, chcę uprzedzić, że mam świadka -powiedziała Kam ostrzegawczo.

Vivian zacisnęła mocno kciuki. Tak! Nareszcie sprawy potoczyły się właściwym torem, jak na filmie. Miała nadzieję, że Jada czerpie z tego tyle samo przyjemności, co ona.

- No, raz rozmawialiśmy bardzo długo o dzieciach, ponieważ pan Jackson bardzo się o nie martwił. - Tonia urwała na chwilę. - A za drugim razem zasnął na kanapie, taki był zmęczony. Zasnął w połowie zdania.

Gówna prawda! pomyślała Vivian. Widziała wyprostowane, kształtne plecy Jady.

Jada była wspaniałą matką, była dobrym człowiekiem i taką piękną kobietą.

Dlaczego musi wysłuchiwać tych bredni? Babsztyl na podium, w tej idiotycznej sukni, z wielkimi obwisłymi piersiami był...

I wtedy Vivian rozjaśniło się w głowie. Przecież sędzia, w ogóle żaden mężczyzna, nie uwierzy, że Clinton wymienił uroczą Jadę na krowę pokroju Toni Green. To dlatego starała się wyglądać tak niepociągająco. „To nie jest

rzeczywistość", pomyślała Vivian. „To teatr”. Przypomniała sobie proces maniaka-punka, który wystrzelał w przyływie szaleństwa pół restauracji, a potem zjawił się w sądzie w ciemnym garniturze, uczesany starannie z przedziałkiem z lewej strony.

- Pani Green, czy to prawda, że od miesiący utrzymuje pani seksualne stosunki z Clintonem Jacksonem?

Parę rzeczy stało się naraz.

Tonią wydała zduszony jęk, jakby właśnie odbywała jeden z tych stosunków, o jakie oskarżała ją Kam. Szklanka spadła na podłogę. Obleśny adwokat wrzeszczał, Kam powtórzyła pytanie, albo zadała nowe, w ogólnym zamieszaniu Vivian nie słyszała jej głosu. Tonią zachwiała się, upuściła swój wahlarz i opadła ciężko na barierkę. Jej obrońca poderwał się z miejsca i wybiegł na środek.

- Wysoki Sądzie, pani Green cierpi na wysokie ciśnienie i migreny. Obawiam się... Tonią Green kiwnęła się mocniej i tylko barierka uchroniła ją przed upadkiem z podium. Kam i Creskin rzucili się w jej stronę.

- Chyba zemdlą, Wysoki Sądzie - oznajmił Creskin.

- Woźny, proszę wezwać pielęgniarkę - zarządził sędzia. - Przerwa na lunch.

Będziemy kontynuować, kiedy świadek poczuje się lepiej.

Urzędnik sądowy i woźny pomogli Toni zejść z podium. Vivian nie spuszczała wzroku z obleśnego adwokata i mogłaby przysiąc, że kiedy Tonie Green wyprowadzano z sali, George Creskin puścił do niej oko.

- Proszę wstać - zawołał woźny, wróciwszy na salę. Wszyscy powstali, z wyjątkiem Vivian, która tkwiła na swoim miejscu, przejęta grozą i pogardą.

## **Rozdział 35**

Nie jest dobrze? - zapytała Kam Michaela Rice'a. Wzruszył ramionami. - Skąd Tonią ma licencję? Przecież sprawdziliśmy! - Creskin stosuje wszystkie możliwe chwytaki. Ustaliłaś, że ona nie ma pojęcia o zajmowaniu się dziećmi, że mąż składał jej nocne wizyty. Wtedy ona mdleje, bo ma migrenę. Większość sędziów nie poszłaby na to, ale nasz pan Sneed jest z natury niecierpliwy, a na dodatek ma samolot o szóstej. To nie działa na naszą korzyść. Chce szybko załatwić sprawę i jechać na urlop. - Michael uśmiechnął się do Kam. - Zrozum, dla niego to nie jest pierwsza sprawa i nie ma osobistego stosunku do pozwanej. To bardzo utrudnia, prawda? - Nie czekając na odpowiedź Kam, poklepał ją pocieszająco po ramieniu. - Idzie nam stosunkowo nieźle.

Ale Kam wiedziała, że to nieprawda.

- Wiedziałaś o alkoholizmie Sneeda? - zapytała. Gdyby tylko nie wytknęła tego pani Jackson!

- Tak, przepraszam. Chyba starałem się o tym zapomnieć. Moja żona należała przez jakiś czas do AA. Zawoziłem ją na spotkania i kilka razy natknąłem się na Sneeda. Kam nie wiedziała, czy ma powiedzieć, że jej przykro, czy ma nic nie mówić. Ugryzła swoją kanapkę z indykiem. Nie smakowałyby jej, nawet gdyby nie pochodziła z sądowej kantyny, gdzie wszelki smak usuwano z potraw chemicznie. Każdy kęs rósł jej w ustach.

- Kiedy on skończy przesłuchiwać świadków, powołasz naszego biegłego od opieki nad dziećmi, naszego pracownika społecznego i może jeszcze raz Jadę. Rano świetnie sobie poradziła.

- Nie wiem, czy powinnam ją wzywać. Zaczyna się rozklejać i trudno jej się dziwić.

- Właśnie tu idzie. Nie wygląda na kogoś, kto ma się zamiar rozkleić.

Vivian i Jada szły ku nim korytarzem. Były w toalecie, poprawiały makijaż i Kam wiedziała, że jej też by się to przydało, powinna coś zrobić z włosami, z twarzą. Chciała jednak porozmawiać z Michaeliem w cztery oczy, teraz zaś musiała pocieszyć i przygotować swoją klientkę na to, co ją jeszcze czeka.

Jada tylko wzruszyła ramionami i spokojnie usiadła, zakładając nogę na nogę. Kam zauważyła oczko w rajstopach, ale nic nie powiedziała. To Vivian odezwała się pierwsza.

- Można nominować świadków do Oskara? - zapytała. - Niektórzy z nich są tego warci. - Usiadła obok Jady, przechylając się ku Kam. Mówiła dalej, chociaż w jej głosie drżała nutka strachu. - Nie chciałam zeznawać z powodu mojej twarzy, ale zmieniłam zdanie, Kam. Oczywiście może się skończyć na tym, że i ja zemdleję. Ale Jada jest wzorową matką! Potrafiłaby wymienić wszystkie zabawki, jakimi kiedykolwiek bawiła się Shavonna. Numer telefonu pediatry zna na pamięć, może wyrecytować alergie Kevona w porządku alfabetycznym. Mogę na to wszystko przysiąc.

Kam skinęła z uśmiechem głową. Wyobraziła sobie ze zgrozą przebieg przesłuchania Vivian przez Creskina. „Pani Russo, proszę powiedzieć sądowi, kiedy pani mąż został oskarżony o handel narkotykami?”

- Myślę, że to nie będzie konieczne - powiedziała. - Michael ma specjalistkę z instytutu rozwoju dziecka w Yale, która zgodziła się świadczyć na naszą korzyść. Mamy również bardzo drogiego biegłego od spraw narkotyków.

- Czy to legalne? - zdziwiła się Vivian. - Czy jego opinia może uchodzić za obiektywną, skoro mu płacicie?

Kam kiwnęła krótko głową, nie miała teraz czasu wdawać się w wyjaśnienia.

- To typowa procedura. Wszyscy najmuja biegłych, o ile ich oczywiście na to stać. Ekspertyza jest droga, ale nie możemy sobie pozwolić na oszczęd-

ności. I ta pracownica społeczna... - Kam zajrzała do papierów. - Tak, pani Elroy. Możemy ją zneutralizować. Jej kolega po fachu zaświadczy, że jest uprzedzona, zezna, że wpłynęło na nią mnóstwo skarg. W tym momencie podszedł do nich Bill.

- Kam, czy mógłbym zamienić z tobą słowo? - zapytał. Podążyła za nim na drugi koniec zatłoczonej stołówki.

- O co chodzi? - zapytała, kiedy Bill przestał kluczyć i zatrzymał się przy automacie z wodą.

- Pani Innico jeszcze nie ma.

- Zadzwoń do jej biura i...

- Dzwoniłem. Nic nie wiedzą, jej domowy numer nie odpowiada, nie odpowiada również komórka.

Nie chcąc pokazać po sobie strachu, Kam sięgnęła po papierowy kubeczek i napełniła go wodą z pojemnika.

- Jest jeszcze czas, Bill. Wezwę kilku świadków przed nią. Informuj mnie na bieżąco. - Kam przełknęła wodę jakby to był mocny trunek, zgmiotła kubek i wrzuciła do kosza pięknym łukiem, niby zawodowy koszykarz.

„Tylko spokojnie!“. Wróciła do swojej klientki, maskując strach uśmiechem.

- Uważam, że nieźle nam idzie - powiedziała. Spojrzała Jadzie w oczy. - Nie wiem tylko, czy wezwać cię ponownie. Rano świetnie się spisałaś, ale teraz wzięłby cię w obroty Creskin. - Kam próbowała się uśmiechnąć. Jada sprawiała wrażenie wyczerpanej.

Michael wyciągnął ręce do obu kobiet.

- Mamy tu jedną kanapkę z szynką i jedną z indykiem - powiedział. - Odróżnia się je po kolorze, nie smaku. Ta różowa jest z szynką. Natomiast sałatka z makaronem jest jadalna.

- Litości! - Vivian odwróciła głowę.

- Jak mawiała moja matka - powiedziała Kam ciągle z wymuszonym uśmiechem. - Trzeba jeść, żeby nabrać sił.

- To ty musisz być silna - odparła Jada.

- Liczymy na ciebie.

Kam popatrzyła na odrażające jedzenie.

- Dwie kanibalki siedzą przy kolacji. Jedna mówi do drugiej: nienawidzę swojego męża. Druga spogląda na talerze i odpowiada: To zjedz same kluseczki.

- Widziałam chyba taki film Alfreda Hitchcocka - powiedziała Jada. Vivian nie wydała głosu, za to Michael jęknął głośno.

- No dobrze. Wracajmy na salę i zobaczmy, co nasz znakomity kolega trzyma w zanadrzu. Potem nasza kolej.

Vivian nie wierzyła własnym oczom, kiedy na salę wkroczyła Anna Chenil, cholerna sekretarka Jady i niedawna koleżanka Vivian. Przyszła tu szkalować, czy bronić Jadę? Vivian schowała się za plecami siedzącego przed nią mężczyzny. Nie miała się czego wstydić, wołała jednak, żeby babsztyl jej nie zobaczył. To, co stało się dalej, było zupełnie niewiarygodne: Creskin-padalec wezwał Annę Cherill jako swojego świadka.

- Sprzeciw! - zawołała Kam stanowczo. W jej głosie zabrzmiały ostre nutki. - Świadek nie figuruje na liście, a było dość czasu, by nas powiadomić. Muszę nalegać, by nie wzywano świadka lub poprosić o odłożenie rozprawy.

Sędzia przeniósł wzrok na Creskina.

- Panie Creskin, wie pan doskonale, że sąd nie lubi takich niespodzianek. „Dzięki Bogu, pomyślała Vivian. Mam nadzieję, że porządnie wkurzył Sneed”.

- Wysoki Sądzie, dopiero wczoraj udało mi się zlokalizować świadka. Uznałem, że sąd przez wzgląd na dobro dzieci zechce wysłuchać zeznania, które rzuci światło na sytuację domową Jacksonów.

Sędzia namyślał się przez chwilę.

- Oddalam sprzeciw!

Vivian nie wierzyła własnym uszom. Anna Cherill zajmie miejsce dla świadka i będzie zeznawała przeciwko swojej szefowej? Zeznawała, a jakże! To był koszmar.

- Dla pani Jackson praca jest najważniejsza. Cały czas brała nadgodziny, harowała jak wół, trzeba przyznać - powiedziała Anna, chociaż brzmiało to tak, jakby zamiast przyznawać cokolwiek chciała odebrać wszystko. - Była zawsze w pracy. Czasem dzwoniły dzieci, a ona nawet nie przyjmowała telefonów.

Vivian żałowała, że nie ma pistoletu. Zastrzełiłaby babę. Jak słowo honoru!

- Żał mi ich było - ciągnęła Anna. - Czasem sama z nimi rozmawiałam, żeby nie czuły się takie odtracone. - Gadała i gadała. Vivian była tak wściekła, że jęczała przez zaciśnięte zęby. Zeznanie Anny było niezgodne z prawdą, niesprawiedliwe, stronnictwo i niszczyielskie. Lata zazdrości o Jadę, o czarną kobietę, która zrobiła karierę, teraz dały o sobie znać.

- Nie mam własnych dzieci - przyznała Anna, kiedy Kam wzięła ją w obroty. - Ale gdybym je miała, na pewno nie poświęciłabym rodziny dla pracy zawodowej.

Vivian zadrzała. Kto z sąsiadów, współpracowników i przyjaciół opowie się przeciwko Frankowi, kiedy nadejdzie proces jej męża? Zdawała sobie sprawę, że wrogowie Franka mają o wiele lepszy powód niż Anna Cherill, żeby zeznawać po stronie oskarżenia. Co się stanie z jej rodziną? Wyjęła kolejny xanax i wsunęła tabletkę pod język.



Kam czekała jeszcze jedna niespodzianka. Creskin wezwał „pannę Murchison”. Kam przebiegła wzrokiem listę świadków, raz, drugi, nazwisko na niej nie figurowało.

- Kto to jest? - zapytała półgębkiem. Creskinowi nie ujdzie to na sucho. Pobladła Jada trąciła ją łokciem.

- Zeszłoroczna przedszkolanka Kevona - wyszeptała.

Kam zgłosiła sprzeciw, który ponownie został oddalony. Chwyliła długopis i zaczęła notować, podczas gdy panna Murchison opowiadała, jak to Jada zjawiała się w przedszkolu, rozhisteryzowana i rozkojarzona.

- Wyglądała jak na haju - powiedziała panna Murchison.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - niemal krzyknęła Kam. Sprzeciw został podtrzymany, ale kobieta dalej siała zniszczenie: pani Jackson ubliżała jej, groziła, ciskała książkami po klasie. Kiedy Creskin oddał świadka do dyspozycji Kam, poprosiła o kolejną krótką przerwę. Wyraźnie zirytowany Sneed dał jej pięć minut. Kam, Michael i Jada odbyli krótką, szeptaną naradę.

- To wariatka - powiedziała Jada. - Chyba nigdy przedtem nie miała do czynienia z czarnym dzieckiem. Kazała myć Kevonowi ręce pięć, sześć razy i nadal twierdziła, że są brudne. Nie miała żadnej książeczki, w której bohaterem byłby kolorowy, wyjąwszy „Małego Murzynka Sambo”. Naprawdę nie wiem, skąd to wzięła.

Poszłam do niej i faktycznie byłam wściekła. Rzuciłam książką, ale był to „Sambo”! Poza tym przyniosłam tuzin innych pozycji. I powiedziałam, że zrobię wszystko, by została zwolniona, jeżeli jeszcze kiedykolwiek każe mu umyć ręce więcej niż raz.

- Poszłaś do kierowniczkę? - zapytał Michael Rice.

- O tak! Ale ona stara się przede wszystkim nie angażować w takie historie.

Wysłałam również list do niej i do rady szkoły.

Kam czuła, że sprawa wymyka jej się z rąk. Miała tylko dwie minuty na opracowanie strategii. Spojrzała na Michaela.

- Gdybyśmy mieli czas - powiedział - moglibyśmy z łatwością obalić te zeznania. Ale nie mamy czasu, a Creskin pogrywa nie fair.

W tym momencie podeszła do nich Vivian.

- Boże, nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Panna Murchison! Przed miesiącem ja też miałam z nią kłopoty. Kazała Frankie'emu przez całe przedpołudnie siedzieć w mokrych spodniach. Mogę to powiedzieć przed sądem.

Kam popatrzyła na zegarek. Creskin robi z tego pokazówkę. „Więc kiedy dokładnie miało to miejsce - przed czy po rewizji? Pani Russo, proszę pokazać sądowi swoje obrażenia i opowiedzieć, skąd się wzięły”.

- Musimy się na coś zdecydować - powiedziała. Popatrzyli na siebie z Michaeliem. Vivian otoczyła Jadę ramieniem.

- To ogromne ryzyko - zwróciła się cicho Kam do Michaela. Wzruszył ramionami.

- Vivian? Creskin może pytać ją tylko o sprawy, które ty poruszysz, skoro jest twoim świadkiem - powiedział. - Ale jeżeli uda mu się otworzyć kwestię narkotyków, jesteś ugotowana.

- Obawiam się, że tak czy inaczej jestem ugotowana.

Panna Murchison wzięta w krzyżowy ogień nie przyznała się wprawdzie do bigoterii, ale była tego bliska. Potwierdziła, że Jada wniosła na nią skargę do dyrektorki i rady szkoły. Nie przyznała się do czytania dzieciom „Małego Murzynka Sambo” - twierdziła, że nie może pamiętać wszystkich książeczek, które czyta na zajęciach - ale nie mogła zaprzeczyć, że rodzice występujący w obronie swoich pociech są z reguły równie rozwścieczeni jak Jada Jackson. Kam zapytała również, czy panna Murchison miała kiedykolwiek do czynienia z ojcem Kevona, a ona musiała przyznać, że nigdy. Kam obróciła jej zeznania na korzyść Jady, przedstawiając incydent jako dowód jej zaangażowania i matczynej troski. Pracownica społeczna, pani Elroy, dowiodła, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Mówiła okropne rzeczy, ale zdyskredytowała się sama. Nie omieszkała poruszyć sprawy testu na obecność narkotyków, ale potem, podpuszczona przez Kam, wygłosiła wykład o macierzyństwie, twierdząc, że pracujące matki w ogóle nie powinny mieć dzieci, że macierzyństwo jest zajęciem pełnoetatowym, bla, bla, bla. Sprawiała wrażenie kogoś, kto ma nie po kolei w głowie i Kam uznała, że zeznania jej koleżanki po fachu wystarczą by podważyć wiarygodność pani Elroy. Tymczasem przedstawiła wynik badania przeprowadzonego w laboratorium stanowym i uznała, że udało się jej zneutralizować zeznania. Zdawała sobie jednak sprawę, że pani Innico, która miała zmiażdżyć Elroy, w ogóle nie pojawiła się w sądzie, a Bill nadal nie mógł się z nią skontaktować. Nie było jej jeszcze pod koniec przesłuchania Elroy i Kam czuła, że za chwilę zwymiotuje kanapkę z indykiem. Pani Innico obiecała, że stawi się w sądzie w porze lunchu, dochodziła druga, a jej nadal nie było. Kiedy Creskin skończył przesłuchanie Elroy, sędzia dał Kam dziesięć minut na przygotowanie świadków.

- Co się mogło stać z panią Innico? - zapytała Michaela.

- Musisz pamiętać, że czasem świadkowie nie stawiają się w sądzie. Fakt, że jej obecność jest taka ważna dla ciebie i twojego klienta, nie oznacza, że nie złapała gumy, nie upiła się przy lunchu, nie spóźniła na pociąg. Czasem ludzie po prostu zapominają albo oblatuje ich strach. Może jeszcze tu dotrze. Pamiętaj, że mamy Annę Pollasky z Yale. Jest wspaniała. Siedzi w holu. Wystrzelimy z grubej rury? Kam namyślała się przez chwilę.

- Nie. Zaczniemy od Clintona Jacksona. Muszę przygwoździć sukinsyna.

Jada miała wrażenie, że powolutku zmienia się w kawał lodu. Od chwili, gdy weszła rano na tę salę i zobaczyła swojego męża w nowym garniturze, w okularach w rogowej oprawie, w okularach, których nie potrzebował, czuła, że stanie się coś niewyobrażalnego. W miarę jak dzień mijał, wątpiła coraz bardziej w swoją zdolność oceny rzeczywistości. Każdy z uczestników tej szarady przedstawiał pogląd tak różny od rzeczywistości, że Jada musiała zamykać oczy i głęboko oddychać, mówiąc sobie, że nie oszalała.

Po lunchu, którego nie tknęła, po zdradzie Anny i nauczycielki z piekła rodem zobojętniała na wszystko. Zaczęła rozmyślać o ulubionych programach telewizyjnych Clintona, o pseudodokumentach, w których kryminalistów grali aktorzy, a policjanci i agenci FBI odtwarzali przebieg nalotów i rewizji. Fikcja udająca dokument. Wszystko to, co działo się tego dnia na sali sądowej było właśnie takim programem i nie miało nic wspólnego z prawdziwym życiem.

Clinton, który stanął na podium dla świadków wyglądał lepiej niż w dniu, kiedy się poznali. Został zaprzysiężony, po czym na żądanie Creskina silnym głosem wyrecytował swoje dane, nazwisko i adres. Jada patrzyła, jak Creskin-scenarzysta czyni z niego ideał czarnego Amerykanina, który miał własną firmę, zbudował dom dla swojej rodziny w bardzo dobrej dzielnicy, i choć borykał się z pewnymi trudnościami wynikającymi z kryzysu gospodarczego, był przekonany, że przetrwa. Całe dni poświęcał na szukanie klientów. Robił to razem z dziećmi. To on zapewniał im opiekę. Zasugerował, że ich dom został pozbawiony matki i żony.

- Czasem odnoszę wrażenie, że ona żyje własnym życiem, że realizuje jakiś własny plan, w którym dla nas nie ma miejsca - powiedział ze smutkiem.

Podczas zeznań Clintona Jada czuła, jak lód topnieje w jej piersi, zmienia się w płynny ołów. Chciała wstać, trzema krokami dopaść podium, strącić mężowi z nosa te głupie okulary, wcisnąć mu z powrotem w gardło kłamliwe słowa. Nie mogła notować, nie mogła utrzymać ołówka w roztrzęsionych dłoniach. Od czasu do czasu Kam dotykała lekko jej ramienia.

- Nie martw się, dopadniemy go - mówiła szeptem. - Wycisnę z niego zaraz kilka faktów, a później wezwę go ponownie i zrobię mu wiwisekcję.

I dotrzymała obietnicy. Spokojnie i pewnie jak chirurg rozcinający skalpelem chore ciało, Kam otworzyła Clintona i ukazała światu mnóstwo brzydkich narządów.

Zapytała o jego dochód z ostatnich pięciu lat i wyszło na jaw, że zmniejszał się systematycznie z roku na rok, aż osiągnął poziom zero. Poprosiła o podanie nazwisk ostatnich klientów, których Clinton rzecz prosta nie miał. Zapytała, czy posiada komputer, wizytówki, telefon komórkowy, jakikolwiek sprzęt biurowy, a on chcąc nie chcąc musiał odpowiadać przecząco.

- Zwalniam teraz świadka, rezerwując sobie prawo do ponownego wezwania - powiedziała Kam. Usiadła, a Clinton, o wiele mniej dziarski, opuścił podium i powłókł się na swoje miejsce.

Jada poczuła się lepiej, ufając, że później Kam wyrządzi mu jeszcze większą krzywdę. Po odejściu Clintona, George Creskin odbył krótką naradę z sędzią i na salę wniesiono ogromny monitor telewizyjny.

- Za zgodą Wysokiego Sądu, pokażę teraz film wideo nakręcony przed dwoma tygodniami. Żona pana Jacksona odwozi dzieci do jego matki po dwugodzinnym widzeniu.

Kam wstała.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Nie wiemy o istnieniu takiego filmu ani o jego treści.

- Pokaz zaoszczędzi nam mnóstwo czasu, Wysoki Sądzie. Wart jest tysiąca słów.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw!

- Wysoki Sądzie, proszę o konsultację na stronie - powiedział Creskin.

- Co to znaczy? - zapytała Jada Michaela. Kam podeszła do ławy sędziowskiej. Och, ci biali ludzie!

- Nie powiadomiono nas o tym - usłyszała szept Kam.

wysłałem... Nie dostaliście? - Tylko tyle wyłapała Jada z odpowiedzi Creskina.

Spojrzała na Michaela, szukając wsparcia, ale on pogłaskał ją tylko po rękę... -

Faksem... potwierdzenie, Wysoki... - Creskin wręczył sędziemu kartkę papieru.

problem z faksem... ale Wysoki Sądzie... - Kam jakby się broniła. Nie było dobrze. -

Nie możemy...

Sędzia powiedział coś i jej przyjaciółka odwróciła się, żeby odejść. Jadzie nie podobał się wyraz jej twarzy. Otrzymała paskudną wiadomość, czy tylko podeszła zbyt blisko obleśnego Creskina?

- Na procesie nie mógłbym dopuścić do prezentacji tego materiału dowodowego, ale ponieważ jest to wstępne przesłuchanie, a obrona przedstawiła dowód wysłania materiału, zezwalam na projekcję filmu - powiedział sędzia.

Ruchem magika George Creskin wydobyl skądś pilota i nacisnął guzik.

Jada patrzyła, jak na ekranie jej własny samochód zatrzymuje się przed rudą teściowej. Musiało to być tego dnia, jak zabrała dzieci do centrum handlowego.

Clinton zrobił zbliżenie płaczącego Kevona, który biegnie w stronę kamery. Potem ukazała się gniewna twarz Shavonny, odpychającej dłoń matki. Płakała nawet Sherrilee, wyrwana z drzemki.

Jada patrzyła w ekran, ale nie wierzyła własnym oczom.

- Dzieci płakały, ponieważ powiedziałam im, że zostają u babci - zwróciła się szeptem do Kam. I wtedy doznała objawienia, niestety zbyt późno. Celowo

powiedziano im, że zostaną z matką - to miało uczynić ich powrót spektaklem.

Clinton był aż tak sprytny, niemal diaboliczny?

Pobladła Kam kiwała głową robiąc notatki.

- Wyjaśnimy to - zapewniła Jadę.

Ale patrząc na film, Jada czuła się jak jeden z tych umęczonych świętych, o których czytała w Biblii. Patrzyła, jak wrywają jej serce z piersi. Jeżeli ci ludzie na sali uwierzą, że dzieci chciały od niej uciec, będzie to równoznaczne z wyrokiem śmierci dla Jady Jackson.

- Wysoki Sądzie, wzywam na świadka pana Clintona Jacksona - powiedziała Kam. Clinton nie był już tym zdruzgotanym człowiekiem, którego pozostawiła na podium. Fakt, że mężczyzna był dumny z nakręcenia takiego filmu mówił sam za siebie.

- Panie Jackson, zeznał pan pod przysięgą, że przez ostatnie lata opiekuje się dziećmi. Czy to prawda? - zaczęła Kam. Clinton skinął głową. Sądowy stenograf poprosił o głośną odpowiedź i Clinton powiedział „tak” odrobinę za głośno. Dobrze! „Daj Boże, denerwuje się, pomyślała Jada”.

- Jaka jest ulubiona potrawa pana najstarszej córki? - zapytała Kam. Clinton zawahał się, wzięty przez zaskoczenie i Jadzie wydało się, że za szklami okularów dostrzega błysk strachu. Omal się nie roześmiała. Wiedziała, że Clinton nie ma bladego pojęcia o upodobaniach swoich dzieci.

- Shavonna lubi pizzę - powiedział w końcu.

- Nie gotuje pan pizzy sam, prawda?

- Nie, zamawiam ją.

- A poza tym co da się zamówić, jaka jest ulubiona potrawa Shavonny? Tym razem zastanawiał się jeszcze dłużej.

- Kotlet mielony - powiedział. - I kukurydza w śmietankowym sosie. „Błąd, pomyślała Jada. To on lubi mielony i kukurydzę w śmietanie. Shavonna lubi makaron z serem i szynką”.

- Proszę nam powiedzieć, jak pan przygotowuje to danie.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nie jest szkoła gotowania. Jeszcze chwila i moja znakomita, młoda koleżanka powoła jako eksperta Bertę Crocker. - Creskin roześmiał się lekceważąco. Jada nienawidziła tego mężczyzny tak bardzo, że obawiała się, że Bóg może jej tego nie przebaczyć.

- Oddalam. Ale proszę się streszczać, pani mecenas - powiedział sędzia.

- Więc jak przyrządza pan kotlet mielony?

Jadzie wydało się, że słyszy chichot Vivian. Clinton nie potrafił przyrządzić kanapki z serem.

- No, wsadzam mięso do takiego długiego garnka...

- Jakie mięso?

- No, takie jak gulasz.

- A kładzie pan coś do tego mięsa?

Creskin westchnął ostentacyjnie, dając do zrozumienia, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Nie - powiedział Clinton. - To znaczy tak! Sól i pieprz! - powiedział z taką dumą, jakby właśnie zdobył Nobla w dziedzinie pomysłowości.

-1 to wszystko? - zapytała Kam.

- Tak, ale wychodzi bardzo dobry kotlet. Dlatego dzieci tak to lubią.

- A jak pan przyrządzą kukurydzę?

- Otwieram puszkę kukurydzy, wlewam trochę bitej śmietany i podgrzewam w garnku.

Kam na chwilę odjęło mowę. Czy sędzia wie, jak absurdalne są „przepisy” Clintona?

-1 twierdzi pan, że z reguły gotuje dla dzieci?

- O, tak!

- A co Kevon najbardziej lubi? George Creskin wstał.

- Sprzeciw Wysoki Sądzie! To nie dotyczy sprawy i...

- Uchylam.

Kam uśmiechnęła się. A więc Sneed wiedział, jakiego głupca robi z siebie Clinton.

- Świadek odpowie na pytanie - zarządził sędzia.

- Spaghetti i klopsy - powiedział Clinton. - Wszystkie dzieci to lubią. -1 jak pan przygotowuje spaghetti i klopsy? - dopytywała się Kam.

- No, biorę opakowanie spaghetti i wrzucam do dużej miski. Potem biorę taką dużą puszkę sosu do spaghetti - Kevon lubi ostry - i podgrzewam. Potem polewam makaron.

Kam uśmiechnęła się do sędziego Arnolda Sneed.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam; świadek bierze pudełko spaghetti, wrzuca zawartość do miseczki i zalewa gorącym sosem?

- Tak - powiedział Clinton. - Gorący sos zmiękcza makaron tak, że nadaje się do jedzenia. Nawet Sherrilee to lubi.

Kam pokręciła głową z niedowierzaniem, na użytek Clintona i Sneed.

- Panie Jackson, czy to prawda, że w pańskim domu żona przygotowuje praktycznie wszystkie posiłki? Proszę pamiętać, że zeznaje pan pod przysięgą!

- Ja gotuję dzieciom! Zawsze! No, prawie zawsze. Kam odwróciła się w stronę sędziego.

- Wysoki Sądzie, chciałabym załączyć do materiału dowodowego dwanaście przepisów na kotlet mielony. Żaden z nich nie wymienia jako składnika mięsa na gulasz, z tej prostej przyczyny, że z takiego mięsa nie robi się kotleta. Nie będę nawet komentować przepisu pana Jacksona na spaghetti. Jak Wysoki Sąd wie, makaron należy ugotować przed spożyciem. Chciałabym dołączyć również fragment rozmowy pracownika społecznego z dziećmi, z którego wynika, że Kevon najbardziej lubi hot dogi z keczupem, bez musztardy, natomiast jego siostra przepada za makaronem z serem. - Kam zwróciła się znowu do Clintona.

- Więc po szkole dzieci są z panem?

- Tak. Również wieczorami.

- Kto jest idolem pana córki? Jak brzmi nazwisko jej ulubionego aktora? Jakiego zespołu najchętniej słucha?

Clinton patrzył na Kam wściekłym wzrokiem.

- Nie wiem - przyznał, po czym poprawił się szybko: - To znaczy, jest ich tyle, że nie jestem pewien którego lubi najbardziej.

Jada patrzyła, jak jej mąż robi z siebie skończonego kretyna i rozkoszowała się każdą chwilą. Ona odpowiedziała na każde pytanie Kam. Znała imię wymyślanego przyjaciela Kevona, wiedziała, że jej córka uwielbia Sonię Benoit, Leonarda DiCaprio i Puff Daddy. Clinton nie wiedział nic, a Kam była bezlitosna.

- Jakiego stopnia ma pana córka, panie Jackson?

- Dobre. Nigdy nie znosiła dwójek.

- Więc jej stopnie nie ucierpiały z uwagi na rzekomy problem z matką? Ha! Tu każda odpowiedź była zła.

- No, może trochę, ale nadal dobrze się uczy. Pomagam jej - kłamał Clinton. - Jest mądrą dziewczynką, jestem z niej dumny.

- Z pewnością - powiedziała Kam łagodnie. - Jak sobie radzi z matematyką?

Na twarzy Clintona ukazał się wyraz niemilego zaskoczenia. Przybierał taką minę, ilekroć żona go na czymś przyłapała.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jeżeli zagłębimy się w takie detale, spędzimy tu miesiąc! - zawołał Creskin.

Kam rzuciła mu złe spojrzenie, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, jeszcze chwila i cel tych pytań stanie się jasny - powiedziała.

- Oddałam sprzeciw. Proszę kontynuować. - Sędzia Sneed spojrział na zegarek.

- Zawsze sobie dobrze radziła - powiedział Clinton.

- Panie Jackson, mam tu wyciąg ze świadectw pana córki nie tylko z tego roku, ale również z trzech poprzednich. Proszę odczytać stopnie z matematyki, zaczynając od świadectwa półrocznego sprzed dwóch lat.

Jada powstrzymała uśmiech. „Dzięki Ci, Panie, pomyślała. „Dziękuję Ci, że moja przyjaciółka jest adwokatem”. Clinton odczytywał żalosne stopnie z matematyki, przyczyną jej bezsennych nocy, w tych cudownych czasach, gdy szkolne niepowodzenia dzieci były jej największym zmartwieniem. „3, 3, 2, 3, 1...” czytał Clinton niechętnie.

- Uważa pan, że są to dobre stopnie?

- Nie. - Chciał coś dodać, ale Kam nie dała mu szansy.

- A teraz proszę odczytać to. - Podała mu listę ocen z czwartej klasy.
- C, A, A, B, A - wymamrotał Clinton.
- Cóż, wygląda na to, że pana córka nie zawsze miała dobre stopnie z matematyki. Chociaż pan zdaje się o tym nie wiedzieć. Czy pamięta pan, co sprawiło, że zaczęła otrzymywać znakomite oceny?
- Clinton rzucił rozpaczliwe spojrzenie Creskinowi.
- Co się stało? - naciskała Kam.
- Odbyliśmy rozmowę. Powiedziałem, żeby przysiadła fałdów. Powiedziałem, że Jacksonowie nie zbierają dwój. Zaczęła się więcej uczyć.
- Panie Jackson, czy mówi panu coś nazwisko Allesio? Pani Allesio?
- Nie - odparł szybko Clinton, jakby się bał, że zostanie oskarżony o to, że z nią sypia.

Jada zaśmiała się w duchu. Wszystkie te godziny spędzone na rozmowach z Michaelem Rice'em opłaciły się z nawiązką.

- Nigdy jej pan nie zatrudniał?
- Nigdy.
- To mnie dziwi. Pani Allesio od dwóch lat udziela Shavonnie korepetycji z matematyki. - Jada patrzyła z przyjemnością, jak Clintonowi rzednie mina. - Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - powiedziała Kam. Odwróciła się w końcu od Clintona i popatrzyła na sędziego.

Przecież on musi rozumieć, że to Jada opiekowała się dziećmi, gotowała im, zabierała je do lekarza, zatrudniała dla nich korepetytorów i broniła Kevona przed bigoterią przedszkolanki. To ona chodziła na zebrania komitetu rodzicielskiego i pielęgnowała dzieci, kiedy były chore. On to z pewnością rozumie.

- Zarządzam krótką przerwę. - Sędzia popatrzył na zegarek. - Piętnaście minut. - Przeniósł wzrok na Kam. - A potem chciałbym, żeby pani zakończyła przesłuchania świadków.

- Wysoki Sądzie - zaczęła Kam, gdy wznowiono posiedzenie. - Chciałabym wezwać jako biegłego doktor Annę Pollasky.

Doktor Pollasky wstała i przeszła przez salę do podium dla świadków. Była wysoką, dystyngowaną kobietą. Wszystko w jej wyglądzie, od siwych włosów upiętych w stylowy kok po szarą garsonkę, zdawało się emanować autorytetem. Doktor Pollasky napisała tuzin książek o opiece nad dzieckiem i wystąpiła w stu programach telewizyjnych. Zajęła miejsce świadka, złożyła przysięgę i usiadła. Kam musiała zakwalifikować ją jako świadka, odczytała więc długą listę stopni naukowych, publikacji i zajmowanych stanowisk. Anna Pollasky była profesorem i dyrektorem Ośrodka Badań nad Rozwojem Dziecka.

Kam czuła już niemal przyjemność, jaką sprawi jej zmiążdżenie pracownicy społecznej, Toni Green i pani Jackson, kiedy George Creskin podniósł się ze swojego miejsca.



- Jestem zmuszony podważyć kwalifikacje biegłego, Wysoki Sądzie. „Co?!” zdumiała się Kam. Również sędzia Sneed uniósł pytająco brwi.

Wszyscy wiedzieli, kim jest doktor Pollasky.

- Proszę o pozwolenie przesłuchania świadka odnośnie do jego uprawnień - powiedział George Creskin i Sneed skinął przyzwalająco głową choć wydawał się nie mniej zdziwiony niż Kam.

- Doktor Pollasky, zeznała pani, że jest lekarzem medycyny licencjonowanym w stanie Nowy Jork?

- Tak - odparła doktor Pollasky spokojnie i pewnie.

- Jest pani pewna?

- Tak. Oczywiście.

- I została pani opłacona, by tu dzisiaj wystąpić?

Było to głupie zagranie, jeżeli Creskin chciał, by pani Pollasky zaprzeczyła.

Niektórzy biegli faktycznie wypierali się pobranego honorarium, jakby uważali to za coś wstydlivego. Pollasky była zbyt doświadczona, by dać się złapać na tak prymitywny chwyt i Creskin musiał o tym wiedzieć.

- Tak - powiedziała. - Przyjęło się, że za czas lekarza się płaci. Zwrócono mi również koszty podróży z New Haven.

Kam zastanawiała się, do czego zmierza Creskin. Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozprawy wyszedł na durnia.

Ale jego plan był bardzo prosty. Wyciągnął z aktówki kilka kartek papieru.

- Obawiam się, pani doktor, że nie ma pani wymaganych uprawnień. Nie jest pani zarejestrowana w tym stanie. - Położył przed nią kartkę papieru, drugą wręczył sędziemu, trzecią Kam. Doktor Pollasky, mocno skonfundowana, popatrzyła na dokument, który miała przed sobą.

- Ale ja jestem zarejestrowana w Nowym Jorku od dwudziestu lat.

- Nie w tej chwili - odparł Creskin. Doktor Pollasky milczała przez chwilę.

- Widocznie sekretarka zapomniała odnowić licencję.

- Bardzo możliwe - odparł Creskin sucho. - Wysoki Sądzie, wnoszę o skreślenie doktor Pollasky z listy świadków. Jeżeli nie jest zarejestrowana w tym stanie, nie może zeznawać. - Creskin uśmiechnął się familiarnie do sędziego. - To samo wydarzyło się w ostatni piątek. Sprawa Franko vs. Lap-stone Oil. Przewodniczył sędzia Sullivan. Słyszał pan o tym? Wykreślili faceta, którego obrona sprowadziła aż z Finlandii.

Kam wiedziała, że precedens jest dla każdego sędziego wyznacznikiem postępowania. Nie miała pojęcia, kim jest sędzia Sullivan ani czego dotyczyła sprawa Franko vs. Lapstone Oil.

- Świadek jest wolny - powiedział Sneed.

Resztę rozprawy Kam przeżyła jak w złym śnie. Wiedziała że strasznie się spieszy, a jednak mogła się poruszać tylko w zwolnionym tempie. Próbowwała,

nie udało się i teraz wyczuwała, że sędzia Sneed stracił zainteresowanie i traci resztę cierpliwości, a ona lada chwila przegra sprawę. Jej biegły od testów narkotykowych, ogólnie znany nowojorski lekarz, był niemrawy i nieprzekonujący i chociaż przewodnicząca komitetu rodzicielskiego zeznała, że Jada Jackson jest zaangażowaną, troskliwą i kompetentną matką, nie było w tym wszystkim dramaturgii, siły. Kam bała się, że to nie wystarczy, że ona nie wystarczy. O szesnastej zakończyła przesłuchiwanie świadków i sędzia Sneed przestał bębnić palcami w pulpit. Spodziewała się, że zarządzi przerwę lub ogłosi, że wyrok przedstawi jutro na piśmie. Nie doceniła go. Podniósł głowę i spojrzał na parę adwokatów.

- Przypominam, że było to przesłuchanie wstępne, zwołane w trybie nagłym, przez wzgląd na dobro dzieci. Zaznaczam, że myślę wyłącznie o nich.

Aha, pomyślała Kam, i o samolocie na Florydę.

- Na tym etapie wydaje się, że zaangażowanie pani Jackson w pracę, jej awanse i godziny pracy nie sprzyjają opiece nad dziećmi. Niepokojąca jest również kwestia narkotyków.

„O mój Boże!”, pomyślała Kam. „Przegrałam. Zawaliłam sprawę”. Rozejrzała się po sali, przerażona, jak zwierzę szukające ucieczki z płonącego budynku. Czowała już niemal smak popiołu w ustach.

- Przyznaję opiekę oraz ograniczone alimenty panu Jacksonowi. Przyznaję pani Jackson prawo do odwiedzin... - Namyslał się przez chwilę - dwa razy w tygodniu, po dwie godziny. Pani Jackson ma dwa tygodnie na opuszczenie domu, zanim może powrócić do niego pan Jackson z dziećmi. - Uniósł sędziowski młotek. - Zamykam posiedzenie.

- Proszę wstać! - zawołał woźny, ale ani Jada, ani Kam nie mogły podnieść się z miejsca.

## **Drugie starcie**

## Rozdział 36

Kam leżała na nowym łóżku w swojej nowej sypialni i gapiła się na swój nowy sufit. Nie miał wprawdzie gipsowych ozdóbek, miał za to jakąś piankową substancję, zapewne rakotwórczą. Kruszyła się, kiedy człowiek spał, nieświadomy i bezbronny, wnikała w płuca i powodowała nowotwór. Albo wady rozwojowe. Kam położyła rękę na swoim zaokrąglonym brzuchu. Miała wrażenie, że jest to jedyna część jej istoty, która żyje.

Nie mogła się pogodzić z sądową porażką. W swoim dotychczasowym życiu nieczęsto doświadczała niepowodzeń. Uczyła się dobrze, była popularna, jeżeli jej na tym zależało, dostała się do dobrej szkoły prawniczej, poznała Reida, zrobiła dyplom, wyszła za męża i załatwiła sobie dobrą pracę. Dopiero gdy Reid spuścił swoją bombę, zrozumiała, że jej małżeństwo jest pomyłką. A teraz doświadczyła klęski zawodowej i wiedziała, że ta klęska będzie ją prześladowała do końca życia. Zawiodła przyjaciela.

Zadzwonił telefon. Kam wyciągnęła ramię, rozwarła dłoń i zacisnęła ją na słuchawce, mechanicznie, jak szczęki dźwigni w szklanych budkach z nagrodami. Czegokolwiek dotyczył ten telefon, na pewno nie był nagrodą, zresztą z automatu też nigdy niczego nie wygrała. Głos matki rozbrzęczał się w słuchawce, zanim zdążyła powiedzieć „halo”.

- Właśnie się dowiedziałam. Ten Sneed jest niebywały! Należałoby pozbawić go prawa wykonywania zawodu. Miałaś, ile? Półtorej godziny na prezentację sprawy? Nie mówię, że nie dałaś plamy. Sneed jest niebywały, ale ty dałaś plamę.

- Witaj, mamo, jak to miło, że dzwonicz - powiedziała Kam słabo.

- To moja wina, nie powinnam przydzielić ci tej sprawy. Okazała się bardziej skomplikowana, niż myśleliśmy. Michael opowiedział mi o małym

zaniedbaniu, jakiego dopuściła się doktor Pollasky. Bill dodzwonił się w końcu do tej pracownicy z opieki społecznej. Jej psa potrącił samochód.

- Czuję się tak, jakby to mnie potrącił.

- Wszystko da się naprawić. Będzie to wymagało trochę czasu i pieniędzy, ale pozwiemy ich i...

- Później, mamó - powiedziała Kam.

- Mam do ciebie wpaść? - zapytała Natalie. - Mogłabym kupić po drodze kilka kanapek z sardynkami. Pamiętasz, jak się kiedyś nimi zajadałaś?

Sama myśl o sardynkach pływających w morzu, a tym bardziej w oleju na kawałku rozmiękłego chleba wystarczyła, żeby Kam zrobiło się mdło.

- Najlepiej zrobi mi odpoczynek, mamó.

- Okay. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nikt cię nie obwinia. No, może ktoś by się znalazł, ale ja obwiniam Michaela.

- Och, mamó!

- Tylko żartowałam - powiedziała Natalie i Kam pozwoliła, by ramię dźwigu opadło, wypuszczając nagrodę z uchwytu szczęk.

Kam położyła się z powrotem, z ręką na brzuchu. Musiała podjąć decyzję w sprawie ciąży. W zasadzie nie miała wyboru. Sama myśl o aborcji była jej nienawistna, ale nie widziała przed sobą innej drogi.

Rzecz w tym, że kochała dzieci i kochała Reida. Przez wszystkie lata ich znajomości, patrząc na niego myślała: „Tak, chcę, żeby to on był ojcem moich dzieci”. Kochała go tak bardzo, że pragnęła, by stał się na zawsze jej częścią. Myśl o dziecku była elektryzująca, ale teraz...

Kam westchnęła ciężko. Zmarnowała sobie życie. Dodatkowo ciążyła jej świadomość, że zmarnowała życie Jadzie Jackson. Nie mogła uwierzyć w przebieg rozprawy, nie mogła uwierzyć, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Nie bolała ją zraniona dumą bolała ją myśl o Jadzie, kobiecie, która przez lata walczyła o rodzinę i swój dom, a teraz poniosła nieodwracalną klęskę.

Kiedy sędzia Sneed wyprysnął z budynku sądu rodzinnego, Kam powlokła się za Jada, Michaeliem i Vivian na parking.

- Co dalej? - zapytała Vivian.

- Nic - odrzekła Jada. - Nic. - I dopiero wtedy zaczęła płakać.

Kam próbowała jąprzepraszać. Vivian trzymała przyjaciółkę za rękę i płakała razem z nią. Michael mówił o apelacji, a potem zabrał Kam do pubu i pomógł jej upić Jada.

- Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę uwierzyć, że nie będę miała moich dzieci - powtarzała Jada. Kam nie piła z uwagi na ciążę, tylko słuchała.

Gdy odwiozła Jada, zapytała Michaela o adres, żeby i jego odstawić do domu.

- Mieszkam tam, gdzie ty - powiedział.

Z początku myślała, że on też się upił, albo, co gorsze, składa jej propozycję, ale okazało się, że mieszka w tym samym ciągu segmentów.

- Dlatego poleciłem ci agenta - wybełkotał.

Wysadziła Michaela przed domem i patrzyła, jak posuwa się zygzakiem w stronę swojej klatki. Poszła do łóżka wyczerpana i trzeźwa, licząc na to, że rano będzie jej lżej na duszy.

Ranek nadszedł, ale ona nie czuła się ani trochę lepiej. Wiedziała jednak, że nie powinna narzekać, ponieważ Jada Jackson z pewnością czuje się gorzej. Kam marzyła o tym, żeby przeleżeć w łóżku cały dzień, cały weekend, ale musiała sprawdzić co z Jada, odwieźć ją na parking przed sądem, gdzie zostawiły volvo.

Wtedy sobie przypomniała. Właśnie na dzisiaj zapowiedział się ojciec. Powiedział, że przyjdzie pomóc „urządzić tę norę”, jak to wdzięcznie ujął. Kam nie czuła się na siłach. Ojciec z pewnością zwolni ją z tego obowiązku, jeżeli go o to poprosi, ale jej odmowa dokona wyłomu w jego weekendowych planach. Dlaczego życie było takie skomplikowane? Dlaczego czuje się odpowiedzialna za swojego zwariowanego ojca? Dlaczego tak mu współczuje? Zdobywszy się na ogromny wysiłek, uniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer do ojca. Odebrał przy pierwszym sygnale, jak to często bywa, kiedy dzwoniemy do ludzi samotnych.

- Cześć, maleńka! - zawołał radośnie. Ta radość wyparowała, kiedy Es-tevan usłyszał, że muszą przełożyć spotkanie. Najpierw próbował przekonać córkę, że jej obecność w mieszkaniu nie jest konieczna, niech jedzie załatwiać swoje sprawy, a on tymczasem zajmie się porządkami. Z trudem dał to sobie wyperswadować, a Kam odwiesiła słuchawkę zupełnie wyczerpana.

Kierując się nakazem woli wstała, wzięła prysznic i zaczęła się ubierać. Gumka legginsów wrzynała się jej w talię. Zdumiewało ją, że tam, pod skórą i warstwą mięśni znajduje się jej dziecko. Szybko odsunęła od siebie tę myśl, chwyciła sweter, torebkę i wyszła z domu, z wilgotnymi jeszcze włosami.

Droga do Jady wydała się jej zbyt krótka, zapewne dlatego, że wcale nie miała ochoty spotkać się ze swoją klientką i przyjaciółką. Ale nie mogła, nie potrafiła zostawić Jady samej w tym domu.

Może wcale nie była takim genialnym prawnikiem, jak jej się wydawało, może nie była nawet dobrym prawnikiem, ale George Creskin też nie był taki wspaniały. A jednak pokonał ją - i Jadę, oddaną matkę i praworządną obywatelkę. Pomijając własne błędy, pomijając spryt, doświadczenie i manewry Creskina, Kam nie mogła uwierzyć w taką pomyłkę wymiaru sprawiedliwości.

Kiedy skręcała w ulicę Jady, jej dłoń znowu powędrowała do brzucha. Szkoda, że nie można poronić na zawołanie. Nie, ona nie chciała poronienia, po prostu nie chciała być teraz w ciąży. Ale jeśli nie teraz, to kiedy? Nie miała już dwudziestu lat. Upłyną wieki, zanim znowu zaufa mężczyźnie.

Sytuacja Jady przedstawiała się jeszcze gorzej. Kam zdawała sobie sprawę, że gdyby jej klientka była mężczyzną, wszystko potoczyłoby się inaczej. Kobiecie nie opłacało się przestrzegać zasad fair play, żyć przykładowo i pracować jak

wól. System został stworzony przez mężczyzn dla mężczyzn i jeżeli kobieta wspięła się na szczyt, było to albo dzieło przypadku, albo wysiłek woli równy zdobyciu Everestu.

Kam zaparkowała samochód na podjeździe, podeszła do kuchennych drzwi i zadzwoniła. Uświadomiła sobie, że jest śmiertelnie przerażona. Zaczepnęła głęboko powietrza i zadzwoniła jeszcze raz. Odpowiedziała jej cisza. Czy Jada mogła... Kam nacisnęła dzwonek po raz trzeci, z trudem opanowując chęć krzyku. Odczekała kilka minut i zaczęła bębnić w drzwi pięściami.

- Dzwonek nie działa - powiedziała Jada, stając w progu. - Nigdy go nie naprawił. Zrobi to pewnie jak tylko się stąd wyprowadzę. - Jada odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do dużego pokoju. Kam, osłabła z ulgi, poszła za nią.

Podłoga zastawiona była pudłami. Na stoliku do kawy leżały kartki kolorowego papieru, jakiego używają dzieci, nożyczki i taśma klejąca. Wyglądało to na warsztat pracy trzecioklasisty, ale Kam wiedziała, że dzieci nie ma w tym domu.

- O której wstałaś? - zapytała Kam.

- W ogóle się nie kładłam. Zwymiotowałam, co się dało i zabrałam się do roboty. - Wskazała stolik do kawy. - Nie mogłam znieść myśli, że nie pozostanie tu po mnie żaden ślad - przyznała. - Jak uważasz, czy jeżeli zostawię karteczki w kieszeniach dzieci, ukryję je w szufladach i przykleję taśmą do wewnętrznych drzwi szafy, Clinton je znajdzie?

Kam zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie - powiedziała z trudem.

- Już tydzień temu wysprzątałam pokoje dzieci na ich powrót. Wtedy myślałam, że wrócą do mnie. - Jada podniosła ze stolika karteczkę w kształcie serca. - Sherrilee lubi błyskotki - powiedziała, wskazując posrebrzoną krawędź serduszka. - Oczywiście, nie umie czytać. - Potrząsnęła głową, i przez chwilę żuła dolną wargę. - Myślisz, że Tonią zechce jej to przeczytać? - zapytała ostro.

Kam spojrzała na papierowe serduszko i coś w niej jęknęło. „Zawsze myślę o Tobie, moja maleńka” napisała Jada.

- O, mój Boże, Jado, tak mi przykro - Kam łzy napłynęły do oczu. - To wszystko moja wina.

Jada tylko potrząsnęła głową.

- Nie, to nie twoja wina. Ale moja też nie. Nie oszaleję, jeżeli będę o tym pamiętać. Kam zamrugała oczami, żeby się nie rozplakać, w tej chwili tylko Jada miała do tego prawo.

- Możemy jeszcze walczyć - powiedziała. - Słyszałaś, co mówił wczoraj Michael?

- Nie, to koniec - odparła Jada. - Ty to wiesz, i ja to wiem. Mój dom się rozpadł. Moja rodzina się rozpadła. - Spojrzała w dół, na swoją rękę. - Nawet moja ręka się rozpada. - Zerwała plaster z palca i rzuciła go niedbale za siebie. - Koniec naszych treningów. Przeprowadziłaś się. Wiem, że Vivian pozostanie moją przyjaciółką, ale teraz, kiedy już może tu przychodzić, ja się wyprowadzam.

- Dokąd? - zapytała Kam. Jada wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. I nie obchodzi mnie to.

I wtedy Kam wpadła na znakomity pomysł.

### **Rozdział 37**

Wydarzenia w sądzie tak wstrząsnęły Vivian, że po powrocie do domu zabrała się za sprzątanie szafek w kuchni. Wyjmowała kubki, ustawiała w rzędzie na blacie i wycierała miejsce, na którym przedtem stały. Była to mechaniczna praca, dająca czas na myślenie.

Wyrok sądu był szokujący i niesprawiedliwy. Vivian nie знаła nikogo, kto bardziej zasługiwałby na swoje dzieci, kto byłby lepszą matką od Jady.

Ale nie tylko niesprawiedliwość poruszyła Vivian. Bardziej jeszcze wstrząsnęła nią bezosobowość procesu sądowego, widok Clintona, który rękami swojego adwokata zniszczył życie, reputację, rodzinę i przyszłość Jady. Nikt lepiej od Vivian nie wiedział, przez co przeszła Jada, próbując utrzymać rodzinę. Zastępowała Clintona w charakterze głowy rodziny, zarabiała na ich utrzymanie, na spłatę hipoteki, przymykała oczy na „przygody” Clintona, ignorując jego wspaniałe, nigdy nie zrealizowane plany. O tym nie było mowy w sądzie. Nie było mowy o jej macierzyństwie, o ofiarach, jakie poniosła dla rodziny, o zasadach, poczuciu obowiązku, jakie wpoila w dzieci. Sprawiedliwości nie stało się zadość. Wyrok nie przysłużył się dzieciom. Patrząc, jak sąd niszczy życie Jady Jackson, służy jako scena dla kłamstw i maskarady, Vivian wróciła myślą do Franka i czekającego go procesu. To wystarczyło, by zabrała się za sprzątanie kuchennych szafek.

„Co wyniknie w trakcie procesu?”, zastanawiała się, odkładając kubki na czystyutkie półki. Co będzie prawdą, a co kłamstwem? Nie mogła rozmawiać o tym z Frankiem, nie mogła pytać. Udało się im przetrwać piątkowy wieczór niemal w milczeniu. Odzywali się do siebie tylko przez wzgląd na dzieci. Potem Vivian poszła się położyć i usnęła na krawędzi swojej części łóżka.

Wstała wcześniej, sprzątnęła dom, odwiozła Jennę na mecz hokejowy, zabrała Pookiego do weterynarza, a potem patrzyła, jak Frankie wyrusza ze



ze swoim ojcem na wyprawę do ulubionego sklepu sportowego. Nie czekając nawet, aż znikną jej z oczu, Vivian narzuciła żakiet i pobiegła do Jady. Poprzedniego wieczora dzwoniła dwa razy, ale nikt nie odebrał. Bała się, że Jada może zrobić sobie coś złego.

Szła szybko ulicą pozbawioną krawężników. Spodziewała się żalobnego nastroju, ale kiedy otworzyła kuchenne drzwi odkryła ze zdumieniem, że w tym domu, aż boleśnie cichym przez ostatnie tygodnie, rozbrzmiewa czyjś ożywiony głos. Weszła do salonu.

Jada klęczała na podłodze nad jednym kartonem, Kam obwiązywała taśmą drugi. Od kiedy były takimi wielkimi przyjaciółkami? Czy Kam została z Jadą noc? Ogarnęła ją zazdrość. Pocieszenie Jady było przywilejem jej, Vivian! Potem powiedziała sobie, że najwyższy czas dorosnąć.

Jada podniosła głowę.

- Cześć, Kopciuszkule! Przyszłaś w samą porę. Właśnie odkryłam, że utrata prawa do opieki ma przynajmniej jedną dobrą stronę. Człowiek nie musi się martwić o swoją reputację. Teraz mogę się z tobą widywać, jak często zechcę, nie martwiąc się, jak to zostanie zinterpretowane.

- To samo dotyczy mnie - powiedziała Vivian. - Utrata reputacji nie jest może przyjemnością ale oszczędza mnóstwo czasu - koniec z pieczeniem ciasteczek na kiermasze szkolne.

- Moja reputacja też zda się psu na budę - dodała Kam, pocierając palcem wstążkę taśmy. - Najpierw porzucam posadę w Needham, a potem przegrywam proces. - Popatrzyła na pomarszczoną taśmę, którą zakleiła wieko pudła. - Może zostanę pakowaczem.

- Pakować też nie umiesz - powiedziała Jada, dodając jeszcze jedno pasmo taśmy. Vivian patrzyła na nią osłupiała, nie rozumiejąc, jak można w tej sytuacji rozmawiać o pakowaniu kartonów, jak można w ogóle dalej żyć. Życie Jady runęło w gruzy, a Kam czynnie przyłożyła do tego ręki. Vivian otworzyła usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Czy Jada naprawdę opuści bez żalu dom, który tyle dla niej znaczył? Vivian wątpiła, czy sama będzie mogła mieszkać we własnym, mając za sąsiada Clintona i jego kochankę. Koniec z zabawami na podwórku, z kolacjami przy grillu. Frankie będzie tęsknił za Kevonem, nawet Jennie będzie brakowało utarczek z Sha-vonną.

Machinalnie podniosła puste pudło, ale uświadomiła sobie, że nie wie nawet, co w nie zapakować. Jada i Kam wydawały się takie zgrane, niemal zsynchronizowane. Ona utraci najlepszą przyjaciółkę, utraci poranne treningi. Jak to zniesie? I skąd czerpie siły Jada? Ona, Vivian, miała wrażenie, że stoi na krawędzi przepaści. Czy powinna jeszcze raz powiedzieć Jadzie, jak bardzo jej współczuje? Czy powinna powiedzieć, jakim przerażeniem napawa ją myśl o procesie Franka? Czy powinna im powiedzieć...

Wtem Jada podniosła się z podłogi, podeszła do Vivian i otoczyła ją ramieniem.

- Przeplakałam całą noc - powiedziała. - Teraz muszę wziąć się w garść. - Wszystko się ułoży, Vivian - dodała, jakby czytając w jej myślach. - Frank się wybroni, wasze życie wróci do normy.

Vivian spojrzała jej w oczy i zrozumiała, że dłużej nie udźwignie ciężaru prawdy.

Jada, jej przyjaciółka, myślała o niej nawet w najgorszej chwili swojego życia, a Frank, Frank...

- Jest winny - powiedziała. Jada i Kam zamarli. - Jest winny - powtórzyła Vivian. - Z niczego się nie wybroni. - Wypowiedzenie na głos myśli, która nie opuszczała jej od chwili, gdy dokonała swego odkrycia, przeraziło ją, przynosząc jednocześnie ulgę. Usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach.

Przez kilka chwil panowała cisza. Vivian słyszała uderzenia swojego serca i ciężki oddech Jady.

- Boję się - wyznała Vivian. - Naprawdę myślałam, że nie mógłby zrobić nic złego. Byłam pewna, że ktoś nasłał na nas policję, chcąc się odegrać za niepowodzenie w interesach. Zawisć. Polityka. Nawet gdy został postawiony w stan oskarżenia... - Wstała i podeszła do okna, żeby nie patrzeć im w twarz. - Wiem, że uważacie mnie za idiotkę. Uważacie, że jestem naiwna. Ale nie miałam podstaw, by go podejrzewać. Żadnych telefonów, wizyt, nic.

Odwróciła się, by spojrzeć na Jadę.

- Frank nas kocha. Przysiągł mi, że jest czysty. Przekonał mnie o swojej niewinności. Ale potem ja... Ja się dowiedziałam... - urwała. Nawet przyjaciółkom nie powie o tych brudnych pieniądzach. Pochodziły od nastolatków, od dzieci. Prędzej umrze, niż je tknie. Wstydziła się powiedzieć o nich komukolwiek, nawet Jadzie i Kam. Nie była pewna, czy rozumieją.

- Od jak dawna wiesz? - zapytała Jada bardzo łagodnie. - Wiedziałam, że dzieje się z tobą coś niedobrego, ale uznałam, że to stres, dziennikarze, sąsiedzi. Albo ja.

Myślałam, że martwisz się o mnie. Nie wiedziałam, że... Tak mi przykro, Vivian.

Kam podeszła do okna. Vivian nigdy przedtem nie zauważyła, jaka niska jest pani mecenas.

- Będziesz potrzebowała dobrego prawnika, Vivian.

- Frank ma adwokata. Kam potrząsnęła głową.

- Potrzebny ci własny. I to o wiele lepszy ode mnie.

- Nie mogę uwierzyć, że Frank okazał się kłamliwą, męską świnią! Nie mogę uwierzyć, że jest taki jak Clinton. Co zrobimy? - zapytała Jada.

- A co można zrobić? - odparła Viv. Powróciło uczucie, że zamykają się wokół niej ściany pułapki. Prędzej czy później Frank odkryje, że pieniądze

zniknęły. Co się wtedy stanie? Odruchowo sięgnęła po tabletkę xanaxu, po czym przypomniała sobie, że zostawiła fiolkę w domu. Jak mogła?! Chyba oszalała!

- Co można zrobić? - powtórzyła. - Nie mam pracy, nie mam rodziny. Frank jest ojcem moich dzieci. Jest dla nich dobry. Zawsze był dla nich dobry. Jest dobry dla mnie.

- Daj spokój, Viv! - powiedziała Jada szorstkim tonem, którego używała czasem w banku. - Rozstawiał cię po kątach. Tak według ciebie wygląda dobre traktowanie? Clinton jest leniwym draniem i beznadziejnym ojcem. Jest nieodpowiedzialny i podstępny. Zmarnował mi życie, ale nigdy mnie nie uderzył.

Vivian rozprostowała ramiona.

- Pchnął mnie i uderzyłam o kant stołu - powiedziała. - Żyje w takim stresie. Pchnął mnie. To się zdarzyło tylko raz.

- Jeżeli zdarzyło się raz, może się zdarzyć ponownie - powiedziała Kam. Vivian odwróciła się do nich plecami.

- Nie - powiedziała. - Frank nigdy mnie już nie uderzy. Jest mu wstyd.

- Ja myślę! - odezwała się Jada. - A czy jest mu wstyd, że kłamał ci w żywe oczy, czy jest mu wstyd, że uprawiał ten diabelski proceder?

Vivian nie miała odwagi przyznać, że nie rozmawiała o swoim odkryciu z Frankiem, ze swoją kłamliwą męską świnią. Przyjaciółki straciłyby dla niej resztki szacunku.

- Nie muszę zeznawać przeciwko Frankowi. Nie będę dla niego kłamać. Będę siedziała cicho i może... może nie będzie tak źle.

- Bardzo przyjemna perspektywa. A uciechy tyle, co w galerii koszykarskich sław - powiedziała Kam.

- Byłaś tam? - zapytała Jada. - Clinton wysłał mnie kiedyś z dziećmi. Nawet Kevon był znudzony.

Skąd brała się u Jady ta pogoda, ten dobry nastrój? Czy był to spokój przed burzą, czy reakcja po wstrząsie? Vivian starała się wymazać z pamięci sceny, których była świadkiem na sali sądowej.

- A co ty zamierzasz? - zwróciła się do Jady. - Dokąd się przeprowadzasz?

- Na razie do Kam.

- O, to wspaniale! - powiedziała Vivian i przez chwilę naprawdę tak myślała. - Jak to miło z twojej strony, że zaprosiłaś Jadę. - I dopiero wtedy uderzyła w nią fala zazdrości. Musiała chyba do reszty zwariować. Miała przecież swój piękny dom, miała swoje dzieci, a mąż, kłamliwa męska świnią, kochał ją. Jak mogła zazdrościć tym dwóm kobietom, zatroskanym i samotnym?

## Rozdział 38

Jada przyglądała się sobie z boku. Patrzyła, jak zbiera swoje rzeczy, pakuje kartony, robi kawę, rozmawia i słucha Kam, Vivian. Ale chociaż robiła to, co musiała, co powinna robić, straciła kontakt ze swoim ciałem. Jadąc z Vivian po samochód, rozmyślała o ludziach w stanie śmierci klinicznej, doznających wrażenia, że unoszą się ponad swoim ciałem, spoglądają na lekarzy i rodzinę, zanim pogrążą się w białym świetle. Czy to znaczy, że ona umiera?

Nie miała jednak nadziei na zbawcze białe światło. Była poza swoim ciałem, w ciemności i przyglądała się poczynaniom swojej cielesnej powłoki. Ani pomoc Kam, ani jej propozycja zamieszkania razem, ani rewelacje Vivian nie sprowadziły jej z powrotem do ciała Jady Jackson.

Skręciły na parking przed sądem, gdzie pozostawiła swoje volvo. Mżyło, wycieraczki przesuwwały się skrzypliwie po szybie.

- Dasz sobie radę? - zapytała Vivian. - Możesz prowadzić?

- Dam sobie radę - powtórzyła Jada bezmyślnie. Powinna zapytać Vivian o to samo, ale nie miała sił.

Vivian zaparkowała obok volvo.

- Pojadę za tobą. Potem odwieziemy kartony do mieszkania Kam.

- Dzięki.

- To naprawdę miło ze strony Kam, że zaproponowała ci mieszkanie.

- Tak, naprawdę miło. - Jada sięgała już do klamki, kiedy Vivian chwyciła ją mocno za ramię.

- Jado, z tobą naprawdę wszystko w porządku?

Jada skinęła głową i umknęła przed dotknięciem Vivian. Mżawka osiadła jej na twarzy, ale nie czuła tego. Podeszła do wozu i otworzyła drzwi. Uniosła rękę, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że uruchamia manekina, i pomachała Vivian.

Nie odczuwała gniewu, smutku ani rezygnacji. Wszelkie doznania były już poza nią i miała wrażenie, że jest robotem, zdalnie kierowanym urządzeniem, które potrafi pakować rzeczy, prowadzić samochód, ale jest pozbawione czucia. Uznała to za błogosławieństwo, ponieważ w jej sytuacji każde doznanie mogło się okazać zgubne: mordercza furia, druzgocący smutek, pragnienie, by zakończyć cierpienia. Prowadząc, automatyczny pilot, z żywą, czującą Vivian na ogonie, Jada uświadomiła sobie, że nie może się nawet modlić. Była jeszcze bardziej odległa od Boga niż od samej siebie.

Dotarwszy do domu stwierdziła, że Kam zapełniła już kartonami własny samochód, a resztę pakunków wyniosła na łupkowy podjazd (którego Clinton nigdy nie wyasfaltował). Trzy kobiety w milczeniu załadowały wilgotne

pułła na tylne siedzenie volvo, a potem przerzuciły ubrania Jady, jeszcze na wieszakach, przez oparcie leksusa Vivian.

- Spróbuję ich nie pognieść - obiecała Vivian i Jada skinęła z uśmiechem głową. Nie obchodziło jej, co Vivian zrobi z jej ubraniami. Mogłaby je podpalić, a Jada nie mrugnęłaby okiem. Wór pokutny i popioły wystarczyłyby jej w zupełności, chociaż pan Marcus zgłosiłby pewnie zastrzeżenia. Bankowy kodeks nie uznawał włosienicy i żałoby w stylu biblijnym.

Mała kawalkada posuwała się szarymi, mokrymi ulicami przedmieścia. Jada miała trzydzieści cztery lata, a całej jej majątek zmieścił się w kilku zwilgotniałych kartonach i plastikowych reklamówkach. Dorobek całego życia. Na to pracowała? Dlaczego w ogóle pracowała? Nigdy nie była materialistką chciała tylko, żeby jej dzieci były bezpieczne, chciała mieć przyzwoity dom i kochającego męża. Takie naturalne pragnienia, a taki mizerny efekt! Zastanawiała się, czy była zachłanna, czy może Bóg karze ją za jakiś inny, nie znany jej grzech. Bo było oczywiste, że odbywa pokutę, i że jej życie ma być odtąd bliskim odpowiednikiem piekła.

Zaparkowały przed rzędem segmentów. Kam wysiadła ze swojego wozu i podeszła do volvo.

- Przykro mi, ale nie da się podjechać bliżej klatki. - Wzruszyła ramionami. - Musimy przenieść to wszystko na własnych plecach. Kiedy się wprowadzałam, klęłam na czym świat stoi.

- To wcale nie jest tak daleko - powiedziała Jada. - A mnie się nie spieszy. Nie musisz mi pomagać. Zrobię to sama, po troszeczku.

- Nie wygłupiaj się! Zrobimy to w trójkę.

Wędrowały w deszczu tam i z powrotem, tam i z powrotem, zbierając odłamki życia Jady. Ona sama wolałaby zrzucić je na stos na chodniku i podpalić, ale uległa woli innych i robiła, czego się po niej spodziewano. Jak zawsze.

Kiedy przeniosły ostatni karton, deszcz ustał, chociaż niebo pozostało zachmurzone.

- Wspaniale! Przestało padać akurat, gdy skończyłyśmy - powiedziała Vivian.

- Deszcz jest dobrą wróżbą przy przeprowadzce - zauważyła Kam. -Przynajmniej tak mówi moja matka.

- Pomyliła się jeszcze kiedyś? - zapytał Jada.

- Wybierając sobie męża - odparła Kam lakonicznie.

Jada rozejrzała się po pokoju. Próbowaly upchnąć wszystkie kartony w małej sypialni, a obsesyjnie schludna Vivian powiesiła już w szafie ubrania Jady, ale część bagażu zawędrowała do saloniku.

- Chyba trzeba jechać do miasta kupić materac - powiedziała Kam. -Jutro jest niedziela.

Jadzie było doskonale obojętne, na czym będzie spać, ale wiedziała, że powinna powiedzieć „tak”. Uznając starania Kam za zbędne, była jej jednak wdzięczna za troskę.

Kam dźwignęła karton leżący w korytarzu i chciała zanieść go do pokoju, kiedy nagle zbladła i pochyliła się do przodu. Z otwartego pudła wypadły skarpetki, kapcie i jeden czarny pantofel. Wilgotny karton pękł i cała zawartość rozsypała się po podłodze. Kam stała, zgięta w pół, z czołem zroszonym potem.

- Co ci jest?! - krzyknęła Vivian.

Dopiero teraz Jada przypomniała sobie o stanie przyjaciółki.

- Nie powinnaś dźwigać! - zawołała. - Boże, zapomniałam!

- Miałaś co innego na głowie - Kam zsunęła się po ścianie do pozycji siedzącej.

Vivian przykucnęła obok.

- Chcesz herbaty? - zapytała.

- Bardziej przyda się jej odrobina współczucia. - Jada również usiadła na podłodze.

Popatrzyły jedna na drugą po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin, Jada poczuła, że wraca do swojego ciała, do swojego życia, ściągnięta z tamtego ciemnego niebytu przez czworo oczu, w których widziała odbicie własnego strachu.

- Ofiary losu - powiedziała. - Jak myślicie, która dostała największe cięgi od życia? Czyj mąż okazał się największym skurwielem?

- Twój - odpowiedziały jednocześnie Kam i Vivian.

Jada zaczęła się śmiać. Śmiech zrodził się w gardle, lecz wkrótce opanował całą jej istotą i Jada piała, trzymając się za brzuch. Vivian zachichotała, a w chwilę później dołączyła do niej Kam. Śmiech odbijał się echem od pustych ścian i sufitu, otaczał je ze wszystkich stron, jakby nagle znalazły się w domu bez klamek.

- Pomyłka - wykrztusiła w końcu Jada, ocierając załzawione oczy. - Uważam, że najgorszy jest Frank.

Vivian przestała się śmiać i Jada przeraziła się, że usłyszą kolejną mowę obronną.

- Kto wie, czy nie masz racji - powiedziała Vivian, przenosząc wzrok na Kam. - Z drugiej strony, miałam parę dobrych lat. Ty też, Jada. Kam dostały się tylko miesiące. - Było to tak przejmująco smutne, prawdziwe i absurdałne, że znowu wybuchnęły śmiechem.

- Nawet nie miesiące - powiedziała Kam, kiedy mogła już złapać oddech. - Tylko tak mi się wydawało. Czy to się liczy?

Jada wzruszyła ramionami.

- Mówią, że liczą się intencje.

Przestały się śmiać i siedziały w milczeniu na podłodze. Jada wiedziała, że wiele ryzykuje, ale musiała zadać Kam pewne pytanie. Spojrzała wymownie na brzuch przyjaciółki.

- Który miesiąc?
- Nie jestem pewna - przyznała Kam. Zapadła długa cisza.
- Kiedy zaszłam w ciążę z Sherrilee, chciałam iść do lekarza. Żeby usunąć - powiedziała Jada. - Moje małżeństwo już się właściwie rozpadło, a z pieniędzmi było krucho. Bałam się, że bank się mnie pozbędzie. Potrzebowałam pracy. Ale wkrótce zrozumiałam, że chcę tego dziecka. Kocham moją córeczkę i nigdy nie myślałam, że ktoś inny będzie ją wychowywał. - Jada popatrzyła na Kam. - Co chcesz zrobić?
- Chcę zadzwonić do kliniki, ale się boję. - Kam odwróciła głowę. - Jeszcze bardziej boję się nie zadzwonić. - Położyła głowę na kolanach.
- Pomożemy ci - powiedziała Vivian. - To nie boli. To znaczy, nie boli w sensie fizycznym.

## Rozdział 39

« Człowiek nie może przestać pracować tylko dlatego, że jest zrozpaczony », pomyślała Kam, spoglądając na stos teczek na biurku. Fakt, że przegrała sprawę Jady, że umówiła się na zabieg usunięcia ciąży, nie oznaczał jeszcze, że może zrobić sobie przerwę i uciec od starych i nowych nieszczęść, które pchały się do ośrodka drzwiami i oknami. Być może była niekompetentnym, niebezpiecznie marnym adwokacina, ale klientki miały tylko ją. Kam nie wiedziała, czy bardziej jej żal tych kobiet, czy samej siebie.

Nie powiedziała Natalie o ciąży i nie powiedziała jej o zaplanowanej aborcji. Nie dlatego, żeby wstydziła się swojej decyzji. Nie obawiała się również potępienia Natalie. Uznała po prostu, że jeżeli już będzie się musiała wypowiadać matce, woli to zrobić po fakcie. Ingerencja Natalie w jej życie budziła rozmaite uczucia, wdzięczność na przemian z irytacją. A ponieważ w tym przypadku zdecydowanie przeważała irytacja, Kam zdobyła jeszcze jeden powód, by czuć się winna. Dopiero co skończyła rozmowę z Sandrą Maclusky, która walczyła z ojczymem o spadek po matce, a następna klientka już czekała przed drzwiami. Ale zanim Kam zdążyła ją poprosić, do pokoju wszedł Michael.

- Jak leci? - zapytał.

Kam zdobyła się jedynie na wzruszenie ramion. Michael usiadł na krzeselku naprzeciwko niej.

- Pierwsza przegrana może wytrącić człowieka z równowagi. Kam przytaknęła ruchem głowy.

- Jak tam nowe mieszkanie? - pytał dalej Michael. - Zadomowiłaś się już? Pomyślała o pudłach Jady, zawałających pokoje. Jej współlokatorka wykazywała całkowity brak zainteresowania meblowaniem.

- Nieźle - powiedziała. Nie zamierzała przyznać się, że mieszka z klientką. Wiedziała, co Michael sądzi o „angażowaniu się”. Pracował z poświęceniem, osiągał dobre rezultaty, ale utrzymywał dystans. Ciekawe, jak zareagowałby na wiadomość, że klientka zabiera ją jutro na zabieg usunięcia ciąży. Kam westchnęła i spojrzała na obgryziony paznokieć kciuka. Mężczyźni byli inni niż kobiety. Potrafiliby rozgraniczyć życie prywatne i zawodowe. Dla nich praca była tylko pracą. Michael z miejsca obalił jej teorię

- Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś ze mną jutro na kolację? - zapytał. Kam wytrzeszczyła na niego oczy, a nawet mrugnęła kilkakrotnie, niezupełnie pewna czy dobrze widzi i słyszy. Zaprosił ją na randkę?

- Jestem zajęta - powiedziała. - Jutro w ogóle nie przychodzę do pracy.

- Wobec tego, może w poniedziałek albo we wtorek?

Dopiero teraz uwierzyła, że naprawdę próbuje się z nią umówić. Miał miłą powierzchowność i tyle ciepła w oczach! Naprawdę go lubiła, lubiła z nim pracować, lubiła z nim rozmawiać. Co on wyprawia?

- Nie umawiam się z żonatymi mężczyznami - powiedziała zimno.

- Nie jestem żonaty. Inaczej nie prosiłbym cię o spotkanie.

Kam głęboko zaczerpnęła powietrza. Tylko tego jej brakowało! Romansu z żonatym mężczyzną! - Michael, masz dwoje dzieci i żonę. Wiem, że nie omawiasz w pracy swojego życia prywatnego, ale podstawowe fakty znamy. Jesteś żonaty i wszyscy o tym wiedzą - powiedziała beznamiętnym tonem, jakby miała do czynienia z mało inteligentnym jedenastolatkiem, który nadużył jej cierpliwości. Ci mężczyźni! Czy tak to się właśnie odbyło między Reidem a Lisą?

- Kam, mam dwoje dzieci i od sześciu miesięcy jestem rozwiedziony - wyjaśnił Michał spokojnie. - Przez półtora roku byliśmy z żoną w separacji.

I nie wszyscy o tym wiedzą, ponieważ nie uznałem za stosowne obwieścić tego wszem i wobec. Kam gapiała się w niego jak sroka w gnat. W ciągu ostatnich dwóch lat przeszedł separację i rozwód, i nikt w biurze o tym nie wiedział? Nie wiedział o tym Bill, ze swoją słabością do plotek i do Michaela? Nie wiedziała Laura, która była chora, jeżeli nie wiedziała absolutnie wszystkiego? I nie wiedziała matka Kam, żydowska wszędobylska? To dowodziło, że przepaść między kobietą a mężczyzną jest większa, niż się Kam wydawało. Żadna kobieta nie mogłaby dokonać takiej rewolucji w życiu i nie omówić tego z koleżankami z pracy.

Michael przyglądał się jej z uśmiechem.

- Jeżeli trzymać się faktów - powiedział - mężatką jesteś ty.

„Tak, w dodatku ciężarną mężatką”, pomyślała. Przez chwilę walczyła z chęcią wybuchnięcia śmiechem. To wszystko było bardzo zabawne. Po raz



pierwszy od czterech lat, odkąd zaczęła chodzić z Reidem, mężczyzna zaprosił ją na randkę i to w dniu, w którym miała zaplanowaną aborcję. Bóg nie mógł być kobietą. To nie był żart w kobiecym stylu.

Bill wsunął głowę do pokoju. Uniósł lekko brwi, widząc ich razem.

- Pani Fontaine na ciebie czeka - poinformował Kam. Michael drgnął, odwrócił głowę i podniósł się z krzesła.

- Omówimy to później - powiedział zdawkowym tonem i wyszedł z gabinetu.

- Mam ją wpuścić? - dopytywał się Bill. Kam z wysiłkiem skinęła głową.

Uznała, że to okropne, ale chciało się jej przede wszystkim pić. Spodziewała się, że kobieta czekająca na zabieg usunięcia ciąży przechodzi głęboki duchowy kryzys; ona myślała tylko o tym, żeby się czegoś napić. Przyszła tu wczesnym rankiem, na czczo, i chociaż marzyła żeby to się jak najprędzej skończyło, przez pierwszą godzinę wypełniała formularze, przez drugą czekała w korytarzu pośród smutnookich nastolatków.

- Dobrze się czujesz? - pytała Vivian raz po raz, ściskając dłoń Kam.

- Niezupełnie - próbowała się uśmiechnąć i poniosła fiasko. Viv puściła jej rękę i pochyliła się nad stolikiem, przy którym siedziały. Już przedtem ułożyła czasopisma w schludne stosiki, teraz zaczęła je układać w porządku chronologicznym.

Po drugiej stronie korytarza popłakiwała cicho starsza kobieta. Vivian, skończywszy z czasopismami, przysiadła się do niej, przemawiając łagodnym, kojącym głosem. Wróciła wzburzona.

- Ona chce mieć dziecko - poinformowała szeptem przyjaciółki. - USG wykazało coś bardzo złego. Nawet wtedy nie chciała usunąć, ale zaczęła krwawić. Latami próbowała zajść w ciążę.

- To straszne! - powiedziała Jada. - Myślałam, że ci ludzie z kliniki wykażą trochę więcej delikatności. Viv, mogłabyś przestać sprzątać?

- Tak, przepraszam.

- Nie do wiary, że każą jej siedzieć tutaj z tymi nastolatkami - oburzyła się Jada. - Stracili już wszelką wrażliwość? Nie wiedzą, że niektóre kobiety próbują latami zajść w ciążę?

Kam opuściła głowę, spoglądając na swój brzuch. Reid był kłamcą, był niedojrzałym głupcem, ale to dziecko, poczęte z miłości, należało również do niej.

Nie była jak te nastolatki w poczekalni i nie chciała być jak płacząca kobieta.

Chciała być matką. Miną lata, zanim spotka mężczyznę, którego pokocha, może nie spotka go nigdy. Teraz los ofiarowywał jej szansę. Wiedziała, że będzie dobrą, odpowiedzialną matką, da swojemu dziecku to, co w niej najlepsze. Przegrała małżeństwo, przegrała swoją pierwszą sprawę, ale nie musiała wyrzekać się macierzyństwa.

Uniosła głowę i rozejrzała się po poczekalni. Przestraszone dziewczęta, starsza kobieta, która latami próbowała zajść w ciążę. Kam nie miała męża ani ustabilizowanego życia, dziecko mogło je skomplikować do reszty, ale nagle uświadomiła sobie, że bardzo go pragnie. Nie chciała wiązać się z Reidem, ale kiedyś go kochała, a dziecko było w połowie jej. Miała pracę, rodzinę, przyjaciół, którzy jej pomogą. A jeżeli nie będą mogli jej pomóc, poradzi sobie sama. Kam wstała.

- Idziemy do domu - oznajmiła. Vivian podniosła na nią wzrok.

- Dobrze się czujesz?

Jada wstała i otoczyła Kam ramieniem.

- Myślę, że nic jej nie będzie - powiedziała. - Mówisz poważnie? Kam skinęła głową.

- Urodzisz to dziecko? - zapytała Vivian szeptem. - O mój Boże! O mój Boże! - powtórzyła, a w jej głosie zabrzmiała radość. - Dam ci całą wyprawkę. Mam tego mnóstwo. Wszystko zachowałam. I mogę posiedzieć z dzieckiem, kiedy będziesz wychodziła.

- Może omówimy te sprawy w jakimś bardziej stosownym miejscu?

- zaproponowała Jada sucho. - Jesteś pewna, że nie kierujesz się poczuciem winy? - zwróciła się do Kam. - Bo nieporównywalnie większą winą jest nie kochać dziecka, które się wydało na świat.

Kam zaprzeczyła ruchem głowy. Dotąd bała się choćby myśli o życiu z dzieckiem, teraz nie wyobrażała sobie życia bez niego. To jest to dobro, jakie wyniesie z lat spędzonych z Reidem. Wiedziała, że będzie dobrą matką. Opieka, pieniądze, praca, wszystko to się jakoś ułoży.

- Chodźmy! - Kam wzięła torebkę, jej przyjaciółki chwyciły płaszcze i przemaszerowały przed stanowiskiem recepcjonistki. Były już w drzwiach, kiedy z gabinetu wyłoniła się kobieta w białym fartuchu.

- Lopez! - zawołała, ale Kam się nie odwróciła.

## **Rozdział 40**

Jada była już spóźniona do pracy. Udało się jej znaleźć ubranie, majtki, buty, kosmetyki i dezodorant, mimo że całą odzież miała w kartonach, ustawionych jeden na drugim. Brakowało jedynie rajstop i dlatego teraz grzebała w pudłach, dojrzewając powoli do tego, by wyrzucić całą zawartość na podłogę lub ukraść parę nylonów Kam.

Nie zrobiła tego, mimo silnej pokusy. Wystarczy, że nadużywa w oczywisty sposób jej gościnności. Podkradanie intymnych części garderoby byłoby

grubą przesadą. Pomijając już fakt, że Kam była z piętnaście centymetrów niższa i z dziesięć kilo lżejsza od niej, a Jada nie zamierzała dreptać przez cały dzień z krokiem między kolanami. Rajstopy, orzekła, były wynalazkiem diabła albo mężczyzny, czyli jednej i tej samej osoby.

Wiedziała, że polegać może tylko na kobietach, na matce i dwóch przyjaciółkach, chociaż były białe. Czarne kobiety używały specjalnych określeń wobec osób naprawdę bliskich, słów, których nigdy nie użyłyby w stosunku do białych dziewcząt. Jednym z nich była „siostr-przyjaciółka”, ktoś równie bliski lub bliższy nawet niż siostra. W szkole średniej Jada czuła, że Simone Laclerk i ona są siostr-przyjaciółkami, ale nie pamiętała, czy używały tego określenia. Teraz była bliżej z Vivian niż kiedykolwiek z Simone (która miała chrapkę na Clintona i zerwała ich przyjaźń, kiedy Jada zaczęła z nim chodzić).

Od dawna wiedziała, że Viv jest siostr-przyjaciółką, ale nigdy nie sądziła, że tak bardzo zbliżą się z Kam.

Niestety, nie załatwiało to kwestii rajstop. Po kolejnych dziesięciu minutach poszukiwań Jada chwyciła starą parę, którą nosiła w dniu procesu, tę z oczkiem i postanowiła pogodzić się z losem. Wsunęła stopy w czółenka i wybiegła z domu, podzwaniając kluczykami od volvo.

Po południu miała spotkanie z dziećmi, ale myśl o wyprawie do kolejnej restauracji była nieznośna. Jak ma im wyjaśnić, co się wydarzyło w sądzie w ostatni piątek? Nie chciała nastawić ich wrogo do Clintona, wiedziała jednak, że jeżeli nie wytłumaczy dzieciom, że walczyła o nie i przegrała, straci je po raz drugi, na dobre. Czasem życie było trudne do zniesienia. Najlepszym wyjściem - jedynym wyjściem - było zabicie Clintona.

Przebijając się przez poranne korki, bawiła się myślą o morderstwie. Jeżeli zamorduje Clintona, pójdzie do więzienia i dzieci zostaną sierotami, ale gdyby zabił go ktoś inny... Przypomniała sobie stary film Hitchcocka, w którym psychopata przedstawia nieznanemu z pociągu plan zbrodni absolutnej, po czym wprowadza go w życie. Nie jest podejrzany, ponieważ nie ma motywu, żadnych powiązań z ofiarą. A gdyby umówiły się z Kam, że pojedzie do Bostonu i zabije jej męża, a Kam w rewanżu załatwi Clintona? Oczywiście, teraz kiedy mieszkały razem, nie wyglądałoby to na zbieg okoliczności...

Jada rozumiała, że posuwa się za daleko. Zamiast snuć mordercze plany, zaczęła się modlić. Ale po raz pierwszy w życiu modlitwa wydała się jej zlepkim pustych słów. Biblijne pouczenie o nadstawieniu drugiego policzka mogłoby wydać się kuszące, gdyby nie fakt, że oba zbite miała na kwaśne jabłko. Sięgnęła więc po inny cytat: „Zemsta należy do mnie, mówi Pan”. Okay. A co ona ma robić? Czekać w pokorze, oddać dzieci pod wątpliwą opiekę Clintona, zawierzyć przelotnemu zainteresowaniu Toni Green i babci - notorycznej pijaczki? „Niech Bóg chroni moje dzieci, modliła się Jada. „Panie, daj mi siłę, by im pomóc”.

Weszła do banku w buntowniczym nastroju. „Jak głupio spędzamy nasze życie”, myślała. Nigdy nie była pracocholikiem, praca interesowała ją tyle, o ile przynosiła dochód. Teraz nie potrafiła nawet udawać zainteresowania. Minęła biurko Anny, zgarniając w przelocie kartki z wiadomościami i weszła do gabinetu. Odpowiedziała na telefony od pana Marcusa, dwóch ważnych klientów i jednego konsultanta, który zarzucił ją pytaniami, na które już wcześniej udzieliła mu wyczerpujących odpowiedzi. Rozmawiając z nim, bębniła niecierpliwie stopą w podłogę, czując jak oczko w pończosze posuwa się coraz wyżej, niby insekt pełznący ostrożnie pod ubraniem.

Wszystko to było nie do zniesienia, było bezcelowe.

- Posłuchaj, Ben - powiedziała ostro. - Mam teraz spotkanie, poza tym podałam ci już te informacje. Będziesz ich musiał poszukać w swoim komputerze. - Odwiesiła słuchawkę, z nieodpartym przekonaniem, że zadawał jej te pytania powtórnie, żeby sprawdzić, czy ona nie zmieni odpowiedzi.

Wyciągnęła czystą kartkę papieru i zaczęła spisywać kolumnę cyfr. Nie dotyczyły w żadnej mierze spraw banku. Dotyczyły jej finansów.

Jeżeli zapłaci alimenty wyznaczone przez sąd, zostanie jej niecałe trzysta dolarów tygodniowo. Z tego będzie musiała zapłacić za mieszkanie i prąd. A co z zadłużeniem Clintona? Zapewne każą jej pokryć jego rachunek za adwokata, a miała niejasne przekonanie, że George Creskin wysoko ceni swój czas. Wątpliwe, czy zgodzi się na spłatę ratalną. Jada próbowała ocenić, ile może wynosić jego honorarium, ale mogła tylko zgadywać.

Zadzwoiła Anna z informacją, że popołudniowe zebranie zostało przesunięte z drugiej na czwartą.

- Kto je przesunął? - zapytała Jada. O czwartej trzydzieści odbierała dzieci ze szkoły. Jedno było pewne: nie spóźni się.

- Pan Marcus - odparła Anna i Jadzie wydawało się, że słyszy szyderczą nutę w jej głosie. - Zadzwoił za pięć dziewięć. Jeszcze cię nie było. Nie miałaś nic w kalendarzu, więc...

- Zadzwoń do jego biura - rzuciła Jada. - Próbowałam wcześniej, ale go nie zastałam. Zostaw wiadomość, że zebranie jest dzisiaj o drugiej albo jutro o czwartej, natomiast nie może być dzisiaj o czwartej.

Jada wstała, podeszła do okna i wyjrzała na wyludnioną czarną płaszczyznę asfaltowego parkingu. Musi obmyśleć jakiś lepszy sposób na życie. Nie pozwoli, żeby Clinton oskubał ją ze wszystkiego, żył z niej jak pasożytniczy grzyb czerpiący soki z drzewa.

Dowiedziawszy się o jej kłopotach, matka zasugerowała, żeby się pomodliła, a potem wzięła duży nóż i zagroziła Clintonowi śmiercią. A przecież nie powiedziała matce całej prawdy - ograniczyła się do tego, że są w separacji i że Clinton znalazł sobie kogoś innego. Ojciec zaproponował, że przyjedzie i „naprostuje chłopaka”.

Potem rodzice wspólnie obmyślili, że rozwiązaniem wszystkich kłopotów będzie jej przyjazd na Barbados. Jakby była wolnym człowiekiem, który może sobie zrobić wakacje wtedy, gdy wymaga tego jego zdrowie psychiczne!

Jada nie mogła zabić Clintona. Bóg jej wybaczy, że pomyślała o morderstwie. Ale nie mogła się również zgodzić na życie, jakie przeznaczył jej sędzia Sneed.

Może powinna pójść za radą matki: spakować walizki i pojechać na jakiś czas „do domu”, na Barbados. Nigdy nie mieszkała tam na stałe, wyspa w niczym nie przypominała Westchesteru, ale nigdzie nie będzie jej tak źle, jak było tutaj.

Problem w tym, że nie mogła jechać bez dzieci. Jak zwierzę w potrzasku chodziła od biurka do okna, potem ujęła słuchawkę i wystukała numer Vivian.

- Jak się masz, mała? - zapytała, kiedy Vivian odebrała. Po pierwszym sygnale.

- Prawie tak paskudnie, jak ty. Myślisz, że ulżyłoby nam, gdybyśmy się upili?

- Z całą pewnością - Głos Jady ociekał sarkazmem. - Solidna Krwawa Mary pod xanax to idealny sposób rozpoczęcia dnia. Zwaliliby cię z nóg i nie mogłabyś powitać dzieci wracających ze szkoły.

- Nie martwi mnie powrót dzieci, martwi mnie powrót Franka!

Jada pokiwała do siebie głową. Kiedy Vivian przestanie bronić tego kłamliwego drania?

- Słuchaj, siostrzo - powiedziała Jada, myśląc już o własnych sprawach. - Muszę cię o coś spytać. Co sądzisz o uprowadzeniach?

- Kogo uprowadzamy? Clintona? Tonie? Sędziego Sneeda?

- A na co ci oni potrzebni? Myślałam o moich dzieciach. W słuchawce zapadła cisza.

- Czy nie jest to przestępstwo federalne? - odezwała się w końcu Vivian. - Nie, żebym uważała, że to coś złego. Zwłaszcza, gdyby uszło ci to na sucho.

Kolejna cisza.

- Żartowałam - przyznała Jada. - Co bym z nimi zrobiła? Nie mogę zostać tutaj, bo aresztowaliby mnie za porwanie i nieprzestrzeżenie postanowień sądu. Nie mogę pojechać do rodziców, bo Clinton znalazłby mnie drugiego dnia. - Westchnęła ciężko. - Widzisz, próbowałam to sobie jakoś wy-kalkulować i nie bardzo mi wychodzi. Nie wyobrażam sobie takiego życia, jakie przeznaczył mi sąd. Nie chodzi tylko o pieniądze. Muszę patrzeć, jak moje dzieci cierpią, jak zwracają się przeciwko mnie.

- Tylko czekam, kiedy zrobi to mój mąż - wyznała Vivian.

- Kiedy zwróci się przeciwko tobie? Hej, to on powinien się bać. - Jada przypomniała sobie o siniaku na twarzy Vivian. - Vivian, czy ty się go boisz?

Zanim Viv zdążyła odpowiedzieć, odezwał się intercom na biurku Jady.

- Pan Marcus na dwójce - obwieściła Anna.

Jada zaczerpnęła głęboko powietrza. Vivian jeszcze nie odpowiedziała na jej pytanie.

- Muszę odebrać telefon na drugiej linii. Wiem, że nie lubisz tu dzwonić. Zadzwoń później.

Podniosła słuchawkę i Marcus naskoczył na nią, zanim zdołała się odezwać.

Wypomniął jej, że się spóźniła, że źle potraktowała konsultanta, że zmieniła godzinę zebrania. Gadał i gadał. Jada słuchała, siląc się na cierpliwość.

- Panie Marcus - weszła mu w końcu w słowo. - Jeżeli przełożył pan dzisiejsze zebranie na szesnastą, będzie się musiało odbyć beze mnie. Jeżeli chce pan, żebym wzięła w nim udział, musimy zwołać je dzisiaj o czternastej lub jutro o szesnastej.

- Pani, Jackson, Jado, przykro mi, ale chyba nie rozumiesz. Nie masz wyboru.

Ostatnio w ogóle podejmowałaś niewłaściwe decyzje. - Odchrząknął. - Chyba już czas, żebyś pomyślała o złożeniu rezygnacji.

Jada zamarła.

- Słucham?

- Rezygnacji, pani Jackson. Zbyt wiele czasu poświęca pani w pracy na załatwianie spraw prywatnych. A Anna Cherri] sporządziła listę...

- Czego?

- Proszę posłuchać! Będzie dla pani o wiele korzystniej, jeżeli zwolni się pani na własną prośbę.

Jada nie wierzyła własnym uszom.

- A jeżeli tego nie zrobię?

- Powiedzmy, że sam przygotuję pani rezygnację.

- Powiedzmy, że powiem, żeby poszedł pan do diabła. Nie usunę się potulnie, jak zrobiła to Viv Russo. Ciężko pracowałam na to stanowisko. Rezultaty mojej pracy są wymierne. Jeżeli myśli pan...

- O ile się nie mylę, otrzymała pani pożyczkę bez zabezpieczenia, wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Przyznano ją pani z pominięciem pewnym przepisów. Jada zgięła się pół, jak po otrzymaniu ciosu w żołądek. Żółć napłynęła jej do ust.

- Zwróciłam całą sumę - powiedziała.

- Zupełnie nie w tym rzecz, pani Jackson. Nadużywając stanowiska, skłoniła pani pracownicę, aby załatwiła pożyczkę, której nie powinna pani otrzymać. Zrobiła to pani potajemnie. Pani Russo musiałaby przyznać to na procesie, prawda?

- Sprawa procesu nie ma tu nic do rzeczy, z czego każdy inteligentny człowiek zdaje sobie sprawę.

Rzuciła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź Marcusa. Bez chwili namysłu odwróciła się do komputera, wystukała i wydrukowała swoją rezygnację. Dać ludziom to, czego chcą. Nie czuła się nawet zdziwiona. Tylko człowiek chory umysłowo wykonywałby dalej tę pracę, po to, by umożliwić wygodne życie Clintonowi i Toni. Złożyła podpis i położyła kartkę na biurku. Potem zadzwoniła do Kam do pracy.

- Wiesz - powiedziała. - Jesteś w czepek urodzona.
- Bo co? ~ zapytała Kam ostrożnie, nie wiedząc, czego się spodziewać.
- Bo trafiła ci się idealna współlokatorka. Samotna, zdesperowana i bezrobotna.

## Rozdział 41

Vivian rozprostowywała pranie na ciepłej suszarce, kiedy Pookie zaczął szczekać, a potem popiskiwać niecierpliwie przy kuchennych drzwiach. Usłyszała, jak furgonetka Franka zatrzymuje się na podjeździe i zamarła z bawełnianą koszulką w rękę. Z jakiegoś powodu -powiedzmy sobie szczerze - z wiadomego powodu, bała się Franka. W miarę jak mijały dni, spędzane na naradach z Bruzemanem lub jego asystentami, w miarę jak pogarszała się jego sytuacja, Frank stawał się coraz bardziej popędliwy i nieopanowany.

Prędzej czy później odkryje brak pieniędzy w skrytce. Wolała nie myśleć o konfrontacji z mężem i pomagał jej w tym xanax. Czas jednak płynął i nic się nie działo. Teraz, kiedy drzwi pralni otworzyły się i zamknęły z trzaskiem, Vivian znieruchomiała pełna złych przeczuć. Pookie również pozostał na miejscu. Frank nie zawołał żony, może nie spodziewał się, że jest w domu. Vivian wsłuchiwała się w odgłos kroków na schodach, Frank wchodził na piętro. Pookie usiadł w kącie, spoglądając na nią pytająco, z przekrzywionym łbem. Oboje trwali w oczekiwaniu. Vivian mignęło w głowie, że pies też się boi. Stała, przyciskając do piersi bawełnianą koszulkę Frankiego. Nie wiedziała, dlaczego stara się być cicho, dlaczego wstrzymuje oddech, dopóki domem nie wstrząsnął ryk Franka. A więc, stało się. - Vivian!!!

Był na piętrze, łatwo zgadnąć, w której sypialni. Pookie, przerażony hałasem, zerwał się na równe nogi i wcisnął w szparę między ścianą a szafką. -Vivian!!! Usłyszała dudnienie jego butów na schodach.

Przez jedną straszną chwilę zastanawiała się, czy zdąży dobiec do garażu, zanim on przemierzy korytarz i kuchnię. Furgonetka prawdopodobnie

blokowała jej samochód, zresztą pomysł był szalony. Musiała bronić interesów swoich i dzieci. Źle się stało, że tak długo odwlekała konfrontację z mężem. Stawiało ją to w niekorzystnej sytuacji, a przecież to on i tylko on ponosił winę. Vivian rozumiała, że powinna powiedzieć o znalezieniu pieniędzy natychmiast, tego samego dnia. Powinna stawić czoło Frankowi, nie czekając na to, co się teraz zdarzy. Dlaczego popełnia takie głupie błędy? Dlaczego wszystko robi źle? Usłyszała go w kuchni, w korytarzu. Dokończyła składać koszulkę, odwróciła się i położyła ją na stosik innych ubrań. Wiedziała że Frank przemierzył już korytarzyk, niemal wyczuła jego obecność w drzwiach, jakby wysyłał promienie.

- Gdzie one są, Vivian?

Vivian odwróciła się i spojrzała na męża. Prawym ramieniem opierał się o futrynę, lewą rękę miał wyciągniętą na szerokość drzwi. Była to złowroga postawa, jakby chciał zagrozić jej drogę, jakby zagonił ją do tego ustronnego kąta domu.

„Tylko bez hysterii”, nakazała sobie ostro, ale Pookie zaskomlał ze swojego kąta, jakby on również wyczuł zagrożenie.

- Gdzie są pieniądze, Vivian?

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie warto udać kretynki. Frank i tak miał ją za idiotkę. Przez lata polegał na jej głupocie. Teraz był naprawdę wściekły, prawdę mówiąc, wyglądał jak furia. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej na myśl, że Frank, jej silny, nieustraszony Frank może się bać. W jego ciemnych oczach pojawiły się dziwne błyski.

- Mówisz o dowodzie przestępstwa? - zapytała. - O dowodzie, który ukryłeś w pokoju córki?

- Mówię o pieniądzach, do cholery! Gdzie one są, Vivian?

Z trudem oderwała wzrok od jego twarzy, odwróciła się, sięgając po dzinsy Jenny. Jenna lubiła, kiedy były wygniecione, ale Vivian prostowała je ukradkiem. Teraz wyrównała nogawki i naciągnęła wzdłuż szwów. Bała się wyznać prawdę i bała się skłamać. Mogła powiedzieć, że przyszła policja i zabrała pieniądze, ale takie kłamstwo miało się z celem. Frank szybko dowiedziałby się prawdy. Musi mu powiedzieć, jaką krzywdę jej wyrządził, że złamał jej serce i zniszczył własną rodzinę. Musi mu powiedzieć, że go przejrzała.

- Jestem żałosna, prawda, Frank? Nadal nie mogę uwierzyć, że jesteś winny. Wiem o tym, odkąd znalazłam te brudne pieniądze, twój łup. Ale nadal trudno mi w to uwierzyć. - Potrząsnęła głową. Kim był ten mężczyzna? - Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś tak skrzywdzić mnie i dzieci? Narkotyki! Wszystko zniszczyłeś. Jak mogłeś? Jak mogłeś tak mnie oszukać?

W odpowiedzi Frank uderzył pięścią we futrynę. Vivian drgnęła, kuląc głowę w ramionach. Upuściła dzinsy na podłogę. Schylając się, uświadomiła



sobie, że Frank wszedł do pokoju, szybko jak kot. Kucnął przy żonie, złapał ją za ramię i potrząsnął mocno.

- Dlaczego ty mi nie ufasz? - zapytał.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Oszalał? Czy naprawdę łudził się, że jeszcze raz przekona ją o swojej niewinności? Że uwierzy w jego zapewnienia, że wszystko będzie w porządku?

- Dlaczego kłamałeś?

- Te pieniądze nie pochodzą z narkotyków.

Jego bezczelność niemal zbiła ją z tropu. W ciągu długich nocy spędzonych na kanapie próbowała znaleźć inne wytłumaczenie: oszczędności, zyski z hazardu, gotówkowe wpływy od klientów, łapówki. Ale nie na darmo pracowała w banku, zawodowo trudniła się obliczaniem dochodów. Faktu posiadania przeszło pół miliona dolarów w gotówce nie da się wytłumaczyć dorabianiem na boku. Chyba że Frank był zamieszany w coś gorszego niż handel narkotykami, jeżeli coś gorszego istnieje. Chyba że był powiązany z mafią.

- Frank, okłamałeś mnie, wystawiłeś na ryzyko mnie, dzieci i nasz dom. Nasze całe życie. Nie będę tego tolerować. Gdybyś mnie zapytał, dowiedziałbyś się tego wcześniej. Nigdy nie podjęłabym takiego ryzyka. Za nic. - Urwała na chwilę. - Tylko przez przypadek policja nie znalazła tych pieniędzy podczas rewizji. Czy wiesz, jak ja się czułam, kiedy je znalazłam? Czy możesz sobie wyobrazić, jak się wstydziałam tego, że ci ufałam? Wierzyłam ci, Frank. Musiałam być szalona.

Frank ponownie potrząsnął ją za ramię.

- Ale nie byłaś szalona, kiedy dostałaś leksusa - spleaconego, ze wszystkimi szykanami? - warknął. - Nie byłaś szalona, kiedy przemeblowaliśmy kuchnię, zbudowaliśmy basen albo kiedy chciałaś kupić nowy antyk, albo kiedy dzieci potrzebowały ubrań do szkoły, na wakacje, na imprezę, na bal przebierańców. Nie byłaś szalona, kiedy płaciłem za nasze wakacje, za dom, za wszystko, co ci się zamarzyło. Nigdy nie spytałaś: Skąd mamy na to pieniądze, Frank? Nie! Byłem Frankiem Magikiem i nigdy, ani razu, niczego ci nie odmówiłem. To było moje zadanie - spełniać każdą zachciankę mojej żony. Naprawdę myślałaś, że żyjemy tylko z krycia dachów?! Zaczęła płakać, ale nie zamierzała ustąpić. Frank mówił tak, jakby to ona była wszystkiemu winna, jakby ona pchnęła go do przestępstwa.

- Pozbyłam się ich, Frank - powiedziała. - Znalazłam je, wyniosłam z domu i pozbyłam się ich. Zacisnął palce na jej ramieniu i wstał, siłą stawiając żonę na nogi.

- To boli! - krzyknęła i próbowała się uwolnić. Frank miażdżył jej ramię. Przeraziła się, widząc jego oczy, oszalała z gniewu.

- Potrzebuję tych pieniędzy, Vivian. Co z nimi zrobiłaś?

- Spaliłam - powiedziała. - Spaliłam je, żeby cię chronić. Żeby chronić dzieci.

Gdyby ktoś je zobaczył, to byłby koniec. Nawet twój adwokat-ge-niusz nie wyciągnąłby cię z takich tarapatów.

- Co zrobiłaś?! - zawołał piskliwie. - Na litość boską, Vivian, powiedz mi, że nie jesteś aż taka głupia. Potrzebuję tych pieniędzy, żeby opłacić tego geniusza. Myślisz, że Bruzeman przepracuje minutę za darmo? Te pieniądze mają mnie uchronić przed więzieniem. Co z nimi zrobiłaś, Vivian?

Uniosł ramię i wziął szybki, krótki zamach. Vivian miała wrażenie, że ogląda film w zwolnionym tempie. Widziała jak ręka Franka zbliża się do jej twarzy, ale odmawiała przyjęcia tego do wiadomości. Wszystko działo się bardzo prędko, a jednocześnie bardzo wolno. Przez chwilę jej umysł nie chciał zarejestrować obrazu, może dlatego cofnęła głowę ułamek sekundy za późno.

- Potrzebuj ę tych pieniędzy - krzyknął Frank i uderzył ją w bok głowy, tuż powyżej ucha. Jego pięść, twarda jak kamień, przesunęła się po skroni i trafiła Vivian w oko. Upadła do tyłu, uderzając głową o suszarkę. Próbowwała się odczołgać, ale Frank chwycił ją za przód koszuli i postawił na nogi. Tym razem jego pięść trafiła Vivian w podbródek. Poczowała straszny ból w uchu i udało się jej krzyknąć. Zrozumiała, że Frank ją zabije albo zmusi do oddania pieniędzy. Uniosła ręce, żeby osłonić się przed następnym ciosem, kiedy Frank zawył z bólu.

Vivian spojrzała przez palce. Frank przechylał się w bok, próbując strząśnąć spaniela, który wczepił się zębami w tył jego uda. W zamglonym bólem umyśle Vivian błysnęło światełko. To była jej szansa. Rzuciła się w stronę drzwi, minęła korytarzyk i dopadła garażu. Słyszała za sobą przekleństwa Franka i warczenie Pookiego. Nie zatrzymała się nawet wtedy, gdy dobiegł ją bolesny skowyt psa i odgłos upadku. Wbiegła do garażu. Frank nie zablokował jej samochodu, kluczyki miała w kieszeni spodni. Wsiadła do wozu i przekręciła klucz w stacyjce w chwili, gdy na przystanku po drugiej stronie ulicy zatrzymał się szkolny autobus. Frank biegł ku niej poprzedzany przez psa.

- Pookie! - krzyknęła. Mały spaniel rzucił się do przodu i jednym susem znalazł się na przednim siedzeniu. Viv błyskawicznie zatrzasnęła drzwi. Łamiąc wszystkie możliwe przepisy, wyprysnęła tyłem na ulicę i zajęchała drogę autobusowi. Otworzyła tylne drzwi.

- Wsiadać! - krzyknęła dziko do Jenny i Frankiego. - Do samochodu! Natychmiast! Dzieci popatrzyły na nią, oniemiałe ze zgrozy, ale na szczęście wstrząs nie pozbawił ich zdolności ruchu. Po chwili były już w samochodzie.

- Zamknąć drzwi! - krzyknęła i Jenna odruchowo posłuchała. Kątem niezapuchniętego oka Vivian zobaczyła Franka kuśtykającego podjazem. Docisnęła pedał gazu i samochód ruszył z piskiem opon.

Vivian otarła policzek i spojrzała na swoją dłoń, czerwoną od krwi.

- Mamusiu, co się stało? - zapytała Jenna. - Znowu upadłaś? Dokąd jedziemy? Ale Vivian nie mogła odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

## Rozdział 42

Kam wyszła spod prysznica, wytarła się ręcznikiem, jeszcze wilgotnym po ostatniej kąpieli i narzuciła szlafrok. Normalnie dałaby sobie z tym spokój, ale odkąd Vivian zjawiała się w jej mieszkaniu, zakrwawiona i przerażona, a dzieci sypiały na podłodze w dużym pokoju, Kam wprowadziła kilka zmian w swoich zwyczajach. Nie wiedziała, kto i kiedy wparuje do łazienki, wołała więc nie chodzić nago. Zrobienie makijażu postanowiła odłożyć na później. O tej porze dnia do łazienki tworzyła się kolejka jak przed kinem w dniu premiery. Otworzywszy drzwi, Kam natknęła się na pobitą Vivian i jej córkę.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy...

- Absolutnie nic - powiedziała Kam i, co dziwne, naprawdę nie miała. Od dwóch dni jej mieszkanie przypominało kemping miejski, ale w odczuciu Kam było to sto razy lepsze, niż samotne leżenie na materacu i gapienie się w styropianowy sufit.

Wczoraj pojechały z Jada do centrum handlowego i kupiły najpotrzebniejsze rzeczy dla Jenny i Frankiego. Dzieci wyszły z domu tak jak stały, a Vivian nie chciała ich puścić od siebie na krok w obawie przed Frankiem. Kam załatwiła już sądowy zakaz zbliżania się i zabrała przyjaciółkę na pogotowie, gdzie opatrzono jej twarz. W tym czasie Jada siedziała z dziećmi, przekupiwszy je zabawkami, które wybrały w centrum handlowym. Kam przeniosła swój mały telewizor - swój jedyny telewizor - z sypialni do dużego pokoju i trzy kobiety oraz dwoje dzieci spędziły niedzielny wieczór, koczując na podłodze i oglądając film „Gruby i chudszy”.

Było całkiem miło, kiedy Kam oswoiła się już trochę z wyglądem Vivian, a dzieci ochłoneły po wydarzeniach popołudnia. Dopiero rano, kiedy Kam szykowała się do pracy, dzieci do szkoły, a wszyscy byli zmęczeni i poirytowani, Kam poczuła się jak w tym filmie braci Marks, w którym sto osób pakuje się do okrętowej kabiny Groucha. Uśmiechnęła się na myśl, że bała się zamieszkać sama. Naprawdę sądziła, że będzie samotna? To mieszkanie zamiast wykładziny dywanowej miało materace do spania?

Ruchami nawet przypominała Groucha, kiedy unosząc wysoko kolana, przekroczyła górę koców, uśpionego Frankiego, uśpionego psa, zgniecione ręczniki papierowe i szklanki z wodą, porozstawiane gdzie popadnie. Dotarła w końcu na drugi koniec pokoju, który służył jako kuchnia. Marzyła o dawce kofeiny, ale rozejrzawszy się wkoło stwierdziła, że nie ma dzbanka do kawy. Zastanowiła się przez chwilę: gdzieś go dzisiaj widziała, ale gdzie? Ponieważ sprawa była beznadziejna, uruchomiła ekspres.

Obejrzała się na uśpione postaci. Dzieciaki przysparzały mnóstwo pracy, ale i sporo radości. Patrzyła ze wzruszeniem, jak się tulą do Vivian. Oboje

okazywali matce wiele czułości. Frankie kazał jej obiecać, że będzie bardzo, bardzo ostrożna, a Jenna, która podejrzewała chyba, że nie jest to kolejny upadek ze stołka, pogłaskała matkę po zdrowym policzku.

Kam przyłożyła rękę do brzucha. Tęskniła już za tym, by przytulić taki ciepły, kochany kłębuszek do piersi. Upłynie wprawdzie trochę czasu, zanim razem będą mogli oglądać jej ulubione filmy Disneya, wylegiwać się na materacach na środku pokoju i zajadać pizzą ale Kam mogła poczekać.

Skwierczenie kawy, która przelała się z kubka i spływała z sykiem na ciepły talerz, przywołało ją do rzeczywistości. Kam podstawiła pustą filiżankę i otworzyła lodówkę. Niestety, nie znalazła w niej mleka. Posiadanie dzieci miało jednak swoje ujemne strony. Teraz będzie musiała wypić kawę bez mleka, anie znosiła czarnej. Siorbnęła niechętnie gorzki płyn, wykrzywiła się ze wstrętem, korzystając z tego, że nie ma świadków jej niezadowolenia, po czym otworzyła szafkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Na samym froncie stało pudełko placuszków do zapiekania. Musiało należeć do Jady albo Vivian, może kupiły je dla dzieci.

Sześćset kalorii pustych węglowodanów, ale Kam wyciągnęła jedno ciastko i wsunęła je do opiekacza. Spaniel poderwał się z podłogi i podbiegł ku niej, węsząc łakomie. Odłamała kawałek placka i podsunęła mu pod nos. Miała dom pełen gości i nie miała mleka, miała za to niezdrowe, kuszące jedzonko na wyciągnięcie ręki. Należy się w ogóle dziwić, że sajeszce matki ważące poniżej stu kilogramów. Czekać, aż kawa trochę przestygnie, a ciastko wyskoczy z opiekacza, zapakowała do aktówki papiery, dwie książki, do których się odwoływała, notatki. Ponieważ jednak grzanki mają to do siebie, że nie wyskakują na zawołanie, Kam poszła wyjąć pocztę ze skrzynki przy drzwiach. Na pierwszy rzut oka nie było nic ciekawego: dwie reklamówki sklepu spożywczego, rachunek za prąd, zawiadomienie ze spółdzielni. Zza rachunku wychynęła koperta ze stemplem bostońskim. Kam rzuciła wszystko inne na stolik w przedpokoju i drżącymi palcami rozdarła kopertę. Na odwrocie widniał adres firmy prawniczej, której Reid powierzył przeprowadzenie rozwodu.

W środku znajdowało się wezwanie do stawienia się w kancelarii w celu podpisania papierów rozwodowych. Nie stanowiło to dla Kam niespodzianki. Zdumiała ją tylko data rozprawy, którą wyznaczono już za dwa tygodnie. Do urzędowego pisma dołączony był krótki list.

*Uznałem, że im prędzej, tym lepiej. Z pewnością się ze mną Zgodzisz. Mam nadzieję, że się stawisz, bo uzyskanie terminu kosztowało mnie sporo wysiłku. Nie sądzę, żebym coś przeoczył, ale byłbym wdzięczny za współpracę, żebyśmy mogli to zakończyć i ułożyć sobie życie od nowa.*

*Reid.*

Ułożyć sobie życie od nowa? Kam musiała przeczytać list po raz drugi, a potem trzeci, żeby zrozumieć treść. Stała przy kuchennej ladzie, popijając gorzką kawą i zajadając ciastko z jabłkami. Chciała się uwolnić od Reida, to prawda, ale on przecież o tym nie wiedział. Nie do wiary, jaki jest zimny, bezwzględny. Może zawsze taki był, już wtedy, gdy wychodziła za niego za męża?

Jenna musiała wyjść z łazienki, kiedy ona gapiała się na list Reida, bo teraz budziła brata, trącając go nogą.

- Hej! - zawołała Kam autorytatywnym tonem i ku jej zdumieniu Jenna przestała kopać Frankiego.

„Może będę dobrą matką”, pomyślała Kam. „Może mam wrodzony talent?”.

W tym momencie otworzyły się drzwi drugiej sypialni i ukazała się wpół-przytomna Jada. Skierowała się wprost do ekspresu, chwyciła gorące uszko kubka i krzyknęła z bólu. Kawa rozprysnęła się po całej kuchni.

- Auu! Próbujesz mnie okaleczyć? - krzyknęła, potrząsając dłonią. Kam zaczęła ją przeproszać, podczas gdy Vivian zabrała się od razu za wycieranie rozlanej kawy.

- Najwięcej wypadków zdarza się w domu - przypomniała im, obwiązując rękę Jady wilgotnym ręcznikiem.

- Śniło mi się coś paskudnego o Clintonie - powiedziała Jada. - Naprawdę paskudnego. Nie było mu do śmiechu.

Kam podała jej korespondencję z Bostonu.

- Mnie też nie jest do śmiechu. Zastanawiam się, czy opracowano już formułę specyfiku mającego efekt odwrotny od viagry?

Jada przeczytała list od Reida, po czym uniosła brwi.

- Dobry pomysł. Zamierzasz wprowadzić go do kanalizacji miejskiej, czy ograniczysz się do własnego mieszkania?

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła Kam. - Ale uważam, że coś trzeba zrobić.

- Jestem z tobą - powiedziała Jada, idąc w stronę własnego pokoju. - Ale najpierw muszę się ubrać. Przystąpię do waszej grupy terrorystycznej, jak tylko załatwię sobie wysokopłatne zajęcie przy obsłudze frytkownicy w zakładzie masowego żywienia.

Kam wiedziała, że Jada wybiera się na poszukiwanie pracy i że Vivian czeka tylko na wygojenie się twarzy, żeby zrobić to samo. Tymczasem wyprawiła dzieci do szkoły, opanowawszy sprawnie kryzys rodzinny wywołany zaginięciem różowych skarpetek Jenny. W końcu jednak wszyscy byli gotowi do wyjścia. Kam obserwowała scenę z zainteresowaniem, potraktowawszy ją jako studium współczesnego macierzyństwa porannego. Zaproponowała, że odstawi dzieci pod same drzwi szkoły. Rozciągając nad nimi pełny nadzór, Vivian chciała uchronić je przed spotkaniem z Frankiem.

- Jesteśmy gotowi - oznajmiła Vivian. Kam wręczyła jej kluczyki do samochodu.

- Zaraz przyjdę - powiedziała, zbierając swoje rzeczy.

W świetle dziennym twarz Vivian wyglądała strasznie, siniak na szyi nie utracił jeszcze fioletowej barwy. Kam pomyślała o Reidzie. Nigdy jej nie uderzył. Ale też nigdy jej nie kochał, chociaż uważała, że nie należy mieszać tych dwóch spraw.

„Będę dobrą matką, myślała. I będę to lubiła. Nie jestem już taka spłoszona jak na początku. Jestem wściekła. Naprawdę wściekła. Ci mężczyźni: Clinton, Reid, a teraz Frank. Bezużyteczne, egoistyczne kreatury”.

- Musimy wziąć się w garść i coś przedsięwziąć - powiedziała, kiedy Jada wyszła ze swojego pokoju, gotowa do działania.

- W sprawie dzbanka do kawy? - zapytała.

- Nie. W sprawie tego idioty, mojego przyszłego eks-męża. W sprawie twojego idioty. - Zniżyła głos, żeby dzieci nie słyszały. - W sprawie idioty Vivian.

Jada skinęła głową.

- Słuchaj, możesz liczyć na moją pomoc. Śniło mi się dzisiaj, że Clinton wpadł głową naprzód do pojemnika na odpadki. Ale jeżeli chcesz, żebym pojechała do Marblehead i wysprejowała garażowe drzwi Reida i Lisy, jestem gotowa. Mogę również zadzwonić do ich szefa i podłożyć im świnię. A może lepiej do izby adwokackiej? Zrobię to z przyjemnością.

Kam skinęła głową po czym spojrzała na zegarek. Musiała już iść. Ten ranek różnił się z pewnością od innych, ale nie okazał się zły. Wsiadła do wozu, poczekała cierpliwie, aż dzieci pożegnają się z Vivian i słuchała ich przekomarzań w drodze do szkoły. Odprowadziła je pod same drzwi budynku i pojechała do ośrodka, rozmyślając o skrzywdzonych kobietach; zastanawiając się, czy ona, Jada i Vivian naprawdę nie mogą zrobić nic, by zmienić swoje położenie.

### **Rozdział 43**

Znalezienie parszywej, niskopłatnej posady okazało się śmiesznie trudne.

Zatrudniając się w banku jako kasjerka, była przekonana, że panowie Marcusowie tego świata wykonują pracę bardziej interesującą, lepiej płatną, ale nieporównywalnie trudniejszą. Nic bardziej mylnego. Dochrapała się kierowniczego stanowiska i wiedziała już, że mimo nawału papierkowej roboty jest to bułka z masłem w porównaniu z monotonią i nudą niskopłatnego zajęcia.

Wystartowała już do posady ekspedientki w pralni chemicznej i kasjerki w „Palyess”, ale odprawiono ją kwitkiem. Czy dlatego, że była czarna, a białe kobiety z Westchester nie chciały, by czyjeś czarne palce dotykały ich ubrań? „To czarne nie plami i nie schodzi w praniu”, chciała powiedzieć. „Gdyby schodziło, niektórzy z nas byłiby biali”.

Uznała, że powinna pójść tam, gdzie się jej spodziewają. Wystarczyło napomknąć o doświadczeniu bankowym, by otrzymać swoją kasę „Price Chopper”, co nie oznaczało, że została zwolniona z haraczu. Przez pierwszy miesiąc była na okresie próbnym. Ale pan Stanton przyjrząwszy się jej, powiedział:

- Podobasz mi się. Sporo twoich tu przychodzi.

Jada nie była pewna kim są ci „twoi” - z pewnością nie ta czarna kobieta, która wydawała się całkowicie głucha na płacz swojego dziecka. Z niewzruszonym spokojem wyłożyła na taśmę dużą paczkę czekoladowych całusków, pudło płatków kukurydzianych z większą zawartością cukru niż czekolada oraz wielgachny worek cebuli. Dziwne, co ludzie kupują.

Jada przestała całą zmianę, przesuając przed skanerem produkt po produkcie, walcząc ze znużeniem i nudą. Już pierwszego dnia nauczyła się, że okresy ruchu są lepsze od zastojów. Nawet gdy nie było klientów, ona i tak musiała stać, wgapiając się w tytuły brukowców, których nie wolno jej było czytać. Stanie i czekanie było najgorsze. Dawało czas na myślenie, co nie było wcale zaletą tej pracy. Sąd miał nad nią ogromną władzę, prawda!, ale nawet wymiar sprawiedliwości nie wycisnie krwi z kamienia. Zarabiała niecałe sześć dolarów za godzinę i wszystko oddawała dzieciom, a jeżeli Clinton chce zatrzymać dom, niech sam stanie za kasą supermarketu. Na chwilę zrobiło się jej lżej na duszy.

Miała trochę oszczędności, które pozwolą jej przetrwać jakiś czas, ale co dalej? Musiała zapłacić ubezpieczenie na dom, samochód, raty hipoteczne, rachunki za telefon i za prąd. Dzieci musiały mieć dach nad głową, musiała zapewnić im w miarę normalne życie, w miejscu, które znały i uznawały za własne. Niedoskonały, niewykończony, ale był to jednak dom, w którym się wychowały, miejsce, gdzie mogły się schronić. Może popełnili z Clintonem błąd, może powinni osiedlić się w bardziej murzyńskiej dzielnicy, dla dobra dzieci, ale plusem obecnej sytuacji było to, że uczyły się w dobrej szkole. Miały przyjaciół.

Starsza kobieta przytoczyła wózek z zakupami. Wyjęła pudełko krakersów, jednego pomidora, galaretki w cukrze i dwa kubeczki puddingu. Kiedy Jada zaczęła odkładać produkty, kobieta wyciągnęła kupony, niemal tak stare jak ona sama. Kupon na krakersy utracił ważność parę miesięcy temu, ledwo dawało się go odczytać. Jak długo starsza pani nosiła go w kieszeni?

Jada dała jej zniżkę, wiedząc, że potrąca jej to z pensji. Kiedy staruszka pakowała zakupy, Jada pomodliła się najpierw za nią, potem za siebie, prosząc Boga, by oszczędził jej takiej kruchej, samotnej starości.

W połowie zmiany nogi bolały ją od stóp po biodra, w krzyżu łupało. Nie była przyzwyczajona do wielogodzinnego stania i choć rozpaczliwie potrzebowała pracy, przyjęcie jej uznała za błąd. Zapragnęła znaleźć się z powrotem w swoim bankowym gabinecie. Wprawdzie bank ograbiał ją z czasu, wysysał energię fizyczną i umysłową, ale praca przy kasie też była wyczerpująca. Jada chciała pracować, lubiła to nawet, ale uznała, że musi znaleźć sensowniejsze, lepiej płatne zajęcie, które pozwoli jej widywać dzieci, odzyskać je.

Te widzenia sprawiały Jadzie coraz więcej bólu. Czekanie w samochodzie, przed szkołą, nadzór pani Patel, przesiadywanie w restauracjach, jeżdżenie w kółko, wszystko to było upokarzające, a widok rozczarowania, dezorientacji dzieci rozdzierał serce. Shavonna przeżywała okres buntu. Podczas ostatniego widzenia nie odezwała się przez czterdzieści minut. Siedziała obejmując się ciasno ramionami, dokładnie tak, jak robiła to matka Jady, kiedy była zła. Wszystkie pytania Jady trafiały w próżnię.

Za to Kevon Ignął do niej, nie milknąc ani na chwilę. Niepokoiło ją to bardziej niż buntownicze milczenie Shavonny.

- Wiesz co? - zaczynał, a kiedy pytała „Co?“, nie wiedział, co powiedzieć, więc powtarzał „wiesz co?“ a po chwili namysłu opowiadał o jakiejś kłótni między Clintonem a Tonią. „I tatuś powiedział, że nie chce więcej dań na wynos, a Tonią powiedziała, że nie zamierza w kółko gotować. Jedliśmy kanapki z masłem orzechowym“. Albo: „Wiesz co? Wiesz co? Ona nie zna imienia żadnego z żółwi Ninja. Mówiła, że zna, ale nie zna“. Albo zadawał pytania: „Gdzie jest moja pizama, ta w rybki i małe łódziki? Dlaczego już nie ścielisz mojego łóżka? Nie lubię jak jest całe pomarszczone! Nie mogę spać w pomarszczonym łóżku!

Jada kołysała w ramionach Sherrilee, podczas gdy Kevon paplał i paplał, a Shavonna unikała wzroku matki. Tylko oczy pani Patel, zasmucone jakąś osobistą tragedią, a może tym, co z racji zawodu oglądała na co dzień, zdawały się odzwierciedlać ból Jady.

Widzenia były bolesne, ale odwożenie dzieci stanowiło torturę. Sherrille uderzała w płacz, zanim jeszcze skręcili w Elm Street, a monolog Kevona zmieniał się w bełkot. Jada była niemal wdzięczna za panią Patel, która łagodnie, lecz stanowczo wyjmowała niemowlę z ramion matki, brała Kevona za rękę i prowadziła do domu. Dopiero wtedy Shavonna spoglądała matce w twarz.

- Wróć do domu - powiedziała poprzedniego razu. - Wróć do domu.

- Twój tatuś nie chce mnie wpuścić - odparła Jada, wbrew obietnicy, że nigdy nie oskarży Clintona przed jego dziećmi. - Nie mogę wrócić, Shavon-no, bo twój tatuś mnie nie wpuści.

Po odejściu Shavonny Jada siedziała w pustym volvo, zanosząc się od płaczu.

Dodatkową udrekę stanowiła myśl, że obwiniając Clintona na pewno nie pomogła córce.



Podjechał klient z pełnym wózkiem. Oto błogosławiona chwila zapomnienia. Ale przesuając produkty przed skanerem, Jada nie przestawała myśleć. Wszystkie trzy: pobita Vivian, zdradzona Kam i ona - bezdzietna matka, zostały okpione, oszukane przez mężczyzn i instytucje, które powinny je chronić. Dotąd myślała, że takie nieszczęścia przytrafiają się tylko czarnym, a tutaj ofiarą padła wykształcona, zamożna biała Vivian. To dowodziło, jak ciężko być kobietą - nie tylko kolorową kobietą - zdaną na łaskę mężczyzny.

Gdzie popełniła błąd? Zawsze była silna, nie bała się ciężkiej pracy, kierowała się w swoim postępowaniu zasadami przyzwoitości. Takie życie nie przyniosło pożytku ani jej, ani Vivian, a rym bardziej Kam. Wystarczyło spojrzeć, jak mieszkały. W dwóch pokojach gnieździły się trzy kobiety i dwoje dzieci, nie wspominając cholernego psa. Przypominały bandę straceńców, a nie zaznały nawet satysfakcji, jaką daje popełnienie szalonego przestępstwa i skorzystanie z jego owoców. Jada przesunęła przed skanerem główkę sałaty w folii. Doskonale wiedziała, co powinny zrobić przyjaciółki. Vivian powinna rozwieść się z Frankiem i dogadać z biurem prokuratora. Kam powinna znaleźć sposób, by ukarać swoją bostońską „przyjaciółkę” i wyrównać rachunki z mężem. A co powinna zrobić ona, Jada? Kasa wyświetliła sumę do zapłacenia. Jada musiała tylko wpisać kwotę, jaką otrzymała od klienta, by komputer poinformował ją, ile wynosi reszta. To zajęcie nie wymagało nawet umiejętności odejmowania.

Jada przyjęła sześćdziesiąt dolarów od mężczyzny w średnim wieku, który zakupił wyłącznie produkty mięsne - kiełbasy, bekon, wędzoną szynkę i puszki z wołowiną - odliczyła trzy dolary czterdzieści sześć centów reszty. Melody, która pracowała na pół etatu jako pakowacz, zaczęła wkładać zakupy do papierowej torby.

- Proszę podwójną - powiedział mężczyzna i Melody skinęła głową.

Jada zwróciła się do następnego klienta. Gustownie ubrana kobieta ze źle zrobionym liftingiem twarzy. Ciekawe, dlaczego mężczyźni nie każą sobie podciągać mięśni, żeby lepiej wyglądać? No właśnie! Co Kam powiedziała o potrzebie wymierzenia kary? Że należy wyrównać rachunki, odzyskać to, co im wydarto. Westchnęła. Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić. Gdyby przyjaciółki zrobiły to za nią, a ona działałaby w imieniu Kam albo...

Otóż to! Jej dłoń z puszką oliwek zawisała w powietrzu. Kobieta z liftingiem popatrzyła na nią, zdziwiona, ale Jada nie zwracała na nią uwagi. Myślała o swoich dwóch przyjaciółkach. Musiały działać razem. Nie tylko organizując życie codzienne, w którym każda otrzymała swój przydział: Jada zaopatrywała dom w jedzenie, Vivian sprzątała jak maniaczka, a Kam płaciła czynsz. Musiały działać razem przeciwko systemowi, który je pokonał. Powinny zrobić coś, co pomoże im wyrównać rachunki, co przywróci im dumę, a nawet wolność. Da im to, czego pragnęły, na co zasługiwały. Jada wiedziała, że zasługuje na swoje dzieci, dzieci jej potrzebowały. Gapiała się

na klawiaturę kasy tak długo, że cyferki zlały się w jedną plamę. Żartowała, proponując Vivian uprowadzenie dzieci, ale może należało się nad tym poważnie zastanowić. Może z pomocą przyjaciółek mogłaby...

- Czy obiady delux Krafta są na promocji? - zapytała kobieta z liftingiem, takim głosem, jakby od odpowiedzi Jady zależał byt rasy ludzkiej.

- Nie, tylko makaron z serem - odparła. - Bierze je pani? - zapytała, wskazując pudełka delux. Odpowiedź kobiety nawet do niej nie dotarła.

Podjęła decyzję. Wyrównają rachunki. Wszelkimi dostępnymi środkami.

- Przyjeżdżamy. To nasza nieodwołalna decyzja. Powiedziałem twojej matce: „najwyższa pora” i nawet ona nie mogła mi się przeciwstawić. Więc ty też nie próbuj.

Słuchając ojca, Jada zastanawiała się, czy pociecha, jaką jej ofiarował, zrównoważy ból, jaki ona mu zada. Nie zdradziła jeszcze rodzicom całej prawdy. Jeżeli uznali, że sytuacja jest kryzysowa teraz, co powiedzą, gdy dowiedzą się, że utraciła dzieci i dom? Z drugiej strony, gorzej już być nie mogło, a ona bardzo potrzebowała wsparcia.

- Nie mów mi, że mnie tam nie chcesz, bo wiem, że chcesz - powiedziała matka.

- Oczywiście, że chcę, mamusiu.

Będzie musiała poprosić Kam o załatwienie sądowego pozwolenia na widzenie się dziadków z dziećmi. Co jeszcze należało zrobić? Znaleźć rodzicom pokój w motelu, ponieważ trzy osoby dorosłe, dwoje dzieci i pies to było maksimum pojemności mieszkania Kam. Powiedzieć im, że rozmyśla nad uprowadzeniem własnych dzieci i rozpląnięciu się w powietrzu? Przyznać, że jest tak zdesperowana, że rozważa możliwość popełnienia przestępstwa? Może rzeczywiście powinna ich jakoś przygotować na to, co tu zastaną.

- Mamusiu, trochę się tu pozmieniało od twojej ostatniej bytności - zaczęła.

## **Rozdział 44**

Vivian wzięła prysznic, sprzątnęła mieszkanie i teraz kończyła toaletę, gotowa do realizacji pierwszej części własnego planu. Nie próbowała zatuszować siniaków na twarzy. Dziś chciała, żeby były widoczne.

Poukładała starannie swoje notatki i papiery, na sam wierzch kładąc szczegółową listę strat poniesionych podczas rewizji. Ha! Była dokładniejsza, bardziej

skrupulatna niż komornik stanowy. Sporządziła tą listę na życzenie Franka. Franka, który był winny. Jeszcze niedawno, myśląc o przyszłości, wyobrażała ją sobie na wzór i podobieństwo minionych lat - miła rutyna codzienności, piękny dom, radość patrzenia jak rosną dzieci, miłość męża. O tym marzyła, na to pracowała od szóstego roku życia, dorastając w ruderach, przy boku matki-alkoholiczki. Pragnęła własnego domu, wiernego męża, czystych, zdolnych dzieci, porządných mebli, nowego samochodu. Otrzymała to wszystko i utraciła, i nie miała innego marzenia w rezerwie.

Kiedyś uważała, że warunki, w jakich wyrosła, uodporniły ją na życiowe trudy. Nie miała matki, która by się o nią troszczyła, która by jej doglądała. Musiała troszczyć się sama o siebie. Teraz, po klęsce, uświadomiła sobie, że wcale nie jest odporna, przeciwnie - jest bardziej wrażliwa niż jej dwie przyjaciółki. Nie miała planu B. I choć się bardzo starała, nie potrafiła go stworzyć. Mogła jednak uprzątnąć bałagan, w jakim się znalazła.

Zaparkowała przed biurowcem, w którym mieściła się kancelaria Swa-ine'a, Coopple'a i Bruzema. Michael Rice wysiadł ze swojego wozu i pospieszył na jej spotkanie. Przedyskutowawszy sprawę z Jada i Kam, Vivian uznała że lepiej będzie, jeżeli złoży wizytę Bruzemanowi w towarzystwie mężczyzny.

Michael uśmiechnął się na powitanie i nie odwrócił oczu od jej poharatanej twarzy.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Lepiej niż wyglądam - powiedziała. - Ale jestem zdenerwowana.

- Byłaś u lekarza, prawda?

- Och, to nic groźnego, naprawdę. Martwię się tylko o dzieci.

- Rozumiem - odparł Michael z powagą. - Chodźmy na górę zobaczyć, co się da zrobić.

Tym razem nie kazano jej czekać. Kiedy się nad tym zastanowić, po raz pierwszy.

Może Michael Rice miał siłę przebicia lub, co bardziej prawdopodobne, Rick

Bruzeman nie lubił, gdy pobite kobiety psuły wystrój jego poczekalni.

Zaprowadzono ich natychmiast do biura Bruzema, który już czekał w drzwiach, z wyciągniętą ręką. Ujął Michaela za łokieć, ściskając mocno jego prawicę, niby polityk na spotkaniu przedwyborczym. Potem zwrócił się do Vivian.

- Vivian, dobrze wyglądasz - powiedział. Vivian nawet nie odpowiedziała. Podeszła wprost do kanapki i usiadła. Michael zajął miejsce obok niej.

Bruzeman przysunął sobie jedno z krzeseł, usiadł, zakładając lewą stopę na prawe kolano, w ten sposób, że widać było wzór jedwabnych skarpetek. Vivian odwróciła wzrok.

- Nie zabierzemy panu dużo czasu - zaczął Michael. - Mamy kilka prostych żądań.

B tużem an uśmiechnął się, jakby nie przewidywał problemów.

- Oczywiście. Wysłucham państwa z przyjemnością.

- Moja klientka nie będzie zeznawała na rzecz pańskiego klienta - powiedział Michael. - Jeżeli otrzyma wezwanie, będzie zeznawała dla stanu. Z uwagi na przemoc, jakiej dopuścił się wobec niej pański klient, występujemy o rozwód i opiekę nad dziećmi. Jeżeli pan Russo wyrazi zgodę, poczekamy ze złożeniem pozwu do czasu zakończenia procesu. W tym czasie nie wolno mu się kontaktować z żoną i dziećmi.

- Ho, ho! - zaśmiał się Bruzeman. - Tylko tyle? Pan Russo nigdy się na to nie zgodzi. Nie uważa pan, że to zbyt twarde warunki? On teraz bardzo potrzebuje swojej rodziny. Nie jest to łatwy okres dla Franka, musisz zdawać sobie z tego sprawę, Vivian.

Vivian przełknęła ślinę, myśląc o samotności Franka.

- Nie uważam, żeby to były ciężkie warunki dla kogoś, kto dopuścił się przemocy wobec żony - powiedział Michael spokojnie.

Bruzeman wstał.

- Daj pan spokój! Frank żyje w ciągłym stresie. Ma problemy prawne, problemy finansowe, kto wie jakie jeszcze? No więc, popchnął żonę, upadła, zresztą nie wiadomo, jak to było naprawdę, kto kogo sprowokował. - Popatrzył z góry na Michaela, zamarył w bezruchu, w którym czaiła się groźba jakiegoś strasznego ataku. Vivian skostniała z przerażenia.

- Obawiam się, że te warunki są absolutnie nie do przyjęcia.

Ton Bruzema przyprawił Vivian o drżenie. Było coś złowieszczonego w tej drobnej postaci przywodzącej na myśl małego, śmiertelnie jadowitego węża.

Michael również podniósł się z miejsca.

- Pan mnie chyba nie zrozumiał - powiedział. - My nie negocjujemy. Po prostu wyjaśniamy nowe zasady gry. Jeżeli chce pan wiedzieć, dlaczego obowiązują, proszę zapytać swojego klienta. Vivian Russo nie ma cienia wątpliwości, że jej mąż jest winny wszystkich stawianych mu zarzutów. Pana szczęście, że nie poszła wprost do biura prokuratora i nie wyjaśniła im, skąd czerpie to przekonanie.

Rick Bruzeman usiadł, tym razem jednak nie skrzyżował nóg, lecz zatknął małe stopy za przednie nogi krzesła i pochylił się w stronę Vivian. Patrzył tylko na nią, jakby Michael Rice nagle przestał istnieć.

Musiła przywołać na pomoc całą odwagę, by nie umknąć wzrokiem.

- Vivian - przemówił Bruzeman - twój mąż cię kocha. Wiesz o tym. Wiesz, że kocha dzieci. Sumienie nie pozwoli ci go opuścić w tak krytycznej chwili. Nie wolno ci tego zrobić. - Urwał. - Frank jest teraz na mojej prywatnej linii, czeka cierpliwie, licząc na to, że będzie mógł z tobą porozmawiać.

Michael Rice wszedł między nich, jakby mógł swoim ciałem ochronić umysł Vivian.

- To niedopuszczalne, mecenasie! Moja klientka nie będzie rozmawiać z człowiekiem, który ją maltretuje. Zgłosiliśmy pobicie na policji. Frank Russo otrzymał zakaz zbliżania się do żony i dzieci. Mamy zdjęcia, protokół z oględzin lekarskich i możemy złożyć skargę. Zrobimy to, jeżeli będzie pan wywierał na panią Russo jakąkolwiek presję. - Michael zwrócił się do Vivian. - Zapomnij o tym, co ci powiedział. - Nie będzie panu łatwiej reprezentować klienta już skazanego za pobicie i maltretowanie żony - rzucił Bru-zem änowi.

Vivian wstała. Nie mogła tego dłużej znieść.

- Porozmawiam z nim - zwróciła się do Rice'a.

- Nie musisz.

- Porozmawiam z nim - powtórzyła. - Wszystko, co powiedziałeś jest prawdą. Nie negocjujemy. Informujemy o stanie rzeczy. Powiem to Frankowi.

Bruzeman wskazał jej telefon.

- Czeka na drugiej linii - powiedział, po czym spojrzał na Michaela. - Chyba zostawimy panią Russo sam na sam z mężem? Musi z nim omówić parę spraw.

- Chcesz, żebym został?

- Nie, poradzę sobie. - Będzie dorosła. Przedstawi Frankowi warunki. Szkoda tylko, że nie pamięta swoich ostatnich słów do męża. Wpadł w taką furję, odkrywając brak pieniędzy... Przyłożyła dłoń do twarzy. Dlaczego właściwie tak się wściekł?

Dlatego, że przestała w niego wierzyć? Czy dlatego, że przyłapała go na zdradzie, na tym, że naraził na niebezpieczeństwo dzieci? Przypomniała sobie w końcu, co mu powiedziała o pieniądzach. Że je spaliła, wysztydziła też talenty Bruzemana.

Powiedziała, że nawet on nie wyciągnie go z tych tarapatów.

Sięgnęła po słuchawkę, nadal pełna wahania. Był ojcem jej dzieci, miłością jej życia, mężczyzną, z którym sypiała, z którym kochała się przez ostatnie czternaście lat. Mimo to był kimś obcym. Handlował narkotykami, oszukiwał ją, prowadził podwójne życie. Wystawił dzieci na niebezpieczeństwo, a potem wyżył się na niej. Jeżeli podniesie tę słuchawkę, musi pamiętać, że mężczyzna, z którym będzie rozmawiała, nie jest już jej Frankiem. Vivian wydawało się, że stać ją na to, chociaż ręce jej drżały.

- Halo? - powiedziała.

- Vivian? Vivian, czy to ty?

Sam dźwięk tego głosu sprawił jej cierpienie. Zaczepnęła powietrza.

- Tak, to ja. Czego chcesz?

- Chcę to zakończyć, Vivian. Chcę, żebyś wróciła do domu. Wiesz, że nie chciałem... Byłem w rozpacz. Szalony. Potrzebuję cię, Vivian, potrzebuję dzieci. Potrzebuję tych pieniędzy.

O tak, pomyślała. Pieniądze. To było dla niego najważniejsze. Dla pieniędzy poświęciłby wszystko. Zemdlilo ją z odrazy. Nigdy nie weźmie ani

centa z tych pieniędzy, prędzej zdechnie z głodu. Zastanawiała się, co powinna powiedzieć temu człowiekowi? Że zniszczył jej marzenie, zbrukał przeszłość i wymazał przyszłość? Czy powinna mu powiedzieć, że ból, jaki zadały jego pięści, jest niczym w porównaniu z bólem w sercu? To chyba nie miałyby sensu.

- Zwróć się do mojego adwokata.

- Proszę, Vivian. Przynajmniej pozwól mi się z tobą zobaczyć. W obecności Bruzeman, jeżeli chcesz.

- Nie - powiedziała prędko.

- Więc przyjedź do domu. Tylko żeby porozmawiać. -Nie.

- Vivian, spotkaj się ze mną. Pozwól mi się usprawiedliwić. Myślała gorączkowo.

- Dobrze, ale w jakimś publicznym miejscu. - Poprosi Michaela, Kam albo Jade, żeby z nią poszli - na wszelki wypadek.

-Gdzie?

- W dinerze na Post Road. Tam, gdzie podają ulubione wafle Jenny.

- Kiedy? - zapytał Frank.

Vivian podała mu godzinę. Co innego jej pozostało? Nie miała pracy, domu, żadnych planów.

- Będę czekał. I dziękuję - powiedział Frank.

Im więcej czasu dzieliło ją od spotkania z Bruzemanem, tym lepiej się czuła.

Porozmawia z Frankiem, jeżeli będzie musiała, ale to niczego nie zmieni. Nie będzie zeznawała i nie odda mu pieniędzy.

Skoro mowa o pieniądzach, musi postarać się o własne, żeby utrzymać siebie i dzieci. Musi opracować plan.

Kam i Jada próbowały zreorganizować swoje życie, musiała zrobić to samo.

Wiedziała nawet jak. Była prostą kobietą i jej życie też powinno być proste. Chciała tylko znaleźć pracę, zarabiać tyle, by utrzymać siebie i dzieci. Etap miłośno-sielankowo-konsumpcyjny był już za nią. Zrozumiała że bardzo przypominała pieska salonowego, obrastającego w tłuszcz. Miała luksusowy dom i dwa serwisy z chińskiej porcelany. Miała więcej pluszowych poduszek niż mogła zliczyć i wełniane dywany od ściany do ściany. Miała tyle ubrań, że nie wiedziała, co z nimi zrobić, więcej biżuterii niż mogła nosić naraz, a jej dzieci miały za dużo zabawek, butów i ubrań, żeby to mogło wyjść im na dobre. Wszystko to się zmieni, z korzyścią dla niej i dla dzieci.

W dzieciństwie zaznała takiej biedy, że pomyliła dostatek z miłością i bezpieczeństwem. Miała prawo popełnić tę pomyłkę, ale tylko raz. Najbardziej w świecie pragnęła teraz prostego życia, w którym ciężką pracą zapewniłaby sobie utrzymanie i oszczędności na czarną godzinę.

Najważniejszą sprawą było znalezienie zajęcia które dawałoby jej zadowolenie. Pragnęła, by jej życie było proste i stabilne, żeby praca dawała jej poczucie spełnienia. Ile satysfakcji może dać człowiekowi wypełnianie formularzy i przyciskanie guzika kopiarki? Nie wróci do banku. Ta praca nie była dla niej.

I nagle zrozumiała, co powinna robić w życiu. Musiała nosić się z tą myślą od dłuższego czasu, nie zdając sobie z tego w pełni sprawy.

Wstąpiła do „Starbucka” i przesiedziała godzinę nad filiżanką kawy, układając treść dwóch ogłoszeń. Następnie udała się do redakcji dwóch gazet, a jeszcze później pojechała do White Plains, do gorszej części miasta. Zaparkowała jak najbliżej drzwi sklepu, którego szyld głosił „Sprzedaż i skup złota” i starannie zamknęła samochód. Przeszła przez szeroki chodnik i pchnęła drzwi sklepu. Nigdy przedtem nie była w lombardzie, ale wiedziała, że matka odbywała comiesięczną pielgrzymkę do „Provident Loan”, a czasem do lichwiarza na Third Avenue. Ale ona nie jest jak matka, nie robi tego, żeby uciec przed życiem, zdobyć pieniądze na wódkę. Ona troszczy się o siebie i dzieci. Nie jest pijaczką. I nawet jeżeli żyła w świecie iluzji, jeżeli zamykała oczy na rzeczywistość, teraz jest już w pełni świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Wiedziała również, że nie może się dłużej wyręczać Jada lub Kam, musi się usamodzielnąć. Frank był dobrym ojcem, dobrym opiekunem, zanim stał się złym mężem. Teraz Vivian musi się nauczyć niezależności.

- Czym mogę służyć? - zapytała zaskakująco przystojna, starsza kobieta. - Szuka pani czegoś konkretnego?

- Och, ja nie kupuję - odparła Vivian. - Ja sprzedaję. - Wyłożyła na ladę pierścionek zaręczynowy, obrączkę, złote kolczyki, szmaragdowy pierścionek, który Frank przywiózł jej z podróży do St. Thomas i naszyjnik z dwuka-ratowym brylantem. - Chciałabym to sprzedać. - Po chwili wahania, zsunęła z przegubu złoty zegarek z trzydziestoma diamentami wokół tarczy - prezent na trzydzieste urodziny.

- Ma pani rachunki?

Vivian spojrzała jej prosto w oczy.

- Otrzymałam tę biżuterię w prezencie od męża. Blondynka wydała ciężkie westchnienie.

- Rozwód, co? - zapytała.

Vivian nie miała ochoty na zwierzenia. Skinęła krótko głową.

- Mamy mnóstwo takich przypadków - powiedziała kobieta łagodnie. Wyjęła lupe, obejrzała najpierw pierścionek, potem kamień w naszyjniku. Wystukała kilka cyfr na małym kalkulatorze. Vivian czekała cierpliwie. Wiedziała, że przyjmie każdą zaoferowaną kwotę, miała więc już pieniądze prawie w ręku. Pozwolą jej utrzymać dom, pomogą założyć własny interes. Weszła uczciwie w ich posiadanie. Były to czyste pieniądze. Przyjęła te prezenty w czasach, gdy kochała Franka, jako dowód jego miłości. Już ich nie chciała. Weźmie pieniądze i zacznie życie od nowa.

Blondynka popatrzyła na nią przepraszająco. Podała sumę, która wydała się Vivian absurdalnie niska. Kobieta proponowała za całość mniej niż Frank zapłacił za sam pierścionek, ale uznała, że na początek wystarczy. Skinęła głową i sprzedawczyni podeszła do sejfu, by wyjąć pieniądze.

Zbliżając się do domu Kam, Vivian po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła przypływ optymizmu. Mieszkanie z Jada i Kam przypominało trochę życie w akademiku, takim z jej wyobrażeń, bo nigdy nie przekroczyła progu domu studenckiego. Nie miała nawet współlokatora, chyba że za współ-lokatora uznać męża.

Każda z nich przechodziła własne, prywatne piekło, ale mimo to było coś sympatycznego w tej mieszkaniowej wspólnotce, w powrotach do domu, kiedy nie wiedziało się, czy ktoś zrobił zakupy, podgotował obiad, jakie mrozące krew w żyłach opowieści przyniosą z pracy Jada i Kam. Na dzisiejszą kolację Vivian zamierzała przyrządzić filety z mintaja oraz jej specjalność - pieczone ziemniaki. Chyba że Jada już ugotowała makaron z serem. Otwierając drzwi, Vivian nuciła pod nosem.

- Mamusiu! Mamusiu! Ciocia Kam dostała zaproszenie na przyjęcie i nie chce pójść - obwieścił Frankie, jak tylko zobaczył matkę. Vivian położyła torbę z zakupami na kuchennym blacie.

Jenna siedziała na krześle w aneksie jadalnym, wbijając w brata wściekły wzrok.

- Zamknij się, Frankie! To nie przyjęcie. To ślub.

Vivian odłożyła torebkę, zdjęła płaszcz. Czyżby z tego wszystkiego dzieciakom śluby pomyliły się z rozwodami?

- Ja lubię dostawać zaproszenia na przyjęcia. Więc dlaczego ciocia Kam płacze?

- Gdzie ona jest? - zapytała Vivian. Jenna ruchem podbródka wskazała sypialnię.

Vivian zapukała i weszła, nie czekając na zaproszenie. Było gorzej, niż się spodziewała. Kam leżała na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę. Jada siedziała obok. Poduszka tłumiła łkania Kam, ale nie na tyle, by dzieci ich nie słyszały, więc Vivian szybko zaniknęła za sobą drzwi. Jada podniosła wzrok i potrząsnęła głową, podając Vivian ozdobną kopertę w eleganckim kremowym kolorze, opatrzoną bostońskim stemplem. Już sam jej wygląd zwiastował kłopoty. Vivian wyciągnęła zawartość: wycinek z gazety oznajmiający o zaręczynach Reida Wakefielda III z Lisą Emily Randall. Do wycinka dołączono zaproszenie na ślub, który miał się odbyć latem. Zaproszenie było grawerowane, nawet Vivian, która wysłała skopiowane zaproszenia, potrafiła się na tym poznać. Usiadła ciężko na łóżku.

- Cholera jasna! - Tylko tyle mogła powiedzieć. Zastanowiła się chwilę. - Kto to wysłał?



- Pismo jest Lisy. - Kam wynurzyła się z pościeli, by zaczerpnąć powietrza.
- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedziała Jada. - Ta kobieta to...
- Ale przecież wy nie jesteście nawet w separacji? - zdziwiła się Vivian, wpatrując się w zaproszenie.
- Kam wzruszyła tylko ramionami.
- Może te trzysta mil wystarczy, żebyśmy byli - powiedziała ze słabym uśmiechem, ocierając twarz chusteczką.
- Niewykluczone, że jestem głupia, ale jak te dwa ptaszki mogą ogłaszać zaręczyny, skoro nie jesteście rozwiedzeni?
- To nielegalne - powiedziała Kam.
- Odezwał się w tobie prawnik. To okrutne, bezmyślne, niemoralne i żałosne.
- Jadę do Bostonu, chcę to zakończyć.
- Nie robiłabym tego na twoim miejscu. Nie dałabym dziwce satysfakcji legalnego ślubu - oznajmiła Vivian. - Nie zgadzaj się. Nie daj mu rozwodu.
- Zapomnij o tym, Kopciuszku. To Massachusetts, nie baśń z tysiąca jednej nocy. A ponieważ Reid jest prawnikiem...
- Reid jest kłamliwą męską świnia, a na dodatek jest szmatą - zgodziła się Kam.

## **Rozdział 45**

- Przyjaciółki leżały na łóżku Kam, omawiając ostatni wybryk Reida i Lisy. Posłuchajcie, nie zamierzam tego przeciągać, żeby sobie nie pomyślał, że chcę go odzyskać.
- W porządku, siostrzo, ale chcesz odplacić mu pięknym za nadobne. Zwlekaj, przekładaj terminy. Niech mu nie będzie za dobrze. Niech ta mała kurewka, z którą zamierza się żenić, pomęczy się rok, dwa - zasugerowała Jada.
  - Nie rozumiem, jak mu się udało uzyskać taki szybki termin rozprawy - denerwowała się Vivian.
  - Moja droga, jeżeli Wakefieldowie nie mają wpływów w Bostonie, to nie wiem, kto je ma. - Kam przeciągnęła się. Bolały ją plecy. - Wolałabym mieć to już za sobą. Jada poklepała brzuszek Kam.
  - Obawiam się, że wszystko przed tobą, kochana. Zastanawiałaś się, jak on zareaguje na Wakefielda IV?

Kam otworzyła szeroko oczy.

- Przecież jeszcze nic nie widać, prawda? To znaczy, wiem, że wyglądam jak zapasiony prosiak, ale chyba nie można poznać, że to ciąża? - Zmartwiła ze strachu. - Nie chcę, żeby się dowiedział. Nie zniosłabym... Nie chcę przez resztę życia mieć do czynienia z Reidem i jego rodziną.

- W takim razie rzeczywiście im prędzej tam pojedziesz, tym lepiej - przyznała Jada.

- Kto cię reprezentuje?

- Myślę, że reprezentuję sama siebie.

- Wybij to sobie z głowy - powiedziała Vivian. - Jak to mówią? Że facet, który jest swoim własnym adwokatem, ma głupca za klienta.

- Nie jestem facetem.

- Ale jesteś głupcem - oświadczyła Jada. - Poza tym, nie możesz pojechać tam sama.

- Pojedziemy z tobą - zaproponowała Vivian.

- My też nie jesteśmy prawnikami - przypomniała jej Jada. - Weź Michaela Rice'a. Wygląda niepozornie, ale cicha woda brzegi rwie. Niby taki opanowany, a aż bucha z niego ciepłko. Jest super.

- Jest również BBŻM - powiedziała Kama, wpadając w ton Jady. - Bardzo Bardzo Żonatym Mężczyzną.

- Myślę, że powinnaś zadzwonić do swojej matki - powiedziała Jada. - Albo do ojca.

- Nie rozumiesz - zaśmiała się Kam. - Moi rodzice są zupełnie inni niż twoi. Nawet ze sobą nie rozmawiają. - Kam umilkła na dobrą chwilę.

Jada opowiadała jej o swoich rodzicach i Kam nie mogła opanować uczucia zazdrości. Rodzice Jady nie byli może szalenie wytworni, ale byli razem i służyli wsparciem swojemu dziecku. Nie chciała przez to powiedzieć, że jej mama i tata nie wspierali jej w potrzebie, ale byli tak pochłonięci wiecznymi sporami...

- Nie możesz jechać sama - powtórzyła Jada. - Nie pozwolimy ci.

„A zapowiadało się tak spokojnie”, pomyślała Kam, kiedy było już po wszystkim. Reid wyglądał doskonale. Podszedł do niej z uśmiechem, jak tylko zjawiła się w sądzie.

- Dziękuję, że przyjechałaś - powiedział. Wtedy na salę wszedł Estevan.

- Zamknij się, sukinsynu! - wrzasnął. - Jeżeli odezwiesz się jeszcze słowem do mojej córki, ukrećę ci jaja.

- Sam się zamknij - powiedziała Natalie. - Albo ja ukrećę ci jaja. Jesteśmy w sądzie.

- Przeniosła wzrok na Reida. - Jesteś jedną z bardziej bezwartościowych gnid w historii współczesnej - powiedziała. - Przejdź na drugą stronę sali i trzymaj się od nas z daleka. Nie robimy tego dla twojej wygody. Robimy to dla Kam.

Kam, Natalie i jej znajomy adwokat usiedli przy jednym stole. Estevan był oburzony, że musi zająć miejsce z tyłu i dwa razy pytał, czy może się przesiąść. Natalie kazała mu się przymknąć. (Kłócili się przez całą drogę do Bostonu, co miało tę dobrą stronę, że odciągnęło uwagę Kam od celu wyprawy.) Teraz mogła popatrzeć na swojego męża przez szerokość sali. Nadal zdumiewało ją, jaki jest przystojny, jaki nieświadomy zła, które wyrządził. Odruchowo przyłożyła dłoń do brzucha. Siedząc naprzeciwko mężczyzny, którego poślubiła, z którym planowała spędzić życie, słuchając prawniczego żargonu, myślała, jakie to dziwne uczucie przebywać w jednym pomieszczeniu z ojcem swego nienarodzonego dziecka. Nie wiedział nawet o istnieniu swojego syna czy córki. Przywodziło jej to na myśl surrealistyczne powieści Kafki.

Dreńczyło ją uczucie nudy zmieszanej z lękiem. Na szczęście procedura nie trwała długo, nie dłużej niż wizyta u dentysty, choć była równie bolesna. Dziwnie było występować w roli klienta. I dziwnie było pomyśleć, że uczucie, jakie Reid do niej żywił, bo przecież coś do niej czuł, umarło z dnia na dzień. Na czym właściwie można polegać w życiu?

Na tym, że Estevan i Natalie zaczną się kłócić w chwili, gdy opuszczą salę rozpraw. Kłócili się również w taksówce i na lotnisku. Idąc do rękawa samolotu kłócili się o to, z kim usiądzie Kam, ponieważ nie chcieli siedzieć razem.

- To proste - powiedziała Kam. - Dziękuję za wasze wsparcie, ale usiądę sama. Mogę od razu zacząć się przyzwyczajać.

Rozwiedziona trójka Lopezów weszła w milczeniu na pokład samolotu.

## **Rozdział 46**

Chociaż wyruszyła wcześniej, utknęła w korku na Whitestone Bridge i w rezultacie spóźniła się na lotnisko. Znalazła miejsce do zaparkowania daleko od sali przylotów i kiedy dopadła w końcu taśmy z bagażami, uświadomiła sobie, że musi być bardzo późno. Hala opustoszała, na podłodze poniewierało się tylko kilka bezpieczeństwa toreb podróżnych. Jej rodzice stojący przy własnych zniszczonych walizkach wydawali się równie bezpieczni jak porzucony bagaż. Jadę zdumiałały posiwiały włosy matki, drobna, pochylona sylwetka ojca.

Tych dwoje starszych ludzi pracowało ciężko przez całe życie, dobrze spełniło obowiązki rodziców, chrześcijan i małżonków. Teraz ona wynagrodzi im to wszystko widokiem swego roztrzaskanego życia. Może popełniła błąd. Może nie powinna ich w to mieszać.

Było już za późno na refleksje.

- Mamo! - zawołała Jada i podbiegła do starszej kobiety. Była wyższa od matki i musiała ugiąć kolana, żeby ją uściskać.

- No, no, wyglądasz jak ciepły piec w chłodną noc - powiedziała matka i uniosła rękę, żeby pogłodzić córkę po twarzy. - Myśleliśmy, że może o nas zapomniałaś. Ojciec stał krok za żoną czekając cierpliwie na swoją kolej. Przytulił mocno Jade, zagładając jej w oczy.

- Współczujemy ci w kłopotach, córeczko - powiedział.

Jada zdławiła szloch. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej rodziców. Dobrze było mieć przy sobie ludzi, którzy znali ją gdy miała cztery lata, sześć i jedenaście, i kiedy była nieznośną nastolatką

- Przepraszam, że się spóźniłam. Ale na drodze był jakiś wypadek i zrobił się okropny korek. - Są ranni? - zapytał ojciec.

Jada uśmiechnęła się, w mgnieniu oka przypomniawszy sobie, jacy są ludzie z wyspy. Przez chwilę poczuła się wyobcowana - ona nigdy nie mieszkała poza Stanami. Była Amerykanką nie Bajanką. Mentalnie nigdy nie przynależała do zamkniętej, małej społeczności wyspiarzy. - Nie wiem - przyznała.

- Zmówmy za nich modlitwę, na wszelki wypadek - zaproponowała mama. Pomdlili się więc, po czym zaczęli zbierać do wyjścia.

- Mieliście dobry lot?

- Tak dobry, jak można oczekiwać, przebywając na wysokości dziesięciu kilometrów nad ziemią - powiedziała matka.

- Niestety, samochód stoi na samym końcu parkingu.

- Nie szkodzi - zapewnił ją ojciec. - Przywykliśmy do chodzenia.

Ale nie przywykli do nowojorskiej pogody. Dzień nie należał do szczególnie zimnych, ale jesień przypuściła atak i odniosła łatwe zwycięstwo. Kiedy dotarli do samochodu, matka drżała na całym ciele, a twarz ojca (który uparł się nieść obie walizki) była szara jak popiół.

- Dobrze się czujesz, tato? - zapytała Jada.

- Poczuję się lepiej, jak puścisz to cholerne ogrzewanie.

- Beniaminie! Nie wyrażaj się, proszę! - skarciła go matka. Jada nastawiła ogrzewanie na maksimum. Wiedziała, że będzie jej duszno, ale musiała się dostosować do potrzeb rodziców. Zanim wjechali na autostradę, rozkwitli ponownie, niby delikatne rośliny przeniesione do oranżerii.

- A teraz, kiedy nie płacimy już rachunków za rozmowy międzynarodowe, powiedz nam dokładnie, co się stało - poprosił ojciec.

Skóra cierpła jej na myśl, że będzie musiała przedstawić prawdziwy obraz sytuacji, ale w końcu po to tu przyjechali. Zaczęła więc opowiadać, niczego nie ukrywając.

Ojciec zadał parę pytań, ale matka milczała, choć Jadzie

wydawało się, że słyszy jak kilka razy zgrzytnęła zębami. Relacja zajęła sporo czasu i dopiero gdy wjechali na drogę do Westchester, Jada umilkła. Przez chwilę w samochodzie panowała cisza.

- Jednego nie rozumiem - odezwała się matka. - Jak twoja teściowa mogła pozwolić, by jej syn tak się zachował. Beniaminie, chyba powinieneś natrzeć mu uszu. Jak mężczyzna może zachowywać się w ten sposób?

We wstecznym lusterku Jada ujrzała, jak ojciec kręci głową.

- Rósł bez ojca, to i sam nie potrafi być ojcem - powiedział. Jak na niego był to szczyt krytykanctwa.

- To żadne usprawiedliwienie. Człowiek się uczy do końca życia - odparła matka. - Jak mógł zabrać swoje córki, pozbawić dzieci matki...

- I jaki to zły przykład dla jego syna! Pokazuje mu, jak stać się bezwartościowym śmieciem - dorzucił ojciec.

Matka odwróciła się do niej całym ciałem.

- Ale chyba zobaczymy dzieci?

Jada musiała przyznać, że jeszcze nie wiadomo. Poprosiła panią Patel i swoją adwokat, która jest zarazem jej współlokatorką, żeby uzyskała pozwolenie od sędziego. Miała dla rodziców jeszcze jedną wiadomość.

- Niestety, będziecie musieli zatrzymać się w motelu.

- A to dlaczego? Clinton nie wpuści nas do domu?

- Przede wszystkim nie wpuści mnie. — W ten sposób Jada powiadomiła ich o utracie domu, pracy i alimentach, które musiała płacić. Rodzice milczeli przez chwilę.

- To jakieś wariactwo - zaopiniowała matka. - Więc gdzie teraz mieszkasz?

Jada opowiedziała o Kam i wspólnym mieszkaniu, napomykając również o Vivian i jej kłopotach. - Obie trafiły na KOMŚ - kłamliwe, obleśne męskie świnię - powiedziała Jada. - Obie są białe.

- Czy wszyscy w tym kraju poszaleli? - zapytał ojciec. - Clinton chce, żebyś ty go utrzymywała? I zabrał ci twój dom i twoje dzieci? Czy tutejsi mężczyźni w czymkolwiek przypominają mężczyzn?

- Nie wygląda na to.

Rodzice Jady zamieszkali w niedrogim motelu. Udało im się, dzięki łaskawości Pana, zobaczyć wnuki i teraz kończyli suty bajański obiad, który Jada przygotowała z mamą dla Kam, Vivian i jej dzieci. Trudno sobie wyobrazić, by malutkie mieszkanko Kam zdołało pomieścić jeszcze dwie osoby, ale brak wygod nie doskwierał rodzicom nawet w połowie tak bardzo, jak obecność Pookie'ego. Po zmyciu naczyń Kam i Vivian wycofały się do swoich sypialni, pozostawiając Jade samą z rodzicami.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Jada wyzbyła się wszelkich uprzedzeń rasowych, a w jej światopoglądzie zaszły zasadnicze zmiany; przestała

klasyfikować ludzi według koloru skóry, postrzegając w nich jedynie wrogów lub przyjaciół.

- Miłe dziewczęta. - Benjamin włożył filiżanki po kawie do zlewu i usadowił się, najlepiej jak potrafił, na malutkim krześle w wykuszu jadalnym.

- Są miłe i bardzo ci życzliwe - dodała mama. Nie zrobiła żadnej uwagi na temat koloru ich skóry. - Dziwi mnie tylko, że kobiety z kongregacji nie stanęły na wysokości zadania. Czy żadna z nich nie zaoferowała się z pomocą?

- Myślę... - zaczęła Jada wolno - że były zadowolone z mojej klęski. Dowodziła, że kobieta nie może bezkarnie robić kariery zawodowej. - Tylko w ten sposób mogła wytłumaczyć kompletny brak wsparcia z ich strony. - Tonia Green jest członkiem kongregacji. Myślę, że nieźle mnie obsmarowała.

-1 oni jej uwierzyli? Cóż, gdyby wielebny Marsh nadal był z wami, nie dałby wiary jakiejś Magdalenie - powiedziała matka.

- Nie ma go od bardzo, bardzo dawna. Obecnego pastora nie znam zbyt dobrze. Jest tutaj dopiero od dwóch lat, a ja byłam zbyt zajęta pracą, dziećmi, domem, żeby udzielać się w kościele tak, jak niegdyś.

Matka podniosła na nią wzrok i po raz pierwszy od chwili przyjazdu skrytykowała postępowanie córki.

-1 to był duży błąd, moja droga. Jak możesz nie znać pastora, skoro jest tu już od dwóch lat? Praca dla kongregacji jest naszym obowiązkiem. Biedni zawsze będą wśród nas.

Słowa nie zostały powiedziane ostro, a jednak Jadę zapiekły łzy. Czy potrafi wyjaśnić matce, jak bardzo była zajęta? Jak wyczerpująca była praca w banku, ile czasu zajmowało dbanie o dom, o to, by dzieci poszły do szkoły przyzwoicie ubrane, z odrobionymi lekcjami, by rachunki zostały popłacone, obiad...

- Kościół zawsze ci pomoże - mówiła tymczasem matka. - Musisz o tym pamiętać. Jada rozważała te słowa, odwożąc rodziców do motelu. Czy kościół mógł jej pomóc? W jaki sposób?

- Jutro pracuję - przypomniała rodzicom przy pożegnaniu. Wzięła dwa dni urlopu, ale na więcej nie mogła sobie pozwolić. - Dacie sobie radę?

- Będziemy mieli czas na zastanowienie. Znalazłaś się w poważnych kłopotach, Jado. Zobaczymy się wieczorem?

Jada skinęła głową.

- A więc do wieczora. - Matka uściskała ją serdecznie. Nie były to przeprosiny, ani wyraz pełnego zrozumienia, ale Jada doznała ulgi. Więcej niż ulgi. Stojąc na ugiętych kolanach, w uścisku matki poczuła, że chciałaby na zawsze pozostać w jej ramionach.

- Musisz przywieźć dzieci do domu - oznajmił ojciec. Mówił zniżonym głosem, jakby stolik w „Olive Garden” był na podsłuchu, a tajni agenci marzyli tylko o przejęciu desperackich planów dziadków Jacksonów.

- Wiem, tato.

Matka potrząsnęła głową.

- Muszą wrócić na wyspy - powiedziała. - Muszą być wśród swoich.

- No cóż, myślę, że uda mi się zabrać je na tydzień lub dwa, latem, podczas wakacji.

- Jado, nie należy z tym czekać do lata. I nie mówimy o wakacjach. Mówimy o przenosinach na stałe.

Ojciec przytakiwał w milczeniu.

- Pomożemy ci. Na początek możesz zamieszkać z nami, a jeżeli nie będziesz chciała, znajdziemy ci mieszkanie i pracę. Twoja mama zajmie się dziećmi.

- Tatusiu, nie rozumiecie! W tej chwili sąd nie pozwoli mi ich wywieźć z kraju nawet na jeden dzień, co dopiero na stałe!

- A więc będziesz to musiała zrobić bez zgody sądu - oznajmił ojciec. - Bo dłużej tak żyć nie mogą. Trzeba im zapewnić rodzinę, dom.

Teraz matka potakiwała.

- Niechętnie to mówię, ale Clinton Jackson nigdy nie wiedział, co robi i teraz też nie wie. Krzywdzi własne dzieci. Ten człowiek musi być szalony. Nawet jeżeli sąd tego nie widzi, widzimy my, widzą dzieci, a już z pewnością widzi to Najwyższy.

Matka ujęła dłoń Jady.

- Modliliśmy się, Jado. Wiemy, że należy oddać cesarzowi to, co cesarskie, ale nie własne dzieci. Chcemy, żebyś wróciła z nami i dziećmi do kraju.

- Mamo, ja nie mogę tego zrobić! Nigdy nie mogłabym tu wrócić.

- No to co?

Rodzice patrzyli na nią, nie rozumiejąc. Nie wiedzieli, że proszą, by opuściła swój kraj, dom, żeby została banitką. Na dodatek groziła jej ekstradycja. Kto wie, czy nie odebrano by jej dzieci natychmiast po wylądowaniu na Barbados. Nie znała tamtejszego prawa.

- Mamo, nie wiem, co na to wasze prawo. Nie jestem Bajanką. Byłabym kimś obcym na wyspie. A dzieci! Im byłoby jeszcze trudniej. Sama zmiana szkoły...

- Nie byłabyś obca długo - przerwała matka. - Nie na Barbados.

Na chwilę wizja małego bungalowu, wiecznego słońca i rodziców zawsze w zasięgu ręki oczarowała Jadę. Ale potem pomyślała o dzieciach, o tym, jak wielką byłaby to dla nich zmiana w życiu. Przynależały do Ameryki. Trudno byłoby im się przystosować do szkoły opartej na systemie brytyjskim. A ona nie znalazłaby pracy. Rodzice, tak konserwatywni, tacy dobrzy, próbowali ją ratować, jednak rozwiązanie, jakie proponowali, było... Och, po prostu nie takie doskonałe, jak się mogło wydawać.

- Mamusiu, musisz zrozumieć, że my nie jesteśmy wyspiarzami. Ani ja, ani dzieci. Gdybym wyjechała, nigdy nie mogłabym wrócić, a gdyby dzieci zdecydowały się na powrót, nie mogłabym ich odwiedzać.

Zapadło długie milczenie.

- Chcemy, żebyś porozmawiała z Samuelem - powiedziała w końcu matka.

- Tak, tak, z Samuelem - przytaknął ojciec.

- Kto to jest? - zapytała. Sposób, w jaki wypowiadali to imię, kazał się spodziewać biblijnego anioła.

- Samuel Dumfries. Jest prawnikiem. Kimś naprawdę ważnym w Bridgetown. Jest synem męża kuzynki Arlette. Pamiętasz chyba Arlette?

Jada skinęła głową. Nie pamiętała kuzynki Arletty, która w rzeczywistości mogła być kuzynką w trzeciej linii lub córką kuzyna szwagra, ale gdyby przyznała się do tej niewiedzy, matka rozplątywałaby przez piętnaście minut ten koligacyjny węzeł.

- Mamo, zapominasz, że ja mieszkam z prawnikiem. Nie sądzę, żeby istniał legalny...

- Samuel Dumfries jest kimś więcej niż tylko prawnikiem, Jado. Ma klientów nawet tutaj. Cały czas prowadzi jakieś sprawy w Nowym Jorku i Bostonie. Zna mnóstwo ludzi. Uważamy, że powinnaś z nim porozmawiać.

- Dobrze, mamo - powiedziała Jada ze znużeniem. - Porozmawiam z nim.

Jechała do domu, przygnębiona bardziej niż kiedykolwiek. Samuel Dumfries, kimkolwiek był, nie pomoże jej zdobyć opieki nad dziećmi. Jada westchnęła spazmatycznie. Rodzice kochali ją, ale nie mogli jej pomóc. Głupotą z jej strony było oczekiwać od nich gotowego rozwiązania. Za parę dni będą musieli wyjechać, a ona zostanie tu sama. Jej jedyną szansą było przestrzegać postanowień sądu, liczyć na przychylną opinię pani Patel i pozytywny wynik apelacji. Jada nie wiedziała, dlaczego ogarnęło ją poczucie beznadziejności.



## **Trzecie starcie**

## Rozdział 47

Kto ma ochotę na małże? - zawołała Kam, wchodząc do mieszkania z naręczem papierowych toreb. - Kto ma ochotę na łososia w beszamelu? A może chleb czosnkowy?

Mieszkanie lśniło czystością. Widać Vivian nie wychodziła z domu.

- Cześć! Właśnie zabierałam się za obiad.

- Nie ma potrzeby. Oto dostawa! - Kam popatrzyła na dzieci, wcale nie zdziwiona ich brakiem entuzjazmu dla proponowanych frykasów. - Pewnie spaghetti z klopsami też nie chcecie?

- Chcemy! Chcemy! - zakrzyknął Frankie, i Kam triumfującym gestem postawiła na stole torbę z jedzeniem.

- Zamierzałam zrobić gulasz - powiedziała Vivian słabo, ale Kam potrząsnęła głową, wydobywając z torby butelkę wina.

- Kto ma ochotę na „małego sztacha”?

Vivian, urażona określeniem, nie miała nawet czasu odpowiedzieć, kiedy Kam wyjęła drugą flaszkę.

- Oto żydowski napitek dla mnie. A to... - Wyciągnęła chardonnay i machnęła nim w stronę Jady.

- Niech zgadnę! Czarna nalewka? - zapytała Jada. Kam wzruszyła ramionami.

- To była moja kwestia - powiedziała z pretensją i Vivian postanowiła, że nie obrazi się za „małego sztacha”.

- Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną! - powiedziała Kam, po czym spojrzała na dzieci. - Dla was mam sok pomarańczowy. A dla ciebie - zwróciła się do Pookiego - śliczną kość cielęcą.

W małym aneksie mieściły się tylko dwie osoby, więc Kam posadziła dzieci przy stole, panie ulokowały się na kanapie z talerzami w ręku. Vivian

miała kłopoty z gryzieniem, ale udało się jej, z wydatną pomocą wina, przełknąć kilka małży. Po wiadomościach i odcinku „Sabriny, nastoletniej czarownicy”, Kam zaproponowała, że położą dzieci do łóżka Jady, a same zrobią sobie babski wieczór.

- Wczoraj miałam sen. Reid coś do mnie mówił. Nie pamiętam słów, ale widziałam go tak wyraźnie, jakby przede mną stał. - Kam podrapała Pookiego za uszami. -

Wiecie, dlaczego psy są lepsze od mężczyzn? - zapytała całując spaniela w czubek głowy. - Piękne psy nie wiedzą że są piękne.

W tym momencie Pookie zaczął wydawać niepokojące odgłosy. Vivian zerwała się z miejsca, ale było już za późno.

- Och, przepraszam was! Ten pies ma bulimię nerwową. Żre odpadki po śmietnikach, a potem przychodzi do domu i wymiotuje.

- Jak to dobrze, że padło na niego, nie na mnie - zauważyła Kam, podczas gdy Vivian sprzątała po psie. Wstając z kolan zobaczyła, jak Kam napełnia ponownie swój kieliszek.

- Myślisz, że powinnaś tyle pić, w twoim stanie? - zapytała. Kam przeniosła wzrok z zatroskanej twarzy Vivian na butelkę.

- To jest żydowskie wino, bezalkoholowe. Piję, piję, ale się nie upijam - roześmiała się z własnego żartu. - Ale wam przyda się odrobina alkoholu dla kurażu, zamierzam wam bowiem złożyć niemoralną propozycję.

W odpowiedzi Vivian uprzątnęła ze stołu, wyrzuciła odpadki, a torbę ze śmieciami wystawiła za drzwi. Dopiero wtedy dołączyła do przyjaciółek. Jada zdążyła opróżnić pół butelki, chociaż zazwyczaj unikała alkoholu.

- Masz tu karniaka - powiedziała. Vivian wypila, ale wino już jej nie smakowało, głowa pulsowała z bólu. Marzyła tylko o tym, by się położyć i spróbować zasnąć.

- Słuchajcie - powiedziała Kam. - Sporo nad tym myślałam. Codziennie widuję kobiety, których życie zostało zmarnowane, czy to przez mężczyzn, czy to przez system. Spójrzcie na nas!

- Katastrofa - Jada kiwnęła głową.

- Chodzi o to, że w pracy działam w ramach tego systemu i przez ten system, ale prywatnie nie muszę, jeżeli nie chcę.

- Amen, sostro! - Jada odstawiła kieliszek tak zamasyście, że wino chlupnęło na stół i opryskało jej koszulę. - Cholera! - Sięgnęła po chusteczkę, żeby zetrzeć plamę.

- Nie! Musisz namoczyć ją w... - zaczęła Vivian. Zanim mogła dokończyć, Jada użyła serwetki.

- Siedzieć spokojnie i słuchać! - nakazała Kam, ale Jada miała też coś do powiedzenia.

- Stoję cały dzień przy tej kasie i wyobrażam sobie, co zrobiłabym Clintonowi. To, co sobie wyobrażam, nie jest ani legalne, ani miłe. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, jak naprawić krzywdę, jaką mi wyrządził. Mam już dość bycia ofiarą.

- A ja? - zapytała Kam. - Udzielam porad kobietom, a sama nadaję się na złom. Mówię im, żeby działały zgodnie z prawem. Spójrzcie, co prawo zrobiło ze mną. Z tobą, Jado! Nie wiem, czy Lorena Bobbitt nie miała racji.

- Przede wszystkim miała nóż - zauważyła Jada.

Vivian gapiała się w wilgotny krążek wina na szklanym blacie stołu. Nie chciała wyrządzić krzywdy Frankowi, chciała po prostu, żeby przestał istnieć. Żeby nigdy nie istniał. Wolałaby spędzić całe życie samotnie niż mieć w pamięci tych kilka dobrych lat.

- Musimy coś z tym zrobić - ciągnęła Kam. - Pomóc sobie nawzajem.

- Słowo w słowo to samo myślałam! - zawołała Jada. - Pamiętacie ten film o trzech kobietach, które zemściły się na mężach?

Vivian pamiętała.

- Ale to była komedia - zaprotestowała. - Takie rzeczy są możliwe w kinie, nie w prawdziwym życiu.

- Właśnie, że nie - odparła Kam. - Mam już kilka pomysłów. Będziemy musiały zrobić burzę mózgow, trochę pokombinować, ale pamiętajmy, że żaden z tych facetów nie jest Einsteinem.

- Założę się, że w tej chwili Clinton siedzi w domu i żłapie piwo, nie przejmując się obecnością dzieci.

Kam otworzyła aktówkę i wyjęła trzy bluzy. Jedną z nich przyłożyła do piersi, żeby zaprezentować przyjaciółkom. „Działamy Bez Męskiego Przewodnictwa”, głosił nadruk.

- Co wy na to?

Vivian wstała i włożyła bluzę. Skrzywiła się, kiedy gruby materiał otarł jej policzek.

- Słuchajcie - powiedziała - nie chcę was zniechęcać, a tym bardziej psuć wam zabawy, ale wydaje mi się, że będziemy miały dość problemów, żeby w ogóle żyć, utrzymać dzieci, na nic innego nie starczy nam sił ani ochoty.

- Vivian, Vivian! - zawołała Jada, spacerując po pokoju. - Otwórz się na możliwości. I napij się jeszcze wina. Kiedy się otworzysz... - Jada urwała. - Przecież ty nie musisz nawet działać poza systemem.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała Vivian, siadając.

- Domagasz się sprawiedliwości? W twoim przypadku nie ma nic łatwiejszego. Nie pomyślałaś o tym?

Vivian patrzyła na nią, mrugając oczami.

- Wydadz go policji. Powiedz, co na niego masz.

- Coś ty! - krzyknęła Vivian. - Nie muszę go chronić, nie muszę zeznawać na jego korzyść, ale nie mogłabym zeznawać przeciwko niemu.

- Doprawdy? - powiedziała Kam. - A niby dlaczego? Jest winny i ty o tym wiesz.

- Nie wydam własnego męża! Ja... nie mogłabym. To byłoby niesłuszne. I boję się. Boję się nawet z nim spotkać.

- Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się. To była tylko propozycja - powiedziała Kam.

- Ja wydałabym swojego bez chwili wahania. Zrobiłabym coś gorszego. Dzisiaj pomyślałam, że gdyby Clinton nie żył, może dostałabym opiekę nad dziećmi.

- Gdyby nie żył? - powtórzyła Kam i jej oczy zogromniały. - Chyba nie powinniśmy uciekać się do przemocy. Pamiętajcie, że jestem prawnikiem. Poza tym, więzienia kobiece nie są wcale takie zabawne, jak to pokazują na filmach.

- Tak, ale lubię proste, sprawdzone metody - powiedziała Jada.

- Toteż je zastosujemy.

- W twoim przypadku jest to usprawiedliwione. Stała ci się straszna niesprawiedliwość - zwróciła się Vivian do Kam.

- Aha, a ty otrzymałaś to, na co zasłużyłaś? - zapytała Jada Vivian i bardzo delikatnie przyłożyła palec do jej policzka.

- Więc co zrobimy? - zapytała Vivian. - Jeżeli już zdecydujemy się na jakies działanie?

- Nie obmyślałam jeszcze szczegółów - przyznała Kam. - Ale pracuję nad tym. I nie mam na uwadze nic nielegalnego.

- Rodzice chcą mi pomóc, ale nie wiem, czy są w stanie. Wiem jedno: sprawiedliwości nie stanie się zadość, jeżeli Clinton dostanie dom albo dzieci. Kam wyjęła z aktówki notatnik. „Clinton”, napisała na górze pierwszej strony: „odebrać dom, odebrać dzieci”.

-1 żadnych nienadzorowanych odwiedzin - dodała Jada z goryczą.

- Chcesz, żeby Tonią poszła precz? - zapytała Kam. - Pamiętaj, to tylko lista życzeń. Jada wzruszyła ramionami.

- Złotko, jeżeli Clinton nie będzie miał pieniędzy i domu, Tonią rzuci go bardzo szybko.

Kam odwróciła stronę. „Reid” napisała na samej górze.

- Chcę, żeby został obnażony.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała Jada. - Ma być na golasa? Vivian, która sączyła powolutku wino, zachichotała w kieliszek.

- Przykleić mu fiuta do dzwonka - powiedziała i znieruchomiała wstrząśnięta własną pomysłowością.

- A wiesz co, to mi nasunęło pewien pomysł. - Kam dopisała „super-klej”, po czym zamyśliła się ze wzrokiem utkwionym w suficie. - Chciałabym, żeby popsuło się między nim a Lisą, moją byłą przyjaciółką, żeby to ona go rzuciła. Nie chcę go odzyskać, chcę, żeby został upokorzony. - Dopisała „porzucony przez Lisę”, a jeszcze niżej „odwołany ślub, publiczne upokorzenie”. - Jego rodzice nienawidzą scen. Wszystko musi być załatwiane godnie i dyskretnie. Zawsze mnie nienawidzili, chociaż ja odwzajemniam

ich uczucia dopiero od niedawna. A teraz ty, Vivian. Powiedz nam, czego pragniesz.

- Mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy da się go urzeczywistnić. Chciałabym prowadzić czyste życie - powiedziała. - Może bardzo proste, ale czyste, rozumiecie, co mam na myśli?

Jada poklepała ją po ręce. Kam napisała: „Frank” na górze trzeciej strony, ale Vivian pokręciła głową.

- Nie chcę mścić się na Franku - powiedziała. - Chcę tylko od niego uciec. W rzeczywistości i w myślach. Tylko że nie wiem, jak to zrobić - poskarżyła się żałośnie. - W całym życiu tylko dwa razy pracowałam zawodowo: raz jako sprzedawczyni, a potem w banku. Posadę w banku dostałam tylko dlatego, że Frank był ważnym klientem. Wiem, jak zajmować się dziećmi i domem, ale nie wiem, jak zapewnić im utrzymanie. - Uniosła głowę i oczy jej rozbłysły. - Wiem tylko, że pali mnie wstyd na myśl o tych pieniądzach, które brałam od Franka. Były... zbrukane.

- A więc jednak nad tym myślałaś - odezwała się Jada, nastawiona pozytywnie.

- Może wiedząc, czego chcesz, spróbujesz określić, czego nie chcesz? Vivian uśmiechnęła się na tę krzepiącą myśl.

- Wiem, że nie chcę pracować dla banku. Nie chcę pracować dla nikogo, tylko dla siebie. Nie jestem leniwa, po prostu nie lubię, kiedy ktoś rozstawia mnie po kątach. Chcę założyć własny interes i być samowystarczalna - powiedziała Vivian. Kam skinęła głową i napisała „Vivian” na nowej stronie: „własna firma, samowystarczalność, wolność od Franka”.

- Myślę też, że muszę się przeprowadzić - dodała Vivian. - Wiecie, jak kochałam ten dom. Ale to było chore. Nie mogę zostać w tym mieście, dzieci również powinny zmienić środowisko.

Kam dopisała „przeprowadzka”.

- No dobrze - ciągnęła Vivian. - Coś ze mnie wyciągnęłyście, ale to się nie spełni. - Nagle ogarnął ją gniew. Gniew na własną bezsilność i strach przed tym, co jeszcze może przytrafić się jej i dzieciom. - Wszystko to jest niemożliwe. Ja własnym szefem! Nowy dom! Po co mówić o czymś, czego nie da się osiągnąć? - Zwiesiła bezradnie ramiona. - Nie potrafię założyć własnej firmy - Roześmiała się. - Nawet własnego konta nigdy nie miałam. Sprawiedliwość! Wszystko bardzo pięknie, ale czy może się jej domagać kobieta?

- Myślę, że możemy się o nią dobijać - powiedziała Kam. - Będzie to wymagało czasu, pracy umysłowej i pieniędzy, ale możemy to osiągnąć. - Wskazała na swoją pierś. „Działamy Bez Męskiego Przewodnictwa”.

- Ja też uważam, że to możliwe - dodała Jada. - O ile jesteśmy gotowe nagiąć prawo, a nawet je złamać. Szkoda tylko, że wszystko to wymaga pieniędzy.

Po raz pierwszy odkąd wzięły ją w obroty, Vivian uniosła wysoko głowę, rozprostowała plecy.

- To akurat nie będzie stanowiło problemu - powiedziała wolno.

## **Rozdział 48**

Nie wiem, czy potrafię... Mówisz, że jak się nazywam? Anthea Carstairs - powtórzyła Kam. Kto jest moim mężem? Jada i Kam popatrzyły na siebie pytająco. Jada strzeliła palcami.

- Charles Henderson Moyer. Czytałam o nim w „Fortune”.

- Najbogatszy, najbardziej tajemniczy facet na świecie - powiedziała Kam. - Doskonale!

- A jeżeli Reid poprosi o mój numer? - zapytała Vivian.

- Och, daj spokój! Przecież nie aresztują cię przez telefon - zirytowała się Jada. - Jeżeli ty nie chcesz, ja to zrobię! - Sięgnęła po słuchawkę.

- A jeżeli ma identyfikator rozmówcy? - pytała dalej Vivian.

- Wtedy ze słuchawki wychyli się potężne ramię gliniarza i chwyci cię za przód koszuli. Boże, ale z ciebie mazgaj!

- Nie irytuj się. Wiem, że on nie ma identyfikatora - zapewniła Kam. - Andover Putnam to staroświecka firma, nie lubią nowinek technicznych.

Narada toczyła się w biurze Kam, ponieważ tylko tutaj Vivian nie wstydziła się przychodzić z żółtozieloną twarzą i ponieważ tylko tutaj mogły liczyć na odrobinę spokoju.

Vivian zerknęła na kartkę papieru rozłożoną na biurku. Przez trzy ostatnie wieczory opracowywały szczegółowy plan działania.

„To pierwszy krok, pomyślała Kam, zupełny początek, a Vivian już wymięka”. Zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby uzbroić się w cierpliwość.

Vivian dotknęła ostrożnie swojego policzka.

- Myślicie, że opuchlizna zejdzie do przyszłego tygodnia?

- Zejdzie. A jeżeli nie zejdzie, tym lepiej. On lubi ofiary losu. Lubi też rude kobiety. I wysokie honoraria.

- Okay - powiedziała Vivian na przydechu. - Do roboty. Wystukała numer i poprosiła wewnętrzną 239. Nie odrywała wzroku od kartki z tekstem.

- Słucham? - Odebrał mężczyzna.

- Dzień dobry - zaczęła Vivian głębokim głosem. - Czy mogę rozmawiać z panem Reidem Wakefieldem?

- Przy telefonie.

Vivian kiwnęła głową, dając przyjaciółkom do zrozumienia, że ma na telefonie właściwego człowieka. Kam zrobiło się nagle gorąco i duszno, czuła, jak puls bije jej w skroniach.

- Mówi Anthea Carstairs - powiedziała Vivian. - Poleciał mi pana jeden z pańskich klientów. Wyrażał się o panu w samych superlatywach.

- O! Zawsze miło to słyszeć. O kim mowa?

- Niestety, nie mogę zdradzić jego nazwiska - ciągnęła Viv. - Prosił mnie o zachowanie dyskrecji, napomknął również, że dyskrecja jest dewizą Putnama. - Vivian uznała, że zabrzmiało to bardzo dystygowanie.

- To zasada obowiązująca wszystkich prawników - powiedział świr na drugim końcu linii. Od razu wydał się jej szurnięty, i to nie tylko przez wzgląd na to, co opowiadała o nim Kam. - Wszyscy nasi klienci są dla nas wyjątkowi.

Świr, bez dwóch zdań.

- Mam bardzo specyficzny problem - Vivian przybrała bardziej konfidencjonalny ton. - Dotyczy spraw spadkowych - zawiesiła na chwilę głos. - Wolałabym jednak nie omawiać tej kwestii przez telefon. Czy mogłabym wpaść do pańskiego biura?

- Oczywiście - odparł Reid. - Ale byłoby chyba lepiej...

- Och, honorarium nie stanowi problemu. Nie stanowi nawet kwestii. -No, może była trochę zbyt bezpośrednia. Zerknęła w kartkę, szukając wskazówki. - Howard twierdzi, że jest pan bardzo elastyczny.

- Howard Simonton?

Kam znała to nazwisko z byłej firmy. Wielki dyrektor, który wszedł w poważną kolizję z prawem.

- Och, proszę! - zawołała Vivian. - Proszę zapomnieć, że wymieniłam jego nazwisko. Proszę mi to obiecać.

Lepiej niech zapomni i to gruntownie. Howard Simonton nigdy nie słyszał o Anthei Carstairs.

- Oczywiście, nie ma problemu - powiedział świrus głosem pełnym szacunku. -

Świetnie! Więc kiedy możemy się spotkać?

Vivian skinęła głową, sygnalizując przyjaciółkom, że ryba chwyciła haczyk. Kam starała się przekazać jej coś gestami, ale Vivian nie miała pojęcia, o co jej chodzi. To nie były kalambury, na litość boską!

- Odpowiada panu wtorek? - zapytała Vivian. - Około czwartej?

- Powiedzmy czwarta trzydzieści. Mógłbym prosić o przeliterowanie nazwiska - Vivian wiedziała, że zapomniał. Na szczęście ona nie.

- Anthea Carstairs. Proszę je zapisać, jak się panu podoba - powiedziała, po czym przerwała połączenie.

- Juhuuuu! - wrzasnęła Jada. - Złotko, srebrny ekran poniósł niepowetowaną stratę, kiedy zdecydowałaś się zostać kurą domową.

- Doskonale! Doskonale! - wołała Kam, tańcząc po swoim gabinecie.



Vivian czuła się znakomicie, adrenalina zrobiła swoje. Więc i ona potrafiła coś działać!

- Jako następną nominację otrzymuje Kam Lopez, odtwórczyni głównych ról w „Poronionym miesiącu miodowym” oraz w „Kobiecie wzgardzonej”. - Vivian oddała jej słuchawkę telefonu.

- Obejrzyjmy teraz migawkę z jej ostatniego filmu „Czas rewanżu” -dodała Jada.

- Dobrze, już dobrze - odparła Kam. - Doceniam zarówno waszą pomoc, jak ducha współzawodnictwa. - Wystukała numer swojej dawnej firmy. W ustach jej zaschło. Skubała zębami dolną wargę, czekając aż odezwie się głos recepcjonistki. Podała wewnętrzny Lisy, modląc się, żeby to ona odebrała słuchawkę. Była gotowa rozmawiać z Lisą, lecz nie z Donna, ich wspólną sekretarką. Zabawi się z losem w ciuciubabkę. Jeżeli odbierze Donna, będzie to sygnał, że cały szalony plan nie wypali. Ale jeżeli odbierze Lisa... Kam wstrzymała oddech i po chwili usłyszała pogodny głos byłej przyjaciółki,

- Lisa przy telefonie.

- Lisa! Mówi Kam.

Nastąpiła cisza i Kam oczekiwała, że Lisa przerwie połączenie. Rzuciła spojrzenie Vivian i Jadzie, które wpatrywały się w nią oczami okrągłymi z ciekawości.

- Słuchaj, wiem, że długo ze sobą nie rozmawialiśmy - ciągnęła Kam. -Od chwili, gdy... no wiesz. Jest mi naprawdę przykro z tego powodu.

- Mnie też - powiedziała Lisa i Kam wzniosła oczy ku sufitowi.

Vivian i Jada spojrzwały najpierw na siebie, potem na Kam, która zaczerpnęła głęboko powietrza i mówiła dalej: „Naprawdę? Tak się cieszę! Bo widzisz, straciłam nie tylko małżeństwo, które i tak się rozpadało, ale również najlepszą przyjaciółkę”.

Pfuj! Omal się nie zadławiła tymi słowami. Również jej dwie przyjaciółki okazywały swoją odrazę: Vivian zakryła usta dłonią, a Jada wsadziła sobie palec do gardła i udawała, że wymiotuje. Kam pokiwała im głową z politowaniem.

- Kam, jestem... zaskoczona... i wzruszona twoim telefonem. - Lisa miała tak wysokie mniemanie o sobie, że wzięła słowa Kam za dobrą monetę. Zresztą, kto wie? Może gryzło ją sumienie?

- No wiesz, trochę to trwało, zanim doszłam do siebie - przyznała Kam. - Wydaje mi się, że możemy puścić pewne sprawy w niepamięć.

Jada pokiwała głową, jakby argumenty Kam trafiły jej do przekonania. Kam nie zwracała na nią uwagi, musiała się skoncentrować na Lisie.

- Chciałabym z tobą porozmawiać. Mam też coś, co należy do ciebie. Dziewczęta chichotały w najlepsze i Kam odwróciła się do nich plecami. Lisa nie była głupia i Kam wiedziała, że musi zachować ostrożność.

- .i teraz ten telefon... tak po prostu - mówiła kochanka jej męża.

- Przyznaję, że mam ukryty motyw - wyznała Kam i uśmiechnęła się, wiedząc, że uruchomiła dzwoneczki alarmowe w głowie Lisy. - Przy naszym ostatnim spotkaniu, no wiesz... Reid... - Kam urwała, doskonale odgrywając zażenowanie. - W każdym razie, jest parę drobiazgów, których nie zdążyłam zabrać.

- Jasne - powiedziała Lisa. Kam wiedziała, że Lisa zgodzi się na wszystko, co przypieczętuje rozstanie żony z Reidem. A w rękawie trzymała jeszcze swojego asa...

- No i mam pierścionek Reida. Jakiś klejnot rodzinny, zdaje się. Dał go do oprawy u Shreve'a. Myślę, że to ty powinnaś go nosić.

- Och, Kam! - tchnęła Lisa w słuchawkę. - Jak to... - Tym razem to jej zabrakło słów.

- To naprawdę miło z twojej strony. No wiesz, z prawnego punktu widzenia...

- Daj spokój, Liso! Przecież nie będziemy tego rozważały od strony prawa. Noszenie tego pierścionka nie sprawia mi żadnej przyjemności, teraz należy się tobie. Pracuję w Westchester, ale mogłabym przylecieć do Bostonu w przyszłym tygodniu, przywieźć pierścionek. Umówiłybyśmy się na kolację albo na drinka, a potem poszły do mieszkania po moje rzeczy. Przefak-suję ci spis rzeczy. Nic specjalnie cennego, ale chciałabym odzyskać flanelową piżamę i katalog mody, który prenumeruję. Czy to ci odpowiada?

- Oczywiście! - zawołała Lisa skwapliwie. - W poniedziałek i czwartek jestem zajęta, ale resztę tygodnia mam względnie wolną.

- Okay - powiedziała Kam. - Zadzwoń jeszcze, to się umówimy. -Uniosła brwi. - Och, i jeszcze jedno, Liso! Nadal jestem wściekła na Reida. Nie chcę, żeby się o tym wszystkim dowiedział. To zbyt upokarzające. -Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - To musi pozostać między nami. Inaczej w ogóle nie przyjadę. Obiecujesz?

- Oczywiście - powiedziała Lisa i Kam niemal usłyszała, jak pracują trybiki jej materialistycznego mózdzku.

- A więc do zobaczenia. - Kam zakończyła rozmowę.

Jada i Vivian wstały, bijąc brawo. Pokazały jej dwa uniesione kciuki.

- Na medal - orzekła Jada.

- Ta mała dziwka to kupiła. Wszystko j ak leci - powiedziała Kam prawie ze zdumieniem.

- Znacie to powiedzenie, że najlepszym lekarstwem na zboląłą kobiecą duszę jest rajd po sklepach - powiedziała Vivian. - Mamy mnóstwo rzeczy do kupienia. - Coś na podróż do Bostonu, trochę ciężowych ciuszków dla przyszłej mamusi. - Zwróciła się do Jady. - Tobie będą potrzebne porządne walizki, nie zniosę plastikowych toreb. No i stroje na Marblehead.

- Potrzebujemy więcej czasu na przygotowanie ról - zauważyła Jada.

- Zaczniemy od działu odzieżowego, żeby wprowadzić się w odpowiedni nastrój. - Vivian pokazała zęby w uśmiechu. - Nie wiem, czy Frank unieważnił już nasze karty kredytowe, ale chyba najwyższy czas to sprawdzić.

- Vivian, nie wygrałaś na loterii - upomniała ją Jada. - Nie powinnaś tego robić. Nie dla nas.

- A zwłaszcza nie dla mnie. Mam pracę - poparła ją Kam. Vivian objęła je wzrokiem.

- Hej, a kto mnie przygarnął, gdy nie miałam dokąd pójść? Kto pomagał mi przy dzieciach? Nie wygłupiajcie się! - Popatrzyła na Jadę. - Uważam, że skoro już robimy zakupy, trzeba też kupić trochę letnich ciuchów dla twoich dzieci. Nie wiadomo, jak długo będę mogła korzystać z tej karty.

Buszowały po sklepach aż do zamknięcia centrum handlowego. Vivian nie tylko ubrała Kam na okres ciąży, ale kupiła również całą wyprawkę dla niemowlęcia, za co Kam była szczególnie wdzięczna, ponieważ nie miała o tym pojęcia. Wybierała śliczne, kompletnie niepraktyczne ubranka. Jada wyperswadowała jej większość z nich, ale Vivian pozwoliła kupić małe białe sweterek z butkami jak napałki. Potem poszły do działu bielizny i omal nie umarły ze śmiechu, kiedy Vivian i Jada przymierzały koronkowe pasy, staniki na fiszbinach i pończochy na podwiązkach.

- Spójrzcie na nas - powiedziała Jada. - Viv jest rudą pięknoscią, Kam wspaniałą blondynką, chociaż przydałoby się podfarbować odrosły, a ja nie chwaląc się - przystojną brunetką. Mimo to żadna z nas nie ma takiego stroju.

- Wszystko przed nami - zawołała Vivian.

Kam przestała się śmiać dopiero przy kasie, kiedy ujrzała złotą kartę kredytową Vivian.

- A najlepsze jest to, że funduje Frank - powiedziała Vivian. - Jedyne powód dlaczego mężczyźni są lepsi od psów: czasem mężczyźni mają karty kredytowe.

Jadę namówiły na kupno czarnych skórzanych spodni i pomarańczowego jedwabnego swetra, w którym wyglądała bardzo uwodzicielsko.

- Jakby stworzony dla ciebie, Jenette - orzekła Vivian, używając konspiracyjnego imienia Jady. Vivian kupiła sobie małą garsonkę, która nawet w Westchester, znanym z idiotycznych małych garsonek, mogła uchodzić za szczyt absurdu. Na myśl o pokazaniu się w niej na ulicy Vivian zachichotała głośno.

- Boże! Strasznie bym chciała zobaczyć, jak ten ciuszek będzie się prezentował w holu Andover Putnam - zaśmiała się Kam.

- Zbyt wyzywająca? - chciała wiedzieć Vivian.

- Och, nie, nie! Idealna dla Anthei Carstairs.

Obladowane torbami postanowiły wrzucić zakupy do samochodu i przed powrotem do domu wpaść jeszcze na lunch do „Ruby Tuesday”.

- Dziewczęta! - zaczęła przemowę Vivian, kiedy usadowiły się już przy stoliku. Przerwało jej nadejście kelnera. Zamówiły ziemniaki nadziewne różnymi dodatkami, do tego dwa piwa i wodę mineralną dla grubaski. Chłopak, który odbierał zamówienie uznał, że są zwyczajnymi gościami z przedmieścia. Nie wiedział, że ma przed sobą anarchistki.

- No więc - zaczęła znowu Vivian po odejściu kelnera. - Wiem już, co będę robiła.

- W Massachusetts? Pewnie, że wiesz, omawialiśmy to już trzykrotnie - powiedziała Kam. - No dobrze, przeciwiczymy jeszcze raz.

- Później - odparła Vivian, a w jej głosie pojawiła się autorytatywna nutka, która sprawiła, że dwie przyjaciółki posłuchały bez sprzeciwu. Na Vivian zrobiło to duże wrażenie. - Chcę wam coś oznajmić.

Profesjonalne usługi porządkowe „Kopciuszek”

- Vivian! O mój Boże! - zawołała Kam.

Jada przeniosła wzrok z wizytówki na twarz Vivian.

- To wymarzone zajęcie dla ciebie! Jesteś przecież Królową Czystości. Kochasz sprzątać.

- Nie ja będę sprzątać - przyznała Vivian. - Chcę wyszkolić do tego ludzi. Już dałam ogłoszenia. Oni będą sprzątać, a ja nadzorować ich pracę. Obliczyłam, że mogę obskoczyć cztery domy dziennie. Może pięć, przy odpowiednim zespole ludzi. Co o tym myślicie?

- Myślę, że to genialny pomysł - powiedziała Jada. Kam kręciła głową szeroko uśmiechnięta.

- Nie do wiary! Strzał w dziesiątkę. Ale zapomniałaś podać numeru telefonu - dodała studiując treść wizytówki.

- Nie zapomniałam - przyznała Vivian. - To dlatego, że się przeprowadzam. Same rozumiecie, że to konieczne.

Trzy kobiety siedziały przez chwilę w milczeniu.

- Od września chcę posłać dzieci do nowej szkoły. Tutaj nie mogą zostać.

Vivian wyciągnęła z torebki trzy bilety lotnicze oraz karty kredytowe wraz z nożyczkami, przygotowanymi specjalnie na tę okazję.

- Prezent od Franka - powiedziała, wręczając bilety Kam. - A teraz -dodała uroczyście niby mistrz ceremonii. - Rozpocynam etap samodzielności w moim życiu.

Przecięła kartę Visy na pół, na ćwiartki, potem uczyniła to samo z American Express i Mastercard. Oczekiwała przykrego wstrząsu, ale przeżycie okazało się przyjemne. Poczuli się wyzwolona. Wkrótce miała przy talerzu kupkę plastikowych kwadracików przypominających miętowe pastylki.

- Gratulacje, siostrze - powiedziała Jada. - Masz moje błogosławieństwo.
- A kto ma pieniądze, żeby zapłacić za lunch? - zapytała Vivian.

## **Rozdział 49**

Ostatnie widzenie z dziećmi było katastrofą. Jada uzyskała pozwolenie, by przyprowadzić je do mieszkania Kam, zamiast błąkać się po miejscach publicznych. Oczywiście obecność pani Patel była nadal obowiązkowa. Jada, jak skończona idiotka, cieszyła się na to, że znajdzie się z dziećmi pod jednym dachem, że zrobi im grzanki z serem, usiądą na kanapie i pooglądają telewizję. Na wszelki wypadek wypożyczyła dwa filmy wideo. Ale Shavonna, Kevon i mała Sherrilee obchodzili biały pusty salonik Kam niby wrogo nastawione koty.

- Czyj to dom? - chciał wiedzieć Kevon.
- To nie jest dom, kochanie, to mieszkanie. Zajmuję je z przyjaciółką.
- Lubisz ją bardziej od nas? - pytał dalej Kevon. Jada uklękła przy nim, otaczając synka ramionami.
- Kocham was. Nikogo nie mogłabym kochać bardziej.
- Więc zamieszkaj z nami - powiedział Kevon.
- Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale wasz tata poszedł do sądu i tam postanowiono, że zamieszkacie z nim. - Wiedziała, że nie ma to najmniejszego sensu dla sześciolatka, dla niej zresztą też nie. Pani Patel zamiast jej jakoś pomóc, siedziała cicho na brzeжку kanapy.
- Nie podoba mi się ten pokój - orzekła Shavonna. - Jest taki mały.
- Wiem. Ale większy niż volvo. I mogę wam tutaj przygotować coś do zjedzenia. Co powiecie na grzanki z serem?
- No dobrze - zgodził się łaskawie Kevon, ale Shavonna tylko wzruszyła ramionami. Synek wdrapał się na krzeselko przy stole, Jada posadziła Sherri-lee na drugim. Nie miała fotelika dla dziecka, wzięła więc szalik, przeciągnęła go pod pachami dziewczynki i zawiązała na supeł za oparciem.
- Grzanki z serem, już się robi - powiedziała. - Kto chce szklankę z Bar-neyem? Sherrilee podniosła rączkę.
- Kto chce szklankę z Pocahontą?
- Nie ja - zastrzegł się Kevon.
- Och, więc króla Lwa też pewnie nie chcesz?
- Mogę chcieć.

Kątem oka Jada zobaczyła, jak Shavonna dryfuje w stronę stołu, niby bezwolna kłoda unoszona falą. Bez względu na to, co mówiła Vivian o szko-

długości węglowodanów, miały kojący wpływ na ludzką duszę. Jada zamierzała pobrać solidną dawkę.

Pokroiła chleb na trójkąty i obłożyła je serem.

Wszystko popsuło się dopiero po grzankach, mleku i ciasteczkach. Sher-rilee rozwiązała szalik, ześliznęła się z krzesła i zawędrowała do małego korytarzyka prowadzącego do dwóch sypialni. Jada była akurat zajęta nastawianiem wideo i kiedy się zorientowała w sytuacji, było już za późno. Sherrilee weszła do pokoju gościnnego, chwyciła dwie Beanie Baby z łóżka Jenny i wkroczyła triumfalnie do saloniku.

- O! Nowa Beanie - powiedziała Shavonna, wyciągając rękę.

- Moje - obwieściła Sherrilee, przyciskając lalki do piersi.

- Obie są dla niej? - zapytała Shavonna, uznawszy widocznie, że to prezenty.

- Moje! - powtórzyła Sherrilee. Próbując łagodnie wyłuskać zabawki z rączek dziecka, Jada gorączkowo szukała odpowiedzi. Tymczasem Kevon zeskoczył z krzesła, przebiegł korytarzyk i stanął w drzwiach pokoju Jenny i Frankiego.

- Patrzcie! - zawołał. - Shavonna! Chodź, zobacz! - Kevon wbiegł do pokoju, kierując się prosto do zabawek Frankiego. Usiadł na podłodze przy kolekcji ciężarówek. W drzwiach stanęła Shavonna. Ogarnęła pokój jednym spojrzeniem. Jada, z dzieckiem na ręku, stanęła za nią.

- Czy to wszystko dla nas? - zawołał Kevon. - To nasz pokój zabaw? Przez chwilę Jada czuła się jak sparaliżowana. Shavonna chwyciła gałkę szafy i rozsunęła skrzydło. Zaczęła przeglądać sukienki Jenny, wiszące obok doskonale jej znanych ubrań matki.

- Mieszkasz tutaj z innymi dziećmi - powiedziała i wyszła z pokoju.

- Nie! Ja chcę ten samochód! Nie chcę, żeby miał go inny chłopiec! -zawył Kevon. Uspokojenie dzieci, usadzenie ich na kanapie i wytłumaczenie, że zabawki należą do Jenny i Frankiego zajęło Jadzie czterdzieści pięć minut. Wyznała, że pani Russo pokłóciła się ze swoim mężem i zamieszkała razem z dziećmi w tym pokoju.

- Więc dlaczego my tu nie możemy zostać? - zapytał Kevon. Shavonna popatrzyła na niego jak na idiotę.

- Ponieważ ona nie chce - powiedziała i Kevon zaczął płakać. Sherrilee zawtórowała bratu.

Jada starała się wyjaśnić dzieciom, jaka jest ich sytuacja, ale wiedziała, że są to tylko słowa. Pani Patel, która mogłaby się okazać pomocna, siedziała bez ruchu, nie odzywając się. Sam fakt, że ktoś obcy uczestniczy w tej scenie był upokarzający. Kiedy zapakowała dzieci do samochodu, żeby odwieźć je do babci, Sha-vonna powiedziała:

- Nienawidzę Toni. To flądra. Mnie nie oszuka. Ty też mnie nie oszukasz.  
Nienawidzę cię.

Jada zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie zabrać dzieci i nie pojechać gdzie oczy poniosą, ale im dłużej odkładała decyzję, tym wyraźniej czuła, że nie będą już chciały z nią uciec. Nie dlatego, że wołały Clintona czy Tonie, lecz dlatego, że były na nią wściekłe za rzekome porzucenie. Zresztą ona chyba nie była zdolna do uprowadzenia. Ile razy o tym myślała, ogarniał ją strach.

Przypadek Vivian uzmysłowił jej, czym jest sąd kryminalny. Jada nie chciała mieć z nim do czynienia. Może faktycznie powinna uciec na Barbados. Postanowiła, że zadzwoni do prawnika polecanego przez rodziców. Trochę trwało, zanim znalazła jego nazwisko i numer telefonu, zapisane na odwrocie recepty, którą wsunęła do bocznej kieszonki torebki - ale w końcu do niego zadzwoniła.

Przyjął od razu jej telefon, chociaż miał dwie sekretarki, które odbywały rozmowy wstępne z klientami.

- Masz szczęście, że mnie złapałaś - powiedział. - Wyjeżdżam po południu. Ale wrócę do Stanów w przyszłym tygodniu. Nie planowałem jednak Nowego Jorku. Czy moglibyśmy spotkać się w Bostonie?

Musiała to uznać za bardzo pomyślny zbieg okoliczności. Nigdy w życiu nie była w Bostonie, a teraz jechała tam w sprawie Kam. Nie chciała być przesadna, ale kto wie, czy Bóg nie pomagał tym, którzy pomagają sobie sami. Umówiła się z panem Samuelem.

- Serdecznie dziękuję - powiedziała na zakończenie.

- Mam tylko nadzieję, że będę mógł pomóc.

- Ale to jest porwanie! - wykrzyknęła Vivian tak głośno, że Jada musiała nakazać jej ciszę. Jenna i Frankie spali w sąsiednim pokoju, a trzy przyjaciółki obradowały na łóżku Kam.

- Nie mów mi, że nie mam prawa być z własnymi dziećmi. - Tym razem Jada podniosła głos, ale Vivian nie miała serca jej zbesztać. Próbowiła sobie wyobrazić, przez co przechodzi Jada, która utraciwszy własne dzieci, musiała codziennie patrzeć, jak Jenna i Frankie wracają do domu ze szkoły, znosząc takie same wieści, jakie swego czasu znosili Shavonna i Kevon.

- Myślałam, że będziemy apelować - powiedziała Kam. - Michael dotarł do kilku osób i twierdzi...

- Zapomnij o tym - powiedziała Jada. - To trwa zbyt długo i wcale nie daje pewności, że wygramy. Tymczasem moje dzieci cierpią. Lepiej popełnić przestępstwo niż zmarnować dzieci. Kiedy dzisiaj wzięłam Sherrilee, cała

zesztywniała, odsunęła się ode mnie. W ten sposób dzieci dają poznać, jakie są na ciebie złe. Ona może tego nigdy nie zapomnieć. Może nie zapomnieć, że została porzucona przez matkę.

Jada wstała z łóżka i zaczęła spacerować po pokoju. Opracowała swój plan ze wszystkimi szczegółami. Nie był pozbawiony ryzyka, ale powinien się udać, pod warunkiem, że nie nawali volvo.

Nie mogła czekać na następną rundę w sądzie, właściwie nie miała wyboru.

- Nie musisz mi pomagać - zwróciła się łagodnie do Kam. - Ty też nie - powiedziała do Vivian. - Zrobię to tak, czy inaczej.

- Sama nie dasz rady - powiedziała Kam.

- Będę musiała, jeżeli mi nie pomożecie - odparła chłodno. - Poza tym istnieją organizacje, które pomagają kobietom w takich sytuacjach.

- Jado, one działają poza prawem. Będziesz musiała ukrywać się latami, może do końca życia. A jeżeli cię złapią a umówmy się, że ryzyko jest spore, pójdiesz do więzienia - powiedziała Kam.

- Chyba że wyjadę z kraju. Myślę o wyjeździe z dziećmi na Barbados. Vivian wzięła Jadę za rękę.

- Ja ci pomogę. Zrobię, co będzie trzeba. Nawet jeżeli dostanę za to odsiadkę.

Musisz odzyskać dzieci, one cię potrzebują. Musisz być z nimi, niezależnie od tego, jakie to pociągnie za sobą koszty.

Jada zajrzała przyjaciółce w oczy i zrozumiała, że Vivian robi dla niej wszystko.

- A jeżeli wam się nie uda? - zapytała Kam.

- Gorzej już być nie może - odparła Jada.

- Jeżeli się nie uda, dzieci będą przynajmniej wiedziały, że je kochasz, że je chcesz - powiedziała Vivian. - Czy nie to jest najważniejsze?

-Tak.

Kam westchnęła ciężko.

- Wchodzę w to - powiedziała. Popatrzyła po sobie. - Czy więzienne pasy idą wzdłuż, czy wszerz? Od czego zaczynamy?

- Od telefonu do mojej mamy.

## **Rozdział 50**

Wyglądam bardzo grubo? - zapytała Kam i jej przyjaciółki przytaknęły zgodnie. - To dobrze - powiedziała. Wolała wyglądać na utuczoną niż ciężarną. Kam zaczęła tyć na długo, zanim można to było usprawiedliwić ciążą. Jako projektantka kostiumów, scenarzystka i reżyser w jednej osobie uznała, że dla dobra przedsięwzięcia



powinna wyglądać możliwie nieatrakcyjnie. Zaczesała włosy w kucyk i poza pomadką nie użyła żadnych kosmetyków. No dobrze, o czym zapomniała?

- Prawda! Rekwizyty. - Podeszła do nocnego stolika i wzięła puste pudełko od „Shreve'a, Crurnpa i Lowe'a”.

- Ja mam pierścionek - powiedziała Vivian.

Kam pomyślała, że przyjaciółka jest umalowana za nie obie. Supermakijaż i do tego malutki kostiumik w stylu Chanel. Rola, jaką miała odegrać Vivian -wymagała tej króciutkiej spódniczki i żakieciku, który uwypuklał wszystkie krągłości jej ciała.

Mosiężne guziczki zaznaczały miejsca, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowały się brodawki. Ale Vivian nie wyglądała na tanią dziwkę. Wyglądała na bardzo drogą, luksusową call-girl. Otworzyła torebkę i wyjęła puderko.

- Oto on - powiedziała. - Klejnot rodowy. Najlepsza cyrkonია, jaką da się kupić za pieniądze. - Pokazała pierścionek Jadzie. - Chyba nie wygląda na zbyt nowy?

- Nie - orzekła Jada. - Elegancka rzecz. Z klasą. Nie za wielki jak na te rodowe

cacka, ale nie tak mały, by nie skusić Lisy. Tylko nie pokazuj go w świetle dziennym

- ostrzegła. - Te cyrkonie błyszczą jak kryształ. Każdy pozna, że to nie brylant.

Jada ubrana była w głęboko wycięty pomarańczowy sweter i czarne skórzane spodnie kupione specjalnie na tę okazję. Uczesała włosy w kok otoczony wianuszkami warkoczyków. Nałożyła pomarańczową szminkę i zrobiła coś z oczami. Kam nie wiedziała co, w każdym razie efekt był wysoce zadowalający.

- Zawsze powinnaś się tak ubierać - powiedziała.

- Kiedyś się ubierałam. Ale nie wiem, czy bank uznałby ten strój za pożądany. Za to w „Price Chopper” mógłby mi załatawić tytuł pracownicy miesiąca.

- Jakie buty zakładasz? - zapytała Vivian.

- Nie wiem jeszcze. Co myślicie: czarne do uda czy szpilki? Vivian przyjrzała się jej z powagą.

- Ja zakładam szpilki, więc ty możesz wystąpić w butach. Pan Wakefield może lubić urozmaicenia.

- Nie chcę wyglądać jak muszkieter.

- Ależ chcesz! - zaśmiała się Kam. Spojrzała na zegarek. - W drogę. Musimy zdążyć na samolot.

Vivian wkroczyła do biura Reida Wakefielda w firmie Andover Putnam. Wiedziała, że wygląda dobrze, ponieważ recepcjonistka i wszystkie napotkane po drodze sekretarki szacowały ją wzrokiem. Czowała się jak Kopciuszek

po przeróbkach dobrej wróżki. Czułaby się jeszcze lepiej w dżinsach i białej koszuli, ale była gotowa poświęcić się dla przyjaciółki, tym bardziej że nieźle się przy tym bawiła.

Weszła do gabinetu męża Kam i uśmiechnęła się do wysokiego mężczyzny o złotawych włosach. Podniósł się na jej widok i musiała przyznać, że jest bardzo wysoki i bardzo przystojny, chociaż nie w jej typie. Zdecydowanie wolała drobnych brunetów, ale potrafiła docenić urodę tego faceta. Z tego, co wiedziała, posiadał zalety wyłącznie zewnętrzne, niemniej miał wiele uroku.

- Pan Wakefield, jak przypuszczam. - Wyciągnęła rękę na powitanie. Przechylił się nad biurkiem, o wiele dalej, niż to było konieczne. Mogła

się mylić, ale wydało się jej, że przytrzymał jej dłoń odrobinę za długo. Och, facet sprowadzał kłopoty, bez dwóch zdań. Biedna ta jego narzeczoną pomyślała, zanim uświadomiła sobie, że dziewczyna otrzyma dokładnie to, na co zasłużyła.

- Mam usiąść tutaj? - zapytała trochę bezradnie, wskazując krzesło.

- Och, nie! Będzie pani o wiele wygodniej na kanapie. - Obszedł biurko i usiadł naprzeciwko niej, wybierając twarde krzesło, skąd mógł ją lepiej widzieć. Założyła nogę na nogę, żeby miała na co popatrzeć, po czym zwróciła wzrok na otwarte drzwi.

- Wolałabym odbyć tę rozmowę w cztery oczy - zasugerowała i Reid poderwał się z krzesła, dwoma krokami przebył pokój, zamknął drzwi i już był z powrotem.

- Panie Wakefield - zaczęła Vivian. - Muszę wyznać, że skłamałam. Jego uśmiech przybladł na sekundę, a jedna złotawa brew powędrowała w górę.

- Naprawdę? Mogę spytać, na czym polegało to kłamstwo i dlaczego się pani do niego uciekła?

- Podałam panu fałszywe nazwisko. Nie jestem Antheą Carstairs. Zrobiłam to tylko dlatego, że jestem żoną bardzo znaczącego człowieka i nie chciałam, żeby to wpłynęło na pana decyzję przyjęcia mnie.

Reid zgasił uśmiech.

- Cóż, nie specjalizuję się w prawie matrymonialnym, nie uważam również, że bym łatwo ulegał...

Vivian nachyliła się lekko i wypowiedziała trzy słowa: Charles Henderson Moyer.

Teraz już obie brwi Reida powędrowały w górę. Rodzina Moyerów była powszechnie znana - ogromna fortuna dawno zmarłego ojca, o którą toczyli bój trzej synowie. Ich bogactwu dorównywały jedynie tragedie, jakie na nich spadały.

- Ten...? - zapytał Reid.

- Najbogatszy. I najstarszy - powiedziała Vivian. - Ale to mi nigdy nie przeszkadzało. Od jedenastu lat jesteśmy małżeństwem. I były to najpięk-

niejsze lata w moim życiu, panie Wakefield. Mężczyźnie w jego wieku potrzebne jest młode ciało. - Spuściła oczy, jakby zawstydzona wyznaniem. Wszystko to przychodziło jej ze zdumiewającą łatwością. Może powinnam zostać aktorką, pomyślała, i spojrzała Reidowi prosto w oczy.

- No tak - powiedział prawnik, po czym odchrząknął. - Na czym więc polega problem?

- Moja umowa przedślubna przewiduje, że nie otrzymam ani centa, jeżeli pójdę do łóżka z innym mężczyzną. Nigdy nie złamałam przyrzeczenia, panie Wakefield.

Czy pan mi wierzy?

Reid skinął wolno głową. Vivian nie spuszczała wzroku z jego twarzy, jakby była wężem, a on hipnotyzowaną ofiarą. Co za zabawa! Lepsza nawet niż sprzątanie. Vivian wysunęła koniuszek języka i zwilżyła wargi. Przestraszyła się, że posunęła się za daleko, ale kiedy Reid skrzyżował szybko nogi, uznała, że zrobiła dokładnie to, co należało.

- Charles żąda rozwodu - powiedziała. - Ma inną kobietę. Jestem skłonna zgodzić się na rozstanie, ale nie na jego warunkach. Oskarża mnie o zdradę, chce mnie pozbawić wszystkiego, po dziesięciu latach małżeństwa!

Reid zmarszczył brwi.

- Ale on jest miliarderem!

- A ja jestem niewinna. Moyerowie mają dziwny stosunek do pieniędzy. Pamięta pan, jak przed piętnastu laty porwano jego córkę, a on nie chciał zapłacić okupu? Co tydzień przysyłali mu jeden palec Meredith. A ona była wiolonczelistką. Biedna dziewczyna.

Reid skinął głową.

- Czytałem o tym.

- Moyerowie umieją zapominać. Meredith była córką jego drugiej żony. Ja jestem piąta i zdaje się, że on już szykuje sobie szóstą. Wyobraża pan sobie? Nie rozwiódł się nawet zjedną, a już ma w zapasie drugą - powiedziała Vivian, ale Reid Wakefield III nie dostrzegł sarkazmu w jej głosie.

- Czy to nie Fitzgerald powiedział, że bogacze to inny gatunek ludzi? -zapytał.

Vivian nie wiedziała, kim był Fitzgerald, ale uśmiechnęła się zgodnie.

-1 się nie pomylił - powiedziała. - W każdym razie, szykuje się zmiana obsady i szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko temu. Dotrzymałam swojej części umowy. Potrzebuję kogoś, kto dopilnuje, by on dochował swojej. -Vivian wypróbowała na Reidzie spojrzenie, które posyłała Frankowi, kiedy chciała iść na górę, do sypialni. - Czy mnie się wydaje, czy tutaj jest bardzo ciepło? - zagadnęła. - Pozwoli pan, że zdejmę żakiet?

Reid kiwnął głową na znak, że nie ma absolutnie żadnych zastrzeżeń i Vivian ruchem ramion strząsnęła wierzchnie okrycie, wiedząc, że malutka jedwabna bluzeczka opina szczelnie jej ciało. Była warta pieniędzy, jakie

Frank za nią zapłacił. Vivian nabrała głęboko powietrza w płuca i wypchnęła biust w stronę Reida.

- Muszę panu wyznać coś jeszcze - powiedziała. - Spałam z inną kobietą. -

Wypowiadając te słowa, patrzyła w twarz mężczyzny. Nie drgnął na niej ani jeden mięsień, za to jabłko Adama powędrowało w górę i w dół niby szybkobieżna winda.

- Na początku robiłam to, ponieważ on tego chciał. Ale przed dwoma laty poznałam kobietę, która była... była inna. Charles mi ją przedstawił, zaaranżował trójką jak zwykle, ale ona była... - Vivian urwała. Próbowwała okazać zawstydzenie. Spuściła głowę, policzyła do pięciu i uniosła twarz, odrzucając włosy na plecy. - Nie staram się usprawiedliwić. I nie wstydzę się. Mówię panu o tym, ponieważ Charles chce wykorzystać tę historię przeciwko mnie, jako dowód mojej rzekomej zdrady. Ale to prawda, że ją kocham.

Pochyliła się i dotknęła kolana Reida. Czowała jego gorące ciało pod spodniami firmy Brooks Brothers. Reid najwyraźniej płonął.

- Kobieta musi kogoś kochać, inaczej jakaś jej cząsteczka umiera - powiedziała załamującym się głosem.

Pan Wakefield powoli wychodził z szoku. Nie była pewna, czy w jego oczach maluje się chciwość, pożądanie, czy jedno i drugie.

- Nie jestem zachłanna - powiedziała. - Zadowolę się sumą stu milionów. Dla Charlesa to drobnostka. Myśli pan, że Putnam mógłby się tym zająć? A właściwie, czy pan mógłby się tym zająć?

- Och, z pewnością!

Vivian uśmiechnęła się i wstała z kanapy.

- Dziękuję panu. Dziękuję bardzo! Nie chcę pozostawać tu zbyt długo, nigdy nie wiem, kiedy jestem śledzona. Dlatego użyłam fałszywego nazwiska. Naprawdę mam na imię Katherine. Katherine Moyer. - Podała mu rękę i tym razem ona przedłużyła uścisk. - Będziemy musieli ustalić wysokość pańskiego honorarium. Chciałabym wiedzieć, że mogę panu całkowicie ufać, a to warte jest każdego pieniędzy.

- Ja wiem, że pani może mi ufać. Pozostaje mi tylko zadbać o to, by i pani to wiedziała.

- Cóż, czas pokaże. - Cofnęła rękę. Zdecydowanie czuła fluidy. Niektórzy mężczyźni są tacy łatwi, że to aż śmieszne, pomyślała. Sięgnęła po zakiet, po czym odwróciła się ponownie do Reida.

- Chcę pana prosić o wielką przysługę - niemal wyszeptała.

- Jestem do pani usług.

- Chciałabym, żeby poznał pan Jenette - powiedziała. - Prędzej czy później będzie musiała zeznawać w sądzie. Wolałabym, żeby wyrobił pan sobie o niej zdanie. Nie mam rodziny, nikogo, komu mogłabym zaufać w tej sprawie.

- To żaden problem.

- Wszystko jest problemem, kiedy jest się panią Charlesową Henderson Moyer - powiedziała z westchnieniem. - Zatrzymałam się w „Four Seasons”, ale tam pan nie może przyjść. Czy zna pan jakiś bar, gdzie moglibyśmy się spotkać? Jakies spokojne miejsce, gdzie nikt mnie nie rozpozna?

- Oczywiście! - Wyraził zgodę bez chwili wahania. Był podniecony perspektywą takiego spotkania! Podał adres, odprowadził ją aż do windy, nacisnął guzik i upewnił się, że bezpiecznie weszła do środka.

- Do zobaczenia o szóstej - powiedział. Drzwi windy zamknęły się wolno. Kam siedziała spokojnie, całą siłą woli starając się opanować zdenerwowanie. Przyszła przed czasem, żeby nie pokazać się Lisie od razu w całej okazałości. Twarz miała bezbarwną, sukienkę również, to wystarczy, Lisa nie musi widzieć, jaka jest gruba.

Weszła Lisa, spóźniona jak zwykle, jak zwykle smukła, wysoka i bardzo jasna. Kam patrzyła, jak wzrok byłej przyjaciółki omiata salę, prześlizguje się po niej i biegnie dalej. Cóż, nie przypominała dawnej Kam, ani fizycznie, ani duchowo. Uniosła rękę i Lisa zrobiła grymas mający udawać uśmiech. Nawet z końca sali widać było, że to imitacja.

Podczas gdy Lisa, zwykle tak zręczna, walczyła z krzesłem, torebką i płaszczem, Kam rozkoszowała się świadomością, że jej sumieniu nic nie dolega. Nie czuła się już nawet jak ofiara. Każdy człowiek, któremu zaufasz, każdy przyjaciel czy powiernik, ma wybór: może cię zdradzić lub pozostać lojalny. Z perspektywy swych doświadczeń, Kam mogła teraz obserwować kobietę, którą kiedyś uważała za doskonałość. Lisie udało się w końcu usiąść. Spojrzała na Kam, ale natychmiast uciekła spojrzeniem, sięgnęła po kartę dań.

- Jak to dobrze cię widzieć - oznajmiła. - Wspaniale wyglądasz. Dwa kłamstwa wypowiedziane jednym tchem!

- Bo świetnie się czuję - odparła zgodnie z prawdą, myśląc o swoim dziecku, o swojej tajemnicy.

- Naprawdę? - zapytała Lisa trochę nietaktownie, ale szybko otrząsnęła się ze zdziwienia. - To wspaniale - powiedziała. - Pracujesz?

Kam była ciekawa, czy „przyjaciółka” pyta z myślą o alimentach, czy z zawodowego zainteresowania.

- O tak! Mam bardzo ciekawą pracę. Bardzo urozmaiconą.

- To wspaniale!

Lisa miała naprawdę ograniczone słownictwo. Kam postanowiła dorzucić i swoje „wspaniale” do zbioru byłej przyjaciółki. - I mam psa - powiedziała. - Wabi się Wspaniały.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Lisa i Kam uniosła kartę dań, żeby ukryć śmiech.

- Zamówimy? - zapytała Lisa. - Umieram z głodu.

Kam wiedziała, co to znaczy. Lisa zamówi sałatę bez dressingu, kawałek ryby z rusztu bez masła i oleju. Nie była łakoma - na jedzenie!

Zamówiły butelkę pellegrino, kurczaka mango i szparagami dla Kam i rybę z sałatą dla Lisy. Kam zastanawiała się, co Lisa je, kiedy nie umiera z głodu. Zastanawiała się również, jak to się stało, że ta kobieta została jej najlepszą przyjaciółką. Musiała zupełnie utracić zdolność oceny i wyczucie dobrego smaku. Ciekawe, czy kiedyś lubiły się naprawdę, czy Lisa zawsze udawała? Może opychała się w domu.

- Powiedziała Reidowi, że wrócę późno - oznajmiła Lisę wypowiadając w końcu zakazane imię. - Nie wiem co zaplanowałam, ale mam mnóstwo czasu.

- Wspaniale - powiedziała Kam, celowo używając tego słowa. Jakby chciała spędzić z tą kobietą więcej czasu niż to absolutnie konieczne. Liczyła się każda minuta. Jej przyjaciółki ciężko pracują podczas gdy ona siedzi przy jednym stoliku ze swoim wrogiem.

- Na wszelki wypadek przywiozłam te rzeczy, o które prosiłaś. Nie musisz już jechać do Marblehead. Pomyślałam, że może ci być... no wiesz... niezręcznie. O cholera! pomyślała Kam. Niezręcznie? Toż to była katastrofa! Dlaczego zawsze coś nawala w jej planach? Musiała dostać się do Marblehead i to z Lisą! Musiała stawić się w mieszkaniu Reida najpóźniej za dwie godziny.

- Ja również mam coś dla ciebie - powiedziała starając się, by w jej głosie nie słychać było paniki. Coś wymyśli. Nie pozwoli, by Lisa jednym pociągnięciem zrujnowała starannie obmyślony plan.

## **Rozdział 51**

Jada dziwnie się czuła, idąc bostońskim Common. Zwracała uwagę. Czy dlatego, że była czarna? Czy że inaczej ubrana? „Jedno nie ulega wątpliwości, rozmyślała, kobiety w Bostonie nie noszą skórzanych spodni”.

Jada przeszła na drugą stronę parku - bo tym właśnie okazał się Common, po prostu parkiem - trochę rozczarowana. Tyle się nasłuchiwała o Bostonie, że podświadomie oczekiwała jakichś rewelacji.

Teraz musiała się pospieszyć, żeby zdążyć na spotkanie z Samuelem Dumfriesem, synem męża kuzynki mamy. Cóż za metoda szukania pomocy! Tylko wyspiarze zadawali sobie tyle trudu, a kiedy w końcu docierali do swojej dziesiątej wody po kisielu, okazywało się, że gość jest niekompetentny. Jada jednak była w rozpacz i nie miała nic do stracenia.

Wyszła z parku alejką, która wydawała się znajoma, co było niemożliwe, skoro nigdy przedtem nie odwiedziła Bostonu. Jednak знаła to miejsce. Zatrzymała się na chwilę, próbując uchwycić ulotne wrażenie. Oczywiście: to tutaj filmowano „Cheers”, miejsce, gdzie każdy zna twoje imię. „Pięknie, pomyślała, zaczynam mylić fikcję z rzeczywistością”. Z tym, że tutaj nikt jej nie znał, co uznała za duży plus, skoro miała w planie czyny lubieżne, a także spotkanie z prawnikiem w sprawie nielegalnej imigracji. Jada potrząsnęła głową. Przez całe życie przestrzegała zasad, które wpojono jej w dzieciństwie. Jak więc do tego doszło?

Przekroczyła wilgotną jezdnię i po chwili znalazła się w ciepłym holu „Ritz Carltona” utrzymanego w barwach jesieni. Niewiele spodziewała się po tej wizycie.

Traktowała ją wyłącznie jako formę zabicia czasu. Do spotkania z Vivian pozostało jej go jeszcze dużo.

Uśmiechnęła się. Kiedy po raz ostatni była sama, dobrze ubrana, w mieście gdzie nikt jej nie znał? Nie mogła sobie przypomnieć. Pozwoliła, by ogarnęła ją aura przygody, jakby zamiast trzydziestu czterech miała dwadzieścia lat. Sprężystym krokiem minęła hol. Miała nadzieję, że nie wygląda na prostytutkę - spacer po Bostonie dowiódł, że warkoczyki, skóra i wysokie buty nie są tu utożsamiane z dziewczącą skromnością. W recepcji zapytała, gdzie tu się można napić herbaty i odetchnęła z ulgą, kiedy uzyskała uprzejmą odpowiedź.

Nietrudno było znaleźć Dumfriesa. Był jedynym czarnym mężczyzną na sali i wstał, kiedy weszła. Był wysoki i trochę za szczupły jak na swoją budowę, i bardzo, bardzo czarny. Nie musiało mu być łatwo na wyspie, gdzie skóra ciemniejsza o każdy kolejny odcień oznaczała zwykle szczebel w dół w hierarchii społecznej. Z bliska zaś jego skóra miała ten odcień brązu, który zdaje się pochłaniać światło. Jasnoszare tęczy i niemal niebieskie białka stanowiły dziwne, trochę niesamowite połączenie. Był bardzo przystojnym mężczyzną i Jada odprężyła się pod wpływem jego uśmiechu.

- Jada Jackson, jak przypuszczam?

- A więc mam przyjemność z Samuelem Dumfriesem. Pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Proszę usiąść - zachęcił Jadę. Nie miał wyspiarskiego akcentu, wymawiał słowa czysto i dźwięcznie, trochę z brytyjską.

- Herbaty? - zapytał i Jada stwierdziła ze zdziwieniem, że pan mecenas jest już w połowie filiżanki. - Indyjska, nie chińska, ale właściwie zaparzona.

- Dzięki ci Panie! - zażartowała, ale Samuel Dumfries nie poznał się na dowcipie.

Jada pomyślała o ekspresowej w torebkach, którą serwowała w domu. Zapomniała, z jaką powagą wyspiarze podchodzą do rytuału picia herbaty. Wpływy brytyjskie.

- Zdumiewające, ale w tym mieście są zaledwie dwa, trzy lokale, gdzie zaparzają herbatę jak należy.

- Zawsze mnie to zdumiewało - powiedziała Jada. Tym razem popatrzył na nią uważnie.

- Podpuszcza mnie pani, prawda?

- Jeżeli to ma znaczyć, że się nabijam, to ma pan absolutną rację. Nie jestem jednakże pewna, czy mówię po angielsku.

- Och, radzi sobie pani doskonale. Przepraszam, że okazałem się taki drętwy. Po prostu nie oczekiwałem żartu. Pani matka opowiedziała mi o pani sytuacji i...

Jada zastanawiała się, co ona, u licha, czyni. Otóż, wiedziała, co czyni: flirtowała. Nie robiła tego od piętnastu lat. Dlaczego teraz?

„To przez te skórzane spodnie, pomyślała, i kok z warkoczykami". Zauważyła, że on spogląda na jej włosy. Po prawdzie - było na co! Gdyby miała do wyrzucenia sto osiemdziesiąt dolarów na comiesięczne wizyty u fryzjera, zapewne zostałyby przy tej fryzurze. Przechyliła głowę, by poczuć ciężar włosów.

- Panie Dumfries - powiedziała. - Wiem, że mam poważne kłopoty.

- Tak też zrozumiałem. Słodzi pani?

Jada zamrugła powiekami. Czyżby Samuel Dumfries flirtował?

- Nie, dziękuję.

- Śmietanka?

- Nie - powiedziała. W ogóle nie pijała herbaty. - Wracając do tematu, nie wiem, ile moja matka panu powiedziała. Znając ją, pewnie sporo.

- Pani matka nigdy nie cieszyła się opinią małowówniej - odparł z uśmiechem. - Opowiedziała mi dość łzawą historię.

„Ciekawe, czy kupił ją w całości, czy potraktował selektywnie", zastanowiła się Jada. Nagle zapragnęła pozbyć się tego absurdalnego stroju i sztucznego koka z warkoczykami. Chciała, żeby pomarańczowa szminka i flirt nigdy nie miały miejsca. Bo chociaż przyszła tu bez żadnej nadziei, było coś w tym mężczyźnie, co kazało wierzyć w jego umiejętności i wpływy.

- Cokolwiek panu powiedziała, rzeczywistość jest gorsza. - Jada rozpoczęła swoją epopeję i trzeba było całego dzbanka herbaty, szklanki gorącej wody, czterech łyżek cukru, dwóch opakowań papierowych chusteczek i krótkiego pobytu w damskiej toalecie, żeby dobrać do końca. Samuel Dumfries wysłuchał jej w spokoju, potakując, zadając inteligentne pytania i spoglądając na nią swoimi dziwnymi szarymi oczami.

Świetnie sobie poradził z kelnerem, i chociaż byli jedyną czarną parą na sali i pili tę herbatę o wiele dłużej, niż przewidywał kawiarniany regulamin, Jada ani przez chwilę nie czuła się popędzana. Dominującą cechą Samuela Dumfries był spokój, który udzielał się innym.

- Więc co pani zamierza? - zapytał, kiedy skończyła.

- Będę z panem szczerą. Wiem, że jest pan prawnikiem, ale ja czuję, że muszę działać poza prawem. Moi rodzice mi to zaproponowali, ale uznałam



pomysł za nierealny. Nigdy dotąd nie popełniłam wykroczenia, nie mówiąc o przestępstwie. Nie dostałam nawet mandatu za złe parkowanie. Ale teraz jestem pewna, że dla dobra dzieci muszę je odzyskać. I nie mogę czekać, aż sąd dojdzie do tego samego wniosku. - Spodziewała się błysku dezaprobaty, ostrzeżenia, że nie może z nią o tym rozmawiać. Nic podobnego się nie wydarzyło.

- Na każdy przepis prawny można spojrzeć jak na kod rozstrzygania żądań własnościowych - powiedział. - I chociaż prawo jako takie jest pięknym tworem, ludzkie pojęcie o tym, czym jest własność zmienia się szybciej niż kodeksy. Pełno w nich starych wzorców. Nasi przodkowie uznawani byli kiedyś za własność. Podobnie nasze żony. I dzieci.

Słuchając go, zastanawiała się, czyjej uwierzył. To, co mówiła ukazywało ją w najlepszym razie jako ofiarę sprytnego mężczyzny, w najgorszym - jako złą matkę.

- Proszę mi powiedzieć, jeżeli uda mi się wsiąść z nimi na samolot na Barbados, co się stanie, kiedy przybędę na miejsce?

Rozmawiali jeszcze dobrą chwilę i nadzieje Jady gasły wraz z dziennym światłem za oknem.

- Była pani kiedyś na Kajmanach? - zapytał na koniec pan Dumfries. Jada zaprzeczyła.

- Skoro nie jest pani obywatelką Barbados, nie będzie pani miała możliwości walki z mężem na wyspie. Za to na Kajmanach można sobie nieźle urządzić życie, jeżeli ma się amerykański paszport i trochę gotówki. Mężowi nie przyjdzie do głowy tam pani szukać, a gospodarka kwitnie. Z takim doświadczeniem bankowym zawsze znajdzie pani pracę. Pomyślałem, że może...

- To znaczy, że mi pan pomoże? - Jada nie wierzyła własnym uszom. - Że nie potępia pan tego, co zamierzam zrobić?

- Ochronić swoje dzieci? Oczywiście, że nie. Oczywiście, nie popieram łamania prawa, ale wiem, co to znaczy żyć w poczuciu krzywdy. Wykształcenie odebrałem przecież w Wielkiej Brytanii.

Dopiero teraz Jada zauważyła jego zegarek, najbardziej eleganckie cacko, jakie kiedykolwiek widziała. Zauważyła również godzinę, którą wskazywał.

- O mój Boże! - zawołała. - Mam spotkanie, na które nie mogę się spóźnić. - Niczego nie spodziewała się po tym człowieku, a jednak spędziła z nim na rozmowie bite dwie godziny, które wydały się jej dwudziestoma minutami. Otrzymała dobrą radę, pociechę i zachętę, a teraz nie miała nawet czasu, by mu należycie podziękować. - Spóźnię się, jeżeli natychmiast stąd nie wyjdę - powiedziała, wstając i Samuel Dumfries podniósł się również. Trochę nieporadnym gestem podała mu rękę.

- Tak się cieszę, że pana poznałam. Pomyślę o tym, co mi pan powiedział.

- Myślenie nie wystarczy. Będzie pani potrzebowała pomocy. - Wręczył jej swoją wizytówkę.

Jada czuła, że musi natychmiast odejść, a z drugiej strony wiedziała, że powinna zostać.

- Może da mi pani swój numer telefonu?

Podyktowała mu numer do Kam i sięgnęła po torebkę. Miała nadzieję, że taksówka czeka przed wejściem do hotelu, inaczej nie miała szans.

- Dziękuję - powiedziała i odeszła, choć naprawdę nie miała na to ochoty.

## **Rozdział 52**

Jada wiedziała kim jest facet, który wszedł do baru, zanim Vivian poinformowała ją o tym nerwowym szeptem. Stał przez chwilę przy drzwiach, przyzwyczajając oczy do półmroku i w tym czasie Jada wiele się o nim dowiedziała. Jego postawa, granatowy garnitur i arogancki żółty krawat, sposób, w jaki stał w tych drzwiach, mówiły same za siebie. Vivian uniosła rękę i Reid Wakefield zwrócił ku nim głowę. Kiedy przebijał się ku nim, manewrując między pustymi stolikami, Jada rozpracowała go do końca. Należał do tych białych mężczyzn, którzy posiadali świat, usytuowani tak wysoko w hierarchii władzy, że znizenie się do stosunku z Murzynką nie zagrażało ich pozycji, a miało posmak zakazanego owocu. Jada ujrzała, jak na jej widok ogromnieją oczy Reida Wakefielda. Zastanawiała się, czy przed stu pięćdziesięciu laty jego przodkowie nie kupowali czasem czarnych kobiet na licytacji. W porę przypomniała sobie, co mówiła jej Kam, że Wakefieldowie mieszkają w Bostonie od dwustu lat i byli abolicjonistami.

- Halo! - powitał Vivian i Jada przypomniała sobie w porę, że jej przyjaciółka ma teraz na imię Katherine, a ona jest Jenette. - Można? - zapytał Reid z uśmiechem światowca.

- Oczywiście - odparła Vivian i Reid wsunął się na kanapkę naprzeciwko Jady. Uśmiechnęła się do niego, ale nie zdołała objąć tym uśmiechem oczu, przymknęła więc powieki. - Jenette, to jest Reid Wakefield - powiedziała „Katherine” i Jada wyciągnęła szczupłą rękę.

- Dużo o tobie słyszałam - powiedziała głębokim, miękkim głosem. Wydało się jej, że usta Vivian zadrżały i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że to może być zabawne. Postanowiła jednak, że odegra to dobrze, tak dobrze jak można oczekiwać po fałszywej lesbijce. - Katherine twierdzi, że już zdobyłeś jej zaufanie, ale ona zawsze była zbyt ufna. - Uśmiechnęła się chłodno.

- Cóż - odparł Reid głosem prawnika, który wystawia rachunek za każdą godzinę swojego czasu. - Mam nadzieję, że moja reputacja i mój charakter zdobędą również twoje uznanie.

- Cóż - powtórzyła za nim. - Reputację już znam. Inaczej w ogóle nas by tu nie było.

- Czyżby znowu podchwyciła uśmiezek Vivian? Ujęła jej dłoń, ciekawa reakcji mężczyzny. - Katherine potrzebuje kogoś, kto by się nią opiekował. Zasluguje na to. Znam Charlesa lepiej niżbym chciała i wiem, przez jakie piekło przeszła. - Urwała na chwilę, żeby facet mógł sobie wyobrazić kilka takich dantejskich scen. Potem rozchyliła palce Vivian, ucałowała wnętrze jej dłoni i odłożyła jej rękę na stół. Dłoń Vivian leżała na blacie jak kwiat strącony wiatrem, a pomarańczowy nadruk ze szminki Jady wysyłał krzykliwy sygnał na białej skórze: SEKS ! SEKS! SEKS! Jada popatrzyła na Reida. Wpatrywał się w dłoń Vivian, zahipnotyzowany. Jada pozwoliła sobie na uśmiech.

„Nie majak stara, dobra magia”, pomyślała. Chodziło jednak o coś więcej niż kolor skóry. Chodziło o homoseksualizm. Nie miała pojęcia, dlaczego fantazje erotyczne białych mężczyzn tak często koncentrują się wokół dwóch kobiet, skoro nie sprawdzali się nawet z jedną. Osobiście nie wyobrażała sobie nic gorszego niż pójście do łóżka z dwoma gejami.

Reid wgapił się w uszmiękowaną dłoń Vivian. Jada uznała, że czas zdjąć z niego urok i dać pełny spektakl, wstała więc, by mógł obejrzeć ją w całej okazałości.

- Idę do toalety - oznajmiła. - Zaraz wracam.

Przechodząc przez salę w obcisłych skórzanych spodniach, wciągnęła brzuch i zakolysała biodrami. „Masz, bracie, pożywkę dla wyobraźni”, powiedziała w myślach do Reida. Pozwoliła Vivian przejąć inicjatywę i uznała, że skoro już jest w toalecie, powinna z niej skorzystać. Minęła bar, świadoma zainteresowania mężczyzn. Kiedy skręciła w stronę damskiej toalety, jakiś facet podniósł wzrok znad swojego drinka.

- Czarne jest piękne - powiedział. - Hej! - zawołał, kiedy zignorowała uwagę. - Wskoczyłbym chętnie w twoje majteczki.

Jada zmierzyła go wzrokiem.

- Bardzo żałuję, ale mam tam już jednego dupka.

W toalecie przyłapała się na tym, że nuci. Po chwili odśpiewała fragment genialnego utworu Cole'a Portera. „Do do that voodoo that you do so well”, śpiewała w kabinie pełnym głosem.

Tak, dla gościa pokroju Reida Wakefielda była jak voodoo. Podniecała go sama myśl o czarnej i białej kobiecie razem w łóżku. Złamanie tylu tabu naraz! Kontrast czarnej i białej skóry, przy odrobinie wyobraźni obie kobiety mogłyby stanowić zdjęcie i negatyw. Reid już zdradzał duże zainteresowanie. Nie będzie go trudno popchnąć o krok dalej. I Jada musiała przyznać, że po latach małżeńskiej posuchy, zainteresowanie mężczyzny

sprawia jej wielką przyjemność. Lubiła ten niemal zapomniany dreszczyk emocji. Kam nie wierzyła oczom i uszom. Lisa była na tyle bezczelna, by opowiadać o swojej pracy, o ludziach w firmie - o ludziach, z którymi Kam musiała się rozstać właśnie z jej powodu - o swoich zaręczynach, ślubnych planach, a nawet o miesiącu miodowym. Zupełnie niewiarygodne! Czy zawsze była taka gruboskórna, a może po prostu złośliwa?

- Reid chciał wziąć tydzień urlopu, ale powiedziałam, że nie da się pojechać do Francji na tydzień! - mówiła. - To byłby absurd. Wyjedziemy więc na dziesięć dni, chociaż ja planowałam dwa tygodnie.

Kam skinęła głową. Na ich miesiąc miodowy Reid zabrał ją na pięć dni na Bermudy, ale nie wspomniała o tym Lisie.

Kiedy kelner zebrał talerze, Lisa postawiła na stole reklamówkę Saksa i podsunęła ją Kam. Przez jedną szaloną chwilę Kam myślała, że to prezent. Co zdaniem Lisy, Kam chciałaby od niej otrzymać w prezencie? Pistolet, z którego mogłaby zastrzelić niewierną? Arszenik, który mogłaby jej wsypać do kawy? A może był to strój do ćwiczeń, karta wstępu na siłownię i opłacona wizyta u chirurga plastycznego, żeby Kam mogła zatrzymać przy sobie następnego mężczyznę, którego uda się jej złapać?

Kam zawahała się, po czym zerknęła do torby. Na samym wierzchu spoczywał jej własny sweter, jeden z tych, które pozostawiła w Marblehead. Pod spodem znajdowała się porcelanowa lampka nocna, którą miała od piątego roku życia, albumy ze zdjęciami, o które prosiła, księga pamiątkowa ze szkoły średniej i inne drobiazgi.

- Reszta jest w samochodzie - powiedziała Lisa.

Kam uśmiechnęła się wymuszenie. Nie taki był plan. To miała być wizyta domowa i to Kam, nie Lisa, miała kierować biegiem wypadków. Dlaczego dawała sobą manipulować, jak to się działo, że zawsze przechytrzały ją takie narcystyczne miernoty? Czy był to defekt osobowościowy jej, czy Lisy? Kam zerknęła nieznacznie na zegarek, starając się na gwałt opracować plan awaryjny. Niewiele zostało czasu, z ulgą powitała więc nadejście kelnera z rachunkiem. Kam stwierdziła, że Lisa nie zamierza po niego sięgnąć - jeszcze jeden powód do irytacji. Odliczyła kwotę wynoszącą dokładnie połowę rachunku i napiwku, po czym podsunęła go Lisie. Nie zamierzała zapłacić za ten obiad.

- O! - powiedziała Lisa, jakby fakt otrzymania rachunku na zakończenie restauracyjnego posiłku był dla niej zupełną nowością. Przez chwilę gmerała w torebce, po czym wydobyła garść zmiętych banknotów i jakiś bilon. Kam przypomniała sobie, że Lisa, wzorem królowej brytyjskiej, nigdy nie nosiła przy sobie większej gotówki.

„No dobrze, pomyślała, muszę przejąć kontrolę". I to szybko. Kiedy Lisa podniosła wzrok znad stołu, Kam wydobyla powolutku puzderko od Shre-ve'a, Crumpa i Lowe'a. Ujrzała, jak rozszerzają się źrenice Lisy. Wtedy wstała od stolika, chowając puzderko z powrotem do kieszeni.

- Chodźmy do samochodu po resztę moich rzeczy - powiedziała spokojnie, chociaż czuła narastającą panikę. Musiała się dostać do domu w ciągu godziny. Nie miała rezerwy czasowej, zważywszy, że dojazd zabierał trzydzieści minut. Jeżeli nie uda się jej tam dotrzeć, wszystko przepadnie. Lisa już zawsze będzie myślała o niej jako o upokorzonej, biednej, żalostnej Kam. Grubej Kam. Kam zacisnęła zęby.

Lisa wyszła za nią z restauracji, sprawiając wrażenie kobiety w transie. Bizuteria miała jednak ogromną władzę nad niektórymi kobietami.

Kam stanęła przy samochodzie i Lisa otworzyła bagażnik. W środku spoczywał karton pełen skarbów osobistych: był tam afgański dywanik po babci, skórzane atrapy książek. W mdłym świetle lampki Kam przeglądała zawartość kartonu. Lisa przyglądała się temu z uśmiechem.

- Bardzo się starałam, ale wiesz, że nie jestem dobra w pakowaniu. -Wzruszyła ramionami i otarła dłoń o udo. Kam pomyślała, że pewnie ręka ją świerzbi, żeby dostać pierścionek.

- Nie widzę tu swojego pamiętnika - powiedziała Kam.

- Nie? Starałam się zabrać wszystko. Jest tu ten notatnik, który znalazłam na półce.

- Nie chodzi mi o notatnik. Chodzi mi o pamiętnik.

- Nie wspominałaś o pamiętniku. Nie było go na liście.

Był i to właśnie na wypadek awarii. To był jej plan B. Najwyraźniej konieczny, kiedy miało się do czynienia z taką spryciarą jak Lisa. Kam odwróciła się wojowniczo ku byłej przyjaciółce.

- Czytałaś go? - zapytała głosem nabrzmiałym rozpaczą i wstydem. -Przysięgnij, że nie czytałaś!

- Przysięgam! - zapewniła Lisa pospiesznie. - Nawet go nie znalazłam -dodała ze szczerym żalem.

- Boże! To straszne! Byłam pewna, że jest na półce. Muszę go odzyskać, Liso! Umrę, jeżeli ktoś go przeczyta.

- Wyślę ci go - dodała Lisa. - Obiecuję.

Aha! Jakby można było jej wierzyć! Kam włożyła rękę do kieszeni i wolno wyjęła puzderko. Uchyliła wieczko. W ciemności, rozjaśnionej tylko bladym światłem z bagażnika, cyrkonია zaślniła niby brylant czystej wody. Kam przechyliła pudełko, żeby wydobyć z kamienia kilka ostrzejszych błysków i usłyszała jak Lisa wciąga ze świstem powietrze. „Spójrz tylko kochana. Ten przedmiocik uczyni cię Wakefieldem, zwiąże cię nierozzerwalnie z przyszłymi teściami z piekła rodem", Kam uznała, że przynęta zrobiła swoje i zatrzasnęła wieczko.

- Posłuchaj, Liso, może to dla ciebie głupota, ale dla mnie to szalenie ważne. Musisz to uszanować.

- Ależ szanują, szanują - powiedziała Lisa gorliwie.

- Z tych wszystkich rzeczy, o które prosiłam, najbardziej zależało mi na pamiętniku.

- Kam nie powiedziała nic więcej, po prostu stała i czekała.

- A więc jedźmy do domu - odparła rozgorączkowana Lisa. Kam wiedziała, że nie może oderwać myśli od pierścionka Wakefieldów.

Wsiadła do wozu i jadąc za Lisą głośno się śmiała. Łatwo było pokonać wroga, kiedy już się wiedziało, że nie jest przyjacielem. Miała tylko nadzieję, że złotopodobny metal pozostawi paskudny zielony ślad na doskonałej skórze Lisy.

### **Rozdział 53**

Wysiadając z wozu Reida, Vivian zadarła spódnicę jeszcze wyżej, chociaż groziło to już pokazaniem światu majtek. Z drugiej strony, zainwestowały mnóstwo pieniędzy Franka w bieliznę i pończochy, nadszedł czas, żeby się nimi pochwalić. Jada jadąca tuż za nimi wynajętym wozem, nie zdążyła nawet zaparkować, a Reid już otwierał drzwiczki dla Vivian.

Vivian udawała wstawioną i radziła sobie znakomicie. Chociaż ledwo umoczyła usta w alkoholu, udawała z takim przekonaniem, że niemal czuła szmerek w głowie. Przejazdźka z facetem rozpalonym do czerwoności okazała się ekscytującym przeżyciem. Vivian mówiła, jak bezgranicznie mu ufa, jakie to ważne, żeby nikt jej nie zobaczył i od jak dawna nie była z mężczyzną.

- Z wyjątkiem Charlesa, oczywiście - powiedziała. - Ale wielkość jego konta bankowego pozostaje w odwrotnej proporcji do jego... - urwała zawstydzona - dóbr osobistych - dokończyła, ściskając wewnętrzną stronę uda Reida.

Teraz Jada podeszła do niej szybko.

- To chyba nie jest dobry pomysł, żebyś stała na ulicy przed domem tego mężczyzny. Katherine, musisz zawsze pamiętać o intercyzie.

- Jenette, on nie jest mężczyzną, tylko moim adwokatem - odparła Vivian i zachichotała.

Jada obrzuciła Reida lustrującym spojrzeniem.

- Naprawdę przypadłeś jej do gustu - powiedziała. - Zabierzemy naszą dziewczynkę do środka? - Stwierdziła, że twarz Reida płonie. Vivian musiała go nieźle podgrzać.

Reid odwrócił się i niemal pobiegł przodem, niby napalony owczarek wiodący swoje stado. Vivian i Jada poszły za nim.

Apartament spodobał się Jadzie. Przyjemne gniazdko bogatych białych ludzi. Dziwna wydała się jej myśl, że nie znały Kam w czasach, gdy tu mieszkała i uważała, że jest bezpieczna i szczęśliwa. Drewniane meble na wzór lat pięćdziesiątych, jasne w tonie dywany, dyskretna elegancja.

- Mogę zaproponować szanownym paniom drinka? - zapytał Reid, odkładając klucze. Zapraszającym gestem wskazał sofę i już odwracał się w stronę kuchni.

- Och, nie jesteśmy żadnymi szanownymi paniami - powiedziała Jada głębokim głosem i Reid odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. - Jesteśmy kobietami.

Zdecydowanie jesteśmy kobietami. Nawet Katherine nie jest szanowną panią. - Podeszła do Vivian i położyła dłoń na jej długich włosach, głaszcząc je leciutko. Zdawało się jej, że dostrzega poruszenie po lewej stronie rozporoka białego chłoptasia. Spojrzała na swoją ciemną dłoń, prawie czarną na tle jasnych włosów, ale tylko po to, żeby sprawdzić godzinę.

- Jestem gotowy uznać swój błąd - powiedział Reid.

- Naprawdę gotowy? - zachichotała Vivian, po czym opadła na sofę z rozrzuconymi nogami i ramionami.

Reid wciągnął ze świstem powietrze. Jada zastanowiła się przelotnie, czy jest człowiekiem religijnym, bo jeżeli tak, wznosił teraz modły dziękczynne do swojego boga.

- Zaraz wracam - powiedział i zniknął za drzwiami kuchni. Vivian i Jada popatrzyły po sobie i zaczęły się pospiesznie rozbierać.

- Nie dotykaj mnie! - wyszeptała Vivian. - Ciarki przeleciały mi po plecach.

- Poklepałam cię tylko po głowie, Katherine - powiedziała Jada. - Zrobiłam to dla pana Rogersa.

- W porządku, ale na tym koniec - zastrzegła Viv. Zdjęła żakiet i wyśliznęła się z obsceniczej minispódniczki. Tymczasem Jada borykała się z niezliczonymi guziczkami swetra. W końcu zdecydowała się ściągnąć go przez głowę.

- Słuchaj - wyszeptała do Vivian. - Nie bierz tego do siebie, ale na myśl, że miałabym dotknąć twoich piersi - czy w ogóle czyichkolwiek - robi mi się mdło. Jestem religijną kobietą. - Wydostała się ze skórzanych spodni. Pod spodem miała pomarańczowe jedwabne majteczki i pas do pończoch.

- Zdejmij buty - zarządziła Vivian. Zdjęła bluzkę, ukazując stanik z różowej satyny i wysoko wycięte majteczki z tego samego materiału.

- Bawisz się w kostiumologa? Dobra, ja zdejmuję buty, ty zostawiasz. I nie dotykaj mnie, bo wrzasnę!

W tym momencie Reid otworzył sobie plecami wahadłowe drzwi i odwrócił się w stronę pokoju z załadowaną tacą w rękę. Kiedy zobaczył dwie

kobiety na sofie i stosik ubrań na podłodze, upuścił tacę waz z zawartością. Jada musiała się roześmiać.

- Ooo! - powiedziała. - Wygląda na to, kotku, że będziesz miał robotę nie tylko z nami.

Dziw brał, jak łatwo przyszło im upicie gościa i zwabienie go do jego własnego mieszkania. Idąc po schodach do sypialni, Jada pokiwała do siebie głową.

Mężczyźni! Była nadal w swoim wytwornym negliżu i elastyczne podwiązki uderzały ja po udach przy każdym kroku. Nie do wiary, że kobiety nosiły kiedyś taką uprząż. Już rajstopy były niewygodne! Miała nadzieję, że Reid podziwia widoki. Pokręciła pupą. Starła się nakreślić plan działania. Miała ze sobą torebkę, co wydaloby się dziwne każdemu, kogo umysł nie byłby zaćmiony dżinem i nieczystą żądzą.

- Które to drzwi? - zapytała.

Vivian stanęła u szczytu schodów i wzruszyła białymi ramionami. Reid wyminął je i otworzył drzwi po prawej stronie korytarza.

- Tutaj - powiedział ochryple.

- Chyba nie jesteś żonaty? Nie chciałybyśmy mieć do czynienia z mężczyzną który oszukuje - droczyła się z nim Vivian.

- Nie, nie jestem żonaty. Byłem, ale ona mieszka teraz w Nowym Jorku, a rozwód jest w toku. - Wprowadził je do dużej białej sypialni.

Vivian od razu usiadła na krawędzi łóżka.

- A więc dostałyśmy jeszcze ciepłutki towar. Ubiegłyśmy całą chmarę kobiet, zanim zdołały dopaść przystojnego, samotnego, seksownego adwokata.

Reid podszedł za nią do łóżka i Vivian rozluźniła mu krawat. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale odsunęła nieznacznie twarz. „Dobre posunięcie”, pomyślała Jada. „Chodzi o to, żeby go przygwoździć, nie ponosząc przy tym uszczerbku”. Kiedy Vivian zaczęła rozpinać guziki koszuli Reida, Jada otworzyła torebkę.

- Jak pan lubi, panie Wakefield? - zapytała gardłowym, intymnym tonem.

Reid oderwał oczy od Vivian. Wydawał się zafascynowany Jada ale niemal bał się na nią patrzeć. Jakby nie chciał, żeby przyłapano go na czymś zdrożnym.

- Odpowiada mi wszystko, co odpowiada wam - powiedział Reid.

- Wiem, że spodoba się panu trójkąt. Ale czy życzy pan sobie klasyczne czy karbowane, a może fosforyzujące? - zapytała, wyciągając garść prezerwatyw.

Wkładając mu je wszystkie w rękę, pochyliła głowę i na jedną chwilę zacisnęła zęby na kciuku mężczyzny. - Pan wybiera, ja zakładam. - Odstawiła torebkę na podłogę i korzystając z tego, że Reid jej nie widzi, wyjęła polaroid i małą tubkę superkleju.



Śmiała się w duchu z głupoty tego białego chłopaczka. Oczy miał szkliste z żądy. Mężczyźni myśleli jajami, nie głową, odnosiło się to zarówno do czarnych, jak i białych. Jada wstała. Vivian ściągnęła mu koszulę, ale...

- Nadal ma pan na sobie za dużo odzieży, jak na mój gust - powiedziała Jada.

- Rozbierz się dla nas - zaproponowała Vivian ze swojego miejsca na łóżku.

Patrzyła, jak Jada paradytuje po pokoju w swojej pomarańczowej satynie. Sama czuła się dość niepewnie. Nigdy nie rozebrała się przed żadnym mężczyzną poza Frankiem, ale tłumaczyła sobie, że komplet bielizny, który ma na sobie, nie jest wiele gorszy od kostiumu kąpielowego. Cóż z tego, kiedy czuła się w nim inaczej niż w kostiumie. Zmusiła się, by rozwiązać buty Reida.

- Mam być twoją gejszą? - zapytała, trzepocząc rzęsami.

Ściągnęła mu buty, a potem skarpetki, wolno i sugestywnie. Stopy miał duże i kształtne, ale budziły jej wstręt, podobnie jak inne partie jego ciała, szarpnęła więc tylko za nogawkę spodni i Reid, który sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego, pogrążonego w jakimś erotycznym mirażu, rozpiął wolno spodnie i rozporek. Ruchy miał zwolnione, jakby działał we śnie. Jada zbliżyła się szybko, żeby mu pomóc.

- Mamusia ci pomoże - powiedziała. - Mamusia chce zobaczyć, jaki z ciebie przystojny chłopiec.

Vivian oblała się rumieńcem na myśl, że być może Jada zwracała się tak do Clintona, kiedy byli w łóżku. Zabawne: tyle niby wiedziała o swoich przyjaciółkach, ale nie miała pojęcia, co robią i mówią w obecności mężów. Nie rozmawiało się przecież o seksie, w każdym razie nie z takimi szczegółami.

Reid uniósł biodra, starając się ułatwić Jadzie zadanie. Vivian zaczęła jej pomagać, mając tylko nadzieję, że razem ze spodniami nie ściągną mu slipów. Naprawdę nie chciała zobaczyć jego instrumentu.

Nosił spodenki, które, ku wielkiej uldze Vivian, pozostały na miejscu, chociaż coś poruszyło się w środku. Może nie było to godne porównanie, ale ten ruch zawsze kojarzył się jej z małym chomiczkiem uwięzionym w woreczku na brudną bieliznę.

- Och, ładny tors, mecenasie - zagruchała Jada.

Facet był pierwsza klasa. Miał szeroką, płaską, prawie nieowłosioną klatkę piersiową. Przypominała torsy pływaków olimpijczyków. Ale Vivian nie mogła sobie jakoś wyobrazić, że składa na niej głowę. Przez chwilę zatęskniła za miękkimi, ciemnymi włosami Franka. No, nie była to pora na wspominki. Robota czekała.

- Jesteście najpiękniejszymi kobietami, jakie zdarzyło mi się widzieć - powiedział Reid bełkotliwie, jakby myśli docierały do niego przez barierę snu. Vivian wstała. Facet był takim nielojalnym małym skurwielkiem. Oparła stopę o łóżko, pochyliła się leciutko ku Reidowi i spojrzała na niego przez zasłonę włosów.

- Naprawdę? - zapytała i ujrzała, że chomiczek się porusza. - Chcesz, żebyśmy ci powiedziały, co będziemy ze sobą robiły? A może chcesz powiedzieć, co nam zrobisz? Albo jeszcze lepiej, ty powiedz nam, co mamy tobie zrobić.

- O Booże! - Reid jęknął i ściągnął spodenki.

Jada stała w górnym rogu łóżka, wsparta o słupek baldachimu. Spojrzała na genitalia męża Kam, a potem przeniosła wzrok na Vivian. Wzruszyła lekceważąco ramionami, jakby chciała powiedzieć: „ujdzie w dużym tłoku. Nie ma się czym chwalić”. Vivian wiedziała, że nie może sobie pozwolić na śmiech - mężczyźni byli tacy drażliwi na punkcie rozmiaru swego wacusia - przyłożyła więc rękę do ust, a w następnej chwili, opanowawszy wesołość, założyła ramiona za głowę, doskonale wiedząc, że poza podkreśli jej kształty.

- Chodź tutaj - powiedział Reid.

- Cierpliwości. Nigdzie się nam nie spieszy. Mam nadzieję, że nie będziemy cię musiały związać i zakneblować - ostrzegła Vivian. - Robimy to tylko wtedy, gdy którejś z nas zbyt szybko zaczyna spieszyć. Lub gdy mamy ochotę naprawdę pofiglować.

Fiut Reida wyprysnął do przodu i wykonał krótki numer taneczny. Ruchem głowy Reid przywołał Jadę.

- Chodź tutaj, usiądź na łóżku. Proszę - powiedział, poklepując zachęcająco materac. Musimy zwolnić, pomyślała Jada, albo wpakujemy się w niezłe tarapaty.

- Najpierw chcę nasmarować cię olejkami, kochanie - powiedziała zmysłowo, po czym wpadła w ton zapobiegliwej gospośki. - Pójdę po ręcznik, żeby nie pobrudzić pościeli - zaproponowała. Nie spiesząc się, powędrowała do łazienki i z powrotem. Wręczyła butelkę olejku Vivian. Rozkładając ręcznik, zastanawiała się, czy o czymś nie zapomniała, czy coś może je zaskoczyć. „Cosmo” zostawiła na dole, pager milczał. Wszystko było gotowe.

- Czas na finał - powiedziała, używając kodu, który ustaliły z Vivian. Vivian przysunęła się bliźniutko do Reida, który położył ręce na jej biodrach. „Dzięki Bogu, pomyślała że nie na piersiach”. Zamiast grzotnąć go butelką z olejkami, na co miała największą ochotę, wycisnęła lepki płyn na szerokie ramiona Reida, tak że strumyczki spłynęły mu po plecach i piersiach.

- Och! - zaświergotała. - Trochę za dużo. Za dużo mi się psiknęło -powtórzyła, próbując zwrócić jego myśli na inne tory.

Reid spojrzał w dół na swój połyskujący tors. W tym momencie Jada ściągnęła prześcieradło z górnego rogu łóżka i rozłożyła na jego miejscu ręcznik. Potem pochyliła się i wzięła coś z podłogi.

- Nie smaruj jego ptaka, Katherine - powiedziała, wydymając usta. - Sama chcę to zrobić. Vivian z trudem zdławiła śmiech. Ptaka?

- Dlaczego ty masz go dostać pierwsza? - wpadła w ton Jady. - Nie miałam żadnego od nie wiem jak dawna.

-Uuu! Aaa! Dziewczyny, jesteście niezmiernie. Jesteście... -Reid był bez tchu. -  
Jesteście niewiarygodne!

Jada pomyślała, że po raz pierwszy tego wieczora gość nie pomylił się w ocenie sytuacji. Uśmiechnęła się i wyciągnęła na łóżku, tak że znalazła się niemal na kolanach Reida.

- Będziesz śliski i błyszczący - wymruczała Vivian zmysłowo, przysuwając się jeszcze bliżej do Reida i zasłaniając częściowo Jadę.

- O, tak - odezwała się Jada. - Śliski. To dobre określenie dla kogoś takiego jak pan, panie Wakefield. Teraz jesteś bardzo śliski, kotku.

Zasłonięta przez Vivian otworzyła tubkę superkleju i wycisnęła smużkę wzdłuż penisa. Potem uniosła rękę i prosząc Boga o wybaczenie, chwyciła nabrzmiały instrument i przycisnęła go do nagiego materaca.

Reid jęknął, częściowo z rozkoszy, częściowo z bólu, bo Jada nie siłała się na delikatność.

- Ummm! Ummm! Auuu! Czeka! - Litania rozkoszy szybko przeszła w okrzyki bólu. - To boli! Hej! Co...? Jada wycisnęła klej na drugą stronę penisa, zostawiając wilgotną smugę.

Sekundę później Reid przyłożył lewą dłoń do genitaliów i Jada z trudem opanowała odruch, żeby w ten sposób go ostrzec. Nakrył się dłonią i już nie mógł jej odjąć.

- Tak mi przykro - powiedziała Jada, spoglądając na wykrzywioną twarz Reida. Klej działał bez zarzutu. Jada sięgnęła po polaroid.

- Uśmiech, proszę! - zażądała i Vivian odwróciła głowę, udając zaskoczenie. Wyraz twarzy Reida był bardziej przekonujący, chociaż mniej foto-geniczny. Jada zrobiła pierwsze zdjęcie, niesłychanie kompromitujące. Uznała jednak, że mogą się bardziej postarać. Położyła zdjęcie na biurku, a sama weszła na łóżko i pstryknęła następne.

- Ja się... Ja się przykleiłem! - powiedział Reid, jeszcze nie rozumiejąc. Nie mógł odjąć ręki od genitaliów, ale postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że trzyma ją tam dobrowolnie. Vivian nachyliła się nad Reidem, żeby Jada mogła zrobić ujęcie całości. Potem szybko zmieniła pozycję i pstryknęła ich twarze, jedna przy drugiej, na tle zagłówek. Vivian przytulona do piersi Reida, który nadal obejmował ciasno swojego penisa. Vivian przemogła wstręt i nakryła dłonią przyklejoną rękę Reida. Jada skinęła aprobująco głową i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Grymas bólu na twarzy Reida z powodzeniem mógł uchodzić za paroksyzm rozkoszy.

- Znakomicie! - zawołała Jada.

- Co wy robicie?! Co to jest, to na moim fiucie? Jestem przyklejony! - krzyknął Reid.

- Nie chcę żadnych zdjęć!

- Zawsze robimy zdjęcia - powiedziała Jada tonem wyjaśnienia. - Za każdym razem, gdy to robiłam, pstrykałam zdjęcia - dodała absolutnie zgodnie z prawdą.

Vivian zaśmiała się i wyciągnęła rękę po aparat fotograficzny. Jada weszła na łóżko, przykucnęła okrakiem nad unieruchomionym ciałem Reida (nie dotykając go) i spojrzała przez ramię w stronę obiektywu. Vivian zrobiła dwa zdjęcia i dołożyła do kolekcji na biurku. Przez chwilę zastanawiała się, jak do tego doszło, że ona, praktykująca chrześcijanka siedzi okrakiem, niemal naga, na białym facecie, ale Bóg był miłosierny, a cel szlachetny.

- Co się dzieje, do cholery?! - powtarzał swoje Reid. - Jestem przyklejony. Jestem...

- Uwięziony? - odpowiedziała Jada.

- Wystrychnięty na dudka? - dodała Vivian.

- A może „zdradzony” jest słowem, którego pan szuka - zasugerowała Jada kpiąco.

- Nie mogę się oderwać - Reid podkulił nogi i próbował przekreślić się na brzuch.

- Obawiam się, że nie jest to twój jedyny problem, panie Śliski - ciągnęła Jada.

Misja zakończona powodzeniem. Teraz pozostawało tylko czekać, aż zjawi się Kam z Lisą. Jada roześmiała się, rozładowując napięcie, w jakim trwała od paru godzin.

- Co wy robicie? O co tu chodzi? - skamlał Reid Wakefield III, jej pierwszy nagi biały chłopak. - Czy to jest jakaś gra erotyczna? Bo jeżeli tak, nie wydaje mi się zabawna. - Spojrzał na Jadę i twarz mu się zmieniła. - Chcecie obrabować dom?

Rozbój! Oto pierwsza myśl, jaka się nasuwa białemu w związku z czarnym Amerykaninem, spotkanym w niezwykłych okolicznościach. „W jednej minucie jestem jego marzeniem, w następnej najgorszym koszmarem”, pomyślała Jada.

- Więc tak? O to chodzi? - Reid domagał się odpowiedzi z całą godnością, na jaką stać gołego faceta z penisem przyklejonym do materaca.

- Śliski, kotku, mylisz się, i to bardzo - powiedziała Vivian.

## **Rozdział 54**

Kam stała przed budynkiem, który uważała kiedyś za swój ..dom i udawała, że nie chce wejść do środka. Jego tam nie ma, prawda? - zapytała po raz trzeci. - Nie. Ma dzisiaj spotkanie w interesach - coś nagłego. Zostawił mi wiadomość w poczcie głosowej.

Kam marzyła tylko o tym, żeby się dostać do mieszkania, ale musiała udawać, że ma opory. Duże opory.

- Poczekaj ! Nie powiedziałaś mu, że będziesz się ze mną widziała? Obiecałaś! Nie będzie go tam, prawda? Nie chcę, żeby mnie taką zobaczył. Gnibaj w ogóle...

- Och, Kam, nie jesteś gruba - zapewniła Lisa lekko, jakby piętnaście kilogramów nadwagi było ledwo dostrzegalnym szczegółem. Kłamstwa płynęły z jej ust wartkim potokiem. Kam przypomniała sobie mgliście bajkę o księżniczce, z której ust wyskakiwały żaby i wypełzały padalce, i jej siostrze, która mówiąc roniła szlachetne kamienie. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć treści tamtej bajki, w każdym razie w tej historii też był padalec, kłamca i kilka fałszywych klejnotów.

Kam zebrała myśli i przypomniała sobie, jak długo marzyła o tej chwili. Stała patrząc jak Lisa otwiera przed nią drzwi. Weszła za nią do własnego domu i nie czuła ani żalu, ani smutku. „Cosmo” pozostawione przez Jadę na stoliku powiedziało jej, że akcja jest w toku. Podeszła prosto do regału z książkami i udawała, że przegląda pozycje. Lisa tymczasem zdjęła płaszcz, powiesiła go, odłożyła torebkę na półkę i przejrzała się w oszklonych od wewnątrz drzwiach szafy. Dłonią nastroszyła lekko włosy. Kam nigdy nie miała lustra w tej szafie. Musiało być bardzo poręczne. Miała nadzieję, że Lisa lubi nowości, bo w ciągu następnych minut czekało ją sporo zmian.

Kam usłyszała jakiś hałas na górze, jakby ktoś przesunął lampę lub krzesło i odruchowo spojrzała w stronę schodów. Zmusiła się, by dalej przeglądać książki w poszukiwaniu nieistniejącego pamiętnika.

- Nie widzę go tutaj, Liso - powiedziała. - Może jest na górze. Mogłam położyć go na tej półce, nad szafą. - Tak, to możliwe - przyznała Lisa. - Ja nawet tam nie dosięgnę. Weszły schodami do ciemnego holu. Spod drzwi sypialni sączyło się światło. Kam zatrzymała się.

- On tam jest? - zapytała starając się, by w jej głosie zabrzmiał przestrah i oskarżenie.

- Nie - uspokoiła ją Lisa. - Powiedział, że wróci późno. Poza tym, wyszedłby, żeby się ze mną przywitać.

Ruszyła w stronę drzwi Kam zastanawiała się przez chwilę, czy Lisaz czystej złościwości nie liczy jednak na to, że zastały Reida w domu, co ostatecznie pognębiłoby rywalkę. Kam tylko wzruszyła ramionami i podążyła za nią.

Widok, jaki ukazał się ich oczom, przeszedł najśmielsze oczekiwania Kam. Lisa zamarła w otwartych drzwiach. Scena była idealnie skomponowana: Vivian siedziała na stopach Reida, podczas gdy Jada, w niewiarygodnie wąskich majteczkach, na jego piersiach. Efekt kolorystyczny był niezwykle: ciemna skóra „Jenetty”, jej brązowe nogi zadarte wysoko po obu stronach krzepkich ramion Reida, jego jasne włosy w zestawieniu z ciemnobursztynowymi włosami Vivian, jej białą matową skórą obok połyskliwych ciemnych pleców Jady. Dopełnieniem obrazu były róże i pomarańcze skąpych negliżów. Nie sprofanowano sceny czarną koronkową bielizną ani czerwonym pasem do pończoch. Każdy

element był kompletnym zaskoczeniem, czymś tak naturalnym i tak niewiarygodnie dziwnym, że człowiekowi mieszało się od tego w głowie. Kam zastanawiała się, co widzi Lisa. A Reid? Popatrzył na Lisę ze zgrozą, ale biały na twarzy zrobił się dopiero na widok Kam.

Kam spojrzała na ścianę ponad jego głową. Do zagłówka przyklejono zdjęcia, całe mnóstwo leżało na podłodze.

- O, mój Boże! - powiedziała Lisa i postąpiła krok naprzód. Reid stracił ją na chwilę z pola widzenia, ale Jada zeskoczyła co prędzej z jego piersi, żeby udostępnić Lisie pełny wgląd w sytuację. Pomarańczowy staniczek z trudem mieścił jej piersi. Pomarańczowa szminka, pomarańczowa bielizna odcinała się ostro od brązowej skóry.

- O, mój Boże! - powtórzyła Kam jak echo. Scena miała w sobie tyle realizmu. Vivian odwróciła głowę. Miękkie włosy osunęły się falą po jej ramieniu, piękna twarz i mlecznobiałe ciało były marzeniem pornografisty.

- O, mój Boże! - powiedziała.

Ale Jada nie zamierzała wstąpić do chóru.

- Coście takie pobożne? - zapytała. - Dołączacie do nas?

- O, mój Boże! O Boże, Liso, ja... nie rozumiem... jestem uwięziony - powiedział Reid. - Przyklejony. Dosłownie. Jestem przyklejony do materaca.

- Hej, kotku, z tego co słyszę, to lubisz takie gierki - powiedziała Jada.

Lisa otworzyła i zamknęła usta, nie wydając głosu. Kam wyszła z za jej pleców i zbliżyła się do łóżka, żeby się przyjrzeć Reidowi. Spojrzał na nią i twarz zastygła mu w wyrazie szoku, przez który przebijał wstyd, czy może ból.

- Kam? - zapytał, jakby nie dowierzał własnym oczom. Ona popatrzyła tylko na jego dłonie, zastanawiając się, ile kleju użyła Jada. - Nie wiedziałem, że tu jesteś. Nie spodziewałem się ciebie.

- Lepiej pójdę - zwróciła się do Lisy. - Naprawdę. - Odwróciła się i zeszła ze schodów - z uśmiechem. Kupiła ten materac i superklej, którym zespolony był Reid. Ta świadomość sprawiła jej żywą przyjemność.

Jada miała rację: zdjęcia to był miły dodatek. Wiedziała, że zostały ukryte w szufladach sekretarzyka, w biurku, w szafie. Nawet jeżeli Lisa zdecyduje się zostać z Reidem, te małe znaleziska nie pozwolą jej zapomnieć. Kam pozostało tylko jedno do zrobienia: wsunęła przygotowany wcześniej pamiętnik między książki na półce. I wtedy zrozumiała, że już jej nie obchodzi czy ta para się pobierze, czy rozejdzie. Byli sobie warci. Ból minął, zniknęła zazdrość. Wyszła ze swojego pierwszego domu po raz ostatni.

- Wiecie co, chyba podoba mi się taka bielizna - powiedziała Vivian. - A Jadzie do twarzy w tej szmince.

- Powinnam zostawić jej trochę na Reidzie - pożałowała Jada.

- Powinnaś! - zgodziła się. Vivian entuzjastycznie. Były w wojowniczym nastroju.  
-1 trzeba było założyć mu stanik. Dlaczego nie pomyślałyśmy o tym wcześniej?  
Kam, siedząca między nimi w niewygodnym samolotowym fotelu, roześmiała się w głos.

- Jakby Lisie nie było dość tego, co zobaczyła! Miłość lesbijska, zdrada, krzyżowanie się ras, sadomasochizm, a na dokładkę fetyszyzm? - Kam zaczęła chichotać. - Biedna Lisa!

Vivian i Jada wybuchnęły śmiechem. Sprawiały wrażenie ululanych, chociaż nie piły nic poza dietetyczną colą.

Samolot wpadł w dziurę powietrzną. Vivian chwyciła się kurczowo oparcie fotela, ale Jada tylko wzruszyła ramionami.

- To nic takiego, zwykłe turbulencje.

- Gdybym miała zginąć w katastrofie lotniczej, chciałabym, żeby to było teraz.

Uśmiechałabym się przez całą drogę na dół - powiedziała Kam. Potem pomyślała o dziecku i zmieniła zdanie. Zapięła pas na swoim wydatnym brzuchu, zastanawiając się, czy uda się jej przebyć resztę lotu bez jeszcze jednej wyprawy do toalety.

- To było niewiarygodne - powiedziała Vivian w rozmarzeniu. - Czułam, że mam władzę. Pociągałam za sznurki. I to było takie łatwe. Powinnyśmy to uczcić. Zrobić coś naprawdę szalonego.

- Spędzić noc w „Ritz Carltonie”.

- Odwiedzić galerię sław koszykówki.

- Jest coś takiego? - zapytała Kam.

- Dziewczyno! - odparła Jada tragicznym głosem, przewracając oczami.

- Nie, nie, tylko nie to! - błagała Viv.

- Co jest gorszego niż pójście tam? - zapytała Kam.

- Nie ma nic gorszego. Mężczyźni są idiotami.

-1 są łatwi - dodała Jada. - Myślałam, że nie wytrzymam, kiedy zaprosił nas do siebie. - Zwróciła się do Kam. - Tym, co ciekło mu z ust można by napełnić wiadro.

- Opowiedzcie jeszcze raz, co było potem? - poprosiła Kam. - Kiedy już wycofałam się dyskretnie, żeby nie być świadkiem ich upokorzenia.

- Znowu? - zapytała Vivian z uśmiechem. - Mam przeczucie, że stanie się to twoją ulubioną opowieścią na dobranoc. - Przybrała słodki ton, jakim czyta się bajeczki małym dzieciom. - A wtedy cioteczka Jada wręczyła złej czarownicy Lisie magiczną buteleczkę zmywacza do paznokci i powiedziała: „Oto coś, co zdejmie z niego zaklęcie. Przynajmniej tym odklejałyśmy go ostatnim razem. Trochę piecze, ale on to lubi”. I wtedy cioteczka Vivian ukryła brzydkie, brzydkie zdjęcia po całym domu, żeby zła czarownica Lisa znalazła je później. A potem dwie dobre cioteczki zniknęły, pozostawiając złotego księcia z przyklejonym fiutem.

- A potem czarownica zmieniła się w smoka i podpaliła łóżko - dokończyła Jada. - Ale my byliśmy już wtedy w drodze na lotnisko. I musiałyśmy czekać w kolejce, żeby oddać samochód.
  - Ciekawe, czy ona go odklei? - zastanawiała się Vivian.
  - Ciekawe, jak to będzie bolało? - zawtórowała Jada.
  - Zawsze zastanawiałam się, dlaczego nazwali to superklejem, ale teraz chyba wiem - zaśmiała się Viv. - Powinien się nazywać Pięciosekundówka. Nadałby się w sam raz dla Reida.
- Jada uniosła otwartą dłoń.
- Stop, siostrzyczki, żadnych szczegółów. Nie chcę tego słuchać.
  - Wyglądało to dość perwersyjnie - roześmiała się Kam.
  - A on nas nawet nie dotknął! - chełpiła się Jada. - Nie do wiary. Czuję się taka... taka potężna!
  - Jesteśmy potężne - powiedziała Kam. - Nie zapominajmy o tym. -Przeniosła wzrok z jednej przyjaciółki na drugą. - Dziękuję, że to dla mnie zrobiłyście. - Ujęła ich dłonie.
  - Bawimy się w wywoływanie duchów? - zapytała Jada. - Czy znowu w lesbijki?
  - Zamknij się! - powiedziała Vivian. - To wzruszająca chwila. - Zwróciła się do Kam. - Zrobiłyśmy to z przyjemnością A on zasługiwał na wszystko, co go spotkało. I mam nadzieję, że Lisa znajdzie pamiętnik i mu go pokaże. Na deser.
  - Wsunęłam go między książki. Napisałam, jaki Reid był kiepski w łóżku i o tym, jak jego ojciec obmacywał mnie na przyjęciu bożonarodzeniowym. Wspomniałam, że rano cuchnie mu z ust. Opisałam również swój wymyślony romans. Bardzo plastycznie, chociaż bez wymieniania nazwisk. Napomknęłam tylko, że moim kochankiem był jeden z jego bliskich przyjaciół. Niech pogłównkuje który. Dobrych kilka stron zajęło mi opisanie, jak obciągałam mu fiuta w męskiej toalecie w klubie, tego dnia, kiedy Reid upił się tam do nieprzytomności. Nie szczędziłam szczegółów.
  - To był dobry plan - przyznała Jada.
  - Do zrealizowania pozostały nam jeszcze dwa - powiedziała Kam.

## **Rozdział 55**

Kam opracowała plan tak dokładnie, jakby to był skok na bank albo wizyta głowy państwa. Marblehead zszargało im nerwy, ale ubawiły się po pachy. To, co zamierzały teraz, wydawało się niebezpieczne i mało zabawne. Vivian czekała tylko, aż Kam ustawi czaty na dachach pobliskich budynków lub zarekwiruje walkie-talkie Frankiego, żeby



mogły być w stałym kontakcie. Kam nalegała nawet, żeby zabrały ze sobą mężczyznę - powiedziała, że niezręcznie jej było prosić Michaela, namówiła więc Billa. Zdaniem Vivian było to pozbawione sensu. Jeżeli Frank przystąpi do rękoczynów, w co szczerze wątpiła, wąty, zniewieściały Bill z pewnością temu nie zaradzi. Wszystko to wpędzało ją w zdenerwowanie, jednocześnie pobudzając do śmiechu.

Nie mogła zaprzeczyć, że Frank ją uderzył. Ale nie wierzyła, żeby był zdolny zrobić to po raz drugi. Z pewnością nie w barze w Sarsdale. Nie o trzeciej po południu, na oczach kilkudziesięciu klientów i całej obsługi.

- Będziemy tylko rozmawiać - przypomniała Jadzie. -1 tylko przez pół godziny.

Potem wstanę i wyjdę. Nie zakładam innego wariantu wydarzeń.

- Świetnie - powiedziała Jada. - Dopilnujemy tego.

Plan zakładał, że Jada będzie siedziała w swoim samochodzie na parkingu przed restauracją, obserwując przybycie Franka, a następnie dopilnuje, żeby nie śledził Vivian. Kam z kolei miała już wcześniej zająć stanowisko w restauracji, odwrócona tyłem do Vivian, z Billem przy boku. Jego zadaniem było nie spuszczać Vivian z oczu.

Przybyli na miejsce dwadzieścia pięć minut przed czasem. Plusem przedsięwzięcia, przynajmniej jeżeli chodzi o Vivian, było to, że nie miała czasu denerwować się samym spotkaniem z Frankiem. Denerwowała się, owszem, ale tym, żeby Frank nie zobaczył Jady i reszty. Zerknęła przelomie na stolik, przy którym siedziała Kam z Billem. Kam, wzorując się na najlepszych filmach szpiegowskich, wyciągnęła puderniczkę i spojrzała w lusterko. W ten sposób mogła obserwować Vivian, nie odwracając głowy. Vivian zaśmiała się ciuchutko. Z tego co wiedziała, Kam nie nosiła makijażu wymagającego puderniczki. Czyżby kupiła ją specjalnie na tę okazję? Śmiech zamarł jej na ustach, kiedy ujrzała Franka w drzwiach restauracji. Poczowała ucisk w piersiach i żołądku, tak silny, że na chwilę straciła oddech. Frank zobaczył ją w chwili, gdy przekroczył próg. Podeszedł i zajął miejsce naprzeciwko. Zdumiało ją, że wygląda jak wyglądał, chociaż była nastawiona na jakieś zmiany. Włosy miał tak samo błyszczące i ciemne, skórę tak samo gładką, oczy równie piękne jak dawniej. Ubrany był w czarny półgolf, który podarowała mu na Gwiazdkę. Vivian musiała przyznać sama przed sobą, że nadal kocha męża.

Wiedziała kim jest, budził w niej wstręt, ale uczucie umierało bardzo powoli. Frank położył obie dłonie płasko na blacie i Vivian powiedziała sobie, że są to ręce, które ją biły. Podniosła wzrok na jego twarz. Oczy Franka zawsze ją fascynowały. Teraz wydawały się bardziej przepastne niż kiedykolwiek - oczy, w których mogła się zatracić.

- Jak dzieci? - zaczął Frank.

- W porządku. - Postanowiła mówić jak najmniej. Razem z Kam uznały, że tak będzie najlepiej.

- Co im powiedziałaś? - W jego głosie nie było gniewu ani pretensji, ale nie było w nim również prawdziwej troski. Zupełnie niepodobne do Franka. Uwielbiał dzieci. Musiał tęsknić za nimi rozpaczliwie. Vivian знаła go na tyle, by wiedzieć, ile go kosztuje ta pozorna obojętność.

- Powiedziałam im, że wyjechałeś na jakiś czas, a w domu są malarze. Uznałam, że nie są w stanie znieść prawdy.

- Nie powiesz mi gdzie mieszkasz? - zapytał i dopiero teraz wyczuła w jego tonie tłumione emocje. Tylko potrząsnęła głową. Jeżeli będzie na nią naciskał, po prostu wstanie i wyjdzie.

- A więc, z dziećmi wszystko w porządku - Frank przybrał znowu swój neutralny ton.

- Na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Nie zadają pytań. To zły znak.

- Tak uważasz?

- Oczywiście. Wiedzą, że coś się stało, wiedzą że nie chcę o tym rozmawiać. Niewiele dobrego spotkało je w tym roku.

Frank umknął wzrokiem za okno. Przez chwilę bała się, że dojrzy volvo Jady, zaparkowane na drugim końcu placu, ale spojrzenie Franka przesunęło się po nim obojętnie. Potem spojrzał ponownie na żonę.

- Vivian, wszystko da się jeszcze naprawić. Przysięgam, że mogę to zrobić; naprawić wszystko.

Znowu poczuła nieprzewartą ochotę do śmiechu. Była to nerwowa reakcja, jak wtedy, gdy matka zawiadomiła ją o śmierci babci. Śmiech pozwolił jej wtedy odreagować żal i jeszcze jakieś doznanie, którego nie umiała nazwać.

- Jak możesz tak mówić? - zapytała. - Jak możesz to naprawić, Frank? Mam listę, długą na dwadzieścia dwie strony maszynopisu. Nie sądzę, żeby można to było naprawić. Jedyńm sposobem byłoby odwrócenie biegu zdarzeń.

Frank cofnął ręce i zacisnął je na krawędzi plastikowego blatu. Vivian nie mogła oderwać od nich wzroku - widziała, jak pobiegały mu paznokcie.

- Posłuchaj - powiedział zniżonym, sugestywnym głosem. - Mogę to zrobić. Z pomocą Bruzema mogę się z tego wykrecić. Będziemy znowu rodziną i nigdy już nie skrzywdzę ciebie ani dzieci. Już nigdy, Vivian.

Przez chwilę nie rozumiała, co Frank mówi. Potem olśniło ją, że on naprawdę oczekuje, a przynajmniej ma nadzieję, że ona o wszystkim zapomni. Że znowu będą razem.

- Frank... - zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Popeliłem błąd, Vivian. Jeden błąd, który pociągnął za sobą następne. Nie przewidziałem, że to się może tak skończyć. Przepraszam. Myślałem, że jestem chroniony. Myślałem, że ty jesteś chroniona. - Urwał. Nie wiedziała, czy Frank ma na myśli łapówki, haracze, naciski polityczne czy swoich ludzi

w policji albo... gdzie indziej. Obserwowała ruch jego warg, ale przez chwilę go nie słyszała. - Nie jest jeszcze za późno - mówił, kiedy udało się jej skupić myśli. - Nie chcę, żebyś mieszkała sama, Vivian. Nie chcę, żeby moje dzieci mieszkały w jakimś motelu czy wynajmowanej norze. Nie chcę, żebyś martwiła się o pieniądze, o mnie, w ogóle o nic. Chcę, żeby było tak jak kiedyś. Możemy to odzyskać, Vivian.

Intensywność jego głosu, siła woli bijąca z oczu, nawet moc, z jaką ścisnął krawędź stołu, wywierały na nią taki sam wpływ, jak kiedyś. Nic dziwnego, że tak długo go kochała. Był przystojny, seksowny, uczuciowy. Wydawał się taki solidny, niezłomny i pewny. Wyglądał na najbardziej godnego zaufania człowieka w Ameryce. „Ale ja polerowałam jabłko zgniłe od środka”, pomyślała Vivian. Nie był to Eden, rajski ogród. Frank nie był Adamem - był wężem.

- Vivian, przypomnij sobie ostatnie święta - mówił Frank. - Kiedy dałem ci zegarek? Zsunęliśmy łóżka. Pamiętasz kolację, otwarcie pończoch z prezentami? - Puścił stół i sięgnął po coś do kieszeni. Przez chwilę obawiała się, że wyciągnie pistolet. Ale on wyjął z kieszeni kompas. Była to tandetna zabaweczka, którą Frankie kupił ojcu w prezencie. Vivian pomogła go opakować w ozdobny papier w choinki, a teraz patrząc na kompas leżący na turkusowym blacie w marmurkowy wzorek, poczuła łzy pod powiekami.

- Zostań ze mną, Vivian. Przeczekaj to - błagał Frank. - Nie musisz zeznawać, jeżeli nie chcesz, nie musisz nawet wracać do domu. Po prostu wybac mi i poczekaj, aż to wszystko naprawię.

Vivian próbowała sobie wyobrazić powrót do domu. Gotowanie posiłków, zbieranie klocków lego, noce w ramionach Franka. Tylko tego w życiu pragnęła. Jak on śmiał kusić ją myślą, że może to odzyskać. Jak on mógł?

- Frank, to ty zniszczyłeś nasze życie, nie ja.

- Vivian, nie! Możemy je odzyskać. Nic na mnie nie mają. Tego ich świadka Bruzeman zniszczy w pięć minut. Zero wiarygodności. Nie ma dowodów. Jediną trudność stanowią pieniądze. Dlatego muszę mieć je z powrotem. Bruzeman i sędzia będą mnie sporo kosztować.

Vivian próbowała zrozumieć, co on chce przez to powiedzieć. Że sędzia zostanie przekupiony? Że opłaty prawne wyniosą pół miliona dolarów? Że boi się, że ona nie potrafi ukryć dowodów tak dobrze, jak potrafiłby on?

Wbrew rozsądkowi zaczęła się zastanawiać, czy to, co Frank obiecuje, jest realne? Gdyby oddała mu pieniądze - pieniądze, którymi się brzydziła, których nie chciała - wszystko znów byłoby dobrze? Czy mogłaby mu wybaczyć? Mogłaby mu zaufać? Wiedziała, że zamieszkanie z obojgiem rodziców byłoby najlepsze dla jej dzieci. Przez chwilę...

- Poświęcę resztę życia, żeby ci to wynagrodzić, Vivian. - Frank pochylał się nad stołem. - Żałuję tego, co zrobiłem. Moja matka nie posiada się z oburzenia. To ją zabije. Ranie wszystkich, których kocham.

Vivian spojrzała mu w oczy. Łzy skleiły mu rzęsy, które wyglądały teraz jak promienie wokół błyszczących brązowych gwiazd. Sama miała ochotę zapłakać, pozwolić, by dotknął ciągle bolącego miejsca na podbródku, żeby wtulił twarz w jej szyję i płakał, i prosił o przebaczenie, a potem zabrał ją do łóżka.

- Gdzie trzymasz pieniądze, Vivian? - zapytał. - Muszę wiedzieć.

Vivian nabrała głęboko powietrza i wyrwała się z trującego snu. Spojrzała na parking, szukając wzrokiem samochodu Jady. Potem jej wzrok powędrował do stolika w rogu. Bill skinął jej nieznacznie głową. Vivian popatrzyła na męża.

- Powiesz wszystko, żeby dostać te pieniądze, prawda? - zapytała.

- Muszę je odzyskać. Nie wykaraskam się z tego, jeżeli nie będę miał pieniędzy - powiedział Frank przez zęby. - I ty wiesz, że to jedyne słuszne wyjście. Dla mnie i dla ciebie.

- Kiedyś myślałam, że faktycznie wiesz, co dla nas najlepsze. Ale już tak nie myślę. Przyszłam tu z nastawieniem, że będziemy rozmawiać o moim pobiciu. A rozmawiamy o tym, jak bardzo potrzebujesz pieniędzy? Straciłeś prawo do podejmowania decyzji za nas oboje. Teraz ja podejmuję decyzje za siebie i dzieci. Trzymałeś mnie w nieświadomości. Prawdopodobnie kłamiesz teraz. Już ci nie wierzę.

- Vivian.' - Frank pochylił się jeszcze niżej nad stołem. - Ja nie negocjuję. To są moje pieniądze i potrzebuję ich. Musisz mi je oddać. Znam credo prawników: klient jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się bankructwa. Bruzeman wystawi mnie do wiatru. Wyjdę stąd i pojadę prosto po pieniądze. W tej chwili są dla mnie równoznaczne z wolnością. Jeżeli nie powiesz mi gdzie są oskarżę cię.

-Co?!

- Powiem prokuratorowi, że jesteś moją współniczką, że też w tym siedzisz. Nie pozwolę, żeby grunt usunął mi się spod nóg. Zrobisz to, co ci każe.

Vivian nie wierzyła własnym uszom. Przed chwilą wyobrażała sobie swój powrót do domu, stworzenie na nowo rodziny. Teraz Frank grozi jej więzieniem? Nie znała tego mężczyzny. Nie może o tym zapomnieć ani na chwilę. Dzieciom będzie lepiej bez niego, jej też, nawet jeżeli ona do końca życia nie będzie spała z mężczyzną.

Podniosła się z miejsca. Frank chwycił ją za ramię, ale wyrwała się jednym ruchem.

- Masz sądowy zakaz zbliżania się do mnie i do dzieci - powiedziała. - Nie zapominaj o tym. Nie dotykaj mnie. Nie próbuj mnie śledzić. Nie będę z tobą więcej rozmawiać. Nie będę rozmawiać z Bruzemanem. Jeżeli chcesz się ze mną skontaktować, zrób to przez mojego adwokata.

Frank zbladł.

- Vivian, źle mnie zrozumiałaś! Nie odchodź. Hej, ja tylko...

- Żegnaj, Frank.

Vivian wyszła z restauracji.

Trzęsła się jeszcze, parkując leksusa przed ośrodkiem. Kam i Bill przyjechali parę sekund przed nią. Kam podbiegła do niej.

- Rany! Ale się uwinęłaś! Wszystko w porządku?

Vivian skinęła głową. Zbliżył się do nich Bill, niosąc magnetofon, nadal oklejony częściowo taśmą przyklepną. Umieścił go pod restauracyjnym stolikiem przed przyjściem Franka i odzyskał po jego wyjściu.

- Odsłuchaliśmy nagranie w samochodzie - powiedział. - Cholera! Vivian nie miała nic do powiedzenia.

- Dobrze się czujesz? - zapytała jeszcze raz Kam.

- Tak. Nie jechał za mną, prawda? - zapytała.

- Jada nam to powie. Będzie tu za kilka minut. Ale uważam, że najwyższy czas, żebyś zasięgnęła porady Michaela i umówiła się na spotkanie z prokuratorem. Co ty na to, Vivian?

## **Rozdział 56**

Od powrotu z Marblehead Kam czuła się o niebo lepiej. Kto z Marblehead Kam czuła się o by pomyślał, że jest w niej tyle złośliwości? Jadąc do pracy swoim gratem roześmiała się w głos. Nie mogła myśleć o tamtej scenie bez uśmiechu. Ale nie była to wyłącznie złość. Kam czuła po prostu, że niezależnie od tego, jak ułożą się sprawy Reida i Lisy, ona odzyskała szacunek dla samej siebie. Zdawała sobie również sprawę, że gdyby nie pomoc Jady i Vivian - a właściwie Jenetty i Katherine - nie zdołałaby tego dokonać.

Zachichotała szelmowsko. Ciekawe, czy Reid zdołał odzyskać swobodę ruchów, czy też Lisa zostawiła go przytwierdzonego do materaca. Bo jeżeli zostawiła, ciekawe, jak zmieścił się w spodnie. Kam przypomniała sobie żart o facecie z pięcioma penisami - jego spodnie przylegały jak rękawiczka. W przypadku Reida należałoby chyba powiedzieć, że jak prześcieradło!

Nie mogła odżałować, że nie zostawiła dla siebie jednej fotki lub dwóch. Żałowała również, że nie miała dość przytomności umysłu, żeby powiedzieć: „Och, Liso, tak mi przykro”. Trudno. Załatwiła to najlepiej, jak potrafiła i była głęboko usatysfakcjonowana. Wiedziała, że ona, Jada i Vivian do końca życia będą się miały z czego śmiać.

Czuła, że teraz może już zacząć nowe życie: weźmie stały etat w ośrodku, zacznie oszczędzać na nowy samochód, powie rodzicom o dziecku i przygotowuje

się na jego narodziny. Nie bała się samotnego rodzicielstwa. Czuła się silna, gotowa podolać wszystkiemu, co zgotuje jej życie.

Kiedy zbliżała się do ośrodka, uśmiech zniknął z jej twarzy. Jediną chmurką rzucającą cień na te ostatnie dni był obraz Franka rozmawiającego z Vivian.

Ponieważ nigdy jej nie widział, uznała, że może zaryzykować kilka spojrzeń. Nawet w lusterku puderniczki dostrzegła gniew i napięcie mężczyzny, które napełniły ją przerażeniem. Bez dwóch zdań był przystojny i seksowny. I bez wątpienia terroryzował Vivian. Modliła się, żeby Vivian nie wymiękła, zwłaszcza teraz, kiedy zdobyli obciążającą taśmę. Przyjaciółki pomogły jej. Teraz ona pomoże przyjaciółkom. Żeby tylko trzymały się planu!

Skoro mowa o planach, musi załatwić dzisiaj kilka spraw, a żadna z nich nie będzie należała do przyjemnych. Przede wszystkim musiała poinformować Michaela oraz radę ośrodka, że Jada nie wystąpi z apelacją. Po tych wszystkich zabiegach wokół sprawy Jackson kontra Jackson, Laura nie będzie zachwycona. Kam pragnęła całym sercem, żeby Jada trzymała się legalnej drogi postępowania, ale właśnie ona nie miała prawa na to nalegać. W końcu numer w Marblehead trudno było nazwać uczciwym. Niemniej martwiła się, że Jada posunie się za daleko i sprawa skończy się tragicznie - dla nich wszystkich.

Na dzisiaj zaplanowała jeszcze jedną nieprzyjemną rzecz: musiała poinformować Michaela o swoim stanie. Nie wiedziała, dlaczego odkłada to z dnia na dzień. Prawie ze sobą nie rozmawiali od czasu, gdy poprosił ją o spotkanie. Była zajęta, oczywiście, ale nie był to jedyny powód, dlaczego nie powiedziała mu o ciąży. Może bała się, że to zniechęci Michaela. Może bała się, że to go nie zniechęci. Jedno było pewne - musi powiedzieć mu prawdę.

Rano miała jedno spotkanie za drugim. Raz wpadła na Michaela na korytarzu, ale był z klientem, a ona biegła na spotkanie swojego. Wymienili tylko spojrzenia i rozeszli się bez słowa.

Wczesnym popołudniem odbyło się spotkanie zespołu i Kam uraczyła radę wiadomością o decyzji Jady. Wszyscy byli rozczarowani, a Michael zgłosił najwięcej zastrzeżeń.

- Co ona zamierza? - zapytał. - Pogodzić się z sytuacją? Udawać, że wszystko jest w porządku? Zapomnieć o swoich dzieciach?

- Nie wiem - skłamała Kam gładko. - Może zdecydowała się na prywatnego doradcę prawnego. Wiedziała, że nie wystawia tym sobie pochlebnego świadectwa, ale chciała już zakończyć tę część zebrania. Michael jednak nie zamierzał zrezygnować. Przedstawił trzy warianty postępowania, jakie można zaproponować pani Jackson. Z pewnością nie brakowało mu zaangażowania.

- Pozwólcie mi z nią porozmawiać - powiedział.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Ona już podjęła decyzję.

- Jest nam to winna - powiedział Michael.

W końcu jednak rada musiała zaakceptować decyzje, klientki. Kam przedstawiła list, który podyktowała Jadzie i sprawa została zamknięta. Kam podchwyciła spojrzenia Laury i matki, w których malowało się coś na kształt rozczarowania, ale wolała uznać, że jej się wydaje. Miała tylko nadzieję, że jej fiasko nie oznacza, że po powrocie Karen Levin-Thomas, Kam Lopez pozostanie bez parcy.

Z powrotem we własnym gabinecie, zabierała się właśnie za wypełnianie wniosku o zakaz zbliżania się, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Od razu wiedziała, że to Michael. Zaprosiła go do środka, próbując przygotować się duchowo na to, co nastąpi. Michael wydawał się skrępowany, kiedy tak stał w progu w swoim workowatym garniturze. Przesunął palcami o włosach, które od dawna nie widziały fryzjera.

- Kam, mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Jasne - odparła. - Załatwienie tych zakazów zbliżania się trwa równo tydzień. Minuta nie robi nikomu różnicy.

Michael nie usiadł. Stał oparty o ścianę, naprzeciwko jej biurka. Musiała zadrzeć głowę, żeby na niego spojrzeć. Zastanawiała się, czy to chwyt psychologiczny, mający wprawić ją w zakłopotanie, czy to Michael jest zażenowany.

- Posłuchaj, Kam, nie musisz mnie unikać. Naprawdę mi przykro. Nigdy dotąd nie mieszałem życia zawodowego z osobistym, ale to tylko dowodzi, jak bardzo cię lubię, jak bardzo lubię przebywać w twoim towarzystwie. Przykro mi, że nie chcesz się ze mną umówić. Może nie powinienem cię o to prosić. Mam nadzieję, że nie czujesz się molestowana, ani nic takiego?

Omam nie wybuchnęła śmiechem, ale powstrzymała ją obawa, że urazi tym Michaela. Tylko on mógł pomyśleć, że czuje się molestowana. Był taki opanowany, delikatny i dobry dla niej.

- Nie czuję się molestowana, Michaelu. Czuję się skomplementowana. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co we mnie widzisz.

Michael nie poruszył się i nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie umawiałem się z kobietami przez jakiś czas, Kam, ale z tego, co pamiętam z czasów, gdy chodziłem na randki, jest to delikatny sposób powiedzenia facetowi „nie”.

Kam zaprzeczyła ruchem głowy. Jak ma mu to powiedzieć? Boże, była mu to winna, musiała się zdobyć na wyznanie. Zresztą jej „sekret” przestanie być wkrótce sekretem i nie pomogą jej nawet luźne bluzki.

Jednak słowa więzły jej w gardle. Pomyślała, że gdyby sprawy miały się inaczej, mogłaby zakochać się w tym mężczyźnie. Oczywiście, było o wiele za wcześnie na to, by stwierdzić, czy to w ogóle możliwe, ale wiedziała jedno - nie pragnie już od życia tego, co kiedyś przedstawiało dla niej wartość. Wygląd, pozycja społeczna, pieniądze miał do ofiarowania Reid, ale okazały się tandetą. Michael Rice nie był przystojny, nie miał władzy i nie zarabiał

wiele więcej od niej, ale miał życzliwość, czułość i ciepło, jakich nigdy nie zaznała od Reida. Popatrzyła na jego puciołowatą twarz, połyskujące szkła okularów.

- Michael, po prostu uważam, że na razie nie powinniśmy się angażować. Nie wszystko o mnie wiesz.

- Ty również nie wszystko o mnie wiesz - powiedział spokojnie. Myślałem, że właśnie po to ludzie się umawiają - żeby się lepiej poznać. - Wzruszył ramionami. - Byłem głupi. - Odwrócił się w stronę drzwi. - Okay, Kam, zapomnij o tym. Przepraszam, że cię niepokoiłem.

Źle ją zrozumiał. Myślał, że tu chodzi o niego. Musiała mu udowodnić, że to nieprawda.

- Michaelu, jestem w ciąży! - wyrzuciła z siebie. Odwrócił się od drzwi. Twarz miał idealnie spokojną.

- Oczywiście, że jesteś.

- Wiesz? Skąd o tym wiesz?

- Kam, obserwuję cię od jakiegoś czasu. I byłem żonaty. Moja żona przebyła dwie ciąży.

- Wiesz? - powtórzyła Kam. - Wiesz i mimo to chcesz się ze mną umówić?

- Tak. Uważasz, że to dziwne?

- Trochę.

- Więc jestem dziwny. - Sięgnął do klamki i zamarł w połowie gestu. - Poczekaj! Myślałaś, że nie wiem... Dlatego nie chciałaś się ze mną umówić? - Jego twarz złagodniała. Z uśmiechem zbliżył się ponownie do biurka.

Kam czuła się jak idiotka.

- Nadal chcesz się umówić? - zapytała.

W odpowiedzi Michael pochylił się, położył dłonie na biurku i pocałował ją w usta.

## **Rozdział 57**

Vivian poszła zajrzeć do skrzynki pocztowej, którą wynajęła w Maiboxes, Etc. Nie dlatego, żeby oczekiwała odpowiedzi na swoje ogłoszenia, były z pewnością zbyt głupie, żeby wywołać odzew, ale skoro już nadała bieg sprawie, wypadało sprawdzić rezultat.

Malutkie drzewiczki przypomniały jej nagle o innej skrzynce, pełnej plugawych pieniędzy, które ufna Jada przechowywała pod własnym nazwiskiem. Vivian znów miała sny, niemal co noc śniła o rewizji, o policyjnej obławie. Ostatniej nocy śniło się jej, że jest w swoim starym łóżku, ale kiedy wpadła



policja, okazało się, że obok śpi Jada, nie Frank. Policjanci skuli Jadę i wywlekli ją z pokoju.

Vivian nie zdradziła nikomu zawartości skrzynki. Nawet Jada nie spytała, co właściwie przechowuje, prawdopodobieństwo, że dowie się o tym ktoś niepowołany było więc znikome. Mimo to Vivian musiała coś z tym zrobić, i to szybko. Nie mogła liczyć na to, że szczęście zawsze będzie jej dopisywało.

Jednak mimo lęków, złych snów, Vivian nie podjęła żadnych kroków. „Cała ja”, pomyślała z obrzydzeniem. Kiedy nie było nikogo, kto by jej powiedział, co ma zrobić, istniała stuprocentowa gwarancja, że nie robi nic. Ale Vivian czuła, że w tej sytuacji taka bezczynność może mieć oplakane skutki. Nie chodziło tylko o nią i Franka, ale o przyszłość dzieci, o Jadę, a może nawet o Kam.

Mocowała się z drzwiczkami skrzynki i w końcu udało się jej przekręcić klucz. Ku swej radości w środku odkryła gruby plik kopert. Zaczęła je wyjmować, ale okazało się, że są tak ściśle upchane, że musi wydobywać je pojedynczo. Wszystkie były odpowiedziami na ogłoszenia, które sama zredagowała. Wpatrywała się w plik korespondencji, prawie nie dowierzając swemu szczęściu. Potem zaczęła pospiesznie rozrywać koperty, drżącymi palcami dzieląc listy na kategorie. Były to odpowiedzi ludzi poszukujących pracy, ludzi, którzy chcieli pracować u niej ! Kilka odpadło z miejsca, ale większość pochodziła od normalnych, inteligentnych ludzi. Po odrzuceniu jednego listu od wariata, jednego od zbrojeńca seksualnego i kilku bez numeru telefonu i adresu zwrotnego, pozostało jej szesnaście zgłoszeń.

Niewspółmiernie bardziej zaskoczył ją fakt, że pięć osób zgłosiło chęć skorzystania z jej usług, a przynajmniej chciało zasięgnąć bliższych informacji o jej firmie.

Te listy stanowiły dla Vivian początek zupełnie nowego życia. Czy to naprawdę ona wywołała taki odzew? Przy pierwszym podejściu? Za pomocą dwóch ogłoszeń.

Nawet jeżeli ci ludzie nigdy już się z nią nie skontaktują odniosła zwycięstwo.

Najbardziej zdumiewające było to, że dokonała tego zupełnie samodzielnie. Nadal będzie sprzątać, ale nie była już Kopciuchem i nie potrzebowała księcia.

Wpatrywała się w listy aż do znudzenia. Otwierały przed nią nowe życie - czyste, w obu znaczeniach tego słowa. Nie była już uzależniona od nikogo. Sama była w stanie zapewnić utrzymanie sobie i dzieciom.

Zareklamowała swoje usługi w północnym Westchester, ale postanowiła, że jeżeli przedsięwzięcie się powiedzie, przeniesie się jeszcze dalej od terenu działania swojego męża. Zaświtała jej nadzieja. Nie oczekiwała przecież wiele - chciała tylko pracować i zapewnić utrzymanie swoim dzieciom. Niczego więcej nie pragnęła. W tej chwili nie interesowało jej nic prócz samowystarczalności i spokoju. Koniec z gonieniem za marzeniami. Chciała po prostu zdobyć środki, które pozwolą jej radzić sobie z przeciwnościami losu. Te listy - bezcenne listy - upewniły ją że jest to możliwe.

Była nieświadoma upływu czasu. Nie wiedziała, jak długo stoi przy stoliku, ale spojrzawszy na zegarek zrozumiała, że spóźni się na spotkanie z Mi-chaelem Rice'em. Wcisnęła listy do torebki, wsiadła do samochodu i pojechała do biura prokuratora okręgowego.

W miarę jak zbliżała się do celu, uczucie lekkości zniknęło, wypierane przez straszny lęk. W piersiach czuła ucisk jakby wtłoczono ją w gorset. Nie chciała udać się na spotkanie z prokuratorem okręgowym Douglasem. Był człowiekiem, który zniszczył jej życie, przeraził ją i dzieci, na zawsze zburzył ich poczucie bezpieczeństwa. Teraz, kiedy poznała prawdę, nie mogła potępiać stanowiska Douglasa wobec Franka Russo, ale nadal nie chciała znać jego stanowiska wobec Vivian Russo. Bez wątpienia było wrogie. Ale musiała się dowiedzieć, czy ma prawo się wyprowadzić, zostawić Franka i wyjechać, nie niepokoiona. Michael już czekał i sądząc z wyrazu jego twarzy nie był zachwycony jej spóźnieniem.

- Chodźmy - powiedział bez wstępów. - Douglas wcisnął nas w swój terminarz i nie chcę, żebyśmy z niego wypadli.

Vivian przytaknęła potulnie i weszła za swoim adwokatem do holu, a następnie wjechała z nim windą na czwarte piętro. George Douglas był wysokim mężczyzną, potężnie zbudowanym, ale nie grubym. Mocno przeredzone płowo-rude włosy odsłaniały duże połacie nagiej, upstrzonej piegami czaszki. Wyszedł z gabinetu w chwili, gdy sekretarka ich zaanonsowała.

- Rice - powiedział, skinąwszy krótko głową na powitanie. - Pani Russo, jak przypuszczam?

Vivian nie była w stanie dobyć głosu. Prokurator okręgowy Douglas żywo przypominał jej zmarłego przed dwudziestoma laty ojca. Nawet gdyby nie bała się wchodząc, ten widok przeraziłby ją z pewnością. Takie już jej szczęście. Gdzie jest napisane, że mężczyzna, którego już się bała, musi przypominać innego mężczyznę, przed którym odczuwała strach? Przez chwilę miała wrażenie, że się załamała, zrobi w tył zwrot i ucieknie. Opanowała się z trudem i weszła w drzwi, które przed nią otworzono. Łysa czaszka Douglasa połyskiwała między wypomadowanymi, starannie ułożonymi pasmami przyklejonymi do głowy. Wypisz, wymaluj ojciec.

- Zastępca prokuratora Ben Michaelson i Stephen Katz. - Douglas przedstawił obecnych. - Michael Rice. I jego klientka, pani Russo. - Usiadł ciężko na sfatygowanym obrotowym krześle, odchylił się na oparcie i złożył ręce na brzuchu. - A więc? Co masz do zaproponowania, Rice?

- Nie przyszliśmy tu, żeby składać propozycje - odparł Michael. - Jak wspomniałem przez telefon, ma to być otwarta dyskusja. Wszyscy chcemy, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Tak, tak - powiedział Douglas. Vivian uniosła na chwilę głowę i rzuciła prokuratorowi ukradkowe spojrzenie. - Jeżeli chcecie przysłużyć się

sprawiedliwości, powiem wam, co możecie zrobić. Możecie podłączyć mikrofony do pani Russo, żeby wydobyla ze swojego męża przyznanie do winy. Albo jeszcze lepiej, możecie nam powiedzieć, gdzie jest jego łup i dla kogo pracuje. Wiemy już z kim pracuje i nie interesują nas nazwiska płotek.

Vivian miała wrażenie, że umiera. Ci ludzie byli tacy twardzi, tacy skorzy dysponować nią, jej mężem, życiem jej dzieci. Najbardziej upokarzające wydało się jej to, że wiedzieli o winie Franka na długo przed nią. Łzy napłynęły jej do oczu i znów spuściła głowę.

- Pani Russo ma dwoje dzieci w wieku szkolnym - przemówił Michael. - Jest niewinna, absolutnie nieświadoma przestępczej działalności męża. Chciałbym również przypomnieć, że chociaż Frank Russo został oskarżony, nadal nie macie dowodów, a śledztwo jest prowadzone na podstawie zeznania niewiarygodnego świadka.

- Hej, Michael! - powiedział Douglas. - Czyja się myślę, czy przyszedłeś tu dobić targu?

- Nie przyszedliśmy dobić targu. Chcemy tylko poinformować, że pani Russo planuje opuścić stan i wnieść o rozwód.

- Doprawdy? Bardzo interesujące. I mam uwierzyć, że jest to zbieg okoliczności nie mający nic wspólnego z poczynaniami Franka Russo?

- George, nie jesteśmy w sądzie, a pani Russo nie musi wprowadzać cię w swoje życie osobiste, tym bardziej powoływać się na Piątą Poprawkę. Chcemy tylko usłyszeć, że może wyjechać - powiedział Michael Rice. - Że nie zostanie postawiona w stan oskarżenia.

- Jeszcze nie, ale nie wolno jej opuścić stanu - oznajmił Douglas. - Jeżeli natomiast pani Russo zechce dostarczyć nam dowodów w zamian za gwarancję, że nie zostanie oskarżona, moglibyśmy - powtarzam: moglibyśmy - się dogadać.

Vivian ogarnęła paniką, ale resztkami sił starała się nie pokazać po sobie strachu.

- Mam taką zasadę - dokończył prokurator - puszczam płotki wolno, jeżeli naprowadzą mnie na ślad grubej ryby.

Po raz pierwszy odkąd weszli do gabinetu, zwrócił się bezpośrednio do Vivian.

- Wie pani coś, co może okazać się użyteczne? Może mi pani powiedzieć z kim kontaktował się telefonicznie? Kogo sprowadzał do domu? Skąd przychodziły transporty? Kto jeszcze z rodziny może być w to zamieszany? Kogo mąż zna w Kolumbii? Jak często jeździliście na wakacje do Meksyku, do Caracas? Będzie mi musiała pani wszystko powiedzieć, pani Russo.

Spojrzała na tego przerażającego człowieka. Mogła mu powiedzieć prawdę.

- Gdybym wiedziała, czym zajmuje się mój mąż, od dawna nie nazywałabym się Russo - powiedziała. - Od pana chcę się tylko dowiedzieć, czy

jestem podejrzana o współudział, i czy mogę wywieźć dzieci z tego stanu. Martwię się o nie i... - zaczerpnęła głęboko powietrza - nie mam żadnego dowodu, że Frank jest winny, ale obawiam się, że może być i dlatego jestem przerażona i chcę wyjechać.

- Obawia się pani, że on może być winny? - zapytał Douglas z fałszywą troską. - Obawia się pani, że może być winny? - powtórzył. - Coś pani powiem. Doskonale pani wie, jaki proceder uprawiał mąż. Jest pani absolutnie o rym przekonana, albo jest pani najbardziej nielojalną żoną, na jaką udało mi się trafić w ostatnich latach. Chce mi pani wmówić, że porzuca sukinsyna, ponieważ wszedł w kolizję z prawem i nawet pani nie wie, czy jest winny? Tylko się pani tego obawia? Jak się nazywa kobieta, która tak postępuje, pani Russo?

- Nie podoba mi się ten ton, Douglas - powiedział Michael ostro. - Nie podoba mi się sposób, w jaki zwracasz się do pani Russo. Przyszliśmy tu w dobrej wierze. Douglas spojrział na Vivian, która nie odwróciła wzroku.

- Wie pani co? Nie sądzę, żeby była pani suką, ale uważam, że jest pani kłamczucha. Nie obawia się pani, że on jest winny. Pani o tym wie. Wie pani bardzo dużo, tyle że zapragnęła pani uciec gdzie pieprz rośnie, byle dalej od ojca swoich dzieci. Pomogę w tym pani, o ile pani pomoże mnie. Jeżeli faktycznie przyszła ta pani w dobrej wierze, coś mi pani powie.

- Pani Russo nie ma ci nic do powiedzenia - oznajmił Rice. - Jest niewinna i jest terroryzowana zarówno przez męża, jak i policję. Odpuść sobie, George. Potraktowano ją brutalnie, a dzieci stały się pariasami w szkole.

Douglas odjął dłonie od brzucha i założył je za głowę.

- Serdecznie im współczuję. - Zabrzmiało to nawet szczerze. - Ale nie potrafię współczuć tym wszystkim kobietom, które latami udają, że nie wiedzą, co się wokół nich dzieje. Które nie chcą wiedzieć, czym właściwie zajmują się ich mężowie, bo gdyby się dowiedziały, ich świat zadrżałby w posadach, a dochody spadły. Mieszka pani na ładnej ulicy, pani Russo. Jeździ pani ładnym samochodem. Sprawdziłem. Zajrzeliśmy również w wasze zeznanie podatkowe. Pani mąż nieźle zarabiał. On nie jest głupi, mogę to pani zagwarantować. I to samo da się powiedzieć o pani. Nie chce mi się już wysłuchiwać kobiet, mówiących.. - tu podniósł głos do nieprzyjemnego falsetu - „Nie wiedziałam, że sprzedaje prochy”, „Nie wiedziałam o trzydziestu liniach telefonicznych, ani o tym, że przyjmuje więcej zakładów niż totalizator sportowy”. One wiedzą, chociaż udają same przed sobą. - Douglas wzruszył ramionami. - Co dla mnie masz, Michael?

- Mam niewinną kobietę, która chce uzyskać zapewnienie, że nie będzie prześladowana i zwraca się o pomoc do urzędników państwowych pobierających pensje za to, że jej służą.

Douglas wstał.

- Pani Russo, jeżeli faktycznie jest pani niewinna i powiedziała mi prawdę, z przykrością zawiadamiam, że pani i dzieci będziecie niewinnymi ofiarami nagonki. Będziemy szukali dowodów do chwili rozpoczęcia procesu i będziemy w tych poszukiwaniach bezwzględni. Nie wolno pani opuścić stanu. Nie ma pani żadnej gwarancji, że nie będziemy pani przesłuchiwać pod zarzutem współdziałania z Frankiem Russo. Zrobimy absolutnie wszystko, by go przygwoździć. Może się pani spodziewać wezwania do sądu jako świadek. Ma pani prosty wybór: współpracować z nami albo przejść przez piekło wraz z mężem.

## **Rozdział 58**

Jada wróciła z „Price Choppera” trochę później niż zwykle. Nadarzyła się okazja wzięcia nadgodzin i skorzystała z niej skwapliwie, chociaż dziewięć dolarów ekstra nie robiło wielkiej różnicy w jej budżecie.

W mieszkaniu panowała cisza. Musiała opracować plan. Usiadła przy stole w aneksie jadalnym, żeby przejrzeć pocztę, którą przy ostatnim spotkaniu wręczył jej Clinton.

Po raz pierwszy od czterech lat zalegała z płatnościami. Otwierała rachunki opatrzone brzydkim czerwonym stemplem „przeterminowane”. Musiała zapłacić za telefon, prąd, musiała również uregulować ratę hipoteczną, ale z czego? Jej pierwsza wypłata w „Price Chopperze” była śmiesznie niska - nie wystarczyłaby nawet na pokrycie rachunku telefonicznego, ponieważ Tonią wydzwaniała do White Plains jak najęta.

Jada podliczyła niezbędne wydatki i sięgnęła po książeczkę czekową. Nadal miała konto w County Wide Bank, chociaż zauważyła, że odkąd przestała być pracownicą bank podniósł prowizję za czeki i opłaty miesięczne. Przed katastrofą w erze prehistorycznej, miała na tym koncie kilka tysięcy dolarów. Nie pozostało po nich śladu i Jada gonila resztkami, a nie przystąpiła nawet do spłacania alimentów i nie łożyła na utrzymanie dzieci. W odpowiedzi na rachunek Creskina, wysłała mu czek na pięćdziesiąt dolarów i zapewnienie, że spłaci wszystko, co do centa, choćby miało jej to zająć dziesięć lat. Jak było do przewidzenia, nie zamierzał zadowolnić się spłatą ratalną i wystąpił o zajęcie ich domu, a raczej domu Clintona. Z początku wydało się jej to zabawne, ale kiedy otworzyła ostatnią kopertę zrozumiała, że nie ma się z czego śmiać.

Przed nią leżał list z sądu okręgowego Westchester wyjaśniający, że stawia się jej zarzut nieprzestrzegania postanowień sądu, ponieważ zalega

z uregulowaniem opłat sądowych. Wpatrywała się tępo w list. Co jeszcze mogła zrobić? Była pracującą matką, harowała na dwie zmiany, a jej wynagrodzenie było trochę wyższe od minimalnego. Zabrano jej dzieci i opłacała kochankę męża, żeby się nimi opiekowała. A mimo to oskarża się ją o nieprzestrzeganie postanowień sądu? Zmiała z wściekłością list i cisnęła w przeciwległy kąt pokoju. W tym momencie weszła Vivian i nieszkodliwa kulka trafiła ją w głowę. -Co to jest? - Załatwili mnie na cacy - powiedziała Jada. - Myślę, że nadaję się na okładkę „Time'a”, a może nawet „Newsweeka” jako ofiara sądownictwa.

Vivian podniosła papier, rozprostowała i zaczęła czytać. Potrząsnęła głową. - Załatwili cię, fakt - przyznała, spoglądając ze współczuciem na przyjaciółkę. - Nie możesz więcej pracować. Jesteś na ostatnich nogach. Wczoraj wieczorem zasnął z ustami pełnymi jedzenia. Nie był to ładny widok. Ten system jest diabła warty. - Oddała zgnieciony list Jadzie. - Może Kam i Michael będą ci mogli pomóc. -Nie. Już im powiedziałam, że nie wnoszę apelacji. Nie można liczyć na wymiar sprawiedliwości. - Popatrzyła na zegarek. - Chodź, jeżeli mam zwyciężyć system, potrzebuję teraz twojej pomocy.

Założyły pospiesznie żakiety, chwyciły torebki i skierowały się do wyjścia.

- Chodź Pookie! - zawołała Vivian. Pies w jednej chwili znalazł się przy drzwiach.

-Nie, proszę! - jęknęła Jada. - Musimy ciągnąć ze sobą tego cholernego psa? Nie wiem, jak Kam z nim wytrzyma. Nie możemy uwolnić się na chwilę od tego kundla?

- Daj spokój! Nie lubisz Pookiego? - Vivian wydawała się naprawdę urażona.

- Jakoś nie bardzo - wyjąkała Jada. - Przyznaję, że mieszka się z nim przyjemniej niż z Clintonem, ale i tak ciężko wytrzymać.

Vivian była zdruzgotana.

- Nie wiedziałem, że naprawdę tak czujesz - powiedziała. - Tak mi przykro! Myślisz, że Kam też go nienawidzi?

- Vivian, przepraszam cię! - kajała się Jada. - Jestem po prostu zdenerwowana. Nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Pookie mi nie przeszkadza, naprawdę. W samochodzie jest nieszkodliwy. Psy nie przeszkadzają w prowadzeniu, jak niektórzy mężczyźni.

Zapakowały się wraz z psem do leksusa Vivian i pojechały do szkoły, z o wiele większą prędkością niż zwykle. Jada wygrzebała stoper z wielkiej czarnej torby.

- Rany! - zawołała Vivian z podziwem. - Skąd to masz?

- Ukradłam jednemu z tych ekspertów od efektywności, kiedy robili badania w banku - przyznała Jada.

- Żartujesz!

- Zrobiłam to z czystej złośliwości. Nie wiedziałam, że będzie mi potrzebny do popełnienia przestępstwa.

Dotarły do szkoły w chwili, gdy autobus ruszał.

- Niech to! - powiedziała Jada. - Jutro musimy przyjechać wcześniej, kiedy dzieciaki będą wsiadały. Muszę wypatrzeć najlepszą sposobność.

- Nie możesz tego zrobić przed szkołą. Na oczach wszystkich - zaproponowała Vivian.

- Nie byłoby prościej, gdybym to ja odebrała dzieci?

- Jeżeli koniecznie chcesz pójść do więzienia za porwanie.

- Nie jest to moim marzeniem - przyznała Vivian. - Ale zrobię dla ciebie wszystko, Jado.

- Wiem. Ale nie mogę cię prosić, żebyś naraziła się na odsiadkę. - Jada sporządzała notatki, zapisując każdy przystanek i czas postoju autobusu. - Czy to dzieciaki Brewsterów? Znam panią Brewster. Może dzieci mogłyby wysiąść tutaj... - zastanawiała się Jada.

Snuły się za autobusem, w sznurze innych samochodów, ponieważ wyprzedzanie autobusu szkolnego było niezgodne z kodeksem ruchu drogowego.

- Problem w tym - mówiła Jada - że jeżeli uprowadzę je podczas odwiedzin, panna Patel natychmiast o tym zamelduje i niedaleko zajadę. A jeżeli wezmę je z autobusu szkolnego, nie mam Sherrilee. Nie mogę po prostu wpaść do domu i porwać dziecko. - Mimo to Vivian nadal jechała za autobusem, a Jada robiła notatki.

- Boże! - zawołała. - Muszę się pomodlić. - I jakby w odpowiedzi na ten okrzyk rozpaczy, zaświtał jej wspaniały pomysł. - Kościół!

- Chcesz do kościoła? Teraz?

- Nie. Mówię, że mogę to zrobić z kościoła. Zabrać je do kościoła i uprowadzić stamtąd.

Oczy Vivian rozbłyły.

- A jednak Bóg istnieje! - powiedziała.

Wieczorem Jada zadzwoniła do Samuela Dumfriesa. Kontaktowała się z nim dwukrotnie od spotkania w Bostonie, ale nie mogła przekazać mu dobrych wiadomości. Teraz, zacinając się z przejęciem, powiedziała mu o swoim planie wywiezienia dzieci.

- Ale będę potrzebowała pomocy - przyznała. - Nie mogę prosić przyjaciółki. To zbyt niebezpieczne. Może moi rodzice...

- Głupi pomysł! - powiedział adwokat. - Są za starzy i to zbyt ryzykowne. Ja pani pomogę.

- Pan? Panie Dumfries, nie jestem pewna, czy będę mogła zwrócić panu poniesione koszty, nie mówiąc o honorarium.

- Nie robią tego dla pieniędzy - powiedział. - Jestem pewny, że mogę pani pomóc w wywiezieniu dzieci na Barbados. Problem w tym, że pani mąż właśnie tam zacznie ich szukać. Barbados jest wyborem dość problematycznym.

- Panie Dumfries, nie może być bardziej problematyczny niż mój dalszy pobyt tutaj. Jestem absolutnie zdecydowana to zrobić i z góry dziękuję za pomoc.

- Wobec tego muszę prosić panią o wyświadczenie przysługi - powiedział.

- Oczywiście, zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Nie wyobrażała sobie, co mogłaby dla niego zrobić.

- Czy zechciałyby pani mówić mi po imieniu?

- Z przyjemnością, Samuelu.

Vivian mierzła myśl o działaniu za plecami Jady, ale nie wiedziała, jak inaczej mogłaby jej pomóc. Oczekała, aż Jada skończy rozmowę telefoniczną- mieszkanie było tak małe i przeludnione, że o prywatności nie mogło być mowy - i podeszła do aparatu. Jada rozmawiała ze znajomym adwokatem z sypialni Kam. Vivian weszła do pokoju, usiadła przy telefonie i wcisnęła guzik „redial”. Zawahała się, kiedy usłyszała w słuchawce oficjalny głos sekretarki. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć nazwiska dalekiego krewnego, o którym opowiadała Jada. Potem przypomniała sobie przynajmniej jego imię.

- Z Samem, proszę - powiedziała i po chwili ciszy uzyskała połączenie.

- Samuel Dumfries przy telefonie - odezwał się energiczny głos mówiący z brytyjskim akcentem.

Czy postępuje słusznie? Zastanowiła się jeszcze raz.

- Halo - zaczęła niepewnie... - Czy... Czy pan jest krewnym Jady Jackson?

- A w jakiej sprawie pani dzwoni?

- Jestem najlepszą przyjaciółką Jady. Nazywam się Vivian Russo. Znam sposób, żeby jej pomóc, ale muszę zasięgnąć porady.

- Dlaczego nie porozmawia pani o tym bezpośrednio z panią Jackson? -zapytał Samuel.

- To dość skomplikowane. Chodzi o pieniądze. Czy duża suma pomogłaby Jadzie na Barbados?

- Pieniądze są zawsze przydatne - powiedział pan Dumfries. - Duża suma pozwoliłaby pani Jackson obrać inny cel podróży, co mogłoby się okazać zbawienne w skutkach. Czy mogłaby pani powiedzieć mi coś bliższego?

Vivian uczyniła zadość jego życzeniu.



## Rozdział 59

Zdecydowały się pojechać volvo. Przedsięwzięcie było ryzykowne, ale nie bardziej niż wszystko, co ostatnio robiły. Lexus zbyt rzucał się w oczy, a Vivian uznała, że lepiej się nie afiszować. Nie miała pojęcia, czy ktoś z biura Bruzemana, prokuratora czy policja za nianie jeździ. Nie wiedziała również, do jakiego stopnia, i czy w ogóle, naraża Jadę. Ale powiedziała sobie, że jest to ryzyko nieuniknione. Osunęła się nisko na siedzeniu i miała nadzieję, że nikt nie zauważy starego volvo zajeżdżającego na parking przed First Westchester Bank. Próbowwała nie myśleć o swoim strachu, oglądać krajobrazy, wsłuchiwać się w szum silników.

- Czy nie terkocze ci coś w silniku? - zapytała. Tylko tego brakowało, żeby samochód rozkraczył się, kiedy będą wracały z łupem.

Jada nasłuchiwała przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że gaźnik jest na wykończeniu - westchnęła. - Wszystko, co ma jaja albo koła prędzej czy później przyczyni kobiecie kłopotów - stwierdziła i zjechała na parking przed bankiem. Nie zadała Vivian ani jednego pytania o cel tej wyprawy i Vivian była jej głęboko wdzięczna za zaufanie. Ciągle nie mogła się nadziwić, że jej najlepsza przyjaciółka jest czarna. Jada nazwała ich siostrami-przyjaciółkami. Bardzo trafnie. Vivian przypominała sobie swoich szkolnych przyjaciół-bigotów, złośliwych i nieżyczliwych ludzi. Idioci, którzy nie zasługiwali nawet na to, by znać kogoś takiego jak Jada.

Vivian była taka zadowolona, taka dumna z tego, że wychowała dzieci inaczej, że sama przejrzała na oczy. Popatrzyła na swoją przyjaciółkę z miłością.

Na myśl, że pieniądze Franka przyniosą im wolność, a zarazem rozdziela na zawsze, ogarnął ją smutek. Ale zdobycie pieniędzy było koniecznością. Vivian miała tylko nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i nie spotkają ich żadne niemiłe niespodzianki. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby ściągnęła nieszczęście na głowę Jady.

- Hej, nie wiem, czy zauważyłaś, ale jesteśmy na miejscu - powiedziała Jada, wrywając Vivian z zamyślenia. - Co dalej?

- Pójdiesz do banku i zlikwidujesz skrzynkę - poinstruowała Vivian. - Wyjęła ze schowka czarną torbę na suwak i wręczyła Jadzie. - Całą zawartość zapakujesz do torby i przyniesiesz tutaj.

Jada skinęła głową, szykując się do wyjścia. Ale Vivian ujęła jajeszcznie za rękę. Wydała się Jadzie zimna jak lód.

- Jado, nie sądzę, żeby to było niebezpieczne, ale kłamałabym mówiąc, że ryzyko w ogóle nie istnieje.

- To nie są narkotyki, prawda? Już ci mówiłam, że z tym nie chcę mieć nic do czynienia. Ciebie też o to nie podejrzewam. Zapewniłaś mnie, że paczka nie zawiera prochów i ja ci wierzę.

- Chodzi o to, że Frank może mnie śledzić, może to robić któryś z jego ludzi, albo jeszcze gorzej. - Jada wiedziała, że przyjaciółka ma na myśli policję.

- Vivian, pomagasz mi odzyskać dzieci. Nie wiem, co jest w tej paczce i nie chcę wiedzieć. Dzięki tobie mam szansę odzyskać dzieci. Gdybyś nie zaofiarowała mi pomocy, Kam nie zgodziłaby się... A ja... Ja chyba nie miałabym odwagi przeprowadzić tego sama. - Jada ścisnęła Vivian za rękę. -Rozumiesz mnie? Vivian skinęła głową i Jada się uśmiechnęła.

- No dobrze. Wchodzę, wyjmuję wszystko ze skrzynki, zamykam ją i wracam. Vivian serce łomotało w piersi, w gardle urosła gęstwa, która nie pozwalała przełknąć śliny. Nerwowo zerkała we wsteczne lustro, sprawdzając, czy ktoś ich nie śledzi. A jeżeli Jada zostanie aresztowana pod zarzutem współudziału w przestępstwach Franka? A jeżeli obie zostaną aresztowane? W końcu to ona wysłała Jadę do banku. Obie stracą bezpowrotnie dzieci.

Może powinna odwołać wszystko, zrezygnować. Może powinna pozostawić te przekłute pieniądze tam, gdzie są poza zasięgiem Franka. Tak byłoby najlepiej: powiedzieć Jadzie, żeby wrzuciła wsteczny bieg. Przez chwilę siedziała nieruchomo, rozważając wszystkie za i przeciw. Nie mogła zostawić tych pieniędzy tam, gdzie były, ułożone w schludne stosiki w bankowym sejfie. Były jej potrzebne, żeby pójść na ugodę z biurem prokuratora. Są splugawione, ale przynajmniej będzie z nich jakiś pożytek.

Ponownie zerknęła we wsteczne lustro. Zdawało się jej, że biały Chevrolet na drugim końcu parkingu stoi już zbyt długo. Za kierownicą siedział mężczyzna. Chevrolet cavalier. Frank wspominał jej kiedyś, że właśnie takimi wozami jeżdżą najczęściej tajniacy w Westchester. Starsza pani z fatalną trwałą podeszła do chevroleta, otworzyła drzwi i zajęła miejsce pasażera. Vivian odetchnęła głęboko. Zaczynała widocznie cierpieć na manię prześladowczą.

- Vivian, dobrze się czujesz? - zapytała Jada.

Vivian nie mogła dobrać głosu, skinęła tylko głową. Jeżeli coś się stanie, jeżeli człowiek Franka wyrwie Jadzie pieniądze, pieniądze przepadną, a ona straci szansę ucieczki z Westchester. Żeby tylko Jadzie się nic nie stało. Bo jeżeli napatoczą się ludzie prokuratora, powie im po prostu prawdę: że wyjmuję pieniądze, żeby je oddać Douglasowi.

- Zrób to szybko, Jado - wykrztusiła w końcu. - Nie likwiduj skrzynki, wiesz jak długo marudziła z tym Anna. Wyjmij tylko paczkę, schowaj do torby i wracaj do samochodu. Dobrze?

- Dobrze. Na pewno nic ci nie jest?

- Tak, tak. Trochę mi tylko słabo.

- Trzymaj się, zaraz wracam - powiedziała Jada pogodnie, otworzyła drzwi i wysiadła. Vivian patrzyła, jak idzie chodnikiem, nie odrywając oczu

od nóg przyjaciółki, jakby chciała ją ponaglić wzrokiem. Spojrzała na zegarek. Siedem po dziesiątej Jada zniknęła w drzwiach banku. Jak długo może jej to zająć? Dziesięć minut? Piętnaście? Vivian rozpoczęła czekanie.

Dwie minuty później od strony Post Road wtoczył się na parking wóz policyjny i zajechał przed drzwiami banku. Vivian wpadła w panikę - nie wiedziała, co robić. Myśli wirowały jej w głowie. Nie było sensu biec na ratunek Jadzie, ponieważ jej pojawienie się tylko przyspieszy katastrofę. Co nie znaczy, że tutaj jej nie znajdą. Przypomniała sobie chłodny dotyk kajdanków. Potarła odruchowo przeguby i drżąc ze strachu, zsunęła się jeszcze niżej na siedzeniu.

Gliniarz za kierownicą pozostał na swoim miejscu, jego partner wysiadł z wozu i stanął na chodniku przed drzwiami banku. Skierował się na lewo, minął pralnię chemiczną i wszedł do delikatesów. Vivian nie dowierzała swojemu szczęściu, kiedy dwie minuty później wyszedł, niosąc dwa styropianowe kubki i łakomie pochłaniając paczkę. Ze swojego miejsca w volvo widziała okruchy ciasta na klapach munduru. Wsiadł do radiowozu i Vivian ujrzała, osłabła z ulgi, jak samochód wyjeżdża z parkingu.

Po kilku minutach mogła już swobodnie oddychać, ruszać się, a nawet myśleć. Spojrzała na zegarek. Dochodziło piętnaście po dziesiątej. Jada powinna już otwierać skrzynkę. O ile oczywiście, nie zatrzymano jej w banku. Vivian stwierdziła, że uderza stopą o podłogę i opanowała się z trudem. Ogarnęła wzrokiem parking. Przecież gdyby w banku ktoś czekał na Jadę, przyszliby również po nią, Vivian. Spojrzała na zegarek. Osiemnaście po dziesiątej. Jada była w banku od jedenastu minut. Jedenaście minut to wcale nie tak długo. Znowu zaczęła bębnić stopą w podłogę, ale tym razem nawet nie próbowała się opanować. Mogła tylko czekać i bębnić.

Doczekała do dziesiątej trzydzieści i uznała, że dłużej nie wytrzyma. Nigdy sobie nie wybaczy, jeżeli wplątała Jadę w aferę z narkotykami. A Jada nigdy nie wybaczy jej. Chyba już czas sprawdzić, co się dzieje. Ale kiedy położyła dłoń na klamce, przyszła refleksja. Przecież to jej szukają, nie Jady. Mimo chłodu, jej dłoń pozostawiła wilgotny ślad na klamce. Pójdzie do banku i co? Nic dobrego z tego nie wyniknie. Jeżeli ktoś tam na nią czeka, zostanie natychmiast zauważona i wpakuje Jadę w kłopoty. Z drugiej strony, gdyby złapali Jadę, byłiby już na parkingu i szukali jej samochodu.

Vivian, która nie paliła od jedenastej klasy, zamarzyła o papierosie. Przez chwilę rozważała nawet, czy nie pójść do delikatesów i nie kupić paczki marlboro. Ale ostatecznie spojrzała tylko na zegarek: prawie pół godziny. Jada była w banku od dwudziestu siedmiu minut. Vivian trzęsła się z zimna, ale nie włączyła ogrzewania, chociaż Jada zostawiła kluczyki w stacyjce. Po prostu nie mogła się poruszyć. Jeżeli Jada nie wyjdzie z tego banku, w jutrzejszych gazetach ukażą się nagłówki: ŻONA NARKOTYKOWEGO

## BARONA ZNALEZIONA MARTWA W ZAGRANICZNYM SAMOCHODZIE, Z ODPADNIĘTĄ STOPĄ.

Chociaż umierała z zimna, stróżki lepkiego potu spływały jej po ciele. Jeżeli doczeka końca dnia w dobrym zdrowiu, sweter wyląduje w koszu na śmieci.

Z banku wyszła kobieta, prowadząc za rączkę małą dziewczynkę. Były to pierwsze osoby od pół godziny, które wyszły z budynku. Może miał miejsce napad i klienci są przetrzymywani jako zakładnicy. Ale wobec tego, dlaczego wyszła kobieta z dzieckiem? „Vivian” - powiedziała głośno - „zaczynasz gonić w piętę”.

Drzwi otworzyły się ponownie i Vivian wstrzymała oddech. Ale była to tylko starsza kobieta, która zeszła ze schodów małymi kroczkami, kurczowo trzymając się poręczy i wypatrując połaci lodu.

Za sześć jedenastą drzwi otworzyły się ponownie i ukazała się Jada. Szła, machając nonszalancko ciężką z pozoru torbą. Podeszła do volvo, otworzyła drzwi i wsunęła do środka głowę.

- Misja zakończona powodzeniem - zameldowała radośnie. Położyła czarną torbę na kolanach Vivian i usiadła za kierownicą. Przekręciła kluczyk w stacyjce, kiedy Vivian zaszlochała głośno i przejmująco.

### **Rozdział 60**

Vivian wysprzątała mieszkanie Kam na wysoki połysk. Powrót Kopciuszka! Jada przyniosła kwiaty z „Price Choppera” - dwa mieszane bukiety gerberów, goździków, gladioli i liści. Sprawiały pogodne wrażenie. Kam wyjęła pieczeń z piekarnika, wymieszała sałatę i dodała dressing. Nie mogła jeść, więc nakryła stół tylko dla dwóch osób. Jej mdłości minęły, ale dla odmiany była teraz cały czas głodna i swoją porcję już zjadła.

W mieszkaniu panowała niezwykajna cisza. Jej współlokatorki wyszły wcześniej: Jada na mszę, Vivian z dziećmi do kina. Kam miała dość czasu i prywatności, żeby przeprowadzić plan, chociaż zaczęła powątpiewać, czy to szczęśliwy pomysł. Rozległo się pukanie do drzwi. Było wcześniej - matka zwykle się spóźniała, a ojciec był fanatykiem przychodzenia punktualnie o czasie. Zdziwiona otworzyła drzwi i ujrzała w progu Michaela. W ręku trzymał niedzielne gazety i wielką torbę z piekarni.

- Przywiodły mnie tutaj wspaniałe zapachy - powiedział. - Czyżby ktoś raczył się pustymi węglowodanami?

Ubrany był w czerwony sweter i jedną z tych watowanych kamizelek bez rękawów, których racji bytu Kam nie uznawała. Potrzebowała kilku warstw odzieży i długich rękawów, żeby było jej ciepło.

- Wchodź! - Chociaż starała się, żeby zabrzmiało to serdecznie, sama wyczuła nieszczerłość zaproszenia. W ciągu następnej godziny będzie musiała uraczyć rodziców hiobową wieścią i do niczego i nikogo nie miała teraz głowy. Nie mogła się spodziewać, że rodzice przyjmą to równie dobrze jak Michael.

Michael wszedł i ogarnął wzrokiem pokój.

- Gdzie reszta babskiej armii? - zapytał. - Przyniosłem jedzonko dla wszystkich. Czy twoi goście i sublokatorzy jeszcze śpią?

- Nie. Wyszli.

Michael popatrzył na stół, na kwiaty wazonie i całe wnętrze trwające już w gościnnej gotowości.

- Zdaje się, że trafiłem trochę nie w porę - powiedział. Ramiona mu opadły. - Masz kogoś innego na śniadaniu. - Wręczył jej torbę, zażenowany. - Na pewno z przyjemnością skosztuje drożdżówek.

Kam się uśmiechnęła. Michael był zazdrosny. Sprawilo jej to przyjemność, ale nie bawiła się jego kosztem.

- Michael, stół jest zastawiony dla dwojga, ponieważ oczekuję rodziców.

- Przełamią się chlebem? Może podsunąć im drożdżówki? - zapytał. Kam wiedziała, że żartem stara się pokryć uczucie ulgi.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Jest to coś w rodzaju eksperymentu. Ale ponieważ zostaną dziadkami, pomyślałam, że powinni dowiedzieć się o tym jednocześnie.

- Jedna gafa po drugiej - powiedział Michael. - Najpierw myślę, że jesteś tu ze swoją babską paczką, potem, że z kochankiem. Chyba jednak nie założę tej firmy konsultingowej. Mam słabe wyczucie sytuacji. Myślę, że już Pójdę.

Odprowadziła go do drzwi, potem pociągnęła za rękaw czerwonego swetra, wspięła się na palce i pocałowała Michaela w policzek.

- Dziękuję, że wpadłeś. Ale obawiam się, że ten ranek będzie najeżony trudnościami.

- Zadzwoń, jeżeli przeżyjesz Michael odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymał się w połowie podestu. - Hej, Kam? - zapytał. - Powiedziałaś mi o ciąży wcześniej niż swoim rodzicom?

Skinęła głową i Michael się uśmiechnął.

- To dobrze - powiedział i odszedł, pogwizdując.

Niektóre rzeczy są tak przewidywalne, że aż śmieszne. Ojciec zjawił się punktualnie co do minuty, z wielkim i bezużytecznym prezentem - maszyną

do robienia lodów. Było to jedno z tych urządzeń gospodarskich, które zajmują połowę blatu, a używa się ich raz na pięć lat, jeżeli w ogóle.

- Długo trwało, zanim zaprosiłaś mnie na parapetówkę - powiedział, jakby zataiła przed nim przyjęcie na pięćdziesiąt osób.

Obszedł podejrzliwie całe mieszkanie, jakby się spodziewał, że znajdzie plakat Fidela Castro naklejony na drzwiach szafy. Potem usiadł na kanapie, wypytywał o wysokość czynszu, na jak długo podpisała umowę najmu i czy w czynsz wliczone jest zużycie prądu i gazu. Odpowiadała, robiąc malinową herbatę i kończąc przyrządzanie sosu winegret. Wiedziała, że będzie pytał i pytał w nieskończoność, tak długo, jak mu na to pozwoli. Rozległ się dzwonek u drzwi. Postawiła sałatę na stół i poszła otworzyć.

Natalie wparowała do środka obarczona dwiema torbami z delikatesów.

- Cześć, kochanie - powiedziała i Kam zdążyła jeszcze pocałować matkę, zanim ponad jej ramieniem Natalie ujrzała swojego byłego męża.

- Co to jest? - zapytała, odstawiając torby.

- To jest moje mieszkanie, a to jest mój ojciec. Estevan wstał.

- Nie powiedziałaś mi, że ona tu będzie.

Natalie była złą Estevan nastawiony defensywnie. Przez chwilę przyglądali się sobie wrogo, potem odwrócili się ku Kam. Po dziesięciu minutach udało się jej uspokoić rodziców, posadzić za stołem i podać im jedzenie. Okazało się jednak, że można przywlec osły do żłobą ale nie można zmusić je, żeby jadły. Rodzice siedzieli tak, jak ich usadziła spoglądając na siebie spode łba. Oto nauczka dla niej: małżeństwo nie kończy się nigdy, jeżeli w grę wchodzi dzieci. Trzeba się spotykać z okazji matur, ślubów, pogrzebów i narodzin. Trzeba siedzieć za stołem i patrzeć na kogoś, kogo już nigdy nie chciało się oglądać na oczy. Jak to dobrze, pomyślała Kam, że Reid nie dowie się o dziecku.

W końcu Natalie zwróciła się do Kam znad talerza nietkniętej sałaty.

- Postąpiłaś niewłaściwie - powiedziała. - Gdybym chciała się z nim spotkać, zrobiłabym to bez twojego pośrednictwa.

- Tak? Od kiedy? Nie zamierzam się z tobą spotykać. Tylko dlatego, że ty chcesz się ze mną widywać, nie oznacza, że będziesz się widywała kiedy zechcesz - oznajmił Estevan. - Co ja niby jestem? Wystawa muzealna?

Kam nie mogła tego znieść. Rodzice zachowywali się jak Kevon i Fran-kie. Nic dziwnego, że ona jest taka niedojrzała. Otrzymała to w genach od obojga rodziców.

- Słuchajcie, tym razem nie chodzi o was! - krzyknęła. - Musieliście rozbić tę rodzinę, w porządku, widocznie inaczej nie można było. Nie wyszło mi to na dobre, ale rozumiem. Byliście przy mnie, kiedy tego potrzebowałam, każdy z osobna, nigdy razem.

Rodzice popatrzyli na nią jakby wyskoczyła z jajka z niespodzianką Potem wbili wzrok w podłogę z minami winowajców.

Dobrze im tak! Kam rozpakowała torby przyniesione przez matkę, wykładając na blat kuchenny plastikowe pojemniki z sałatką z karczochów i kielków fasoli.

- Posłuchajcie - powiedziała. - Jestem wam naprawdę wdzięczna, ponieważ pomogliście mi przetrwać trudny okres. - Objęła ojca i ucałowała go w policzek, potem uścisnęła matkę. - Dałeś mi siłę, żeby od niego odejść, tatusiu. I miejsce, gdzie się mogłam ukryć. - Zwróciła się do matki. - A ty zmobilizowałaś mnie do działania, dałaś pracę. Poznałaś z ludźmi, którzy zostali moimi przyjaciółmi. - Uśmiechnęła się, myśląc o Michaelu. - Musicie wiedzieć, że jestem wam głęboko wdzięczna. Ale jest mi naprawdę przykro, że nie tworzymy już rodziny. Wszystko się skończyło. Rodzinne święta, wspólne kolacje. Zostały samotne wieczory i kolacje z mikrofalówki, jedzone przed telewizorem. Tak wy żyjecie, i ja też tak bym żyła, gdyby nie moje przyjaciółki.

- Kam - zaczęła Natalie. - Nie sądzę, żebym musiała przeproszać za zachowanie twojego ojca...

- Nie mów mi tylko, że to ja zerwałem nasze małżeństwo... - wtrącił Estevan.

- Och, zamknij się! Zamknijcie się oboje! - krzyknęła Kam. - Chcę wam powiedzieć coś ważnego. Będę miała dziecko! Będę miała dziecko i Reid o tym nie wie. Zresztą zamierza ożenić się ponownie. Nie mam męża, ale będę miała dziecko. I chcę, żeby to dziecko miało rodzinę. Wy jesteście jego rodziną.

Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Myślała, że rodzice będą na nią wrzeszczeć, a ona będzie się odcinała. I ta myśl była przykra. Może dlatego, że była już dorosła, a pragnęła poczuć się znowu dzieckiem pod opieką rodziców. „Dość tego, pomyślała, przyzwyczajaj się do roli matki. Zostaniesz nią za jakieś cztery i pół miesiąca i będziesz nią aż do śmierci”.

Natalie wstała.

- Będziesz miała dziecko? O, mój Boże!

Estevan nic nie powiedział, podszedł tylko do córki i ją przytulił. Sprawilo jej to ulgę. Żadnych krzyków? Żadnych awantur? Żadnych wyrzekań, że marnuje sobie życie, zaprzepaszcza wykształcenie, jest nie w porządku wobec nienarodzonego dziecka?

- Kiedy? - zapytała Natalie. - Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałaś mi wcześniej. Kiedy masz termin? Do jakiego lekarza chodzisz?

Ojciec ucałował ją, nie wypuszczając z ramion.

- Wygląda na to, że nie mogę już zabić twojego byłego? - zapytał.

- Jasne, że możesz - odparła Kam. - On nie będzie miał z tym nic wspólnego. Za to wy, owszem. Będę potrzebowała pomocy i jeśli mam być szczerą, uważam, że wam też przyda się trochę więzów rodzinnych. - Popatrzyła od jednego rodzica do drugiego. - Wiem, że proszę o wiele, ale czy moglibyście

podejść do tego jak ludzie dorośli? Dogadać się. Być dziadkami. Za wiele od was oczekuję?

Natalie podeszła do córki. Objęła ją ramieniem, kładąc dłoń na brzuchu Kam. Nie była to rodzina, o jakiej marzyła, ale dobrze, że w ogóle była.

## **Rozdział 61**

Vivian nie chciała wracać do Douglasa, okropnego prokuratora okręgowego, ale pomijając fakt, że nie miała wyboru, w zasadzie musiała przyznać mu rację.

Wszystkie te obraźliwe rzeczy, jakie mówił o kobietach, odnosiły się również do niej. Powinna się wcześniej zainteresować, skąd jej mąż bierze pieniądze.

Realizując więc swój nowy plan spotkała się z Michaelem Ricem i poprosiła o umówienie z Douglasem.

- Wiesz, Vivian - powiedział Michael. - Odnoszę wrażenie, że nie przygotowałem cię odpowiednio do spotkania z tym facetem. Jest twardy i nie zechce z tobą rozmawiać, jeżeli nie przedstawisz mu dowodów winy męża. I będą to musiały być przekonujące dowody. - Michael zrobił pauzę. - Chyba że zdecydujesz się zeznawać po stronie oskarżenia.

Vivian nie powiedziała nikomu o pieniądzach, nawet Jadzie. Myśl była przerażająca. Na razie schowała łup Franka w leksusie, ale wiedziała, że jeżeli policja jąna tym nakryje, zostanie oskarżona o handel narkotykami. A jeżeli pieniądze zostaną ukradzione, wszystkie jej plany wezmą w łeb. Żyła w nieustannym lęku. Zrywała się po kilka razy w nocy, żeby sprawdzić, czy samochód stoi i nikt się do niego nie dobiera. Chciała nawet prosić Kam, żeby pozwoliła jej zaparkować leksusa w garażu, na miejscu grata, ale bała się, że jeżeli policja odkryje pieniądze na terenie posiadłości Kam, zrujnuje przyjaciółce życie. Wprawdzie ryzykowały jedna dla drugiej, ale było to ryzyko podjęte świadomie.

Pieniądze Franka były okropnym ciężarem i Vivian marzyła tylko o tym, żeby się ich pozbyć.

- Mam dowód - powiedziała, nie zagłębiając się w szczegóły. - Proszę się z nim umówić.

Ponowna wizyta w prokuraturze, przyznanie, że Douglas miał rację we wszystkim, co mówił, na pewno nie będzie łatwe. Jeszcze trudniejsze będzie podpisanie wyroku na własnego męża. Ale Vivian wiedziała, że nie ma wyboru.

- Powiedz mu, że przedstawię dowód. - Udawała, że nie dostrzega pytającego wzroku Kam.



Michael Rice skinął tylko głową.

- Chcesz uzyskać coś w zamian? - zapytał. - Jeżeli tak, powiedz mi o tym teraz. Musimy przedstawić nasze żądania, zanim dostarczysz im dowód. Potem już nic nie uzyskasz.

- Chcę, żeby pozwolono mi opuścić miasto, wyjechać do innego stanu i pozostać tam aż do dnia procesu. Podam mu swój adres, ale chcę, żeby była to informacja zastrzeżona. Chcę otrzymać pełną opiekę na dziećmi i chcę zmienić nazwisko. Chcę otrzymać ochronę na czas trwania procesu. To wszystko.

- Nie sądzę, żeby były z tym jakieś problemy - powiedział Michael. - Douglas nie może ci zagwarantować opieki na dziećmi, ale kiedy twój mąż...

- Mój były mąż.

- A więc, kiedy Frank Russo zostanie skazany, otrzymasz opiekę. To ci mogę zagwarantować. Jeżeli wyrazisz zgodę, sam poprowadzę tę sprawę. To bardzo skromne żądania. Mogłabyś wydusić z Douglasa dużo więcej.

- Nic nie chcę. Nie robię tego, żeby ukarać męża. Chcę tylko uporządkować swoje sprawy.

Tym razem prokurator okręgowy był bardziej uprzejmy. Prawdopodobnie interwencja Michaela odniosła pewien skutek. Ale zachowywał się równie wyniośle, a jego biuro było równie wypucowane jak wcześniej. Vivian zastanawiała się, kto czyści niezliczone płytki pamiątkowe i dyplomy, że tak błyszczą niesprofanowane żadnym odciskiem palca.

Świeciła się również czaszka Douglasa, ze starannie zaczesanymi ośmioma pasemkami rudych włosów.

- A więc, spotykamy się ponownie, pani Russo. Pan Rice zapewnił mnie, że dzisiaj nie zamierza pani marnować mojego czasu - powiedział.

Vivian ścisnęła torebkę leżącą na jej kolanach. Jeżeli chciała ocalić męża przed więzieniem, oszczędzić dzieciom ostatecznego upokorzenia teraz był czas, żeby się wycofać. Dłonie zaciśnięte na torbie miała mokre od potu. Wątpiła, czy jej irlandcy przodkowie współpracowali kiedykolwiek z policją w jakiegokolwiek sprawie, słusznej czy nie. I co z tego mieli? Biedę i alkoholizm w dziesięciu pokoleniach! Zmusiła się, by spojrzeć Douglasowi w oczy. Były zaskakująco niebieskie, ale małe i prawie niewidoczne w fałdkach tłuszczu.

Powiedziała sobie, że jeżeli tego nie zrobi, ocali wprawdzie Franka, ale zniszczy swoją rodzinę. A Frank był winny.

- A więc, pani Russo? Z czym pani do mnie przychodzi?

- Znalazłam coś - powiedziała Vivian. - Znalazłam coś, co przeoczyli policjanci podczas rewizji.

Douglas wydał niedowierzająco usta.

- Przeszukaliśmy pani dom bardzo dokładnie, pani Russo.

- Ale nie znaleźliście tego. - Vivian wyjęła paczkę z pieniędzmi i położyła na stoliku do kawy. Michael Rice pochylał się nad pakietem.

- Narkotyki? - wymruczał. Vivian nie raczyła nawet zaprzeczyć. Douglas wstał, podszedł do biurka i wystukał jakiś numer na tarczy telefonu.

- Zdaje się, że mamy nowy dowód - powiedział do słuchawki. - Potrzebny mi funkcjonariusz, stenograf i urzędnik sądowy. Natychmiast. - Wrócił na swoje miejsce przy stoliku.

- Co jest w tej paczce? Pieniądze? - zapytał. Vivian skinęła głową.

- Otwierała ją pani? Skinęła ponownie.

- Studolarówki?

- Tak. Ale nie przeglądałam wszystkich. Nie wiedziałam, czy wolno mi ich dotykać. Frank groził, że oskarży mnie o współudział, jeżeli dostarczę panu te pieniądze. Mam to nagrane na taśmie.

- A więc wie, że pani to znalazła?

-Tak.

- Ale nie wie, że pani to oddała? -Nie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn i kobieta.

- Zgarnijcie Franka Russo. Mamy dowód - zwrócił się Douglas do jednego z mężczyzn. - To jest pani Russo. Chce złożyć zeznanie.

Kobieta usiadła i wydobyla z teczki jakąś dziwną maszynę.

- Chciałbym to również nagrać - powiedział Douglas i umundurowany policjant wyjął magnetofon, podłączył do sieci i ustawił mikrofon na stoliku przed Vivian. Drugi mężczyzna wyszedł, żeby przekazać rozkaz zatrzymania Franka. Biedny Frank!

- Chcę podkreślić, że aż do chwili znalezienia pieniędzy, moja klientka nic nie wiedziała o przestępczej działalności Franka Russo, swojego męża -zabrał głos Michael. - Zaznaczam również, że składa zeznania i dowody dobrowolnie. W zamian chciałaby prosić sąd o nietykalność, pozwolenie na opuszczenie stanu i ochronę podczas procesu.

Douglas skinął głową.

- Chciałbym usłyszeć słowną odpowiedź, panie Douglas - powiedział Michael. Ruchem głowy wskazał stenotypistkę.

- Nie będzie z tym problemu - zgodził się prokurator okręgowy. - Nie wysunięto żadnych oskarżeń pod adresem pani Russo.

Podczas gdy panowie omawiali warunki wysunięte przez panią Russo, Vivian pograżyła się w rozmyślaniach. A więc to koniec: koniec jej małżeństwa. Spojrzała na torbę na swoich kolanach. Fakt, że wniosła o rozwód, nic nie znaczył. To tutaj, w biurze prokuratora okręgowego zakończy się jej małżeństwo.

Jeżeli złoży zeznania, nie będzie już odwrotu. I Vivian wcale go nie pragnęła. Nie chciała wygodnego życia zbudowanego na kłamstwie. Jeszcze mocniej ścisnęła torbę. Ilu ludziom pieniądze zmarnowały życie? Nie pozwoli, by to się jej przytrafiło.

Kiedy Vivian podniosła wzrok, Douglas i Michael Rice patrzyli na nią wyczekująco.

- Jesteś gotowa? - zapytał Michael. Vivian skinęła głową. Spojrzała na brązową paczkę leżącą na nieskalanie czystym stoliku do kawy. Douglas rozpoczął przesłuchanie.

- Paczkę, która przed panią leży, znalazła pani samodzielnie?

-Tak.

- Na razie oznaczymy ją jako dowód numer II - zwrócił się do urzędnika sądowego.

- Powiedziała mi pani, że w środku znajdują się pieniądze.

Skinęła głową.

- Proszę odpowiedzieć głośno - powiedziała stenotypistka.

- Przepraszam. Tak, znalazłam te pieniądze. Pliki studolarówek. Przynajmniej tak mi się zdawało na pierwszy rzut oka.

Douglas podał paczkę urzędnikowi sądowemu.

- Proszę przeliczyć - powiedział, a następnie zwrócił się do Vivian. -Gdzie znalazła pani pieniądze?

- Pod dywanem w szafie w pokoju mojej córki - powiedziała Vivian.

- Czy policja nie przeprowadziła rewizji w pani domu? - zapytał dociekliwie Douglas.

- Tak - przyznała Vivian. - Przewrócili cały dom do góry nogami. - Usta jej zadrżały na wspomnienie tamtej nocy, kiedy zniszczono jej dom i jej życie. Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Były bardzo dobrze schowane. Nie od razu je znalazłam - powiedziała. - Widzi pan, całymi dniami sprzątałam bałagan, który pozostawili policjanci... - Opowiedziała całą historię, podczas gdy stenotypistka pukała w swoją dziwną maszynę, a urzędnik sądowy liczył w milczeniu pieniądze na drugim końcu pokoju. Douglas przerwał jej kilkakrotnie, ale teraz, kiedy dostał to, czego chciał, był zdumiewająco serdeczny.

- Czy te pieniądze mogą pochodzić z oszczędności? - zapytał.

- Nie sądzę. Mamy przecież rachunek oszczędnościowy w banku. -I nic pani nie wiedziała o istnieniu tych pieniędzy.

- Nic o nich nie wiedziałam.

Przesłuchanie toczyło się dalej. Michael poklepał ją po ręce raz czy dwa, ale Vivian nie potrzebowała wsparcia, była spokojna, przekonana o słuszności swojego postępowania. Trwało to przeszło dwie godziny, niektóre pytania Douglas powtarzał w kółko, ale Michael czuwał nad przebiegiem rozmowy, a Vivian odpowiadała krótko i na temat, tak jak pouczył ją adwokat.

Powiedziała prawdę, zataiwszy jedynie krótki epizod z sejfem bankowym. W końcu przesłuchanie dobiegło końca. Vivian czuła się jak przekreślona przez maszynkę.

- Pani Russo, chciałbym pani podziękować - powiedział Douglas znakomicie personifikując istotę ludzką. - Postąpiła pani słusznie. Wiem, że nie było to łatwe.

Zbliżył się urzędnik z pieniędzmi, opakowanymi teraz w plastikowe torebki.

Wręczył Douglasowi kartkę papieru.

- Oto dowód, jakiego nam było trzeba - powiedział Douglas. - Musi pani jeszcze tylko podpisać pokwitowanie. - Popatrzył na Vivian. - Myśli pani, że jest tego więcej?

Vivian wzruszyła ramionami.

- Nie znalazłam innych skrytek w domu. Ale możecie panowie sami poszukać. Jak pan widzi, mąż nie darzył mnie zaufaniem. Kto wie?

## **Rozdział 62**

Kam musiała wykonać siedemnaście telefonów, żeby zmienić dzień widzenia Jady z dziećmi z soboty na niedzielę oraz uzyskać pozwolenie na wyprawę do kościoła.

- Boże! - pożaliła się Billowi, kiedy przefaksowała wszystkie dokumenty, odebrała potwierdzenia, odbyła rozmowę z urzędnikiem sądowym, sekretarką sędziego i na koniec powiadomiła o wszystkim wydział opieki społecznej.

- Kto by pomyślał, że trzeba tylu zabiegów, żeby zabrać dzieci do kościoła! Bądź tak dobry i zrób kopie tych wszystkich dokumentów - jedną dla pani Jackson, jedną dla mnie i jedną dla pana Jacksona.

- Może za jednym zamachem zrobię też dla Michaela, Latoyi, Jesse i Janet? - zapytał Bill.

- Jesteś nudny - odparła Kam.

- Ja? Nudny? - zapytał Michael, wchodząc do gabinetu. Bill, mijając go w drzwiach, uniósł tylko brwi.

- Ty? Młody... no powiedzmy, prawie młody Lochinvar? Michael popatrzył na Kam z dezaprobatą.

- Milczenie jest złotem.

- Nie powiedziałam ani słowa - zaprotestowała Kam. Michael nadal spoglądał niedowierzająco. Potrząsnęła głową zapewniając go o swojej niewinności. - Bill jest geniuszem w dziedzinie biurowych plotek. Ma radar.

- Nie wiedział o mojej separacji i o rozwodzie - zauważył Michael sucho. - Ale wie, że się spotykamy.

- Przyznaję, że coś w tym jest, mecenasie - Kam wstała. - Ale masz do wyboru: albo mi uwierzysz, albo mi nie uwierzysz. - Podeszła blisko i położyła dłonie na jego ramionach. - Więc jak będzie?

- Będzie kolacja. Co powiesz na homary?

Kolacja była wspaniała. Michael zabrał ją do stylowego domu przerobionego na pensjonat. Dostali stół przy kominku.

Rozmawiali trochę o pracy, o jej matce, o jego dzieciństwie. Urodził się w Minnesocie. Miał dwóch młodszych braci, najmłodszy zmarł na raka przed jedenastoma miesiącami.

- Miałeś ciężki rok - zauważyła. - Rozwód, śmierć brata. Skinął głową obracając w palcach kieliszek koniaku.

- To prawda, nie był lekki - powiedział. Zerknął do kieliszka. - Czy wiesz, że twoje oczy mają ten sam odcień co courvoisier?

Kam potrząsnęła głową. W tym świetle Michael sprawiał wrażenie niemal chłopca. I widać było, że naprawdę ją lubi.

- Widzisz, niełatwo mi było rozstać się z żoną. Wróciła do Omaha. Wykłada tam na uniwersytecie. Pozwoliłem, żeby zabrała dzieci. Strasznie za nimi tęsknię.

- Wyobrażam sobie.

- Widzisz, Kam, nie tylko kobiety cierpią z powodu rozwodów. Czasem zdarza się to także mężczyznom. - Upił odrobinę koniaku. - Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę córki. Pozwoliłem im wyjechać, bo wydawało mi się, że powinny być z matką.

- Ciężka rodzicielska dola - powiedziała Kam, myśląc o Jadzie. Michael uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję. - Sięgnął ponad stołem i ujął w palce kosmyk jej miękkich, teraz już zdecydowanie dwukolorowych włosów. - Co ty z nimi robisz? - zapytał i musiała się uśmiechnąć.

- Takie wyrastają mi z głowy. Doprowadzają mnie do szaleństwa.

- Mnie również - odparł cicho, znacząco.

Jego głos, zmysłowy i głęboki, sprawił, że wstrzymała oddech. Nagle przypomniała sobie, jak patrzyła na złote pasemka we włosach Reida i pytała, skąd się takie biorą. Widocznie w każdym związku musi być ten, kto wielbi i ten, kto pozwala się wielbić. Zastanawiała się, kto ma lepiej.

Ujęła rękę Michaela delikatnie wyplątując włosy. To jakby wyrwało go z transu.

- Więc ile osób teraz u ciebie mieszka? - zapytał. - Doszliście już do pięćdziesięciu sztuk? Masz też koty, chomiki i żółwie, czy poprzestałaś na przyjaciółkach, psach i dzieciach? Spicie na zmianę?

- Nie przesadzaj, jest nas tylko szesnaścioro - zażartowała. - Dla Ku-bańczyków to betka. - Umilkła na chwilę. - Wiem, że nie pochwalasz mieszania pracy z życiem towarzyskim, ale...

- Hej, w tej kwestii nie mam już prawa zabierać głosu.  
- W każdym razie Jada i Vivian wkrótce się wyprowadzają. Stały na nogi. - Miała wielką ochotę opowiedzieć mu o Marblehead i ich zwariowanych planach, ale Michael święcie wierzył w działanie zgodne z literą prawa. Nie sądziła, żeby próbował im pokrzyżować plany, ale z pewnością próbowałby wyperswadować jej współudział. Kam postanowiła, że podejmie ryzyko. Po prostu nie powie o tym Michaelowi.

A kiedy otulił ją płaszczem i sprowadził ze schodów restauracji, poczuła przyjemny dreszczyk i miała nadzieję, że zaprosi ją do siebie na kawę. Pomyślała również, że jest wiele innych rzeczy, którymi mogłaby się podzielić z panem Rice'em.

### **Rozdział 63**

Nie, nie, nie! - krzyczała Kam. - Posłuchaj, zaszliśmy tak daleko. Nie pozwolę ci na takie szaleństwo. - Łypała złym okiem na Jadę. To samo robiła Vivian, oczywiście w złagodzonej formie. Siedziały w kuchni, dopijając trzecią filiżankę kawy. Były nieźle nabuzowane.

- Kochanie, muszę zgodzić się z Kam. Wszystko jest gotowe - powiedziała Vivian. - Nie stwarzaj trudności. Twoje rzeczy są spakowane, nowa garderoba dzieci czeka w walizkach. Wystarczy wrzucić je do samochodu. Masz nawet zgodę na zabranie dzieci do kościoła. Dlaczego teraz zmieniasz zdanie? Samuel zaraz tu będzie. Kam zrobiła głęboki wdech.

- Jado, wiesz, że nie było mi łatwo przystać na ten plan por... wywiezienia dzieci. Ale uważam, że nie trafi ci się druga taka okazja.

Jada popatrzyła na swoje przyjaciółki.

- O nic was nie proszę. Zrobię to sama. Muszę.

- Jado, to niezgodne z prawem. Może nawet niebezpieczne - ostrzegła Kam. Jada wzruszyła ramionami.

- Wszystko, co ostatnio robię, jest niebezpieczne. Kam wstała od stołu i spojrzała na Vivian.

- Twojej przyjaciółce w końcu odbiło. Nie mogę tego dłużej słuchać. A co ze mną? Wy znikniecie. Ja zostanę. Przyjdą tu, zaczną węszyć.

- No to co? - zapytała Jada. - Nie masz z tym nic wspólnego. Kam rozłożyła bezradnie ręce, rozlewając trochę kawy na stół.

- Vivian, ty porozmawiaj ze swoją nieodpowiedzialną, mściwą, nierozważną przyjaciółką, ja nie mam cierpliwości. - Poszła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Vivian chciała zajrzeć przyjaciółce w oczy, ale Jada odwróciła głowę.

- Ona ma rację, Jado.

- A więc stajesz po jej stronie? Nie wiesz, ile mnie kosztowało życie w tym domu przez tyle lat? Twój dom był idealny. Ja miałam dyktę w kuchni. Wiesz, co to znaczy, utrzymać coś takiego w czystości? Drzwi garażowe, wiecznie wypadające z szyn. Nigdy nie wykończona łazienka na piętrze. Nieotynkowany pokój gościnny. Górne światło w jadalni - naga żarówka w siatce ochronnej. Teraz doprowadza dom do ładu? - Jada umilkła, żeby zaczerpnąć powietrza. Spędziła lata w tym domu, nieustannie nękana niedoróbkami, spłacając raty hipoteczne i nie czerpiąc z domu żadnej radości. - Błagałam, żeby go wykończył. Kupiłam boazerię. Przytargałam ją na własnych plecach. Zaproponowałam nawet, że najmę kogoś, kto to zrobi. Nie pozwolił mi. Czuł się urażony. Ty mieszkałaś w domu marzeń, ja na placu budowy.

- Jado, uspokój się. Pamiętaj o tym, co ważne. Zobacz, ja porzucam swój dom. Dywany, kanapy, zasłony. Nie to jest ważne w życiu i ty o tym wiesz.

- Nie mów mi, co jest w życiu ważne!

Vivian wstała od stołu i Jada wiedziała, że zraniła przyjaciółkę. Naprawdę tego nie chciała. Tylko że te białaski były czasem takie cholernie pewne swoich racji. A mówi się, że to czarne kobiety są władcze!

Próbowała przemyśleć wszystko na chłodno, ale za każdym razem wychodziło na to, że uciekając pozostawia za sobą niezalutrowane sprawy. Nie mogła po prostu zostawić domu, na który tak ciężko pracowała, domu, którego Clinton nie uszanował, a który teraz dostanie w prezencie. Podeszła do sofy i przysiadła na samym krańcu. Popatrzyła na Vivian, która stała przy zlewku i zapalczywie zmywała dwa kubki po kawie. Jada wiedziała, że przyjaciółka stara się w ten sposób ukryć przykrość.

- Vivian, przepraszam.

Szum wody zagłuszył jej słowa, podeszła więc do zlewu i zajrzała Vivian w twarz.

- Przepraszam cię, Vivian.

- Nie szkodzi.

Jada miała nadzieję, że to prawda. Ujęła przyjaciółkę za rękę i zaprowadziła na kanapę.

Tyle już dla niej zrobiły, że Jadzie ciężko było prosić o coś jeszcze -choćby tylko o zrozumienie. Ale chciała, żeby pojęły jej motywy. „Zemsta należy do Mnie, mówi Pan”. Jada знаła ten cytat, obracała w myśli na wszystkie strony, ale zemsta była zbyt przyjemna, by z niej zrezygnować.

- Usiądź tylko i posłuchaj - poprosiła. - Wszystko obmyśliłam. Jeżeli ty się zgodzisz, Kam też ulegnie.

Vivian westchnęła ciężko.

- Przyklejałyśmy już penisa, planowałyśmy uprowadzenie, dostarczałyśmy dowody przestępstwa, a teraz... to. Dlaczego po prostu nie zaczniemy pracować dla mafii?

- Dlaczego nie wysłuchasz, co mam do powiedzenia. Wszystko rozpracowałam. I faktycznie rozpracowałam.

Niechętnie, bo niechętnie, ale Vivian zadzwoniła do Clintona. Jak było do przewidzenia, odebrała Tonią (był to tylko jeden z powodów, dlaczego ten telefon musiała wykonać Vivian), ale Vivian poprosiła Clintona. Po chwili wahania Tonią przekazała mu słuchawkę.

- Wiesz, wyprowadzam się - powiedziała Vivian. - To przez te kłopoty z Frankiem i w ogóle. Pomyślałam sobie, że może chciałbyś wziąć trochę moich mebli.

Jada nie usłyszała odpowiedzi męża, ale jeżeli Tonią słuchała na drugiej linii, a słuchała z pewnością, wynik tej rozmowy był przesądzony.

- Mam kanapę i dwa fotele, których nie potrzebuję. I mnóstwo innych rzeczy - kusiała Vivian.

Kam słuchała tej rozmowy, kręcąc głową i przewracając oczami. Nie obiecała, że im pomoże, ale wiedziała, że na tym się skończy.

Clinton nie byłby Clintonem-darmozjadem, gdyby nie przyjął oferty. Jada wiedziała, że jest hipokrytą, który nie chce, by jego dzieci bawiły się z „bachorami kryminalisty”, ale bez wahania posadzi je na kanapie, którą dostał od kryminalisty w prezencie. Ustalono więc, że Tonią i Clinton przyjdą do Vivian w niedzielę i wybiorą sobie meble.

Viv stała przy kuchennym blacie, omawiając sprawę beznamiętnym tonem, jakby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że robi prezent wrogowi najlepszej przyjaciółki. Jada ogarnęła scenę wzrokiem i zauważyła coś naprawdę niezwykłego. Można powiedzieć - zdumiewającego!

- Kam, spójrz tylko - powiedziała szeptem. - Widzisz to, co ja widzę? Kam spojrzała na Vivian i wzruszyła ramionami.

- Widzę przestępczynię w akcji.

- Nie. Popatrz na blat!

Viv, kończąc rozmowę z Clintonem, stała przed stosem brudnych filiżanek i talerzyków. Blat umazany był kawą, a ona nie sięgała po ścierkę!

- Stoi przed tym bałaganem i nic nie robi!

- O, mój Boże! - wyszeptała Kam. - Masz rację.

Vivian umówiła się z Clintonem na konkretną godzinę, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli nie stawi się na czas, będzie się musiał obejść smakiem.

- Wyjeżdżam - powiedziała. - Potem możesz zastać zamknięte drzwi. - Vivian odwiesiła słuchawkę i popatrzyła na przyjaciółki.

- Co tak patrzycie? - zapytała.

- Viv, nie chcesz zetrzeć blatu? - zapytała Jada.



-Pieprzyć go - odparła Viv. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie do wiary! - powiedziała Kam.

Jada rozpostarła ramiona.

-Kopciuchu! Kopciuchu, nareszcie dorostaś!

## **Rozdział 64**

Vivian musiała zapewnić sobie bardzo dobre alibi, żeby nie powiązano jej ze sprawą, którą myślała nazwała „meblowaniem domu Jady”.

Uznała, że najlepiej pójść do więzienia, ponieważ tylko tam ma się gwarancję, że człowiek jest cały czas obserwowany, musi się podpisać wchodząc i podpisać wychodząc i w ogóle wiadomo, gdzie się w danym miejscu znajduje. Była przekonana, że prokurator okręgowy zechce to wiedzieć, kiedy Jada wykona swój skok.

Vivian miała mnóstwo pracy. Zadzwoiła do pięciu perspektywicznych klientów, otrzymała listy od kolejnych czterech i spotkała się ze wszystkimi osobiście. Przeprowadziła również rozmowy z przyszłymi pracownikami. Szkolenie aktorskie odebrane w Bostonie i Marblehead bardzo się jej teraz przydało - grała po prostu właścicielkę prosperującej firmy i nawet nieźle się przy tym bawiła. Kłopoty miała tylko z jednym klientem-wariatem.

Potem, korzystając z tego, że Frank jest w więzieniu, pojechała z Kam i Jadą na Elm Street. Przyjaciółki pomogły jej wybrudzić dom, żeby mogła wykorzystać go jako teren szkoleniowy. Niektórzy z kandydatów na sprzątaczy byli beznadziejni - po pięciu minutach obserwacji mogła im powiedzieć, że nigdy się niczego nie nauczą, ale wybrała dwie kobiety - Gladys i Emily, które wydawały się zdolne i chętne. Wyliczyła sobie, że jeżeli znajdzie jeszcze jedną osobę, we czwórkę będą w stanie wysprzątać dziewięć do dziesięciu domów tygodniowo. Zamierzała ustalić cenę promocyjną, oferując profesjonalną usługę. Ze wstępnych obliczeń wynikało, że będzie miała z tego więcej niż godziwy dochód.

Nie musiała odwiedzać Franka, ale czuła, że jeżeli nie pójdzie, w ich stosunkach na zawsze pozostanie coś dziecinnego, opartego na strachu. Frank nie mógł już zapewnić jej opieki, ale nie mógł też jej skrzywdzić, o ile nie da mu nad sobą władzy.

Został aresztowany w godzinę po jej wizycie u prokuratora okręgowego. Wiedząc, że nie ma go w domu, pojechała po swoje rzeczy i w zasadzie mogłaby zamknąć ten rozdział życia, gdyby nie uczucie, że powinna stanąć z nim twarzą w twarz. W końcu czternaście lat coś znaczyło, i chociaż Vivian nie

chciała myśleć o nich jako o najlepszych latach swojego życia, koniec końców mogły się takimi właśnie okazać. Tak czy inaczej musiała pójść do Franka. Rzeczywistość była gorsza od wyobrażeń. Musiała przejść przez wykrywacz metalu, poddać się rewizji, a potem przejść długim zielonym korytarzem, mijając zamknięte drzwi o zakratowanych okienkach. Nie mogła sobie wyobrazić Franka w tym otoczeniu.

Strażnik otworzył jakieś drzwi i wprowadził ją do sali odwiedzin, gdzie za stołem siedział Frank. Wydał się jej zaskakująco mały.

Nie wyglądał dobrze. Ubrany był w szare spodnie robocze i koszulę z tego samego materiału. Sprawiał wrażenie mechanika albo dozorca. Zwykle ogorzała twarz była blada na tle czarnych włosów i całkowicie pozbawiona ekspresji.

- Ręce na stół - powiedział strażnik, kiedy Vivian zajęła miejsce naprzeciwko Franka.

Rzucił strażnikowi złe spojrzenie, ale wykonał polecenie. Potem zatopił wzrok w twarzy Vivian i powiedział:

- Tego chciałaś?

- Nie. Nie ja tego chciałam.

- Vivian, w najczarniejszych koszmarach nie przypuszczałem, że to ty mnie zdradzisz.

Vivian wydawało się, że jest przygotowana na wszystko, ale to ją nieźle wkurzyło. Frank prowadził stare gierki: interpretując wszystko w ten sposób, że to ona wychodziła na głupią. On miał zawsze rację, on był bez winy. Zastanawiała się, czy zawsze taki był, tylko ona tego nie zauważała? Cóż, można się w to było bawić we dwoje. - Nie dałeś mi wyboru - powiedziała. - Groziłeś mi. Nie powinieneś mi grozić, Frank. Mieliśmy inną umowę: myślimy najpierw o drugiej osobie, potem o dzieciach, a na samym końcu o sobie. Ale ty zawsze byłeś egoistą, byłeś nieodpowiedzialny i szalony. Nigdy nie myślałeś o mnie, a już z pewnością nie o dzieciach. One nie mogą mieć matki w więzieniu, Frank. Taka możliwość po prostu nie istnieje.

- Nigdy ci nie groziłem - powiedział Frank.

- Tak jak nigdy mnie nie uderzyłeś. - Wyjęła magnetofon z torebki. - Chcesz posłuchać? Mam tu nagraną naszą ostatnią rozmowę w restauracji.

- Schowaj to! - powiedział chrapliwie. - Tu wszędzie są kamery.

- W porządku. Mam dzieci, które potrzebują mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Pamiętasz je, Frank? Przeżyły taki szok, że nie wiem, kiedy dojdą do siebie.

Musimy wyjechać z tego miasta, Frank. Musimy zostawić ich przyjaciół, którzy przestali być przyjaciółmi, musimy wyjechać i zacząć od nowa - bez ciebie.

Zniszczyliśmy im życie, czy ty to rozumiesz, Frank?

- A co ze mną? Co z moim zniszczonym życiem?

- Dokonałeś wyboru, Frank.

- Nie, to ty dokonałaś wyboru! Wsadziłaś mnie za kratki. - Mówił cicho, z wściekłością. - Wydałaś mnie! Nie mogę w to uwierzyć! Po prostu nie mogę w to uwierzyć!

Vivian rozpoznała objawy. Uderzyłby ją, gdyby mógł. Ale teraz była bezpieczna. Była wdzięczna za dzielący ich stół, za strażnika, za prawo.

- To mnie nie dziwi - powiedziała. - Nigdy nie myślałaś, że cię złapią. Nigdy nie wierzyłaś, że możesz zostać ukarany. Zawsze uważałaś, że jesteś nietykalny. - Rozejrzała się po pokoju. Przez odrutowane okienka z grubego, butelkowego szkła nie widać było nieba, nie sposób było nawet określić, jaka jest pogoda.

- Nikt nie może się stawiać ponad prawem, Frank.

- To, co zrobiłaś, to był szczyt głupoty - powiedział Frank. Ale ona nie zamierzała dłużej tego wysłuchiwać. Przerwała mu z taką zapalczywością, że strażnik spojrzał na nich ostrzegawczo.

- Dość tego, Frank! Ta Głupia Vivian! Zawsze Głupia Vivian! Prawie dałam się przekonać, że jestem idiotką. Coś ci powiem! Głupia Vivian zakłada firmę. Głupia Vivian przeprowadza się z dziećmi do innego miasta, posyła je do dobrej szkoły. Głupia Vivian zapewnia im utrzymanie i próbuje dać poczucie bezpieczeństwa, chociaż mają tatusia handlarza narkotykami, który siedzi w więzieniu. - Przerwała, by zaczerpnąć tchu. - Pamiętaj, nie zaplanowałam sobie tego, zmusiły mnie do tego okoliczności i coś ci powiem, Frank! Radzę sobie świetnie. Radzę sobie bez ciebie.

- O czym ty mówisz? Dokąd się przeprowadzasz? Dokąd zabierasz moje dzieci?

- Występuję o rozwód. Otrzymam wyłączną opiekę nad dziećmi. Na dłuższą metę może to mieć niekorzystny wpływ na dzieci, ale taką podjęłam decyzję. Kiedy wyjdiesz z więzienia...

- Nie pójdę do więzienia, Vivian. Znasz dewizę adwokatów: „Człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się bankructwa”. A ja znam kogo trzeba.

- Nie obchodzi mnie, kogo znasz. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Mam nadzieję, że masz jeszcze gdzieś schowane pieniądze, bo jeżeli nie, jesteś winny i spłukany. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Ja wyjeżdżam.

Frank pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że oddałaś prokuratorowi przeszło pół miliona dolarów. Jesteś głupia, Vivian.

Zastanawiała się, ile razy słyszała te słowa. Ile razy Frank powiedział jej to wprost, a ile razy zasugerował, że jest głupia? Kiedyś naprawdę w to wierzyła, ale te czasy należały do przeszłości. Nie musi się również przed nim tłumaczyć ani się bronić. Wiedziała, kto z nich dwojga okazał się prawdziwym głupcem. Kto z nich zniszczył życie, które mogło być szczęśliwe, piękne. Teraz nic już nie mogła na to poradzić, ale nie pozwoli się obrażać.

- Myślę, że czas widzenia się skończył - powiedziała, wstając. - O, byłabym zapomniała. Mam coś dla ciebie. - Cisnęła kopertę na stół.
- Co to jest? - zapytał, rzucając wokół nerwowe spojrzenia.
- Lista, którą kazałeś mi zrobić. Wszystkich tych zniszczonych rzeczy, za które okręg miał nam wypłacić odszkodowanie. Lista jest prawie kompletna, Frank. Możesz do niej tylko dopisać nasze małżeństwo. Życzę ci szczęścia.
- I to wszystko? Nie zamierzasz się już ze mną nigdy zobaczyć?
- Owszem, zobaczymy się. W sądzie. Będę zeznawać. Odwróciła się i odeszła.

## **Rozdział 65**

Jada czekała w volvo, z pustymi torbami po zakupach. Była odświętnie ubrana i już odebrała dzieci.

- Na co czekamy? - zapytała Shavonna.
- Pojedziemy do kościoła z moim znajomym. - We wstecznym lusterku dostrzegła wóz Samuela. - O, już jest. Chcę, żebyście byli teraz bardzo grzeczni. - Przeprowadziła dzieci do jego samochodu.

- Dokąd ty idziesz? - zapytała znowu Shavonna.

- Kto to jest? - dopytywał się Kevon.

- Mój przyjaciel. Pojedziemy zaraz do kościoła - wyjaśniła Jada. - Chcę, żebyście posiedziały tu przez dziesięć minut. Shavonna, dopilnuj dzieci. Zaraz wracam. Zapomniałam Biblii. - To była prawda. Biblia znajdowała się w domu.

Jada odczekała za rogiem, aż Clinton i Tonia wyjdą z domu. Skierowali się w stronę domu Vivian; szli tą samą trasą, którą tyle razy przemierzała u boku przyjaciółki. Ich treningi wydawały się odległą przeszłością. Rozejrzała się po ulicy, wiedząc, że już nigdy jej nie zobaczy.

Kiedy Clinton i Tonia zniknęli jej z oczu, chwyciła torby i weszła do swojego domu po raz ostatni. Wyjęła z toreb gazety, zmięte już w kule i dwa polana. Potem poszła na górę i przeszukała wszystkie zakamarki, chcąc się upewnić, że w domu nie ma żyjącej istoty, nawet chomika czy złotej rybki. Do pustych toreb załadowała ulubione zabawki i ubrania dzieci, pozostawiając w ich miejsce zmięte gazety. Tak jak podejrzewała, Clinton zaczął odmalowywać dom i likwidować prowizorki, które były jej zmorą przez tyle lat. I tak jak przypuszczała, pozostawił wszędzie otwarte puszki z farbą i rozpuszczalnikami. Doskonale!

W kuchni odkryła ze zdumieniem, że podłoga pokryta jest już do połowy terakotą. Ciekawe, czy Clinton kiedykolwiek dokończyłby kładzenie, czy też

poprzestał na połowie? Wylała butelkę nafty na dyktę, włożyła polano do drewnianej szafki i obłożyła je gazetami. Z komody w holu wyjęła świadectwa urodzin dzieci, kilka albumów z fotografiami oraz Biblię. Na półkach pozostały stosy papierów. Wylała na nie trochę rozpuszczalnika. Drugie polano wepchnęła do schowka pod schodami. Był pełen łatwopalnych materiałów, ale dla pewności otworzyła puszkę farby i wrzuciła kilka gazet. Zastanowiła się, czy policja uzna to za celowe podpalenie, czy też zaproszenie ognia. W końcu, jak mawiała Vivian, większość wypadków zdarza się w domu.

Nie był to już jej dom i nigdy nie będzie. Zapracowywała się na śmierć, oderwana od dzieci, bo wydawało się jej, że te ściany są ważne. Drastyczny błąd w ocenie. Na ścianie w dużym pokoju nadal wisiał ich ślubny portret. Dziwne, że Tonia go nie zdjęła. Może Clinton jej nie pozwolił? Portret zostawiła, wzięła natomiast świecznik, pamiątkę po babci. Potem oblała naftą zasłony w dużym pokoju i pociągnęła strumyczek przez cały pokój aż do regału z książkami w holu. Stała w drzwiach, wyjęła pudełko zapalek, upewniwszy się, że ręce ma czyste i suche. Nie było jej jedenaście minut. Musiała wrócić do dzieci. Ostrożnie przekroczyła próg i potarła zapalną. Wrzuciła ją do środka i patrzyła, jak linia ognia sunie przez hol do dużego pokoju. Odwróciła się i odeszła, zostawiając drzwi uchylone, żeby zapewnić dopływ tlenu. Kiedy skręciła w ulicę, wydawało się jej, że czuje dym. Ale się nie odwróciła. Większość wypadków zdarza się w domu, ale to już nie był jej dom. Kam nie czuła się zdziwiona odkryciem, że Clinton i jego przyjaciółka są ludźmi pazernymi. Trochę się zmieszali na jej widok, pamiętali ją przecież z sądu, ale wyjaśniła spokojnie, że działa jako adwokat Vivian i podsunęła im do podpisu pokwitowanie. Z trudem ukrywała wstęś. Facet był darmozjadem, gotowym poświęcić dobro dzieci dla własnej wygody. Pocieszała się tylko myślą, że dostanie to, na co zasługuje.

Vivian powiedziała, które meble mogą sobie zabrać, ale Tonia nie omieszkała poprosić o kredens, zegar i jeden z obrazów na ścianie. Kam odmówiła z przyjemnością.

Nie apróbowała tego straceńczego planu, cierpiała w domu Vivian, nienawidziła Clintona i Tonii. Jak to się stało, że dała się na to namówić? Dzięki Bogu, miała przy sobie mężczyzn, którzy będą jej świadkami.

Michael i Bill pomagali już Clintonowi wynieść fotele, a Tonia nadal chodziła po domu, wypatrując zdobyczy.

- Na co jej takie wielkie łóżko? Przecież on idzie do pudła, no nie? A nam bardzo by się przydało.

Kam przypomniała sobie zapewnienia Toni, że nie łączą jej z Clintonem intymne stosunki. Może Jada miała rację: system po prostu nie działał, był

wadliwy. Ale sprawiedliwości i tak stanie się zadość. Przypomniała sobie scenę w Marblehead z Reidem przyklejonym do materaca. Musiała się uśmiechnąć. Z przyjemnością ujrzałyby Tonie i Clintona przyklejonych do materaca Vivian, ale musiało to pozostać w sferze marzeń.

- Przykro mi - powiedziała zimno. - Łóżko należy do pana Russo. Odgrywała rolę adwokata, chociaż każdemu rozsądnemu człowiekowi wydałoby się dziwne, że do rozdania mebli potrzebny jest prawnik. Clinton nawet

o to nie spytał, całkowicie pochłonięty zaspokajaniem żądz posiadania.

Spojrząwszy na zegarek, przeprosiła Tonie i przeszła do drugiej sypialni, żeby wyrzucić przez okno. Jada musiała już być w drodze do kościoła.

Czy naprawdę podpaliła ten dom? Odpowiedzią był obłoczek ciemnego dymu na tle niebieskiego nieba. Kam zadrżała. Stało się!

Dołączyła do reszty towarzystwa w pokoju dziennym. Akcja przebiegała zgodnie z planem. Nie było opóźnień. Sprawdziła jeszcze, czy ma perukę, przebranie i zapasowe kluczyki do volvo.

Tonią skierowała się do wyjścia, obarczona poduszkami z kanapy, mężczyźni dźwignęli stelaż. Kam otworzyła przed nimi drzwi. Bill zszedł tyłem z frontowych schodków, Michael i Clinton dźwigali kanapę z drugiego końca. Tonią wyprzedziła ich o kilkanaście kroków i znajdowała się już na ulicy. Kam usłyszała jednocześnie jej krzyk i wołanie Michaela. Bill, odwrócony tyłem do domu, nie wiedział, co się dzieje. Clinton spojrział w górę i upuścił swój koniec kanapy. Tonią rzuciła poduszki i zaczęła biec. Kam ruszyła za nią, chociaż volvo czekało za rogiem i każda minuta była na wagę złota. Ogień zdawał się ją przyciągać.

Dom Clintona płonął. Okna na górze rozjaśniał różowy poblask. Dym, który widziała z sypialni, nie buchał z komina, lecz gdzieś z tyłu domu. Przez otwarte na oścież drzwi widać było jak pomarańczowe płomienie liżapodłogę i ściany.

- O Jezu! - zakwiliła Tonią.

- Czy ktoś tam jest? - zapytał Michael. Clinton potrząsnął głową.

- Żona poszła z dziećmi do kościoła - wybełkotał.

- Na pewno? - zapytał Bill. - Dzieci nie ma? Jacyś goście? Psy, koty?

- Moje stereo! - krzyknął Clinton. - Mój sprzęt!

- Zadzwoń pod 911 - zawołał Michael, wracając biegiem do domu Vivian.

Ale ktoś go uprzedził, bo w oddali odezwała się syrena wozu strażackiego. Tonią zawodziła tylko o kilka tonów niżej.

- Samochód! - krzyczała. - Wyprowadź samochód!

W chwili gdy przybyła straż pożarna, wybuch na piętrze wysadził okna. Smród topionego plastiku i nylonowych dywanów dotarł do nich falą. Zaroilo się od strażaków.

- Nikogo w środku nie ma - poinformowała Kam dowodzącego. - Dom jest pusty. Żadnych zwierząt.

Podziękował skinieniem głowy i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom. Kam chwyciła Billa za łokieć.

- Powiedz Michaelowi, że musiałam iść. Zawiadomić Jadę. Bill zajrzał jej uważnie w twarz.

- Ona tego nie zrobiła?

Twarz Kam była nieprzenikniona.

- Ona tego nie zrobiła - powtórzyła. - Powiedz Michaelowi. I nie zbliżajcie się do tego domu. Nie życzę sobie żadnych martwych bohaterów.

- Nie martw się - powiedział Bill.

## **Rozdział 66**

Jada spotkała się z Samuelem przed kościołem. - Wejdz sam - powiedziała. Ponad jego ramieniem dostrzegła zbliżającą się opiekunkę społeczną. Panna Patel wydawała się jeszcze bardziej potulna niż zwykle. Rozglądała się nerwowo w tłumie czarnoskórych ludzi.

- Pójdzie pani z nami chwalić imię Pana? - zapytała Jada możliwie pompatycznie. - Jezus wita każdego z otwartymi ramionami. - To była prawda, ale Jada nie sądziła, żeby panna Patel odczuwała podobnie i zechciała uczestniczyć w nabożeństwie.

Plan A zakładał, że nie zechce. Jak dotąd nie było potrzeby sięgać po rozwiązania awaryjne.

- Usiądę sobie z tyłu - powiedziała panna Patel. - Albo pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza. Proszę się o mnie nie martwić.

Jada nie miała takiego zamiaru.

- Niech Bóg panią błogosławi - powiedziała życzliwie. Jeżeli szczęście jej dopisze, nigdy już nie zobaczy panny Patel.

Ludzie schodzili się ciągle, część wiernych była już w kościele i nikt nie mógł stwierdzić, kiedy właściwie zjawiała się Jada. Z Sherrilee na rękę i starszymi dziećmi przy boku przeszła przez cały kościół, witając się z każdym znanym sobie członkiem kongregacji. Byli jej świadkami. Potem zajęła miejsce w ławce, z taką godnością na jaką stać podpalaczkę. Wielebny Grant stał już na mównicy, przeglądając ogłoszenia kościelne. Jada złożyła dłonie na kolanach, upomniała Shavonnę, żeby się nie wierciła i próbowała odzyskać spokój.

„Panie, modliła się cicho, zrobiłam właśnie coś bardzo, bardzo złego. Wiem o tym, ale nie mogę powiedzieć z ręką na sercu, że żałuję. Nie złamałam

przykazania i nikogo nie skrzywdziłam w sensie fizycznym. Czułam po prostu, że muszę walczyć o to, co słuszne. Wybacz mi, Panie, że zgrzeszyłam i chroń moich sąsiadów i strażaków. Ale, Panie, jeżeli taka wola Twoja, pozwól, by dom spłonął do samych fundamentów. A potem pozwól mi wywieźć stąd dzieci".

W tym momencie Sherrilee odkryła sznurek koralu na szyi matki i wsadziła sobie perełkę do buzi. Jak mocny jest sznurek? zastanawiała się Jada. I ile hałasu narobi Sherrilee, kiedy go jej odbierze? Jada przejrzała zawartość torebki i wyjęła smoczek do butelki, który dawała czasem Sherrilee zamiast gryzaczka. Oczy dziewczynki rozszerzyły się radością, jakby ujrziała utraconego i odżałowanego przyjaciela.

Nabożeństwo zaczęło się hymnem. Kevon śpiewał z całej duszy, Shavonna mamrotała coś z obowiązku, ale i ona uległa w końcu uniesieniu i ostatnie strofy śpiewała z przejęciem. Jada uśmiechnęła się, przymknęła oczy i zmówiła krótką modlitwę. Pragnęła już tylko, żeby jej dzieci mogły wieść spokojne, życie w gronie rodziny. Otworzyła oczy, kiedy pieśń się skończyła i spojrzała na Samuela Dumfriesa po drugiej stronie przejścia. Siedział spokojnie zasłuchany w słowa pastora. Wyglądał bardzo nobliwie i statecznie, ostatnia osoba, którą można by posądzić o pomoc w uprowadzeniu trójki dzieci. „To tylko dowodzi, jak bardzo pozory mylą”, pomyślała Jada. Ten człowiek ryzykował dla niej bardzo wiele. Jada ponownie zamknęła oczy. „Proszę, Panie, spraw, żeby to się udało, żeby nie ucierpiały na tym moje przyjaciółki i Samuel Dumfries”.

Tytuł następnego hymnu brzmiał: „Pan jest jedynym domem, jakiego potrzebujesz”. Od chwili, gdy potarła zapałkę i zdecydowała się na los wygnańca, Pan rzeczywiście był jej jedynym domem. Nie wierzyła w znaki. Kongregacja odśpiewała pieśń z uczuciem, ale była to dopiero rozgrzewka. Kiedy ogłoszono następny hymn, Jada podniosła dłoń do ust, ukrywając uśmiech.

- A teraz odśpiewamy „Zapał pochodnię Jezusowi” - powiedział wielebny Grant.

„Panie, pomyślała Jada. Nawet kobieta, która nie wierzy w takie rzeczy, musi uznać to za znak. Przeszłam wiele, a Ty, w dobroci Swojej, zesłałeś na mnie dni ciężkiej próby, ale to chyba oznacza, że mi pomożesz?”

- Mamusiu, jest mi gorąco - powiedział Kevon. - Mogę zdjąć marynarkę?

- Nie w kościele, Kevonie.

Westchnął i wsadził kciuk w usta. Wielebny Grant odchrząknął i rozpoczął kazanie.

- Ilu spośród was słyszało Pana? - zapytał. Odezwało się kilka głosów.

- Ilu spośród was widziało Pana? - pytał dalej wielebny.

Odzew był dużo mniejszy, ale ludzi ogarnęło już religijne uniesienie.



- Niewielu dostąpiło tego szczęścia - zaintonował pastor Grant. - Mojżesz słyszał Pana, ale nie ujrzał Jego oblicza. Ujrzał jedynie płonący krzak. Pan ukazał się Mojżeszowi przez płomienie.

Jada otworzyła szeroko oczy. Czy to może być zbieg okoliczności?

- Kiedy Mojżesz przeprowadził Izraelitów przez pustynię, Pan ukazał się jako słup dymu w dzień i słup ognia w nocy. Trzeba odwagi, by podążać za Panem. Trzeba odwagi, by porzucić dom i podążać w nieznane, szukając ziemi obiecanej.

Jada nie wierzyła własnym uszom. Domy, pochodnie, płonące krzaki i słupy ognia. Zrozumiała, że wykonała wolę Pana i pozbyła się resztek poczucia winy.

- Dziękuję Ci, Panie! - powiedziała z oczami pełnymi łez. Kazanie trwało dalej, ale ona nie słyszała już ani słowa. Zbliżała się decydująca chwila. Spojrzała na zegarek i kątem oka dostrzegła, że Samuel również sprawdza godzinę.

Kiedy wezwano chór do wystąpienia, Jada wstała i pociągnęła za sobą dzieci, chociaż Shavonna rzuciła jej zdumione spojrzenie.

- Nie będę śpiewać.

-Ciii!

Doczekawszy spokojnie swojej kolejki Samuel Dumfries wstał i dołączył do przesuwanego się wolno tłumu. Zaczynano już śpiewać i Jada obejrzała się, szukając wzrokiem panny Patel. Albo zniknęła w tłumie - była bardzo niska - albo czekała w westybulu na koniec nabożeństwa. Jada minęła mównicę, boczną nawę i znalazła się przy drzwiach. Samuel Dumfries był dwa kroki za nią.

- Samochód jest tam - powiedział, wyprzedzając ją.

Był to moment, którego się obawiała, na który czekała z utęsknieniem. Jeżeli dzieci nie wyrażą zgody na wyjazd, odwoła wszystko, poniesie konsekwencje popełnionych czynów. Istniała możliwość, że zechcą zostać z ojcem, że będą się bały rozpocząć inne, nieznane życie, nie zechcą opuścić przyjaciół, szkoły i babci. Jada była w stanie podjąć za nie pewne decyzje, ale chciała, żeby były świadome tego, co zostawiają za sobą.

Zapakowała je do samochodu Samuela, zajęła miejsce obok kierowcy i odwróciła się do swoich dzieci.

- Posłuchajcie mnie teraz bardzo uważnie. Chciałam, żebyśmy mieszkali wszyscy razem, jako rodzina, ale wasz tatuś sobie tego nie życzył. Chciał zamieszkać z Tonią. Oboje was kochamy. Nie chciał, żebym was za często widywała, nie pozwolił mi z wami zamieszkać. Więc pojedziemy tam, gdzie to będzie możliwe. Chyba że nie wyrażicie na to zgody.

- Czy on będzie naszym nowym tatusiem? - zapytał Kevon, wskazując Samuela.

- Oczywiście, że nie - zapewniła go Jada. - Macie tylko jednego tatusia, tak jak macie tylko jedną mamę. Ale czasem zdarza się, że rodzice nie mogą mieszkać razem.

- Więc ty chcesz z nami mieszkać? - zapytała Shavonna. Jada spojrzała na córkę i wstrzymała oddech.

- Kochanie, zawsze chciałam z wami mieszkać. Zawsze! Nie wiedziałaś? Walczyłam o to z waszym tatą. Nigdy nie pragnęłam niczego więcej.

- Naprawdę? - Oczy Shavonny zogromniały jak wtedy, gdy Jada opowiadała jej bajki.

- Oczywiście. - Czy córka jej uwierzy? Czy pozwoli jej przeprowadzić do końca ten „skok”?

Shavonna nachyliła się i objęła matkę za szyję, po raz pierwszy od miesiący.

- Naprawdę, mamusiu? - zapytała jeszcze z policzkiem przyciśniętym do twarzy Jady.

- Naprawdę, naprawdę! Och, maleńka, kocham cię.

- To gdzie pojedziemy? - zapytał Kevon. - I kto to jest ten pan?

- Pojedziemy do dziadków, przynajmniej na razie - powiedziała Jada. - A potem, no cóż... Zobaczymy. Może być nam z początku trochę ciężko. Nowa szkoła, nowi przyjaciele.

- Będziemy tam mieszkać? - pytał dalej Kevon. - Przy plaży?

- Tak, kochanie. Przynajmniej spróbujemy.

- Hurr! - krzyknął Kevon. - Będę się codziennie kąpał w morzu? A możemy mieszkać na plaży?

Kątem oka ujrzała, że Samuel się uśmiecha.

- Nie jestem pewna - powiedziała. - Shavonna? Zgadzasz się?

- Będziemy z tobą? - zapytała dziewczynka. - Codziennie?

- Przez cały czas - obiecała Jada.

- Więc „tak”! - powiedziała Shavonna, z mniejszą beztroską niż Kevon, ale o wiele bardziej świadomie.

Zapinając pas bezpieczeństwa, Jada podziękowała w myślach Panu Bogu. Potem odwróciła się do Samuela.

- Gaz do dechy!

## **Rozdział 67**

Vivian zaparkowała przy krawężniku przed salą odlotów, wysiadła z leksusa i gestem przywołała bagażowego. Polecimy samolotem do naszego nowego domu? - zapytał Frankie. - Nie, kochanie. Pożegnamy się tylko z przyjaciółmi, a potem pojedziemy do nowego domu. Jenna, wyprowadź brata z samochodu i dopilnuj, żeby stał spokojnie na chodniku.

Jenna wykonała polecenie bez ociągania. Vivian odbyła z córką poważną rozmowę i Jenna wiedziała, że w ich życiu dokonuje się wielka zmiana.

- Mam dużo bagażu - zwróciła się Vivian do bagażowego i zaczęła wyciągać nowe walizki Jady, wyładowane równie nowymi ubraniami, które kupowały razem. Na dobry początek w nowym życiu.

- To walizki siostry - skłamała. - Parkuje samochód. Ja muszę zrobić to samo. -

Wyjęła banknot dwudziestodolarowy. - Tutaj są nasze bilety lotnicze. Mógłby pan zerknąć na bagaże i dzieci, dopóki nie wrócę?

- W zasadzie nie powinienem. - Ochrona lotniska reagowała bardzo ostro, jakby faktycznie potrafili złapać prawdziwego terrorystę.

- Proszę pana, moja siostra ma trójkę dzieci i stosy bagażu. Nie zmieścił się do jednego samochodu. Spóźni się na samolot, jeżeli będę musiała taszczyć jej bagaż z parkingu. Lada chwila tu będzie. Bardzo proszę - powiedziała, wyjmując kolejną dwudziestkę. - Ufam panu. Przecież nie proszę, żeby pan nadał bagaż ani nic takiego.

Mężczyzna wziął pieniądze i skinął głową. Vivian zaparkowała wóz na parkingu dla odprowadzających i wróciła biegiem do dzieci.

- Na co czekamy, mamo? - zapytała Jenna marudnie.

- Czekamy, żeby się z kimś pożegnać.

- Mogę iść popatrzeć jak samoloty startują? - zapytał Frankie. - Mogę dostać batona? Kiedy idziemy z tatusiem na lotnisko, zawsze kupuje nam batona.

- Kupię wam czekoladę, kiedy wejdziemy do środka - powiedziała Vivian, łamiąc zasadę „żadnych słodczy przed obiadem”. Spacerowała wzdłuż krawężnika, tam i z powrotem, licząc minuty, aż w końcu zajechał samochód Samuela z Jada i dziećmi. Jada wysiadła z wozu i rozejrzała się niepewnie.

- Jesteśmy na złym terminalu - powiedziała.

- Na dobrym, jeżeli leci się na Kajmany - powiedziała Vivian i spojrzała na Samuela. Skinął głową.

- Chwileczkę! Nie mam pieniędzy, żeby tam pojechać! Muszę zaryzykować Barbados.

- Na razie nadaj bagaż - powiedziała Vivian spokojnie. - Wszystko jest pod kontrolą. Porozmawiamy o tym później, kiedy już się odprawisz. - Rozejrzała się nerwowo, wyglądając Clintona albo policji.

Jada zwróciła się do Samuela, który spokojnie wyładowywał bagaż.

- Mam nadzieję, że masz bardzo, ale to bardzo dobre wytłumaczenie - powiedziała Jada.

- Bardzo dobre - zapewniła Vivian. Tymczasem Kevon witał się radośnie z Frankiem. Shavonna i Jenna prezentowały chłodną nonszalancję właściwą nastolatkom.

- Musisz nadać bagaż i przejść przez kontrolę paszportową - ponagliła Vivian Jada.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, dokąd leczę - zirytowała się Jada. Vivian wręczyła jej kopertę i zwróciła się do bagażowego.
  - Jest moja siostra i reszta jej bagażu - powiedziała. Biedny człowiek otworzył szeroko oczy na widok malowniczej grupy: pięcioro dzieci różnej rasy, dwie kobiety, w tym jedna ruda, druga czarna i bardzo czarny mężczyzna. Sam diabeł by się w tym nie połapał. Vivian zrobiło się żal faceta na myśl, że wkrótce dołączy do nich Kam! Bagażowy wzruszył ramionami i potoczył wózek z bagażem w stronę drzwi terminalu.
  - Chodźcie dzieci. Pierwsza klasa. Lot 321 - ogłosiła Vivian.
  - Pierwsza klasa? Vivian, mnie na to nie stać! A jeżeli to twoja sprawa, jestem naprawdę wdzięczna, ale mogłabym przeznaczyć te pieniądze na ważniejsze...
  - Och, zrelaksuj się! - doradziła Vivian. - O ile Clinton nie zjawi się tu w ostatniej chwili, a Kam zdąży na czas, jesteśmy w domu. Daj tej pani paszport i odpraw się! Jada wręczyła paszport i bilety urzędnicze na stanowisku linii lotniczych i pozwoliła, by Samuel położył bagaże na wadze. Urzędniczka podniosła wzrok znad lady.
  - To jest pierwsza klasa - powiedziała, jakby Jada ustawiła się w złej kolejce.
  - Zdaję sobie z tego sprawę - odparła Jada chłodno.
  - Moja siostra zawsze podróżuje pierwszą klasą - wtrąciła Vivian. - Jakiś problem? Kobieta starała się ukryć wstrząs wywołany obrazoburczym komentarzem Vivian. „Wyspy mają przynajmniej jedną dobrą stronę”, pomyślała Jada. „Nie ma tam tak wielkich różnic rasowych. Może to będzie z korzyścią dla dzieci. Może białe przedmieścia to przesada”.
  - Sama pakowała pani bagaże? - zapytała urzędniczka linii lotniczych. Jada skinęła głową.
  - Nikomu ich pani nie powierzyła?
  - Nie - skłamała Jada.
  - Otrzymała pani jakieś prezenty?
  - Nie - skłamała ponownie Jada, spoglądając odruchowo na bilety.
  - Przewozi pani jakąś broń? - zapytała kobieta i Jada uniosła brwi. Czy było to rutynowe badanie?
  - Jedynie mój język - odpowiedziała słodko. Samuel i Vivian wybuchnęli śmiechem.
- W chwilę później było już po odprawie i cała grupa przeszła przez wykrywacz metalu.
- Czy my też lecimy? - zapytała zdezorientowana Jenna, chociaż matka wytłumaczyła jej już, że nie.

- Kevon mówi, że oni jadą na plażę - powiedział Frankie. - Czy my też możemy? Tylko na trochę!

Vivian i Jada przepchnęły dzieci przez sklepy z pamiątkami, sklepy z zabawkami i sklep z cukierkami, gdzie każda słodycz opakowana była w oddzielną foliową torebeczkę, co sprawiało, że stawała się pożądana.

„Co tam! pomyślała Vivian. „Trzeba je czymś zająć do czasu przyjazdu Kam". Ale gdzie jest Kam? Nie mogły się rozstać bez niej. Vivian skierowała dzieci w stronę sklepu z cukierkami.

- Macie pięć minut na wybranie słodyczy. Wolno wam zapełnić po jednej torebce - powiedziała. - Samuelu, pomógłbyś Sherrilee.

- Myślę, że dam sobie radę - powiedział z uśmiechem i poszedł za małą, która już pokazywała na słój z żelkowymi glistami. Samuel był miłym człowiekiem. Vivian zastanawiała się, czy nawiąże z Jadą romans.

Zdobywszy w ten sposób kilka minut spokoju, Vivian zwróciła się do przyjaciółki.

- No dobra - powiedziała Jada. - Co jest grane?

- Wszystko pod kontrolą- powtórzyła Vivian. - Wiesz przecież, że o wiele bezpieczniej jest pojechać na Kajmany niż na Barbados. Samuel zajął się stroną prawną, ja zaś tą drugą.

- Jaką drugą?

- Finansową.

- Na Kajmanach trzeba mieć grubą forszę. Nie mogę tam jechać - powiedziała Jada. - O czym ty mówisz?

- Dowiesz się w swoim czasie - odparła Vivian ze śmiechem.

Kam prowadziła jak oszalały nietoperz. Wydawało się jej, że dostrzega za sobą Clintona na Merritt Parkway, ale nie miała stuprocentowej pewności. Za kierownicą samochodu Jady, w jej okularach przeciwsłonecznych, w jej płaszczu, w czarnej peruce z warkoczykami, upudrowana na brąz, czuła się jak zając ścigany przez sforę psów. Musiała dotrzeć do celu na długo przed swoim prześladowcą. Pruła po autostradzie, zdając sobie sprawę, że drogówka tylko czeka na takich frajerów.

Spojrzała na zegarek. Musiała dotrzeć na lotnisko, zaparkować volvo, zapakowane po brzegi rzeczami Vivian, i pożegnać się z przyjaciółkami i ich dziećmi.

Trudno jej było uwierzyć, że Jada opuszcza kraj na zawsze. Życzyła jej tego z całego serca, ale zarazem głęboko nad tym bolała. Nie było jednak innego wyjścia. Vivian i Jada miały rację - system okazał się nieskuteczny, więc działały poza nim. Jako prawnik musiała to potępić, jako kobieta - pochwalić.

Kam ucharakteryzowała się i wsiadła do volvo zaparkowanego na rogu.

Odjeżdżając zauważyła, że Tonią coś woła, pokazując na nią palcem. Nie przejęła się tym specjalnie. Jeżeli za nią pojedą, dotrą na niewłaściwy terminal.

Podjechała pod American Airlines, zerwała peruką i okulary słoneczne, wytarła twarz, zrzuciła prochowiec i pobiegła na przystanek autobusu kursującego między terminalami. Przechodząc przez ulicę obejrzała się i dostrzegła camero parkującego za volvo.

Nie mogła czekać na autobus! Clinton pójdzie za nią i zorientuje się, że wcale nie śledzi Jady, że został wyprowadzony w pole. Czy już wiedział, że dom nie był ubezpieczony i że dzieci zniknęły? Z pewnością wpadnie w szal. Nie, nie mogła czekać na odjazd autobusu. W polu widzenia nie było żadnej taksówki. Zobaczyła mikrobus Hertza i dopadła go w chwili, gdy odjeżdżał, tyle że nie wiedziała dokąd. Czy wracał z terminalu B, czy dopiero tam jechał? Czy kierowca ją wpuści? Będzie musiała udać kompletną idiotkę. Nie było to łatwe dla kogoś, kogo umysł pracował na pełnych obrotach.

- Czy powinnam odebrać bagaż, zanim wynajmę samochód? - zapytała kierowcy.

- Większość ludzi tak robi - obejrzał się na nią z politowaniem.

- Aha. A możecie podstawić mi samochód pod terminal B? - zapytała.

- Sama go musi pani podstawić - zaśmiał się. - Niech pani wysiądzie na terminalu B, odbierze bagaż, a potem wsiądzie do minibusu.

- A gdzie jest terminal B?

- Następny przystanek - powiedział z ulgą kierowca.

Kam spojrzała na zegarek. Zostało jej dwadzieścia minut do odlotu. Wyprysnęła z minibusu, przebiegła przez salę odlotów, przez wykrywacze metalu i dopadła wyjścia do samolotu. Dzięki Bogu, zobaczyła Vivian i Jadę otoczone gromadką dzieci, z których każde coś żuło.

- Zdażyłam! - zawołała, ściskając przyjaciółki.

- Śledził cię?

- Myślę, że tak, ale go zgubiłam. - Wręczyła Jadzie kluczyki do volvo. Jada z kolei oddała je Vivian.

- Jest twój - powiedziała. - Chociaż nigdy nie zrozumiem, dlaczego wolisz volvo zamiast leksusa.

- Nowe życie, stary samochód. To chyba rozumiałe - odparła Vivian. - Przecież wiesz. Nie chcę nic, co należało do Franka. - Pogrzebała w torebce i wydobyła kluczyki do własnego wozu. - Te są dla ciebie - powiedziała, wręczając je Kam.

- O, nie! Nie mogłabym wziąć twojego wozu. Jest wart czterdzieści tysięcy dolarów!

- Osiemdziesiąt osiem, jeżeli chodzi o ścisłość, ale to szczegół bez znaczenia. Bóg jeden wie, za co Frank go kupił. A ty jesteś przepracowaną ni-skoopłaćaną przyszłą matką i bardzo go potrzebujesz. Nie możesz jechać na porodówkę tym rozpadającym się gratem. - Vivian zwróciła się z kolei do Jady. - Czekałam na Kam, żeby dać ci to. - Wręczyła Jadzie płócienną torbę, którą ściskała dotąd pod pachą. - To rozwiąże sprawę Kajmanów.

Jada popatrzyła na równiutkie pakieciki opakowane w brązowy papier i uniosła pytająco brwi.

- Co to jest: dwanaście centymetrów długie, ma główką i przyprawia kobiety o szaleństwo? - zapytała Vivian.

- Nie wiem. Nigdy nie spałam z białym mężczyzną - odparła Jada.

- Pieniądze - powiedziała Jada, ignorując uwagę przyjaciółki. - Papierowe pieniądze w dużej ilości. Przelicysz w samolocie.

Jada przeniosła wzrok z zawartości torby na Vivian.

- Samuel zapewnił mnie, że nie będziesz miała trudności z wwiezieniem ich na Kajmany - powiedziała Vivian. - Kajmany po to właśnie są żeby wwozić pieniądze. I nie próbuj mi ich oddawać. To, co mówiłam o leksusie odnosi się również do tej forsy. Nie chcę mieć z nią do czynienia. Wyświadczysz mi przysługę. Kup sobie i dzieciom ładny dom - wykończony!

Przez chwilę Jada stała jak wrośnięta w podłogę. Łzy wypełniły jej oczy i zaczęły spływać na policzki.

- Nigdy nie myślałam, że będę miała takich przyjaciół, a teraz muszę was opuścić?

- Lot 321 na Kajmany - ogłoszono przez megafon. - Pasażerów pierwszej klasy prosimy o przejście na pokład samolotu.

- To my, mamusiu - powiedziała Shavonna. - Chodźmy.

- Chyba nie mogę jechać - zwróciła się Jada do Kam i Vivian.

- Boisz się? - zapytała Kam. - Naprawdę uważam, że wszystko będzie w porządku. Wkrótce przyjadą do ciebie rodzice. I myślę, że możesz polegać na Samuelu.

- Nie o to chodzi. Już się nie boję. Ale nie mogę was zostawić.

- My zostawimy ciebie! - powiedziała Vivian. - Ja wsiadam do twojego volvo i jadę. Mam firmę, która na mnie czeka. - Spojrzała na Kam i zachichotała. - A Kam chce odzyskać mieszkanie, żeby miała gdzie spać ze swoim Michaeliem. - Przynajmniej nie musi się martwić, że zajdzie w ciążę.

- Hej, skąd wiecie, że już z nim nie spałam? - zapytała Kam. - Naprawdę spodobałam mu się w twojej peruce!

Zakwiczały ze śmiechu.

- Mamy dla ciebie prezent, który może mu się nie spodobać - powiedziała Jada. Popatrzyła na Vivian, która grzebała w swojej przepastnej torbie, by po chwili wyciągnąć płaską paczuszkę.

- Dajcie spokój! Dałyście mi i tak za dużo prezentów - zaprotestowała Kam.

- Ten ci się spodoba, sestro - zapewniła ją Jada ze śmiechem.

Kam rozdarła papier. W środku ukazała się oprawiona fotografia, fotografia zupełnie niewiarygodna: Viv i Jada ubrane w swoje seksowne neglige, szczerzące zęby do kamery.

- Zachowałyście jedno dla mnie! Cudownie! Jesteście razem na zdjęciu. Kto je zrobił?

- Aparat. Położyłam go na sekretarzyku i nastawiłam czas. Zadziałało. Kam wpatrywała się w zdjęcie roześmianych przyjaciółek.

- Najpiękniejsza pamiątka - powiedziała. Podszedł do nich Samuel.

- Muszę się już z paniami pożegnać. Zabiorę dzieci na pokład - zwrócił się do Jady.

- Nie, nie. Daj mi jeszcze minutkę. Zaraz idziemy.

- Będiesz z nim sypiać? - zapytała Vivian, kiedy Samuel się oddalił.

- Nawet go nie znam!

- Nie o to pytałam. Sypiałem z Frankiem przez czternaście lat i nigdy go nie poznałam.

- Jado, czas się pożegnać - powiedziała Kam, obejmując przyjaciółkę.

- Posłuchajcie, nie wiem, czy po tym co zrobiłam, będę tu mogła kiedykolwiek wrócić - powiedziała Jada. - Ale to nie oznacza, że nie możecie przyjechać do mnie. Nie musimy żegnać się na zawsze.

- No chyba, że nie! - oburzyła się Kam. - Przyjeżdżam do ciebie z dzieckiem, jak tylko się trochę odchowam.

- A ja chciałam cię prosić, żebyś zrobiła dla mnie wywiad na Kajmanach, zorientowała się, czy nie da się tam założyć firmy porządkowej - poprosiła Vivian. - Musi tam być mnóstwo bogatych ludzi, którym się nie chce wymiatać piasku z plażowych apartamentów.

Przez megafony nadano ostatnie wezwanie dla pasażerów lotu 321 na Kajmany.

- Jado, do samolotu!

- Patrzcie państwo! Jaka się zrobiła władcza!

- To twoja zasługa, Jado. Nie wiem, jak bym sobie bez was poradziła. Wpoilaś we mnie szacunek dla samej siebie. A ty, Kam, przyjęłaś mnie pod swój dach. Dzięki wam wiem, co to prawdziwa przyjaźń. Stałam na nogi, ale dzięki wam. I Michaelowi.

Jada uścisnęła przyjaciółki.

- Naprawdę muszę już iść - przyznała z twarzą zalaną łzami.

- Tak. - Vivian nagle spoważniała.

Jada odwróciła się i podeszła do Samuela, wzięła Sherrilee na ręce i łagodnie popchnęła dzieci w stronę wyjścia do samolotu. Powiedziała coś do Samuela, oddała bilety do sprawdzenia.

Wchodząc do rękawa, odwróciła się po raz ostatni. Jej przyjaciółki stały za bramką, ramię przy ramieniu, machając na pożegnanie.

Godzinę później Vivian była już w drodze. Jechało się jej świetnie po pustej, gładkiej szosie. Nie żałowała leksusa ani niczego, co sobą reprezentował.

Odzyskanie starego volvo sprawiło jej nawet przyjemność. Frankie



i Jenna też lubili jego przyjazne wnętrze, a teraz spali smacznie od pół godziny. Vivian rozmyślała o zadaniach, jakie ją czekają w najbliższej przyszłości. Wynajęła już dom, skromny i nieduży, ale umeblowany i po przystępnej cenie. Nie mogła wystawić starego domu na sprzedaż. Jeżeli Frank zostanie skazany, dom przejdzie prawdopodobnie na własność państwa. Niewiele ją to obeszło. Wiedziała już, że życie nie jest proste, ale miała dość sił, by sprostać wszystkim wyzwaniom. Zjeżdżając z autostrady zorientowała się, że nuci półgłosem. Uśmiechnęła się i zaśpiewała głośniej. Była to stara, dziecinna piosenka, którą często nuciła jej babcia: „konik, z drzewa koń na biegunach, śmieszna zabawka, mała huśtawka...”. Dołączył do niej Frankie, który uwielbiał tę piosenkę, a chwilę później Jenna. „Przyjaciel wiosny, uśmiech radosny, każdy powinien go mieć”, śpiewali i Vivian uśmiechnęła się we wstecznym lusterku do swoich uśmiechniętych dzieci.

A w samolocie, Jada spoglądała w dół na morze. Samuel nalegał, żeby zajęła miejsce przy oknie. Podano im szampana, dla dzieci rozcieńczonego sokiem pomarańczowym, potem wspaniały posiłek, lody z gorącym karmelem i ciasteczka od najlepszego cukiernika w mieście. Jada po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni, leciała pierwszą klasą i musiała przyznać, że jest to bardzo przyjemna forma podróżowania. Ponownie wyjrzała przez okno. Przelatywali nad jakąś wyspą. Zastanawiała się, jakie będą te Kajmany. Samuel opowiedział jej o swojej rozmowie z Vivian, o przygotowaniach, jakie poczynił. Teraz Jada pochyliła się i wyjęła spod siedzenia czarną płócienną torbę. Otworzyła ją wolno i naddarła papier.

W środku znajdowały się studolarówki. Na oko trudno było powiedzieć, czy są ich dziesiątki, czy setki, a może nawet tysiące. Przez chwilę miała wrażenie, że brakuje jej powietrza. Zdarła resztę opakowania, zanurzyła ręce w torbie. Każdy plik obwiązany był banderolą, jakich używały w banku. W każdym pakieciku znajdowało się sto banknotów - dziesięć dolarów każdy. Zaczęła liczyć pliki. Doszedłszy do dwudziestu, poczuła brak tchu i przestała. Zwineła torbę i wsadziła ją z powrotem pod fotel. Samuel przyglądał się jej z uśmiechem.

- Dwieście czterdzieści dwa tysiące dolarów - powiedział. - Resztę oddała policji. Jada zamrugła powiekami, próbowała coś powiedzieć, nie udało się jej i odchrząknęła.

- Są moje?

- Absolutnie. Vivian powiedziała mi, że nie chce mieć z nimi nic do czynienia.

Chciała przeznaczyć je na jakiś dobry cel. Uznaliśmy zgodnie, że spełniasz wszelkie kryteria.

Jada potrząsnęła bezradnie głową. Nadal nie bardzo mogła w to uwierzyć.

- Więc pieniądze są moje?

- Tak. I będą ci potrzebne, żeby urządzić sobie życie na Kajmanach. Panuje tam duża dyskryminacja, ale tylko wobec biednych. Wyliczyłem, że procenty od tej sumy plus pensja zapewnią ci bardzo dobry dochód.

- Jaka pensja?

- Jak już mówiłem, jest mnóstwo banków na wyspie. Wybierzesz, który zechcesz, ale pozwoliłem sobie umówić cię na rozmowę w Island Bank. Ma ci najwięcej do zaproponowania.

Jada odchyliła się na oparcie wygodnego fotela pierwszej klasy. Czy naprawdę wystarczy słuchać matki i przyjaciółek, żeby uniknąć kłopotów? W jej przypadku przyniosło to nadspodziewanie dobre rezultaty. Po raz pierwszy miała dość odwagi, by spojrzeć Samuelowi w oczy.

- Chcę ci podziękować za pomoc - powiedziała. Uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Kam nie wyobrażała sobie powrotu do pustego mieszkania. Będzie jej strasznie *smutno*. Mimo tych czarnych przepowiedni włączyła stereo w lek-susie i cieszyła się jazdą. Ale nie czekał na nią pusty dom.

- Pomyśleliśmy, że przyda ci się odrobina rozrywki - powitała ją matka w drzwiach. Ojciec siedział na kanapie i czytał „Wall Street Journal”, swoim zwyczajem złożywszy gazetę w kostkę. Fakt, że uniemożliwia mu to czytanie, jakoś mu nie przeszkadzał.

- Jaka miła niespodzianka - powiedziała Kam.

- Miła czy nie, ja też tu jestem i przyniosłem ci obiad - dodał Bill. Kam była im wdzięczna. Powrót do pustego, cichego mieszkania mógłby ją załamać. Ale czekały ją dalsze niespodzianki. Natalie popchnęła ją łagodnie w stronę drugiej sypialni, gdzie jeszcze wczoraj mieszkali Frankie, Jenna i Vivian. Teraz stała tam kołyska, stolik do przewijania, fotel bujany i pudła z prezentami.

- To od Jady i Vivian - wyjaśniła matka.

- Bujany fotel jest ode mnie!

Kam odwróciła się i ujrzała Michaela z obcęgami w ręku.

- Zostawiły ci to - powiedział, wręczając jej kopertę.

*Kochana Kam!*

*Dostaniesz ten list tylko wtedy, jeżeli nie trafimy do więzienia. Oznacza, że plan się powiodł i że nie będziemy nosiły pasiastych ubrań przez następne dwadzieścia lat.*

*Nie dokonałybyśmy tego bez Ciebie (ale i ty nie dokonałabyś tego bez nas).  
Ustaliłyśmy, że jesteśmy swoimi najlepszymi przyjaciółkami, a ty jesteś najlepszą  
przyjaciółką nas obu. Kochamy Cię.*

*Inie myśl, że będziesz sama. Vivian ofiarowuje się na stałą babysitterkę, obiecuje  
również, że będzie z Tobą chodziła na zajęcia w szkole rodzenia (chyba że Michael  
zechce ją zastąpić! Uważamy, że zechce.) Jada zapewnia wakacje zimowe i letnie na  
Kajmanach aż do pełnoletności dziecka. I jakby tego było mało, załączamy  
wyjątkowy prezent. Możesz się zrewanżować Jadzie fotografią dymiących zgliszczy  
jej domu.*

*Kochamy Cię, ale to już zostało powiedziane, prawda?*

*Jada i Vivian*

Kam uśmiechnęła się i zjrzała do koperty. W środku znajdowało się jeszcze jedno zdjęcie zrobione polaroidem. Widniała na nim uśmiechnięta buzia Vivian tuż przy twarzy zboląłego Reida, który spoglądał z tępym zdumieniem na swoje krocze. „Przynajmniej będę mogła pokazać mojemu dziecku zdjęcie tatusia”, pomyślała. „Ale chyba poczekam z tym, aż osiągnie pełnoletność. I niech Jada i Vivian wyjaśnią mi, w jakich okolicznościach zostało zrobione”.

